

# CZARNA WIEŻA

A black and white illustration of a giant, multi-eyed monster with a wide, toothy mouth, standing in a ruined, classical-style building with columns. A small figure of a man with a rifle is in the foreground.

WASILIEW DIWOW KAMSZA  
PIERWUSZYNA AMNUEL ŁUKIN



**Almanach rosyjskiej  
fantastyki Tom II  
CZARNA MSZA**

z języka rosyjskiego przełożyli  
Ewa i Eugeniusz Dębscy,  
Jerzy Rossienik



fabryka słów  
2007

Czarna msza.

Almanach rosyjskiej fantastyki, tom  
II

Copyright © by Fabryka Słów sp. z  
o.o., Lublin 2007

Copyright © for translation by Ewa i Eugeniusz Dębscy, 2007 Copyright © for  
translation *Niańka* Jerzy Rossienik, 2007

Wydanie I

ISBN 978-83-60505-46-5

*To moja droga z piekła do piekła*

*W dół na złamanie karku gnam!*

*Nikt mnie nie trzyma, nikt nie prześwietla*

*Nie zrywa mostów, nie stawia bram!*

*Po grani! Po grani!*

*Nad przepaścią bez łańcuchów, bez wahania!*

*Tu na trzeźwo diabli wezmą*

*Zdradzi mnie rozsądek – drań*

*W wilczy dół wspomnienia zmieniają*

*Ostrą grań!*

*Po grani! Po grani! Po grani! Tu mi drogi nie zastąpią pokonani! Tylko łapią mnie  
za nogi, Krzyczą – nie idź! Krzyczą – stań! Ci, co w pól stanęli drogi I zębami,  
pazurami kruszą grań!*

*Tu do mnie! Tu do mnie!*

*Ruda chwyta mnie dziewczyna swymi dłońmi*

*I do końskiej grzywy wiąże*

*Szarpię grzywę – rumak rży!*

*Ona – co ci jest mój książę?*

*Szepce mi...*

*Do piekła! Do piekła! Do piekła!*

*Nie mam czasu na przejażdżki więdźmo wściekła!*

*–Nie wiesz ty co cię tam czeka – Mówi sine tocząc łyzy*

*–Piekło też jest dla człowieka! Nie strasz, nie kuś i odchodząc, zabierz sny!  
z piosenki Jacka Kaczmarskiego*

**„Epitafium dla Włodzimierza  
Wysockiego”**

**Władimir Wasiliew**

oznajmił światu, że oto już jest, głośnym krzykiem 8 sierpnia 1967 roku około godz. 11. Od tej pory jeszcze nie umierał, choć – jak sam twierdzi – kilka szans było. W wieku trzech i pół roku za poduszczeniem ojca opanował umiejętność czytania i od tej pory czyta fantastykę, tylko fantastykę i nic poza fantastyką. Gdzieś się uczył, czegoś się uczył, ale nie obciąża swojej pamięci tymi detalami. Od 1996 roku żyje z honorariów. Píše (oczywiście fantastykę) od ósmej klasy. Pierwsza publikacja miała miejsce bez udziału autora -Wołodia zabawiał się w wojsku, a koledzy zdołali zamieścić w gazecie jego tekst. Pierwszą książkę *Bież stracha i uprieka* wydał w 1991 roku i sprzedała się nieźle. Aktualnie ma na koncie około tuzina powieści i nie zamierza na tym poprzestać. Pasje standardowe: muzyka, futbol, jachting. Lubi piwo i większość napojów alkoholowych, zwłaszcza wina dobrych marek. Poza książkami jest autorem kilku CD z muzyką. Jakoś tam gra na gitarze solowej i basowej oraz na perkusji. Podobają mu się kobiety rude i zielonookie. Kibicuje moskiewskiemu Dynamo i Manchesterowi United, a poza tym uwielbia smażone ziemniaki. Kiepski wzrok -minus dwa. W Polsce znany z opowiadań *O wiedźminie GERALCIE, pogromcy szalonych i zwyrodniałych maszyn*, oraz z powieści *Oblicze Czarnej Palmiry i Dzienna straż* (w duecie z Siergiejem Łukianienką).

**Władimir Wasiliew**

**Niańka**

**Przekład Jerzy Rossienik**

# 1.

Z tunelu tchnęło wilgocią i kwaśnym posmakiem żelaza. I stęchlizną -tyle że nie stęchłą wonią opuszczonego mieszkania, a martwym, ciężkim zaduchem niszczących mechanizmów. Jednak nie wszystkie niszczały. Niestety.

Niedaleko wejścia do szybu tłoczyli się mieszkańcy okolicznych osiedli – w przeważającej części krasnoludy i niziołki, chociaż było też wielu orków oraz wirgów, zarówno czystej krwi, jak i mieszańców.

Kiedy z ciemnej otchłani tunelu dobiegł straszliwy zgrzyt, tłum w jednej chwili zadrzał i się cofnął. Hałas nie ustawał, jakby ktoś podłożył blachę pod obracające się koło zębate. Potem gruchnęły dwa wystrzały i po kilku sekundach zgrzyt ucichł. Ale tylko na chwilę, aby znów zabrzmieć, tym razem ze zdwojoną częstotliwością i siłą.

–Nie – bez cienia nadziei w głosie wyszeptał ktoś w tłumie. – On nie pokona...

I nagle zgrzyt ucichł. Urwał się na wysokiej nucie, jakby koło nie wytrzymało i pękło na kilka kawałków. Przez około pięć minut wisiała w powietrzu przygniatająca cisza, a potem z tunelu, zataczając się, wyszedł mężczyzna w brudnym dżinsowym ubraniu, ciężkich krasnoludzkich buciorach i ze śrutówką w ręku. Potrząsał głową i mrużył oczy przed światłem.

Był zupełnie łysy; pod warstwą mazutu i brudu na skórze od skroni do skroni przez całą potylicę biegł kolorowy tatuaż. Szyję owijał mu spleciony z różnokolorowych przewodów sznur, a na nim dyndał czujnik,

który nie wiadomo do czego mógł służyć.

–Zobacz tylko! – zdumieni gapie mówili jeden przez drugiego. –

Ocalał!

Mężczyzna powoli, ledwie powłócząc nogami, zbliżał się do tłumy. Potem sięgnął wolną ręką pod kurtkę, wyjął zza paska dżinsów płaską owalną tabliczkę i cisnął ją pod nogi stojących w pierwszym rzędzie.

Widniało na niej: Fabryka DORMASZYNA, Nikołajew. PSZ-284M.

A pod spodem znajdował się numer fabryczny.

Nieco poniżej litery „r” w wyrazie „Dormaszyna” widoczne było dosyć świeże, wyraźne wgniecenie.

–On! Na pewno on! – zagrzmiał basem jeden z wirgów. – To jest ślad po oskardzie Westerwelda...

Jak na komendę tłum zaczął krzyczeć i cisza ustąpiła miejsca równomiernemu gwarowi.

Opasy krasnolud, na którego twarzy prócz brody można było dostrzec tylko oczy i koniec przypominającego kapeć nosa, zrobił krok do przodu, po czym wyciągnął ku łysemu mężczyźnie wytarty plecaczek. Materiał już dawno stracił swój pierwotny kolor.

–Oto twoja torba, szanowny... Jest cała i nienaruszona. W imieniu wszystkich mieszkańców Pięciochatek dziękuję za dobrą robotę, panie!

Łysy ociężałe skinął głową. Chwilę się zastanawiał i powiedział:

–I ja wam dziękuję. Za to, żeście nie poskąpili grosza i zapłacili bez szemrania.

Zapewne rzadko płacono mu bez szemrania. Takie czasy! Widać i jego coraz częściej próbowano wykiwać i pod byle pretekstem uchylano się od zapłacenia.

Mężczyzna wziął plecaczek, potem zarzucił na ramię broń, którą trzymał za kolbę, przez co od razu stał się podobny do bohatera reklamowych billboardów, które co i rusz można było spotkać na wszystkich ważniejszych drogach Wielkiego Kijowa.

–Bądźcie zdrowi! – życzył mu krasnolud.

Tymczasem tłum skupił się wokół szczęśliwca, który pierwszy podniósł z kurzu tabliczkę. Wszyscy wyciągali szyje, szarpali i poszturchiwali stojących z przodu. Zapewne każdy chciał popatrzeć na znalezisko i potrzymać je w ręku.

–A może potrzebujecie noclegu, panie? – uprzejmie zainteresował się krasnolud.  
– Wkrótce wieczór...

–Nie – gwałtownie odrzekł łysy mężczyzna. – Pójdę już.

–No – westchnął krasnolud, nawet nie próbując ukryć ulgi – jak chcecie. My również idziemy.

Odwrócił się i szybko podszedł do tłumu. Bezceremonialnie klepnął po plecach stojącego z brzegu wysokiego wirga, a gdy ten się obrócił, odsunął go na bok. Precyzyjnie do samego środka, odebrał tabliczkę od kolejnego gapia i ochryplym głosem wydał jakąś komendę.

Ale łysego mężczyzny nie interesowały ani słowa krasnoluda, ani ci z Pięciochatek. Robota wykonana. Pieniądze przelane na właściwe konto, a oszałała maszyna do drążenia tuneli spoczywa martwa w mrokach kopalni. Wszyscy są szczęśliwi i zadowoleni.

I jeszcze to zmęczenie... Poskromienie prawie dwóch ton agresywnego metalu to nie to samo, co wypicie duszkiem kufła piwa! Taki kolos żłobi po dwa lub trzy metry na dobę w najtwardszym granicie.

Tylko że ten stalowy olbrzym, zamiast drążyć tunele, z jakichś powodów wolał dusić w ślepych chodnikach nieszczęsnych górników, co niedawno przyplacił swoim nikczemnym mechanicznym życiem. Co jest dziwne, nie był – jak oczekiwał tego łysy mężczyzna – dziki, a całkowicie oswojony, w kabinie zachowały się nawet jakieś drobiazgi po jego panu. A z pana pozostała tylko zaschnięta plama pod dolnym lewym wiertłem.

Jeszcze niedawno działały się tu niezbyt radosne rzeczy. Właśnie z tego powodu wynajęła go społeczność Pięciochatek.

Wiedźmina imieniem Geralt. Jednego z tych, którzy chronią miasto, nie dbając o własne życie.

Zanim zniknął za hałdą, obejrzał się za siebie. Mieszkańcy Pięciochatek gęsiego podążali w odwrotnym kierunku, ku osiedlom mieszkaniowym. Długie cienie padały na drogę, czarnoszarą od węglowego pyłu. Nogi Geralta również rzucały cień, który zdawał się wyrwać w ślad za odchodzącymi.

Rozważając w myślach, dokąd teraz iść, wiedźmin ruszył w kierunku zachodzącego słońca. Gdzieś tam, nieco bardziej na zachód, przebiegał uczęszczany szlak. Wprosić się na towarzysza podróży do jakiegoś znudzonego podróżnika nie

stanowiło najmniejszego problemu. Szczególnie chętnie zabierały pasażerów krasnoludy, znane ze swej skłonności do gawędzenia w podróży.

Czyjaś zamazaną sylwetkę, od stóp do głów zakutaną w ciemny płaszcz, Geralt dostrzegł tuż za zakrętem. Tajemniczy człowiek wyraźnie chował się w gęstym cieniu zrujnowanej drewnianej szopy. Jakby nigdy nic, wiedźmin przeszedł obok, kątem oka rejestrując każdy ruch po swojej lewej stronie.

Wysoki mężczyzna w płaszczu ruszył w ślad za nim. Nie można powiedzieć, aby starał się pozostać niezauważony, ale jego zachowanie nie wróżyło nic dobrego. Za kolejnym zakrętem ścieżki, przy rzadkich krzewach, Geralt przysiadł i wcisnął się w gęstwinę gałęzi.

Wkrótce śledzący go człowiek wyszedł zza zakrętu. Zrobił krok, potem drugi i zatrzymał się. Pokręcił głową – bez pośpiechu, nawet z jakimś niemal ostentacyjnym ociąganiem. Potem wyjął rękę spod płaszcza i w zamyśleniu potarł koniuszek nosa.

–Hej, wiedźminie! – zawołał cicho. – Wyjdź, proszę. Szykuje ci się robótka.

„Dobrze by było, gdybyś wyjął spod płaszcza także drugą rękę” -pomyślał Geralt. Mężczyzna od początku mu się nie spodobał.

Niemniej wiedźmin wyprostował się i wolno wrócił na ścieżkę.

Sprawił wrażenie wyluzowanego, ale ten luz był zwodniczy. W każdej chwili w jego rękach mogła znaleźć się strzelba, nóż, sztylet czy rewolwer. Zależało to od okoliczności.

Ale nieznajomy w płaszczu naprawdę nie zamierzał go zaatakować. Z pochyloną głową zaczął przyglądać się stojącemu na ścieżce Geraltowi. Jego twarz, jak zauważył wiedźmin, była nieludzko blada.

–Co to za robótka? – rzucił Geralt niezbyt przyjaźnie.

–No, nie będziemy rozmawiać o tym tutaj! – Mężczyzna ledwie zauważalnie przestąpił z obcasów na palce. – Znajdźmy jakąś karczmę, przekąśmy, wypijmy... na początek.

–Najbliższa karczma jest dopiero przy szlaku – chłodno sprecyzował wiedźmin, patrząc rozmówcy w oczy. W zachowaniu obcego nie było nawet śladu zmieszania czy zakłopotania.

–Wstąpiłem do niej, ale mi się nie podobała. Podskoczmy bliżej Doniecka. Mam niedaleko samochód.

–No – wzruszył ramionami Geralt – niech będzie. Ale ty stawiasz, skoro tak ci spieszo do wynajęcia wiedźmina.

–To nie mnie przypiliło. Ale to nieważne. Zgoda, ja stawiam.

Geralt w odpowiedzi skinął głową: „prowadź”. Nieznajomy płynnie, niczym kobieta, obrócił się i poszedł ku sąsiedniej hałdzie.



## 2.

Na miejsce rozmowy wybrali nawet nie karczmę, a prawdziwą tawernę sieci „Kijew-A”. W istocie była to dosyć nowoczesna restauracja przy dużym hotelu na granicy Doniecka i Ługańska. Kelner półork, odziany w chlamidę srebrzystej barwy, przyniósł jadłospis, kartę win, popielniczkę i majestatycznie się oddalił.

Chociaż był już wieczór, sala niemal świeciła pustkami. Oprócz Geralta i jego ewentualnego zleceniodawcy klientów było tylko troje: mężczyzna w podeszłym wieku ze szklaneczką czerwonego wina i parka wirgów, wyraźnie przejezdnych, którzy ze znużeniem jedli pieczyście przy stoliku w samym rogu.

Geralt nie spieszył się z przejściem do poważnej rozmowy. Przyspieszanie biegu wydarzeń nie leży w zwyczaju wiedźminów. Każdy żyjący Wielkiego Kijowa powinien wyraźnie sobie uświadamiać, że klient o wiele bardziej potrzebuje wiedźmina niż wiedźmin klienta. Bo tylko tak długo żyjący są żyjącymi, jak długo wiedźmini bronią ich przed nieujarzmioną siłą maszyn. W opałach zaś może znaleźć się każdy, jeśli nie teraz, to później, a mimo wysiłków ze strony wiedźminów ilość

potworów, niestety, wcale nie jest mniejsza. Raczej na odwrót, mnożą się jak liście na wiosnę.

Łysy obdartus dość długo studiował kartę dań, kuchnia sieci „KijewA” zasłużenie słynęła z różnorodności. Zatrzymał się na pieczystym po żytomiersku, julienne i potrójnej porcji sałatki „Besarabka”, następnie przeszedł do karty win. Także tutaj wybór był duży. Tego wieczoru Geralt zdecydował się na jałowieński kseres.

Zanim jeszcze zdążyli cokolwiek zamówić, dosłownie po kilku minutach kelner przyniósł dania, jakby wszystko zostało wcześniej przygotowane. Geralt chrząknął, ale za bardzo zdziwiony nie był. Nieznajomy – bo nadal się nie przedstawił – zaczął jeść w milczeniu. Nie zamówił alkoholu: albo wolał nie siadać pod wpływem za kierownicę swojego dżipa, albo miał inny powód. Wiedźminowi było wszystko jedno. Skosztowawszy kseresu, zabrał się za pieczyście i sałatki.

To dziwne – praktycznie każdy w jego fachu z łatwością mógł sobie pozwolić na to, aby prawie codziennie jadać w tak drogich i wyszukanych miejscach. Z jakichś jednak powodów obrońcy miasta częściej musieli zadowalać się niewyszukaną strawą podrózną z najbliższego dzikiego sklepiku, a noc spędzać przy ognisku pod mostami w towarzystwie zaniedbanych włóczęgów. Mimo że pustych domów w Wielkim Kijowie jest bez liku.

Paradoks.

Jednak przez wiele lat wszystko wyglądało właśnie tak.

Po około półgodzinie, gdy Geralt odchylił się na oparcie krzesła i popijał już trzecią porcję kseresu, kiedy kelner dawno już zabrał brudne naczynia, a towarzysz wiedźmina wypalił aromatyczne cygaro – dopiero wtedy rozpoczęły się negocjacje.

–Sprawa mojego pana, ogólnie rzecz ujmując, jest prosta. Ale... dosyć delikatna – zaczął nieznajomy. – Potrzebny jest tu taki żyjący, który nie zacznie paplać jęzorem i od którego stronią inni żyjący. Moglibyśmy wynająć jakiegoś włóczęgę... Ale mój pan musi mieć wynik pewny w stu

procentach, a i nie każdego można skłonić, by trzymał język za zębami.

Oczy mężczyzny były głębokie jak jeziora Karelii, a lodowate jak zima. Geralt skrzyżował z nimi wzrok i poczuł coś niezwykłego. Powiew przeżytych lat całkowicie obcy krótko żyjącym ludziom.

–Nie jesteś zwykłym człowiekiem, prawda? – cicho spytał wiedźmin.

Nieznajomy przełknął gotowe już wyrwać się zdanie i z niezadowolaniem spojrzął na Geralta.

–No... nie całkiem. Ale jakie to ma znaczenie?

–Jesteś longerem, prawda?

–Tak, jestem longerem... ale czy to takie ważne?

–A twój pan także jest longerem, nieprawdaż?

–Tak. – Mężczyzna jeszcze bardziej się zachmurzył. – Nie rozumiem, wiedźminie, do czego zmierzasz.

–Do niczego. Po prostu zawsze staram się wiedzieć dokładnie, z kim mam do czynienia.

Przez jakiś czas nieznajomy milczał, mierząc rozmówcę uważnym spojrzeniem.

Longerów z trudem można było nazwać ludźmi. Fizycznie niby się od nich nie różnili, tylko żyli prawie tak długo jak elfy. Stąd ich psychika w ciągu stuleci kształtowała się inaczej niż u ludzi. Ci zwykli nienawidzili longerów, dlatego każdy longer niechętnie otwierał się przed obcymi.

–Mój pan jest znaną i ważną osobą w Wielkim Kijowie. Nie ma najmniejszych powodów, aby wymieniać jego imię, i tak nie zobaczysz się z nim ani nie skontaktujesz. Jak to się mówi, małe dzieci – mały kłopot, duże dzieci – duży kłopot...

Geralt słuchał uważnie, dłubiąc przy tym leniwie w zębach plastikowym widelczykiem z sałatki, mimo że pudełko z wykałaczkami było na stole.

–Mój pan ma córkę, typową przedstawicielkę złotej, że tak powiem, młodzieży. Szemrane towarzystwo, trawka, szybkie samochody, crack i podobne swobodne obyczaje. Krótko ujmując, kilka lat temu wpadła. I kategorycznie odmówiła usunięcia ciąży. Urodziła... mieszańca. Do pewnego momentu nikomu to nie przeszkadzało, ale teraz pozamałżeński wnuk-kundel może zaszkodzić panu. Ogólnie...

Wiedźmin wstał i podniósł plecak z krzesła obok.

–Do widzenia – powiedział chłodno.

–Stop, stop, stop! – Nieznajomy wstał również i chwycił go za rękaw. – Nie dosłuchałeś do końca.

On jednak uwolnił się z łatwością, tak że rozmówca wbrew woli runął na stół. Pochylając się nad nim, wiedźmin rzucił beznamiętnie:

–Chyba nie zrozumiałeś, longerze. Ja zabijam potwory, nie dzieci.

–Ale kto cię prosi, abyś zabijał dzieci! – gniewnie wyszeptał nieznajomy. – Usiądź i wysłuchaj do końca! A przy okazji zapytaj o wysokość wynagrodzenia...

Geralt przez kilka sekund badawczo przyglądał się longerowi, potem położył

plecak na miejsce i znów usiadł przy stole. Widelczyk ponownie pojawił się w jego palcach nie wiadomo skąd.

„No dobrze – pomyślał wiedźmin. – Posłucham jeszcze przez chwilę. Ale skoro padło na mnie, z pewnością jest to jakaś okropna i nieczysta sprawa. I zakończy się okropnie i nieczysto. Jak amen w pacierzu”.

–Tak naprawdę największym błędem było... eee... pozwolić, aby problem się narodził. I wyrósł. Jeśli teraz usuniemy latorośl, wrogowie mojego pana od razu podniosą szum...

–Co znaczy: wyrósł? – przerwał Geralt.

Longer przestał spoglądać w pustkę sali i ponownie skoncentrował spojrzenie na wiedźminie.

–Właśnie to. Nasz problem ma trzydzieści cztery lata. Powinieneś wiedzieć, że według miary długowiecznych jest to jeszcze nieodpowiedzialna młodość.

–Czyja jeszcze krew płynie w waszym... problemie? O ile dobrze pamiętam, wspomniałeś, że urodził się mieszaniec.

–Krew orków. Ojcem był czarny ork gdzieś spod Tarnopola. I jest to dziewczynka. Tak że nie urodził się, a urodziła.

„Tylko tego mi brakowało – westchnął w duchu całkiem zasępioły Geralt. – Dziewczynka!”

–Posłuchaj – powiedział głośno. – Kobiet też nie zabijam. Ani w dzieciństwie, ani na progu nieodpowiedzialnej młodości czy mądrej dojrzałości, ani później. Moim zdaniem niepotrzebnie tracimy czas. Nieznajomy wrogo wykrzywił usta:

–Wydaje się, że wspomniałem już, że nikogo nie trzeba zabijać. Trzeba tylko jej towarzyszyć, przez jakiś czas. A dokładniej, pozwolić, aby towarzyszyła prawdziwemu wiedźminowi, w tym wypadku tobie. To wszystko.

–Co znaczy: towarzyszyć? – spieszył się Geralt.

–Znaczy co znaczy. – Longer ziewnął, zakrywając usta wypielęgowaną dłonią. – Ta idiotka ubzdurała sobie, że zostanie wolną wiedźminką. Teraz zamierza wyruszyć na matwiejewski poligon czołgowy. Mówią, że uaktywniły się tam dzikie czołgi. Atakują nawet okoliczne dzielnice. Rozniosły dwie stacje benzynowe i ostrzelały przekątnikowy maszt radiowy, ale na szczęście nie trafiły ani razu. Cynthia ubzdurała sobie, że uratuje tamtejszych mieszkańców. Mówiąc szczerze, nie mamy zamiaru jej przeszkadzać. Ale matka Cynthii uparła się, żeby jej córce towarzyszył prawdziwy wiedźmin. Jest nam to nawet na rękę. Naogląda się, idiotka, wiedźmińskiej romantyki, wcześniej czy później porwie się z motyką na słońce... i problem sam się rozwiąże. Ty masz ją uratować raz czy dwa. A tam... niech wszystko toczy się w naturalny sposób.

–Bzdura – skonstatował Geralt – Do widzenia.

Znowu zamierzał wstać i wyjść.

–Nie spiesz się, wiedźminie! – Longer chwycił go za rękaw. – Zabierz ją. Na dwa tygodnie. Dostaniesz za to...

Geralt wziął głęboki wdech, gestem przerwał nieznanemu, zrobił efektowną przerwę i cierpliwie powtórzył:

–Szanowny... Ja likwiduję mechanizmy, które stanowią zagrożenie dla żyjących. Na tym właśnie polega mój zawód. Nie będę niańczyć podrastających dzieciaków ani prowadzić waszej, jak powiedziałaś, idiotki na śmierć. Sprawa jest zakończona.

–Lepiej zapytaj, jaka to suma – z naciskiem wypowiedział longer, po czym przybrał opryskliwy wygląd, jakby usiłował odegrać scenkę pantomimiczną pod tytułem „Mnie nikt nie odmawia”.

Wiedźmin uśmiechnął się kącikami ust, ale nie zdążył niczego powiedzieć – w kieszonce pasa zawibrowała komórka.

Wyjął telefon i najpierw spojrzął, kto dzwoni. Spojrzął – i natychmiast spowaźniał.

–Tak, Wesemirze! – odezwał się do aparatu.

–Witaj, Geralcie – rzekł oschle Wesemir. – Gdzie jesteś?

–Między Donieckiem a Ługańskiem.

–Czy rozmawiał już z tobą pewien longer? Na temat dziwnego zadania?

–Właśnie teraz rozmawia.

–Zgódź się.

–Co to ma znaczyć? – zapytał speszony Geralt. Takich słów od najstarszego wiedźmina Eurazji, od ojca i nauczyciela, nigdy się nie spodziewał.

–Czy wiecie, co mi proponują?

–Co by ci nie proponowano, zgódź się – równie oschle rozkazał

Wesemir. – Zgódź się i wykonaj. A co do zapłaty, tym się nie martw, sam wszystko załatwię. przyjmij, że pieniądze za to zadanie już dostaliśmy. To wszystko. Odszukam cię później.

Przez kilka sekund Geralt tępo wpatrywał się w wyłączoną słuchawkę. „Coś tu jest nie tak – pomyślał z niepokojem. – A zresztą, niech będzie! Jeśli Wesemir każe, to znaczy, że tak trzeba”. Bardzo wolno wsunął komórkę na miejsce.

–Zgadza się – głuchym głosem rzekł do nieznanego. – Co mam robić?

–To zupełnie inna rozmowa! – ożywił się tamten. – Odwiozę cię tam, gdzie trzeba. Najadłeś się?

–Tak!

–Kelner, rachunek!

Po kilku minutach wiedźmin siedział w dziupli, posępnie przyglądając się światłom jadących z naprzeciwka aut, i myślał o tym, co przyniesie mu najbliższa przyszłość.

### 3.

Cynthia okazała się miłutkim dziewczęciem-półorkiem. Jak to zwykle bywa, dzięki wymieszaniu krwi na świat przyszło bardzo ładne dziecko. Cynthia była szczupłą, nieco skośnooką dziewczyną o lekko wystających kościach policzkowych, jej proste włosy, czarne z granatowym odcieniem, na modłę orków opadały na ramiona. Ubierała się jak elf, nie jak ork -hafty, korale, paciorki... I oczywiście nie spódnica, a spodnie, do tego nie pantofle, a krótkie buciki.

Oczy miała prawie czarne, przy tym uważne, bystre i mądre. Nawet Geralt pod wpływem jej spojrzenia poczuł się nieswojo.

Lekkim krokiem półorka zbiegła po stopniach na werandę, z której przybysz od kwadransa obserwował okolicę.

–Witaj! Naprawdę jesteś wiedźminem? Geralt opuścił plecak na najbliższe krzesło, a sam usiadł na sąsiednim.

–Naprawdę.

–Świetnie! Ile masz lat?

–Ile bym nie miał, wszystkie moje – niezbyt przyjaźnie odburknął w odpowiedzi.

Z twarzy Cynthii od razu zniknął uśmiech i stało się jasne, że nie jest przyzwyczajona do tego, żeby ktokolwiek mówił jej „nie”. To normalne u dzieci bogatych rodziców. Jej twarz wyostrzyła się, przybrała władczy grymas. Oczy jakby ściemniały, chociaż trudno, aby czarne oczy mogły jeszcze bardziej ściemnieć.

Jednak udało się jej opanować i wbrew oczekiwaniom nie wybuchła.

–Od dawna wiedźmaczysz?

–Od dawna – potwierdził Geralt.

–Nie jesteś szczególnie uprzejmy, wiedźminie! – zauważyła dziewczyna.

Łysy obdartus obojętnie wzruszył ramionami:

–Potworom wszystko jedno, czy jestem uprzejmy czy nie. Płacą mi zresztą nie za maniery, a za... – urwał, zastanawiał się przez sekundę i tym samym tonem zakończył: -...co innego.

Cynthia badawczo patrzyła na niego z góry. Potem odwróciła się i machnęła ręką.

–No dobrze, idziemy. Wyjeżdżamy już dziś! Zjemy tylko obiad i w drogę!

„No, zaczęło się!” – z niezadowoleniem pomyślał Geralt, marszcząc brwi.

–Nie można jutro? – zapytał, nie kryjąc rozdrażnienia. – Nie myłem się od tygodnia, a od ponad dwóch nie spałem w łóżku. Mam dość! Potrzebuję odrobiny luksusu, przynajmniej najbliższej nocy.

Dziewczyna zrobiła niezadowoloną minę, ale i tym razem się przemogła:

–No... jeśli rzeczywiście jest to konieczne, możemy przełożyć wyjazd na jutro rano. Ale musisz wiedzieć, że przez cały wieczór będę zasypywać cię pytaniami.

Słyszając to, wiedźmin tylko prychnął. Można by sądzić, że ktoś taki jak ona w drodze powstrzyma się od zadawania mu pytań!

–Jakoś to zniosę – zapewnił.

–A więc idziemy, przy okazji pokażę ci pokoje gościnne.

Teraz Geralt wstał szybko i z ochotą.

Rodzinka mieszkała w ogromnej willi niedaleko od centrum, nieco z

boku trasy na Odessę. Do domu przylegał gigantyczny park bez jakichkolwiek zabudowań – jedynie drzewa i krzewy – w którym mieszkała rodzina elfów myśliwych. Kiedy podjeżdżali, wiedźmin zauważył przez szybę chudego, przypominającego łodygę sitowia elfiego chłopca, prawie niewidocznego wśród gałęzi jakiegoś bujnie rozrośniętego krzewu. Młodzieniec był zapewne dzieckiem myśliwego.

Za parkiem o doskonale utrzymane samochody dbał miedzianolicy kobold, któremu podlegali czterej pomocnicy – ork, orkowirg i dwoje ludzi. W domu również byli służący – nie mniej niż dziesięcioro żyjących. Wszystkiego tego Geralt zdążył się dowiedzieć w rozmowie z orkowirgiem, gdy czekał, aż wnuczka gospodarza wróci ze spaceru. Wiedźminowi nie udało się zobaczyć matki Cynthii, gdyż ciągle przebywała w rozjazdach, a jej liczni kochankowie nie przesiadywali w domu, bo przeganiała ich ochrona tatusia, regularnie sprawdzająca drogę do Białej Cerkwi i z powrotem. Sam właściciel rezydencji pojawiał się rzadko. Nie przedstawiono go Geraltowi, a i jemu nie było spieszno go poznać.

Zanim dziewczyna wróciła ze spaceru, Geralt zdążył nie tylko pogawędzić z orkowirgiem mechanikiem i pospacerować przed domem, ale też odebrać dość dziwnego SMS-a od Lamberta.

„Życzę powodzenia i cierpliwości”. Geralt chciał zadzwonić i zainteresować się bliżej, co miało to oznaczać, ale rozmyślił się. Z SMS-ów wiedźmini korzystali tylko wtedy, kiedy zamierzali przekazać kolegom ważną wiadomość i nie oczekiwali na nią odpowiedzi.

\* \* \*

Przez dom szli długo, z dziesięć minut. Niekończące się amfilady sal, korytarzyki z bocznymi drzwiami, znowu sale... Pokoje gościnne, dzięki Bogu, były normalnej wielkości, nie więcej niż trzydzieści metrów kwadratowych. Geralt wybrał narożny, zapewne ze względu na jego niezwykajny kształt. Akurat ten fragment domu miał formę wieży, dlatego pokój kształtem przypominał koło nadziane na róg kwadratu. Okrągła część miała bardzo wysoki szklany dach o łukowym sklepieniu i ogromne okna. Sufit kwadratowej części – pozbawionej okien – odległy był od podłogi o około trzy metry. Stało tu za to łóżko, niskie i obszerne, z wezgłowiem do połowy zasłoniętym idiotycznym baldachimem z frędzlami i riuszami. Oprócz tego w pokoju była szafa, stół, para ni to dużych szafek, ni to nieprzepisowej wielkości komód, cztery krzesła, dwa fotele, kominek, dwa obrazy przedstawiające pejzaże i wspaniały żyrandol. Między komódkami znajdowały się drzwi do łazienki, w której obok kwadratowej wanny dwa metry na dwa i muszli znalazł się także bidet. W tym urządzeniu Geralt lubił cynicznie myć nogi i prać skarpetki, rzecz jasna jeżeli cała armatura sanitarna była wypucowana i lśniąca. Tak

jak tutaj.

–Może być – burknął wiedźmin.

Cynthia dziwnie na niego spojrzała, ale nawet jeśli pojawiła się w jej głowie następna nieprzyjemna myśl, dziewczyna znów zachowała ją dla siebie.

–Obiad za pół godziny. Na dole. Jeśli nie znajdziesz, zawołaj, służący cię zaprowadzą.

–A nie dałoby się podać obiadu do pokoju? – nieco kapryśnie zapytał Geralt. – Nie wiem, czy wiesz, ale nie lubię wystawnych rautów. Tych wszystkich „widelec trzymaj nie tak, nie mlaskaj, nie gap się na sąsiada...”. Lepiej już mlaskać w samotności.

Wnuczka longera zacisnęła usta i długo patrzyła na łysego przybysza. Patrzyła bardzo uważnie.

–Nie rozumiem, wiedźminie, do czego zmierzasz – powiedziała w końcu. – Czy usiłujesz nastawić mnie przeciwko tobie? Usiłujesz mnie zdenerwować? Po co ci to?

–Zupełnie po nic – zapewnił Geralt – Po prostu lubię samotność. We wszystkich jej przejawach. I dlatego źle mi się układa z żywymi. A po co mam zepsuć obiad twojej rodzinie?

–Rzeczywiście po nic – odpowiedziała mu w tym samym tonie. – Dobrze, obiad podadzą ci do pokoju, wydam dyspozycje. Ale potem przyjdę. Mam mnóstwo pytań.

–Nie wcześniej niż za godzinę – oświadczył wiedźmin i zdziwił się swojej beczelności. Dyktować warunki gospodyni, do tego kapryśnej i władczej...

–Dobrze – skinęła głową. – Za godzinę.

I wyszła, starannie zamykając drzwi.

Geralt od razu odkręcił wodę, wziął z półki jakiś obficie pieniący się środek, popatrzył wokół siebie i nie czekając, aż wanna będzie pełna, wlał do niej. Lubił leżeć w ten sposób, czekając, aż kąpiel będzie całkiem gotowa, i czuć, jak podnosi się poziom wody. Woda przyjemnie łaskotała skórę. Gdy zdarzały mu się rzadkie dni kontaktu z cywilizacją, czasem po kilka razy opróżniał i napełniał wannę znów i znowu. Rozkoszował się na całego.

Z jakichś powodów dla pełnej rozkoszy koniecznie potrzebował odgłosu lecącej z kurka wody.

Kiedy wrócił do pokoju, obiad już podano. Na stole stała taca z pucharem wina, sztućcami i kilkoma talerzami zakąsek. Osobno, lśniąco wyczyszczone pokrywki, czekała na niego waza z zupą, a obok, pod mniejszą pokrywką, pieczone.

Wiedźmin chrząknął, rzucił ręcznik na łóżko i siadł do stołu.

Gotowano tu smacznie. Wino też nie było najgorsze.

Po obiedzie Geralt, tak jak stał – w świeżych szortach i bez niczego więcej, legł na łóżku obok ręcznika i błyskawicznie zasnął, nawet nie zdążywszy nacieszyć się czystą pościelą.

Obudziło go dotknięcie w ramię

Otworzył oczy. Obok łóżka stała Cynthia ubrana w kwiecisty szlafroczek. Włosy miała spięte z tyłu w koński ogon i wyglądała po domowemu, przyjemnie i bardzo naturalnie w tym otoczeniu.

–Ale jesteś wychudzony, wiedźminie – powiedziała, z uwagą przyglądając się szczupłemu ciału Geralta.

–Potwory szybko spalają zbędny tłuszcz – odburknął niezadowolony z tego, że za bardzo się rozluźnił. Gdyby ktoś chciał, mógł go zarznąć, a wiedźmin wzięłby to za zły sen.

Ze stołu zniknęły już brudne naczynia i brudne serwetki. Za to pojawiła się szklanka i karafka. Była napełniona jakimś napojem owocowym, dość słodkim, ale i dość kwaskowatym, w sam raz, by ugasić pragnienie. Geralt wypił połowę prosto z karafki.

–Skorzystanie ze szklanki było za trudne? – zapytała gospodyni.

–Nie było. Ale i po co? – odpowiedział obojętnie. Cynthia pochyliła głowę w bok, zupełnie jak dziecko:

–Chcesz uchodzić za gbura i prostaka?

–Dlaczego mam chcieć? – zdziwił się Geralt. – Przecież jestem gburem i prostakiem. Przecież jestem wiedźminem.

–Nie kłam. Wesemir zawsze cię chwalił.

–To ty znasz Wesemira?

–Znam. I to od dawna. Pewnie nawet lepiej od ciebie.

–No popatrz! – znów próbował zdziwić się Geralt, ale bez efektu. Nie odczuwał zdziwienia i właśnie to nieprzyjemnie go uderzyło.

Bardzo zabawne – dziwić się własnej nieumiejętności dziwienia się. Paradoks! Kilka sekund później Geralt uzmysłowił sobie, że raczej stwierdza fakt, niż się dziwi.

Dostrzeganie w sobie zmian, do tego tak nagle, zawsze jest nieco dziwne. Wiek. Wszystko wiek. Dorastasz i nabierasz doświadczenia, chociaż jak wcześniej uważasz siebie za smarkacza. A tak przecież nie jest. I uświadomienie sobie tego faktu to pierwszy krok od smarkacza do mędrca.

–Czego ty ode mnie chcesz? – Geralt zapytał Cynthię prosto z mostu.

–Chcę zostać twoją uczennicą. Wesemir twierdził, że jesteś najlepszy.

–Naprawdę tak powiedział? – z niedowierzaniem spytał wiedźmin.

–Niejeden raz.

–No... takich jak ja wychowuje się w Arzamasie-16. W pewien szczególny sposób. Dla ciebie jest już za późno. I, wybaczyć, jesteś kobietą, a wszyscy wiedźmini, jakich znam, to mężczyźni.

–W księgach są wzmianki o kobietach wiedźminkach – odparowała dziewczyna. – Czyli jest to możliwe.

–Badanie środkami farmaceutycznymi i w gabinecie klinicznym to nie są żarty – oschle poinformował Geralt. – Przeżywa jeden na dziesięciu.

–No, załóżmy, nie jeden na dziesięciu, a jeden i dwanaście setnych...

Wiedźmin spojrzawszy pytająco na Cynthię.

–Przejrzałam statystyki z ostatnich dwustu lat. Wesemir mi pokazał – objaśniła swoją zaskakującą wiedzę.

–No tak. Ale czy naprawdę te dodatkowe dwanaście setnych

przeżywającego żywego ci pomoże? – zapytał Geralt nie bez złośliwości. –

Badanie jest możliwe tylko we wczesnym wieku. Ty na pewno go nie przeżyjesz.



–To znaczy, że będę musiała zostać wiedźminką bez badania środkami farmaceutycznymi. I bez gabinetu.

–Leki, które bierzemy, dla zwykłych żyjących są niebezpieczne, natomiast mutantom nie szkodzą – nie poddawał się Geralt. – Oprócz tego mogą one mieć silny wpływ na funkcje rozrodcze twojego organizmu. Nie zapominaj, że jesteś kobietą.

–Nie zapominam. A co do funkcji... no cóż. Jestem gotowa ponieść ryzyko.

Głos dziewczyny zdradziecko przy tym zadrzał. Wspomniane funkcje z pewnością nie były dla niej obojętne.

–Ale można też nie brać leków – powiedziała.

–Wtedy wykończy cię pierwsza lepsza maszyna – bez namysłu odrzekł Geralt. – Ponieważ bez leków będziesz od niej wolniejsza.

–Będę trenować. A i tak większość maszyn jest szybsza od każdego obżartego stymulatorami wiedźmina. Ale mimo to wiedźmini w jakiś sposób radzą sobie z maszynami. A zresztą przestańmy się kłócić! Zostanę wiedźminką czy nie... I tak będę się uczyć, to już przesądzone. Tak więc, panie nauczycielu, proszę mnie uczyć.

–Nie potrafię uczyć – przyznał Geralt, odwracając wzrok. – I, jak podejrzewam, nie lubię. Nawet nie wyobrażam sobie, jak się to robi.

–Nie musisz. Po prostu mów mi o tym, co wiesz. I odpowiadaj na moje pytania. Możemy zacząć już teraz.

–Już teraz? – bezradnie zapytał wiedźmin.

–Już teraz – potwierdziła Cynthia niecierpliwie. – A teraz ubierz się. Co z ciebie za nauczyciel w samych majtkach?

–To szorty – odburknął Geralt. – Nie widzisz kieszeni?

I polazł do łazienki, w której zostawił ubranie.

Zanim otworzył dobrze wyciszone drzwi, dobiegło go

ciche terkotanie komórki. Podstawowy sygnał był przekazywany

wibracją, dlatego nawet Geralt nie usłyszał dzwonka z pokoju. Znowu Wesemir...

–Halo – powiedział Geralt.

–Jak leci? – zapytał stary wiedźmin, nie witając się z jakichś powodów.

–Niezbyt – Geralt zasępił się. – Jestem już na miejscu. Rozmawiam z... podopieczną.

–Świetnie. Rób wszystko, co ona powie. To naprawdę ważne, uwierz.

–Jaki tam ze mnie nauczyciel, Wesemirze? – z żalem powiedział młodszy wiedźmin. – Ja nie potrafię niańczyć dzieci!

–Nauczysz się. Mówię poważnie. No dobrze, powodzenia. Jak będą problemy, zadzwoń.

Wesemir zakończył połączenie. Zły i rozdrażniony jak diabli Geralt włożył ubranie i wyszedł z łazienki. Cynthia stała pośrodku pokoju, wzięwszy się pod boki i z głową swoim zwyczajem pochyloną na bok.

–Dzieci, powiadasz? – spytała zapalczywie. – Idziemy na strzelnicę, panie nauczycielu! Tylko skoczę się przebrać...

I poszli.

Na strzelnicy, dosyć nowoczesnej, nawet nie trzeba było podchodzić do tarcz –

same podjeżdżały na prowadnicach, wystarczyło wcisnąć przycisk przy stanowisku strzeleckim. Obsługa nie była skomplikowana i każdy wiedźmin mógł się w niej zorientować, nawet jeśli wcześniej nie widział takich urządzeń.

Cynthia z pewnością ćwiczyła strzelanie często i chętnie. Po pierwszej próbie na jej tarczy błyskawicznie powstały otworki układające się w trzy orkowe runy – w złośliwe pytanie: „Zjadłeś?”.

–No i co? – zapytała triumfująco dziewczyna, czule gładząc sztywny papier z otworami w miejscach trafienia.

–Może być – z grymasem ocenił Geralt. – Ale wiedźmini nie strzelają w ten sposób.

–A jak?

Bez słowa podszedł do środkowego stanowiska i szybko, praktycznie nie celując, prawie serią władował w środek tarczy cały magazynek. Dwanaście pocisków. I wcisnął przycisk prowadnicy...

Gdy tarcza podjechała, było w niej widać tylko jeden otwór. Co prawda lekko postrzępiony i trochę większy, niż którakolwiek dziura po pocisku na tarczy Cynthii.

Dziewczyna przygryzła wargę.

–Lekcja numer jeden – powiedział Geralt, sam nie rozumiejąc, skąd bierze słowa. – Nigdy się nie popisuj. Żyjący nie lubią, kiedy pokazuje się im, że pod jakimś względem są gorsi od ciebie. Do wiedźminów i tak nie żywią przyjaźni, a co dopiero do wiedźmina, który się popisuje... I nigdy nie popisuj się przed potworami. Potworom jest wszystko jedno, a ciebie może to kosztować życie. Zapamiętaj. I postaraj się nie zapomnieć, kiedy znów zechcesz zabłysnąć jakimiś umiejętnościami.

Cynthia skinęła głową. Milczała. Ale w jej oczach pojawiło się coś... coś, czego nie da się opisać. I Geralt nieoczekiwanie zrozumiał – jego słowa ugodziły ją w samo serce. Nawet nie słowa, nie – myśl, którą wiedźmin usiłował jej przekazać. Myśl została przyjęta. Co do tego Geralt nie miał najmniejszych wątpliwości.

„Przecież ona naprawdę szczerze myśli o tym, aby zostać wiedźminką – pomyślał. – Ale...! Czyżby? Nie dla romantycznego szpanu, a dlatego, że taki postawiła przed sobą cel? Ale skąd taki cel u panienki z dobrego domu?”

–Wiesz, Geralt – powiedziała Cynthia z powagą – ty wcale nie jesteś takim złym nauczycielem, za jakiego chcesz uchodzić. Serio. Dzięki za pierwszą lekcję.

–Proszę bardzo – odburknął wiedźmin.

Przypomniał sobie nagle oczy Wesemira, gdy w czasie szkolenia

Geralt wreszcie po raz pierwszy wykonał coś, co do tej pory kończyło się wieloma nieudanymi próbami. Dopiero teraz zrozumiał, co to za płomień rozpałał się w oczach nauczyciela w takich chwilach. Płomień dumy.

#### 4.

Geralt wyspał się porządnie – wino, czysta pościel, żadnego niebezpieczeństwa... Oby tak zawsze! Rankiem po zimnym prysznicu był jak nowo narodzony. Ponownie śniadanie podano do pokoju, chociaż wiedźmin o to nie prosił. A wkrótce po śniadaniu przyszła Cynthia ubrana w kostium podróżny, drżąca z niecierpliwości. Jej oczy wydawały się czarniejsze niż zwykle, ale przy tym niedwuznacznie błyszcząły.

–Jesteś gotowy, Geralt?auta są już przed bramą!

Wiedźminowi od razu nie spodobały się te „auta”. Czy to znaczyło, że jest ich więcej niż jedno?

W milczeniu skinął głową na powitanie, złapał swój wierny plecak i ruszył w stronę wyjścia. W progu pokoju obrócił się i pokłonił, jak każe obyczaj. Oznaczało to, że wiedźmina przyjęto tu bardzo gościnnie.

Drugi ukłon Geralt wykonał, gdy zbiegł po stopniach, przed głównym wejściem. Teraz dziękował całemu domowi.

Cynthia nie pozostawała w tyle.

–A może trzeba zabrać ze sobą coś szczególnego? – trajkotała. –

Przygotowałam się, ale nie wiem, jakie rzeczy mogą przydać się w drodze.

Zobaczysz?

–Zobaczę.

Przed bramą stały cztery dżipy, a obok nich, zebrawszy się w kółko, rozmawiało sześciu żyjących. Wśród nich był wcześniejszy rozmówca wiedźmina, orkowirg, oprócz niego – czworo ludzi i młody elf.

Geralt zacisnął zęby.

„No, poczekaj, dziewczę! Nałykasz się ty u mnie wiedźmińskiej codzienności. I to w pełnym wymiarze!”

Po dokładniejszym przyjrzeniu się Geralt zauważył, że jeden z czekających na nich mężczyzn był kwarteronem – płynęła w nim czwarta część orczej krwi. Gdy tylko wiedźmin i Cynthia podeszli bliżej, żyjący przerwali rozmowę, wyrzucili niedopalone papierosy do kosza przy wjeździe i wyczekująco patrzyli na gospodynię.

Tymczasem Geralt zerknął na dżipy – przez przyciemniane szyby było widać, że bagażniki zostały załadowane pod samą podsufitkę.

Przez kilka sekund wiedźmin przyglądał się temu chmurnie.

–Co to? – zapytał w końcu, nie racząc spojrzeć na Cynthię.

–To nasz zespół i nasze auta – wyjaśniła drżącym głosem. Dawno zorientowała się, że Geralt nie jest zadowolony, ale na razie nie rozumiała, z jakiego powodu.

–Auta do garaży. Z ładunkiem zróbcie, co wam się podoba. Rzeczy Cynthii tutaj.

Zespół spojrział pytająco na gospodynię. Ta przygryzła wargę i rzuciła:

–Wykonać!

Żyjący ruszyli się. Jedni wsiedli do wozów, inni otworzyli bagażniki.

Po upływie minuty przed bramą nie było samochodów, pozostał tylko zachmurzony wiedźmin, dezorientowana dziewczyna i kilka pojemnych toreb podróżnych na asfalcie.

–To wszystko twoje rzeczy? – upewnił się Geralt.

–Tak – odpowiedziała zmieszana Cynthia. Po raz pierwszy w życiu czuła się mała i bezbronna, chociaż jeszcze

wczoraj była gospodynią i rozkazywała. Władczo i zdecydowanie. Wydawała rozkazy mężczyznom wszystkich ras, nawet elfom myśliwym. A teraz przestępowała z nogi na nogę w poczuciu winy przed wiedźminem – odszczepieńcem i włóczęgą.

–Podnieś je.

–Co?

–Swoje rzeczy.

–Wszystkie naraz?

–Oczywiście! Nie zamierzasz chyba co pięćdziesiąt metrów marszu po nie wracać?

Dziewczyna poczuła się jeszcze bardziej bezbronna. Było jasne, że każdą z czterech toreb mogła co najwyżej podnieść. Ale nie nieść.

–Nie dam rady, Gercie...

–Wiedźmin nie zna słów „nie dam rady”. Jesteś wiedźminem... wiedźminką. Wyruszasz w podróż. I nie jesteś w stanie unieść swoich rzeczy. Daleko zajdziesz?

–Ale auta...

–Wiedźmini najczęściej nie mają aut. A jeśli nawet mają, to w bagażniku znajdziesz tylko koło zapasowe i narzędzia. Przyjrzyj mi się, wiedźminko. To są wszystkie moje rzeczy. W zupełności wystarczą.

Dlatego... dlatego nie będziemy przetrząsać tego całego kramu.

Zabierzemy ze sobą tylko to, co jest naprawdę potrzebne. Czy masz coś takiego?

Geralt uniósł swój wierny mały plecak, towarzysza wielu wypraw.

–Zaraz – zrezygnowanym głosem odpowiedziała Cynthia.

–I zawołaj tego, kto to wszystko pakował. Po kilku minutach przybiegła służąca, równie smagła jak jej pani.

–A zatem – zaczął wiedźmin – zapamiętaj: zabierać ze sobą trzeba nie to, co może się kiedykolwiek przydać, a tylko to, bez czego nie można się obejść. Przede wszystkim... Co przede wszystkim?

–Mmm... – mamrotała dziewczyna, zastanawiając się. I

zapropozowała: – Broń?

–Prawie zgadłaś. Broń jest na drugim miejscu. A na pierwszym laptop i komórka. Ponieważ najważniejsza jest informacja i jej wymiana. Komórkę widzę. A czy masz laptopa?

–Mam! – Cynthia podniosła się trochę na duchu. – Elza!

Służąca niczym nurek zniknęła w przepastnej czeluści jednej z toreb i podała pani elegancką skórzaną teczkę.

–Co to za model? – zainteresował się Geralt.

–Motion-overdrive, ósemka.

–Bateria działa?

–Dwie i pół godziny od całkowitego naładowania.

–Nadaje się. Potrzebny program zainstaluję potem. Połóż z boku. Teczka z

**laptopem powędrowała daleko od toreb.**

**–Teraz drugie. Jak już powiedziałaś, broń. Przydadzą ci się trzy rzeczy: dobra strzelba, dobry pistolet i dobry nóż.**

**–Strzelby zostały w autach. – Dziewczyna spojrzała w stronę garażu. – Pistolet mam tu...**

**Odchyliła połą zamszowej kurteczki podróżnej. Pod nią w brązowej kaburze wisiała ośmiostrzałowa „szulga”.**

**–Kiedy ostatni raz czyściłaś spluwę? – zaczepnie spytał wiedźmin.**

**–Dzisiaj.**

**–Jest przestrelana?**

**–Oczywiście!**

**–Dobrze. Z pistoletem załatwione. Nóż? W pochewce przy biodrze Cynthii znalazł się pięknie wykonany nożyk**

**firmy Brimingetti – inkrustacja, kość, drogocenne kamienie, wytrawiony wzór na klindze. Porządne cacko. Bardzo porządne!**

**–Nie nadaje się – skreślił go Geralt.**

**–Dlaczego? – prawie ze łzami w oczach zaprotestowała dziewczyna. – Przecież to bardzo piękny nóż! Jeden z najlepszych!**

**–Właśnie dlatego się nie nadaje. Wiedźmini włączą się w takich miejscach, w których poderzną gardło za jeden tylko kamyk z rękojeści. Nóż powinien wyglądać tak...**

**Geralt wyjął i pokazał swój tasak. Prostszy być nie mógł. Drewno i metal, nic więcej. Nawet bez profilowanej rękojeści.**

**Cynthia przygryzła wargę, włożyła brimingetti w nie mniej wykwinaną pochewkę i wrzuciła do otwartej torby.**

**Tymczasem z garażu truchtem przybiegł jeden z mężczyzn, trzymając w każdej ręce strzelbę. Dziewczyna całkiem bezceremonialnie wyszarpnęła z pochwy przy jego pasie nóż – równie prosty jak Geralt.**

**–Ten się nada? – Z pochmurnym wyrazem twarzy pokazała go wiedźminowi.**

**Obejrzał go równie uważnie. Nóż był bardzo stary. Ale stał dobrej jakości, prawidłowo naostrzona, rękojeść wygodna.**

**–No, przymierz w ręce. – Geralt włożył broń w dłoń Cynthii. – Chwyć mocniej...**

**Pomacał, obejrzał.**

**–Rękojeść jest trochę za gruba. Ale ujdzie, przeszlifujesz na szlifierce.**

**Nóż wraz z pochwą po chwili znalazł się na biodrze dziewczyny.**

**–Strzelby... Nie ma się tu co zastanawiać, ta śrutówka. W sam raz dla ciebie. Odwróć się.**

**Kieszeń i szelki na strzelbę na ubraniu Cynthii doskonale nadawały się do wybranej śrutówki.**

**–Trzy tuziny nabojów do strzelby, trzy magazynki do „szulgi” i broń mamy z głowy...**

–Mam jeszcze noże do rzucania – pochwaliła się dziewczyna. – I pistolecik.

–To twoja sprawa. Chcesz – bierz, nie chcesz – wyrzucić. Każdy wiedźmin musi mieć strzelbę, pistolet i nóż. Pozostałe jak chce. Przejdźmy do innych przedmiotów. Po trzecie. Co po trzecie?

Cynthia spotkała się wzrokiem z Geraltem i wzruszyła ramionami.

–Apteczka – powiedział wiedźmin, pouczająco unosząc palec. –

Standardowa w zupełności wystarczy.

–A ty masz niestandardową? – nagle spytała dziewczyna.

–Ja mam wiedźmińską.

–Ale dlaczego mam mieć standardową? – zapytała obrażona Cynthia.

–Dlatego, że nie masz skąd wziąć wiedźmińskiej. To po pierwsze. I dlatego, że leki wiedźmińskie cię zabijają, bo nigdy nie przechodziłaś próby.

To po drugie.

–Rozumiem.

Służąca nawet nie czekała na polecenie swojej pani – apteczka już leżała obok laptopa.

–Po czwarte: środki higieny. Szczotka do zębów, pasta, czysta bielizna. Sądzę, że przydadzą ci się też podpaski. Ręcznik nie jest potrzebny. Nie potrzebujesz też kosmetyczki, a dam sobie łeb uciąć, że twoja ma wielkość walizki. O suszarce do włosów też możesz zapomnieć, bo to przecież pudełko z suszarką tam, w torbie, nieprawdaż? A suszarka i kosmetyka nie są środkami higieny.

–Ale...

–Żadnych „ale”. Nie zgadzasz się – do widzenia.

Dziewczyna zdecydowanie podeszła do bagaży, pogrzebała w nich na przemian ze służącą i dodała do już wyselekcjonowanych przedmiotów torbę wielkości Geraltowego plecaka.

–Trzy razy mniejsza – bezlitośnie zakomenderował wiedźmin.

Wykonała i ten rozkaz.

Kiedy wstała, z jej umalowanych oczu po pokrytych różem policzkach płynęły łzy.

–I nie rycz! – Geraltowi obce było współczucie. – Potworom jest obojętne, jak wyglądasz.

–Ale żyjącym nie jest obojętne – cicho zaprotestowała Cynthia.

–Ale tobie jest wszystko jedno, co myślą o tobie żyjący. To jest dla ciebie obojętne! O-bo-jęt-ne. Od dzisiaj.

–Rozumiem – wyszeptała.

Pewnie naprawdę zrozumiała. Ale łez nie zrobiło się przez to mniej.

–I zapamiętaj jeszcze jedno. Pewnie wydaje ci się, że jest mi ciebie żal.

Że jestem nauczycielem, który postępuje z surowością tylko dlatego, że istnieje takie słowo jak „trzeba”, a w głębi serca jest on dobrym

człowiekiem i żal mu nieszczęśliwej dziewczyny. To wszystko są bzdury.

Wcale mi cię nie żal. Moja litość umarła wiele lat temu w Arzamasie-16. I powoli przyzwyczajaj się, że i twoja litość umrze gdzieś tam przed nami,

podczas wędrówki. Umrze litość, współczucie, wszystko umrze. Pozostaną tylko umiejętności wiedźmina i obojętność wobec wszystkiego oprócz miasta.

–Zapamiętam – przyrzekła dziewczyna.

»To dobrze – uznał Geralt. – Uparta. Nie daje za wygraną. Dobra, zobaczymy, jak zaśpiewasz za tydzień«.

–A po piąte? – nieśmiało spytała Cynthia, ocierając łzy rękawem.

–Chusteczkę możesz zabrać – warknął jej nauczyciel. – Nie musisz rękawem... A

po piąte... Piątego nie ma. Wiedźmin w podróży niczego więcej nie potrzebuje. Chociaż stop, pieniądze! Weź ze sobą tyle, ile uznasz za słuszne. Pieniądzy nigdy nie ma się za dużo. A teraz zapakuj to, co wybrałaś, do swojego plecaka. Ale zrób to sama, bo w drodze nie będziesz miała służącej. Torba z miękkimi rzeczami na plecy. Potem laptop, pionowo, portami do góry, stacją dysków i CD-romem do dołu. Tak, dobrze, zakładaj... Ech, zakuta pało, najpierw strzelbę zdejmij, potem znów ją przypniesz. Strzelbę będziesz częściej brać w ręce niż ściągać plecaczek. O, tak... Tak... Zupełnie inaczej. Buty nowe?

–Prawie.

–Nie obetrzesz nóg?

–Nie. To montereye.

–No, uważaj! Nie będę czekać. Podskocz no. Co tam się telepie? Przepakuj. I nie patrz tak, niefortunny odgłos może kosztować cię życie.

Geralt kazał uczennicy przepakowywać plecaczek trzy razy, zanim był usatysfakcjonowany.

## 5.

Przez kolejne trzy tygodnie dni Geralta i Cynthii wyglądały niemal tak samo. Ranek zaczynał się od ćwiczeń fizycznych, przy czym dziewiątego dnia uczennica już dzielnie zrywała się po komendzie „Wstawaj!”, a piętnastego sama wstała o brzasku. Wyciskanie i skoki przestały być dla niej tak męczące jak na początku. O najróżniejszych mechanizmach i broni wiedziała o wiele więcej, niż wielu żyjących zdążyłoby się dowiedzieć w ciągu całego wieku. W pierwszej połowie dnia zazwyczaj oddawali się zajęciom teoretycznym, w drugiej – szli równolegle do trasy na Odessę. Nocowali w napotkanych willach, mieszkaniach, raz zdarzyło im się spędzić noc w starym, prawie już niejeżdżącym autobusie. Cynthia dobrała sobie inny, znacznie mniej elegancki strój, który o wiele bardziej nadawał się do podróży. Z własnej inicjatywy najpierw zrezygnowała z manicure, potem w ogóle z długich paznokci, a na kostkach jej palców pojawiły się pierwsze odciski. Pod koniec pierwszego tygodnia dziewczyna ze źle skrywaną dumą nakarmiła Geralta własnoręcznie przyrządzoną pieczenią, nawet niezłą w smaku. Na podstawie hasel w wyszukiwarce wiedźmin wyśledził wizytę Cynthii na jednej z kulinarnych stron i pomyślał: „No cóż, podopieczna się stara! Punkt dla niej!”.

Tak w ogóle bycie niańką młodej półorczyki okazało się o wiele mniej kłopotliwe, niż wiedźmin z początku sądził. Tak, Cynthia miała niewłaściwe wyobrażenie o dzikim życiu Wielkiego Kijowa i wątpliwe, by uniknęła nieprzyjemności, gdyby pozostawiono ją samą sobie. Ale starała się – starała się ze wszystkich sił. I rezygnowała ze wszystkiego, co przeszkadzało jej dążyć do wytyczonego celu. Nie można powiedzieć, że Geralt dobrze znał płęć przeciwną – rzadko miał z nią do czynienia. Ale doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że postępowanie tej dziewczyny było nie lada wyczynem. Wątpliwe, czy znalazłoby się w Wielkim Kijowie wiele kobiet zdolnych do czegoś takiego. Fryzura, makijaż, pomalowane paznokcie, w ogóle przesadna dbałość o wygląd zewnętrzny tworzą podstawę ich bytu. A skoro Cynthia przekreśliła tę część swojego istnienia, oznaczało to, że jej cel nie był tak znowu błahy.

Dwukrotnie dzwonił Wesemir i pytał, jak przebiega szkolenie. Geralt wstrzeźliwie przedstawił sytuację, za drugim razem zdobył się nawet na odwagę i pochwalił uczennicę, pytając też, po co Wesemirowi tak dziwnie wyuczona wiedźminka. Wszak bez prób z użyciem farmaceutyki i gabinetu klinicznego ona i tak nie stanie się pełnowartościową jednostką bojową Arzamasu-16. Wesemir zbył to milczeniem i polecił kontynuować szkolenie.

Można by pomyśleć, że Geraltowi pozostały inne warianty...

Monotonny bieg dni uległ zakłóceniu podczas kolejnej wieczornej wędrówki.

Wiedźmin szedł z tyłu, leniwie oglądając się na boki, Cynthia sama wybierała drogę i utrzymywała ogólny kierunek. Do zachodu słońca pozostało jeszcze co najmniej trzy i pół godziny, dlatego nie szukali na razie miejsca na nocleg. Do tego rejon, mówiąc szczerze, temu nie

sprzyjał: skupisko małych i średnich fabryk, zakładzików i zakładów, szare, zakurzone ulice i szare, zakurzone płoty o różnym stopniu zniszczenia. Wszystko to



stawało na drodze, ciągnęło się to z lewa, to z prawa, pod nimi, a czasami i nad głową. Spotykali podziemne przejścia pod torami, tunele niewiadomego przeznaczenia, czasami musieli przedzierać się przez piwnice budynków albo na odwrót, przez górne piętra, a nawet dachy. Nocleg w takich rejonach to wątpliwa przyjemność, nawet nie ma gdzie odnowić zapasów – ani sklepów, ani magazynów. Tylko z rzadka zakładowe stołówki z zezłoszczonymi mechanizmami w kuchni. Geralt co i rusz zauważał ślady żyjących – również w tych przemysłowych ruinach ktoś mieszkał. Mało prawdopodobne, by mieszkańcy okazali się bardziej gościnni niż miejsca, do których się przystosowali – tę prostą prawdę Geralt uświadomił sobie zanim jeszcze został wiedźminem. Dlatego chciał jak najszybciej minąć posępny rejon i szukać noclegu poza nim.

Drogę zagroził im kolejny szary płot z drutem kolczastym na górze. Zardzewiałe tory, wzdłuż których szli przez ostatnie dwadzieścia minut, zniknęły pod zniszczoną drewnianą bramą w płocie. Z niej płatami odpadała zielona farba.

–Do diabła! – zaklęła Cynthia i pytająco spojrzała na wiedźmina.

Ten beznamiętnie oglądał bramę. Dołem nie przejdiesz – szczelina jest za wąska. Na górze ten sam drut kolczasty, do tego dwa rzędy. Zamek, jeśli jest, to od wewnątrz. Płot ciągnie się w prawo i w lewo, dokąd wzrok sięga, i ginie w rudawej mgle przy samym horyzoncie.

Nie doczekawszy się reakcji Geralta, dziewczyna z własnej inicjatywy próbowała pchnąć bramę. Rzecz jasna bez skutku: wrota istotnie były zamknięte od środka.

–Zazwyczaj brama otwiera się na zewnątrz – zauważył wiedźmin. –

Pchanie nic nie da. Popatrz na zawiasy. To nie jest taka skomplikowana technika...

Cynthia spojrzała i ze złością przygryzła wargę. Zapewne miała sobie za złe, że nie potrafiła sama domyślić się rzeczy tak oczywistej.

Bardzo chciała zostać dobrą wiedźminką.

Brama zresztą nie otwierała się też na zewnątrz, gdy Geralt i jego uczennica ciągnęli za skrzydła, za sam dół. Zamknięta.

Zastanawiali się kilka sekund, wreszcie wiedźmin lekko pchnął czubkiem buta jedno skrzydło, potem drugie.

–Co takiego? – Cynthię rozpieszczała ciekawość. Zrozumiała, że Geralt coś wymyślił.

–Mocna, zaraza – wyjaśnił. – Zdarzają się oczywiście mocniejsze, ale i tych nożem nie rozdlubiesz. A i toporem trzeba by się namachać, gdybyśmy mieli topór.

–A z broni? W zamek?

–Zamknięcie pewnie jest na zasuwę, a zasuwy kulami nie odsuniesz.

–To co robić?

–Myśleć – rzucił wiedźmin. – Podaj wodę.

Dziewczyna zręcznie dobiła z plecaka napelnioną do połowy butelkę mineralnej. Geralt usiadł na zrudziałej od rdzy szynie i na pół minuty zastygł w bezruchu. Cynthia cierpliwie czekała.

–A powiedz mi, podopieczna – ocknął się wiedźmin i wreszcie wziął łyk wody – jak

dawno minęliśmy rozgałęzienie od tej jednotorówki?

–Z piętnaście minut temu! – raźnie zameldowała uczennica. – W lewo odchodził tor do jakiejś fabryczki. Ale brama jest tam niska, ażurowa, z metalu i bez drutu kolczastego.

–Słusznie – potwierdził Geralt. – A szyny są zardzewiałe, jak tu, czy wyjeżdżone, nie pamiętasz?

–Mmm... – zamamrotała Cynthia. – Zdaje się, że wyjeżdżone! I były tam plamy z oleju na podkładach, a nie trawa jak tutaj.

–Dobrze myślisz – wiedźmin zdobył się na pochwałę. – Szyny są tam rzeczywiście wyjeżdżone, na pewno ktoś ich używa. Idziemy.

Wstał i jak zwykle nie patrząc w tył na dziewczynę, poszedł wzdłuż zardzewiałej linii, oddalając się od bramy i zagradzającego tor płotu. Cynthia drobnymi kroczkami, starając się stąpać po podkładach, podreptała za nim.

–A w czym nam to pomoże? – zapytała.

Przygody w podróży najwyraźniej pobudzały ją bardziej niż nudnawe teoretyczne mądrości, których musiała uczyć się każdego ranka.

–Zobaczmy na miejscu – wymijająco odpowiedział wiedźmin.

Półorczyca już dawno zrozumiała, że jeśli Geralt od razu nie wytłumaczył swoich działań, nie ma sensu go dopytywać. Albo całkiem zamilknie, albo wytłumaczy w bardziej odpowiedniej chwili. Dlatego zwyczajnie poszła za nauczycielem.

Wkrótce dotarli do rozjazdu. Tu szyny rzeczywiście nie nosiły śladów rdzy, na dole były ciemniejsze, ale z wierzchu lśniły. Ażurowa brama z metalu zamykała wejście na teren jakiejś bazy. Szyny nurkowały pod bramę, ciągnęły się wzdłuż długiej ceglanej budowli z wieloma drzwiami i zakręcały w dali za rogiem. Z drugiej strony szyn, między płotem a torem, leżały ułożone w sztaple podkłady, sterczały zapaćkane smarem beczki,

piętrzył się jakiś niesamowity złom. Widok był, jednym słowem, obrzydliwy – Cynthia widziała już wystarczająco dużo, aby nie zapalać sympatią do tego miejsca.

–Zamek – warknął wiedźmin. – A jednak zamek. No dobrze, taką bramę weźmiemy na jeden ząb.

Chwycił rękami pręty, postawił but na dolną poprzeczkę i wszedł na górę jak po drabinie. Cynthia ruszyła w ślad za nim – przejście przez bramę okazało się bardzo łatwe.

–I co? – spytała, otrzepując dłonie już po drugiej stronie.

Geralt ni to się rozglądał, ni to nadśluchiwał. Słuch dla wiedźmina jest równie ważny jak wzrok – nauczyciel zdążył jej już zademonstrować umiejętność strzelania na słuch. Kiedyś podczas noclegu w dużym drewnianym domu zawiązał sobie oczy czarną chustą, wziął do ręki rozładowany pistolet, wycelował do dziewczyny i zaproponował, aby zeszła z linii przypuszczalnego strzału. Cynthia przez pięć minut chodziła na palcach, wstrzymując oddech. Na próżno, lufa nieprzerwanie w nią celowała, błyskawicznie reagując na jakąkolwiek zmianę miejsca.

Po rozejrzeniu się (albo przysłuchaniu) Geralt ruchem ręki rozkazał jej pozostać

przy bramie, a sam ruszył dróżką przed budynkiem. I skręcił za róg – tam, gdzie zniknęły z pola widzenia szyny.

Cynthia czekała prawie kwadrans. Przez ten czas siedziała nieruchomo w kucki, tuląc się do płotu obok bramy i nie zdejmując rąk ze strzelby. Na terenie bazy było cicho – jedynie coś zgrzytało w oddali, jakby gigantyczna prasa rozgniatała auta, które swoje przeżyły. Dziewczyna czuła się pewniej niż w pierwszych dniach, ale pozostawanie samej nie było na razie przyjemne. U boku Geralta było o wiele spokojniej...

Wiedźmin zjawił się tak, jak potrafią tylko wiedźmini – szybko i bezgłośnie niczym duch. Przed chwilą go nie było, a naraz, patrz – stoi! Wyszedł zza rogu i cicho zagwizdał. Cynthia odwróciła głowę, nauczyciel przywołał ją skinieniem ręki.

Nie zdejmując palca ze spustu strzelby, truchtem pobiegła dróżką. Geralt nie czekał na nią, zniknął za węglem.

Za rogiem znajdował się wewnętrzny dziedziniec bazy. Z lewej strony stał czteropiętrowy budynek z czerwonej cegły, naprzeciwko -trzy piętrowy biały. Szyny przecinały obszerny plac i zniknęły w półmroku otwartego hangaru po prawej. Geralt, zupełnie się nie kryjąc, poszedł w tamtą stronę. Cynthia popędziła za nim.

Gdy podeszła bliżej, obejrzała wnętrze hangaru i zrozumiała, że do tej budowli o wiele bardziej pasowało określenie „parowozownia” – taka porządna nora dla lokomotywy. Dostrzegła też lokomotywę – a dokładniej: lokomotywkę. Taka nieduża, sympatyczna, zieloniutka, staromodna -niewiele takich zostało, swoje przeżyły. Lokomotywka mogłaby posłużyć za symbol minionej epoki, ale i półorczyca, i wiedźmin przeżyli jeszcze zbyt mało, aby to zrozumieć. Jakiś stary elf mógłby nostalgicznie westchnąć, patrząc na cudo wczorajszej techniki...

–Znajoma sztuka? – spytał Geralt, zatrzymując się w progu hangaru-parowozowni.

–Aha – pewnym głosem odpowiedziała Cynthia. – Mała lokomotywa manewrowa CzMEZ-2. Model na wymarcu.

–Dobrze – potwierdził wiedźmin. – A dokładniej? Cynthia wzruszyła ramionami, z łatwością wydobywając z pamięci wyuczone informacje:

–Łatwa do oswojenia, prosta w obsłudze, przypadków wrogiego zachowania w stosunku do żyjących odnotowano niezwykle mało. Uważana za bezpieczną.

–I to prawda – z zadowoleniem skinął głową Geralt. – Dobrze, ruszamy.

Podszedł szybkim krokiem do lokomotywki i zręcznie wdrapał się po drabince na stopień przy wejściu do kabiny. Cynthia nie pozostawała w tyle.

Kabina była otwarta. Ledwie wiedźmin złapał za klamkę, maszyna zadrżała i włączyła silnik. Zachowywała się całkiem spokojnie, z czego można było wnioskować, że jest oswojona.

–Spójrz – powiedział Geralt. – Ona tak przełącza się z automatu na ręczne sterowanie. W plikach szkoleniowych nie ma tej informacji, dlatego zapamiętaj, że w większości pojazdów przełącznik jest taki sam. Hopla.

**Jazda!**

Lokomotywka posłusznie zagwizdała dwa razy i ruszyła, nabierając powoli prędkości. Plac, skręt, po czym przed bramą jak zwykle zwolniła. „Wrota zamknięte! – pomyślała Cynthia. – I co dalej?” Ale wiedźmin nie podzielał jej zakłopotania. Po prostu wyciągnął rękę i zdjął z haczyka naprzeciw tablicy sterowniczej zwykły klucz na długim rzemyku z surowej skóry.

–Idź, otwórz zamek i bramę – rozkazał dziewczynie.

–Dlaczego uważasz, że klucz będzie pasował do tego zamka? – spytała Cynthia.

–Dlatego. Idź, otwórz.

Uczennica posłusznie wyszła z kabiny i ześlizgnęła się po drabince. Ku jej nieopisanemu zdumieniu klucz pasował do zamka. Otworzywszy szeroko bramę, Cynthia zaczęła, aż lokomotywka wypełnie za teren bazy, po czym tylko przymknęła oba skrzydła. Wspięła się do kabiny. Geralt nie zaprotestował, więc widocznie zrobiła wszystko jak trzeba.

Dojechali do ostatniego rozgałęzienia. Tu Geralt pokazał dziewczynie, jak działa zwrotnica. To było proste do bólu: dźwignia w prawo – jedziesz prosto. Dźwignia w lewo – skręcasz. Słowem, już po kilku minutach lokomotywka rażno pędziła po zardzewiałym torze w kierunku dużego zakładu i zamkniętej na cztery spusty bramy. Cynthia przykucnęła, opierając się plecami o metalowe drzwi kabiny.

Przed bramą lokomotywka spowolniła bieg, a potem całkiem stanęła około trzech metrów przed przeszkodą. Wiedźmin cierpliwie na coś czekał – ale na co? Aż zjawi się ktoś i otworzy wrota?

Potem Geralt z jakichś powodów pociągnął za zwisający z sufitu kabiny sznur. Wówczas rozległ się przenikliwy gwizd, tak głośny i nieoczekiwany, że dziewczyna omal nie wypadła z kabiny na wąską platformę przed drabinką.

–Ojej...

Wiedźmin zerknął kątem oka na półorczycę. Jego twarz, rzecz jasna, nie wyrażała żadnego uczucia.

–Mógłbyś uprzedzić! – warknęła Cynthia. – Serce omal mi nie wyskoczyło!

Geralt nie zdążył wyartykułować dyżurnego pouczającego zdania, gdyż dziewczyna kontynuowała:

–A zresztą wiem, wiem! Wiedźmin powinien być przygotowany na każdą niespodziankę. Na grom z jasnego nieba, gwizd lokomotywy, zlot motocyklistów, powódź w Karpatach i współczucie takiego samego wędrownego wiedźmina. Wybacz, ale w żaden sposób nie mogę się przyzwycząić.

Jej nauczyciel przełknął przygotowane zdanie – komicznie poruszając szczęką – i przemilczał pretensje. Cynthia zachichotała: Geralt przez krótką chwilę miał bardzo śmieszny minę, jak gdyby chciał zatrzeć wargami albo kogoś cmoknąć. Na twarzy jej towarzysza podróży zbyt rzadko pojawiał się jakikolwiek wyraz – zazwyczaj był beznamiętny jak manekin z salonu Mommy Eri. Dlatego dziewczyna chichotała coraz głośniej i trudno było się jej powstrzymać.

W następnej chwili wydało się jej, że wiedźmin wybuchnie, wypali i jak zwykle

każe jej wyciskać pompki do oporu – tu, w kabinie lokomotywki, albo obok, na podkładach. Ale nie wybuchnął. Odwrócił się i ponownie zaczął oglądać skrzydła oblaźłej, zamkniętej bramy.

Cynthia pomyślała, że na miejscu Geralta by nie wytrzymała. Przynajmniej by wrzasnęła. A przedtem rzuciłaby czymkolwiek, co znalazłoby się pod ręką. Zresztą być może teraz potrafiłaby już zapanować nad gniewem. Jeśliby oczywiście przypomniała sobie na czas, że wiedźmini muszą być opanowani i beznamiętni. Ale nie zawsze o tym pamiętała. Chociaż z każdym dniem było coraz lepiej.

Minęło jeszcze kilka minut, które upłynęły na jałowym wyczekiwaniu.

„Ile to jeszcze ma trwać?” – pomyślała półorczyca z niezadowoleniem i w tym momencie Geralt otrząsnął się, nabrał powietrza i nie zwracając się konkretnie do niej, warknął:

–Trudno... Ni żywej duszy. No dobrze. Uczciwie poczekałem. Gdyby coś, wybaczenie, dobrzy żyjący, mam za mało czasu. Podopieczna! – ostatnie słowo adresował do Cynthii. – Wyskakuj z kabiny! Stań tam, z

boku, i patrz, jak szturmują się zamkniętą bramę.

Uczennica, rzecz jasna, wykonała rozkaz. Jej złość i niezadowolenie błyskawicznie zniknęły, zamiast nich obudziła się ciekawość: co jeszcze za sztuczki z nieograniczonego wiedźmińskiego arsenału zechce zademonstrować jej Geralt?

A on włączył lokomotywie tylny bieg, odjechał ze sto metrów, a następnie przy przenikliwym gwizdzie rozpędził staruszkę. Odległość między maszyną a bramą zmniejszała się w zastraszającym tempie, jednak Geralt nawet nie myślał zmniejszać szybkości.

Cynthii zrobiło się zimno. Czyżby wiedźmin zamierzał staranować bramę? Ale jak on chce przezwyciężyć naturalny strach i instynkt samozachowawczy nawet oswojonego mechanizmu?

Na kilka sekund przed zderzeniem Geralt przeszedł z kabiny na platformę, potem opuścił nogę na drabinkę, by skoczyć na bok od toru. Fiknął kozła, zrobił przewrót i wstał, jak gdyby skoki z jadącej lokomotywy były dla niego czymś najzupełniej zwyczajnym.

Tymczasem maszyna jak nie wałęsała! Lewe skrzydło bramy zostało wyrwane z zawiasów i uderzywszy w parowóz, odleciało na bok. Prawe skrzydło najeżyło się prętami i przechyliło, drapiąc po lokomotywie. Zazgrzytał po żelaznym dachu drut kolczasty. Obok Cynthii upadł w trawę długi na łokieć pręt – nie wiadomo dlaczego dziewczyna zwróciła uwagę, że całkiem odpadła z niego farba. Maszyna przeskoczyła na teren zakładu i zniknęła im z oczu.

–Shahnush todd! – wyszeptała Cynthia.

Nagle zrobiło jej się ogromnie żal małej, posłusznej „czemezki”. A jednocześnie, jak części mozaiki, w jej głowie kilka myśli ułożyło się w

prosty i chłodny wniosek: wiedźmini wykorzystują wszystko, co ich otacza, do osiągnięcia własnych celów, przy czym nie obchodzi ich otoczenie i nikogo ani niczego im nie żal.

–Gotowe – z zadowoleniem powiedział Geralt. – Zobacz, droga wolna!

Ich oczom ukazało się dziwnie przechylone prawe skrzydło w otworze bramy, jakimś cudem przytrzymywane jeszcze przez górny zawias, a zamiast lewej połowy wrót ziała pustka. Na szynach leżał podobny do gigantycznego jeża kłęb drutu.

–Ruszaj! – rozkazał wiedźmin.

Sam już spieszył do wyłomu.

Cynthia, w jednej chwili chłodna i obojętna, poszła za nim. „Też muszę zostać taką – pomyślała zdecydowanie. – Obojętną i

bezlitosną. Jeśli chcę pomścić Brid... A czy chcę?”

Jeszcze ze trzy tygodnie temu nie miała wątpliwości. A teraz zaczyna wątpić.

Dziwna sprawa: właśnie tego uczył ją wiedźmin, być chłodną i bezlitosną. A doprowadził niemal do czegoś zupełnie przeciwnego.

Nie warto się okłamywać – dziewczyna rozumiała doskonale, że jeszcze trzy tygodnie temu nawet nie przyszłoby jej do głowy żałować lokomotywki. Choćby dlatego, że nie miała pojęcia, jak były zbudowane takie mechanizmy. A teraz wiedziała, choć ogólnie i powierzchownie, ale wiedziała. Czy wynika z tego, że wiedza prowadzi do miłosierdzia? Przecież to absurd! Jak wiedza o okrucieństwie może prowadzić do miłosierdzia?!

A jeśli może?...

–No, nie ociągaj się, wychowanko! Czekasz może, aż kurz osiadzie?

Czy może, aż nadejdą ci z fabryki?

–Geralt – zaczęła Cynthia niemal rwącym się głosem – powiedz, nie było ci żal lokomotywki?

–Mi? – zdziwił się wiedźmin. – Nie. Współczucie szkodzi. Zapamiętaj to sobie.

Przy tym tak uważnie patrzył półorczyzy w oczy, jakby chciał zagarnąć jej duszę i myśli. W tym spojrzeniu było coś określonego. Ale co? Akceptacja? Nadzieja, że uczennica prawidłowo rozumie nauki?

Sekundę później Cynthia zrozumiała.

Duma.

\* \* \*

W fabryce ktoś mieszkał: co rusz można było napotkać drobne ślady obecności nielicznych żyjących. Wbrew obawom Geralta nikt jednak nie zareagował na hałas, jaki powstał podczas forsowania bramy. A przynajmniej nikt im nie przeszkadzał w ciągu tych kilku minut, których wiedźmin i jego uczennica potrzebowali, aby czmychnąć na teren fabryki i biegiem przebyć przestrzeń między płotem a najbliższą halą. Geralt obawiał się tylko otwartych odcinków, między budynkami lub w ich wnętrzu było o wiele łatwiej ukryć się albo stawić opór niezadowolonym z wtargnięcia gospodarzom.

Losem lokomotywki wiedźmin przestał się interesować z chwilą jej zderzenia z bramą – o ile w ogóle kiedykolwiek interesował się losem maszyn, które wykorzystywał. Inna sprawa, że w wyniku dzielnego taranowania parowozik nie został zbyt mocno uszkodzony. Miał tylko lekko powyginane poręcze na platformie przed kabiną – podstawowe uderzenie o bramę przyjęła na siebie łapa sprzęgu

wystająca z przodu. Do

tego kilka zadrapań na obudowie i zdarty przez drut kolczasty dach. Po przejechaniu przez bramę lokomotywka potoczyła się po szynach jeszcze ze sto metrów i stanęła. Gdy Geralt i Cynthia przebiegali obok niej, lekko drgnęła, jakby przestraszona, że znowu każą jej coś staranować, ale kiedy żyjący minęli ją, maszyna się uspokoiła. Najczęściej takie od dawna oswojone staruszki są bardzo uległe i posłuszne.

Wiedźmin i uczennica starali się iść przez fabrykę możliwie szybko i niezauważenie. Geralt prowadził, Cynthia z wysiłkiem dotrzymywała mu kroku. Udawało im się... prawie. Nie napotkali żyjących. A dokładnie, nie napotkaliby, gdyby wiedźminowi nie przyszło do głowy, by zajrzeć do stróżówki tuż przy wyjściu.

Ale jemu przyszło to do głowy.

Stróżówka była pusta. Duże oszklone okno patrzyło na lśniące niklowane kołowroty, pod oknem stał stół, na stole niedopita filiżanka herbaty. Na ścianie wisiał zegar, a pod zegarem coś, co przypominało telefon lub radiotelefon z niewielkim monitorem w górnej części. Monitor świecił, pokazując skrzywioną twarz jakiegoś żyjącego – mężczyzny w średnim wieku. Wiało od niego strachem. Usta mężczyzny poruszały się, jakby się modlił.

Sekundę później dziewczyna zrozumiała, że żyjący też ją widzi.

–Hej, ty – odezwał się Geralt tonem przypominającym zdziwienie. – Wideofon! Ale potrzebny w takiej dziurze!

–Wideofon? – spytała Cynthia z zaciekawieniem. – Co to takiego wideofon?

–To samo co telefon. Tylko że nie z przekazem samych głosów, ale i z obrazem rozmówców.

–A... – zrozumiała uczennica. – I coś takiego istnieje?

–Nie takie rzeczy bywają... – Wiedźmin wzruszył ramionami. Cynthia znów spojrzała na monitor. Twarz powiększyła się, jakby żyjący niemal wsadził nos w swój aparat.

Teraz coś wykrzykiwał, ale wideofon nie wydał żadnego dźwięku.

Geralt przez kilka sekund odcyfrowywał napisy na przednim panelu aparatu, potem wcisnął szary przycisk w rogu i do stróżówki wdarł się paniczny głos żyjącego:

–...omoc!!! Na pomoc!!! Jesteśmy uwięzieni!!!

–Witaj – z przerażającym spokojem pozdrowił go wiedźmin. – Przestań się wydierać.

–Zginiemy!!! – wciąż krzyczał nieznajomy. – Ja wiem, to nie jest pokój, to komora gigantycznej prasy! W komorze jest cała moja rodzina. Ja jestem tutaj, w sterowni! Pomóżcie!

–Prasa? – spytał Geralt. – To ciekawe. A po co twoja rodzina weszła do komory prasy?

–Pomóżcie!!! – mężczyzna wciąż wrzeszczał. – Błagam was, pomóżcie nam!!! Nie mogę wyjść ze sterowni, bo zamek się zablokował, kiedy prasa zaczęła działać! Tam jest moja żona i dzieci. Oddam wszystko, tylko ich uratujcie!!!

–Czy naprawdę wszystko? – warknął Geralt. – Słuchaj, człowieku, popatrz na pulpit. Po lewej stronie z boku. Powinna tam być tabliczka. Co jest na niej napisane? Mężczyzna zaciął się, przestał wrzeszczeć, posłusznie cofnął się o krok i schylił.  
–GP-102! – przeczytał. – Fabryka „HydroPromAutomatyka”...  
–Rozumem – skinął głową wiedźmin. – Sto drugi oznacza...  
–Zróbcie coś!!! – mężczyzna znowu zaczął krzyczeć.  
–A niby z jakiej racji? – spytał Geralt, nadal zachowując przerażający spokój.  
–Co, jesteście bez serca? – człowieczek zaczął błagać. – Tam jest moja żona i siedmioro dzieci! Najmłodsza ma zaledwie pół roku! Jest tam też pies!!! Oni wszyscy zginą!!!

–Coś podobnego? – westchnął ze smutkiem wiedźmin. – I jeszcze pies!

Cynthia bała się interweniować. Nie wierzyła, że jej nauczyciel zostawi mężczyznę i jego rodzinę w nieszczęściu.

–A czy masz czym zapłacić? – znowu beznamyślnie spytał Geralt. – Bo ja, jak wiesz, nie pracuję za darmo. Jestem wiedźminem.

Tamten zamilkł, spojrzał na Geralta – na łysą głowę, tatuaż, na niemrużące się oczy.

–Wiedźmin – wymamrotał mężczyzna.

Na jego twarzy odbijała się wzmożona praca mózgu i cała gama sprzecznych uczuć. Z jednej strony radość i nadzieja, bo przecież nikt nie potrafi lepiej od wiedźminów okiełznać krnąbrnych maszyn takich jak prasa. Z drugiej zaś – naturalny strach i nieufność obywatela wobec zabójcy mechanicznych potworów, istoty dziwnej, nieprzyjemnej i niepojętej.

–Mam trochę pieniędzy... Ze dwa tysiące.

–Mało. Za mniej niż dwanaście ze sto drugim tłuc się nie będę, moje zdrowie jest ważniejsze.

–Odpracuję! – gorączkowo obiecał żyjący.

–Nie da rady. Zapłata z góry. Czy chociaż wiesz, co to za bestia ten sto drugi?

Zrozpaczony mężczyzna obejrzał się – Cynthia niewyraźnie rozróżniała za jego plecami przylegające do przezroczyściej ściany sylwetki.

–Pomóż, wiedźminie! Potem się rozliczymy! Ale Geralt pozostał nieprzejednany i głuchy na jego błagania:

–Nie, szanowny. Nie pracuję na kredyt.

–Weź wszystko, co mam! – Człowiek w wideofonie prawie płakał. – Mam samochód, pieniądze, żona ma jakieś błyskotki... Weź wszystko! Tylko ich ocal!

–Powiadasz, że najmłodsze ma pół roku? – w zamyśleniu zapytał Geralt. – A pozostałe ile?

–Co za różnica?! – zawył żyjący. – Najstarsza ma dwanaście.

–A ten chłopiec ile ma? – nie ustępował wiedźmin. – Ten z brzegu.

–Dwa... z haczykiem.

–W sam raz – skinął głową Geralt. – Dobrze. Pomogę bez pieniędzy. Ale jeśli uda mi się wyłączyć prasę, oddasz mi to dziecko.



–Jak to? – Mężczyzna zeszytniał. – Co to znaczy»oddasz”?

–Znaczy tyle, co znaczy – odburknął nauczyciel Cynthii. – Nie bój się, nie zjem go. Dam mu tylko szansę zostać wiedźminem. Szansę niewielką, jedną na dziesięć. Ale jednak szansę.

–Wiedźminie, czyś ty zwariował? – Głos nieszczęśnika drżał. – Przecież to jest mój syn!!! Jakże mógłbym go komukolwiek oddać?

–Normalnie. Sprawisz sobie następnego, oczywiście jeśli twoja żona przeżyje. Zresztą i tak zostanie ci sześcioro. Decyduj, albo wszyscy zginą, albo za cenę syna ocalisz życie żony i pozostałych.

Wydawało się, że mężczyzna stracił mowę.

–Decyduj – chłodnym tonem doradził Geralt. – Ściana, a w zasadzie nie ściana, tylko tłok, porusza się. My tu gadamy, a ona się rusza, piędź po piędzi. Patrz, twoją najstarszą przesunęło już o metr.

–Wiedźminie – wyszeptał tamten przerażony – nie gub...

–Przecież nie gubię. – Geralt wzruszył ramionami. – To ty gubisz. I siebie, i swoją rodzinę. Ja proponuję ci transakcję, całkiem rozsądną transakcję. Ja ratuję życie ośmiu, twojego życia nie liczę. Życie jednej osoby z ośmiu zabieram do swoich celów. Pozostałe należą do was, żyjcie i cieszcie się. Albo znów włączcie do prasy: wasze prawo. Według mnie, nie proszę o zbyt wiele.

Dziewczyna, nerwowo przelękając ślinę, słuchała pełnych rozpaczliwych błagań mężczyzny i niesamowitej argumentacji swego nauczyciela jeszcze przez kilka minut.

–A tak na marginesie – zauważył nagle wiedźmin – za chwilę będzie za późno na ratowanie kogokolwiek. Muszę jeszcze do was dobiec.

–My jesteśmy obok, za ścianą. Obok wejścia.

–No to zostaje jeszcze z dziesięć minut. O ile, rzecz jasna, sto drugiemu nie znudzi się poruszanie tłokiem w żółwym tempie, po milimetrze na sekundę.

Na żyjącego żal było patrzeć.

–Zgadza się – wyszeptał w poczuciu beznadziejności sytuacji.

–Trzeba tak było od razu – warknął Geralt. – Cynthia, idziemy! Opuścili stróżówkę i podeszli do zamkniętych drzwi, o których

wspominał mężczyzna w sterowni. Przybito do nich tabliczkę z napisem: GP-102, STEROWNIA, a więc nie mogło być mowy o pomyłce. Drzwi nie były żelazne, a tylko obite blachą.

Wiedźmin ze spokojem zdjął strzelbę, przeładował i powiedział do uczennicy:

–Odsuń się. I zatkaj uszy.

Cynthia wykonała polecenie.

Usłyszała najpierw dźwięczne „Babach! Babach!”, a potem głuche

„Bumm!”. To Geralt kopnął uszkodzony zamek podeszwą krasnoludzkiego buta.

Drzwi nie wytrzymały i otworzyły się ze zgrzytem.

Sterownia, w niej białe jak kreda mężczyzna. Przezroczysta ściana i kilka sylwetek w półmroku. I niski, głuchy odgłos poruszającego się tłoka. Widok był do tego stopnia nierzeczywisty i przerażający, że Cynthia na kilka chwil zamarła.

Tak to wygląda, praca wiedźmina...

–Wychodź, durniu – burknął Geralt. – I co za diabeł popchnął was do komory...

–Dzieciaki weszły – wyszeptał mężczyzna. – Żona ze starszymi dziećmi chciała ich wyprowadzić, a ja nie zdążyłem, drzwi się zatrzasnęły.

–Nie zatrzasnęły się, a zablokowały – sprecyzował wiedźmin. – Jednocześnie z uruchomieniem tłoka.

Dziewczyna wysiłkiem woli przezwyciężyła słabość. Pojawiła się w niej ciekawość, w jaki sposób jej nauczyciel zatrzyma sławetnego sto drugiego, maszynę wrośniętą w budynek. Straszliwy egzemplarz, skoro nawet Geralt boi się z nim walczyć.

Wiedźmin podszedł kilka kroków do pulpitu, odrzucił płaską pokrywę i rozgniół szkiełko nad czarnym przyciskiem. Cynthia zdążyła odczytać nie całkiem zrozumiały napis na pokrywie: „Wyłącznik awaryjny urządzenia hydraulicznego”.

–Krzyknij: „Hurra!” – poradził Geralt, naciskając przycisk. Odgłos tłoka umilkł, zrobiło się cicho, aż dziewczyna dosłownie słyszała świszczący oddech pechowego ojca – pracownika fabrycznego.

–Tak! – Wiedźmin obszedł pulpit i pociągnął do siebie klamkę jedynych drzwi obok przezroczystej ściany. Zamek dźwięcznie szczęknął, drzwi otworzyły się bezgłośnie – były grube prawie na łokieć jak w gigantycznym sejfie. Zanurkowawszy w szczelinę, Geralt otworzył drugie wejście prowadzące bezpośrednio do komory roboczej prasy. Kobieta zaczęła bezceremonialnie wypychać ze śmiertelnej pułapki dzieci, potem w szczelinę wślizgnął się rudy pies z obwisłymi uszami, a na końcu wyskoczyła z nich sama.

Rodzinnym uściskom towarzyszył płacz. Przez pół minuty nauczyciel Cynthii z pobłażaniem obserwował tę scenę, potem trącił rozklejonego tatusia.

–Wystarczy, jeszcze zdążycie się pościskać. Idziemy. Hej, mały! Chodź tu.

Chłopczyk, rozmazując łzy na brudnej twarzączce, tulił się do matczynej spódnicy. Kobieta jedną ręką przyciskała do piersi zawiniątko z niemowlęciem, drugą obejmowała szyję męża. Dzieci skupiły się dokoła nich. Pies groźnie zawarczał, ale bał się zbliżyć do Geralta.

–Wiedźminie – wyszeptał robotnik fabryczny. – Weź pieniądze. Nie gub małego. Weź wszystko...

Geralt zmarszczył brwi ze złością.

–Zdaje się, że jesteśmy po słowie. Wiedźmini nie zmieniają decyzji.

Oddaj go, przecież nie będziemy zaczynać jałowych dyskusji.

Wyciągnął rękę i złapał malca za kołnierz. Pies cofnął się i zawarczał głośnie. Ale nadal bał się zaatakować.

–Nie od-dam!!! – zaczęła lamentować matka. Mężczyzna zbladł jeszcze bardziej i odepchnął Geralta.

–To ty tak? – zdziwił się wiedźmin i wystrzelił. Na szczęście w sufit.

–Cynthia! Strzelba! – rzucił. Broń sama skoczyła w ręce. Dziewczyna działała jak w transie.

**–Wszyscy pod ścianę! – dźwięcznie krzyknęła. Kobieta zeszytniała. Dzieci płakały – najbardziej te mniejsze. Pies**

**zaczął ujadać. Geralt krótkim, celnym ciosem powalił robotnika na ziemię, kopnął dziesięcioletniego malca, który rzucił się ojcu na pomoc i chwycił dwulatka. Zapłatę za jeden wciśnięty przycisk...**

**–Wychodzimy! – zakomenderował.**

**Jego uczennica wyszła przez drzwi tyłem, potem w taki sam sposób przez korytarz. Sekundę później ze sterowni wyskoczył Geralt ze strzelbą w rękę i malcem pod pachą. Zatrzasnął za sobą drzwi.**

**–Do wyjścia! – rozkazał.**

**Cynthia posłusznie pobiegła obok stróżówki z wideofonem. Z czworga oszklonych drzwi głównego budynku tylko jedne były**

**otwarte, dlatego doszło przed nimi do małej przepychanki. Jednak dziewczyna szybko zrozumiała, że nikt ich nie ściga. Zresztą jakże pokojowo i nedorzecznie wyglądał tamten pechowy pracownik fabryczny w porównaniu z Geraltem, a nawet z Cynthią.**

**Malec pochlipywał. A w głowie przyszłej wiedźminki przy akompaniamencie pulsu krążyło jedno jedyne pytanie: „po co?”. Po co to wszystko?**

**Nie znalazła odpowiedzi.**

**\* \* \***

**Oddalili się od nieprzyjaznego terenu na dziesięć kilometrów. Jednak i tutejsze zabudowania wcale nie wyglądały lepiej – osiedla zrujnowanych parterowych domów z sypiącym się ze ścian tynkiem i zmurszałymi strzechami. Ponad wysokimi płotami wyrastała trawa, a nawet niewielkie drzewa. Zapadał mrok, ale Geralt dopiero tu zaczął rozglądać się za noclegiem. Przez cały czas nie uronił nawet słowa, nawet ani razu nie krzyknął na płaczącego malca. Ale pod koniec pierwszej godziny wyczerpującego marszu wyjął komórkę, wcisnął kilka przycisków i powiedział tylko jedno zdanie:**

**–Mam podrzutka, dwulatek. Niech ktoś wolny mnie znajdzie.**

**I zakończył połączenie, nie wysłuchując nawet odpowiedzi. Cynthii wydawało się, że dzwoni nie do Wesemira, a do kogoś innego.**

**Na nocleg zatrzymali się w domu, który wyglądał na nowszy niż inne. Furtka była zamknięta tylko na zasuwkę, a z czymś takim nawet półorczyca z dobrego domu nie miałaby najmniejszych problemów. Cynthia trzymała malca, a Geralt przeskoczył przez płot i otworzył od wewnątrz. Na zaśmieconym podwórku nie przystanęli nawet na chwilę. Geralt szybko uporał się z zamkiem w drzwiach i sprawdził dom, pokój po pokoju, pomieszczenie po pomieszczeniu.**

**Zatrzymali się w pokoju z kominkiem. Wiedźmin od razu rozpałił ogień, przyniósłszy z dworu jakieś zbutwiałe deski. Pały się źle i dymiły, a do tego wydzielaly nieprzyjemny, obcy zapach – z pewnością były nasycone jakimiś chemikaliami. Ale nie mieli wyboru. Dziewczyna zajęła**

**się kuchnią i dopiero gdy napełniony kociołek zaczął bulgotać w kominku, a malec po przebytych dniu zasnął obok na podścielonym kożuchu, półorczyca odważyła się**

**zadać Geraltowi męczące ją pytanie:**

**–Dlaczego?**

**Wiedzmin spojrział na nią posępnie. Właśnie posępnie – rzadki przypadek, kiedy jego twarz wyrażała jakiekolwiek emocje.**

**–Co „dlaczego”?**

**–Dlaczego zabrałeś dziecko rodzicom? Dlaczego nie wzięłeś pieniędzy, jeśli dla ratowania czyjegoś życia nie możesz się wyrzec swojego idiotycznego kodeksu?**

**–Przy takich rodzicach malec umrze szybciej niż od prób farmaceutycznych – powiedział Geralt cicho. – Możesz uznać go za martwego. Przywróciłem go życiu, ale jego życie należy do mnie.**

**–Matka to matka – jeszcze ciszej zaproponowała Cynthia. – Jaka by nie była, dziecku zawsze najlepiej będzie z nią.**

**–To nie matka mnie niepokoi – wyjaśnił wiedźmin. – A nawet i nie to dziecko.**

**–A zatem co?**

**–Miasto. Tylko miasto i nic poza tym.**

**–A co się stanie miastu, jak wyciągniesz spod prasy dwuletniego malca i oddasz go matce?**

**–Miasto nie będzie miało kolejnego wiedźmina.**

**–A tam, nie będzie miało! On musiałyby jeszcze wytrzymać wasze potworne próby! Ja wiem, przeżywa jeden na dziesięciu!**

**–To znaczy, że miasto będzie mieć o jedną dziesiątą wiedźmina mniej. Jeśli nie zaczniemy dobierać sobie zmienników, to kto obroni miasto? Kto jutro wyciągnie znów spod prasy matkę z jego braćmi i siostrami?**

**–Czy naprawdę nie będzie miał kto?**

**–Jeśli nie zatroszczymy się o to dziś, naprawdę. Wiedzminów jest coraz to mniej.**

**–Dlatego, że i potworów jest coraz mniej.**

**Geralt uśmiechnął się ze smutkiem.**

**–To tak się tylko wydaje. Potworów wcale nie jest mniej. Jest ich coraz więcej, tylko trudniej je wytropić. I trudniej zabić. To wszystko.**

**–A gdyby ten człowiek miał te dwanaście tysięcy? Zdarłbyś z niego kupę pieniędzy za rozbicie szybki i wciśnięcie przycisku?**

**–Ja biorę pieniądze nie za to, że wciskam przycisk. Biorę pieniądze za to, że wiem, jaki przycisk wcisnąć.**

**Cynthia nieoczekiwanie przeszła do następnego wątku tego samego tematu:**

**–Powiedz mi, Geralt, czy ciebie także nie zabrano od matki, którą spotkało nieszczęście? W charakterze zapłaty za uratowanie braci i sióstr?**

**–Nie.**

**–A jak zostałeś wiedźminem?**

**–Czy to ważne?**

**–Tak.**

**–A moim zdaniem nie. Zupełnie nieważne.**

**–Ważne! – upierała się dziewczyna.**

**Coś szczególnego zadźwięczało w jej głosie. Coś takiego, co skłoniło**

**Geralt, by nie wykręcał się od odpowiedzi. Nie przemilczał jak zwykle, ale patrząc w bok, głuchym i rozdrażnionym głosem odpowiedział:**

**–Nie miałem rodziców. Przynajmniej ich nie pamiętam. Sigurd znalazł mnie na ulicy. Byłem włóczęgą. Obdartusem.**

**–W wieku dwóch lat? – z mimowolną ironią spytała Cynthia.**

**–Miałem ze cztery lata.**

**–No... cztery lata to trochę za późno na próbę wiedźmina!**

**–Wiem. Ale przeżyłem. Wtedy u nas nie najlepiej było z podrzutkami. Brano nawet tych, którzy mieli małe szanse przeżyć, na przykład wzięto mnie.**

**Cynthia pokręciła głową na znak protestu.**

**–Mimo wszystko... jest to okropne. Skazujecie na zgubę dziewięcioro wybranych dzieci, aby dziesiąte zostało wiedźminem!**

**–I uratowało setki, a nawet tysiące żyjących – szorstko zakończył Geralt. – Nie zapominaj o tym. I nie przypominaj mi niepotrzebnie, że powinienem ochraniać Wielki Kijów i spokój kijowian nie tylko w swoim imieniu, ale i w imieniu tych dziewięciorga, którzy nie przeżyli. Ja o tym pamiętam. Bardziej niż inni. I nie wylewam łez nad tymi, których już nie da się uratować. Po prostu pamiętam, że umarli po to, abym ja mógł przeżyć. I żeby przeżyło miasto.**

**–Ale przecież tego malca można jeszcze uratować! – wykrzyknęła dziewczyna.**

**–Uratowanie tego oznacza zabicie innego. Dość tego marudzenia, Cynthia. Jeśli jesteś wiedźminką, powinnaś to zrozumieć. A jeśli tego nie rozumiesz, wstań i odejź. Na zawsze. I nie pomoże telefon do Wesemira, dlatego że Wesemir stanie po mojej stronie, niezależnie od sumy, jaką twoi bogaci krewni zapłaciliby Arzamasowi. Są rzeczy, których wiedźmini nie sprzedadzą nawet za bardzo duże pieniądze. Czy zrozumiałaś? A teraz bądź tak dobra i pomieszaj zupę, bo się przypali.**

**Przez resztę wieczoru nie odezwała się ani słowem. Po upływie około godziny od momentu, gdy położyła się spać, po męczących i dość chaotycznych rozmyślaniach półorczyca zrozumiała: Geralt ma rację. Na swój sposób. Na sposób wiedźmina.**

**Pojęła to jednak umysłem, nie sercem. I rozumiała jeszcze jedno: każdy wiedźmin, wybierając tę dziwną i ciężką drogę, powinien najpierw zabić swoje serce. Sam. Dobrowolnie. Decyzją umysłu.**

**Nazajutrz rano zmusiła się do tego, aby w milczeniu i możliwie obojętnie przyglądać się, jak pod dom podjeżdża samochód terenowy, z którego wysiada dwóch mężczyzn – łysy, przypominający w czymś Geralt, w nieokreślonym wieku, i kulejący, siwy jak gołąbek starzec. Łysy z pewnością był wiedźminem – jego czaszkę zdobił nie mniej przerażający tatuaż niż u Geralt. Wiedźmin miał na imię Eskel, starzec -Wladez. Z Eskelem Geralt przywitał się sucho, z czego Cynthia początkowo wywnioskowała, że stosunki między nimi były nie najlepsze, ale potem wiedźmini objęli się. Jakby jeden drugiego nie widział z dziesięć lat, a przedtem przeszli ramię w ramię przez ogień, wodę i mroczne tunele kijowskich podziemi. I nieraz jeden drugiemu ratował życie. Starcowi Geralt po prostu się uklonił. Prawie do samego wyszczerbionego asfaltu.**

Niezależnie, co Geralt i Eskel przeżyli w przeszłości, rozmawiali ze sobą zadziwiająco niewiele.

–Czy jest czysty? – spytał Eskel.

–Absolutnie. Jego, a przy okazji jego mamuszkę, sześcioro braci i sióstr, a na dodatek obrzydliwego psa wyciągnąłem z komory sto drugiej prasy pracującej na sprężanie. Tu, niedaleko.

–Jak oni tam wleźli?

–A czort ich wie! Zapewne z głupoty. Ich ojczulek w tym czasie siedział w sterowni i gadał przez wideofon. Usłyszałem. Pieniędzy miał tylko dwa tysiące. Krótko mówiąc, utargowałem chłopca.

–I ojciec go oddał?

–Nie. Trzeba było odebrać.

–Ale bez trupów?

–Bez. Nawet psisko ocalało. A chłopiec wydaje się zdrowy i niewynędzniały, obejrzałem go. Reaguje normalnie.

–To dobrze. Gdzie on jest?

–Śpi w domu.

–Przynies go. Geralt obrócił się do Cynthii:

–Słyszałaś? Marsz! Dziewczyna zmusiła się do zachowania spokoju – przynajmniej na

zewnątrz. Ale kiedy niosła z pokoju do terenówki słodko posapującego i niczego niepodejrzewającego malca, jej serce ścisnął żal.

Przecież nie jest jeszcze wiedźminką!

Zaniosła go i przekazała staremu Wladezowi. Po tym, jak zręcznie i umiejętnie starzec odebrał śpiące dziecko, Cynthia wywnioskowała, że często ma do czynienia z małymi dziećmi. Zrozumiała to zmysłem samicy, głębokim i prawie mistycznym. I od razu poczuła się trochę lżej.

–Dobra. – Eskel powściągliwie klepnął Geralta w ramię. – Bywaj.

–Bywaj, Eskelu. Do widzenia, Wladezie.

–Bądź zdrow, Geralcie.

Drzwiczki trzasnęły, silnik zawarczał. Jego dźwięk szybko roztopił się w porannej dali. Z jakichś powodów wiedźmin długo stał i patrzył w ślad za samochodem, który dawno odjechał. I milczał. Jego uczennica także stała, patrzyła i milczała. A kiedy milczenie stało się nieznośne, spytała:

–Geralcie, a czy wolno interesować się dalszymi losami waszych... podrzutków? Losem, przykładowo, tego malca?

–Nie – odpowiedział nauczyciel już całkowicie obojętnym tonem.

–To znaczy, że nie dowiem się, czy przeżył próbę, czy też nie? Nie poznam nawet jego imienia?

Geralt nieznacznie wzruszył ramionami:

–Ty z pewnością się nie dowiesz. A ja być może spotkam go gdzieś w jakiejś koszmarnej norze. Czasami wiedźmini pracują w parach. A co do imienia... on już nie ma imienia. Jutro będzie miał numer. A o imieniu myśleć mu jeszcze za wcześnie.

**Jego numeru także nie poznasz.**

**–Ty nie wierzysz, że zostanę wiedźminką?! – wybuchła Cynthia, ale przypomniała sobie o obojętności i spokoju, który należy zachować.**

**–Nie – odpowiedział Geralt bez śladu litości czy współczucia – nie wierzę.**

**–To dlaczego mnie uczysz?**

**–Dlatego – rzekł – że wiedźmini prawie nigdy nie czynią tak, jak im się chce. Oni czynią tak, jak trzeba.**

**–Komu trzeba?**

**–Miastu. Wystarczy tego gadania, wychowanko! Zajęcia czekają. Masz pięć minut, aby się umyć... Dziś zmieniamy ćwiczenia.**

## 6.

Dosyć szybko Cynthia zrozumiała, że życie wiedźmina tak dalece odbiega od jej wcześniejszych romantycznych wyobrażeń, że nie można nazwać ich inaczej niż bredniami. Rutyna, codzienna rutyna, w tym długotrwałe przebywanie w sieci, gromadzenie ogromnej ilości informacji, nie zawsze ciekawych, do tego treningi aż do granic wytrzymałości. Treningi nie były daremne – dziewczyna czuła, jak jej ciało się wzmacnia z dnia na dzień, zwłaszcza ręce – były po prostu monotonne, dlatego początkowo myślała o nadchodzącym ranku z niechęcią i wrogością, a potem w ogóle przestała myśleć. Nauczyła się odłączać umysł, pozwalając działać mięśniom. A dokładniej, nawet nie to: nauczyła się zobojętnienia. Ciało z przyzwyczajenia wykonywało ćwiczenia, a umysł jakby ulatywał gdzieś w dal, podążał za myślą i rozpływał się w ponadziemskiej przestrzeni.

Cynthia rozmyślała o wielu rzeczach: o tym, jak zmieniła się ona sama i jej stosunek do świata. Jakże niepodobny był Geralt do ukształtowanego we wcześniejszych latach abstrakcyjnego portretu wiedźmina! Jakże złożone okazało się teraz życie wokół – o wiele bardziej skomplikowane, niż myślała kilka tygodni wcześniej, patrząc na świat z okien rodowej rezydencji. Na razie dziewczyna nie pozwalała sobie myśleć o jednym...

O tym, co zdarzy się wkrótce na Poligonie Matwiejewskim. A zdarzy się tam... To, że wiele, w to półorczyca nie wątpiła. Wątpiła teraz zupełnie w co innego. Czy naprawdę zechce się mścić? Jeszcze niedawno o wątpliwościach nie mogło być nawet mowy – jedynie posępne zdecydowanie, bez względu na okoliczności i niebezpieczeństwa. A teraz...

Wiedziała, że nie ustąpi. I zrobi wszystko, co przysięgła – nieważne, czy z pomocą Geralta, czy sama. Z pewnością zrobi, bo słów przysięgi nie rzuca się na wiatr.

Ale teraz Cynthia doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że kiedy dojdzie i wypełni wszystko, co zamierzała, nie wiadomo, czy odczuje z tego powodu radość. Niewzruszony spokój i opanowanie wiedźmina okazały się zaraźliwe tym bardziej, że co i rusz przynosiły widoczne efekty. Hazard, adrenalina wrząca we krwi – wszystko to, oczywiście, jest szalenie przyjemne i podniecające. Ale Cynthia tylko wtedy osiągała swój cel mniejszym wysiłkiem i, co tu ukrywać, szybciej i skuteczniej, kiedy zachowywała spokój i opanowanie, a nie działała pod wpływem emocji.

Wykonała również z Geraltem pierwszą prawdziwą pracę – zajmowali się nie tylko treningami. Na prośbę gminy Pierwomajsk wyciągnęli z podziemnego garażu przerażającą zdziczałą ładowarkę samochodową i przepędzili ją za granice rejonu, oddając w ręce magistra osławianego Volva, który przypadkiem znalazł się w pobliżu z całą kolumną łowców maszyn.

Do miejsc, które w Wielkim Kijowie od dawna zwane są Nikołajewem, było już dość blisko, lecz wtedy monotonna wędrówka na północ znów została zakłócona, podobnie jak niedawno zakłóciła ją historia z chłopcem odebrany ojcu...

Przez pierwsze dni Cynthia czuła się nieswojo. Potem wrażenia trochę wyblakły, zostały wyparte przez nowe informacje z sieci i opowiadań Geralta – czego jak



czego, ale nowych informacji im nie brakowało. „Zapewne to konieczne – powiedziała sobie półorczyca. – Dla wielu obyczaję techników wydają się dzikie i okrutne, ale przecież ktoś musi chronić miasto?”

I jeśli się nawet nie uspokoiła, to przynajmniej przestały ją męczyć koszarne myśli. Postąpiła słusznie.

Tym razem zleceniodawca również sam ich znalazł. Geralt mówił, że coś takiego rzadko się zdarza, o wiele częściej wiedźmin sam musi szukać sobie roboty. A tu nagle przed obiadem, kiedy Cynthia i Geralt zamierzali już wyjść z sieci i zatroszczyć się o posiłek (zresztą dziewczyna szybko nauczyła się gotować, zdaniem nauczyciela – dosyć smacznie), za niskim plecionym płotkiem, szumnie nazywanym przez miejscowych parkanem, zawarczał silnik starego pick-upa marki Choroł, rudego od kurzu, rdzy i resztek farby. Wygramolił się z niego staruszek ork liczący nie mniej niż tysiąc lat, pomarszczony jak wyschnięty grzyb. Ubrany był w haftowaną koszulę, przepasane paskiem z materiału szarawary w błękitnym kolorze, na nogach miał ciężkie krasnoludzkie buty, na głowie słomkowy kapelusz, którego chyba kiedyś nie zdążyły zjeść konie.

–Czego chcecie, ojcze? – zapytała Cynthia, zobaczywszy go z ganku.

–Bądź zdrowa, córko – wymamrotał staruszek. – Przejeżdżał ci tędy mój syn z rana. Godo, że wiedźmina tu widział. Łysego takiego, z malunkiem na głowie. Dzie on?

–Tu jestem. – Geralt oderwał się od laptopa, wyręczając Cynthię z konieczności podjęcia decyzji, czy ujawnić się staruszkowi, czy nie.

Wiekowy ork z niedowierzaniem mrużył oczy pod kapeluszem i zapewne wygląd Geralta go zadowolił.

–Aha, bądź zdrowy, synku. Mam do ciebie sprawę. W sam raz dla twojej armaty. Armata, widzę, niczego sobie, sam kiedyś takiej używałem. Szkoda, ręka już nie ta. A i nie przystoi starym, dobrze mówię?

–Skąd można wiedzieć – wymijająco odparł Geralt, nawet nie zerkając na opartą o futrynę drzwi strzelbę.

–Mam sprawę, wiedźminie. Kłopoty, rozumiesz. Ja wiem, że bez pieniędzy nie przyjmujecie, ale od razu mówię, że pieniądze są. Co prawda nie hrywny, a ruble moskiewskie. Mogą być?

–Mogą być. – Geralt wzruszył ramionami. – Po jakim kursie?

–A jaki powiesz, taki wyliczymy. Oby tylko nie z sufitu, to jasne. Najlepiej, żeby zbliżony do krasnoludzkiego. A tam... kopiejka więcej, kopiejka mniej, co za różnica? Dobrze mówię?

–Wejdźcie – zaprosił wiedźmin i rzucił do Cynthii: – Przynieś z domu jakiś taboret.

Dziewczyna posłusznie pograżyła się w panującym w domu półmroku. Kiedy wyskoczyła na ganek z ławeczką w rękach, staruszek i jej nauczyciel siedzieli już na stopniach schodów. Ork właśnie nabijał fajkę. Podniósł na Cynthię łzawe oczy i dobrotliwie machnął ręką:

–A zostaw, córko, taboretek! Na schodkach wygodniej. Siądźmy, zaraz lulkę zakurzymy... Palisz, wiedźminie?

–Nie – krótko odpowiedział Geralt, jak zwykle nie wdając się w rozmowach z obcymi w szczegóły i niczego nie wyjaśniając.

–Ja też nie palę – wtrąciła jego uczennica.

–No tak – staruszek zakaszał i schował kapciuch ozdobiony paciorkami w sposób typowy dla orków. – No dobrze, to ja sam...

Tytoń gościa pachniał tak, jakby dziadek dodał do niego tłuczonych skorpionów.

Przedtem oczywiście wysuszonych.

–Mam prostą sprawę – powiedział. – Uprawiam tu z synami i wnukami ziemię. Mamy trochę pola, uprawiamy zboże, potem sprzedajemy. Świeżo zebrane z pola, nie to, co z zakurzonych magazynów. Ale przeszkadzają nam.

–Kto? – spytał Geralt, uważnie patrząc gdzieś w dal.

–Sam zobacz. – Staruszek pyknął z fajki i wyciągnął z szarawarów kilka kolorowych zdjęć doskonałej jakości. Cynthia ostrożnie zajrzała Geraltowi przez ramię.

Zdjęcia przedstawiały podwórko zadbanego gospodarstwa. Dokładniej, nie podwórko, ale plac wielkości boiska do piłki nożnej, tyle że nieporośnięty drobną trawą, a w większości obsadzony czymś wyższym, mniej więcej na wysokość pasa człowieka czy orka. Dziewczyna, która od dzieciństwa znała elfów myśliwych, doskonale wiedziała, że rośliny można samodzielnie sadzić, a potem je pielęgnować, dzięki czemu osiągają ogromne rozmiary. Obok domu widniała starannie wytyczona dróżka, altanka i fragment drewnianego płotu z idealnie dobranych deseczek. Całą pozostałą powierzchnię zajmowały rośliny.

Drugie zdjęcie przedstawiało to samo podwórze, tylko całkowicie splądrowane. W kadrze widniał leżący róg domu, zwalony płot, pokruszone płytki zamiast dróżki, wszędzie ślady gąsienic... A pole było jak wyprasowane żelazkiem – nigdzie nawet łodyżki. Pozostałe zdjęcia pokazywały zniszczenia w nieco innym ujęciu.

–Sądząc po śladach, buldożer – stwierdził Geralt. – Przy tym kopalniany, nie mniejszy. Dawno to było?

–Przedwczoraj. Zwróć też uwagę, że nie po raz pierwszy. Czwartą działkę już nam spaskudził, gad...

–A pozostałe dawno?

–W ostatnim tygodniu.

–Czy ślady są takie same? – spytał wiedźmin.

–Aha. Ma różne gąsienice, lewa z nacięciem, prawa bez. Specjalnie się przyglądałem, wszędzie jest tak.

Geralt spojrzał uważnie na orka – znajomość profesjonalnych sekretów i formuł u osób postronnych zdarzała się niezmiernie rzadko.

–No cóż – rzekł, zastanawiając się co najwyżej pięć sekund. – Biorę. Będzie to kosztowało... No, powiedzmy, czterdzieści tysięcy, jeśli rosyjskimi.

–Trzydzieści – ze spokojem kutego na cztery nogi besarabskiego kupca zaczął targ staruch.

Wiedźmin znów spojrzał na niego z uwagą. „No, maksymalnie trzydzieści pięć –

pomyślał – jeśli uwzględnisz wahania kursu. Żeby wyszło równo pięć tysięcy hrywien”.

–Trzydzieści pięć – zaproponował. – I to jest ostatnie moje słowo.

–Niech będzie – westchnął staruszek, wyciągając brązową dłoń pokrytą gęstą siatką zmarszczek. Nie wiedzieć czemu przypominała kurzą łapkę.

Nauczyciel Cynthii uściskał ją, ale nie ruszył się z miejsca, na coś czekając.

Staruszek znów westchnął i po raz wtóry sięgnął do przepastnych kieszeni swoich spodni. Wyjął trzy paczki rosyjskich setek i jedną półrubłówek.

–Masz, trzymaj. Wiem, zawsze bierzecie z góry.

Geralt ze spokojem ściągnął gumkę z jednej z paczek i wprawnie przeliczył pieniądze. Suma się zgadzała.

–Jedziemy. Zbieraj się, dziewczyno.

Przygotowanie zajęło im pięć minut – zapakowanie laptopów do plecaków, sprawdzenie broni i zabranie prowiantu do osobnej torby.

Geralt usiadł w kabinie staruszka, Cynthia musiała wejść na skrzynię

pick-upa. Podczas jazdy trzęsło niemiłosiernie, samochód był tak stary, że

zawieszenie wyrobiło się całkowicie, ale jakoś trwało w jednym kawałku. Półorczyce wytrzęsło niemiłosiernie. Wiedźmin jechał w niewiele lepszych warunkach.

Wysłuzone, wygniecione siedzenie wbijało się w tyłek przedpotopowymi sprężynami, trzęsło tak samo jak na skrzyni, a w dodatku w kabinie unosił się nieznośny smród benzyny i tytoniu.

–A co to za oreczka jest z tobą? – spytał starzec, dość sprawnie kierując autem po nierównej drodze. – Zdaje się, półkrwi?

–Uczennica – niechętnie odpowiedział Geralt.

–No popatrz! To teraz i dziewczyny biorą w wiedźmaki?

–Wątpię, czy kiedyś zostanie wiedźminką.

–To dlaczego ją uczysz?

Wiedźmin wzruszył ramionami:

–Płacą mi, to uczę. To łatwiejsze niż uganianie się za maszynami w starych kopalniach.

–Też prawda – zgodził się stary.

Teraz Geralt zauważył mimochodem, że z mowy starego orka jakoś

niezauważenie zniknęły takie słowa mieszkańca prowincji, jak „taboretek”,

„lulka”, „godo”... Ork wysławiał się już jak mieszkaniec samego centrum Wielkiego Kijowa, któremu przy tym nieobce są niektóre sekrety techniki.

„Coś tu jest nie tak – pomyślał wiedźmin. – Dziad coś kręci. Udaje prostaczka, ale po co to robi?”

Przez pewien czas Geralt zastanawiał się, czy nie podjechać do najbliższego kantoru prowadzonego przez krasnoludy i nie przelać pieniędzy na rachunek Arzamasu-16, ale intuicja podpowiedziała mu, aby się nie spieszył.

Intuicji, zwłaszcza niejednokrotnie sprawdzonej intuicji, należy zaufać. I Geralt zdał się na nią.

Choroł długo krążył po jakichś podejrzanych osiedlach, jeśli nawet zamieszkanymi, to tylko przez rozbójników wszelkich ras i maści. Ale na szczęście ich cel znajdował się gdzie indziej – wkrótce zobaczyli osiedla solidnych domów, które raczej można było nazwać twierdzami. Bardzo wysokie płoty, piętrowe, a nawet dwupiętrowe siedziby, olbrzymie działki...

–Jesteśmy na miejscu – powiedział w końcu tubylec i pick-up

zatrzymał się przed bramą kolejnego dworu

–twierdzy. A dokładniej przed tym, co zostało z bramy. A zostało,

trzeba przyznać, niewiele: sama brama, zmięta niczym folia od czekolady, leżała na asfalcie. Ościeżnica z prawej strony była znacznie rozszerzona -buldożer walnął w nią najwyraźniej czerpakiem, przewracając kolumnę z zawiasami i część płotu. Teraz wszystko to w postaci rozbitych cegieł leżało dalej niż skrzydła. Podwójny ślad gąsienic prowadził do środka posesji, do kolejnych zniszczeń.

–Oho! – powiedziała Cynthia ze skrzyni. – To nie lokomotywka bramkę starano...

Geralt obrócił się gwałtownie. W jego oczach widać było wściekłość i uczennica natychmiast ugryzła się w język.

„Tfu, do diabła! – Była zła na siebie. – Znów plotę! A trzeba milczeć...” Wiedźmin

nie wyrzekł już ani słowa. Przeszedł się po podwórzu,

obejrzał zniszczenia, potem podszedł do sprasowanego na płasko pola.

Dotknął delikatnie okaleczoną łodygę, z jakichś powodów powąchał.

Posępnie spojrzał na starego.

A jednak Cynthia zdążyła już poznać nauczyciela. Zrozumiała, że Geralt się skoncentrował. Dla niego coś było w tym wszystkim nie tak. I skoro milczał, z pewnością nie będzie tłumaczyć przyczyn swojego niezadowolenia przy kliencie.

–Czego ode mnie oczekujecie? – sucho spytał starego.

–Wykończ buldożer. Tak mu dołoż, żeby już nie mógł ruszyć z miejsca, zmień go w martwą kupę żelastwa. I to wszystko. Nic dodać, nic ująć.

–Podejrzewam, że możecie mi nawet wskazać miejsce, gdzie się znajduje w tej chwili.

–Słusznie podejrzewasz – ork nawet się nie zająknął. – Pokażemy pięć osiedli, on gdzieś tam będzie.

–No dobrze. Pokażcie.

–Wyjmijcie swój komputer. – Gospodarz uśmiechnął się przebiegle. – I odpalcie go.

Geralt tak uczynił. Jego podejrzania rosły z każdą sekundą. Jeśli stary ork tak znał niuanse zawodu wiedźmina, to dlaczego sam nie wykończył buldożera? Wspólnie z synami i wnukami. Zaoszczędziłby przy tym pięć tysięcy hrywien – albo trzydzieści pięć rosyjskich.

Mogło istnieć tylko jedno wytłumaczenie: chcą wyciągnąć kasztany z ogniska cudzymi rękami. Na przykład rękami wiedźmina, który w samą porę znalazł się niedaleko.

A czym zajmują się w tym i w podobnych domach-twierdzach, Geralt już się

domyślił. Zresztą... jeśli buldożer rzeczywiście jest dziki -wiedźmin zabije go i spokojnie pójdzie w swoją stronę. Nie obchodzą go

ciemne sprawy miejscowych żyjących. W ogóle nie obchodzą go wszystkie ciemne sprawy żyjących. Obchodzi go zabijanie potworów i ochrona miasta. Obojętne, czy przy tym będzie postępował dobrze czy źle. Miastu jest wszystko jedno, co ochroni je przed kolejną napaścią – dobro czy zło. Życie nie ma ulubionych barw. Istnieje tylko ich ciągła zmiana. I dopóki dobro przeplata się ze złem, miasto będzie żyć.

–To tu. – Ork obwiodł koślawym paznokciem rejon, gdzie mógł ukryć się dziki buldożer. Nie uszło uwadze Cynthii, że Geralt potem ukradkiem przetarł to miejsce na monitorze mankietem.

–Jasne. – Wiedźmin zamknął laptop i wsunął go do plecaka. – A jeśli buldożera tam nie ma?

–Jest tam. – Przebiegle zmrużył oczy ork. – Ręczę za to. Nie ma zresztą potrzeby go tropić, popatrz na trasę!

Asfalt jeszcze do tej pory nie pokrył podwójnego łańcuszka śladów gąsienic. Takie ślady nie zabliznią się nawet po dwóch tygodniach, a co dopiero po kilku dniach.

„Rzeczywiście, trasa – pomyślała Cynthia, przyglądając się śladom. – Znajdziemy! Nawet ja znajdę, a co dopiero Geralt?”

–Myślę, że do południa go wytropimy, a wieczorem wykończymy – ze spokojem w głosie obiecał wiedźmin. – Jeśli oczywiście buldożer trzeba będzie zabić. Pozwolicie skorzystać z pick-upa?

–Nie pozwolę – równie niezmaconym głosem odmówił staruch. – Tylko ja nim jeżdżę. Idźcie pieszo, to niedaleko. Albo zdobądźcie sobie transport po drodze.

–Dobrze – nadspodziewanie łatwo zgodził się Geralt i skinął na Cynthię. – Idziemy.

I wyruszyli śladami maszyny. Opuścili podwórze, skręcili drogą na lewo i skierowali się akurat w stronę tych podejrzanych slamsów będących siedzibą różnego rodzaju rozbójników i innych mętów.

–No a teraz – warknął wiedźmin, kiedy odeszli już na odpowiednio dużą odległość – opowiedz mi, na kogo polujemy?

Dziewczyna jeszcze raz zerknęła na podwójne odciski gąsienic.

–No... to jest buldożer.

–A dlaczego, na przykład, nie koparka? – przerwał jej nauczyciel.

–Koparka nie przeszłaby przez łuk, który jest na podwórzu -stwierdziła Cynthia pewnym tonem. – Czerpak by jej przeszkadzał. Drzewa naprzeciwko domu też są nietknięte. A dokładniej, gałęzie nad dróżką. To znaczy nad tym miejscem, gdzie była dróżka.

–Cieniutko – westchnął Geralt. – Ale ogólnie rzecz ujmując, prawidłowo. Prościej byłoby zacząć z innej beczki: na podwórku jest mnóstwo śladów lemieszka. Dobra, dalej.

–Koleina jest szeroka, ponad dwa metry. Gąsienice też są szersze niż u

zwykłego spychacza. Powiedziałaś, że to buldożer kopalniany, ale nie przerabialiśmy maszyn kopalnianych. Myślę, że to taki kolos, jakie widziałam pod Krzywym Rogiem. Bardziej podobna do wszędołaza z czerpakiem.

–Jak go załatwić?

Cynthia zastanawiała się kilka sekund.

–Myślę, że tak samo jak zwykły buldożer. Można unieruchomić gaśienice, na przykład je wybić. Chociaż u tego potwora, jak widzę, są bardzo masywne, granat może nie wziąć.

–Weźmie – zapewnił wiedźmin. – Granat może wziąć dużo. Co jeszcze?

–Silnik. Można popsuć silnik.

–A jak?

–No... – Dziewczyna usiłowała przypomnieć sobie, co tylko wiedziała o silnikach.

–Wszystko wskazuje na to, że to silnik wysokoprężny, a więc strzał w gaźnik nie wchodzi w rachubę. Może po prostu granat pod maskę?

–Dobry sposób – zauważył Geralt. – Ale maska, po pierwsze, jest szczelnie zamknięta, jeśli w ogóle nie jest zaspawana, a po drugie, pod maskę trzeba się dostać. I co najważniejsze, nie mamy ani jednego granatu. Myśl dalej!

–Zbiornik paliwa. W maszynach budowlanych przeważnie jest na zewnątrz. W kopalnianych zapewne też.

–To zależy. A co zrobić ze zbiornikiem paliwa?

–Przedziurawić... jak najbliżej od ziemi.

–Nie przejdzie. Nawet jak przedziurawisz od spodu, zbiornik łatwo można zmienić. Buldożer zacznie szaleć już po tygodniu.

–To strzelić. Wybuchnie. Mało nie poka...

–Olej solarowy nie wybucha od wystrzału – przerwał jej wiedźmin -tylko wskutek sprężenia.

–Tego nie wiem – szczerze przyznała Cynthia. – Jak mnie nauczysz, będę wiedziała.

Geralt ni to się zamyślił, ni po prostu zamilkł. Dziewczyna była przygotowana, że warknie albo w inny sposób okaże swoje niezadowolenie z braków w jej wiedzy, ale nie warknęła. Powiedział za to:

–Zobaczymy. I powinnaś wiedzieć, że rzadko kiedy maszynę można pokonać, zadając jej tylko ciosy.

–To znaczy? – nie zrozumiała Cynthia.

–No, na początek ukradkiem wsypać jej do paliwa cukier. Do zbiornika. A dalej już zależy od okoliczności.

–A co stanie się z maszyną po wsypaniu cukru? – Dziewczyna nie kryła zdziwienia.

–Zgaśnie. Jeśli w ogóle odpali – warknął Geralt. – Ty słuchaj, ale rozglądaj się też na boki. Nie jesteśmy w Centrum...

Cynthia momentalnie wciągnęła głowę w ramiona i zrobiło się jej wstyd.

Rzeczywiście nie było to Centrum. Nie był to też majątek rodowy. Jednak zbyt wcześnie uznała, że jest wiedźminką – to rozpuści język przy obcych, to po otwartym zbójnickim rejonie idzie, jakby to było nabrzeże w Odessie...

Uświadomiła sobie wyraźnie jak nigdy dotąd swoją słabość i prawie całkowitą bezsilność. Łatwo mają tylko ci, którzy wiedzą wszystko lub nie wiedzą nic, choć ci drudzy szybko znajdują śmierć. A jak posiadasz cząstkę wiedźmińskiej wiedzy, od razu zaczynasz rozumieć, jaka dzieli cię przepaść od kogoś takiego jak Geralt. I im więcej się uczysz, tym wyraźniej uświadamiasz sobie, jak głęboka i szeroka jest ta przepaść. Prawie bezgraniczna. Prawdziwa otchłań.

„Ale nawet te wszystkie myśli to jeszcze nie powód, aby się dekoncentrować – upominała Cynthia samą siebie. – Trzeba być czujną! Być przygotowaną na wszystko: na strzelaninę, walkę na noże, ucieczkę, ukrycie się!”

Zaczęła iść ostrożniej, a Geralt przestał się jej czepiać i ciągle przepytywać tym protekcjonalnym tonem.

Wytropili buldożer rzeczywiście około południa. Garbaty potwór brudnożółtej barwy przyciął się w skąpym cieniu przy bramie jakiegoś niepozornego magazynu. Czerpak maszyny swobodnie sięgał dachu i prawdopodobnie mógł odchyłać się do tyłu, co czyniło przeciwnika niezwykle mobilnym – taki nie musi zawracać, aby użyć swej zębatej „łapy”.

Gdy tylko wiedźmin dojrzał cel, stał się skupiony, szybki i drapieżny. Oczywiście nie ruszyli dalej ulicą, na której stał buldożer. Najważniejsze jest własne bezpieczeństwo, rozumiała to nawet Cynthia. Cofnęli się nieco prostopadłą przecznicą i przez kolejną rozpadającą się bramę weszli, jak się okazało, na teren niewielkiego zakładu. Na szczęście nie spotkali na swej drodze ani żyjących, ani wrogich maszyn. Kiedy dostali się na tyły fabryczki, musieli jeszcze sforsować płot, a potem długo robić przejście w ogrodzeniu z drutu kolczastego. Za ogrodzeniem ich oczom ukazał się nieznaną teren – parterowe domy przypominające baraki, a wzdłuż ulicy, na której przycupnął buldożer, stał długi dwupiętrowy budynek. Od tyłu nie miał żadnych drzwi, brama i ich przeciwnik znajdowali się od frontu. Geralt skorzystał z otwartego lufcika w jednym z okien na parterze. Dostał się do środka, otworzył okno i pomógł wejść dziewczynie.

„Na treningach – pomyślała – nigdy mi nie pomagał. Co się z nim dzieje? Boi się, że zacznę hałasować, że znów zawiodę jak ostatnia oferma?”

I tak z punktu widzenia rasowego wiedźmina kimże ona jest, jak nie oferumą?

Zrobiło się jej przykro. Niechby nie miała wiedzy na temat słabych punktów urządzeń kopalnianych, nie znała dobrze sekretów walki z maszynami, ale wejść przez otwarte okno na parterze była w stanie bez

niczyjej pomocy. Tym bardziej po prawie półtoramiesięcznym intensywnym treningu, i to z tak wymagającym i bezwzględny nauczycielem jak Geralt.

Ale Cynthia nauczyła się już, że wiedźmin zawsze ma rację. Wszystko, co robi, rzeczywiście jest konieczne. Czy nie lepiej zatem pogodzić się z tym i przełknąć obrazę? Tym bardziej że Geralt miał jej obrażanie się gdzieś.

Niemal bezgłośnie wiedźmin otworzył zamek w drzwiach. Tymczasem dziewczyna

rozglądała się wokół – pomieszczenie, do którego weszli, było zastawione stołami, a na jednej ze ścian widniała brązowa szkolna tablica.

Geralt omiół spojrzeniem korytarz i rozkazał Cynthii ruchem ręki, aby na razie nie wchodziła. Pochylił się i prześlizgnął w stronę okna naprzeciw drzwi, do których się włamał. Ostrożnie, jak chomik z nory, zajrzał przez matową szybę. A potem przywołał uczennicę.

Dziewczyna zauważyła, że w ostatnim czasie wiedźmin przestał nazywać ją wychowanką. Czyżby miało to coś oznaczać?

Podkraśla się do okna pośrodku długiego pustego korytarza.

Buldożer był stamtąd doskonale widoczny. Geralt długo mu się przyglądał, ponad godzinę. Cynthia straciła zainteresowanie już po dziesięciu minutach, ale nie okazywała znudzenia.

Po raz któryś z rzędu mogła się upewnić, że Geralt wiedział, co robi. Zamiast walczyć na ślepo z oszalałym potworem, czekał, i nie na darmo.

Po upływie godziny i kwadransa brama magazynu otworzyła się i ze środka wyskoczyło dwóch żyjących. Jeden z pewnością był człowiekiem, drugi półkwi orkiem. Człowiek trzymał przy uchu słuchawkę telefonu, ale nie komórki – sądząc po rozmiarach i długiej antenie, był to radiotelefon.

Geralt ostrzegawczo syknął. Dziewczyna również zamarła i patrzyła.

Prawie jednocześnie rozległ się i nasilił odgłos pracującego silnika – do bramy podjechała niewielka ciężarówka marki „Oczakow”. W całym Wielkim Kijowie było ich zatrzęsienie, znała je nawet Cynthia, choć niezwykle rzadko jeździła innymi samochodami niż sportowe i limuzyny.

Dwaj żyjący nadal stali przy bramie plecami do buldożera, czekając, aż mała ciężarówka podjedzie bliżej.

Co najdziwniejsze, mechaniczny potwór wcale na to nie reagował. Dalej drzemał sobie w najlepsze. Nawet wtedy, kiedy ciężarówka, manewrując przed czerpakiem, ustawiła się tyłem do bramy.

–Geralt! – wyszeptała dziewczyna, gdy zrozumiała, co się dzieje. –

Przecież on wcale nie jest dziki!

–Przecież widzę – odburknął wiedźmin.

Tymczasem ze skrzyni ciężarówki zaczęto wyładowywać niewielkie kartonowe pudełka z napisami po bokach. Geralt zmrużył oczy i poruszał ustami – czyżby czytał? Z takiej odległości jego uczennica nie mogła rozróżnić ani jednej litery.

–No – westchnął Geralt po kilku minutach. – Wszystko jasne.

–Co jest jasne? Przeczytałeś napis? I co tam jest napisane?

–Napisane jest „chlorowoderek ketaminy”. Czy wiesz, co to takiego?

–Wiem – zachmurzyła się Cynthia. – Można tym wywołać halucynacje.

–Prawidłowo! Mądra dziewczyna. I obserwował dalej. Ciężarówkę rozładowano bardzo szybko, zapewne nie była pełna.

Oprócz kartonowych pudełek z ketaminą była tam jeszcze niewielka ilość podłużnych białych pakunków. Przez pewien czas kierowca oraz ci dwaj z



magazynu palili i gadali dwa kroki od tego niby-potwora napadającego na posesję starego orka. Potem ciężarówka odjechała, a jeden z pozostałych żyjących wszedł po stopniach do kabiny buldożera. Pokręcił się tam, hałasując czymś, i równie niespiesznie zszedł na dół. Gestykułując i rozmawiając, człowiek i półork wrócili za bramę, po czym starannie ją zamknęli.

–Idziemy stąd... – nieoczekiwanie powiedział Geralt i pochylając się jak wcześniej, zniknął w drzwiach.

Wracali tą samą drogą, którą przedostali się do budynku. I do dzielnicy. Nie zajrzeli tylko na uliczkę z buldożerem.

Dopiero gdy odeszli na przyzwoitą odległość, Cynthia odważyła się zaspokoić swoją ciekawość:

–Jeśli dobrze zrozumiałam, nie będziemy ruszać buldożera?

–Nie będziemy – potwierdził wiedźmin.

–Dlaczego?

–Dlatego, że żaden z niego potwór. Zwyczajny oswojony buldożer, flegmatyczny jak wysterylizowany kot. Chcieli nas wyrolować, moja droga. Wciągnąć do porachunków.

–Czyich porachunków?

–Miejscowych bandytów, którzy zajmują się handlem narkotykami. Widziałaś, co hoduje u siebie na podwórzu ten staruch, który nas wynajął?

–Widziałam. Co to takiego?

Geralt popatrzył na nią spode łba.

–No tak. Zna się na ketaminie, a nie zna się na konopiach. To środek odurzający! Konopie. Rozumiesz?

–A! – zrozumiała dziewczyna. – Po prostu nigdy nie widziałam ich, jak rosną. Nam przynoszono zawsze już nabite lufki.

–No, no – powiedział wiedźmin. – No tak, złota młodzież, panowie życia... Jasne.

Cynthia zasępiła się i odwróciła. Ale gdy tylko Geralt otworzył usta i zaczął tłumaczyć jej, co to wszystko znaczy, wszystkie żale w mig zniknęły.

–Wszystko jasne jak słońce. Te orły, które były przy buldożerze, z pewnością handlują środkami farmaceutycznymi. Z kolei stary na swojej farmie hoduje konopie i tanio je sprzedaje. Konkuruje. Orły postanowiły przejechać się po nim buldożerem. A dziadek, nie w ciemną bitą, postanowił posłużyć się mną. Ale to jedynie półśrodek, oczywiście, że można ściągnąć nowy buldożer. Najprawdopodobniej stary chce zyskać na czasie. Zachować sadzonki, które nie zostały jeszcze zniszczone. Rozumiesz?

–Rozumiem – skinęła głową dziewczyna, ale wszystko się w niej gotowało. – A to gad! I co teraz?

–Nic. Nie jestem jego gorylem, nie będę sprawdzał, jak chroniony jest ten buldożer i jakimi strzelcami są tutejsze oprychy. Zwrócę szmal i niech spieprza.

Cynthia zauważyła, że gdy tylko rozmowa zeszała na temat bandytów handlujących narkotykami, język wiedźmina stał się bardziej wulgarny, choć nie przekroczył

**pewnej granicy... „Szmał” zamiast „pieniądze”, „spieprza” zamiast „niech go diabli”. Zabawne.**

**–Zaczekaj no – przerwał jej rozmyślenia Geralt. – Czy to nie są garaże?**

**–Nie wiem... – Dziewczyna przyjrzała się uważnie. – Są podobne?**

**–Podobne, dziecko, podobne. Co prawda nie do garaży twojej bogatej rodziny, a do zwykłych miejskich garaży... Chodźmy.**

**Przy bramie wyrósł jak spod ziemi ponury wirg z berdanką.**

**–Witaj – swobodnie przywitał go wiedźmin. – Potrzebna bryka.**

**Wirg nie odpowiedział. Najpierw przyjrzał się Geraltowi, potem Cynthii.**

**–Ładna dziewczyna – powiedział zamiast „dzień dobry”, gapiąc się na półorczycę.**

**– Nie chcesz do mnie na pół godzinki?**

**–Nie chcę – sucho odpowiedziała Cynthia. – A jak będziesz nalegał, odstrzelę ci jaja.**

**–Nie trzeba – westchnął wirg, rzucając szybkie spojrzenie na strzelbę dziewczyny, i obrócił się do Geralta. – „Czerkasy” cię urządza?**

**–jeśli nie półzdechłe i z pełnym bakiem, to urządza – powiedział Geralt. – Ile, jeśli rosyjskimi?**

**–Dziesięć paczek.**

**–Pogięło cię? – zdziwił się wiedźmin. – Dwie.**

**–Chyba oszalałeś! Osiem.**

**–Idziemy stąd. – Geralt odwrócił się i pociągnął uczennicę za rękaw.**

**–Hej, zaczekaj, zaczekaj! – zawołał wirg. – A ty dokąd? Pięć!**

**–Stopem mogę dojechać – rzucił Geralt przez ramię.**

**–Trzy? Wiedźmin ani myślał się obrócić.**

**–Dobra, dwie! Bierz, shahnush todd, sknerusie! Geralt zatrzymał się gwałtownie, odwrócił, spojrzał posępnie na wirga.**

**–Wyprowadzaj – rozkazał. – I pamiętaj... Kiedy jestem zły, biada tym, którzy są obok. Dziewczyna też dobrze strzela.**

**Cynthia jakby na potwierdzenie tych słów uśmiechnęła się pobłaźliwie i leniwie zakołysała lufą strzelby.**

**Wirg natychmiast skrył się gdzieś w czeluściach swojej twierdzy. Zamiast niego z wieżyczki nad bramą wyrzął podrostek, też tej samej rasy. Nie miał broni. Z niedowierzaniem patrzył na przybyszy -nieprzerwanie, uważnie niczym sowa z dziupli. Potem brama się otworzyła i znajomy wirg wyprowadził na zewnątrz wspomnianą czerkaskę – niewielkie zwinne auto. Nikt nie nazwałby tego samochodu nowym, ale całkiem zajeżdżony też nie był. Wiedźmin obszedł wóz dookoła, wnikliwie przyjrzał się nabytkowi, z jakichś powodów kilka razy kopnął nogą w koła, usiadł za kierownicą, dodał gazu i wsłuchał się w pracę silnika.**

**–Dobra, ujdzie – burknął z zadowoleniem. – Wsiadaj, Cynthia.**

**Dziewczyna z chęcią otworzyła drzwi. Geralt odliczył dwa tysiące z otrzymanych od starca półrubłówek i podał wirgowi przez okno:**

**–Trzymaj. Bądź zdrow.**

–Bywaj i ty... sknerusie. – Handlarz również nie należał do uprzejmych.

–Nie jestem chciwy – wyjaśnił mu wiedźmin. – Jestem oszczędny.

–Tu nikt nie jest chciwy. – Wirg wprawnie przeliczył pieniądze i wsunął je do kieszenie. – Szczególnie miejscowy bonzo.

–Który to? Ten, który rozbija się buldożerem?

–Ten sam. Wiesz, jak nazywają go miejscowi?

–Jak?

–Spychol.

–Bardzo trafnie – stwierdził Geralt i wcisnął gaz do dechy. Auto zaryczało, zapiszczało oponami przy nawracaniu i pomknęło do przodu.

Do posesji starego orka, plantatora konopi, dojechali bardzo szybko. Tylko raz wiedźmin zatrzymał się przed jakimiś przydrożnymi krzakami -powiedział, że za potrzebą. Cynthia, która jeszcze na terenie zakładu zaczęła się martwić, co jeszcze z tego z tej sprawy wyniknie, czekała na niego w samochodzie.

–Będziesz mi potrzebna – oświadczył Geralt, kiedy czerkaska umilkła. – Po pierwsze, usiądź za kierownicą. A po drugie, jeśli zaczniesz się strzelanina i pierwszym, który wyjdzie z tej bramy, nie będę ja, uciekaj bez namysłu. Jeśli zajdzie potrzeba, strzelaj do każdego, kto zechce cię zatrzymać.

–A ty?

–Ja sobie poradzę. A, jeszcze jedno... – powiedział wiedźmin i spojrzał jej prosto w oczy czarne jak dojrzałe oliwki. – Jeśli odjedziesz sama, nie idź na Poligon Matwiejewski. Lepiej udaj się do Wesemira.

–Co za głupoty opowiadasz! – Cynthia usiłowała ukryć niepokój. – Pojedziemy razem. I lepiej będzie, jak pójdę z tobą. Co dwie strzelby, to nie jedna.

Geralt nie zdążył odpowiedzieć – z bramy posesji wylał się tłum, z tuzin żyjących. Sami orkowie na czele ze znajomym już staruchem. Najmłodszy mógł mieć ze dwadzieścia lat, co w przypadku tej rasy oznaczało smarkatą młodość.

–Zaczyna się – warknął wiedźmin.

Wysiadł i skierował w stronę orków.

–No jak? – przyjaznym tonem zapytał ich prowodyr, staruch. – Poradziłeś sobie?

–Nie – chłodno odpowiedział Geralt. – Rezygnuję ze zlecenia. Oto pieniądze. – Wyciągnął do orka trzy paczki setek.

–Hmm – zdziwił się tamten. – Dlaczego to rezygnujesz? I, o ile sobie przypominam, dałem ci trochę więcej pieniędzy.

–Potrafiłem sobie za fałszywe wezwanie. – Geralt nie okazywał niepewności ani wątpliwości. – A rezygnuję dlatego, że mnie okłamałeś.

–Tak mówisz? – Staruch uśmiechnął się złym uśmiechem. – A w czym cię okłamałem?

–Buldożer, który wyrównał ci konopie, wcale nie jest dziki. To zwykły, oswojony buldożer, kierowali nim żyjący. Twoi konkurenci, aptekarze Spychola. Nie miej mi tego za złe, ale wiedźmini nie wtrącają się w takie sprawy. A zatem zabieraj swój szmal i żegnaj.

**Geralt niedbałym ruchem cisnął pieniądze pod nogi orka.**

**W tej samej chwili, jak za skinieniem Wielkiego Technika, w rękach każdego z orków pojawiła się broń. U niektórych pistolety, u innych strzelby, jeszcze u innych obrzyny. U nieletniego – stary rewolwer. Tylko starzec miał puste dłonie.**

**–Dlaczego mnie obrażasz, co? – zapytał z wyrzutem. – Rzucasz pieniędzmi... Aj-aj-aj.**

**–A co jest nie tak? – Geralt pochylił w bok głowę i zmrużył oczy. – Chciałeś wyrolować wiedźmina. I myślisz, że po tym wszystkim będę przed tobą tańczyć?**

**–Możemy cię ukarać – przymilnie zaskrzypiał staruch. – Ty jesteś sam, nie licząc dziewczyny. A nas – zobacz tylko!**

**Cynthia nie widziała twarzy swego nauczyciela, ale gotowa była przysiąc, że teraz krzywo się uśmiechnął. Nadszedł czas na jego występ.**

**–Grozisz mi? – spokojnie zapytał Geralt. – Grozisz wiedźminowi? Bój się Boga, stary! Ci durnie mogą mieć jakieś nieuzasadnione nadzieje. Ale ty? Ty?!**

**–Ojczy! – nie wytrzymał ktoś w tłumie. – Zastrzelę go!**

**–No dawaj – prychnął Geralt. – Strzelaj, durniu. Zdechniecie wszyscy ku uciesze aptekarzy i samego Spychola.**

**–Nie strzelać! – metalicznym, niespodziewanie ostrym tonem zakomenderował przywódca tej rodzinnej bandy i uniósł kościstą rękę w ostrzegawczym geście. – Czort z tobą, wiedźminie. Zwróć resztę pieniędzy i wynoś się.**

**–Wszystko, co się należy, zwróciłem. Okłamałeś mnie, zabrałeś mi czas. Czas wiedźmina jest drogi. A kłamstwo wybaczę. Przynajmniej za pierwszym razem.**

**–Aaa!!! – wrzasnął nagle smarkacz z rewolwerem i strzelił. GERALTA odrzuciło do tyłu, na plecy, na asfalt. Dosłownie w tej samej chwili smarkacz runął na ziemię z przestreloną głową – młoda, niedouczona wiedźminka domyśliła się, od kogo w pierwszej kolejności można oczekiwać niespodzianki, dlatego wycelowała zawczasu. I zaczęło się...**

**Cynthia strzelała szybko i chłodno. Bez złości, zacierzenia. Czas stanął w miejscu. Były tylko czarne kreski tarcz, lufa strzelby i spust. Nie odczuwała ani strachu, ani bólu.**

**Ból i strach nadejdą później – tego była pewna – a na razie wszystko, co umiała sama, i wszystko, czego nauczył ją wiedźmin, materializowało się w postaci wylatujących z lufy opływowych kawałeczków metalu rozrywających cudze ciała.**

**Dopiero gdy wśród żywych pozostał tylko starzec i czterech orków, którzy zdążyli rzucić broń i podnieść ręce do góry, czas wznowił swój bieg.**

**Dziewczyna z trzaskiem przeładowała zamek, strzelba wypluła ostatnią łuskę.**

**–Cofnąć się wszyscy! – rozkazała z niesamowitym spokojem. Orkowie usłuchali bez szemrania.**

**–Ręce za głowę, plecami do mnie! Znów usłuchali.**

**–A teraz na asfalt, twarzą w dół! Ulegli bez słowa, nawet stary.**

**Dopiero teraz Cynthia pozwoliła sobie spojrzeć kątem oka na GERALTA.**

**Spodziewała się krwi, przestrzelonej piersi, poczerniałej od wilgoci odzieży i różowych pęcherzy na niej.**

**Niczego takiego nie było. Wiedźmin siedział oparty plecami o czerkaskę i ścisnął w rękach strzelbę. Na jego kurtce, dokładnie na wysokości serca, widniała postrzępiona dziura, ale krwi nie było ani śladu.**

**–Zabierz broń i wrzuć ją do bagażnika. Albo nie, lepiej na tylne siedzenie. Potem usiądź za kierownicą – syknął Geralt. – Szybko!**

**Uczennica posłuchała bez słowa. Razem z obrzynami i pistoletami podniosła z ziemi wszystkie paczki setek.**

**–Pieniądze wyrzucić! – oschle rozkazał wiedźmin.**

**Po raz pierwszy Cynthia wykonała rozkaz, zanim go sobie uświadomiła. Paczki z powrotem powędrowały na asfalt, a dziewczyna biegiem rzuciła się do samochodu.**

**–Włączaj!**

**Silnik auta zawarczał, nim zdążyła usiąść za kierownicą. Widać maszyna była obyta z hukiem wystrzałów, nie wyrwała jak głupia podczas walki, wytrzymała!**

**Poruszając się niczym robot albo inwalida, Geralt usiadł wreszcie na przednim siedzeniu i wystawił przez okno lufę strzelby.**

**–Jazda!**

**Cynthia wcisnęła gaz do dechy, wiedźmin aż jęknął. Dziewczyna w myślach skłęła samą siebie: z pewnością jest ranny!**

**Teraz starała się unikać ostrego manewrowania. Minęli kilka osiedli domów-twierdz, przemknęli obok niewielkiego parku i małego jeziora.**

**–W prawo! – zakomenderował Geralt, i jak zwykle miał rację. Po dziesięciu minutach wyjechali na trasę szybkiego ruchu.**

**–Jesteś ranny? – z niepokojem spytała Cynthia. – Mam cię opatrzeć?**

**Nigdy nie myślała, że będzie tak niepokoić się o mężczyznę. O**

**całkiem obcego mężczyznę. Chociaż... czy teraz wiedźmin Geralt to obcy mężczyzna?**

**–Nie jestem ranny – warknął, marszcząc brwi i sycząc. – Co najwyżej stłuczenie.**

**–Ale trafili cię! Widziałam!**

**–Trafili – potwierdził Geralt. – Ale ja jestem mutantem, nie żyjącym. Mam mocne kości.**

**„Bredzi – jeszcze bardziej zaniepokoiła się dziewczyna. – Mamo kochana, co robić?”**

**Nie czuła zapachu krwi. Ale czy to coś znaczyło? Siedząc za kierownicą, nie mogła dokładnie obejrzeć rany. Dlatego zatrzymała się przed pierwszym przydrożnym motelem.**

**–Shahnush todd! – wyszeptał wiedźmin. – Boli jak diabli!**

**I zaczął rozpinąć najpierw kurtkę, potem koszulę – też z dziurą – pod którą była...**

**No tak, kamizelka kuloodporna! Wszystko stało się jasne.**

**–Tfu! – serio rozzłościła się Cynthia. – Ja omal nie oszalałam, a temu zachciewa się żartów! Też mi dowcipniś! Kiedy zdążyłeś ją nałożyć? Przecież cały dzień jesteśmy razem!**

**–Ojej, ojej!!! – stękał Geralt. – Chcesz wiedzieć? Wysiadłem z wozu wcale nie za potrzebą. Najpierw chciałem kamizelkę dać tobie. A potem zastanowiłem się i pomyślałem, że będzie lepiej, gdy ja ją nałożę. Jak widzisz, miałem rację... Au, au!...**

**Pod kamizelką widniał ogromny, fioletowy jak kałuża atramentu siniak. I dziewczyna złapała się na tym, że po tygodniach spędzonych u boku wiedźmina nauczyciela, teraz myśli o nim wyłącznie jak o krwaku, nie o brzydkiej, szpecącej plamie. Dlatego natychmiast złapała za apteczkę. Oczywiście, za wiedźmińską. Geralt nie protestował, gdy Cynthia sięgnęła do jego plecaczka.**

**–Dlaczego powiedziałaś, abym wyrzuciła pieniądze? – spytała po dwóch minutach, smarując siniak, a raczej krwiak, zalecanym przez nauczyciela jaskrawozielonym świństwem o nazwie „eliksir lambda”. – Dlaczego kazałeś zostawić je tym draniom?**

**–Bo to ich pieniądze – wyjaśnił Geralt. – Ja ich nie zarobiłem. A wiedźmini nie biorą cudzego. Nawet od drani. Tak to wygląda, rozumiesz...**

## 7.

Widok z mostu mimowolnie zauroczył Cynthię. Spokojna woda miała szmaragdową barwę, a wysoki brzeg, w kierunku którego jechali, tonął w zieleni. Po zatoce, wydymając ku niebu skośne trójkąty żagli, ślizgało się kilka jachtów. Geralt dotknął ramienia dziewczyny i wskazał na lewo.

–Matwiejewka jest tam. Wzdłuż rzeki.

Cynthia posępnie skinęła, spoglądając na odległy brzeg. Okolony zgrabnymi świecami topoli przypominał gigantyczny grzebień.

Przez ostatnie kilka dni w półorczycy zrodziło się i dojrzało przeczcucie, że Geralt postanowił ją zostawić. Że dosyć ma niańczenia – co by nie mówić – protegowanej przez Wesemira wychowanki.

Dziewczyna myślała o tym, już gdy opuszczali teren opanowany przez klany narkotykowe przebiegłego starego orka i Spychola. Tego dnia przejechali prawie sto kilometrów i spędzili noc pod samym Nikołajewem. Za to przez następny tydzień prawie nie ruszali się z miejsca. Geralt machnął nawet ręką na codzienne treningi i bez przerwy faszerował Cynthię coraz to nową wiedźmińską wiedzą. Głowa dziewczyny aż pękała od przeciążenia. A rano przed odjazdem ledwie zasiadł do laptopa, przeciągle westchnął i rzekł nawet oschlej niż zazwyczaj:

–Starczy. Jedziemy, wychowanko.

Po raz pierwszy od kilku tygodni wymówił to słowo. Cynthia mimochodem pomyślała, czy nie po raz ostatni.

Minęli most. Przejechali przez uliczki zacisznego i czyściutkiego rejonu zabudowanego niewielkimi, najwyżej trzypiętrowymi domami.

–W lewo – zakomenderował Geralt na kolejnym skrzyżowaniu.

Minęli kilka osiedli i czerkaska wjechała na kolejny most – wiedźmin powiedział, że nazywa się on Barbarzyński, a pierwszy to Ingulski.

Osiedla mieszkalne widzieli jeszcze przez kolejne piętnaście minut jazdy, a potem, gdy tylko samochód opuścił rondo z dziwacznym słupem pośrodku, domy się skończyły. Z prawej strony, z dala od drogi stały jeszcze jakieś budowle, z lewej rozpościerało się gołe pole.

–Teraz stój – polecił wiedźmin i dziewczyna posłusznie skierowała samochód ku poboczu.

Geralt bez słowa wyszedł z samochodu. Cynthia za nim. Z nieokreśloną tęsknotą odwróciła się, dopiero teraz dostrzegła, że słup na rondzie wieńczy sympatyczny okręciak. Wyraźnie, niezwykle wyraźnie uświadomiła sobie, że jej życie osiągnęło jakiś ważny moment, kiedy każdy postępek, każda myśl i każde wypowiedziane słowo mogą mieć decydujące następstwa.

–To jest granica Poligonu Matwiejewskiego – oświadczył wiedźmin. – Tam, na lewo od trasy, ale czołgi przechodzą też na tę stronę.

Przyprowadziłem cię tu... jak było umówione.

I zamilkł.

–I... co dalej? – głos dziewczyny nawet nie drgnął.

Sama nie mogła pojąć, skąd wzięła siły, aby zachować na zewnątrz

niezmałony spokój i opanowanie.

–Cofam sobie pełnomocnictwa niańki, Cynthio – z powagą oświadczył Geralt. – Nie wiem, co zamierzasz tu robić, ale za wszystkie dalsze czyny od teraz będziesz odpowiedzialna tylko ty. Nikt więcej.

–A ty co masz zamiar robić? – na wszelki wypadek zapytała półorczyca.

–Wsiąść i odjechać.

–Dokąd?

Wiedzmin uważnie spojrział jej w oczy.

–Widać źle cię uczyłem – wymamrotał. – Co za różnica dokąd? To nie twoja sprawa.

\* \* \*

Prawdę mówiąc, Geralt zamierzał pojechać prosto do Arzamasu-16 i odbyć poważną rozmowę z Wesemirem. Dowiedzieć się, dlaczego wlepili mu to dziwne nauczanie, całkowicie pozbawione perspektyw i sensu – jeśli nie liczyć honorarium, które Wesemir otrzymał niewątpliwie w całości.

–Do widzenia, GERALCIE – powiedziała Cynthia. Jej głos omal nie zadrżał i urwał się. – Dzięki za naukę.

–Żegnaj – krótko rzucił wiedzmin i usiadł za kierownicę.

Sucho trzasnęły drzwi i zawarczał silnik.

Przez kilka minut dziewczyna tępo patrzyła w ślad za odjeżdżającym samochodem. Potem westchnęła głęboko, zarzuciła plecak na ramię, poprawiła strzelbę i zdecydowanie przeszła przez drogę.

Poligon był porośnięty trawą – nieoczekiwanie dużo trawy, ale nie soczystej jak w rodzinnym majątku, a suchej, twardej, spalonej gorącym południowym słońcem. W oddali majaczyły jakieś niewyraźne pagórki i maleńka budka z widocznymi otwartymi drzwiami.

Pomiędzy kępami traw, na warstwie suchej ziemi, tu i ówdzie pojawiały się wyraźne ślady gąsienic. Co i rusz widniały niezbyt głębokie leje, tak po trzydzieści centymetrów, niektóre całkiem świeże.

„Po co tu jestem? – pomyślała zagubiona Cynthia. – Czy jestem w stanie cokolwiek zmienić lub cofnąć? Czy to przywróci Brid do życia?”

Z nieprzyjemną pustką w sercu dziewczyna szła ku wzgórkom i budce.

Była zmieszana, bo nie do końca wierzyła, że to wszystko dzieje się naprawdę. Że uparcie idzie do przodu właśnie ona – dziecko z zamożnej rodziny, od małego wychowana w otoczeniu niań i ochroniarzy, nauczycieli i takich samych dzieci z zamożnych rodzin. Blichtr, luksus. Jeszcze niedawno nie pozwalano jej samodzielnie zrobić jednego kroku, a jeśli nawet zdołała się jakoś wyrwać spod zniechęconej opieki, to tylko w towarzystwie sobie podobnych. Czego doświadczyła? Nudy na zajęciach drogich nauczycieli? Gorzkiego smaku narkotyków zmieszanych z tytoniem? Pierwszej miłości, nieposkromionej, zakazanej, zdobytej i natychmiast utraconej?

Brid, Brid... Dlaczego ukradły wtedy tego nieszczęsnego dżipa, dlaczego



**przekupiły chciwego konduktora w pociągu? Dla przygody?**

**Oto i one: przygody – śmierć pod gąsienicami, złamane serce i szok, że nawet ich, dzieci wspaniałych rodziców, może spotkać nieszczęście. Świadomość nieodwracalności wielu postępów. Świadomość straty i pierwsze myśli o samobójstwie, które na szczęście zastąpiła chęć zemsty.**

**Teraz podąża donikąd, samotnie, Bóg jeden wie gdzie, po dzikim poligonie ze strzelbą u boku i brzemieniem wiedźmińskiej wiedzy w pamięci. Niech nawet ta wiedza będzie niepełna i powierzchowna! Czy Brid patrzy teraz na nią z nieba? Czy potępia ją? A może nawołuje do czynu?**

**Ale na kim się mścić? Na głupiej, zaślepionej maszynie, która nagle uciekła na wolność i zapędziła ich na pole, gdzie nie było żadnych kryjówek? Wiedźmin mówił, że nie ma sensu mścić się na maszynach. Miał rację. On zawsze miał rację. Przecież Cynthia mści się na sobie – na nikim więcej. Za to, że przeżyła. Za to, że mogła po śmierci Brid**

**czegokolwiek pragnąć, za to, że mogła chodzić, oddychać, śmiać się. Za to, że nie znalazła w sobie dość siły, aby umrzeć razem ze swoją miłością. Tu, na Matwiejewskim Poligonie.**

**Często powtarzano jej, że młodość jest nierozważna. Że później, gdy czas pokryje pamięć mglistą zasłoną przeżytych lat, wszystko, co miało tu miejsce, wyda się naiwne, niemądre i niepotrzebne.**

**Bzdura! Uczucia, jakiegokolwiek uczucia nie mogą być daremne, a tym bardziej głupie, jeśli tylko są szczerze. A ona naprawdę kochała...**

**I oto Cynthia przyszła. W oczekiwaniu, że miejsce śmierci Brid wyostre jej tęsknotę i pragnienie zemsty. W oczekiwaniu, że oto jej serce przepelni wicher uczuć i wspomnień.**

**Ale w sercu pozostała jedynie pustka. I oto dziecię wybranych stoi zupełnie samo na samym środku pustego poligonu, a wiatr pieści krótko ostrzyżone włosy. I nie ma nikogo, kto mógłby podpowiedzieć, podtrzymać...**

**Wzgórki okazały się przedpiersiem niewielkich okopów. Budka była pusta, jeśli nie liczyć zaschniętych ekskrementów pod jedną ze ścian.**

**„Jak znaleźć ten przeklęty czołg?” – pomyślała Cynthia zmartwiona.**

Wiatr beznamiętnie kołysał trawę.

A potem, ulegając nie wiadomo skąd zrodzonemu nagłemu impulsowi, półorczyca wyjęła komórkę i biegiem wróciła na drogę. Stojąc już na poboczu, wystukała numer.

–Geralt? Tu Cynthia. Przyjedź po mnie, proszę.

–Dobrze – odpowiedział beznamiętnie.

Przez pełne dziesięć minut dziewczyna ze wszystkich sił starała się zachować w duszy pustkę i starannie odganiała od siebie myśli. Gdy wiedźmin podjechał, gwałtownie otworzyła drzwi i wsiadła do auta.

Geralt o nic nie pytał. Po prostu siedział, trzymając ręce na skórzanej kierownicy, i czekał.

–Miałeś rację, wiedźminie – głucho wyznała Cynthia. – Nie mam tu nic do roboty. Odwieź mnie, proszę, do domu, jeśli masz po drodze. Albo do Wesemira.

Powoli, jakby nie chcąc, Geralt obrócił do niej łysą, wytatuowaną głowę. I spojrzał uczennicy w oczy.

Jego spojrzenie bardzo rzadko wyrażało cokolwiek. Tym razem z pewnością wyrażało zrozumienie. I, jak się Cynthii wydało, akceptację.

A może jej się tylko wydawało...

Zawarczał silnik i czerkaska ruszyła na północ. Dziewczyna obojętnie patrzyła na przesuwane się za oknami drzewa.

Dopiero po godzinie, gdy poligon pozostał daleko za nimi i znów wzdłuż drogi ciągnęły się zwykle miejskie osiedla, wiedźmin przerwał milczenie.

–Jak miał na imię? – spytał.

–Kto? – zwlekała z odpowiedzią Cynthia.

–Ten, kogo kochałaś. Ten, który zginął na Poligonie Matwiejewskim.

Dziewczyna spięła się, nachmurzyła, ale odpowiedziała:

–Nie on, lecz ona... Miała na imię Brid. Brigid Flawio Roksana Brown. Była półorczycą jak ja.

Geralt nie byłby sobą, gdyby okazał jakiegokolwiek uczucia – zdziwienie, zakłopotanie, zmieszanie. Nie okazał. Tylko rzekł cicho:

–Witaj w świecie dorosłych, dziewczynko.

Nie wiadomo, co tak wpłynęło na Cynthię – zmęczenie długim, intensywnym treningiem, szok po wizycie na Poligonie Matwiejewskim czy szklanka oranżady, do której wiedźmin ukradkiem wsypał jakiś swój specyfik. W każdym razie po pierwszym postoju i lekkiej przekąsce przeniosła się na tylne siedzenie, wcisnęła pod głowę kurtkę wiedźmina i zasnęła.

Spała długo.

Miała wrażenie, że we śnie gdzieś ją przenoszono, ale nie chciało jej się obudzić.

I spała tak, gdy Geralt mknął po tranzytowej trasie szybkiego ruchu, gdy opuszczał granice Wielkiego Kijowa, gdy wjeżdżał na teren Arzamasu-16. Kiedy podjechał pod znajomy do bólu budynek, najpierw uściskał Wesemira, następnie przywitał się z Eskelem, Chinfurtem i Oksenfeldem, Władezem i Folipem.

Śpiącą Cynthię wraz z Eskelem przeniósł do wolnego pokoju hotelowego.

„Niech śpi – myślał wiedźmin. – Sen i czas to najlepsi lekarze. Szczególnie gdy leczenia wymaga dusza”.

Wesemir nie protestował. Spojrzał w stalowe oczy Geralta, westchnął i uprzedzając jakiegokolwiek słowa, powiedział:

–Chodźmy do mojego gabinetu. Tam wszystko wytłumaczę.

W gabinecie Wesemira zmieniło się niewiele – no bo co miałyby się zmienić?

Setki zakurzonych tomów na półkach? Stary komputer na ogromnym, zawalonym najrozmaitszymi przedmiotami stole?

Stół wydawał się tak wieczny i niewzruszony, jak sam Wesemir.

–Siadaj – rzucił szef wiedźminów. W jego głosie nie było poczucia winy czy żalu. – A jak ty się czujesz?

–Normalnie – odpowiedział Geralt równie neutralnym tonem. – Nawet udało mi się załatwić parę innych spraw.

–Za chłopca osobne podziękowanie – skinął Wesemir. – A drugie?

–Dowiedziałem się, kto kieruje handlem narkotykami na południu. Nazywają go Spychol. Pierwomajsk, osiedle Wazelinowo. Trzeba by go przycisnąć, niech dostarcza leki i nam. Na pewno ma duży wybór.

–Dobrze, nadam sprawie bieg. Zuch z ciebie, Geralt.

Wiedźmin nie odpowiedział. Nie chciał mówić o starym orku, który hodował konopie. Arzamasowi konopie nie są do niczego potrzebne, a miejscowi żyjący sami niech decydują, czy będą się truć odurzającym zielskiem czy nie.

–Rozumiem, że przez ostatnie kilka miesięcy musiałeś zajmować się Bóg wie czym – zaczął tłumaczyć się Wesemir – ale uwierz, że to było konieczne.

–Dla kogo? – spytał Geralt. Zadał pytanie obojętnie, bez rozdrażnienia czy żalu. Żałować tego, co minęło, cóż może być bardziej jałowe i głupie?

–Dla nas wszystkich. Krewni Cynthii sporo odpalili za twoją działalność oświatową. Na najbliższe dziesięć lat Arzamas ma wszystkiego pod dostatkiem, nawet jeśli żaden wiedźmin nie zarobi ni kopiejki.

–Ho, ho! – zdumiał się Geralt. – Tak dużo? Nie spodziewałem się... słowo.

–Problem nawet nie w tej kwocie – dodał Wesemir. – Mamy teraz otwarty nieograniczony kredyt w „Obołoń-Stożary-Invest”. Jak powiedziałem, na dziesięć lat. Dzięki tobie.

–Stop! – Geralt wyciągnął dłonie do przodu. – Cofam wszystkie moje pytania. Po to warto było się męczyć... Mówiąc szczerze, to tak za bardzo się nie męczyłem.

–No i dobrze.

–A jak rodzicom Cynthii wpadło do głowy, by zrobić z niej wiedźminkę? Przecież to chory pomysł...

–Geralt, w wyższych kręgach są takie intrygi... Można zwariować. Chcieli po prostu, aby na jakiś czas zniknęła im z oczu. Zręcznie wykorzystując jej fascynację.

–Moment. Ten typek, który mnie wynajął, longer, proponował, aby Cynthię sprzątnąć! Dawał nawet pieniądze.

–Wiem, Geralcie. Tego typka wzięto już pod lupę. Zlecił to dziadek Cynthii. Ma chyba kamień zamiast serca. Tu biznesy i reputacja, a tam córka fryzjerka, przy tym kurwa, i wnuczka mieszaniec, a do tego jeszcze lesbijka... Nie ma czego zazdrościć. Nic dziwnego, że chciał wyrwać chwasta.

Geralt tylko głęboko westchnął.

–Trzeba by dziewczynę odwieźć do domu – powiedział i ziewnął. – Odwiozę, jeśli trzeba. Muszę się tylko przespać.

–Ona nie pojedzie – odpowiedział z przekonaniem Wesemir. – Nie zechce. Wiem to. Lepiej niech posiedzi tu kilka miesięcy. Pobędzie z chłopcami, niedługo mamy próby.

–No... ty wiesz lepiej. Dobrze, Wesemirze. Nie mam żadnych pytań. Idę spać.

–Do hotelu?

–Tak. I przechwytyjąc mimolotne spojrzenie szefa wiedźminów, dodał:

–Skończyłem już z niańczeniem.

**Oleg Diwow**

urodzony w 1968 roku w (z czego jest dumny) rodzinie, która wydała na świat wielu malarzy-restauratorów Galerii Trietiakowskiej. W swoim życiorysie pisarz wyróżnia okres służby w wojsku, w oddziałach ciężkiej artylerii, oraz trzy lata studiów na wydziale dziennikarstwa Uniwersytetu Moskiewskiego. Rekordowe zaległości (16 przedmiotów) i chroniczna absencja na zajęciach spowodowały, że na trzecim roku zakończył naukę. Pracował jako copywriter, ale znalazł też czas, by bronić Białego Domu podczas próby przewrotu w Rosji w 1991 roku. Latem 1995 roku napisał jedno z istotniejszych dzieł swego życia – wypowiedzenie, i od tej chwili nie pracuje etatowo. Debiutował w 1997 roku psychologicznym thrillerem *Mastier sobak*, jest laureatem niemal wszystkich prestiżowych rosyjskich nagród, począwszy od „Strannika”, a skończywszy na tak egzotycznych laurach, jak Grand Prix konwentu „Fakon-2000”, który miał szczęście się nie odbyć. Jedyna powieść Diwowa, która nigdy do niczego nie była nominowana, to *Najlepsza załoga Słonecznego* (Fabryka Słów, 2007) -zdaniem autora tylko dlatego, że za dużo w niej słów powszechnie uznanych za nieprzyzwoite. Oleg Diwow opublikował 10 książek, w tym 8 powieści, a także kilka nowel i opowiadania, m.in. *K-10*, *Zdrajca*, *Paranoik Nikanor*, *Wriednaja profiessija*.

**Oleg Diwow**

**Dynks Billy’ego**

**Przekład**

**Ewa i Eugeniusz Dębscy**

**Poniedziałek, dzień**

Trzymaliśmy się naprawdę bohatercko; i ja, i Billy mamy siłę woli, że ho-ho, ale trzeciego dnia przypadkiem zobaczyłem w lustrze swoje odbicie.

Wyszedłszy z kibla, oderwałem jakoś partnera od kontuaru, a potem wyciągnąłem na ulicę. Tam Billy emu zrobiło się nieco lepiej, poznał mnie nawet i pyta:

–Dokąd się śpieszymy, Wanja? Szmal mamy. Szmalu mamy od groma, żeby cię pogięło!

–Ale psychika wysiada – powiadam. – Możesz patrzeć na mnie bez bólu?

Billy mrugał dobrą minutę i tak mi na to:

–Ja tam się już przyzwyczałem, żeby cię pogięło.

Żartowniś! Ma siedem stóp wzrostu i jest czarny jak bryka w kolorze antracyt metalik – aż błyszczący. To raczej do niego człowiek się musi przyzwyczajać.

–Jasne. – Kiwam głową. – Ale już bez jaj, Billy, słuchaj i powaga. Intensywnie trzeźwiejemy, walimy w kimeę, a jutro z rańska idziemy poddać się glinom. Kumaszą?

–Ciągnij diesla! – odpowiada. – Nie wolno szybko trzeźwieć. Wiesz, jakie ja mam poalkoholowe lęki? Można się powiesić, żeby cię pogięło.

–Moje nie są lepsze – oponuję. – Standardowy zestaw. Egzystencjalne przerażenie, gorzka zaduma nad nieodwracalnością śmierci, dogłębne uświadomienie sobie bezsensu wszystkiego. Hej, Billy, partnerze ty mój! A co z naszą siłą woli?

–Mamy ją, że ho-ho, żeby cię pogięło! – melduje mi on, prostując ramiona.

–Czyli zdołamy przetrzymać przewidywane poniżenie z dumnie uniesionymi czołami. I w ogóle najlepsze wyjście z ciągu prowadzi przez pracoterapię.

–Chciałbym być na twoim miejscu – wzdycha Billy, znowu ponuro się garbiąc. Nawet zapomniał o tym swoim ulubionym „pogięciu”.

A późnym rankiem w poniedziałek, capiąc okrutnie niespalonym alkoholem, wpadamy na posterunek i rozsuwając klatami różne takie tam drobiazgi, walimy prosto do szeryfa.

Ten szeroko się do nas uśmiecha.

–Czyżbyście zmądrzeli? – pyta.

–Krótka rzecz ujmując – mówię – panie Gibbson, czniam na lirykę. Dostaje nas pan do swojej dyspozycji na jeden tydzień. Po zakończeniu tego okresu zwalnia pan z aresztu nasze maszyny. My spadamy stąd pełnym gazem i nigdy, słyszy pan, nigdy więcej tu nie wracamy. Proszę zapamiętać też, że ten układ jest kompletnie i całkowicie kwestią pańskiego sumienia.

–Jakiś pan nerwowy, Ivan – odzywa się szeryf.

–Wszędzie będę opowiadał, że pracujemy pod pałą. Wszędzie.

–Ivan, kochany – tak on do mnie zaczyna – to przecież nie jest tajemnicą. Miejscowi wiedzą, że potrzebuję waszego cudownego dynksa, ale odmówiliście mi, dlatego was przycisnąłem. Uwierzcie mi, że ludzie są po mojej stronie. Po stronie tego, kto broni interesów miasta i kto w ogóle... jest w majestacie prawa.

–Się jeszcze zobaczy, kto jest z prawa, a kto z lewa. Dobra, stoi?

–Dobra, ja nagrałem rozmowę – potwierdza szeryf.

–Ja też. I?...

–Czyli przyznaje pan, że pański partner, mister William Mbe... Mbu...

–Mbabete, William Mbabete. Owszem przyznaję, on ma ten, jak się pan wyraził, dynks.

Szeryf patrzy na Billy'ego, patrzy na mnie i nagle mówi:

–A nie łye pan, Ivan?

Ze zdziwienia chwytam stojącą na stole butelkę sodowej i wypijam ją duszkiem. Mój partner, który w ogóle z rana jest zawsze trochę przymulony, a na kacu ostatecznie traci refleks, wyrywa z mojej łapy puste naczynie i coś z wyrzutem syczy.

–Łzę, rzecz jasna – powiadam, chwyciwszy oddech. – Billy nie ma żadnego unikatowego artefaktu. Myśmy się tylko trochę powydurniali, a tubylcy te wygłupy źle zinterpretowali. Niepotrzebnie pan nas zatrzymał, Gibson, tylko żeśmy wątroby sobie popsuli. To co, rozstaniemy się po przyjacielsku? Pozwoli nam pan odjechać po dobremu?

Teraz partner mnie odsuwa, zbliża się do stołu, zawisa nad szeryfem i chrypi przeraźliwie:

–Wypuść nas po dobremu, straszny biały człowieku, póki się nie zaczęło, żeby cię pogięło!

–Dobra – mówi glina. – Nie mam więcej pytań. Proszę siadać, zaraz zrobią wam kawy. Clarisso! Proszę do mnie!

–Wody! – chrypi Billy. – Dużo zimnej wody! I kropelkę whisky.

Zjawia się Clarissa, taka standardowa amerykańska Barbie, aż się nie chce patrzeć. Pyszczek poprawiony, nóżki podrasowane, biust lada moment wystrzeli z bielizny. Musiała, przed korektą znaczy, być straszna jak grzech śmiertelny.

–Clarisso, bądź taka miła, podaj naszym gościom kawy. I zimnej wody.

Billy wyciąga długą swoją łapę i chwytą Barbie za pupę.

–Pięć tysiaków za każdy półdupek, żeby cię pogięło! – oświadcza z niezachwianą pewnością.

Barbie odwraca się i serwuje chuliganowi hak w oko. Z graby, proszę zauważyć. Wychowana czyli. Bo mogłaby i z obcasa.

–Wszystko moje, kretynie – oświadcza dziewczyna wypadającemu z fotela Billyemu. Ma cios, że ja dziękuję.

–Z przodu też? – głośno myśli mój partner, siedząc na wykładzinie i trzymając się za policzek. – A ty co, android czy jak?

–Szefie, czy mogę mu dołożyć jeszcze? – lodowatym głosem pyta Barbie.

–Nie teraz, Clarisso, on jeszcze będzie potrzebny – uśmiecha się bardzo z czegoś zadowolony szeryf. – Proszę jednak o tę kawę.

Blond-bokserka unosi nos i wychodzi.

–Ona ma psychoblok? Jeśli tak, to prosimy o wybaczenie – mówię pojednawczo do gliny.

–Czy wyście w tych swoich stolicach do końca odpięli? – dziwi się ten bardzo przekonująco.

–Po prostu ja i mój partner jesteśmy ortodoksyjnymi naturalami i nie możemy ścierpieć liftowanych, ot i wszystko.

–No to tu macie raj. Ostatnia nasza liftowana w tym roku wyjechała z

miasta. Sąsiedzi ją zaszczuli. A Clarissa dorabiała sobie jako modelka na studiach, jasne? Te robione przy niej wysiadają. Hej, mister Mbu... Williamie! Potrzebujesz apteczki?

Billy odejmuje rękę od twarzy i siada z powrotem w fotelu.

–...żeby cię pogięło... – mamrocze szeryf w osłupieniu, wpatrując się w całą i nieuszkodzoną kość policzkową.

–To nie pański tekst – przypominam.

Wchodzi Barbie z tacą, ciska ją na biurko.

–Dziękuję ci, Clarisso – mówię – i proszę wybaczyć mojemu wspólnikowi. To nie było złośliwe. My, proszę zrozumieć, odwykliśmy od ludzi, którzy wyglądają bez korekty na sto tysięcy dolarów. Przecież dokoła sami liftowani.

–Potwory stołeczne! – prycha Barbie i trzaska drzwiami.

–Nie jesteśmy potworami – tłumaczę zamkniętym drzwiom. – Wręcz przeciwnie, i ja, i Billy jesteśmy bardzo niczego sobie, tylko musi zejść opuchlizna.

–Ona miała na myśli, że jesteście potworami moralnymi – wyjaśnia nam szeryf. – Proszę posłuchać, mister Kouznetsoff, weźmy tę kawę i chodźmy się trochę przejść. Musimy obgadać szczegóły. A pański kolega niech na razie tu... Odpocznie.

Glina ciągle przygląda się Billy'emu, mając nadzieję, że zobaczy, jak mu puchnie jego czarny jak sadza pysk. Ale niedoczekanie!

–A czy ja nie mógłbym też wyjść na chwilkę? – pyta mój partner. –

Kompletnie zapomniałem, żeby cię pogięło, że muszę do sklepu.

Szeryf wysuwa szufladę biurka i wyjmuje butelkę „Jacka Daniela”, w której coś nieśmiało bełta na dnie.

–I ani kropli więcej – oświadcza. – Bo przypomnę sobie, kto tu jest szefem od zabezpieczenia praworządności!

–...i jednocześnie wiodącym prym w kwestii bezprawnego zatrzymania środków transportu – wtrącam.

–Proszę nie robić z siebie durnia – mówi szeryf. – Wszystko odbyło się zgodnie z prawem. A potem wy wpadliście w ciąg. Póki nie wytrzeźwiejecie, nie dopuszczę was do kierowania pojazdami. Powód nieważny. Idziemy, Ivan. Mister Mbe... Williamie! Czuj się jak u siebie w domu, niczego sobie nie odmawiaj.

–W domu zwykle chodzę bez spodni... – zaczyna Billy.

–Zamknij się! – rzuca glina.

–Kumam – dopiero wtedy zgadza się mój partner.

Bierzemy z szeryfem po kawie i wychodzimy. Ukradkiem puszczam oko do kumpla. Wygląda on może i kiepsko, ale przebłycki rozumu już są widoczne. Odżywa nasz Billy. Clarisso, trzymaj się!

Przy bramce stoi ławeczka, drewniana, pomalowana farbą. Co za wiocha! Uwielbiam takie klimaty. Gliniarz siada, kucam obok niego.

–Czy on ten artefakt nosi na szyi? – pyta szeryf, siorbnąwszy kawy. –

Tak po prostu?

–Yhy, na łańcuszku. A kawa niezła, muszę przyznać.

–Co za wariactwo. A co to jest?

–Jeśli nie będziemy wchodzili w detale: meteoryt. Wszystkie te dynksy są meteorytami.

–A jak on go zdobył?

–Wydłubał z poszycia.

Szeryf kiwa głową.

–Proszę posłuchać, Ivan. Ja z wami gram w otwarte karty. Traktuję was jak partnerów. Nie narobiłem wam poważnych kłopotów, a wy, jak mi się zdaje, też raczej ich nie potrzebujecie. Ale... Dlaczego usiłuje mnie pan wykiwać? Pański partner przecież, musi się pan zgodzić, jest lekko mułowaty, co?

–Pan mnie załamuje – mówię. – Nieźle ma pan zdanie o człowieku, który bez zająknięcia może wypowiedzieć zwrot „łęki poalkoholowe”!

–Z pana jest spryciarz, Ivan! Miał pan na pewno tysiące okazji, by przywłaszczyć sobie artefakt. Czyli z jakiegoś powodu pasuje panu, żeby kamień nosił William i żeby wszyscy uważali, że artefakt do niego należy. Więc i ja chcę zajarzyć, gdzie jest pies pogrzebany. Przecież idziemy razem na poważną robotę.

Dopijam kawę i ciskam kubeczek do kosza. Kosz chrząka.

–Radziłbym panu, mister Gibbson – tak mówię – zarżnąć się brzytwą Ockhama. Chyba zaszkodziła panu praca. Nie należy, niech to diabli, wszystkich o wszystko podejrzewać! Prowadzimy uczciwy biznes. I jesteśmy uczciwymi facetami. Owszem, Billy ma dynks, który wykorzystuje nie do końca zgodnie z przeznaczeniem. Ale po pierwsze, jego istnienie czyni z nas mistrzów w swoim zawodzie, a po drugie, kto tak naprawdę wie, do czego służy dynks... Pewnie do niczego. Przecież to kamień. Leciał sobie, nikogo nie zaczepiał, wcale nie chciał stuknąć w ten stateczek, on sam się przyplątał. W bazie został oderwany od poszycia, a Billy go wziął. On, ten kamyczek, go przyciągnął. Słyszał pan, że takie dynksy same wybierają sobie właścicieli?

–Nie mogę uwierzyć, że ten „żeby cię pogięło” jest astronautą.

–Billy był moim „prawym taboretem”.

–Że niby kim?

–Drugim pilotem. A ja byłem dowódcą okrętu zwiadu dalekosiężnego. Obu nas zwolniono z przyczyn medycznych. To łatwo sprawdzić. Zresztą pan już przecież sprawdził. Są jeszcze jakieś pytania?

–Nic nie sprawdzałem – cedzi zrzędlwym tonem szeryf.

–Kumam – mówię. – Przepraszam, nie pomyślałem. Oczywiście, krążą o nas legendy, ale my jesteśmy nieszkodliwi. Zwiad dalekosiężny oficjalnie nie istnieje. Ale... Proszę uważać, że zdradziłem panu tajemnicę państwową. Z czystej sympatii.

–„Żeby cię pogięło!” – przedrzeźnia szeryf.

Nieźle mu Billy mózg podeptał. W tym momencie odzywa się mój com na maksymalnym priorytecie.

–Hej, Wanja! – com woła mnie głosem Billy’ ego. – Przepraszam, że ci przeszkadzam, ale tu jakieś, przepraszam za język, indywiduum pakuje się do mojej fury.

–Na karnym parkingu? – dziwi się glina. – Być nie może.



**–No to się rusz i zobacz, żeby cię pogięło!**

**–Na MOIM karnym parkingu?!**

**–Ciągnij diesla! – radzi mu Billy.**

**Szeryf podrywa się raźnie i pędzi dokoła budynku, a ja za nim.**

**–To niemożliwe! – szeptem drze się stróż prawa. – A skąd on wie? Macie przecież zdezaktywowany alarm w wozie.**

**–Dotknął kamyka. Przecież ma z nim działać, więc się powoli podgrzewa.**

**–A pan, tak nawiasem mówiąc, po co ze mną? – syczy policjant. – Z powrotem! Sam sobie poradzę!**

**–Guzik prawda – odpowiadam. – Myśmy alarmy wyłączyli dla was, a nie dla złodziei. Ten głupek przecież gmera w zamku nie kluczem, tylko wytrychem, bo klucz, mam nadzieję, spoczywa w pańskim sejfie.**

**–Oczywiście, że w sejfie!**

**–Czyli jak się bryce znudzi, to schwyta włamywacza. I tak, i tak będzie pan musiał mnie wezwać.**

**–Och, za co ta kara na moją głowę...**

**–Proszę nas puścić i po problemie.**

**–Ciii!**

**Szeryf przechodzi na krok skradający, wygląda zza węgła, usiłuje coś zobaczyć przez szczelną siatkę ogrodzenia karnego parkingu. Mamroce: „Ach, żeby cię...”. Bez trudu zdejmuje skraj siatki z narożnego słupa i nurkuje w powstałą dziurę.**

**W stolicy chyba bym ociął z powodu takiej naiwności. Tu zaś wprowadza mnie to w rozczulenie. Wsi spokojna...**

**Wśród miejscowych gruchotów jaskrawymi plamami rzucają się w oczy nasze zabaweczki, niebieściutka i czerwoniutka. I jakiś, za przeproszeniem, goryl w policyjnym mundurze usiłuje otworzyć w niebieściutkiej drzwi kierowcy. Szeryf, nieważne, że gruby, skrada się do goryla bezszelestnie i drapieźnie niczym wygłodzony lew. Goryl się poci, przeklina – otwarcie zamka „te-pięć-evo” zawsze jest udręką, a my przecież mamy wozy nie seryjne, tylko na zamówienie.**

**Szef tutejszych gliniarzy zatrzymuje się za plecami goryla, myśli i myśli, a potem po prostu serwuje mu potężnego kopa w zadek.**

**Tamten z dzikim rykiem przykleja się do drzwi. Najprawdopodobniej odruchowo wciska wytrych do oporu w zamek, ponieważ odzywa się antywłam.**

**Głośny trzask wyładowania elektrycznego. Goryl, wydawszy ni to chrapnięcie, ni to jęk, bezwładnie przywiera do szyby otoczony lekką błękitną mgiełką pola siłowego. Mija sekunda i glina-włamywacz wydaje z siebie całą kaskadę dźwięków. Nie tylko paszczą...**

**–Fu-uj... – Szeryf zaciska palcami nos.**

**Gorylowi leje się z portek.**

**Jego szef obrzuca szybkim spojrzeniem okna posterunku, te wychodzące na tyły budynku. Ludzi w oknach od groma. Tam chichoce Clarissa. A tu szczyrzy zęby Billy. Jest zadowolony z naszego antywłamu, lubi demonstrować**

go publiczności.

–No – powiadam – jestem całkowicie usatysfakcjonowany. Mogę złożyć pisemną rezygnację z pretensji. Możemy też obejść się zupełnie bez protokołów. Bo przecież, bydlę, miejscowych nie okrada?

–Okrada – wzdycha szeryf. – I to jak. Trafiały do mnie skargi, ale nie wierzyłem.

–No to pański problem. I proszę zawołać ludzi, zaraz wyłączę przechwycenie.

Przychodzi trójka potężnych glin, kryją uśmiechy, starają się wyglądać rzeczowo. Poczawszy zapach goryla, smutnieją. Po chwili namysłu pakują go do czarnego koronerskiego wora, ładują na wózek i tym sposobem wywożą do odmycia. Szeryf, przybity smutkiem, wlecze się do siebie. Sprawdzam zamek, ponownie aktywuję system i podążam za nieszczęśliwym stróżem prawa. Jako bezgłośny wyrzut sumienia.

–Ach, Marvin, Marvin – mamrocze szeryf. – Głupi bydlaku, taką mi świnię podłożyłeś...

–Jesteśmy jeszcze panu potrzebni? – pytam świętoszkowatym głosem.

–Brak słów, jak potrzebni, Ivan. Błagam, zostańcie. Ale numer – glina, a głos jak u człowieka! Może rzeczywiście

przytrafiło im się nieszczęście. Skoro tak i jeśli po dobremu, to należy pomóc.

Znowu com strzela najwyższym priorytetem. Johnson, bez dwóch zdań.

–Ivan, co jest grane? Zrozumiałem, że postanowiliście w tej dziurze zabalować przez wolne, ale dziś jest poniedziałek, nie sądzisz?

Przysiadam na ławeczce przed wejściem, kiwam do szeryfa, że niby zaraz dojdę.

–Żyjemy, szefie, bambetle bez zarzutu – melduję. – Ale jest problem. Proszę nas więcej nie wysyłać na prowincję, dobrze?

–Znowu?! – drze się Johnson.

–To nieumyślne – mówię. – W piątek, jak dostarczyliśmy ładunek, postanowiliśmy tu przenocować. I skierowaliśmy się do baru...

–Pijanice cholerne!

–Szefie, nie doszliśmy do baru. Jechał farmer pick-upem, z koła poszły mu śruby. I nic by się nie stało, bo co nas to w końcu, ale przy wystawie sklepu stały miejscowe dziewczyny. Billy złapał je w objęcia i uskoczył. Dziewczyny zaczęły wrzeszczeć na całe miasto, bo skąd miały wiedzieć, co jest grane, nie? A po sekundzie zza rogu wyjechał ten farmer. I dokładnie w tę wystawę – dup! Gdyby jechał prosto po ulicy i zboczył, to nikt by nie skumał, że my... Ale ponieważ on w tę witrynę zza rogu... Dla wszystkich stało się jasne, że to jakaś ciemna sprawka. Gliny nam się w gardła powczepiały. My, jak wiadomo, twarz-blacha. Tylko, szefie, oni chyba mają tu jakieś kłopoty, więc nas przydusili. Pomyślałem, pomyślałem i wynająłem im się na tydzień. Co prawda mieliśmy szansę na targowanie się, ale na jakieś trzy dni i tak ugrzęźliśmy.

–Nie ugrzęźliście! – zapewnia mnie Johnson. – Ja was wyciągnę. Zaraz poszukam Liebermanna i od razu startujemy. Liebermann gliny zmiele na hamburgery. Zaraz, a jakim sposobem was przydusili?

–Przegląd techniczny. Brak zgodności charakterystyk faktycznych z podanymi w dowodach.

–Jasne. Znowu Billy się wygadał.

–Co ma do tego Billy? Maszyny tą niezgodnością biją po oczach. Ostrzegałem. Ludzie ślepi nie są.

–Ale Billy się chwalił?

–Szefie, niech pan posłucha – mówię do niego. – Nie o to chodzi. Proszę o pozwolenie na pozostanie tu. Mają, jak mi się wydaje, poważne problemy. Gliny najpierw się stawiały, ale teraz nas proszą. Może zerkniemy, co i jak, co? Może trzeba ludziom pomóc w kłopotcie.

–Jak się wpakujecie w te kłopoty – ryczy Johnson – to do siebie miejcie pretensje! Mogę podłączyć do was Weilanda.

On tak zawsze, ten nasz Johnson. Bez pauzy między przeklinaniem a przejawem troski. Oszczędza czas.

–A Weiland to przyjaciel?

–Wdzięczny klient.

–Kumam – przytakuję. – I chyba kojarzę. To ten gość jak stary kowboj ze starego westernu, tak? – A usłyszawszy twierdzące chrząknięcie szefa, ciągnę: – Ten od obrazu Hogartha? Może się przydać, ale nie teraz. Na razie moim zdaniem jest OK.

–No to dlaczego zadziałał system ochronny?

Tfu, do licha! Jeśli powiem prawdę, że miejscowy glina dłubał w zamku, Johnson się zjeży i na pewno przyleci nas ratować. Z Liebermannem wyjętym z pochwy. Z mieczem karzącym policyjną korupcję i bezkarność.

–Dzieciaki się bawiły – mówię. – Nikt nie ucierpiał, konflikt zażegnany w zarodku.

–No, no – Johnson prycha z rozdrażnieniem i rozłącza się bez pożegnania.

Siedzę sobie na ławeczce i marzę. Myślę, jak by było fajnie siedzieć teraz przy sterach swojej maszynki, wyjść na trasę, dociągnąć do kurierskiej i spokojnie walić nad szerokimi pasmami pól, zielonymi lasami, wysokimi górami... I do domu. I do garażu. I wpaść do baru, i wypić dużo, dużo zimnego piwa. I położyć się spać. Obudzić się odświeżony, wypoczęty, wziąć nowy ładunek i sypnąć przez pół kraju - najlepiej tam, gdzie jest śnieg, jakoś się stęskniłem za śniegiem!

Poza tym chciałbym się ożenić. Ożenić i ustatkować. Pewnie na kacu takie myśli...

Clarissa bardzo by mi pasowała.

I jak na zamówienie właśnie do mnie podeszła.

–Mister Kouznetsoff, szeryf oczekuje pana.

Tak w ogóle to mógłby szeryf szarpnąć się na com, a nie wysyłać kuriera. A może z racji stanowiska nie powinien zaprzętać sobie łba duperelami?

–A czy to prawda, mister Kouznetsoff – pyta Barbie niby od niechcienia

–że pański kolega ma Wszystkowidzący Kamień?

Fajna dziewczucha. Aż nie mogę uwierzyć, że naturalna. I ten nosek leciuteńko zadarty... Nosek, oczka... Mój typ. Biust nieco za duży, ale co zrobić – Południe. Za to nogi fenomenalne. Z niemal nieuchwytnym zakrzywieniem w łydce. Niby nie ma go, a jest. Takie nogi może zrobić jedynie baaardzo utalentowany korektor. Zazwyczaj nogi robi się proste jak wał Cardana. I od razu w image’u coś się nie zgadza. Czegoś brakuje, czegoś naturalnego. Czar pryska.

–Co? – zadaję przelotne pytanie.

–Źle się pan czuje, mister Kouznetsoff?

–Wręcz przeciwnie, kochana Clarisso. Patrzą na panią i robi mi się dobrze. I nie jestem żaden mister, tylko Wania.

–Wa-anja... – wypowiada z przydechem. Całe szczęście, że nie ma obok mnie Billy’ego. Już by zaczął rzeć histerycznie i walić głową o ścianę. Wie, jak nienawidzę tego amerykańskiego „Wanja”, nawet on stara się nie mówić tak do mnie za często. I ciągle marzę, że spotkam dziewczynę, która wypowie to imię jak należy.

–Może lepiej jednak Ivan. Mówi pani, że czeka na mnie szeryf?

–Tak, mister... Ivan.

Przy drzwiach odwracam się na chwilę.

–Pytała mnie pani, co za rzecz posiada Bilty. Oczywiście, Clarisso, to jest Wszystkowidzący Kamień. I to działający. Wie pani przecież, jak Billy uratował siostry Hurt. Dlaczego więc pani pyta?

–To sprzyjający przypadek dla miasta, Ivan. – Barbie patrzy mi prosto w oczy. – Nawet nie marzyliśmy, żeby mieć do dyspozycji człowieka z takim artefaktem. Ale proszę się przygotować, szeryf najpierw zrobi wam test.

–Do licha, co wy tu macie za problem?!

–Jeśli szeryf uwierzy w artefakt, to wam powie. Wzdycham. Wieś to wieś i wsią pogania. Prowincjuszy uważają za łatwowiernych gamoni tylko ci, co wyrosli w megapolisach. A wiejskie życie jest wielce mylące... Sam jestem ze wsi, to co mam nie wiedzieć. Billy i szeryf siedzą naprzeciwko siebie, mierzą się wzrokiem.

–Coście się tak nabzdyczyli – pytam – bracia w rozumie?

–Czekamy na pana – powiada glina. – Czy to z szefem pan rozmawiał?

–Boss daje nam *carte blanche*. Ale prosi, żebyśmy napomknęli pewnemu szeryfowi, że na etacie firmy znajduje się patentowany spec od poskramiania policjantów. Kumas? „Adwokat Liebermann” coś panu mówi?

–Słowo „adwokat” jest mi niewątpliwie znajome – kiwa głową glina. –

A słowo „Liebermann” słyszę po raz pierwszy w życiu. Hm, co by to mogło znaczyć? Dobra, do rzeczy. Williamie, jak się pan czuje? Gotów „się pogiąć”?

Mój partner szczyrzy się wrogo. Trochę go zasmuciły wydarzenia na parkingu. Billy tylko z wyglądu jest oferumą, w rzeczywistości to pedant, nie cierpi bałaganu i rys na karoserii. Aktualnie wini za wszystko szeryfa. Częściowo, jak myślę, ma rację.

–William jest gotów, ale dziś, jak to się mówi, na pół gazu – oceniam partnera. – A jutro najprawdopodobniej na full.

–Dziś nie zażądam niczego niemożliwego – obiecuje glina. –

Przespacerujemy się trochę, zabawimy i możecie odpoczywać.

–„Zabawimy” – cedzi Billy. – Co to, za klaunów robimy?

–No nie – uśmiecha się szeryf, wstając i poprawiając kaburę – klaunady mieliśmy aż nadto w weekend. Czegoś takiego tu dawno nie było, żeby dwu przyjezdnych wypilo cały bar.

Od. razu zaczyna mnie swędzić nos.

–Nie trzeba – mówię – drażnić ludzi jakimiś małostkowymi zaczepkami. Dobra, chodźmy, Billy, pokażemy, do czego jeszcze zdolni są przyjezdni.

–Ze startu stojącego do stu mil w cztery sekundy – ożywia się mój partner. – Hej, szeryfie, zakładamy się o dwie dychy, żeby cię pogięło? Tylko zwolnij główną ulicę na rozpędówkę.

–Cięgnij diesla! – ryczy glina.

–O, widzisz, Wanja? Skumał.

Szeryf, mamrocąc coś o „kretyńskim stołecznym żargonie”, otwiera przed nami drzwi.

Idziemy przez miasto, witamy się ze znajomymi i nieznanymi. Miejscowi to trzy i pół tysiąca ludzi, można sądzić, że wszyscy wszystkich znają. A jeśli nawet ktoś zapomniał czyjeś imię, to nie był powód, żeby się nie przywitać.

W naszej wsi panował taki sam obyczaj. Mimo że nie mieliśmy kanalizacji i wodociągu.

Ale za to nasze domy wytrzymałyby zderzenie z czołgiem, nie to, co tutejsze, obok których człowiek się boi zaparkować brykę, żeby rodzina nie została bez dachu nad głową. Co prawda tu jest ciepło. Jednak i tak ciągle się dziwię, jak oni mogą żyć w tej dykcie.

Na szczęście ludzie jako tacy mili. Zwłaszcza jak się ich porówna z megapolistami, którzy mają uśmiechy jakby przyklejone i fałszywe na

wskroś. Tu się uśmiechają też często, ale widać, że z potrzeby ducha.

Ja od razu rozpoznaję takie rzeczy.

Domek jest białutki, bielusieńki, typowe lokum niemłodej i niepijącej lady – od razu dociera do mnie: tu zmierzamy. Szeryf tylko dotknął dzwonka, a drzwi już otwarte na oścież.

–Dzień dobry, młodzieży! – cieszy się pulchniutka damulka około pięćdziesiątki, cała w różach. – Dzień dobry, szeryfie!

–My służbowo, missis Palmer. – Glina zdejmuje czapkę, przygląda rzadkie włosy.

–Ale najpierw napijcie się zimnej lemoniady!

Samotna paniusia i nie tak zwyczajnie samotna.

Dom jak dom, wewnątrz jeszcze bardziej schludny niż z zewnątrz, ale

cały przesączony poczuciem straty. Ktoś odszedł stąd z zamiarem niewracania.

Do diabła, po co ja siebie podkręcam?! To Billy robi w naszej parze za bohatera.

To na jego artefakt złożono zapotrzebowanie.

Lemoniada jest naturalna i smaczna.

Rozsiadamy się w salonie, każdy na przydzielonym mu fotelu. Damulka przed nami na kanapie, składa pulchne rączki na kolanach, przygotowuje się do skubania chusteczki.

–Och, mogę popatrzeć? Billy zdejmuje z szyi łańcuszek.

–Oczywiście, ma'am.

–Nie, nie, proszę pana, ja tylko popatrzę. A więc taki on jest...

Dziękuję.

Mój partner zaciska kamień w rękę. Malutki czarny kamyczek. Czy jest w mieście choć jedna osoba, która o nim nie słyszała? Wątpię. W zasadzie o magicznych niebiańskich kamieniach każdy coś słyszał. To był popularny temat dobre dziesięć lat temu. Teraz trochę ucichło. Pilotowana astronautyka zgasła jak zdmuchnięta świeca, w kosmosie działają wyłącznie automaty. Żywych astronautów jest niewiele, a możliwość spotkania z nosicielem artefaktu podąża ku zeru, nie mówiąc już o szansie na sprawdzenie jego cudownych właściwości. Gdybyśmy hordami szwendali się po podwórkach, to owszem, temat żyłby. A tak... Iluż ludzi uszczęśliwił Billy? Setkę? Dwie?

Nie licząc oczywiście tych, od zderzenia z którymi niemal codziennie uchyla się na trasie.

–Proszę opowiedzieć, missis Palmer – prosi szeryf.

No proszę, już tarmosi chusteczkę!

–Rozumiecie, mój Ronnie... Mój synek. Jest brokerem w Chicago.

Wcześniej dość często rozmawiał ze mną...

Kłamie. Nie często. Bardzo rzadko.

–...a od dwóch miesięcy nie mogę się z nim skontaktować. Jego com został zablokowany. Powiedziano mi, że pod tym adresem, jaki miałam, Ronnie nie mieszka. Bardzo się niepokoję... Czy mam pokazać jego zdjęcie? Och, nie domyśliłam się, już niosę!

–Nie trzeba – oschłym tonem rzuca Billy.

Co prawda lekko zaklinował, ale to dla niego za mało, więc nie oczekujcie dziś od mojego partnera zrozumienia i uczuciowości.

–Nie trzeba? – pyta zdziwiona damulka.

Żeby tylko Billy nie doprowadził jej do łez! Chusteczka już zgnieciona w kulkę.

–Proszę wywołać w pamięci obraz Ronniego, proszę pani. To znacznie lepsze od zdjęcia. Proszę myśleć o synu. Może pani zamknąć oczy.

–Już, już...

Mój partner też zamyka oczy i mocniej zaciska pięść z kamieniem. Szeryf patrzy na Billy ego tak, jakby gotów był go zastrzelić przy pierwszym gwałtownym ruchu.

Zwisający z pięści łańcuszek lekko się kiwa. Tam i z powrotem. Tam i z powrotem. Żebym się tylko nie zahipnotyzował. W końcu też jestem na kacu.

Billy robi mocny wydech i otwiera oczy. Rzuca krótkie spojrzenie na przyczajonego glinę.

–A co się pan – mówi do niego – panie Gibbson, tak natężył? Natężanie to moje zajęcie. A pańskie to innych natężyć.

Ten już otwiera usta, ale go uprzedzam:

–Nie rób scen, Billy, bądź miły i nie przeginaj.

–Skumałem – kiwa głową. – Co mam pani powiedzieć, pani Palmer? Nic się straszego nie stało. Ale moja informacja może panią zdziwić.

–Mój chłopiec... Jest zdrowy?

–Bardziej od nas. Proszę sobie przypomnieć, czy Ronnie nigdy nie mówił pani, że marzy mu się kariera wojskowego?

Szeryf już nie jest gotów zastrzelić Bill'ego. Usiłuje zestawić dwa obrazy – tego, co to „ciągnij diesla”, i tego, co to wyraża się gramatycznie.

Teraz mój partner nawet postawę ma inną. Siedzi jak arystokrata, czarny gamoń. Jak jakiś kacyk afrykański, monarcha niewielkiego, ale niebezpiecznego ludu.

–Wojskowy... – damulka szepce i blednie.

–O ile dobrze zrozumiałem, proszę pani, com pani syna został zablokowany nieprzypadkowo. Ronnie jest teraz w jakimś tajnym obozie.

To bardzo mi przypomina wstępne testy formacji specjalnego przeznaczenia. Tak więc proszę się uzbroić w cierpliwość, jeszcze przez miesiąc nie będzie się odzywał. Jeśli oczywiście wcześniej nie odpadnie.

Ale takie mam wrażenie, że pani syn jest zdecydowany wytrzymać do końca. To twardy chłopak.

–Oddziały specjalne... O Boże! Czyli tam biorą byle kogo?

–Przepraszam, ma'am, ale pani syn nie jest byle kim. On chce być w piechocie morskiej.

Damulkę zaraz trafi apopleksja. W przerośni. Bo fizycznie to ma zdrowie za dwóch.

–No to my sobie już pójdziemy, missis Palmer – szybko rzuca szeryf. – Miejmy nadzieję, że wszystko ma się tak, jak powiedział William. Cieszę się za Ronniego, cieszę się za panią, i zapewniam, sprawdzę te dane oficjalnymi kanałami.

A sam szarpie mnie za rękaw.

Billy wstaje i bardzo uroczyście kłania się missis Palmer. Ta zaś skubie chusteczkę i mamroce: „Ronnie, mój Ronnie, jak mogłeś tak zdenerwować mamusię...”.

Glina niemal wywleka nas z domu na werandę.

–Ufff! Zdążyliśmy zwać. Bo zaraz się zacznie... Zza drzwi dobiega nas ciche, ale przekonujące wycie.

–Idziemy, idziemy! – rozkazuje szeryf, spychając nas z werandy. Wycie wchodzi na wyższe obroty.

–Dziękuję ci, Williamie – mówi policjant, wyciągając dłoń do

Billy'ego. – I przepraszam za ten niewielki sprawdzian. Po prostu musiałem,

rozumiecie? No? Zgoda? Bo wszystko się zgadza: Ronnie nigdy nie pracował jako broker, jest kapralem piechoty morskiej i bardzo dobrze się czuje.

Mojemu partnerowi ciągle jeszcze łańcuszek zwisa z pięści. I tę pięść podnosi do fizys szeryfa. Bez groźby. Po prostu pcha mu pięść w nos.

–A ta Palmer, kretynka malowana... – glina przerywa w pół słowa i zamiera z otwartymi ustami.

Zaraz Billy sypnie mu z garści za „niewielki sprawdzian”.

–Pan, panie Gibbson – mówi ten jednak, rozciągając słowa i patrząc na wylot przez szeryfa – zawsze był kochliwy. Ale oprócz tego był pan niepoprawnym romantykiem. Dlatego nigdy nie zdradził pan żadnej ze swych kobiet...

Zawisa nad nami męcząca pauza.

A w białutkim domku wycie przybiera na sile i już jakby przechodzi w ryk. Zaraz zacznie się histeria.

–I żony pan nie zdradza, nawet kiedy ma pan na to wielką ochotę...

Policjantowi spod daszka czapki spływa obfity pot. Szeryf strasznie, aż do spazmów boi się tego, co Billy może powiedzieć dalej. Przecież skłamię, zaraza, i nie sprawdzisz tego. A jak nawet nie skłamię – nie udowodnisz. I męcz się potem, człowieku, do końca swoich dni, aż do pośmiertnego zeszywnienia.

Billy wolno, bardzo wolno rozciąga gębę w uśmiechu.

–Tak to, szeryfie! – oświadcza tonem zwycięzcy, cofa pięść i wiesza kamień na szyi.

Wsadza ręce do kieszeni, po czym odchodzi, kierując się do centrum miasta.

Glinę łapie nerwowy tik. Drga mu policzek.

–Ulżyć panu? – pytam. Szeryf chrypi, kaszle i w końcu pyta, nie patrząc mi w oczy:

–Jak ulżyć?

–Billy nie może wycząć tego, do czego czynił aluzje. Z łatwością określi, gdzie w tej chwili jest pańska żona albo jak się czują pańskie poprzednie sympatie. Ale przebadać je na okoliczność niewierności – guza. To nie jego *emploi*.

Policjant zerka na mnie z niedowierzaniem.

–To jest Wszystkowidzący Kamień – wyjaśniam. – Zwyczajnie Wszystkowidzący. Nie mylić z Wszystkowiedzącym.

–A taki też jest?!

–Ivan! – ryczy Billy z daleka. – Żeby cię pogięło, idziesz czy nie?

–Informacja nie zanika, mister Gibbson. Wszystkie nasze postęпки pozostawiają ślady. Ale to jest poza kompetencjami Billy’ego. On tylko widzi to, co jest teraz i tutaj.

–No to jak odkrył moją przeszłość?

–Bez trudu. Przecież ona jest odbita w panu, panie Gibbson.

Szeryf zastanawia się.



–Kuma pan? – ciągnę. – No to świetnie. A my z partnerem powinniśmy walnąć po kufelku zimnego piwa. Proszę się nie obawiać, wyszliśmy z ciągu. Gdzie mieszkamy, pan wie.

Wraca mój partner. Kładzie mi rękę na ramieniu. I mówi do policjanta, mierząc go z góry na dół:

–Bez paniki, szeryfie. Wszystko będzie załatwione profesjonalnie. Już ci wybaczyłem. I nawet Marvin, gnoja śmierdzącego, ci wybaczyłem. Skoro mamy pracować razem, to nie możemy się kłócić. Ludzie dobrej woli muszą trzymać sztamę. Muszą być jedną drużyną, żeby cię pogięło! Kumas? Ale jeśli jeszcze raz ktoś dotknie maszyny, pociągnie diesla na maksa. Wtedy już mi nie przeszkodzisz. Idziemy, Wanja!

Billy mnie odciąga, a glina zostaje na chodniku, zastanawiając się, czy nie popełnił aby straszliwego błędu, zatrzymawszy nas w mieście.

Czuję to w czubku głowy.

I to, że porucznikowi cholernie potrzebna jest pomoc w jakimś od dawna stojącym w ślepej uliczce śledztwie – też czuję.

–Teraz po piwku i na obiadek – marzycielskim tonem oświadcza mój kumpel. – Nawet mi się tu podoba. Fajne miasteczko i ludziska prześmieszni.

–Tylko trochę gorąco.

–Mi się podoba.

–Nie wątpię. Billy, wiesz co, może weźmy Afrykę, jak się napatoczy cargo. Raz, co?

–Gównno tam. – Kręci głową. – Przecież się dogadaliśmy. Ja mam delikatną psychikę, łatwo mnie zranić. Nie dam rady patrzeć na burdel, w którym żyje naród moich przodków.

–A ja to mogę?

–Ty masz swój kretyński rosyjski stereotyp. Ach, ta nieszczęsna Rosja, jak w niej jest źle! Kochacie robić z siebie biedaków. Nie zauważyłem jakoś, żeby tam było źle. Żarcia od zasrania, dokoła blondynki i mercedesy. O, w mojej historycznej ojczyźnie to dupa biała!

–W Namibii, jak mi się zdaje, merców jest więcej niż w Rosji...

–Hej, mister! Mogę pana prosić na chwilkę?

Dwa szkraby po dziesięć lat, obaj w tiszertach z napisami „Uliczny ścigacz”. Wszystko jasne.

–Mister, myśmy się założyli... Pan ma Lockheeda Albatrosa T5?

–Nawet dwa, synu. – Billy uśmiecha się na całą klawiaturę.

–„Te-piątka” może wyjść w przestrzeń kosmiczną?

–Coś ty, przyjacielu! „Teczka” ma pułap dwadzieścia mil. I szczerze mówiąc, jest mało sterowna już na osiemnastu. Majta się jak mydło w wannie.

–Mówiłem! – triumfuje jeden ze szkrabów.

Drugi opuszcza spojrzenie.

–„Te-piątką” nie należy wspinać się tak wysoko – wyjaśnia mój

partner. – To jest maszyna na trasę. Świetna maszyna, bardzo szybka.

–Dziękuję, mister.

Idziemy swoim szlakiem, chłopcy z tyłu wymieniają kuksańce. Zaczął

–wiadomo, ten co przegrał.

–Szczery facet z ciebie, Billy – mówię. – Do bólu.

–Chłopca interesował pułap T5. Podaliśmy mu informację.

–A jakby zapytał: „Mister, a jaki jest pułap pańskiej»teczki«,„?

–To bym mu powiedział: „Chłopcze, ja mam nie standardową

»teczkę«, a»T5 Evolution«,„...

–A gdyby on...

–Wanja, dlaczego jesteś taki upierdliwy?

–Po prostu gadam sobie – mówię. – Chcę się przestawić. Rozumiesz, tam, w

barze, pod kontuarem stoi baryłeczka schłodzonego jasnego piwa. I wzywa mnie.

Krzyczy: „Wania, biegnij szybciej, wypij mnie!”. Żeby nie

zwariować od jej wrzasków, tworzę zakłócenia.

–A mnie się strasznie chce – wzdycha Billy – za kierownicę. I na trasę.

Tak, za kierownicę i na trasę... Patrzę w niebo i nagle dociera do mnie:

od kilku lat nie widziałem Ziemi.

Kiedy człowiek długo nie widzi Ziemi z boku, zaczyna mieć do niej nieodpowiedni

stosunek. Odnosi się do niej jak do jakiegoś zwyczajnego ładu, który można deptać

stopami. A Ziemia przecież jest żywa. Przez pewien czas marzyłem, że wszystkich

idiotów, którzy urządzają tu wojny i inne świństwa, wyciągnę na sto mil w górę i

zmuszę do uświadomienia sobie, gdzie tak naprawdę żyją. I jak ostrożnie należy się

tu zachowywać.

Dopiero po latach zrozumiałem, że między nimi i nami jest zasadnicza różnica.

Można im pokazywać wszystko, co się żywnie podoba.

A do nich po prostu nie dociera.

Przypominam sobie to moje smutne odkrycie i duszę przepelnia mi smutek, ale od

razu mówię sobie: „Ivan, to są tylko poalkoholowe lęki”.

A tu się bar po drodze napatoczył.

I z baru wychodzi, niepewnie krocząc, miejscowy menel, widzi nas i drze się na

całą ulicę:

–Billy, mordo stara, żeby cię pogięło! Zapytaj kamyczka, z jakim

wynikiem Byki w tym tygodniu potną Gigantów!

–Ciągnij diesla! – radzi mu mój partner.

Jak wielu wysokich mężczyzn nie znosi koszykówki.

Poniedziałek wieczorem

Ulokowano nas u babci Hurt. Ojciec uratowanych dziewczynek od

razu tak zaordynował: „Chłopy, sprzedam dla was ostatnie spodnie, ale do

swojego domu was nie wpuszczę. Sami widzicie – dziewczyny mam jak maliny, seks

im z uszu tryska. Zakochają się w przybyszach i uciekną. Czy mi to do szczęścia

potrzebne?”.

Szczerze mówiąc, dziewczyny były takie sobie, ale oczkami do nas strzelały

całymi seriami, dlatego z Billy'm żeśmy zgodnie ustalili: tacy goście jak my nie są Hurtowi do szczęścia potrzebni.

A babcia Hurt okazała się skarbem. Urządziła nas, nakarmiła, ułożyła do snu, niemal bajeczkę na dobranoc opowiedziała. A wszystko z godnością, bez zbędnej krzątaniny i głupiego przymilania. Aż się na lirykę przestroilem – nagle pomyślałem sobie, że kawaler w średnim wieku to czasem okrutnie jest łasy na ciepło matczynej dłoni. Billy też powiedział: „Oj, mama mi się przypomniała!”.

Ale najpierw był wieczór trudnego dnia – poniedziałku.

Przyszliśmy z baru leciutko weseli, mając nadzieję wrębać smaczny obiad i się wyluzować. Jeszcze w domu ściągnąłem sobie nowy katalog tuningowy, ale ciągle nie miałem czasu pobuszować po nim po ludzku. Mój com twierdził jednak, że już z piątku na sobotę przejrzałem katalog od dechy do dechy, a następnej nocy usiłowałem nawet coś zamówić, tylko nie potrafiłem prawidłowo wprowadzić pinu karty. Nic takiego sobie nie przypominałem.

Billy zamierzał wywiedzieć się u babci, gdzie tu imprezuje młodzież, pójść tam, przypadkowo spotkać Clarissę i jak należy zawrócić jej w głowie.

„Uważaj, bo ci wpietrzą!” – zauważyłem, ale mój partner tylko prychnął.

W takim oto błogim nastroju usiedliśmy do babcinego stołu łamiącego się od potraw i wszystko było wspaniale, póki jedno rzucone od niechcienia zdanie nie obudziło mojej czujności.

–Czyli Ronnie Palmer jednak poszedł do wojska... – bąknęła babcia.

A ja zrozumiałem: zaraz się zacznie.

Goście ruszyli ławicą, zaledwie wstaliśmy od stołu. Babcia bardzo zręcznie namówiła nas, żebyśmy wypili sobie kawki w salonie. A tam już jakoś tak naturalnie znalazł się i stary Jack, i chichotka Molly, i wdowa Kramer, i hałaśliwa rodzinka Roadsów, i emerytowany pułkownik Mówcie-Do-Mnie-Po-Prostu-Pułkowniku, i jeszcze od groma sąsiadów.

Wszyscy oni, rzecz jasna, po prostu przechodzili obok i postanowili wpaść, ot tak sobie.

Poza tymi, co tradycyjnie w poniedziałki wymieniali się z babcią przepisami kulinarnymi.

I tymi, co zawsze w poniedziałki potrzebowali jej konsultacji w sprawie nawożenia roślin ozdobnych.

To oczywiście z łatwością można było załatwić przez com – poza zjedzeniem placka, rzecz jasna – ale tu się tego tak nie załatwiało. Tu się chodziło w odwiedziny.

Odniosłem wrażenie, że tak naprawdę sprawę do babci miał tylko stary Abe Pewsner: potrzebował lutownicy. Otrzymałszy sprzęt, usiłował nawet zwać, ale pochwycono dziadka i usadzono do konsumpcji ciasta.

Rozmowa płynęła od tematu do tematu i nijak nie mogła zacumować przy wątku interesującym wszystkich. W końcu Billy, którego nieubłaganie ciągnęło w okolice rozrywek młodzieżowych, ciężko westchnął i wyczekawszy na krótką pauzę, oświadczył:

–Nawiasem mówiąc, przyjaciele moi, skoro już tu wszyscy jesteście,

może mógłbym jakoś odwdziżyć się temu miastu za gościnność?

Sformułowanie to, po mojemu, nie było najszcześniejsze, wszyscy przecież wiedzieli, że szeryf zatrzymał nam maszyny. I w jakim celu – też wiedzieli.

Ale Billy nie dał miejscowym czasu na wstyd. Po prostu zdjął kamień z szyi, zacisnął go w garści i zapytał:

–Przecież chciałby pan wyjaśnić jedną rzecz, szanowny pułkowniku, czyż nie? To może ukryjmy się w kuchni, żeby nam nikt nie przeszkadzał.

I się zaczęło. Billy tylko wysuwał głowę przez szparę w drzwiach i mówił: „Dobra, missis Kramer, nie jestem ślepy, coś pani zgubiła i nie może znaleźć... Wchodź, Molly, wróżka ze mnie kiepska, ale kamień podpowie, do kogo rwie się twoje serce... Jack, opisz mi swojego tradera, zastanowimy się, czy można mu ufać... Abe, jesteś pewien, że stara matczyzna płyta główna domaga się kontaktu z lutownicą?”

W salonie babci było coraz weselej i jakoś po domowemu. Goście okazali się nad podziw miłymi ludźmi, nawet pułkownik (nie trawię zimnokrwistych zabójców, również emerytowanych). Wszyscy oni żyli sobie w przyjaźni i kochali swoją miejscinę. Na dodatek starsze pokolenie -jak by to ładnie powiedzieć?... – było opasane, i to na krzyż, na poły zetlełymi więzami miłosnych zaszłości, biznesowych kontaktów, zawiści, kłamstw i obłudy. W ich przeszłości nie brakowało takich rzeczy jak seks, pijaństwa, rozliczenia na pięści i na sali sądowej. Ale nie zacinali się w złości, a pamiętali tylko dobre rzeczy. Pewnie dlatego, że miasteczko było małe i jeśli ktoś nie potrafił ludziom wybaczać, to tylko sam zatruwał sobie życie.

Podobali mi się. Oni i ich miasteczko.

Nie, nie pałałem żądzą pozostania tu na długo. Mam nieco inne priorytety, a starość w ogóle zamierzam powitać w ojczyźnie. Nawet gdyby weszła tu Clarissa i powiedziała: „Ivan, jestem twoja na wieki!” -musiałaby się pogodzić z moim wyborem. Ale... Dziś było mi tu ciepło. W żadnym megapolisie nie znajdziesz takiej niefałszywej kompanii. W megapolisach każdy żyje dla siebie, czyli w każdej sekundzie może pokazać kły.

–A tobie co zginęło, maleńka?

Jakbym się ocknął. Billy siedział w kucki przed maleńką Roads i uśmiechał się do niej najlepszym ze swoich firmowych uśmiechów.

Dziewczynka miała jakieś siedem lat i bała się. W jej duszy osiadł głęboki infernalny lęk. Narzucony lęk. A wszystko przez przyjaciela, z którym mała była bardzo zżyta. Ten przyjaciel nagle zginął fatalnie i zdążył przerzucić na nią fantom śmiertelnego przerażenia.

–Zaginął nasz pies – odpowiedział za córkę czerwoniczy tata Roads. – Jej pupil. Wszędzie go ze sobą brała jak najukochańszą zabawkę. Stary pies, irlandzki terier. Tak się też wabił: Terry. Wybraliśmy się na piknik i Terry zwał do lasu. Był już ślepany, pewnie po prostu się zgubił i umarł.

–A co wy tam macie? – zapytał Billy, patrząc ponad głowami.

Dodam: patrząc dokładnie na północ. Poczulem, że teraz, po raz pierwszy tego wieczora, Billy działa naprawdę.

–Tak, to było dokładnie tam – przytaknął tata Roads i zaczął dziwnie

często mrugać. – To północny las, do niego się nie chodzi. To znaczy, źle się wyraziłem, nawet bardzo się chodzi, i na grzyby, i na pikniki miejsce wspaniałe. Ale tylko z brzegu. Jeśli się ktoś zagłębi, to mniej więcej milę dalej las rzednie, a zaczynają się bagna. Tam kiedyś był kopany torf, potem zaniechano tego. Nikomu się nie chciało bagien osuszać, bo i niby po co.

–Pokażcie mi Terry' ego – powiedział Billy.

Łańcuszek zwisający z jego garści znowu się rozkołysał. Tam i z powrotem. Wiecznie się tak kiwa. Słabiutka motoryka. Myślałby ktoś, że ręka jest nieruchoma, ale tak naprawdę to ona się ciut-ciut porusza.

–Aha-a... – mruknął mój partner. – Malutka, a teraz ty. Proszę cię, żebyś sobie przypomniała Terry'ego. Zamknij oczka i przypomnij go sobie.

Potrzebował dużo czasu, znacznie więcej niż zazwyczaj. Jak należało oczekiwać, po pół minucie dziewczynka się rozplakała.

–Przepraszam – powiedział Billy. – Słowo honoru, bardzo żałuję, ale nie ma innej metody.

–To nic – skłamał tata Roads.

W rzeczywistości już żałował, że tu przyszedł. I wahał się między chęcią odprowadzenia rodziny do domu a kuszącą ochotą przylutowania mojemu partnerowi w oko.

Córka Roadsza siedziała na kolanach mamy, przycisnąwszy policzek do jej piersi. Płakała cichutko i żałośnie. Bardzo po dorosłemu.

–Posłuchaj, kochanie. – Billy pochylił się do dziewczynki. – Myślę, że już się domyśliłaś, że Terry umarł. Ale chcę ci powiedzieć, że umarł lekko i promieniście. Po prostu położył się pod drzewem i zasnął. I nie obudził się. Przecież był już bardzo stary. I umarł ze starości.

Mała wolno odwróciła do niemu mokrą twarzyczkę.

–Naprawdę? – zapytała.

–Naprawdę – skinął głową Billy.

–Słowo honoru?

–Słowo honoru.

–A czy my go znajdziemy? Terry'ego trzeba pochować.

–Sądzę, że to się nie uda, bączku. Mój kamień nie może podpowiedzieć, gdzie dokładnie zasnął Terry. On mi tylko podpowiedział, co się stało i jak to się stało.

Dziewczynka westchnęła i znowu ukryła twarz na piersi mamy.

–Przepraszam – powtórzył Billy.

Na tatę Roadsza starał się nie patrzeć.

W tym momencie ulicę zalał charakterystyczny niski warkot, a pod same drzwi podjechało coś potężnego, przy tym wcale nietaniego.

–Czyżby młody Weiland? – zdziwiła się babcia i poszła otworzyć.

Do drzwi już ktoś dzwonił. Mój partner z wyraźną ulgą usiadł wygodnie i wyprostował ramiona.

–Tylko bez ekscesów – poprosiłem.

–Ale on łaknie kłopotów! – oświadczył Billy. – Młody, bogaty, pijany i w corvecie. Czego może szukać poza kłopotami na swoją dupę? Przepraszam panie, wyrwało mi się.

–Wszystko się zgadza, Williamie. Bardzo trafna charakterystyka – powiedziała wdowa Kramer.

–Tak jest – skinął głową pułkownik. I nawet papa Roads burknął coś twierdzącego.

–No, gdzie ten nasz jasnowidz? – doleciało nas od progu.

–Jedź lepiej do domu, chłopcze – odpowiedziała babcia.

–A może potrzebuję pomocy? Przecież nie odmówi pomocy człowiekowi!

–Potrzebujesz nie pomocy, a dwu tabletek alka-seltzer przed snem. Sprawdzony patent. Rano będziesz jak motylek.

–To jest po prostu nie po chrześcijańsku, ma’am, przeganiać tak od progu znużonego wędrowca...

Podszedłem do drzwi salonu. Na progu domu stał młody okaz w wymiętym drogim garniturze. Z powodu rozczochranych włosów wyglądał jak ktoś z bohemy. Ale tylko na pierwszy rzut oka.

–Mój przyjaciel jest zmęczony i nie będzie mógł pomóc panu – powiedziałem. – Przykro mi. Proszę przyjść jutro.

Chłopak był podobny do ojca, ale u tamtego nie zauważyłem takiego bezczelnego uśmiešku. Takiego czegoś na twarzy Weilanda nawet nie mogłem sobie wyobrazić.

Za plecami młodzieńca stała niebieska corvetta wyprofilowana aerodynamicznie aż do przesady. Pechowa maszynka. Zwykle na takich wyfiutowanych furach wożą się ci, co nie potrafią sensownie nimi kierować.

–Niech się choćby pokaże – zażądał chłopak. – Skoro nie wpuszcza się mnie do domu.

–Oto ja – oznajmił Billy za moimi plecami.

–Aha! – ucieszył się chłopak. – Cześć! Mam dla ciebie propozycję. Wyjdź, co?

–Gregu Weilandzie! – podniosła nieco głos babcia Hurt.

–Wszystko w porządku, ma’am Hurt, przecież pani mnie zna!

–Znam cię – skinęła głową. – Dlatego wszystkie propozycje tylko przy świadkach. Plecami wyczuwałem, jak w salonie denerwuje się pułkownik. Chociaż spróchniały z niego pniak, mógłby położyć Grega jednym pstryknięciem. Zresztą każdy z tych staruchów wygrałby ze szczeniakiem. Nawet Abe, czy to z lutownicą, czy bez. To wszystko były szczątki umierającej Ameryki, kraju-legendy, gdzie kowbojskie buty nosiło się nie dla szpanu.

A jednak wszyscy oni się denerwowali. Przerazały ich pieniądze Weilandów.

Dwie rzeczy doprowadzały mnie do szału: jedna w ojczyźnie, a jedna tu. Rosja nienawidziła cudzego bogactwa. Ameryka się go bała.

–No, w sumie – zaczął Greg – myśmy tu z chłopakami postanowili się pościgać...

–Czy ja wyglądam na miłośnika ulicznych wyścigów? – spytał Billy.

–Masz niezłą brykę.

–Stoi na karnym parkingu. Do widzenia, młodzieńcze. Przekaż ojcu ukłony. Miło było mieć z nim do czynienia.

–Jasne. Ten się zeszczął. A ty? – Greg przeniósł szkliste spojrzenie na mnie.

–Ja też nie ścigam się z amatorami – wypaliłem cholera wie po co. – I moja bryka też jest na karnym parkingu.

–Oczywiście, jestem amatorem – skromnie bąknął chłopak. – Ale wystarczy, bym kiwnął palcem, i wasze fury będą wolne. Natychmiast. Jedźmy, odbierzemy je.

–Zamierzamy dziś wieczorem odpocząć – powiedziałem, starannie udając układność. – Dlatego, z całym szacunkiem, ale prosimy o wybaczenie.

–Hm... Dobra, jedziemy, odbierzecie fury po prostu dla siebie. Po prostu odbierzecie. Przecież to głupie zostawiać wozy glinom.

–Dziękujemy za troskę, Greg, ale wszystko jest w jak najlepszym porządku. Niech sobie maszyny tam stoją. Pod ochroną.

–Kpicie ze mnie, tak? – z nadzieją w głosie zapytał młodzieniec.

–Dobra, znudziło mi się – oświadczyła babcia Hurt. – Wytrzeźwiej, chłopcze! I mocno dźgnęła Grega łokciem w pierś.

A on tyłem zeskoczył z werandy i zachwiał się, usiłując utrzymać równowagę. Babcia zatrzasnęła drzwi, po czym odwróciła się do mnie i Billy'ego.

–Nie zgadzajcie się na żadną jego propozycję – powiedziała z powagą.

–Greg to zepsuty chłopak, w głowie ma tylko podłość. Co poniekąd już zostali bez maszyn, zgodziwszy się na jego namowy. Co poniekąd trafili do szpitala.

Na ulicy ryknęła turbina. Dom zadygotał. Dupek Greg dał nam do zrozumienia, co o nas myśli – zawrócił w miejscu corvette, poderwał ją i wystrzelił nad domem. Debillo. Nieważne, że złamał przepisy, a przepisy bezpieczeństwa w szczególności. Po prostu w kulturalnym towarzystwie taki manewr jest równoważny splunięciu w twarz. Za przelot nad głową biją po pysku, jak dorwą.

–Nie ścigamy się z amatorami, ma'am – powtórzyłem. – A jeśli mam być szczery, to z zawodowcami też nie. Nasz biznes to szybkość i niezawodność. Nie ma tu miejsca na zabawy.

–Ale za ostrzeżenie dziękujemy – dodał Billy. – Wanja, pozwól na chwilkę. Chcę cię o coś spytać.

W kuchni mój partner otworzył lodówkę, ale wyjął z niej nie piwo, jak oczekiwałem, tylko mineralną.

–Ależ miałem ochotę dać mu w łeb! – przyznał się, zrywając kapsel. – Zjawia ci się takie rozumiesz... indywiduum, żeby cię pogięło. Ach, zimniutka...

–Gorąco ci się zrobiło?

–To też. Wanja, nie podoba mi się historia z psem. Do dupy miał śmierć. W dzikim przerażeniu.

–Wiem. Na córce Roadsów wisi fantom, dojrzałem go.

–Można to zdjąć? Szkoda tej małej aż strach. To i tak dziewczynka z problemami, tylko jej dodatkowej traumy brakuje.

–Zobaczę, Bill. Do diabła, co za licho siedzi w tym ichnim bagnie? Jeśli się tego

nie wyjaśni, to dziewczynkę z problemami będzie pełno w mieście.

–Owszem – zgodził się mój partner. – Kryje się tam jakieś gówno śmierdzące jak rzadko. Aż mi ciarki chodzą po skórze. Ciekawe, szeryf w bagno chce nas zapędzić? Może zapytamy go od razu, teraz i zaraz?

–Wieczór mamy i tak beznadziejnie spieprzony!

–Czyli należy go beznadziejnie spieprzyć jakiemuś fajnemu człowiekowi!

–A może najpierw się przespać?

Billy zmarszczył czoło, pomyślał i powiedział:

–Niegłupie. Jak usłyszysz, że skrzypi łóżko, nie przestrasz się: po prostu śni mi się Clarissa.

Kiedy wyszliśmy z kuchni, salon był już pusty i babcia Hurt sprzątała ze stołu.

Rzuciliśmy się jej do pomocy.

–Dziękuję, chłopcy – powiedziała. – Goście rozeszli się, kiedy was nie było. Przepraszam was za ten spęd, ale nie mogłam ich wyrzucić. Nic tylko daj im jasnowidza z Wszystkowidzącym Kamieniem.

–To mój krzyż – westchnął mój partner – i nieść go na swoim umęczonym garbie zamierzam z pokorą. Zresztą przeciw czemu się buntować mnie, grzesznikowi? Kim byłem, póki nie trafił w moje niegodne ręce ów kosmiczny głaz? Zwyczajnym człowiekiem pracy. A teraz jestem ho-ho! Wielki czarny mag William Mbabete, żeby cię pogięło! Przepraszam, ma'am, wyrwało mi się.

–Niech się wyrывa, nie należy tłamsić w sobie. Jestem z zawodu nauczycielką – oświadczyła babcia, ładując naczynia do zmywarki. – Nie takie się słyszało. A i małżonek mój, niech mu ziemia lekką będzie, szanował mocne słowa.

–Północny las zawsze cieszył się złą sławą? – zapytał niespodziewanie Billy. Babci palec zawisł nad przyciskiem programatora.

–Nie-e – zaprzeczyła przeciągle. – Nie. Za mojej pamięci nikt w bagnie nawet nie utonął. Chociaż po lesie łazili ludzie, często mocno pijani. Tam jest dużo grzybów i w pobliżu znajduje się tradycyjne miejsce piknikowe. Ale do bagna po prostu nikt się nie zbliżał, bo i co tam można robić, a poza tym moskitów straszliwe ilości. Ale w ostatnich czasach...

–Zniknął nie tylko pies? – podsunąłem z zamierającym sercem. Bardzo chciałem się pomylić.

–Sądzę, że szeryf z tego powodu tak się wczepił w Williama – powiedziała babcia. – Pies... Od psa się

zaczęło. Następnego dnia w lesie zaginęła dziewczynka. Jedenaście lat. Miła taka dziewczuszka, Sara Sayer, znałam ją.

–Ale dziecko nie może zaginać! – niemal krzyknął Billy.

–Może, jeśli jego dziecięca bransoleta się nie odzywa. Mój partner jak stał, tak usiadł.

–To też był piknik? – zapytałem, starając się nie poddawać uczuciom.

–Nie-e, to bardziej skomplikowane. Sara była uważana za nieco dziwne dziecko, rodzice nawet poszli z nią do psychiatry, ale ten



powiedział, że wszystko mieści się w granicach normy. To była dość zamknięta w sobie dziewczynka, w wolnym czasie oddawała się zajęciu uważanemu tu za pustą rozrywkę. A mógł z niej wyrosnąć wspaniały ekolog. Już we wczesnym dzieciństwie ujawniła się u niej „zielona ręka”. Słyszeliście o czymś takim? Tak się mówi o tych, co potrafią znaleźć wspólny język z przyrodą. Sara hodowała drobne zwierzaki, wspaniale znała się na kwiatach i ziołach, nawet mnie czasem doradzała. Widzieliście mój sad? I dużo chodziła po okolicy. Czasem znikła w lesie na długo. Nikogo to nie niepokoiło, przecież my tu żyjemy w sumie po wiejsku. Każdy uczeń zna każdą ścieżkę w promieniu pięciu albo i dziesięciu mil. A te bransolety... Osłabiają czujność, rodzice wyzbywają się niepokojem...

Oczywiście, w dziecięcej bransoletce poza nawigatorem i minicomem jeszcze jest cały kompleks diagnostyczny i boja SOS. A dziecięca to ona jest tylko z nazwy, w rzeczywistości to wojskowa bransoletka. Cała różnica polega na tym, że z żołnierza może ją zdjąć wyłącznie dowódca, a z dziecka matka lub ojciec. Pewnie, chcąc nie chcąc, zapomina się o pilnowaniu bachora. Wkrótce takie nieprzystosowane pokolenie wyrośnie, że się zdziwimy – same Gregi Weilandy w szerokim wyborze.

Jeśli bransoletka milczy, to najprawdopodobniej jest zniszczona. Nie da rady zgnieść jej butem, młotkiem nie da się rozwalić. Wyobraziłem sobie niedźwiedzie szczęki zaciskające się na szczupłym przegubie.

Biedna dziewczynka!

–Ciekawe – mruknął Billy. – Pies miał bojkę? Zapomniałem zapytać.

–Słyszałam, że miał. I też nie odpowiada.

–Jak się dowiedzieliście, że dziewczynka zaginęła akurat w północnym lesie?

–Jej rower leżał pod drzewami. I matka to potwierdziła. Las został przeczesany bardzo starannie. Przeszukano bagno z powietrza, ale ani śladu. To się stało... Dziś był dziewiąty dzień.

Wymieniliśmy z Billym spojrzenia i zrobiło mi się trochę głupio. Już trzecią dobę jesteśmy tu jak na wczasach, a Sara... Dobra, to gadanie głupiego. Szeryf nie ma nadziei na znalezienie jej żywej. Dlatego nie mobilizował nas od razu, bez przymuszania. Szuka ciała. Albo myśli, że dzieciak zwiął?

–Dzieci czasem uciekają z domu – powiedziałem. – Mądra, zamknięta w sobie dziewczynka, o której prywatnym życiu niewiele wiadomo... Mogła mieć najbardziej nieprawdopodobne powody do zainscenizowania swojej śmierci.

–Napiję się, chłopcy, jeszcze kawy – powiedziała babcia. – Was też liczyć? A wy w tym czasie wyobraźcie sobie, jak jedenastoletnie dziecko może zablokować swoją bransoletkę. Nie każdy dorosły sobie z tym poradzi.

–Nie wygłupiaj się, Wanja, żeby cię pogięło – poradził Billy. – Szeryf jest przekonany, że Sara zginęła. Całe miasto jest o tym przekonane. W innym przypadku już w sobotę popędziliby nas na poszukiwania. A ty sam wiesz, że w bagnie siedzi jakieś gówno.

–Jeśli nad bagnem odbyły się loty, to zostało przeskanowane na wylot

–szedłem w zaparte. – A właśnie, ma'am Hurt, kto się tym zajmował?

–Najpierw gliny, potem ratownicy.

–Słyszałeś, Billy? Nadal jesteś przekonany, że w bagnie coś siedzi, partnerze?

–Na sto z hakiem. A ty nie?

–Na dwieście – przyznałem ponuro. – Niech to diabli, to jest zgniła, śmierdząca, obrzydliwa sprawa.

–Dobrze pani pamięta Sarę Sayer, ma'am?

–Tak, Williamie. – Babcia z gotowością odwróciła się do Billy'ego.

–Nie, nie trzeba – machnął ręką mój partner. – Dziewczynka jest martwa. Nie widać jej i nie słyhać. Będziemy szukali jutro. Nie jestem dziś w dobrej formie, a i późno się zrobiło.

–Nie trzymasz kamienia w ręku, Williamie – zauważyła babcia. – Czyli kiedy masz go na szyi, też czujesz z nim kontakt?

–Oczywiście, ma'am. Biorę kamień do ręki, żeby wielki czarny mag William Mbabete robił większe wrażenie. Gdybym nie był w stałym kontakcie... Przecież pani wie, co się wydarzyło w piątek. A kamień wisiał na swoim zwykłym miejscu. Przepraszam za to przypomnienie, ale to dobry przykład... Żywy i wypukły.

Przypomniałem sobie wypukłości panien Hurt i mało co się nie oblizałem. Z pyszczkami dziewczyny fartu nie miały, ale cała reszta wyrosła im w pierwszym gatunku.

Babcia podała kawę Billy'emu, a ja nagle pojąłem, że patrzy na niego ze współczuciem.

–Biedny Williamie – powiedziała. – Pan rzeczywiście niesie to na sobie, jak... jak...

–Jak krzyż – z łatwością dokończył mój partner. – A co ja poradzę? Co mam zrobić? Dostałem, to niosę... Wanja, czego ty tam szukasz z takim zapalem?

Przypiąłem z powrotem com na rękę.

–Sprawdziłem częstotliwości, czy jakimś urządzeniem można zagłuszyć SOS bojki dzieci i psów.

–Nie można – pokręcił głową Billy.

–Masz rację, to był głupi pomysł. Te częstotliwości niby może udawać każdy silnik z niesprawnym dławikiem hałasu. Ale takie cudo hurczałoby na cały okręg. Od razu zostałyby wykryte.

–Ależ z ciebie detektyw. Kto mieszka w bagnie?

–Pijawki i moskity. I jutro cię pożrą.

–Ciągnij diesla! – poderwał się mój partner.

Jak wielu wysokich silnych mężczyzn wyrosłych na asfalcie Billy nie znosi żadnej kłuszącej żywności.

Wtorek rano

Schodzimy, ziewając, z piętra, a w salonie siedzi sobie szeryf. Popija babciną kawę.

–A gdzie Clarissa? – pyta go Billy.

Zaskoczony glina dławi się kawą, wylewa sobie na spodnie, kaszle i

wytrzeszcza oczy.

Babcia wali go otwartą dłonią w plecy.

–Dziękuję, ma'am... – chrypi szeryf. Łapie serwetkę, usiłuje nią zetrzeć kawę ze spodni. Grzecznie mamrocę „dzień dobry” i przysiadam się do jajecznicy z bekonem.

–Jeśli ta informacja jest panu, drogi Williamie, niezbędna do życia -mówi nasz glina, nieprzyjaźnie patrząc na Billy ego – to melduję: Clarissa jest w biurze, pracuje nad dokumentacją. Czym się będzie zajmowała potem, nie wiem. Co jadła na śniadanie, nie wiem. Jakiego koloru nosi figi, nie wiem. Z kim ma aktualnie romans, też nie wiem. Są pytania?

–Nie ma aktualnie romansu – wyjaśnia babcia Hurt. – Dziewczyna postanowiła wziąć time-out.

Policjant patrzy na nią z rozdrażnieniem, a Billy zadowolony zaciera łapy. I od razu chwyta talerz z jajecznicą, żeby nikt sobie czegoś nie pomyślał.

Ale wszyscy myślą właśnie to.

–Szeryfie – odzywam się, żeby zakończyć drażliwy temat. – Mogę zadać panu intymne pytanie?

–Nie zauważyłem, żeby miał pan jakieś inne.

–Gdyby tak zwrócił się do pana Greg Weiland, z TYCH Weilandów, i poprosił o zwolnienie z aresztu pary maszyn. Co by pan zrobił?

–Potrzebujecie maszyn?

Nasz szeryf grzebie w kieszeni i wyklada na stół kluczyki. W zasadzie nie potrzebujemy ich, żeby zabrać maszyny. Kluczyki możemy rozdawać glinom choćby i na całej trasie. Tyle że potem lepiej jednak jest zmienić kod dostępu. Kluczyki to taki tam sympatyczny rudymet, danina składana tradycji. Oznaka władzy nad techniką.

–Tyle na temat zaufania między ludźmi dobrej woli, kumasz? – zwraca się szeryf do Billy'ego.

–Odpowiedz Wanji! – mówi mój partner: – Żeby cię pogięło.

–Dobrze, odpowiem. Zaproponowałbym huncwotowi Gregowi, żeby pociągnął diesla. A o co chodzi?

Do drzwi ktoś dzwoni. Babcia, wzruszywszy zdziwiona ramionami, idzie otworzyć.

–O to – wyjaśnia Billy, przeżuwając – że wczora z wieczora ten obibok proponował nam odbiór maszyn z twojego parkingu. Bo, widzisz, nie miał z kim się ścigać, żeby go pogięło.

–I proponował bardzo przekonująco – dodaję.

–Nie znoszę korupcji żadnego rodzaju – oznajmia twardo mój kumpel -a policyjnej korupcji zwłaszcza. Bo jeśli nie można ufać glinom, to komu w ogóle można, żeby cię pogięło?!

Szeryf siedzi załamany, jakby jego miłość własną ktoś zanurzył w bagnie.

A do salonu wchodzi stary Weiland. Brzęcząc ostrogami i niedbale wymachując pięciogalonowym kapeluszem.

–Dzień dobry, szeryfie – mówi. – Dzień dobry, panowie. Williamie!

Ivanie!

Ręka starego jest sucha i mocna. Jak i cała reszta Weilanda. Babcia nalewa mu kawy, on z przyjemnością pije. I od razu byka za rogi:

–Williamie, słyszałem, że pan tu prowadzi, figuralnie się wyrażając, prywatną praktykę. Czyli mogę prosić o przysługę, co?

–To nie problem, sir.

W odróżnieniu od Grega ten Weiland przypadł Billy’emu do gustu. I mnie też. Jest coś sympatycznego w wielkim finansście, który pewnego dnia przekazuje cały biznes starszemu z synów, a sam wraca na rancho, z którego pochodzi. I ciesząc się życiem, hoduje bydło.

Gdyby jeszcze wciągnął do interesu młodszego syna albo przynajmniej rznął mu tylek raz w tygodniu swoim ciężkim pasem – skarbem bym go nazwał, tego Weilanda!

–Poczekam na ulicy. – Szeryf tymczasem wstaje.

–Ależ co pan, Gibbson?! – uśmiecha się Weiland. – Żadnych sekretów. Proszę zostać, to może być dla pana ciekawe. To właściwie, hm... Pewne dziwactwo niemłodego kolekcjonera. Chłopcy, to dotyczy tego Hogartha, coście mi go przywieźli.

–Świetny Hogarth – potwierdzam. – Niemal jak prawdziwy.

Teraz przyszła kolej na starego, żeby się zadławić kawą, ale on wcześniej odstawił filiżankę na stół.

–Przepraszam?...

–Nie, nie, sir. Ja aż tak się na malarstwie nie znam. Chciałem powiedzieć, że pański Hogarth sprawia wrażenie autentyku. Naprawdę jest cholernie dobry. Aż zazdroszczę.

–Musi pan ciężiej pracować, Ivan – radzi Weiland. – Wtedy na starość będzie pan mógł sobie pozwolić na taki obrazek nad łóżkiem.

–Harujemy jak dwa centaury – zapewnia go Billy, odsuwając pusty talerz i zdejmując kamień z szyi. – Kiedy się wzbogacimy, ja powieszę nad swoim łóżkiem „Czarny kwadrat”, a Wanja „Biały”.

Stary kowboj rechoce zadowolony. Szeryf drapie się po czubku głowy.

–No to jak z tym Hogarthem? – pyta Billy, rytualnie kołyszając łańcuszkiem.

–No właśnie patrzę na niego, czwarty dzień się gapię i usiłuję zrozumieć, gdzie zostałem wykiwany. Że to nie jest kopia, nawet autorska,

jestem pewny. Mojego agenta nie tak łatwo wykiwać. Czyli rzecz w kwocie. Możecie to wyjaśnić? Przynajmniej rząd cyfr?

–Dawno pan pracuje z tym agentem, sir?

–Dobre dziesięć lat. Proszę, oto on. – Weiland patrzy Billy’emu w oczy.

Billy kiwa łańcuszkiem.

–A dokładniej? I nie tak ostro, proszę się nie natężyć. Były finansista zamyka oczy.

–Hy! – Mój partner dziwnie hymka. – Hy! Hy-hy-hy!

–Co to znaczy? – dziwi się Weiland, otwierając jedno oko.

–Ale jaja! Nie, no sir, proszę nie zwracać uwagi, wszystko w porządku. Tak więc

mogę zameldować... Hogarth jest autentyczny. To znaczy i agent, i sprzedający są przekonani o jego autentyczności. Ale cenę dla pana zawyżyli... Tak, tak... Gdzieś w granicach stu tysięcy. Współczuję, zwłaszcza że pomysł wyszedł od agenta.

–S-sukin-s-syn! – syczy stary.

–Nadwyżką podzielili się ze sprzedającym. Hy! Przepraszam, sir, po prostu pański agent jest teraz na kobiecie. A większość ludzi, nawiasem mówiąc, dopiero zaczyna dzień roboczy! Chce pan, żebym w ramach zemsty popsuł mu całą miłość?

–Pewnie, że bym chciał! Żeby mu tak wszystko uszło! A uda się?

–Samo opadnie. Rozumie pan, sir, żeby kamień sczytał z kogoś taką informację jak cyfry i imiona, człowiek musi ją sobie przypomnieć. Kamień popchnął pańskiego agenta w odpowiednim kierunku i ten zaczął wspominać, wspominać... Teraz już wspomina sam z siebie, nie może się powstrzymać. I zżerają go nerwy, bo ma nieczyste sumienie. Boi się pana.

Denerwuje się. Boi się... Koniec, opadło! Opa-ad-ło! Hy-hy-hy! Ciągnij diesla, aferzysto nieszczęsny!

Zaczyna się rzenie. Weiland i Billy są szczęśliwi jak dzieci.

Tylko szeryf z niewiadomego powodu denerwuje się i czegoś lęka.

–Dobrze mu tak! – wrzeszczy zadowolony rancher, trącając swojego partnera kułakiem.

–Żaden problem, żeby cię pogięło!

–Dobrze. – Weiland się uspokaja. – Co za ulga! Nie znoszę takich niejasnych sytuacji. Williamie, poproszę o pański com. Sumę poda pan sam.

–Wykluczone, sir. – Billy macha dłonią. – Już pana i tak skubnęli. A poza tym jest pan naszym klientem.

–Jak chcecie – zgadza się stary. Czuję, że takiej właśnie odpowiedzi oczekiwał. – Jestem pańskim dłużnikiem.

–Jeśli można, intymne pytanie, sir? – wtrącam. Weiland unosi brwi.

–Ivan innych pytań nie zadaje – wyjaśnia szeryf.

–Jak mniemam, Greg lubi uliczne wyścigi?

–Mój Greg? O, do diaska! Czepiał się i was o to?! – Kowboj krzywi gębę, jakby go rozboleł żołądek. Rzeczywiście jest mu wstyd. – Znalazł sobie rywala, idiota! Proszę mi wybaczyć, Ivan, to moja wina. Rozpuściłem chłopaka. A przyhamować nie wystarcza mi siły, sam w młodości lubiłem szybką jazdę... Mam teraz przynajmniej co wspominać! Powiem mu. Już się do was nawet nie zbliży. Zresztą sam by się nie ośmielił, gdyby wiedział, kim jesteście!

–Chciałem tylko pana uprzedzić, sir, że mnie i Bill'ego niemal nie da się namówić do wyścigów. Ale jeśli już, to nie pojedziemy za pieniądze. Gotów jest pan podarować Gregowi nową corvette?

Weiland mruży oczy. Stary lubi hazard. Ciągle jeszcze lubi.

–Podaruję mu opakowanie pampersów! – śmieje się. – A tak serio: możecie postawić T5 Evo przeciwko corvette? Na trasie czasem dzieją się dziwne rzeczy.

–Nie takie, żeby corvetta mnie zjadła.

–Wanja! Wanja! – prosi Billy. W drzwiach do kuchni stoi babcia Hurt i z wyrzutem

kręci głową.

–Corvetta Grega nie jest taka całkiem zwyczajna – zauważa Weiland.

–Evo Ivana też nie – włącza się do dyskusji szeryf. – To jest bestia, której w ogóle nie wolno wypuszczać na publiczne trasy. Stop! Dżentelmeni, wyłączcie silniki! Bo wszystkich zapędzę na karny parking. A tam możecie sobie mierzyć wyloty do upadłego.

–A propos karnego parkingu, jak się czuje Marvin? – złośliwie pyta stary kowboj.

Nie minęła doba, a wszyscy wiedzą wszystko. Serio, co byście nie powiedzieli – wieś to fajna rzecz. Szczególnie jeśli ma wygląd przytulnego amerykańskiego miasteczka z kanalizacją i wodociągami. Rosjan zawsze przyciągał ten styl, częściowo nawet kopiują go teraz, ale Ameryka jednak szlifuje go od czterech wieków.

–Marvin będzie żyć, ale bez munduru – mówi szeryf. – I pojedzie sobie stąd daleko. Popatrzy na świat.

–I zgadza się?

–Pakuje manele i płacze.

–Zuch Gibson! – Weiland kiwa głową z zadowoleniem. – Do czarta z

Marvinem, nie potrzebujemy tu takich. Jestem pewien, że burmistrz zaaprobuje tę decyzję, kiedy wróci z urlopu. Napomknę mu o tym. Dobra, panowie, dziękuję za wesoły poranek, jadę do siebie. Pukajcie na com, jakby co. Wspaniała kawa, missis Hurt. Znowu brzeczają ostrogi.

–Czy on naprawdę jeździ na koniu? – pytam, kiedy za starym zamykają się drzwi. – Czy to tylko kostium: jeszcze jeden kaprys niemłodego kolekcjonera?

–Proszę wyjrzeć przez okno – proponuje glina.

Rzucamy się z Billym do okna i widzimy, jak na gniadym rumaku odjeżdża w dal samotny rewolwerowiec, co to najlepsze strzały ma za sobą.

–Mocny facet – kiwa głową mój partner. – Nigdy wcześniej nie widziałem człowieka, któremu wszystko na tym świecie aż tak zwisa.

Sądzę, że można by zaproponować jeszcze kilka kandydatur, ale rozumiem – Billy ma rację. Taki na przykład Johnson. Zawsze w środku był wolnym człowiekiem i naramienniki mu nie przeszkadzały, ale wystarczyło, żeby facet zajął się tłuczeniem kapuchy – koniec, jakby go ktoś podmienił. Albo nasz admirał! Całkowicie poważnie proponował zbombardowanie obcej bazy na Callisto, motywując to tym, że skoro w jej istnienie i tak nikt nie wierzy, to po kiego ma tam sterczeć. Ale czy on kiedyś był wolny w swoim wyborze? Zawsze skuwała mu ręce i nogi odpowiedzialność za załogi i okręty floty.

Weiland na tle tych bezdyskusyjnych bohaterów wygląda na cholernie niezawistego.

Tymczasem szeryf odpina z pasa com, rozciąga na stole elastyczną klawiaturę, jeździ po niej palcem. Nad blatem zawisa mapa okolicy.

–Missis Hurt wszystko wam wyłożyła – mówi policjant niezbyt głośno. – Ja podaję szczegóły. Ale najpierw: co wy na to?

–Nic. – Billy bierze ze stołu pojemnik i usiłuje wytrząsnąć z niego ostatnie krople do swojej filiżanki.

–Chwileczkę, Williamie! – rozlega się z kuchni.

–Dziękuję, ma'am. Nic nie powiem, szeryfie. Sara poszła do lasu i nie wyszła z niego. Jest tam i teraz i sądzę, że zginęła. To wszystko.

–Dobrze, że przynajmniej potwierdzacie oficjalną wersję. Już mi lżej na duszy. A sprecyzować?

–Tylko jeśli przepytamy bliskiego krewnego dziewczynki. Najlepiej matkę. Ale to przecież najczystszej wody sadyzm, żeby cię pogięło!

–Jak wykazuje doświadczenie, rodzice są gotowi na wszystko, byle wiedzieć, co się stało dziecku. Sayerowie są przekonani, że dziewczynka żyje. To jedyni ludzie w mieście, którzy milczenie bransolety interpretują dokładnie odwrotnie.

–Ciekawe – mówię. – No to dlaczego do tej pory jeszcze ich tu nie ma?

–Ojciec Sary jest dość znanym uczonym. Fizykiem. Słyszając o Wszystkowiedzącym Kamieniu, tylko zaklął. No, można go zrozumieć.

Tydzień łaził po lesie, latał nad bagnem, utopił tam maszynę, ledwo ją wyciągnęliśmy. Jest wykończony. Teraz pojechał po jakiś superdetektor, który jest czulszy od naszych skanerów. Sądzi, że Sara leży gdzieś w lesie na poły żywa, ze złamaną nogą.

–I złamaną bransoletką?

–Tak właśnie powiedział: wszystko się kiedyś psuje.

–A ja mam gdzieś! – agresywnie rzuca Billy.

–O czym pan mówi?

–Mam gdzieś, że on nie wierzy w kamień, że nie wierzy we mnie. Dziewczynka poszła na północ i zaginęła. Nie widzę jej i nie słyszę, ani żywej, ani martwej. Tak nie powinno być. Mnie się to nie podoba, żeby cię pogięło. Dawaj mapę w większej skali, szeryfie. I opowiadaj o bagnie.

Glina posłusznie zoomuje obraz.

–Miejscowi już zapomnieli – tłumaczy – a jeszcze pół wieku temu w tej strefie był wydobywany torf. Dlatego topiel nie jest jednorodna. Jest tam kupa zabagnionych dziur różnej głębokości i stosunkowo suche placki między nimi. Widzicie to? Cała wyspa! Na niej są ruiny, to był obóz kopaczy torfu. Nic szczególnego, kupa zgniłych bali.

–Penetrowaliście?

–Ratownicy sprawdzili ruiny bardzo starannie – uchylił się od odpowiedzi policjant.

–Pytam, czy ktoś tam był osobiście?

–Zjechał jeden ratownik, obejrzał bale, nic nie znalazł. W sumie z tak szczegółową mapą, jaką otrzymaliśmy w wyniku poszukiwań, to ja bym nawet zaryzykował przejście przez bagno piechotą na drugą stronę. Tylko nie ma to żadnego sensu, skorośmy nie znaleźli dziewczynki z powietrza. Pchnąć wam mapę?

–Dawaj, przyda się. – Billy przysuwa swój com, ja też.

–Od razu ostrzegam, że brałem ze sobą na poszukiwania dziecięcą bransoletkę –

ciągnie szeryf. – Działała bez zakłóceń. Co do pola elektromagnetycznego, to bagno jest martwe. Nie odnotowaliśmy też zwierząt większych od szczura wodnego.

–Ale i tak jakieś gówno tam siedzi – mówi mój partner. – Dobra, poznasz nas z mamą Sary?

–A co mi innego zostało? – wzdycha glina. – Będę musiał. To na mnie wisi dziecko zaginione bez wieści. Słowo honoru, już lepszy byłby trup!

Dom Sayerów stoi na uboczu. To długi przysadzisty budynek, połowa dachu jest gęsto porośnięta antenami, drugą połowę zajmuje parking z bojkami nocnego cumowania. Aktualnie pusty.

Dokoła bujnie kwitną różne duperele, posadzone na pierwszy rzut oka w chaotycznym bezładzie.

–Poczekajcie na razie w wozie – mówi szeryf i ginie w zaroślach.

Billy nieruchomo patrzy na północ: półtorej mili otwartej przestrzeni, a dalej ten osławiony las.

–Coś cię gniecie? – pytam. – Mnie jakby coś swędziało.

–Tam to jest – cedzi mój partner przez zęby.

–Pewnie kęsać będzie! – rzucam chwacko.

–Potrzebujemy luf – Billy na to. – Zastrzelę to gówno, żeby je pogięło.

–Dobry pomysł. Wytrząśniemy z szeryfa?

–A co on nam da? Parę gładkolufówek? Swoje weźmiemy.

–Zgłupiałeś? Ależ my... Ależ on... A żeby cię! – na chwilę tracę dar mowy.

–Ze śrutówką w bagno nie polezę – mówi mój kumpel.

Jak już Billy odmawia, to odmawia, że proszę siadać. Śmiało można iść poszukać sobie diesla.

Niemal jestem pewien, że przodkiem mojego kumpla był afrykański monarcha. Zwyczajni ludzie nie potrafią tak twardo stawiać na swoim. Kiedy Billy latał jako mój „prawy taboret”, tylko subordynacja nas ratowała. Teraz też jestem formalnie jego dowódcą, ale to raczej oznacza,

że właśnie na moją głowę spadają największe i najtwardsze szyszki.

Na szczęście, znalazłszy się w ślepej uliczce, wyzwalam w sobie dziesięć razy więcej sprytu, niż go posiadam w normalnych warunkach. Tak samo i teraz błyskawicznie znajduję rozwiązanie problemu:

–Tak czy siak musimy iść do lasu pieszo i bez eskorty. Szeryfa pošlemy na posterunek, niech tam siedzi i czeka na wezwanie, żeby w razie potrzeby walił do nas z ludźmi. Do asekuracji ściągniemy tu moją „teczkę”. I spokojniutko weźmiemy sobie z bagażnika lufy.

–No i widzisz – uśmiecha się Billy. – Po coś się denerwował, żeby cię pogięło?

–Jakoś mi głupio – odpowiadam – łązić po spokojnym amerykańskim zadupiu z armatą nieistniejącą w przyrodzie.

–A ganiać na maszynie, której nie ma w przyrodzie to nie głupio? Powiem ci nawet, że naciągniemy na siebie kombinezony – obiecuje mój partner. – Nie będę żarłem dla moskitów. I pijawek.



–Diabli i cholera! Przecież jak zobaczą, zadręczą pytaniami. Pół miasta będzie na nas ślepiło przez lornetki. Z każdego możliwego dachu!

–A niech sobie nawet ślepią przez teleskopy! Boisz się zadziwić ten kraj, Wanja? Nie bój się. Ameryka odzwyczaiła się od dziwienia. Oto po mieście spaceruje czarny mag Billy Mbabete, wymachując Wszystkowidzącym Kamieniem, a publika go tylko oklaskuje, żeby ją pogięło! I czeka, nie może się doczekać, kiedy pokażę jej swój kamyczek! Wszystko jest okejowo, Wanja! Kumasz?

–Billy, dlaczego jesteś taki upierdliwy, co?

Gadam, gadam, i od tego gadania czuję się lepiej. Sama myśl o etatowej armacie, we władaniu którą zostałem nieźle wyćwiczony, dodaje mi odwagi. Zazwyczaj mój instynkt samozachowawczy jest silny jak cholera. Mocniejszy od siły woli. Dlatego dowódcami załóg byli tacy jak ja, a nie tacy jak mój kumpel.

Zresztą co do pilotażu, to też Billy’ego zakasuję. Z wysiłkiem, ale zakasuję.

Pojawia się szeryf. Spocony i rozczochrany. Stuka w szybę okna.

–Idziemy – mówi. – Missis Sayer jest gotowa porozmawiać.

–Mam nadzieję, że przynajmniej ona nie jest znanym fizykiem? – pyta mój kumpel, wyłażąc z klimatyzowanego chłodu na palące słońce.

–Nieznany – prycha glina. – Zwyczajnym fizykiem, takie mężowskie przynieś-wynieś-pozamiataj. I też nie jest zachwycona pomysłem wciągnięcia was do poszukiwań. Ale przede wszystkim jest matką i udało mi się ją zagadać.

–Co za życie... Ciągnij diesla... – mruczy Billy.

Jak wielu mocnych mężczyzn sfiksowanych na punkcie romantyzmu kosmicznych dali mój partner nie znosi ludzi, którzy nie wierzą w cuda.

Wtorek przed południem

Poza przedpokój nie zostaliśmy wpuszczeni.

–Tak? – zapytała missis Sayer.

Wyglądała na czterdzieści lat i nie sprawiała wrażenia kobiety, której zaginęła córka. Raczej kobiety, która od dziesięciu dób trwa w nieprzerwanej histerii.

Była rozczochrana, bosa i odziana w jakieś bezkształtne wory.

Od razu nie przypadliśmy jej do gustu.

–Proszę pokazać mi Sarę – poprosił Billy.

–Co? Nie wiem, jak szeryf ją ugadywał, ale na nasz widok missis Sayer najwyraźniej straciła chęć współpracy. Sądzę, że w tej chwili skręcałoby ją na widok każdego człowieka zadowolonego z życia.

Mój partner pod spojrzeniem kobiety przygarbił się i schował ręce do kieszeni. Nawet nie przyszło mu do głowy zdjąć z szyi kamień. Tutaj ten numer pod publiczność mógłby tylko przynieść szkodę.

Dosłownie słyszałem, jak Billy przebiera w umyśle słowa. Jeden nietrafiony zwrot, nawet intonacja mogła sprowokować wybuch missis Sayer. Nieszczęsna tylko czekała, aby wylać na kogoś swoją złość. Miasto pochowało jej córkę i zapomniało, szeryf poszedł szukać w najlepszym przypadku ciała, a tu zaraz potem pojawiliśmy

się my, nie miejscowi -możemy oberwać po łbie za wszystkich.

–Missis Sayer, wyjaśniłem pani... – zaczął policjant.

Trzeba było jakoś wleźć klinem w tę sytuację. I to szybko.

Kiwnąłem się, burknąłem: „Och, diabli...”, przewróciłem oczami, po

czym ciężko oparłem się o ścianę. Kobieta popatrzyła na mnie zdziwiona. Na

mgnienie oka otworzyła się i na tym ją złapałem. Wzięłem na litość.

–Dawaj, Billy – szepnąłem.

Kumpel zrobił krok w kierunku znieruchomiałej missis Sayer, chwycił

ją za rękę, położył obie jej dłonie na swoich skroniach.

Za moimi plecami szeryf wycofywał się do wyjścia.

Czas był jak z dobrze przeżutej gumy. Gdzieś w salonie tiknął jeden raz antyczny

zegar. Dziadek obecnej pani domu kupił go kiedyś na garażowej wyprzedaży.

A missis Sayer była nieszczęśliwa. Nie podobała jej się rola cienia fartownego

męża. I rola posłusznej żony. I rola matki dziwnej dziewczynki. Te trzy postacie

utwierdzały ją w przekonaniu, że jest niepełnowartościową osobą. Inne kobiety

potrafiły zrealizować się w zawodzie, znaleźć sobie miłych, kochających dom mężów

i rosły im normalne dzieci. A Vera Sayer nie miała takiego szczęścia. I nic nie

potrafiła zmienić.

Potem odkryła dla siebie furtkę – uwierzyła, że jej córka nie ma odchylenia od

normy, a rzadki dar. Na nowo zaprzyjaźniła się z małą. I odtąd było już jej lżej.

Marzyła o wyjeździe do wielkiego miasta. Tam wszystko by się udało.

Dziewczynkę oczywiście zabrałaby ze sobą.

A teraz zabrakło jej nawet dziecka.

–U-u – wymamrotał Billy. – U-uciekamy. Już stał obok, trzymając mnie pod rękę.

–Źle się pan czuje... Wania? – zapytała Vera Sayer. W końcu jakaś Amerykanka

wymówiła moje imię prawidłowo.

–Dziękuję, ale proszę się nie niepokoić, missis Sayer. Aklimatyzacja.

Cały ubiegły tydzień sterczałem w Anchorage. A tu taki upał... Do

widzenia, missis Sayer.

Wypadliśmy z domu, zataczając się i sapiąc.

Przy wozie cierpiał szeryf. Z marszu rzygnąłem mu pod nogi – taki przyjacielski

gest.

Glina od razu się pozbierał, wskoczył do środka i przyniósł z lodówki butelkę

zimnej wody.

–Mamy kontakt? – zapytałem Billy’ego.

–Pij – powiedział mój partner. – Niezły kawał duszy ci wyżarła, żeby ją

pogięło. Mamy kontakt, mamy. Szeryfie, mapę!

Przeplukałem usta, napiłem się i cisnąłem pustą butelkę w kwietnik.

Tak naprawdę, to z przyjemnością walnąłbym nią w okna domu Sayerów. I mam w

nosie, że ludziom przytrafiło się nieszczęście. Kiedy cię, człowieku, ktoś wyżre aż do

podziałki zero, odczuwasz zwierzęcą wręcz złość. Teraz miałem ochotę przynajmniej

zgwałcić tę kobietę za to, co sam narobiłem. Taka jakaś dziwna działa logika.

Nikt mnie nie prosił, bym się otworzył przed Verą Sayer i sycił jej postrzępioną

duszę swoją energią. Ale w chwili przebicia świadomości zobaczyłem, do jakiego stopnia ta biedna kobieta jest stłamszona i nieszczęśliwa. Zrobiło mi się jej żal aż do bólu i pozwoliłem jej wziąć tyle moich sił, ile potrzebuje.

No to sobie capnęła!

Nie będę zdziwiony, jeśli dziś Verze przyśni się, że jej reaktor marszowy ma przeciek, i w środku nocy ryknie mężowi do ucha: „Dyspozytor, szlag by cię trafił, daj mi pas! Jestem na wymuszonym, niebezpieczeństwo skażenia, kto się nie ukrył, sam sobie winien!!!”.

Ale będzie śmiesznie...

Nad maską wozu pojawiła się mapa.

–Tu. – Billy tknął palcem niemal w sam środek bagna. – W promieniu stu, może stu pięćdziesięciu jardów.

–Żyje? – zapytałem.

–Nie sędzę, ponieważ nie mogłem wziąć namiaru. Wychwyciłem tylko ostatnią zmianę kursu i oszacowałem fizyczne możliwości dziewczynki. Najważniejsze, że gdzie indziej być nie może. Albo jest tu, albo ja nic nie

rozumiem. Nie mogła przecież zapaść się pod ziemię prosto do Afryki, żeby ją pogięło!

–Clarisso? – Porucznik wsadził nos w com. – Uruchom ratownika! Podaję namiary...

–A ja pójdę – powiedziałem – poobejmuję się z tą młodą jabłonką.

–Z gruszą – poprawił mnie Billy.

–Pieprzony pedant – rzuciłem i poszedłem obejmować drzewko, starając się nie myśleć o tym, co z niego zostanie po tych czułościach. Zresztą to przecież była tylko grusza. Albo jabłoń.

W głowie wszystko mi się mieszało. Nigdy z żadnym człowiekiem nie byłem mentalnie tak blisko jak z Verą Sayer. A w jej wnętrzu kłębił się potężny wir emocji. Zawsze. Namiętna istota, która zaszuszyła siebie w darze mężowi. Tak wychowali ją rodzice. Więc od dziecka łamała siebie dla wygody innych. Jej własna córka miała dla niej za to tyle samo litości, co pogardy.

–Myśmy dwukrotnie zbadali ten sektor – zauważył szeryf.

–A co to mnie, żeby cię pogięło?! Vera miała trzydzieści osiem lat. Dużo czytała. Zastanawiała się, czy

nie zmienić zawodu. Słaby był z niej badacz, ale zręczny programista. Nieźle prowadziła. Gotowała średnio. Miała jednak znakomitą młodzieńczą figurę. Tfu!

–Nad bagnem kotłują się opary, ale nie powinny aż tak zniekształcać...

–mamrotał porucznik. – Namierzylibyśmy ciało wizualnie.

–Jakie ciało?! Przecież ganialiście nad samą powierzchnią, dupki wołowe, i wszystko przemłóciliście wydechem! Po dziewczynce pewnie tylko tenisówki zostały, żeby cię pogięło!

–Ale skanery...

–Nózkami trzeba było, drepu-drep! Na brzuchu pełzać! Kumasza?! Nad nami coś zaszeleściło, w stronę lasu pomknęły dwie maszyny.

Prowadził patrolowic, za nim duża otwarta platforma ratownicza.

Ja tymczasem siedziałem na trawie oparty plecami o pień drzewa, pompowałem zeń energię i marzyłem o tym, by ratownikom się powiodło. Wtedy można będzie dać stąd dyla i zapomnieć o wszystkim. Niech wyciągną z tego lasu Sarę, możliwie żywą, i pojedziemy sobie. I będę miał w nosie, kto się kryje w bagnie.

–Wanja, dychasz? – zapytał Billy, stając nade mną i podając mi butelkę. – Masz, wypij jeszcze wody.

–Dycham – powiedziałem, przysysając się do szyjki.

–Po coś jej pozwolił?

–Vera jest cholernie nieszczęśliwa.

–Jaka Vera? – zdziwił się mój niedomyślny partner. – A, ta! No tak, teraz pewnie ją znasz jak siebie samego.

–Lepiej niż ty Sarę. Zresztą Sarę też znam. Ciekawa dziewczynka. Ma wrodzony dar, znacznie potężniejszy od naszych nabytych.

–No jak z tą Verą? – puścił do mnie oko Billy. – Przyjmuje gości pod nieobecność męża? Daje im... Wiedzę? Przecież męża już od dawna ma powyżej uszu. Nic osobistego, to tylko bałwan co się zowie, żeby go pogięło.

–Może to i niezły gość. – Wyciągnąłem rękę, kumpel pomógł mi wstać. – Po prostu rodzina jest na drugim miejscu, po pracy.

–No to jak z tą Verą? – powtórzył Billy.

–Odczep się, co?

–Zazdrość – stwierdził. – Zazdrościsz farmerom z czerwonymi szyjami, którzy łapią ją spracowanymi łapami za delikatną pupkę i pakują aż po migdały...

–Ciągnij diesla!!!

–Chodź no, Wanja, ustabilizuję cię – powiedział Billy. – Chodź tu, żeby cię pogięło, póki jeszcze nie zwariowałaś.

Podszedłem do mojego kumpla, a on mnie objął. Z boku musiało to wyglądać komicznie, a nawet nieobyczajnie. Dobrze, że przed szeryfem kryły nas w tej chwili gęste zarośla wyhodowane tu przez Sarę.

–Ale twarz ta paniusia ma robioną – nie wytrzymał Billy. Zawsze musiał zepsuć!

–Tylko koniuszek nosa i trochę kości policzkowe...

–Nie rób tak nigdy więcej, Wanja. Nigdy się nie otwieraj. Za dobry jesteś. Nie możesz współczuć ludziom, którym przytrafiło się nieszczęście.

–No to komu mogę współczuć? – zdziwiłem się.

–Mi – zaproponował mój partner zupełnie serio. – No, jak się czujesz? Mózg na swoim miejscu?

Odkleiliśmy się od Billy'ego, podreptałem w miejscu, pokręciłem głową.

–Dzięki. Jak nowy. Mógłbym w tej chwili na trasę. Jesteś geniuszem.

–Jestem ostrożny. Za nic nie dałbym się podładować babie będącej w przedłużonej hysterii. Nawet podładować, żeby cię pogięło! A ty się cały otworzyłeś! Nie rozumiem. Słuchaj, Wanja, ty się może w niej zakochałeś? Od pierwszego wejrzenia? Po cholere ci to?

–...A z tymi farmerami to pudło, ona tylko czasem sobie to wyobraża -palnąłem.

–Wiem – prychnął mój partner. – Komu ty to wyjaśniasz, żeby cię pogięło!

Zza krzewów dobiegły nas głośnie przekleństwa. Szeryf trzymał łączność z ratownikami.

–Zaraz nas zawoła. – Billy spuścił nos na kwintę.

–Hej, wy tam dwaj! – ryknął glina.

–Ty będziesz z nim rozmawiał – poprosił mnie kumpel. Ramię w ramię przebiliśmy się przez krzaki i stanęliśmy przed szeryfem.

Ten nabrał w płuca dużo powietrza, zamierzając nas opieprzyć, ale przyjrząwszy się, tylko westchnął.

Staliśmy z kamiennymi twarzami, pierś do przodu, ręce po szwach. Tak jak staliśmy niegdyś przed komisją dyscyplinarną – mieliśmy taki pieprzony epizod w życiorysie. Przed Johnsonem też, zdarzało się, stawaliśmy na baczność jak mur. I admirał o nasze milczenie pozdzierał sobie struny głosowe.

Co prawda wtedy ramię w ramię stało sześciu, cała załoga...

Nie ma sensu na nas krzyczeć. Znamy się na swojej robocie. Jeśli na czymś się skuliśmy, to musiał to być wynik czyjegoś błędu albo fałszywych danych. Mogło też być źle postawione zadanie lub misja – z definicji – przekraczała nasze możliwości.

Szeryf zdjął czapkę, oparł się tyłkiem o wóz i powiedział cicho:

–Ni cholery tam nie ma.

Podszedłem, oparłem się o furę obok niego.

–Macie przynajmniej wyobrażenie, jak mnie rąbią? – ponuro zapytał glina. – Od dziesięciu dób cały okrąg wrze. Nie ma dziewczynki.

Wyparowała. A kto winien? Gibbson oczywiście. Wiejski dupek.

Przegapił, nie upilnował. Dlaczego, jak myślicie, burmistrz nie wraca z urlopu?

Czeka, bydlę, jak się sprawa zakończy...

Policjant był w fatalnym stanie. Już mu donieśli, że po wczorajszym „seansie magii” wdowa Kramer znalazła swoje soczewki kontaktowe, Abe naprawił swój wymizerowany komputer, Molly w końcu wychodzi za mąż, a stary Jack dobrze opylił swoje akcje. I pułkownik, pobrzękując medalami, z jakiegoś powodu wybrał się do Waszyngtonu.

Dzięki komu? To szeryf pierwszy uwierzył w Billy ego, bez dowodów.

Ale Billy zawiódł. Właśnie jego.

–A co pan ma na łańcuszku, Ivan? – zapytał glina, żeby tylko zapytać.

Nie bardzo go to interesowało.

Wyjąłem spod kołnierzyka ostrą kamienną drzazgę oprawioną w srebro.

–Też leciał sobie i wbił się w statek?

–Nie. To odłamek dużego meteorytu, który rozwalił nasz okręt flagowy. Obrona nie dała rady. Straciliśmy dziesięciu ludzi, wtedy też zginął admirał.

–Współczuję – niezbyt szczerze burknął szeryf. – A jakie ma możliwości pański odłamek?

–Nazywam go Kamieniem Szczerości. Deszyfruje emocje. Opowiada o ludziach

prawdę. Czasem taką, jakiej ludzie sami o sobie nie znają.

–Niech opowie panu, jak nienawidzę Sary Sayer – zaproponował policjant. – Szczerze.

Obok nas przemknęła i poleciała w stronę miasta maszyna patrolowa. Za nią kuśtykała platforma ratownicza. Jakiś typ przechylił się przez burtę, wyciągnął rękę w naszą stronę i pokazał wyprostowany środkowy palec.

Szeryf odprowadził ratowników ponurym spojrzeniem.

–I tak mam co dzień... – jęknął. – To co, ruszamy coś przekąsić? Akurat czas na lunch. Może nam się trochę humor poprawi.

Billy potrząsnął głową jak wychodzący z wody pies.

–Nie chcę przekąski! – oświadczył. – Wszyscy tam mnie będą wytykali palcami.

–Środkowymi – dodałem. – Lepiej popracujemy trochę. Niewielka wyprawa do lasu. Na własne oczy ocenimy co i jak.

–Jesteś w formie, Wanja?

–A ty?

–Dowodzisz.

Policjant ożywił się nieco. Widać nie sądził, że jeszcze cokolwiek zrobimy.

–Wsparcie?... – zapytał z gotowością. – Zamawiajcie. Policji jeszcze środkowych palców nie pokazują. Chociaż niedługo zaczną. Ale co damy radę, zabezpieczymy.

Zastanawiałem się minutę.

–Po pierwsze, potrzebny mi do wieczora jeden z waszych miejscowych rezerwowych korytarzy, i to wysoko. Dwa tysiące stóp. Po drugie, strefa lasu w promieniu dwóch mil dokoła ma być dziś zamknięta dla lotów. Niech miejski dyspozytor transportowy się tym zajmie. Po trzecie, proszę spowodować, żeby do lasu nikt nie włąził też pieszo...

–Zamknąłem las dla cywili, nawet Sayer tam nie wejdzie bez pozwolenia. Tym możecie się nie przejmować.

–...I w końcu niech nam rzeczywiście ktoś przywiezie tu coś do zszamania.

–Clarissa! – przypomniał sobie Billy i aż podskoczył.

–Ciągnij diesla! – od razu wyszczerzył się szeryf.

–Poruczniku, co pan tak jak pies ogrodnika? Ani sam, ani nam, żeby cię pogięło!

–Porwiesz Clarissę, dogonię i uszy pourywam, jarzysz?

–Najpierw byś musiał dogonić! – roześmiał się mój partner. – Dlaczego wy tu, miejscowi, tak się boicie, że kogoś skusimy urokami miejskiego życia? Może już czujecie, że tu jest kijowo, co? Może już wam czegoś brakuje? Clarissa skończyła akademię w wielkim mieście. Ale wróciła tu, żeby cię pogięło!

Glina podrapał się za uchem i rzucił oschle:

–Rezerwowy korytarz! Lunch. Co jeszcze?

–Jedna załoga patrolowa na wszelki wypadek. Niech siedzi w maszynie, ale bez wezwania niech się nie rusza. Uzgadniamy częstotliwości?

–Piąty przycisk. – Szeryf zgarnął z maski wozu swój com. To ustrojstwo było

ciężkie jak cegła, niczym zresztą cała policyjna elektronika. Chyba żeby można było w czerep komuś przyłożyć... Nienadaremnie porucznik tachał go na pasie, a nie jak cywile – na rękę.

–Piąta linia... Gotowe.

–Będę stale nasłuchiwał jednym uchem – obiecał policjant. – Poczekajcie, a buty gumowe? Siatki przeciw moskitom? Repelenty? Czy może wasze kamienie odpędzają też owady? Zapomnieliście, gdzie się pakujecie, szpanerzy z miasta, he, he?

–Nie potrzebujemy – machnąłem ręką. – Jakoś sobie poradzimy własnymi środkami. Proszę wezwać dyspozytora, ja tu swoją „teczkę” będę ścigał.

–Wsiadajcie, pojedziemy.

–Po co? Sama tu przyleci. Porucznik chciał powiedzieć coś groźnie i wieloznacznie, ale

wykrztusił tylko dwa słowa: „wpierniczyli” i „samobójstwo”.

Ale dyspozytora powiadomił.

Kiedy nad miastem pojawiła się moja czerwoniutka, poczułem klucie w sercu. Tak się za nią stęskniłem!

–Moje serduszko... – zagruchał Billy.

Lockheed Albatros T5 – jedna z najbardziej udanych maszyn, a w sensie designerskim – moim zdaniem – najbardziej udana. Już myślałem, że nikt nie zrobi ładniejszej bryki niż ta zwykła „teczka”, póki nie zobaczyłem modelu T5 Evolution. Mojej radości i mojej dumy!

Większość środków transportu nowego pokolenia ma dizajn nie do końca wyważony. Albo leci sobie po niebie samochodzik, albo samolocik z za węgła się wytacza. Tak chcą klienci. Oni chcą rozpoznawalną markę. Corvette musi być płaska i trochę kanciasta, mustang bez fałszywego grilla nie jest mustangiem. Volvo – z lekka przylizana cegła, mercedes -opływowa walizka. Jeśli fruwa sobie wesoły dupersznycik – musi Japończyk. A jeśli posuwa coś złowrogiego, żelaznego, przypominającego szturmowiec – na pewniaka made in Russia.

„Teczka” jest jedyna w swoim rodzaju, niepowtarzalna, niczego nie naśladuje. To wydłużona kropla z dwoma niewielkimi kilami z tyłu i zgrabniutkimi skrzydełkami z boku. T5 Evo, w odróżnieniu od modelu standardowego, jest nieco bardziej spłaszczona i wygląda na mocniejszą.

–Cudo – powiedział Billy. – Niech pan przyzna, szeryfie, żeby cię pogięło!

Moja purpurowa kropelka, cicho szeleszcząc, opadła, wypuściła podwozie i wylądowała precyzyjnie dziesięć jardów od nas. Z bliska, oczywiście, było widać, że to nie Evo, a raczej Evo do kwadratu. Pewne elementy sekcji napędowej jakby się straszły. Bezczelnie. I faktura powierzchni biła po oczach. I lekka wypukłość na części siłowej. Kile i skrzydła kazałem jej zostawić, nie wiadomo, może przyda się te kilka sekund czasu.

Żadnych podrasowań nie kryłem zresztą przed Johnsonem i choć to szef, jednak się nie burzył.

–Stylowa maszyna, nie przeczę – przyznał szeryf. – Powiedzcie mi tylko, kto ten... ten gwiazdolit certyfikował na publiczne trasy?

–Nie przekraczamy prędkości! – skrzył na ulubiony temat Billy. – Mandaty by nas zrujnowały, żeby cię pogięło!

–No to jakim cudem dotarliście tu w trzy godziny? Weiland się chwalił.

–No to sobie pomnóż dozwoloną prędkość przez trzy. Kumasz?

–To niemożliwe! – poderwał się policjant. – A strefy przestrojenia? Tam strumień ledwo pełźnie!

–A my je tak! – Billy pokazał ręką, jak my je. Przypominało to błyskawiczny ruch węża.

Szeryf poruszył wargami. Poprawił kaburę. Zdjął i nałożył czapkę. Splunął. Niełatwo było mu znaleźć z nami wspólny język.

Otworzyłem bagażnik i trzepnąłem dłonią w pokrywę sejfu. Ten posłusznie szcęknął ryglami w odpowiedzi. Rozpoznał gospodarza.

–Ale pytam: jak zdobyliście certyfikaty? – nie mógł się uspokoić policjant. – Ja nikomu nie powiem. Po prostu jestem ciekaw.

–Houston, Houston mamy problem – powiedział mój partner.

–Co?

–Tekst kodowy. Pukasz na pewien tajny com i mówisz: „Houston, mamy problem”. I problem się rozwiązuje. Kumasz?

Glina przypomniał sobie, czym się zajmowaliśmy przed służbą kurierską, i zrozumiał, że nie ma żadnych atutów. Nie sądził też, by Billy się z niego naigrawał. I słusznie, bo Billy się nie naigrawał. On w ogóle stara się nie kłamać. Zawsze go za kłamstwa objeżdżam.

–Masz szczęście, że nie poznałeś naszego Johnsona – ni to obiecał, ni to zagroził mój partner.

–Dzięki. Mam dość was dwóch. Przyleciało, jak rozumiem, pozdrowienie od NASA! Jakąś mieszanką żelazka ze spawarką... Aż się boję zapytać, ile machów to robi.

–Wystarczająco dużo – rzekł z naciskiem Billy.

–A wiecie co? – powiedział nagle szeryf. – Jestem co prawda gliną i nienawidzę ulicznych wyścigów, ale jeśli Greg Weiland namówi was na ganiecie gdzieś poza miastem, to, tak sądzę, popatrzę na to przez palce. Już znudziło mi się wypisywanie Gregowi mandatów za niebezpieczną jazdę. Niech pospaceruje bez maszyny. W pampersach.

–Słyszysz, Wanja! Skumał!

Wyjrzałem zza klapy bagażnika. Na progu domu stała i przyglądała się naszej „teczce” Vera Sayer.

Zmieniła ubranie. Zamiast bezkształtnej szmaty miała na sobie błękitne jeansy i świecąca bielą bluzkę z kołnierzykiem. Ciemnoblonde włosy związała w ogon, a to jej bardzo pasowało.

Tylko ciągle była boso. Wiedziała, że ma ładne stopy i – niech to diabli! – nagle znowu chciała się podobać.



**Bezwiednie posłałem jej uśmiech.**

**–Wanja, nie rób jaj – szepnął Billy. – Babka ma męża, żeby cię pogięło. Aktualnie lekko odbiła jej szajba, zaginęła jej córka, zapomniałeś?**

**–Znowu chce żyć – rzuciłem przez ramię.**

**–Chłopcy! – zawołała Vera. – Nie czas na małą przekąskę? Wejdz, Wania, proszę. I panowie też. Przygotowałam lunch.**

**–Proszę o wybaczenie, ma'am, ale ja muszę na posterunek! –**

**odkrzyknął, podrywając się, szeryf. – Ivan, jesteśmy dogadani, tak? No to powodzenia!**

**–Nie zapomnij przysłać Clarissy! – krzyknął do niego mój partner. –**

**Pamiętasz, obiecałeś, że przeciwiczy nas we wkładaniu i zdejmowaniu gumowych butów?**

**Glina pozwolił sobie na kpiącą ripostę. Wysunął głowę przez okienko i palnął:**

**–Przez takich, za przeproszeniem, astronautów nikt nie wierzy, że Ameryka pierwsza wylądowała na Księżycu!**

**Billy zacisnął pięści. Jego czarne oblicze w mgnieniu oka zrobiło się fioletowe.**

**W ostatnim ułamku sekundy zdążyłem zakłócić mu dostrojenie. Niewidzialna fala, która miała huknąć szeryfa w łeb niczym młotem, tylko cisnęła nim o fotel i zmusiła do panicznego startu na pełnym gazie.**

**–Ciągnij diesla! – syknął mój partner.**

**Jak wielu profesjonalnych astronautów Billy nie znosi ludzi gadających o lądowaniu Amerykanów na Księżycu.**

**Wtorek po południu**

**–Kokietowała cię! – mówi Billy, naciągając kombinezon. – Wanja, błagam, nie poddawaj się temu. Ta panusia nie jest do końca normalna. A ty nie jesteś w stanie patrzeć na nią krytycznie. Cholerny „kondom”!**

**„Kondom” to nieformalna nazwa uniwersalnego kombinezonu ochronnego. Mój partner jest wysoki i naciąganie kombinezonu kosztuje go wiele nerwów.**

**Ale co mi tam! Vera ma cudowne oczy. I uśmiech. Nie uśmiecha się na razie, ale ja to dobrze wiem.**

**Wiem o niej wszystko. Jest kobietą jakich wiele. Kobietą do szpiku kości. To mi się właśnie podoba.**

**Billy znowu mędzi. Zawsze staje się mędlawy jak teściowa, kiedy chce mnie odciągnąć od czegoś, co sam wcześniej wymyślił. On ani razu nie zawiódł, w każdym razie umyślnie, i jest przekonany, że to mu daje prawo do bycia głosem mojego sumienia.**

**Jeśli sądzić po naukach partnera, mam schizofreniczne sumienie. A Billy sam jest amoralny, rozpustny i społecznie niebezpieczny.**

**Teraz jest także nieufny i niespokojny. Jak zawsze kiedy na horyzoncie widnieje niewiadome. Na szczęście po komendzie „start” potrafi błyskawicznie się pozbierać.**

**Wyjmuję z sejfu broń, sprawdzam ładunek. Ręce same wykonują odpowiednie ruchy, treningi nie poszły na marne.**

**Mój partner przykuca, macha kończynami, skacze dokoła maszyny,**

rozciągając zleżały „kondom”. Tym ćwiczeniom fizycznym towarzyszy lawina przekleństw i skarg.

Przekonuję siebie, że jestem rozsądny i opanowany. W rzeczywistości chcę Very Sayer, jakkolwiek bluźnierczo by to nie brzmiało w tej chwili. Poza tym zamierzam uratować jej córkę. Znaleźć żywą. Odwiedziwszy duszę Very, zaraziłem się jej emocjami.

Billy denerwuje się, ja przeżywam. Tylko czerwoniutka „teczka”, moje cudenko, mój skarb, spokojnie czeka na polecenia. Czasem wydaje mi się, że przez jej przypominające kroplę wody ciało przebiega drżenie. Jakby poruszała bokami, przewidując skok w niebo.

A zarośla dokoła domu Sayerów tęsknią do swojej małej gospodyni.

–Gotów? – pytam partnera.

Ten podchodzi i bierze ode mnie „zbroję” – lekką kamizelkę pancerną z kieszeniami naszpikowanymi narzędziami i akcesoriami. Pomagam mu ją założyć. On waży w rękę armatę, trzaska bezpiecznikiem, patrzy, mrużąc oczy, w okienko ładownicy.

–Stawiam armatę w tryb shockera, Billy. Ty w tryb trafienia pociskiem, ale bez komendy nie strzelasz. Stoi?

–Czarny mag Billy Mbabete nie zawiedzie, dowódco! Albowiem rzekł mądry wódz, szeryf Gibbson: „Billy ma dynks”!

–Luzuj, chłopie! I nie wymachuj lufą, ludzie na nas patrzą. Kiedy wejdziemy między drzewa, będziemy trzymali armaty w pogotowiu bojowym, na razie schowaj.

–Przepraszam. – Mój partner jednym ruchem wkłada broń w pochwę na plecach.

–Sprawdzamy zabezpieczenia!

Naciągamy kaptury i spuszczaamy na twarze maski. Mam dobry przegląd, powietrze podawane sprawnie. Mogę tonąć w bagnie. Trzy godziny przetrzymam sam.

–Dawno już... Co nie, Billy?

–I to jak, dowódco. Dobra, u mnie wszystko działa. Ileż to już lat nie słyszałem od niego „dowódco”? Dużo.

–Zdejmujemy maski. No to? Trzask! Przybijamy piątki.

–Jedziemy. Vera Sayer stoi na werandzie oparta plecami o framugę i odprowadza nas wzrokiem. Lekki wiaterek porusza jej krótką grzywkę. Nie odwracając się, na moment podnoszę rękę i natychmiast każę sobie zapomnieć o istnieniu Very. Od tej sekundy ważne jest tylko istnienie naszej pary: Billy ego i mnie. Oczywiście, w szóstkę by się szło lepiej. Ale z załogi zwiadowcy zostaliśmy tylko my dwaj.

Zdażyłem jednak poczuć, jak Vera pomachała mi w odpowiedzi.

Półtorej mili przez pole. Akurat, żeby odnowić współgranie z kombinezonem i przygotować umysły do aktywnych poszukiwań.

–Jak nawiew, Billy?

–Wspaniale, nawet powiedziałbym: za zimno. Po coś jej nakłamał o Anchorage, Wanja? Ona wie, że byliśmy na Alasce, ale rok temu.

–Powiedziałem pierwsze, co mi przyszło do głowy. I zapomnij o niej. Pracujemy.

–A ona to odebrała jako wzruszający przejaw troski! Ech, Wanja... -Mój partner gwałtownie zmienia ton. – Koniec, zapomniałem o niej. Jaki obieramy azymut: na przewidywaną lokalizację dziewczynki czy na

gówno z bagien? Jeśli chodzi o gówno, to mam coś na kształt zamiaru.

–Ja też. Do diabła, co może być tak obcego w zwyczajnym amerykańskim bagnie?

–Amerykański potwór. Reliktowy endemit. No to gdzie idziemy? Między tymi punktami mamy milę, przez bagno to nie tak znowu blisko.

–Chodźmy w gościnę do gówna – decyduję. – I tak, i tak musimy coś z tym zrobić. I nie zgadujmy, co nas czeka.

Billy skręca w lewo.

Przez kilka minut tupiemy w milczeniu. Las się zbliża. I nagle mój com przymilnie pyta głosem szeryfa:

–A co wy tam, chłopaki, macie w tych plecakach? Zaskoczony omal nie podskoczyłem.

–Jakie plecaki? – dziwi się mój partner.

–No te garby na plecach. Wydaje mi się, że sterczą wam stamtąd kolby.

–A co, może już nie wolno nosić armaty zwyczajnemu amerykańskiemu podatnikowi, żeby cię pogięło? – zaczyna szydzić Billy.

–Można, jeśli armata jest identyfikowalna.

–No to popatrz przez swój teleskop, jaki mam tam numer! Ci dwaj ze swoimi polemikami dotąd nieźle mnie bawili, ale nie teraz.

–Gibbson – mówię ponuro. – Ciągnij diesla. Nie przeszkadzaj. Szeryf sapie i rozłącza się. A my wchodzimy do zagajnika. Tu i tam widnieją ślady ognisk. Ale ani jednej pustej butelki, ani skrawka opakowania. Miejscowi dbają o przyrodę.

Namiar na obce ciało w bagnie jest coraz dokładniejszy. Ciało... Właśnie – ciało!

–Billy, to się porusza.

–A ty co myślałeś?... Jestem zimny jak lód, ale w głębi duszy trochę się boję. Co mi to

przypomina?... Usiłuję wymacać emocje istoty. Wszystko, co żyje, odczuwa strach albo zadowolenie, zimno, ciepło, głód, sytość. Nie może być emocjonalnie wyługowane. Nawet jeśli czuje się komfortowo – to właśnie czuje się komfortowo, do licha! A ja mogę to wychwycić, rozszyfrować, zrozumieć. Jednak ta istota nic nie odczuwa! Cholera, czy mogę to z czymś porównać? Z czymś mogę. Ale nie pamiętam. Zapomniałem. Może umyślnie? Zaczynają dokuczać meszki. Billy złości się, ale czeka na polecenie.

–Maski włóż. Broń w pogotowie ogniowe.

–Wykonuję. Istota w bagnie jest czymś zajęta. Przypomina amebę przebieającą nibynóżkami. Musimy zadbać, żeby nas nie namierzyła. Kto wie, do czego to jest zdolne.

–Billy, nie ma nas.

–Zrozumiałem, dowódco. Rozpuszczamy się w otaczającym świecie. Trudno to

**przekazać**

**słowami, ale przestajemy emitować myśli. Jeśli teraz z gęstwiny wyjdzie niedźwiedź, poczuje moją woń, ale nic nie zobaczy, póki nie nadepnę mu na łapę.**

**–Czy to pojedynczy organizm, Billy, czy konglomerat?**

**–A skąd mam wiedzieć?**

**–Coś jak ul, nie wydaje ci się?**

**–Ciszej, dowódco. Za głośno myślisz.**

**Las gęstnieje, przemykamy między gałęziami. Włączam wzmacniacz dźwięków i tonę w brzęczeniu owadów, szczebiocie ptaków, krzątaniu myszy. Bez sensu. Słuchać należy sercem.**

**–Żeby cię pogięło... – mruczy mój partner.**

**–Tracisz go?**

**–Tak, kurna, tak!**

**–Ja też. Ślad, jaki zostawia istota na informacyjnej mapie świata, rozplywa się, topnieje. Mam tylko jedno wytłumaczenie – obcy jakimś cudem nas wyczuł.**

**Obcy. Obcy. Znam go?**

**–Nie pobiegniemy? – pyta z nadzieją Billy. Nie chce mu się biegać po lesie.**

**Holograficzna mapa strefy poszukiwań znajduje się na moim rękawie. Szacuję – mamy jeszcze dobre pięć minut marszu do granicy bagna i potem długie, długie kręcenie się po wąskich przesmykach. Szybkość poruszania nic nam nie da. Ważniejsza jest precyzja.**

**–Nie biegniemy. Gibbson! Kto lata dokoła lasu?**

**–Nikt... Powietrze czyste, Ivan. A co się stało?**

**–Nic, taka wersja. Istota przestaje się mościć, zamiera, „widzę” ją ledwo-ledwo.**

**Zanurza**

**się w topieli. Fizycznie! Zapada się!**

**–Nurkuje, gównu jedno – szepce Billy.**

**Odruchowo przyspieszam. Rozumiem, że to nic nie zmieni, ale i tak idę szybciej. Między drzewami pojawiają się prześwity. Po chwili jesteśmy już na skraju bagna. Zdejmuję broń, odbezpieczam. To też pusty gest, ale ciało samo tak decyduje. Zatrzymuję się za jednym z ostatnich drzew przed trzęsawiskiem i ostrożnie wyglądam. Instynkty, niech je licho! Trudno z nimi walczyć. Niebezpieczeństwa niby nie ma. Ale żyć się jednak chce.**

**Odkrycie numer jeden: amerykańskie bagno jest podobne do rosyjskiego. Odkrycie numer dwa: jestem durniem, trzeba było wyrąbać parę drągów jeszcze w zagajniku, żeby teraz nie hałasować. I odkrycie numer trzy: odgłosy ustały. Istota się rozmyła. Zniknęła. Siedzi w największej i najgłębszej z bagiennych dziur i cała nadzieja w tym, że nie zaryzykuje przejścia do sąsiedniej. A jeśli tak? Patrząc na mapę. Dziury komunikują się przetokami jedna z drugą. Pech.**

**I jeszcze jeden problem – dlaczego istota się przyczaiła? Może się nas boi? A może, zacierając łapy, czeka na następną zdobycz? Billy zachowuje postawę „myślociszy, ale jestem pewien, że chodzi mu po głowie to samo.**

Wychodzę z za drzewa. Z lewej ode mnie mój partner na ugiętych nogach skrada się do bagna, kręcąc głową i bronią z jednej strony w drugą. Chcę mu powiedzieć „kończ ten cyrk”, ale Billy już sam z rozczarowaniem prostuje się i opuszcza łufę.

–*Finita la comedia*, żeby cię pogięło! – oświadcza. – Elvis opuścił budynek.

Kontakt utracony całkowicie. Wpatruję się w bagno. Bulgoce wszystkimi odcieniami zieleni. Wątle krzaczki na kępach, kałuże w obramowaniu niewysokiej turzycy, równe odcinki pokryte mchem -właśnie największa topiel. Z rzadka trafiają się omszałe pnie drzew. Aż strach myśleć, ile mają lat – rąbali je kopacze torfu. W powietrzu lekka mgiełka. I co teraz? Teraz to, co najmniej przyjemne. Trzeba wleźć do

środką trzęsawiska, gdzie kryje się nasz klient, i spróbować doprowadzić jego legowisko do wrzenia. Może nie będzie chciał się gotować i wyskoczy. Innych wariantów nie widzę.

–Dowódco, hej, dowódco, nie wydaje ci się, że jest nas za mało do realizacji postawionego zadania?

–Chcesz puknąć do Johnsona i poprosić, żeby zrzucił w bagno Liebermanna?

–...I wymrze wszystko żywe! Świetny pomysł, żeby cię pogięło. Rozumiesz, tak sobie myślę: jeśli ten stwór połknął Sarę i nie zadławił się, to co mu szkodzi przekąsić też parą pewnych siebie idiotów?

–Nie jesteśmy pewni siebie. – Przystawiam sterownik ognia w tryb „cięcie” i wypatruję odpowiednich drzewek. – Będziemy bardzo uważni i strasznie ostrożni.

Szybko ścinam i oczyszczam z gałęzi parę osin, czy jak tam się one nazywają. Otrzymuję parę trwałych siedmiostopowych żerdzi.

–Trzymaj sondę – mówię. – Nie chodziłeś wcześniej po bagnach?

Dźgasz przed sobą tą tyką. Szukasz, gdzie twardszy grunt. Jeśli się zapadniesz, kładź ją poziomo, a sam brzuchem na niej.

Billy waży drąg w rękę, wzdycha. Tak w ogóle, to on kocha przyrodę. Ale przecież nie taką dziką, jaką mamy w tej chwili przed sobą.

Wyciągam z kieszeni elastyczny rzemień, przypinam do broni i wieszam armatę pod pachą. Na otwór wylotowy nakładam specjalny kołpak – coś jak prezerwatywę, tyle że trwalszy. Nie jesteśmy piechotą morską, do naszego kompletu bojowego prezerwatywy nie wchodzi. Wiele było żartów z tego powodu, na szczęście piechota morską ich nie słyszała.

–Chłopcy, co tam u was? – pyta com głosem zdenerwowanego szeryfa.

–Idziemy się topić – odpowiadam.

Sprawdzam mapę, wytyczam trasę i włączę na najbliższą kępę. Marsz tak naprawdę nie sprawia większych trudności, więcej sił tracę

na rozglądanie się i wsłuchiwanie. Jeśli wzmacniacz dźwięków nie kłamie, bagno żyje obfitym wewnętrznym życiem. Ale ciamkanie pod stopami wali po uszach, dlatego co chwilę włączam i wyłączam wzmacniacz. Mój partner sapie za mną.

–Hej, szeryfie, a żmije tu są? – pyta nagle.

–Powinny być. Jakże bez żmij?

–Uprzedzić należało, żeby cię pogięło... Duże?

–No... Średnie. Może z dziesięć stóp. Billy staje jak wryty.

–Gibbson – mówię. – Ty się u mnie doigrasz. Nie czytałeś może takiej powieści kryminalnej „Napad adwokatów na posterunek policji”? No to sobie poszukaj, poczytaj i niech dotrze... Billy, gdzie jesteś?

–Żartował? – pyta ten słabym głosem.

–Williamie, żartowałem! – zapewnia szeryf. – Żmije są, ale malutkie, góra trzy stopy...

–Żmija kombezu nie przebije – uspokajam partnera. – Nawet wilk go nie przegryzie. Poza tym żmije nie atakują ludzi bez absolutnej konieczności. Chyba że w okresie godowym. Idziemy, Billy.

–A kiedy mają okres godowy?

–Nie dziś!!! Za mną!

–Tak jest, dowódco.

Tam i siam nad bagnem fruwać motyle i ważki. A tu, proszę, wyraźny ślad żmii w rzęsie na powierzchni niewielkiego stawu. Żmija rzeczywiście niewielka, o kant dupy... Grunt pod stopami twardnieje, przestaję sondować drogę żerdzią i niosę ją tylko przed sobą. Teraz będziemy szli szybciej. Potem wolniej. I tak jeszcze dwie albo i trzy godziny.

Gdzieś tam krzewy są pokancerowane wydechami nisko latających maszyn, ale samo bagno zdążyło się już dawno zaciągnąć. Billy ma rację, że wszystko tu zostało przemieszane i przekitwaszone. Nie znajdziemy ciała z uszkodzoną bransoletką. Zerownikowa misja, od pierwszej chwili bezsensowna. Zawrócić czy jak? A bagiennym monstrum niech się ekolodzy zajmują. Chociaż porucznik nie ma dowodów, żeby wezwać tu jakąś komisję. A szlag zresztą z tym monstrum! Komu ono przeszkadza? Nie wierzę, żeby to coś zjadło dziewczynkę. Psa – może.

„Nie wierzę, ponieważ nie wierzy matka dziewczynki” – upominam sam siebie.

Jakie ona ma piękne oczy... Sara ma oczy po ojcu – poważne, uważne. A Vera – otwarte na oścież. Jak i duszę.

–Znowu o niej myślisz – przytomnie zauważa mój partner.

Odwracam głowę i pokazuję na com. Billy puka się w kaptur, że niby jego wina – zapomniał, że jesteśmy na podsłuchu.

Znowu grząski odcinek – wykorzystuję tyczkę, wyszukując bezpieczną drogę. Gdzieś tam musimy iść po kolana w mętnej brei. Potem natrafiamy na ogromny staw. Na mapie widnieje obejście, w rzeczywistości jest to gęstwina krzewów.

Wypalić przesiekę? Nie, utoniemy w dymie i jasno, w całym tego słowa znaczeniu, pokażemy, jaką bronią dysponujemy. Rozkazuję partnerowi, żeby mnie osłaniał, sam odpinam od pasa składaną siekierkę i zaczynam rąbać. Po kilku minutach

już niczego nie słyszę – wszystkie dźwięki zagłusza mój głośny oddech. Tyle tylko radości, że Billy nie słucha uszami. Ale przed bezgłośnym, w każdym sensie bezgłośnym monstrum, to nie ratuje. Może właśnie cichutko się skrada?...

Dlaczego, do licha, tak mnie to przeraża?! Trzymam w ręku plazmowy karabin, który może zatrzymać czołg! Pewnie chodzi o inności. Jest obca, obca... Żeby tak wiedzieć, skąd się zwała. Zwała. Hm...

Wyłażę z zarośli i znowu z kępki na kępkę. To już finiszowa prosta, na horyzoncie widnieje kupa bierwion. Wyspa, baza kopaczy. Tam urządzimy postój i stamtąd zaczniemy polowanie.

Powrót tylko lotem!

Żadnych śladów dziewczynki. Żebyż choć papierek po cukierku! Ale Sara, po pierwsze, była nie z tych, co śmiecą na łonie natury, a po drugie, ten papierek dawno już by zwiały wydechy pieprzonych pojazdów ratowników. Cholerna technika! Ubóstwiam maszyny, ale z głowy nie wychodzi mi myśl, że jeszcze sto lat temu – ze znacznie wyższym współczynnikiem efektywności działania – przez bagno przeszłaby tyraliera miejscowych facetów. Z powietrza nie da się zobaczyć drobnych szczegółów, które doświadczonemu wieśniakowi mogą wiele powiedzieć. Tu złamana gałązka, tam jakieś charakterystyczne wgłębienie... Zatrzymuję się.

–Billy, popatrz tu.

Sparciały, zgniły pniak. Na nim trzy strzałki narysowane markerem. Jedna wskazuje do tyłu, mniej więcej tam omijaliśmy staw. Druga na wyspę z ruinami. Trzecia w bok. W tę stronę, gdzie namierzyliśmy monstrum.

Bezradnie patrzę za siebie, na zarośla, przez które się przebijałem. Dziewczynka mogła, pochyliwszy się, przemknąć dołem. Wracać i poszukać śladów? Sam je zdeptałem.

Mój partner przygląda się pniakowi, niemal go obwąchuje. Potem włącza mapę i daje maksymalne powiększenie. Słońce przeszkadza, psuje ostrość.

–Zrób cień, dowódco.

Obracam się plecami do słońca. Billy rzuca mi mapę na pierś i wpija się w nią oczami.

–Nie-e – mówi w końcu. – To nie jest rozwiązanie. Pniak jest, strzałek nie widać.

–Znaleźliście coś? – pyta zaintrygowany szeryf.

–Kiedy była wykonana mapa bagna?

–Dokładnie tydzień temu.

–Nanosiliście jakieś zmiany? No to popatrz na to miejsce... – dyktuję współrzędne. – Tu jest pniak. Potrzebne mi zdjęcie, możliwie duże i dokładne.

–Zaraz uruchomię wydział ekspertyz, oni mają dobrą grafikę. A co tam jest na tym pniaku?

–Odcisk buta Neila Armstronga – mówi Billy. – Malutki krok jednego człowieka.

–Pokażcie... – jęczy policjant.

–Pracuj, biały chłopiec, słońce jeszcze wysoko! – mściwie radzi mój partner.

Stoimy i milcząc, patrzymy na siebie czarnymi światłofiltrami masek. Nie wiadomo dlaczego już się nie boimy ani bagna, ani straszego gówna z kłami.

–Mogłaby zostawić autograf – zauważa Billy.

–Strzałki nie zostały narysowane dla ratowników. Miała ich w nosie. Zapomniałeś, co mówili o Sarze? Genialna dziewczynka z „zieloną ręką”, którą nawet rodzice uważali za lekko szurniętą? Las, bagno to jej, jak to się mówi, „sekretna komnata”. Ona zostawia znaki tylko dla siebie. Diabli, dlaczego nie podszedłem bliżej do

**któregoś z pniaków, na które trafialiśmy po drodze?! Było tego ze trzy – cztery sztuki. Na pewno na każdym z nich jest znak...**

**Billy mamroce coś i patrzy na tę strzałkę, która prowadzi do legowiska monstrum. Kierunek wskazany jest bardzo dokładnie.**

**–No, macie swój pniak – mówi szeryf.**

**–Dawaj tu obraz!**

**Rozkazuję tak ostro, że glina, który bardzo chce powiedzieć: „Tylko na wymianę z waszym”, błyskawicznie go przesyła.**

**No i jest pniak. Bez znaków. Porównuję obrazek z rzeczywistością i widzę: wierzch naszego pniaka jest lekko oczyszczony, jakby w pośpiechu przetarty rękawem.**

**–Teraz patrz, co mamy teraz.**

**Naprowadzam obiektyw na pień. W słuchawkach słyszę zespołowe westchnienie – dokoła szeryfa pewnie sterczy cały posterunek.**

**–Nie mogła zostawić podpisu, żeby ją! – ryczy podniecony glina.**

**Billy hymka ze zrozumieniem.**

**–Lewa strzałka wskazuje lokalizację istoty, którą namierzaliśmy – wyjaśniam.**

**–Tak więc – podsumowuje policjant – co my tu mamy? Nie później niż siedem dni temu ktoś pomalował ten pień markerem. Czego to dowodzi?**

**Niczego. Co ja mogę zrobić? Wyłączyć z listy podejrzewanych ratowników i Sayera. Sądzę, że pięć minut mi wystarczy. Odpoczywajcie na razie.**

**–Znajdźcie wzorzec pisma Sary – radzi mój partner. – To tylko strzałki oczywiście, ale może?...**

**–Dzisiejsze dzieci nie mają charakteru pisma – rzuca szeryf. – Ale spróbuję.**

**–Charakter pisma zawsze jakiś jest, czy to tu, czy w Afryce – mamroce lekko skonfundowany Billy.**

**Tu się z nim zgadzam. Dzieci nie mają już powodu do wyrabiania sobie charakteru pisma, uczy się je pisać ręcznie tylko tak, na wszelki wypadek. Ale bachory nadal rysują markerami i coś tam paćkają na papierowych bożonarodzeniowych kartkach. Potrafią się podpisać. Tak więc jakiś haczyk jest. Chociaż... To tylko strzałki, oczywiście.**

**Mój partner chodzi dokoła pieńka.**

**Stoję i walczę ze sobą: kazać mu przestać czy niech tropi.**

**Billy siada na pniaku. Nie tak półdupkiem, gdzie tam – całym zadem! Rozwala pień do spodu, spada na plecy i leży, zadarłszy do góry długie nogi.**

**Diabli wiedzą, czego oczekuje ode mnie, ale ja milczę. Potem wyłączam na comie piątą linię – tak, żeby to widział. Partner powtarza mój ruch.**

**–Słowo honoru – mamroce. – Nie mam pojęcia, co zrobiłem i dlaczego! Słowo honoru, Wanja, żeby mnie pogięło!**

**–Zniszczyłeś materialny dowód rzeczowy, ot co. Spowodowałeś, że wizerunek przestał być dowodem w sądzie. Bez tego pniaka to tylko obrazek. Wstawaj, przygłupie!**



W zasadzie to powinienem wpaść w szal. Ale jakoś mi się nie chce... Okay, może pchnęła Billyego tyłkiem w pniak wola Kosmicznego Umysłu, może głupota własna. To co mam teraz zrobić, udzielić mu nagany? A właśnie, to jest pomysł!

–Wstawaj, sieroto – powiadam. – I nie gadaj o tym, co zrobiłeś. Udzielam ci nagany dyscyplinarnej: pojedziesz moją „teczką” do myjni. Kumasz? Uważaj, wciskam piąty przycisk z powrotem.

Mój partner wstaje, otrząsa się, patrzy na pniak, ze skruchą kręci głową. Ale nie czuję, żeby się jakoś mocno wstydził.

Czasem robimy coś niewytłumaczalnego. Od chwili, kiedy znaleźliśmy i nałożyliśmy na szyje te kamyczki – zdarza się nam coś takiego. Co prawda rzadko, ale zawsze potem okazuje się, że miało to jakiś sens. Robimy coś, co zadziwia nas samych. I zawsze jest to coś w rodzaju jasnowidzenia.

Pamiętam, Billy wywołał kiedyś kompletnie niepotrzebną bójkę. Pierwszy i jedyny raz w życiu. Chłopaka, którego znokautował, w szpitalu włożyli do tomografu i znaleźli guz, który – gdyby nie ta przypadkowa diagnoza – po roku byłby już nieuleczalny.

Albo inny przykład: Billy włamał się do wozu. Szedł sobie wieczorem po mieście niemal trzeźwy, a mimo to w ciemnym zaułku włamał się do czyjś forda i gołymi rękami podłączył z powrotem odcięty autopilot. No, może trochę koloryzuję: nie gołymi rękami, bo tacy jak my zawsze mają w kieszeni śrubokręt. A następnego dnia tym fordem ucieka z miejsca przestępstwa kidnaper. Policja przy pomocy autopilota zmusza go do

lądowania i chwyta na gorącym uczynku. Ofiara nawet nie zdążyła się wystraszyć. Taki traf! A później możesz sobie chodzić, człowieku, i udowodniać glinom, że powinni ci coś postawić...

A ja kiedyś byłem na trasie i nagle poprosiłem o przymusowe lądowanie w szczyrim polu. Kompletnie bez powodu. Przekazałem ładunek Billy emu, a sam tam zostałem. Dwie doby jak dureń przesiedziałem na poboczu polnej drogi, rozkoszowałem się pszenicą, a cały Nienaruszalny Zapas zżarłem. Potem przyjechała farmerka w zardzewiałym pick-upie. Kropka w kropkę moja mama w młodości, tyle tylko, że miała włosy ciemnoblon. Zatrzymała się i patrzy. Uśmiecha się. A ja tak kopnąłem w gaz, że omal w kosmos nie wyskoczyłem, tyle mnie widzieli...

–Hej, chłopaki! – szepce com. – Co się tam dzieje?

–Clarisso... – zaczyna topniejący w oczach Billy.

–Tylko chciałam życzyć wam powodzenia. Koniec, idę. Na razie! No i proszę, a było „potwory stołeczne”! Szeryf ma rację, że się martwi o swoją Barbie. Nie o stolicę chodzi. O nas z Billym. „Mamy jeszcze ładunki w ładownicach!”, jak mawiał admirał, niech mu ziemia lekką będzie.

–Dobra, chłopaki – to już nasz glina. – Żadna z przepytanych osób tych strzałek nie rysowała. Może to Sara. Ekspertyza grafologiczna będzie możliwa, gdy missis Sayer znajdzie odpowiedni materiał porównawczy. Dokąd się teraz kierujecie?

–Najpierw na wyspę, tam odpoczniemy i do naszego potwora w gościnę!

–No nie wiem... – waha się szeryf. – Ivan, byliśmy nad tamtym miejscem niejedyn raz. Zabagnione jezioro. Same wodorosty i gruby kożuch mułu.

–Dziękuję, widziałem mapę.

–Mogę wyrzucić swoich ludzi na brzeg! – decyduje się policjant.

–Niech pan poczeka, szeryfie – mówię do niego. – Fajny z pana facet, oczywiście, ale w jaki sposób mogą nam tam pomóc pańscy ludzie?

–A co wy zamierzacie zrobić we dwóch?

–Podnosić temperaturę jeziora. Jeśli trzeba będzie, to zagotujemy je. Masz coś przeciwko?

Glina usiłuje zrozumieć komunikat. Pracy umysłowej towarzyszy sapanie i stękanie.

–„A co wy tam, chłopaki, macie w tych plecakach?” – przedrzeźnia go Billy.

Szeryf cicho jęczy. Nie podoba mu się, że ktoś na jego terenie zamierza zagotować jezioro. Z fizyczną możliwością gotowania nie polemizuje. W tej chwili jest gotów uwierzyć, że w bagażniku „teczki” leży głowica jądrowa. Albo Święty Graal. Biedny glina! Wykończyliśmy go.

–Na to nie mogę pójść... – oświadcza głosem człowieka pozbawionego nadziei.

–Gibbson – przekonuję – nie panikuj. Bądź przyjacielem, zabierz z linii wszystkie zbędne uszy. Na minutkę.

Ten coś mruczy, pstryka klawiszami, słyszę tupot mnóstwa nóg. Rozlega się przygłuszony chichot.

–Zrobione – sapie wreszcie. I pyta tak, jakby mu już było wszystko jedno: – Kim wy jesteście, chłopaki?

–Firmą ze wspaniałą reputacją. „Kurierska Służba Johnsona”.

Przewozimy szczególnie cenne ładunki. Znają nas na wszystkich kontynentach. I nic więcej, szeryfie. Po prostu prywatna spółka. Ale jeśli Ameryka zechce wojować, powiedzmy, z Rosją, to my nie podlegamy mobilizacji. Ani my, ani nasz sprzęt. Kumas? Ciebie powołają. A my na hasło „wojna” włączymy do bunkra i czekamy, aż ten burdel się skończy.

–A Ameryka będzie walczyła z Rosjanami? – mamroce glina. Billy kręci palcem przy skroni.

–Po mojemu, Gibbson – powiadam – chyba cię wykończyliśmy!

–Tak sędzę – z łatwością zgadza się szeryf. – Ni cholery nie rozumiem. Żebyście już się stąd wynieśli, to by było fajnie. Tylko znajdźcie mi przedtem coś przekonującego.

–Nie ma sprawy! Decyduj: potrzebujesz zgody szefostwa na naszą tu wojenkę czy załatwimy co trzeba po cichu? Ponieważ ja jestem tylko cichym wykonawcą. I mogę wyjść na policję stanową tylko poprzez mojego bossa. A Johnson sankcję będzie załatwiał... przez samą wierchuszkę. Pół godziny i o wszystkim, co się tu wydarzyło, będą wiedziały specsłużby. Wszyscy oczywiście tu runą. Postawią na głowie całe twoje miasto, zdeptają las, wywrócą do góry dnem bagno i na pewno rozzłoszczą Weilandę. Nie dowiesz się nigdy, co siedzi w bagnie. Nie znajdą też nawet strzępka

po Sarze. Potem oni nagle odjadą, a ty zostaniesz. I będziesz zazdrościł Marvinowi. Jeśli nie żal ci siebie, to pożałuj missis Sayer.

–Johnson też przyjedzie, jak go znam, a znam – dodaje mój partner. – Ma Liebermanna i nie zawaha się go użyć. Zapewniam cię, kto jak kto, ale ci dwaj są ci tu kompletnie niepotrzebni.

Szeryf zastanawia się. Waży ponure perspektywy.

–Powinienem był was zaprzysiąc – mówi w końcu. – Nie pomyślałem.

–Wyluzuj. My mamy takie dostępy, że żadna przysięga nie jest potrzebna.

–Na lokalną ekologiczną katastrofę też macie zezwolenie?! – wybucha policjant. – Może jeszcze walają się wam po kieszeniach licencje na zabijanie?

–Ciągnij diesla! – odpowiada z dumą Billy.

Jak każdy mężczyzna, który złożył przysięgę na wierność całej ludzkości – a jest ich bardzo niewiele – mój kumpel nie znosi, kiedy go porównują z agentem 007.

Wtorek wieczorem

–Bardzo bylibyśmy wdzięczni, Vero, gdyby nas pani poliała wodą – powiedziałem.

Byliśmy tak usmarowani, że nie zdecydowałem się wleźć do środka maszyny. Nie wpuściłem też Billy ego. Kiedy nad bagnem błysnęła czyściutkimi bokami purpurowa „teczka”, popatrzyłem na siebie, obejrzałem partnera i oświadczyłem: „Pojedziemy wierzchem”.

Billy był tak zmordowany, że tylko zaklął. Usiedliśmy każdy na swoim kilu i poleciliśmy na ogonie „teczki”.

Miasto ocipiało.

I tak w napięciu śledziło nasze poczynania, ale w tym momencie na wszystkich poddaszach otworzyły się okna, a na każdym płaskim dachu stanął człowiek z lornetką. Nie byłem też zbyt zdziwiony, kiedy wyczułem czyjeś zainteresowanie od strony rancho Weiland. To stary

wlaził na wieżę wodociągową i stamtąd gapił się przez archaiczną stereolunetę.

A mój partner oczywiście zapomniał schować armatę za plecami.

Wyobraziłem sobie nagłówek w wiadomościach: „Chłopaki z NASA mają blastery Alienów”, i pomyślałem nie bez sadystycznego zadowolenia – niech się NASA tłumaczy. Dla niej to nic nowego.

Parking na dachu domu Sayerów był pusty i ucieszyłem się, choć to grzech, że mister Sayer jeszcze nie przybył. Nie pałałem żądzą zobaczenia go. Po co mi facet, który nie wierzy w cuda, zimny jak lód w stosunku do żony i uważający siebie za pępek świata? Co to ja – mało takich widziałem?

Vera stała na werandzie.

Billy, wypisz, wymaluj bagienna kikimora, zlął z kila i usiłował strząsnąć z maszyny wodorosty, które podczas lotu odpadły mu z tyłka i zapaćkały karoserię.

–Nie zdejmuj maski – zarządziłem. – Zaraz poprosimy o kąpiel

alarmową.

–Chodźmy za dom – powiedziała Vera.

Wpierw nałożyła fartuch i gumowe rękawice. Aż miło było na nią patrzeć!

Na początku po prostu obracaliśmy się pod strugą wody z ogrodowego węża, potem skoczyłem po szampon i szczotkę. Przydał się w końcu zestaw dezaktywujący, dobrze, że nie wedle przeznaczenia. Na podwórku powstała spora kałuża, w której pływał błotny kożuch z białymi strzępami mydlanej piany.

Vera podeszła do swojej misji niezwykle serio. Polewając nas, marszczyła brwi i zaciskała wargi, a nawet usiłowała komenderować surowym głosem. Billy tarł mnie szczotką i co i rusz nerwowo chichotał. Może dlatego, że wyobraziłem sobie, jak by było cudownie obejmować się z missis Sayer pod prysznicem?

Trudno, nic nie mogłem na to poradzić, takie miałem myśli.

–Nurkowaliście? – zapytała Vera, gdy zdecydowałem, że już wystarczy, i zdjęliśmy maski.

–Wanja nurkował – poinformował ją mój partner. – Ja się topiłem. A on nurkował po mnie.

–Wasze... skafandry można powiesić, żeby wyschły tu na sznurku. Proszę się ich pozbyć i idziemy do stołu.

–Dziękujemy. Mamy suszarkę do kombinezonów, działa znakomicie, błyskawicznie. A co do stołu... Nie chcielibyśmy, żeby babcia Hurt się obraziła. Miasto jest podniecone i zapewne missis Hurt doczekać się nie może raportu o naszej ekspedycji. Żeby potem sto razy opowiedzieć tę straszną historię. Vero... – zawahałem się. – Jeśli pani pozwoli...

Billy odszedł na bok i tam delikatnie, cichutko jak myszka ściągał swój kombinezon. Zwykle, wylazłszy z „kondomu”, na czym świat stoi przeklina ten genialny wynalazek – jeszcze mocniej niż gdy go wkłada. A tu cisza.

–Jeśli pani pozwoli – znalazłem w końcu odpowiednie słowa – nie powiem pani nic ponad to, co już pani wie od szeryfa. Sara zostawiła znaki co najmniej sześć dni temu. I w środku bagna coś dziwnego dzieje się z elektroniką. Na razie to wszystko. Jutro pójdziemy znowu.

W tym czasie Billy świdrował mój tył głowy spojrzeniem. Jak wiertarką.

–Nie chce pan czynić mi nadziei na próżno, Wania – powiedziała Vera. – Dziękuję. Dziękuję wam już choćby za to, że dziś tam poszliście. Nikt poza wami nie odważył się iść przez bagno na piechotę. Najpierw się bali, a potem tak się zawstydzili tego lęku, że pochowali głowy w piasek. Przez wszystkie te dni odwiedzały mnie tylko trzy osoby – szeryf, babcia Hurt i... stary Weiland. Dziwi to was?

–To są ludzie godni szacunku, missis Sayer – powiedział mój partner. – Dlaczego więc mielibyśmy się dziwić? Proszę nam wybaczyć, że nie zaczęliśmy od razu w sobotę. Zachowaliśmy się jak kompletni idioci. Jak prawdziwi stołeczni szpanerzy.

Ale Billy kompletnie Vera nie interesował. Tak się zdarza z powodu wymuszonego mentalnego sondowania. Nie pamiętała, co z nią zrobił mój partner, ale instynktownie

zamykała się przed nim. Patrzyła tylko na mnie.

–Teraz rozumiem, dlaczego miasto było takie przestraszone i skonfundowane, Vero. Przez trzy dni nie wiedzieli, jak nas zahaczyć. Proszę im wybaczyć, jeśli pani może. I nam, żeśmy się od razu nie połapali.

–Ci... Oni od samego początku postawili krzyżyk na Sarze -powiedziała missis Sayer. – Dla nich jak nie ma bransoletki, to nie ma i dziecka. To nic, Sara wytrzyma, ona się czuje w lesie jak w domu. Na bagnie też. Wiem to. Nie puszczałam jej tam bez kamizelki ratunkowej i trzymałam w pogotowiu maszynę, żeby wyciągnąć głuptasa z bagna. Dwa razy tonęła. Potem jej się to znudziło i przestała tonąć. Czy według was jestem szalona?

–A co innego mogła pani zrobić? – prychnął Billy. – Dzieci, dzieci, dzieci, żeby mnie pogięło...

–Według mnie pani jest wspaniała, Vero – powiedziałem.

Nad nami zawisła niezręczna pauza. Tworzył ją mój partner.

–A ja skoczę po suszarkę – zdecydował wreszcie. – Wanja, zdejmuj te manele.

Rozpiąłem kombinezon. A moja missis Sayer stała, ciągle jeszcze w fartuchu i rękawiczkach, i patrzyła jak się rozbieram.

Pod kombinezonem mam specjalny trykot. Przysięgam – na tyle straciłem głowę, że nie wstydziłbym się nawet stanąć nagi przed Verą, ale teraz to wyraźnie był nie ten moment.

Przecież ona wiedziała, jaki jestem bez ubrania. A ja wiedziałem o niej jeszcze więcej.

Boże, co też ja tu nawyczyniałem, ależ historia!

–Ekologiczny college w Baltimore jest gotów przyjąć Sarę już tej jesieni mimo jej wieku – powiedziała missis Sayer. – Ona sama się z nimi dogadała. Postawiła mnie przed faktem dokonanym.

–Pojedzie pani z nią?

–Na jakiś czas. Pół roku, może rok. Zobaczymy.

Rozmawialiśmy tak, jakby dziewczynka była żywa.

Wczoraj Sara była żywa na pewno.

Małe egoistyczne ścierwo...

Złapię – zabiję! Jak swoje.

Na samą myśl, że jedenastoletnia dziewczynka, niech nawet bardzo samodzielna, przesiedzi jeszcze jedną noc w bagnie, gotów byłem wyrwać sobie wszystkie włosy.

–Vero, proszę tak na mnie nie patrzeć – poprosiłem, wieszając kombinezon na sznurku. – Muszę się przebrać, zaraz wracam.

–Pan mnie nie zrozumiał, Ivan – rzekła nagle innym, takim obsuniętym głosem. – Nie oczekuję od was nowin. Skoro już zdecydowaliście... Po prostu na was patrzę. Pan jest inny. Jest pan jedynym człowiekiem, który zechciał mi pomóc. Szeryf trzęsie się o swoją reputację. Weiland spełnia sąsiedzki obowiązek, babcia Hurt jest po prostu dobrą staruszką... Nie wierzę, że ratownicy chodzili po bagnie, Ivan. Po co im

to? Wszyscy ślepo wierzą w technikę i boją się pobrudzić. Nawet mój mąż ani razu nie postawił swojej stopy na tamtej ziemi. I mnie nie pozwolił tam iść.

–Jaka tam ziemia! Trzęsawisko... A pani?...

–Kilka razy odprowadzałam Sarę kawalek. Po prostu żeby zobaczyć, jak ona zręcznie przemieszcza się po tych kępach. A kiedy wracała, upijałam się i tłukłam naczynia. Sama, w kuchni. Potem jakby się przyzwyczaiłam. Nie ma pan mi za złe, że to opowiadam?

–A pani nie ma mi za złe, że jestem bez kapelusza?

–Proszę iść się ubrać. – Vera zwołała mnie cesarskim gestem, popatrzyła na swoją rękę w gumowej rękawicy i roześmiała się. Po raz pierwszy. Niemal zemdlałem. Chyba się rozpląnąłem w głupim uśmiechu.

Billy ciągle nie przychodził z suszarką. Miałem stracha, że śmiech Very zmieni się w histerię – ale nie. Histerii już więcej nie będzie. Kłamię, będzie jeszcze jedna, kiedy przyprowadzimy Sarę.

Jeśli.

–Proszę zostać na obiedzie, Wania. Wkrótce wróci mój mąż, opowiecie mu, jak lataliście do odległych planet. Pracował dla NASA w swoim czasie. Mnie też to interesuje. A babcia Hurt poczeka. Ona potrafi czekać. Tu wszystkie kobiety to potrafią. Nic innego im nie pozostaje.

–Nie lataliśmy daleko, Vero. I nie jesteśmy z NASA.

Zrobiło mi się bardzo przykro, jak nigdy dotąd, że nie dotarliśmy do jakichś ważnych planet. Dla niej przedarłbym się na Alfę Centauri. Nieważne, jakim sposobem. Nawet siłą woli.

–Zasmuciłam pana, Ivan. – Skinęła głową do swoich myśli missis Sayer. – Czy to... To nie jest tajemnica?

–Nikt w to nie uwierzy – powiedziałem. – Musi pani znać to uczucie, kiedy nikt człowiekowi nie wierzy.

I poszedłem się przebierać.

Mój partner działał suszarką na całego, trzymając kombinezon w wyciągniętej ręce.

–Usta ma małe – uszczęśliwił mnie cenną obserwacją. – Wargi pulchniutkie, seksowne, tak, usteczka naprawdę całkiem, całkiem. Szeroko się nie otworzy. Przygotuj się, żeby cię pogięło. Coś tak skisł, Romeo? Co z tego, że nie dotarliśmy do Jowisza? Kto winien, żeby cię pogięło?

–A w oko chcesz? – spytałem, zapinając jeansy.

–Nigdy nie byłem świadkiem na ślubie – oświadczył Billy, patrząc gdzieś w bok. – Teraz śluby to taka rzadkość... Nawet wśród naturali. A przecież ja i ty jesteśmy najnaturalniejsi z naturali, co, Wania?

–W Rosji żenią się ciągle i na okrągło. Mogę i tobie coś załatwić.

–Dzięki, nie potrzebuję. Słyszałem o rosyjskich weselach. Ja tyle nie wypiję. A i jakieś to niehigieniczne: ciepłą wodę z zapoconego pantofelka narzeczonej... Kiedy zaczniemy psuć kombinezony?

Przygryzłem wargi. Kombinezonów było mi bardzo szkoda. Pewnie, to tylko

biomateriał do rozhodowania i Billy ma w bagażniku drugi komplet, ale kiedy sobie wyobraziłem barbarzyńską operację wydlubywania całego – całego! – elektronicznego oprzyrządowania, tego elektronicznego farszu z naszego roboczego ubrania... No i ta dwugodzinna dłubanina.

–A może kupmy jakieś wędkarskie manele? – zaproponowałem niezbyt pewnie. – W sklepie widziałem znakomite wodery. Są kurtki, siatki na moskity... Obsmarujemy się repelentem...

–To jest, oczywiście, ale „kondom” to „kondom”. – Mój partner pomachał kombinezonem w powietrzu. – Nie ma nic lepszego do łożenia po bagnie. I buty wędkarskie nie podskoczą do naszych. Poza tym jest „dychawica”. Już wymyśliłem, jak można wypruć z niej automat startowy. Będę włączał ręcznie, jeśli znowu wpadnę do jeziora.

–Lepiej już nie wpadaj. Wiesz, jak się przestraszyłem?

–Wiem, dowódco! – Billy mocno klepnął mnie w ramię. – Jasna sprawa, że niepotrzebnie po mnie skoczyłeś, ale i tak jestem ci wdzięczny. Dawaj tu swoją gumę, wysuszę ci. I zapytaj missis Sayer, gdzie tu w mieście jest przyzwoita myjnia. Nie zapomniałem o upomnieniu dyscyplinarnym!

Vera siedziała na werandzie i patrzyła na las. Nienawidziła go -codziennie odbierającego jej córkę. Ale wybaczała mu, ponieważ córce był potrzebny. Mimo wszystko dzieci, to autentyczny koszmar. Nigdy nie wiesz, kiedy cię wystawią. Wystarczą mi moi bratankowie. Niby normalne łobuziaki – maszyny, sport, broń, dziewczyny, niewinne sieciowe rozrywki. Potem – dup! Wpadają na hakerskim ataku i to na takim poziomie, że wujek astronauta ledwo zdołał wyciągnąć ich z kanału. Musiałem swoim kamyczkiem pomachać pewnym osobom przed nosem.

–Domyślcie się, kto tam jest?

–Pięćdziesiąt na pięćdziesiąt. – Usiadłem obok missis Sayer. Nieco bliżej niż należało.

Nie odsunęła się, wręcz przeciwnie – chciała, żebym był tuż obok. Chciała i bała się przyznać do tego nawet samej sobie.

–Vero, dlaczego szeryf nie powiedział mi, że Sara wzięła ze sobą wojskowy zestaw żywniowy? Przecież o tym wiedział. I w ogóle, masę rzeczy dowiedziałem się dopiero od pani.

–Gibbson już ją pochował – westchnęła. – Wszyscy poza mną ją pogrzebali, gdy tylko wyłączyła się bransoleta. Dla nich to prostsze rozwiązanie i przyjemniej się z tym żyje. To nie jest okrucieństwo, oni i do siebie odnoszą się... czysto mechanicznie.

Przypomniałem sobie uwagę babci Hurt o tym, że dziecięce bransoletki psują rodziców, i skinąłem głową z gorzkim zrozumieniem. Starzy dobrze myślą, tylko nie potrafią tego zwerbalizować. Świat zmienił się jakościowo. Dla przeważającej większości rodziców na Ziemi nastąpiła bardzo przezroczyta, lekka, komfortowa epoka. Nie trzeba myśleć. Na każdą okoliczność znaleźć można gotowe schematy zachowania. Boli -połknij tabletkę. Nie ma dyplomu – oczywiście, dureń. Zepsuło się -

wyrzucić. Nie ma sygnału – nie istnieje. Zniknął bez śladu – umarł.

W wojsku wykładano nam całkiem inną psychologię. Póki nie zobaczyłeś ciała – szukaj, uważaj człowieka za żywego i potrzebującego pomocy. Ale szczerze mówiąc, każdy z nas kosztował supermocarstwa takie pieniądze, że inaczej nie mogły kombinować.

–...A do noszenia zestawu ja ją zmusiałam.

Sara oszczędzała jedzenie, ale już się jej kończyły tabletki do oczyszczania wody. Będzie śmiesznie, jeśli jutro najspokojniej w świecie wyjdzie sobie z lasu.

„Nie oszukuj się – powiedziałem sobie – nie oszukuj. Sara to oczywiście gówniara, ale gdyby potrafiła wyjść, toby wyszła. Dziewczynka kocha matkę, może specyficznie, ale mocnym uczuciem. A ty po prostu nie chcesz włączyć do trzęsawiska bez broni.»Teczka«potrzebuje trzydziestu sekund, by doskoczyć do ciebie, ale te pół minuty może być najdłuższe w twoim życiu.

No i trzeba będzie wytłumaczyć, jak wezwalesz maszynę, skoro nie masz coma. A tam, kicham! Powiem im, żeby poszli pociągnąć diesla, i kropka. I pójdą, zawsze idą.

Od czasu, kiedy stałeś się Człowiekiem-Z-Magicznym-Kamieniem.

Billy ma dynks. Czarodziej i czarny mag William Mbabete. Jak miło!

Johnson też ma dynks. Ostra kamienna drzazga, nieco większa od twojej, z tego samego meteorytu. Johnson opakował ją w złoto. Kocha złoto.

Tak, on chciał zawładnąć też tym odłamkiem, który przeszedł na wylot przez głowę nawigatora okrętu flagowego, ale mu go nie dali, powiedzieli, że to dowód rzeczowy. I jeszcze nazwali Johnsona nekrofilem. A ten powiada:»Czy ja jestem winien, że właśnie ten kamień mnie przyciąga?«.

One naprawdę same wybierają sobie gospodarzy...”.

A Vera patrzyła na mnie. Badała mój profil.

–Mam takie wrażenie, Wania, jakbym znała pana od bardzo dawna.

–To się zdarza.

–Tak, zdarza, kiedy... – zamilkła, nie ryzykując dalszego ciągu. Bała się, że coś palnie. W złym czasie i złym miejscu.

–Stykał się już pan z tym, Ivan? Teraz pyta mnie o to, co siedzi w bagnie.

–Vero, proszę mnie nie szarpać na próżno. Przecież powiedziałem: pięćdziesiąt na pięćdziesiąt.

–Jak to jest niebezpieczne?

Do wczorajszego dnia TO nie zabiło Sary.

–Nie atakuje pierwsze... – Wstałem. – Wie pani co, Vero, pójdę sobie. Im dłużej siedzę obok pani, tym bardziej chce mi się skończyć wszystko możliwie szybko. Muszę przygotować sprzęt i porządnie się wyspać. Myślę, że babcia Hurt obejdzie się bez bajki na dobranoc.

–Wanja! – zawołał Billy. – No to gdzie jest najlepsza myjnia?

–Najdroższa jest pod estakadą szlaku – powiedziała cicho Vera. –

Najlepsza na południowym wylocie z miasta. Tam myją wozy na kołach i to po staremu, ręcznie. Ale pańską ślicznotkę na pewno też wezmą.



**–Dziękuję! – krzyknął mój partner. – Wanja, ja migiem!  
Vera popatrzyła na mnie. Wziąłem ją za rękę. I opowiedziałem  
wszystko, co wiedziałem...**

...Do wyspy dotarliśmy wściekli jak stado diabłów, ponieważ Billy po drodze nadepnął na węża. Wyszarpnąłem biednego gada spod nóg partnera, a ten z wdzięczności mnie sfekalizował. Straszny czarny mag William Mbabete wodził lufą na wszystkie strony i mamrotał przekleństwa.

Obiecana „sterta zgniłych bali” okazała się kupą budowlanych belek i paneli ściennych. Wszystko to nie tak znowu bardzo zgniło – w swoim czasie zostało mocno nasączone chemią ochronną. Plastikowy dach widocznie kopacze zabrali ze sobą.

Ruiny wyglądały paskudnie – wszędzie widać było świeże złamania i zwęglenia. Nieźle tu sobie polatał jakiś mądrała.

–Operacja ratunkowa typu „ciągnij diesla, nieboszczyku”! – powiedział mój partner. – Mam nadzieję, że nie będę musiał zażyć ich ratunku, bo prędzej spalą mnie, niż zauważą, dupki!

–To gliny na koszącym. Albo Sayer. Platformy ratowników mają bardzo łagodny wydech. Poza tym ratownicy wedle instrukcji nie mają prawa zawisać nad takimi obiektami. Muszą wylądować obok, wysiąść i sprawdzić, czy nie ma w ruinach człowieka.

–Mają w nosie instrukcje... – Billy przykucnął i zajrzał do wnętrza sterty. – Tędy można się przeczołgać, Wanja.

Włączył latarkę podlufową i poświecił.

–Nie ma tam ni cholery...

Wstał i zaczął krążyć dokoła sterty, zaglądając do każdej szczeliny, przez którą mogłoby przeniknąć dziecko.

Wyobraziłem sobie, jak to samo robi ratownik. Mężczyzna z latarką przekonany, że dziewczynki pod tą stertą bali nie ma i być nie może -przecież oni wszystko przeskanowali na wylot z wynikiem zerowym.

–Nie dotykaj niczego rękami – powiedziałem i poszedłem od ruin w stronę brzegu wyspy.

Krzaczki, drzewka, krzaczki, drzewka. Sara jest dziewczynką skrytą niczym małe zwierzątko. Poza tym jest dziewczynką akuratką, nawet pedantyczną, nie to co Billy.

Wypatrzyłem krzaki z największymi liśćmi i wlałem w nie. Znajezisko odkryłem po około trzech minutach. Kiedyś było to kupką fekaliów delikatnie przysypanych ziemią. Niełatwa jest praca tropiciela. Mocno pożałowałem, że nie znam się na ludzkich wydzielinach. Jak

odróżnić kał dziewczynki od kupy ratownika? Według wielkości? Wszystko się rozłożyło – wilgoć i upał. Zresztą... A gdyby tak poszukać świeżych dziewczęcych odchodów? Ech, dlaczego nie jestem psem?

Wyczuwszy mój myśliwski zapach, przyleciał Billy. Po kilku minutach znaleźliśmy miejsce, nad którym leniwie roiły się muchy.

–Po raz pierwszy żałuję, że nie znam się na gównie – przyznał mój partner. – Z uwzględnieniem temperatury i wilgotności... Cholera ją wie, Wanja.

–Ale za to wiemy już, że tu jest jej baza. Chodźmy, poprzierzucamy bale.

–Żeby cię... – Billy gwałtownie odwrócił się twarzą do niewidocznego stąd miasta. Walila do nas na boosterze maszyna patrolowa. Dopiero co wystartowała z dachu posterunku.

–Gibbson, co jest, u diabła?... Gibbson! – wrzasnąłem w com.

–To dobre! – powiedział mój partner. – Zręcznie. Była łączność i nagle ciągnij diesla. Zauważyłeś coś?

Nie umawiając się, stanęliśmy plecami do siebie i unieśliśmy lufy.

–Ani pstryczka, ani szelestu. Po prostu ktoś oczyścił częstotliwość. I com nawet nie pisnął. Kto potrafi tak zagłuszać, dowódco? Co mi to przypomina?

–Zaraz będzie łączność – obiecałem mu. – Jak tylko patrol wyskoczy zza lasu. A co ci to przypomina, wiem. I ty też już się domyśliłeś.

Oczywiście, że się domyślił. I zareagował jak typowy astronauta.

–Powysztrelam gadów – obiecał. – W końcu. Czyżby, kurde?

Wpadliście, gołąbeczki. Wdupiliście się. A-a-ach... Aż mi się nie chce wierzyć. Spełniło się marzenie, co, dowódco, żeby cię pogięło? Bokiem wam to wyjdzie. Bo to jest, piździelce skośnookie, nie topienie terierów w bagnie i czadzenie w mózgu dziewczynki. Wpakowaliście się na parę drapieźników!

Zapomniałem już, jaką gównianą prędkością dysponują policyjne maszyny. Kiedy człowiek sam gania niby jakiś James Bond na podrasowanej „teczce”, odbiera świat przez pryzmat jej unikatowych możliwości. Wydaje ci się, że „skok i na miejscu” to norma.

–A dlaczego oni nie zdechli? – zamyślił się na głos Billy. – Powinni przecież byli zdechnąć, jeśli mocno wylądowali. Czyli co: nie oni?

–Ja też tak sądzę.

–Ale kto w takim razie siedzi w bagnie, żeby go pogięło?... Nie zwierzę przecież. Według nas to jest to coś technicznego, dowódco! Spadła z orbity sekretna broń ruskich? Do tego stopnia tajna, że sami o niej zapomnieli? Bzdura.

–Miejmy nadzieję, że nie automat. Jeśli to coś technicznego i ma operatora, to go złapiemy i wszystkiego się dowiemy... O, patrol się zjawił, nie omieszkał!

Ponad ścianą lasu przeskoczyła migająca kogutami plamka i runęła w naszą stronę.

–...pcy, gdzie jesteście, chłopcy, odpowiedzcie, porucznik Gibbson wzywa Ivana, gdzie jesteście, chłopaki... – rozległo się w słuchawkach.

–Zawołaj Clarissę! – zażądał mój partner.

–Co?... Och, Ivan! Jesteście cali?

–Samopoczucie w normie. Wracaj z patrolem do siebie.

–Poczekajcie. Zaraz... Och, was jakby ktoś wyłączył!

–Dawno?

–Kiedy doszliście do wyspy. Nie od razu skumałem, co się wydarzyło.

Krzyczałem, wrzeszczałem, potem patrzę: wasze metki zniknęły z mapy! A częstotliwości przecież nie są zagłuszone. Takie wrażenie, jakby was ktoś stał. Chłopaki, och, chłopaki... Ivan! Wsiadajcie do maszyny. Niech to szlag. Wracajcie.

–Odwołaj maszynę, Gibbson.

Patrolowiec wykręcił nad bagnem szeroki łuk i zniknął, z „ryja” dotarło do nas coś krótkiego i wyrazistego.

–Ciągnij diesla! – wrzasnął Billy na pożegnanie. – Szeryfie, dlaczego twoje dupki przeklinają? To jest naruszenie dyscypliny. Złożę skargę.

–Pewnie się boją – powiedział nasz glina. – O was, nawiasem mówiąc.

–O siebie się boją, żeby cię pogięło! Czują, jakie tu się rozpęta piekło, jeśli nas porwą zielone ludziki. A na mnie napadła żmija, kumasz? Jak mi się nie wczepi w nogę...

–Słyszałem, gdzie ci się wczepiła – powiedział szeryf. – Łączność zanikła później. Ivan! Nie podoba mi się to, co się tam dzieje. To mi wygląda na zagrożenie.

–Jak chcesz, to palnę w powietrze z połowy mocy – zaproponował Billy. – Może dotrze do ciebie, kto tu stanowi realne zagrożenie.

Tak właśnie mój partner zwykle dodaje sobie odwagi. Naprawdę miał ochotę palnąć w powietrze. Po prostu, żeby odegnać wszystko i zewsząd.

–Gibbson, bez paniki – zacząłem. – Zrobimy tak: ty tam nie milcz, tylko posadź człowieka, który ma raz na minutę dać głos...

–Clarissę! – palnął od razu Billy.

–...żebyśmy wiedzieli, że mamy łączność. Kiedy się zerwie, nic nie rób. Kompletnie nic. Jeśli będzie z nami kiepsko, damy znak. To będzie słup pomarańczowego płomienia, zobaczysz go na pewno. Na błyski i odbicia nie zwracaj uwagi, zgoda? A jeśli zobaczysz słup...

–To startować wszystkimi maszynami i walić do was? – zapytał szeryf głosem człowieka, który dostał wyrok: lizanie rozżarzonych patelni.

–W żadnym wypadku. Tylko jedna maszyna i to ostrożniuteńko. Niech tu... się rozejrzy. A ty weźmiesz moją wizytówkę, tam jest numer comu Johnsona. On zorganizuje całą resztę.

–Wolę zabrać was stamtąd od razu! – oświadczył twardo nasz glina.

–To przesadna asekuracja – powiedziałem. – Wszystko będzie w porządku. Bywaj, szeryfie, przystępujemy do badania wyspy. Na razie.

–Powodzenia, psychole – wycedził.

Trąciłem Billy’ego łokciem i przyłożyłem palec do warg, znaczy do miejsca, gdzie zwykle je mam, kiedy nie nałożę maski. Mój partner skinął głową. Nieumotywowane zniszczenie pnia ze znakami mocno go rąbnęło. Przypomniał sobie o swoich „jasnowidzkich wyczynach” i już nie odbierał zniknięcia Sary jako lokalnego problemu. Kryło się tu coś poważniejszego. Możliwe, że dotyczącego nas i tylko nas.

Podeszliśmy do ruin i zaczęliśmy przekładać bale.

Cholernie ciężkie zajęcie.

–Ivan... William... – rozległo się w słuchawkach.

–Clarisso... – zagruchał Billy. – Jakże się cieszę, że panią słyszę!

–Denerwujemy się przez was, bohaterzy. Było to powiedziane ciepło. I „was” oznaczało „mnie”. Następane dziesięć minut mój partner bez przerwy gaworzył.

Opowiadał Clarissie, jak tu gorąco, duszno i strasznie. Opisał w detalach atak żmii („Jakieś siedem stóp, no, może sześć, i zęby jak u owczarka!”).

Zauważył mimochodem, że coś takiego nie przydarzyło mu się nawet na Tytanie („A jest to najgorsze miejsce w Układzie Słonecznym, zapewniam panią, Clarisso!”). Przypomniawszy od niechcenia, jak ścisnął mu dłoń sekretarz generalny Narodów Zjednoczonych. Obiecał zawieźć dziewczynę na Księżyc i powozić wierzchem na radzieckim łunochodzie („Do tej pory jak nowy, taki fajny!”). Reszty tego bredzenia nie zapamiętałem.

Musiałem mu przyznać jedno – mimo gadulstwa znakomicie pomagał mi odrzucać panele ściennie i przesuwając bele konstrukcji. Potem znalazłem czarny plastikowy worek. Był bardzo przemyślnie ukryty, nawet gdyby ktoś wszedł do wnętrza stosu bierwion, odkryłby go, dopiero uderzywszy weń nosem.

–Przepraszam, Clarisso, jestem potrzebny dowódcy – powiedział Billy. – Proszę wywoływać nas co minutę. Pani głos to najprzyjemniejsza rzecz, jaką usłyszałem tego francuskiego dnia.

–Nie licząc, rzecz jasna, chrzestu, z jakim pękł czerep anakondy w twojej ręce! – przypomniałem.

–O tak! – zawołał mój partner i pokazał mi pięść.

Worek był mocny, pojemny i hermetyczny. Och, nie jesteś głupia, mała Saro! Otworzyłem klapę i znalazłem wewnątrz... Czego tylko ja tam nie znalazłem! Różne turystyczne manele, łącznie z karimatą, podgrzewaczem i składaną mikrofalą. Coś, co nazwałbym „przenośnym laboratorium chemicznym”. Mnóstwo sond i próbników, słoiczków i pojemniczków. Poza tym paczka z czystą bielizną. Paczka z brudną bielizną. Paczka ze

śmieciami. Ale oto czego tam nie było – latarki, noża, baterii, jedzenia i lekarstw. No i nie było niczego do pisania – dziecko pewnie stuknęło bezpośrednio na comie albo i od razu przerzucało infę do Sieci.

Nie było też czerwonego markera.

–Co to? – zapytał Billy.

„To” było starannie zapakowaną w pojemniczek na próbki psią bojką. Z wygrawerowanym napisem „Terry” i adresem Roadsów.

Oddałem boję partnerowi, a sam zabrałem się do badania śmieci.

„William... Ivan...” – wołała nas co minutę Clarissa i co minutę Billy odpowiadał jej: „Jestem”.

Śmieci niemal od razu dały odpowiedź na pytanie, co dziewczynka jadła. Zobaczyłem opakowanie po standardowej racji wojskowej, a w niej puste kasety. Dwie, trzy, sześć... Sześć zużytych dobowych zestawów z dziesięciu. Ale kiedy zostały otwarte i w jakiej kolejności zużyte, nie mogłem, rzecz jasna, określić. Ciekawa sprawa była z tabletkami do odkażania wody. Można stosunkowo łatwo ograniczyć sobie jedzenie, ale żeby zaoszczędzić tabletki i nie zatruć się, należy dysponować sporym i -w jej przypadku – cudzym doświadczeniem. Ktoś, kto przeżył w ekstremalnych warunkach, musiał jej opowiedzieć, jaki musi być stosunek ilości reagentu do ilości cieczy. Do jakiej wody od biedy wystarczy ćwierć tabletki, a do jakiej mało nawet półtorej. Z Sieci takie infy są wycinane bezlitośnie, bo i po co tam mają być? Nie ma na Ziemi miejsca, do którego ratownicy nie dotarliby w ciągu doby.

**A przez dziesięć dób przeczesaliby gęstym grzebieniem nawet źródła Amazonki. Tu też niby przeczesali, pewnie. No, starczy tej literatury!**

**Sara nie mogła zaoszczędzić tabletek. Wrzucała je zgodnie z przepisem do standardowej manierki i zużyła już dziewięć norm. W taki upał dzieci piją nie mniej niż dorośli, może nawet więcej.**

**Wracała tu, do swojej bazy, codziennie – i odchodziła znowu. Do rodzinnego domu mogłaby dobiec stąd w trzy godziny, góra! Ale nie pobiegła tam. Dlaczego? Tabletki i racje nosiła ze sobą. Czyli była niezależna od bazy.**

**Co w takim wypadku ją tu trzymało?**

**Woda wokół wyspy kiepska. W jeziorze, gdzie siedzi monstrum, pewnie jest czystsza. Piec? Wojskowe samopodgrzewające się racje -świństwo. No, podgrzane w mikrofalach – jak cię mogę. Ale to nie mogło być przeszkodą dla tej małej. Co w takim razie było? Zmiana bielizny? Fizjologia? Dlaczego nie mogła załatwić się tam... Tam, dokąd chodziła? Pewnie tam nie było warunków. A gdzie nie ma warunków?**

**–Ciekawa sprawa – powiedział Billy, podając mi rozebraną boję.**

**Jej krucha elektronika wyglądała dziwnie. Niech to diabli, była spieczona! Jakby się znalazła... Popatrzyłem na mikrofalę. Nie, oczywiście, że nie...**

**–Potrafiłbyś tak? – zapytałem.**

**–Teoretycznie? Pewnie tak, jakbym ześwirował. W ataku szału.**

**Przecież nie jestem takim Żelaznym Johnem, jak co poniektórzy, żeby cię... pogięło. No to co wymyśliłeś, dowódco?**

**–Słuchaj.**

**Partner przylgnął do mnie ramieniem, a ja pokazałem, pokazałem w wyobraźni, swoje domysły.**

**–Logiczne – przyznał Billy. – No to wszystko jasne, żeby cię pogięło.**

**Znaczący, wszystko jasne, ale nic z tego nie rozumiem. Wychodzi teraz na jaw trudne dzieciństwo spędzone przeze mnie na stacji benzynowej.**

**Zacząłem pakować z powrotem śmieci do torby.**

**Tak więc Sara Sayer, dziewczynka z „zieloną ręką”... Hoduje wymierające rośliny, Igną do niej wszelkie stworzenia pozbawione mowy. Dorośli uważają ją za dziwną, rówieśnicy też, a małe dzieci – wcale nie wszystkie. Na przykład malutką Roads Sara nauczyła hodować kwiaty. I dowiedziawszy się, że zaginął jej ulubiony terier, poszła do lasu na poszukiwania. Nie wpadła nawet do domu, rower porzuciła pod drzewami. Dopiero wieczorem odkryto jej zaginięcie i wtedy okazało się, że jej dziecięca bransoletka milczy. Więcej już nikt Sary nie widział.**

**Mała odkryła coś na bagnach. I albo zaciekle oddała się badaniu tego czegoś, albo też znalezisko oddało się badaniu dziewczynki. Nie mniej zaciekle.**

**Żeby odpędzić ponure myśli, powtarzałem sobie, że „kontaktowcy” -niby że komunikujący się z Obcymi – to frustraci albo i psychole. Zielone ludziki – żeby wyzdychali ufolodzy i inni fantaści! – mają Ziemię kompletnie w zadku.**

**No to jaka cholera się wtedy na nas zwała?**

**Zegarek wskazywał piątą po południu. Przyjdzie dzisiaj? Coś mi podpowiadało:**

nie. Przyjdzie jutro? Liczyć na to nie miałem prawa. Na bagnach każda minuta może być ostatnia. Poślizniesz się i już jesteś po pas w trzęsawisku. Im bardziej się szamoczesz, tym szybciej cię zasysa. To byłby koszmar, gdybyśmy tak sobie siedzieli na balach, a milę od nas tonęła Sara. Nawet nie wiem, czy poczulibyśmy jej bezgłośny, paniczny krzyk. Tu nie tylko elektronika wysiada!

To ostatnie stało się jasne dopiero teraz. Przecież tylu ludzi latało nad topielą przez cały tydzień! Powinni byli zobaczyć cokolwiek podejrzanego, ale nie. Czyli wygląda, że tylko Billy i ja jesteśmy efektywnymi ratownikami.

„Musimy, znaczy się, ruszać – uznałem. – Żeby nie było potem wstyd. No i Vera... Znowu o niej myślę!”

Wepchnąłem manele naszego młodego ekologa do worka, zamknąłem go i położyłem na miejsce. Gestem pokazałem partnerowi, że należy przywrócić *status quo*. Billy zasapał z dezaprobatą, ale bluzgać nie zaczął. Jakoś tam przywróciliśmy ruinom ich poprzedni wygląd i ciężko dysząc, poleźliśmy w bagno.

Według czerwonej strzałki.

Do zarośniętego jeziora dotarliśmy dopiero po półtorej godziny. Przed nami wyrosła ściana trzciny, zza której nie dochodził żaden dźwięk. Nadal nie mogłem wymacać wewnętrznym okiem bagiennego monstrum – jak się wcześniej zatajniaczył, tak dalej siedział cichutko. Zagrożenia ze strony jeziora też nie wyczuwałem.

Łączność działała bez zastrzeżeń. Usiłowaliśmy znaleźć dojście do wody. Ale czy źle patrzyliśmy, czy Sara zachodziła z drugiej strony, czy może już mieliśmy dość tego wszystkiego... Tak czy inaczej, kiedy Billy wyraziście potrząsnął swoją armatą, skinąłem głową.

Mój partner włączył cięcie, ustawił długość płomienia na dwie stopy, wziął armatę w jedną rękę i zaczął wymachiwać lufą jak maczetą. Otoczywszy się kłębam dymu i pary, ruszył w stronę jeziora i po minucie straciłem go z oczu. Leciały tylko strzępy z mętnego obłoku – Billy nie starał się za bardzo i czasem zahaczał plazmowym żądłem również mokry grunt. Był już zmęczony i zły. Marzył, żeby przyciąć komuś rogi.

Szedłem

więc za nim i myślałem, czy nie napomknąć partnerowi, aby machał ostrożniej. Dla zbiorników wodnych powstających w miejscu wydobywania torfu charakterystyczne są spadziste brzegi...

W tym momencie Billy'emu skończył się brzeg pod nogami.

–Yyyy... – zaczął.

Bałem się rzucić się do przodu i chwycić partnera za pas – odruchowo wdusił przycisk spustu. Nie pozostało mi nic innego, jak czekać, aż tonący sam się jakoś sensownie ustawi. Na przykład upadnie na plecy, wyłączy giwerę i odpełźnie.

Ale Billy ustawił się głową w dół. Z głośnym niecenzuralnym wrzaskiem i ogłuszającym syczeniem runął do jeziora, wzbijając w powietrze ogromny słup pary. Woda bulgotała i wrzała dokoła mojego partnera.

–Napadli na nich! – pisnęła Clarissa, ale tak, że omal nie wyskoczyłem ze słuchawek.

**–Cicho! – rozkazałem. – To tylko William Wielki i potworny. Zawsze tak drze mordę, kiedy wpada do bagna.**

**Czułem się dość swobodnie. Monstrum, jeśli jeszcze tu było, w żaden sposób nie zareagowało na występ Billy’ego. A on rozłożył się na niewielkiej głębokości i w tym położeniu wolno go zasysał przydenny muł. Kombinezon przeszedł w tryb autonomiczny, „dychawica” działała jak należy.**

**Mój partner bardzo chciał, żebym go możliwie szybko wyciągnął. Jezioro przeciwnie – mlaszcząc z uczuciem, połykało zdobycz. Para rozwiała się, nad miejscem upadku Billy ego wyływały i pękały ogromne pęcherze. Dalej rozpościerała się zielona gładź ozdobiona wysepkami pływających roślin. Ani jednego czystego miejsca, sama rżesa.**

**Włożyłem broń do kabury na plecach i zrzuciłem wraz z nią kamizelkę. Popuściłem wszystkie zapięcia na kombinezonie. Wyjąłem parę pasów asekuracyjnych. Zdjąłem maskę, żeby pomóc sobie zębami -musiałem mocno pozaciągnąć pasy pod pachami. Potem uszczelniłem kombinezon, odpaliłem „dychawicę”, niezręcznie przeżegnałem się i zanurkowałem.**

**Już po tym, jak zerwałem wentyl na zbiorniku z powietrzem, poczułem, że popełniam jakiś głupi błąd. Ale było za późno.**

**Zwaliłem się partnerowi na plecy, objąłem go rękami i w tym momencie mój kombinezon nadął się jak balon. Najpierw obaj zatonęliśmy w mule, ale po kilku sekundach zaczęło nas wyciągać na górę. Już nie mogłem obejmować Billy ego, próbowałem tylko jak najmocniej wpić się palcami pod jego pas.**

**Sprawca zamieszania, rzecz jasna, też trochę podmuchał swój kombinezon, inaczej nieźle by go zassało, ale któryś z nas musiał zachować mobilność. Billy odpadał, bo raczej by się zadławił, niż zostawił na dnie mienie państwowe. Czy to groszową kamizelką pancerną, czy plazmowy karabin wart pół miliona.**

**Po minucie sytuacja stała się następująca – ja, sypiąc na partnera najgorszymi bluzgami, bełtałem się na powierzchni jeziora, a on, nerwowo chichocząc, siedział na brzegu.**

**–Gdzie jesteś, dowódco? – zapytał. – Aha, widzę. Nie rzucaj się.**

**„Gdzie jesteś?” – dobre pytanie. Znajdowałem się, mówiąc obrazowo, na dole rozdmuchanego jak balon kombinezonu.**

**–Nie próbuj dziurawić „kondoma”, durniu! – wrzasnąłem. – Przecież nie trafię ani w spodnie, ani w rękaw! Utonę w cztery dupy!**

**–Spokojnie, dowódco. Już za chwilę zaczepię twój aerostat kotwą, podciągnę cię do brzegu i spróbuję coś na tobie rozpiąć.**

**Po pięciu minutach siedzieliśmy na brzegu już obaj, szczelnie pokryci mułem, i usiłowaliśmy odetchnąć po niedawnych przeżyciach. W słuchawkach szczebiotała zachwycona Clarissa i przeklinał szeryf.**

**–Wykąpaliśmy się, żeby cię pogięło – powiedział Billy. – Dowódco, proszę o pozwolenie zadania pytania głupiego i nie na miejscu. Po kiego wała zanurkowałeś?**

**–Po ciebie.**

**–Nie mam więcej pytań – skinął głową mój partner.**



Trudno byłoby znaleźć bardziej kretyński sposób na wyciągnięcie Billy ego niż ten, który ja wymyśliłem. Przez jakiś czas byliśmy kompletnie bezbronni, na szczęście albo swoimi wyczynami zastraszyliśmy monstrum, albo ono, nie będąc głupie, po cichu umknęło z jeziora.

Sam bym umknął po upadku takich potworów.

A przecież wystarczyło podciągnąć tu „teczkę”, wysunąć manipulator i poszukać na dnie. Mojemu partnerowi nic by się nie stało. Nawet jeśli woda lodowata, to kombinezon ma ogrzewanie... Ale ja, znając czujny charakter monstrum, zakazałem sobie myśleć o maszynie. Miałem nadzieję, że lada moment znowu zaniknie łączność i nieznane skoczy na nas, kłapiąc zębiskami.

Billy zagapił się na przeciwległy brzeg jeziora.

–Co? – zapytałem.

–Zrób powiększenie do maksimum. Bliżej przy tamtym brzegu powierzchnia jest inna niż tu.

Podkręciłem soczewki swojej maski i zobaczyłem, że partner ma rację. Rzęsa tam, gdzie on pokazywał, wyglądała na nie tak zwartą. Wstałem i rozmazałem spojrzenie. Tak jest! Przy tamtym brzegu na powierzchni jeziora była plama. Wielka jak cholera. Jakby tam coś regularnie wypływało, poruszając rzęsą, nie dając jej zaciągnąć lustra wody.

–Mimo wszystko zaliczamy trafienie – powiedział Billy. – Jest tutaj.

Nawiasem mówiąc, to i zarośla na tamtym brzegu nie są takie zwarte.

Mam propozycję, dowódcu. Nie leżmy dzisiaj na tamtą stronę! Jestem zmęczony. W każdym znaczeniu tego słowa. A i tobie też przyda się regeneracja.

Wstałem i w myśli zawołałem Sarę. Z jakiegoś powodu wcześniej nie przychodziło mi to do głowy. W ogóle jakoś głupio się teraz zachowywałem i przez cały dzień właściwie nie zrobiłem nic konstruktywnego. Starzeję się, to pewne. Trzeba było przez cały czas przywoływać małą. Starać się złapać moment, kiedy niewidzialne drzwi odgradzające dziewczynkę od świata otworzą się na chwilę. Przecież czasami się otwierają. Dziewczynka natychmiast poczuje neodpartą chęć wyjrzenia na świat. I wyjrzy, jeśli tylko będzie mogła. A wtedy już jej nie stracę.

–Bez sensu, dowódcu. – Mój partner splunął. – Bariera. Klient wie, że tu jesteśmy. Wyczuwa elektronikę. Dowolne ogniwa. Jak mogłem od razu się nie domyślić... Tu należy przyjść bez ładunków. Nawet luf nie możemy wziąć, ot bieda, żeby cię pogięło. Gołymi rękami będziemy dziewczynkę wydłubywali.

–Myślisz, że ona tam jest? – Wskazałem palcem plamę na jeziorze.

–A istnieją inne warianty? Pewnie, że tam. Gotów jestem założyć się o dwa dychulce. Przecież ona nie jest normalna, czego innego możesz oczekiwać?

Billy mówił z taką pewnością i z takim nieudawanym smutkiem, że aż mi ciarki po plecach przeszły. Nagle zapragnąłem zobaczyć Johnsona tu, teraz, na brzegu. Niech on wsadzi rękę do wody, wyciągnie monstrum za skórę na karku i wpieprzy mu dla przykładu.

Partner przyjrzał mi się, wstał i trącił mnie łokciem.

– Nawet nie myśl – powiedział. – Damy radę. Ty tego... No, wiem, że wiesz.

– Dobra, idę po diesla.

Jak wielu wojskowych Billy nie znosi, kiedy jego dowódca ma atak słabizny.

Środa rano

Budzę się i myślę: „Dlaczegoż to ten Billy jest taki szczęśliwy?”.

Partner mój stoi na środku pokoju na głowie i drapie piętę jedną o drugą. Jeszcze nie jest do końca ubrany, ale za to umyty, ogolony, pachnie drogą wodą kolońską.

– Dzień dobry, dowódco – mówi. – Słuchaj, tak sobie pomyślałem...

Jeśli dziś zakończymy tu sprawę, Johnson nie będzie musiał o tym od razu koniecznie wiedzieć?

Diabli by to wzięli, jeszcze wczoraj wieczorem jego czarna fizys była niemal szara i odzwierciedlała smutek całej ludzkości. A dziś z rana ten radosny antracytowy pysek wyraża pełną gotowość zakończenia sprawy jednym strzałem. Zawsze taki jest ten nasz Billy, kiedy wytrzeźwieje,

wyśpi się i podpompuje swoje zasoby energetyczne do normy.

– Kto wie, co wie Johnson? – odpowiadam pytaniem retorycznym.

Mój partner chmurzy się. W położeniu do góry nogami wygląda to zabawnie.

– Przypuśćmy, że wstrzymam raport – precyzuję. – Ale jeśli boss śledzi nasze poczynania, to może wypaść nieładnie.

Billy przenosi się ze stania na głowie do normalnej pozycji. Myśli o Johnsonie. Ocenia szanse. Boss poza nami ma jeszcze sześć par takich kurierów. Gdzie teraz są koledzy i przyjaciele, czego potrzebują... O, mój czarnolicy partner już się nimi zainteresował! Jeszcze moment i zacznie niuchać, jakie prowadzą sprawy. Chłopaki wyczują jego zainteresowanie, nie pozostaną dłużni, przesondują nas. Tę niepotrzebną aktywność wyczuje z kolei Johnson i zacznie się zastanawiać – po co to. Prześledzi łańcuszek, wyczał tego, co zaczął.

Wreszcie Billy zezuje na mnie i wzdycha. Sam doszedł do tego samego wniosku.

– Co ci? – pytam.

– Zobaczysz – odpowiada zagadkowo i słodko mruży oczy. Wstaję i idę pod prysznic. Po drodze usiłuję przeskanować w myślach

miasto. Udaje mi się, ale niestety za dużo hałasu. Tu wszyscy pamiętają o naszej obecności i myślą o nas tak czy siak. Nic konkretnego nie mogę wyłapać.

Za to po takiej gimnastyce jestem pewien, że naprawdę wytrzeźwiałem do końca i nieźle odpocząłem. Mój dar w końcu pracuje pełną mocą. Nie, to nie tak. Rzecz nie w mocy, nie w sile... Pojawiła się precyzja i subtelność. Wczoraj mogłem odpędzić od siebie człowieka siłą woli, a dziś

– poproszę, by zrobił, co każe.

Nie „odłączam” się od miasta i po kilku minutach zaczynam rozróżniać odcienie. Na mapie w mojej głowie zapalają się światełka silnych emocji. Miłość, nienawiść, ból, strach. Mało strachu, to świetnie. Mało nienawiści. Wszędzie cieszą się dzieci. Dzieci

radują się jak jaskrawe ogniki. A oto czarna plamka, ale próbuję jej nie zauważać. Nie mogę teraz zająć się malutką Roads, to mnie wykończy.

Taaak, a to kto? Znajoma sylwetka. Czyżby Clarissa? Cała w wątpliwościach i tęsknocie. Zapamiętamy to sobie. A to...

A to Vera, stojąc pod prysznicem, głaszcze się i marzy o mnie.

Czuję, jak krew napływa mi do twarzy. I nie tylko.

Myślałem, że wystraszyłem ją wczoraj i obraziłem. Jak by się kobieta nie odnosiła do swojego męża, on zawsze jest jej własnością, niech nawet odrobinę. A ja na tę własność urządziłem najazd. I nie wiadomo, jak się sprawy potoczą dalej. Miał rację Billy co do pana Sayera. Może to i znaczący uczonek, ale jako człowiek – dupek samolubny i samowystarczający. Po cholere tacy jak on w ogóle obudowują się rodzinami, nigdy nie zrozumie. Żonie pół życia spieprzył, córkę wychował niemal na autystyczkę. Zacząłem lepiej rozumieć Sarę, zobaczywszy jej ojca. Wcześniej niektóre cechy charakteru dziewczynki wydawały mi się paradoksalne. A teraz wiele się wyjaśniło. I współczucie do nieszczęsnego tatunia stopniało do zera.

Dobrze, że Vera się nie obraziła.

Niepotrzebnie spuściłem Sayera z werandy. Chociaż – niech mi to udowodni! Sam upadł. I pierwszy zaczął. „Kim są, co się dzieje, kto pozwolił, jak się odważyli, spadajcie w diabły, nikt was nie zapraszał,

dlaczego zamknięta przestrzeń powietrzna...” Bo on unikatowy detektor przywiózł – widzicie go! U nas taki już dziesięć lat temu był używany do operacji ratowniczych. A jak się okazało, że guzik wart, przekalibrowaliśmy go dla jaj na wykrywacz spirytu. Biegaliśmy po bazie, biegali, potem się nam znudziło. Potem Billy się lekko natężył i technicy sami kanister przynieśli.

Zobaczymy, co Sayer zaśpiewa, kiedy zobaczy, że jego detektor się sfajczył. Inna sprawa, że ja też spaliłem sobie przy tym trochę nerwów, ale to było cholernie kuszące. Billy się porechotał. Powiedział: „Wanja, przestań się bawić w kierowcę, zatrudnij się jako przemysłowy dywersant, będziesz opływał w bogactwo”.

Ale on mi zazdrości. Bo ja umiem psuć nie tylko sprzęt...

A w ogóle, ludziska, nie pakujcie się w cudze problemy. Zwłaszcza rodzinne. Wyciągniemy Sarę, rzuci się tatusiowi na szyję...

Jeśli wyciągniemy...

Z tą konstruktywną myślą wracam do pokoju, a tam mój partner wierci się przed lustrem. To rozepnie guzik koszuli, to zapnie.

–Tak lepiej? – pyta. – Czy tak?

Sfiksował.

I nagle słyszę – do drzwi dzwoni Clarissa.

–Jarzę – mówię. – Dlaczego nie możesz poprosić Johnsona o tydzień urlopu?

–A może się jej nie spodobam, e-e... Podczas bliskiego kontaktu trzeciego stopnia? – zaczyna się łamać Billy. – I co ja wtedy z urlopem zrobię?

–Co za merkantylna i wyrachowana cholera z ciebie, nie mam słów.

Typowy Amerykanin.

–Życie mnie nauczyło. Kiedy przez całe dzieciństwo biega się z

pistoletem dystrybutora, żeby cię pogięło...

Stara śpiewka. Nosi tytuł: „Ach, ja biedny czarny chłopiec”. Ja, wiecie państwo, też nie wyrosłem w pałacu. Mama nauczycielka, ojciec był nawigatorem na aerobusie. A Billy, nawiasem mówiąc, miał dwóch braci, tak więc nie musiał sam biegać z pistoletem po stacji benzynowej. I obsługiwali, hop-siup, sam antykwariat. To nie to, co teraz – bierze się taki element paliwowy, targa do naładowania i kto na oczy widzi benzynę czy inną ropę? Kto w ogóle był na takiej prawdziwej stacji benzynowej? Billy sam się chwalił, że pierwsze chesne zapłacił z napiwków. Jak sobie człowiek wyobrazi te napiwki, to się można śliną zachłysnąć.

–Chłopcy! Do stołu!

Schodzimy na dół, w jadalni Clarissa z babcią Hurt cicho sobie szczebiocą jak dwie koleżanki-rówieśniczki. Zaiste dobry dzień. I zero problemów. Wszystkie problemy dopiero po śniadaniu.

Nasza Barbie intensywnie się przygląda, jak Billy je. Próbuję nie parsknąć śmiechem. Babcia Hurt przestała już się dąsać. Zobaczywszy wczoraj nasze wymizerowane oblicza, zaczęła kwoczyć nad swoimi dwoma bohaterami jak nioska. A w dowód wdzięczności my do niej ani słowa o koszmarze z torfowego bagna.

Co prawda, jeśli dobrze usłyszałem z piętra, późnym wieczorem babcia połączyła się z Verą i rozmawiały sobie dość długo. A w jakim stopniu zostało o naszych wyczynach poinformowane miasto i w jakim tonie -możemy tylko się domyślać.

A to, że nurkowaliśmy w bagnie, i tak wszyscy wiedzą. Na pewno bardzo to rozeźliło gliny i ratowników, ale mogło podnieść nasze akcje u reszty ludności.

–Clarisso, jak samopoczucie szeryfa Gibbsona? Już się odprężył po wczorajszym? – Clarissa przenosi roztargnione spojrzenie z Billy’ego na mnie i nie bez wysiłku wraca do rzeczywistości.

–U szeryfa teraz jest mister Sayer. Żąda, by mu otworzono „powietrze” nad bagnem. Żrą się już bitą godzinę. Dlatego szeryf nie przyjechał po was. A właśnie! Sayer już zdążył odwiedzić sędziego. Usiłował mu wsunąć jakieś dziwne oświadczenie. Tyczące was.

–Gotów jestem się założyć, że szyje nam oszustwo – mówi mój partner. – Wygodny paragraf na wszelkie okoliczności życia.

–Proszę się nie niepokoić, sędzia obiecał Sayerowi, że sprawdzi to na okoliczność precedensów. Co oznacza w przekładzie na angielski, że będzie zwlekał, aż się wszystkim znudzi. Musicie potem wpaść do sędziego. To cudowny staruch, tyle że pijący.

–Pani pójdzie z nami, nieprawdaż? – grucha Billy.

–Przepraszam. – Wstaję od stołu, odchodzę na bok, wciskam piąty przycisk na comie i żądam prywatnego kontaktu.

–Czego? – warczy szeryf.

–Gibbson, Sayer jest u ciebie?

–Czego?

–Powiedz, żeby ten mądrala pokazał ci swój detektor. Sprawny,

słyszysz? Niech go włączy i spróbuje znaleźć choćby jedną żywą istotę. Na dowolnym dystansie. Gwarantuję, że natychmiast się od ciebie odczepi i długo nie wróci. Może nigdy.

–No, no...

Rozłączył się.

Nie pamiętam, żebym słyszał czy widział naszego glinę tak wściekłego. Biedak jest w szale. Musiał go nieźle pokąsać ten Sayer.

Wracam – do stołu, piję kawę, leniwie słucham, jak Billy flirtuje z Clarissą, myślę o dzisiejszych poszukiwaniach. Nie kryję, mam stracha... I nagle drzwi wejściowe otwierają się bez dzwonka. Do jadalni wchodzi krokiem niemal marszowym mister Hurt i papa Roads. Żli i skoncentrowani.

–Dzień dobry, mam – mówi Hurt. – Cześć, Clarisso, witajcie, chłopaki. Czyli tak: my tu się naradziliśmy z ludźmi i zdecydowaliśmy. Ivan, dziesięć maszyn i około trzydziestu ludzi do waszej dyspozycji. Maszyny, ma się rozumieć, same „latawce”, łącznie z dwoma truckami po pięć ton. Ludzie wyposażeni w odpowiedni sposób. Tyle!

–Żeby cię pogięło... – Billy w lekkim oszołomieniu kręci głową.

Czuję, że chciałby dodać: „A gdzieście byli wcześniej?”, ale powstrzymuje się, przecież to niesprawiedliwe. Gliny i ratownicy przekonali miejscowych, że nie są potrzebni. Właściwie to rzeczywiście nie byli. Teraz też, mam nadzieję. Ale sam zryw robi wrażenie, aż ciarki przechodzą. Rozruszaliśmy miasto. Przypomniało sobie, po co od wieków ludzie trzymali się kupy.

W takim momencie człowiek rozumie – jak nadejdzie bieda, pokażemy jej kły i pazury. I chce się wytargać za uszy intelektualistów mędzących, że naród spłycał, że zaginął w odmętach alienacji czy innej tam globalnej wioski. Diabli by wzięli, należy jakoś ładnie na to zareagować!

Wstaję. Wyprowadzam z coma na rękaw służbową legitymację. Dzielni członkowie pospolitego ruszenia, popatrzwszy na moje logo,

podrywają się i płoną. Urzeczywistniłem ich najskrytsze nadzieje i to z nadmiarem.

–Panowie – mówię – jestem majorem operacyjnej rezerwy Zjednoczonych Sił Zbrojnych, Iwan Kuzniecowa. To jest kapitan William Mbabete. Po pierwsze, dziękujemy za gotowość współpracy i okazaną inicjatywę. Po drugie... Przyjaciele, domyślcie się, że dziś podejmujemy drugą próbę poszukiwania. Mamy nową roboczą hipotezę i liczymy na pozytywny wynik akcji. W najlepszym wariacie nie będziemy potrzebowali żadnej pomocy ani w ludziach, ani w sprzęcie. Ale należy też pamiętać, że sytuacja może przekształcić się w kompletnie niestandardową. Dlatego umówimy się tak... Kto u państwa dowodzi? Znakomicie, mister Hurt. Pańska grupa powinna być gotowa, aby w czasie godziny przybyć na jeden z dwu punktów zbórnych. Przesyłam panu mapę. Jest? Punkt zbiorczy. A – tu, na skraju lasu. Punkt zbórny B – wyspa z ruinami. Pański numer już u siebie mam... Tak, mam. A w razie wywołania przemieszczanie do punktów zbórnych w przedziale dolnego rezerwowego korytarza, ogólna częstotliwość robocza: szósty przycisk...

Plecami odczuwam, jak Clarissa omdlewa. Billy nagle zawstydził się, wbił

spojrzenie w pustą filizankę. Proszę, jacy to my jesteśmy! Stare konie, ale bruzdy nie psujemy i orzemy głęboko. Ciągłe jeszcze operacyjna rezerwa ZSZ. Do sześćdziesiątki będziemy tam sterczeć, wała, nie zdepta nas gówniarzeria śmigła!

Już jesteśmy unikatami. Psychole z dalekiego zwiadu. Wszyscy jak jeden z kamyczkami na szyjach. Piętnastu ludzi. Albo już nie całkiem ludzi...

Pozostałych osiemdziesięciu nie przeżyło. Jedni bohatersko zginęli w kosmosie, inni inaczej... Umarli niby zwyczajnie.

–Dziękujemy, mister Kouznetsoff – mówi Hurt.

–To my wam dziękujemy!

–Nie, my. Dobra, idziemy. Do kontaktu na łączach.

–Placka sobie weźcie na drogę! – zaczyna krzątać się babcia. Hurt czerwienieje, ale szepczę do niego: „Weź placek, nie rób mamie przykrości!”. On w śmiech.

I robi się rodzinnie i przyjaźnie.

Wszyscy razem zaczynamy gadać coś głupiego, potem goście robią pa, pa i znikają. A mnie ogarnia jakiś dziwny stan... Jest mi lżej. Zwyczajnie lżej żyć na tym świecie.

Już nie jestem w obcym miasteczku. Ciągłe jeszcze może się zdarzyć, że sypnę stąd, błyskając piętami i przeklinając. Ale będzie to już tylko mój problem. Bo miasteczko mnie przyjęło. No i rzeczywiście chyba wpadnę do sędziego. Serce mi mówi, że bez niego się tu nie obeszło.

–Ale jesteście numeranci! – wzdycha zachwycona Clarissa. – Major i kapitan ZSZ. Dlaczego o tym nie powiedzieliście?

–Wolimy – odzywa się Billy – żeby nas oceniano ze względu na nasze cechy osobiste. Ja, na ten przykład, mam bogate życie wewnętrzne. A Wanja jest po prostu wspaniałym facetem. Hej, dowódco! Ruszamy?

–Niech wam Bóg pomoże – mówi na pożegnanie babcia Hurt.

–Na trzeźwo, chłopaki, to jesteście szalenie mili – komunikuje Clarissa.

Mój partner natychmiast bierze ją pod rękę.

Na ulicy chciał mi powiedzieć: „Daj poprowadzić!”, ale nie *zdążył* -sam włąkę na tylne siedzenie. Zauważam, że pierwsze co robi Clarissa, to

zapina pasy. Zuch. Co prawda to glina, oni są tak wytresowani, ale widziałem też sporo glin, którym tresura nie pomogła.

Potem nasza Barbie ocenia wyposażenie. Pewnie, że musi to ją interesować, zwykły śmiertelnik częściej siedzi w rolls-roysie niż w T5 Evo. Ale tu u mnie, szczerze mówiąc, patrzeć nie ma na co. Umyślnie zamówiłem pluszowo-czarną tapicerkę. Dizajner chciał gdzieś dać nieco srebrnego metalu, i może wyszłoby ładnie, ale się zaparłem.

Niebieściutka bryczka Billy ego ma wewnątrz w stylu australijsko-aborygeńskim. Totemy, amulety, symboliczne obrazki. Nasza firma z rzadka wozi pasażerów, ale nie ja i mój partner. Pewnego razu do niebieściutkiej zapakowano rządowego kuriera, a ten wziął i palnął: „Ale numer! Czy to magia voodoo?”. Billy mu po drodze takich

rzeczy nagadał o zaklęciach, urokach, odczynianiu, krwawych ofiarach i rytualnej defloracji, że Johnson całą firmę pozbawił premii.

–Clarisso, mamy jeszcze około godziny wolnego – zachęca mój kumpel – póki się śniadanie nie uleży. To dokąd sypaniemy? Na Księżyc?

–Na Księżyc! – chichoce Barbie.

Billy miękko rusza i płynie w stronę posterunku. Żeby tylko nie nadzieć się na Sayera. Nie, chyba już zwiął do domu. A mnie cały czas świerzbi i świerzbi od środka... Co to znaczy: na Księżyc? Szkoda, że nie ma obok Very.

–Poczekaj chwilę – powiadam.

Clarissa ze zdziwieniem patrzy na mojego partnera. A ten kiwa głową i jedziemy dalej.

Szukam w przestrzeni indywidualnego wizerunku Sayera. Mam! Nawet lepiej wyszło, niż przypuszczałem. Mister Sayer jest w powietrzu. I

błyskawicznie oddała się od miasta. Nie inaczej, tylko pędzi naprawiać detektor.

–Hej, kierowco! Kręć do domu Sayerów.

–Już się robi, sir! – woła rozpromieniony Billy. Nie musi nawet zerkać w moje myśli, wszystko skapował z intonacji.

–Nie za gwałtownie! – ledwo zdążam powiedzieć.

–O-o-o... – również ledwo zdąża zareagować Clarissa. Dopiero co zjedliśmy, a mojego partnera już wściekle swędzą łapy,

żeby zrobić coś głupiego – wystarczy przypomnieć pilotowi o rozsądku... Billy wznosi czerwoniutką płynnę nad ulicę. Ale płynnę w wykonaniu T5 mocno różni się od normy. Lekkość oderwania jest nieopisywalna. Gdy wsiądziesz do takiej maszyny pierwszy raz, poczujesz jaka moc ciągnie ją w niebo i wyobrazisz sobie, jaka to mała cząstka tej mocy, która drzemie jeszcze w trzewiach mojej „teczki”...

Pamiętam, że jak pierwszy raz poleciałem jako „tobolek” na myśliwcu typu spark, kotłowała mi się w głowie jedna myśl: „Po co mu tyle?”.

I wtedy instruktor pokazał mi po co. Co prawda nie wałęsam się później na trawie jak co poniektórzy, ale przez cały dzień myślałem do tyłu. A potem... Wiele się zdarzyło potem. I oto mam „teczkę”. Nie gwiazdolit, pewnie. Ale godna osłoda *samotnej* dojrzałości. Idealny prezent losu dla czterdziestoletniego kawalera z tajemniczym życiorysem.

–Chłopaki... – mruczy nasza Barbie. – Może na Księżyc nie dziś, co? Jakoś nie jestem gotowa.

–Na Księżyc nie polecimy – uspokajam ją. – Ale dawno nie widziałem Ziemi. Stęskniłem się. Pani też się to przyda. Proszę mi uwierzyć, Clarisso, to powinien zobaczyć raz w życiu każdy porządny człowiek.

Podskoczmy, nacieszymy oko i wracamy do domu.

–Będziemy mieli nieprzyjemności! – cieszy się Billy.

–Akurat tam!

–Chłopaki... – Clarissie już przeszła ochota do żartów. Mój partner opuszcza maszynę przy domu Sayerów. Na werandzie stoi

Vera. Czeka na mnie. A jak ma nie czekać, skoro ona i ja to już praktycznie jedna

dusza.

Kto mi wyjaśni, dlaczego to takie ważne – pokazać Verze Ziemię? Irracjonalny poryw. Czyli ciągnie mnie za kołnierz przeczucie. Nie pozostaje nic innego, jak się wyluzować i sączyć przyjemność. Przeczucie wie lepiej.

–Billy – mówię. – Wprowadź nasz kod, poproś o zezwolenie na wysokościowe skanowanie tej okolicy. Podstawa: poszukiwanie osoby cywilnej na prośbę miejscowych władz. Pchnij kopię do Johnsona na wszelki wypadek. A gdybyśmy przypadkiem wyskoczyli z atmosfery, cóż, zdarza się. Na naszym miejscu każdy by wyskoczył. Czy kogoś za to ukarano?

–Żeby mnie pogięło, że też sam się nie domyśliłem...

Wychodzę z wozu. Za mną Billy mamroce: „...płynniutko na dwieście mil się wzniesiemy, to jest całkowicie bezpieczne, ani przeciążenia nie będzie, ani nieważkości, słowo daję!”.

Missis Sayer patrzy mi w oczy, a ja myślę: „Jakie to wszystko głupie -zaginięło jej dziecko, a ja jej zaraz zaproponuję przejażdżkę swoją maszynką”.

–Vero – mówię – chcę pani pokazać Ziemię. Nie wiem dlaczego, ale to dla mnie ważne, żeby pani ją zobaczyła, zanim wleziemy z Billym w bagno. To nie potrwa długo.

–Dobrze – odpowiada spokojnie. – Tylko włożę buty.

–Nie trzeba – ja na to. – Mnie się tak bardziej podoba. I potem opowie pani znajomym, że była w kosmosie boso.

–Nie opowiem. – Uśmiecha się łagodnie. – To zostanie tylko między nami.

–Przepraszam, ale tam jest jeszcze Billy i Clarissa.

–Czy muszę się ich wstydzić?

„Teczka” opuszcza przednią szybę.

–Dowódco! – woła mój partner. – Mamy zgodę. Johnson pyta, jak sprawy, powiedziałem, że wszystko okejowo. Coś zwąchał, stary smok, ale na razie przesadnie się nie denerwuje.

–No to jedziemy!

Rzucam mentalnie spojrzenie na bagno. Klient ma się dobrze. Ameba na całego przebiera nibynóżkami. Sary nie widzę. Ale na to nie miałem nadziei. Wszystko jest rozmazane i niezrozumiałe. Trzeba będzie wpakować się z rękami i nogami w tę tajemnicę. Głową do przodu.

Ledwo zdążyliśmy wsiąść, a tu przy werandzie z piskiem i zgrzytem hamuje szeryf.

–Hej, wy dokąd?! – wrzeszczy za odlatującą „teczką”. – Wracajcie!

Mam do was parę pytań! Co wy mi tu, w kichę waszą mać, organizujecie Gwardię Narodową?!

Billy wysuwa przez okno rękę z wysuniętym środkowym palcem.

–Chłopcy! – wydziera się porucznik. – Łądujcie na chwilkę!

Pogadamy!

Mój partner odpina pas i wysuwa się z okna. Gdzie przed chwilą



widziałem jego głowę, teraz widzę wielki tyłek. „Teczka” wykręca nad domem spiralę, pilot sterczy na zewnątrz i rżnie głupa. Przedszkole szaleje. Nie znoszę takich numerów.

–Kabel-masz-odłą-czony! – drze się Billy. – Wstępna!... Przejściowa!...

Główna!... Ciągnij diesla!!!

I daję po gazie.

Jak wielu silnych mężczyzn, którzy już dawno udowodnili sobie to, co chcieli udowodnić, mój kumpel nie znosi, kiedy ktoś usiłuje zepsuć mu święto.

Środa przed południem

Oczy Clarissy były jak denka szklanek. Odwieźliśmy dziewczynę całutką i zdrową do kierownictwa i zapakowaliśmy do wozu patrolowego. Na pożegnanie nasza Barbie serdecznie wycalowała Billy’ego.

–Zabić was to mało... – jęknął szeryf. – Dokąd z nią teraz? Do domu chyba tylko... Czy to się tak świruje od nieważkości?

–Od nieważkości to się świruje tak, że aż człowieka mdli z zachwytu. Glina wyczuł sarkazm.

–Wiem, głupi nie jestem. Ale my wiedzieliśmy, że nie ma o tym pojęcia, choć głupi faktycznie nie jest.

Vera Sayer siedziała na werandzie, opierając głowę na rękach, i o czymś rozmyślała. Fizycznie wszystko było w porządku. Nie wzięlibyśmy przecież na orbitę ludzi, którym mogłoby zaszkodzić mikre przyspieszenie. Takich zresztą coraz trudniej znaleźć, dzisiaj wielu

prowadzi „latawce”, przyzwyczaili się. Clarissa była tylko upojona mocnymi emocjami. Zwaliała się na nią Ziemia.

Szeryf łaził dokoła „teczki”, badając zacieki na poszyciu. Znowu trzeba będzie ją umyć. I jak tylko załatwimy wszystko tutaj, daję maszynkę na pełną diagnostykę, ze szczególnym uwzględnieniem sekcji silnikowej. Mimo wszystko „teczka” to nie planetolot. Ale taką miałem ochotę...

Wlaziłem do bagażnika, otworzyłem sejf. Wyjęliśmy manele, po czym zaczęliśmy się ubierać. W mojej duszy było pusto i czysto. Jakbym się na nowo urodził. Idealny stan do poważnej pracy.

Podszedł mój partner, zaczął w milczeniu pakować się w kombinezon. Znudzony łażeniem dokoła glina stanął obok mnie i chciwie wbił oczy w sterczące z bagażnika lufy.

–Może pan potrzymać – pozwoliłem. – Nazywa się toto karabin plazmowy. Czytał pan o czymś takim?

–Sądziłem, że one są w fazie projektowania. – Szeryf ostrożnie wziął do ręki moją armatę. – Oho, ciężki!

–Nie on jest ciężki, tylko ty przy papierkowej pracy straciłeś formę.

Nasz glina przymierzył się do karabinu, pokręcił tak i siak, znalazł przełącznik ognia i popatrzył na mnie pytająco.

–Shocker, tryb cięcia, trzy poziomy mocy rażenia. Jest też tryb spawania, ale

spawa kiepsko, wszystko się pali.

–Taaa! – podsumował głęboko szeryf. – Żeby taka technika służyła celom pokojowym...

–A my się czym zajmujemy, żeby cię pogięło? - leniwie zapytał Billy, zapinając klipsy na butach. – Podżeganiem do wojny?

–Ludzi bałamucicie. Dobra, dobra, pomińmy... Ivan, jak panu udało się zepsuć detektor Sayera? Przecież nie wypuszczał go z rąk.

–Chcesz, to ci załatwię twój com – zaproponowałem. – Wzrokiem.

Policjant odruchowo nakrył urządzenie dłonią.

–To ci zagadka – powiedział. – Niby jesteście fajne chłopaki, a mam was już powyżej uszu. Ciągłe robicie problemy.

–Jak będziesz się źle zachowywał, to w ogóle na zawsze tu zostaniemy – zagroził mój partner. – Ożenimy się, napłodzimy dzieci, takich samych nienormalnych. I wymalujemy w pstre kolory prowincjonalną powszedniość! Czego się śmiejesz, żeby cię pogięło? Powaga. Mam tu już narzeczoną.

–Czy wasze zdolności są przekazywane genetycznie? – zapytał szeryf niewinnym głosem.

Wymieniliśmy z Billym spojrzenia.

–Chcesz, to wierz, nie chcesz, nie wierz, ale to jest tajemnica wojskowa – oznajmiłem. – Nie zadawaj głupich pytań, dobrze? I tak wyciągnąłeś z nas tyle infy, że będziemy musieli położyć na ciebie kabelka w wyższych instancjach. Wyluzuj, to nie będzie bolało.

–Już się przestraszyłem – rzucił nasz glina. – Całe gacie mam mokre.

–Nie, mister Gibbson, sir – pokręcił głową mój kumpel. – Mokro to ty będziesz miał po obiedzie, żeby cię pogięło.

Zerknąłem na Billy'ego. Wypowiedział te słowa dziwnie obcym głosem, patrząc ponad głowami szeryfa i moją w stronę lasu.

–A może się uda! – dodał.

–Żeby was! – ryknął policjant. – W nosie mam, uda się czy się nie uda! Już jestem przez was na całe życie skancerowany! Jak każecie w portki walić, nawalę! Tylko mi przynieście jakiś wynik, w kışkę mać!

–Szeryfie – odezwała się cicho Vera – może puszkę zimnego piwa?

Zasromany wystawił łeb z za maszyny i wymamrotał:

–Tak, ma'am, jeśli nie sprawi to pani kłopotu, będę wielce zobowiązany...

Billy, przygryzając wargi, żeby nie wybuchnąć śmiechem, odwrócił się do gliniarza plecami, wziął swoją broń, potrzymał chwilę w ręku... I pytająco popatrzył na mnie.

–A ty zapomniałeś zdjąć com – odparowałem.

Tak naprawdę to ja też zapomniałem zdjąć com. I armaty wyjąłem z sejfu bez namysłu. Żeby włożyć je z powrotem, musiałem dość mocno siebie przekonywać.

–Jestem teraz jak nagi – poskarżył mi się partner. – A wiesz co, dowódco, weź ty nas przeleć. Jeśli się uda.

Skoncentrowałem się, zadarłem głowę do nieba i spróbowałem zobaczyć siebie i Billy'ego z boku. To jest jedna z głupszych rzeczy -przyjrzeć się sobie w sposób wymuszony. Przecież i tak wyczuwałem każde zakłócenie, więc po co miałem jeszcze umyślnie ich szukać? Zakłócona łączność ogniów wbudowanych w kombinezony i tak wydzierała się na całego. Oczywiście, że ten ryk o awarii zabijał pozostałe sygnały popsutych „kondomów”.

Z mojego punktu widzenia też wyglądaliśmy na nagich.

W bagażniku brzęczał i podskakiwał com. Czegoś chciał od nas Johnson.

–Nie odbieraj – poradził Billy.

Spojrzałem na niego wyraziście i polazłem do bagażnika. Nie powinienem był, zwłaszcza jako przełożony partnera, ignorować wywołania bossa. W żadnych okolicznościach.

Johnson zażądał priva. Polazłem na podwórko i odpiąłem od comu słuchaweczkę.

–Cicho! – powiedział mi szef zamiast powitania.

–Tak, tak!

–Ta dziewczynka, której szukasz, ona jest z lekka zaburzona? „Zielona ręka” o ogromnej mocy, dwa ekologiczne college się o nią pobiły, tak?

I pomyśleć, że przekonaliśmy Johnsona – a przynajmniej tak mi się zdawało – jak to sami we dwóch świetnie sobie poradzimy.

–Nie obrażaj się, Wanja. Nie pakuję się w wasze sprawy, bo tak mi się podoba.

Ojciec dziewczynki narobił syfu, wymalował na ciebie skargę do federali i zaczęło się.

–Ojca można zrozumieć. Ja bym na jego miejscu...

–Też byś śledczego ugryzł w palec?

Po raz pierwszy odrobinę zacząłem współczuć papie Sayerowi. I

poczułem nawet coś jakby lekkie zawstydzenie. Przecież to ja z Billym doprowadziliśmy faceta do wrzenia.

–Po prostu ty jeszcze nie masz dzieci – zaczął mi tłumaczyć szef, po swojemu interpretując moje milczenie. – Jak spłodzisz, skumasz! Mózg się topi, jak dziecku dzieje się krzywda... Dobra, zapomnij o tym. Ojca fedzie przepytują raczej jako podejrzanego. On ci nie będzie bruździł.

–I co teraz będzie?

–Pauza będzie. Sprawa zaginionej dziewczynki jest bardzo dziwna, ponieważ szarpią ją w swoje strony trzy różne firmy. Wszyscy chcą coś wyciągnąć z bagna. Jedni amerykańskiego dinozaura, inni tajną ruską

broń, jeszcze inni statek Alienów. Ale do jutra nikt się nie ruszy z miejsca. Przy tym wszyscy oni są pieprzonymi teoretykami. A ty jesteś praktyk, specjalista, i już siedzisz w centrum wydarzeń.

–Jeśli jest jakieś wydarzenie – wtrąciłem.

–Nie kryguj się. Sprawdziłem: do bagna nic nie spadało, nic nie lądowało. Głuche miejsce. Tylko zwariowana dziewczuszka z bransoletą. I dziesięć dób tam coś wygrzebuje. Jest kontakt czy nie, ciebie pytam?

Johnson wiedział dużo, za dużo, i to mi się nie podobało.

–Z tymi, których spotykaliśmy wcześniej, kontakt jest niemożliwy z definicji –

zaczęłam. – A jeśli tam się wydziela bagieny gaz i dziewczynka po prostu dostała kopa?

–Nie ma gazu. I kopnęło nie dziewczuszkę, a ciebie. Kto w mieście się zakotwiczył, chociaż mógł się stłenić? Kto zaczął rozwiązywać cudze problemy? Miejscowych podburzył? Policję zastraszył? Ojca dziewczynki odsunął od poszukiwań? No właśnie! A na orbitę kto skakał? Po co, możesz mi powiedzieć?

–Kobitki wozilem – odpowiedziałem szczerze.

Mój pryncypał zamilkł. Potem się ucieszył.

–Co było do udowodnienia! – zawołał. – Tak to jest, kiedy nasi ludzie się zawieszają, Wanja... Czyli coś wyczuwają tyłkiem. W sumie, proszę słuchać rozkazów, majorze Kouznetsoff. Twoja załoga została przeniesiona z rezerwy do sił operacyjnych. Idzie do ciebie wsparcie w postaci Mastersa i Pawłowskiego...

–Dlaczego właśnie oni?

–Nie podlega dyskusji. Za sześć godzin podprowadzą do miasta transportowiec z konwojem i niezbędnym sprzętem. Jeśli znajdziesz w bagnie coś, co nas interesuje, natychmiast ogłoś, że to własność ZSZ, bierz pod ochronę, ładuj i kieruj do bazy Right-Patterson. Dziewczynkę też, żywą czy martwą. Jeśli matka będzie nalegała, bierz obie. Wszelki opór tubylców duś w zarodku. W miarę możliwości delikatnie, swoimi... osobistymi zasobami. Kumasz? Powtórz.

–Czyj to rozkaz? – zapytałem. – I co mam zrobić, jeśli w bagnie mieszka sobie dinozaur?

–Zgłupiał pan, majorze? – szczerze zdziwił się Johnson. – Przypomnę, jest pan na służbie. Rozkaz sztabu ZSZ. Przekazany do wykonawcy w części wykonawcy dotyczącej. A dinozaura nawet za friko nie potrzebujemy. Możesz wybić mu dwa zęby sobie na pamiątkę i niech sobie dalej tam mieszka. Nie, trzy zęby! Jeden dla mnie.

–Rozumiem, panie pułkowniku. Wszystko, co dotyczy ZSZ, wywieźć do Patterson, dziewczynkę też, i wybić komuś ząb.

–Za dużo gadacie – dodał jeszcze szef. – Dobra, Wanja, działaj mądrze, oszczędzaj siebie, kontroluj swojego zasańca. I wewnętrznego swojego zasańca też kontroluj. Jakby co, pukaj do mnie. Powodzenia!

–Pocałuj mnie w dupę! – syknąłem, gdy Johnson się rozłączył.

Com natychmiast zadygotał ponownie.

–Major Kouznetsoff otrzymuje upomnienie za wulgarną propozycję skierowaną do starszego stopniem – powiedział pułkownik. – W sumie, majorze, ZSZ pokładają w was nadzieję. Działajcie. Na razie, do następnej łączności.

Wolno, bardzo wolno wsunąłem słuchawkę do gniazda w boku coma. Nie chciało mi się odwracać.

–Ivan – powiedziała Vera do moich pleców. – Cokolwiek by się nie wydarzyło w przyszłości...

Trudno było jej mówić dalej, całe jej życiowe doświadczenie buntowało się przeciwko temu. Przez piętnaście lat grała rolę przykładowej żony.

Odwróciłem się, może zbyt gwałtownie. I pewnie miałem na twarzy wypisaną

**złość.**

**A ona położyła mi ręce na ramionach.**

**–Nie zapomnę cię – powiedziała.**

**Różne kobiety w różnym czasie patrzyły na mnie w ten sposób. Ale żadne z podobnych spojrzeń nie wywoływało we mnie tak wielkiej eksplozji czułości. Co za bzdura! Przecież złączył nas wypadek przy pracy, nic więcej. Z woli przypadku zetknęliśmy się duszami. To było jak przetaczanie krwi.**

**Tylko że krew nie splata losów.**

**–Kocham cię – powiedziałem bezradnie.**

**Całowaliśmy się na podwórku. Mocno objąwszy się, zamknąwszy oczy, straciwszy poczucie czasu.**

**Kobieta, której dziecko zaginęło, i mężczyzna, któremu kazano zabrać dziecko kobiecie. Jeśli to dziecko żyje.**

**–Pokazałeś mi Ziemię... – szepnęła Vera. – Chcesz mnie do czegoś przygotować. Sam nie wiesz do czego, prawda? Nie denerwuj się. Wiem, że nie wyrządzisz Sarze krzywdy. A za Ziemię dziękuję. Jest piękna. Jest błękitna.**

**„A to nie jest jej tekst” – pomyślałem. O Ziemi tak powiedział Gagarin. A ja przez całe dzieciństwo powtarzałem w duchu te jego słowa, marząc o tym, że też popatrzę kiedyś z góry na naszą planetę. I kiedy po raz**

**pierwszy tego doświadczyłem, powtórzyłem te słowa jeszcze raz, bo nikt dokładniej niż Gagarin tego nie ujął. Teraz Vera użyła *nie moich* słów zaczerpniętych z *mojej* świadomości. Tyle że ja wiedziałem to na pewno, a ona tylko się domyślała. Jeszcze długo będzie mówiła obcym głosem, potykała się o echa obcej wiedzy i obcych odczuć. To niedobrze, nie tak powinno być. Wbrew swojej woli jest teraz moja.**

**Ale przecież i ja – jej!!!**

**Mogłem walić głową w ścianę. Dobrze, że ściany są tu cienkie, niemal ze sklejki. Ale mógłbym tym sposobem rozwalić dom.**

**„Ocknij się, majorze!”**

**Guzik się ocknę. Żadna kobieta nie kochała mnie z takim samozaparciem. Nie pragnęła mnie tak rozpaczliwie. Wyobraziłem sobie, co to będzie w łóżku, i nawet się lekko przestraszyłem.**

**Kiedyś będę musiał wyjaśnić Verze, dlaczego tak nas trzepnęło o siebie i rozsmarowało. A ona powie: „No i świetnie. Udało się”.**

**Czy to będzie normalne?**

**–Czas iść, Vero.**

**–Idź, Wanieczka. I wracaj do mnie. Zmarłem i umarłem. Zamiast pocałunku na pożegnanie poklepałem ją**

**po ramieniu. Ładujcie mnie do transportowca i wieźcie na Patterson. Nazywajcie mnie po prostu Obcoplanetarny Potwór. Nienadaremnie przeżyłem po tym, jak kosmos mnie połamał. Nie jestem człowiekiem. Przecież ludzie nie wariują tylko dlatego, że ktoś wypowiedział ich imię bez akcentu.**

**A może to właśnie jest „miłość”?**

**Przy maszynie cierpiał Billy. Wahał się – ma mnie przydusić czy zadusić w objęciach...**

**Obok na trawie smucił się szeryf.**

**–Co mu zrobiłeś? – zapytałem z miejsca, żeby przejąć inicjatywę.**

**–Dałem mu potrzymać kamyczek. Żeby zapobiec rozprzestrzenianiu się plotek rzucających cię na nasze uczciwe nazwiska, żeby cię pogięło. Bo zaczniesz gadać, że jesteśmy espami, postrzegamy pozazmysłowo nawet majtki Clarissy, a kamyczki to tylko dla zmyłki. Niech wie, jakim mocnym dynksem jest Wszystkowidzący Kamień!**

**Policjantowi zwiślał z garści znajomy łańcuszek i kiwał się miarowo.**

**–Patrz, jakie zanurzenie w mroku, Wanja! Hy, hy! Do trzech razy możesz zgadywać, kogo w tej chwili nasz dzielny glina podgląda.**

**Podpowiadam: nie małżonkę.**

**Stróż prawa tymczasem medytował. Zrósł się z kamieniem. Uwierzył weń do końca.**

**–Zręcznie! – Byłem szczerze zachwycony pomysłem partnera.**

**–A co u ciebie? – zapytał znaczącym tonem mój doktor Watson.**

**–Na razie jestem majorem sił operacyjnych ZSZ. A ty kapitanem.**

**Operacyjnych sił, przypominam, jeśli ktoś nie dosłyszał.**

**–Ojoj, mamoo! – Billy zaczął się miotać i chwytać moje spojrzenie.**

**„Otworzyłem” się i przekazałem ostatnie nowiny od Johnsona.**

**–Ojoj, mamoo... – powtórzył mój partner. – No, Sayer... Nawarzyłeś piwa! Zemścił się, ścierwo, sam tego nie wiedząc. A my będziemy się tłumaczyć. Żeby cię pogięło! Masters i Pawlowski lecą transporterem, dobrze widziałem? Jak nie urok to sraczka. Przecież to ciągnij diesla w najczystszej postaci.**

**–I w najwyższej kaloryczności – zgodziłem się. Johnson nie był durniem, kontrolerów znalazł, co się zowie. – Chciałeś chyba dać po pysku Mastersowi? Czy może się mylę?**

**Billy westchnął spazmatycznie, pochylił się do szeryfa, rozwarł jego palce, zabrał kamień i powiesił sobie na szyi. Glina nie zareagował.**

**–A nasz klient się przemieszcza – zauważył mój partner. – Niepewnie trochę, skokami w stronę wyspy. Jakby umyślnie, żeby go można było zabrać z suchego miejsca, żeby go pogięło.**

**–Diabli... Mamy sześć godzin do przybycia transportu. Jeszcze nie wiemy, z czym mamy do czynienia, a już kazano nam to ładować i wywozić. Będę zaraz miał atak nostalgii. Właśnie takie mi dawano zadania, kiedy byłem porucznikiem: idź, znajdź, przynieś... Coś może rozumiesz?**

**–Rozumiem jedno, dowódco: czasu mamy tyci-tyci! Potem zjawia się te dwa indywiduumy i pozbawią nas kompletnie swobody manewru. Dlaczego więc nie biegniemy?**

**–W „kondomach” z uszkodzoną klimą?**

**–Rozpięci i bez masek. Polecę jak wichur, ani jeden moskit mnie nie dogoni, żeby cię pogięło.**

**I pobiegliśmy.**

**Mój długonogi partner, rzecz jasna, mnie wyprzedził. Na skraju lasu, ledwo dysząc, krzyknąłem do niego:**

**–Zapomniałeś o szeryfie! Kamień zabrałeś, ale nie wyprowadziłeś go z transu! Kuty asie! Siedzi tam biedak i myśli, że ciągle z kamieniem.**

**Zwolnij go!**

**Billy odwrócił się, zrobił straszliwą minę, postukał się pięścią po głowie i twierdząco machnął ręką.**

**„Biedny glina” – pomyślałem. Dlatego wczoraj się sypnął, chociaż nikt go za język nie ciągnął – że niby nie wie, jakiego koloru figi nosi Clarissa. Znaczące przejęzyczenie.**

**Żeby tylko teraz nie padł mu rozum, kiedy zrozumie, że obok niego znajduje się taka ślicznotka – na służbie i w ogóle bez fig.**

**Otrzymałszy dostęp do prywatnej infy, ludzie zajmują się głupotami do potęgi. Chociaż może to zależy... Przecież szeryf nie będzie przy pomocy magicznego dynksa wyszukiwał jakichś drobnych złodziejasków. Tym tematem nazbyt objadł się w pracy. Co innego bielizna pomocnicy. To jest ciekawe! Niebanalne i świeże.**

**Przy okazji o świeżości – Clarissa chodziła bez fig z powodu upałów.**

**Z tą myślą bardziej rozpiąłem kombinezon. Grzało na całego, a na bagnie dodatkowo jeszcze panowała duchota. Przedemną Billy wyszarpnął z pochwy siekierkę, mimochodem *ściął* drzewko, wsunął sobie pod pachę i pobiegł dalej, pozbawiając je w biegu gałęzi. Zawsze szybko wszystko łapał. Wybrał na tyczkę dobrą osinę czy jak jej tam. Nie za cienką i nie za grubą.**

**Po kępkach skakaliśmy żwawo jak para cyrkowych linoskoczków. Przyjemnie było uświadamiać sobie, że jestem jeszcze w znakomitej formie, ale denerwował mnie pośpiech w takim niebezpiecznym miejscu. Kiedy praca wiąże się z ryzykiem, nie chce się ryzykować bez powodu.**

**Biegłem i myślałem, czy to z własnej inicjatywy Johnson kazał nam się śpieszyć, czy sztab ZSZ tak go ponaglił? Z całej drużyny „Kurierskiej Służby Johnsona” boss słał nam w ramach posiłków i jakoby do pomocy jedyną parę, z którą nie żyliśmy w zgodzie. Kompletnie. Organicznie. Mdlilo nas z ich powodu. Jakby Mastersa i Pawlowskiego inicjował inny**

**kosmos. Albo nie podłączyli się do końca. W ogóle nie byli w firmie lubiani.**

**A szef nigdy nic nie robił bez powodu. Szczególnie dotyczyło to kompletowania pododdziałów. Jeśli podsuwa ci do wykonania zadania osobistego wroga, rozumie się, że wróg albo uratuje ciebie, albo uratuje zadanie przed tobą. Nie wiadomo, co gorsze...**

**Johnson był naszym strategiem, jasnowidzem jasnowidzów. Takich jak ja i Billy raz na jakiś czas przepowiednie wiodły na manowce, boss świadomie patrzył w przyszłość. Nie mówił jednak podwładnym, jakie warianty tam widział. I nikt nie wie, co meldował gorze.**

**Ze swojej, a może nie ze swojej woli, wpędził nas w sztucznie wywołany niedoczas. Skacząc z kępy na kępę, hołubiłem plany brzydkiej zemsty, malutkiej, ale**

**takiej, żeby szef skumał.**

**Na przykład, lądując pod biurem, źle obliczę prędkość i dam pełny ciąg wsteczny nad parkingiem... Najważniejsze nie myśleć o tym, bo Johnson zobaczy ten numer. A mandat za akustyczne zanieczyszczanie chętnie zapłacę.**

**Nowe szkła w gabinecie bossa też mogą wstawić na mój rachunek. Za to ile radochy...**

**Wczorajszy wąż bezczelnie opalał się dokładnie w tym samym miejscu. Słyszając tupot nóg Bill'yego, podniósł głowę.**

**Mój partner zręcznie podrzucił węża tyczką i cisnął w bagno.**

**–Jakby cię widziała Sara... – skomentowałem.**

**–Oszczędzaj oddech, dowódco.**

**–Zakapowałaby cię do komisji do spraw zwierząt...**

**–Sama głupia!**

**Nasz „klient” kręcił się przed nami, w okolicach wyspy. Nie wyczuł nas, ale i my, jak i wcześniej nic konkretnego nie mogliśmy o nim powiedzieć. Tyle że rosło w nas przekonanie, że jest to konglomerat słabiotkich rozumów, forma ula. Wychodziło, że Johnson wszystko wyliczył prawidłowo. Moje stare przypuszczenia też były słuszne. Mogłem go z Billym zneutralizować, capnąć, zapakować i załadować.**

**Ale szef nie uwzględnił czynnika Sary. Czynnika radykalnie zmieniającego *modus operandi* „klienta”. Czynnika, który jeszcze wiele rzeczy postawi na głowie. I wielu na uszach.**

**Johnson po prostu nie znał Sary.**

**A ja prawie ją znałem.**

**Przebiliśmy się przez krzewy nad stawem, minęliśmy resztki pniaka i nagle mój partner zapytał, sapiąc:**

**–Widzisz, dowódco?**

**–Tak!**

**–Czy to co ja... żeby cię pogięło?! Znowu nas wykiwali.**

**–Namierzają nas. Billy, zwalniamy tempo. Więcej nie dam rady.**

**Muszę złapać oddech. Wszystko w normie, Billy...**

**Przed nami, na skraju wyspy z ruinami, jaskrawo błyszcząca srebrnym metalikiem okrągła plama. Oczami ją widzieliśmy. Ale tylko oczami. W ciągu niecałej sekundy mentalny sygnał „ula” zwinął się, „zakokonił”, zniknął.**

**–To jest kontakt wizualny, Billy. Nieczysto szliśmy przez krzaki. W naszą stronę ktoś zwyczajnie zerknął i zobaczył. Dawaj, walimy do przodu. Nigdzie nie ucieknie. Doczeka się.**

**W cichnącym sygnale dojrzałem odcień rozpoznawania. Uznano nas na równych sobie. Zainteresowano się nami. I niech mnie diabli, jeśli „ul” nie oceniał nas całkowicie ludzkim systemem! Czy to Sara tym kierowała, czy może tylko bardzo silnie wpłynęła na zachowanie konglomeratu? Najpierw dziko się wystraszyła, widząc, że ktoś zobaczył „talerz”. Potem zrozumiała: nie jesteśmy podobni do zwyczajnych ludzi. I dokonała wyboru – najpierw pogadamy.**

**Mam nadzieję, że w wyniku rozmowy nie będzie usiłowała poszczuć nas swoim**



„ulem”. Te dranie mają czerepy twarde strasznie, objemy sobie o nie nogi. I ręce.

–Dziewczę żyje – uznał przytomnie mój partner.

–A wąpilesz?

–Chętnie bym ją desantował w bagno z krokodylami!

–Lepiej napuścimy ją na stonkę.

–A najlepiej kilka pasów na goły tyłek! – podsumował Billy. To moja zasługa.

Normalny Amerykanin samą myśl o tym, że

niepełnoletniemu można spuścić manto, uznaje za szaleństwo. Choć szaleństwo bardzo kuszące. Rosjanie odwrotnie. Pomysł, żeby sypnąć przesadnie rozbawionemu potomstwu z pasa, nikogo nie dziwi. Ale u nas dzieci biją, o ile wiem, coraz mniej, a u nich – coraz więcej.

W wyniku tego mamy dwa narody z jednakowymi pretensjami do dominacji w świecie i Prawidłowego Rozumienia Wszystkiego. Narody lustrzane, narody – przeciwwagi. Czasem mi się wydaje, że reszta świata uważa Amerykanów i Rosjan za durni całkowicie słusznie. Na szczęście jesteśmy durniami tępymi i złośliwymi. W innym przypadku wszyscy by nas palcami wytykali. Środkowymi.

Plama na skraju wyspy rosła w oczach, w miarę jak się do niej zbliżaliśmy. Miała już jakieś sto stóp średnicy. Standardowy aparat małego tonażu.

„Po kiego licha tu go przyniosło?!” – pomyślałem. A poczułem, że we wnętrzu wszystko mi wrze. Tak jak rano, kiedy miałem ochotę wyskoczyć z atmosfery.

Czyżbyśmy mieli kontakt? Przez jakiś durny przypadek? Wedle oficjalnej wersji, Ziemia jest dla nich czymś w rodzaju stacji paliwowej. Majtają się tu nad „punktami mocy”, ciągną energię. My, ludzie-człowieczki, nie jesteśmy im potrzebni.

A tak chcemy być!

Poza tym my – wąski krąg wtajemniczonych – marzymy, żeby wpieprzyć im za całokształt, aż strzepy polecą. Za wszystko. W pierwszej kolejności za to, że nas zamknęli w granicach księżycowej orbity. Może rzeczywiście chcą dobrze... Nie mogą nie wiedzieć, że ludzie umierają w kosmosie. Ale przecież nie wszyscy, niektórzy przeżywają! Ja i Billy na ten przykład! I nawet jeśli opowiemy ludzkości całą prawdę o śmiertelnym ryzyku czekającym pół miliona kilometrów od Ziemi – znajdą się tysiące ochotników. Takie podanie szczerzej prawdy byłoby straszne, absolutnie niepoprawne politycznie, nieludzkie. Przecież wyżyje najwyżej trzydzieści procent badaczy, ale za to pojawi się wystarczająco dużo materiału, żeby w końcu dowiedzieć się, z czym mamy do czynienia i w jaki właściwie sposób zmieni to nas. Na horyzoncie załśni nadzieja.

Przecież, pomijając obecną niby-równowagę, póki ludzkość jest sztucznie uziemiona, niebezpieczeństwo wojny światowej nie zostało zażegnane. Musimy latać. Bo inaczej się pozabijamy...

Oddech mi się wyrównał, nerwy się uspokoiły, do wyspy podszedłem z zimną głową. Co prawda płynął z niej pot. Zyskaliśmy trochę czasu, wykonawszy przebieżkę w upale, i złapaliśmy jednak tego swojego „klienta”. Fizycznie byłem skatowany nieadekwatnie, ale dobra, najważniejsze, że go mieliśmy.

Najechawszy skrajem na brzeg wyspy, w bagnie leżał nieco przekrzywiony latający talerz. Podwozie ładownicze było schowane, luki zamknięte. Sądząc po śladach w rzęsie, aparat dotarł tu, głównie płynąc. Chociaż kilka krótkich lotów też mu wyszło.

Billy zrzucił górę kombinezonu, zdjął tiszert i wyżał go z głośnym pluskiem. Pokręcił koszulką nad głową, rozpędzając meszki. Znowu się ubrał. Podszedł do talerza. Serdecznie wyrznął z buta w srebrzystą burtę. I wrzasnął z całej siły, aż nad bagnem obudziło się echo:

–Sara, otwieraj!!! Mosiek przyszedł!!!

A mówią, że to my, Rosjanie, wyssaliśmy antysemityzm z mlekiem matki... Zwaliłem się tyłkiem na trawę i wyciągnąłem zza kołnierza ustnik manierki. Nie miałem ani sił, ani ochoty komentować zaczepki partnera.

–A możesz ciszej, Mosiek? – zapytał z za krzaków dziewczęcy głosik, upiornie poważny, nawet ponury.

–Ciągnij diesla – poradził mój kumpel.

Jak wielu dorosłych, ale nieco infantylnych mężczyzn, Billy nie znosi, kiedy go proszą, żeby zachowywał się ciszej.

Środa po południu

Billy stoi nabzdyczony, podparł się rękami pod boki i nie jest mi łatwo zmusić go, by trochę wyluzował i usiadł. Najważniejsze teraz to sprawiać wrażenie, że wszystko jest w porządku. Nie możemy przeprowadzić mentalnego przesłuchania, a to oznacza, że musimy oplatać dziewczynkę pajęczyną słów.

–Sara, wybac, że my tak bez zaproszenia, ale sama rozumiesz, mama się denerwuje.

Nie wolno wzbudzić strachu. Najmniejszej agresji w spojrzeniu ani nawet w myślach. Ona wiedziała, że ktoś po nią przyjdzie. A my – że niby wcale nie. My tylko w gości.

–Jestem Ivan. A to William. Nie chce ci się pić? Wsuwam rękę za pazuchę, otwieram manierkę.

–A dlaczego on powiedział, że nazywa się Mosiek?

–To taki żart. Podrośniesz, zrozumiesz.

Dziewczynka, nie spiesząc się, podchodzi do mnie i bierze manierkę.

Karykaturalna świta Sary kuśtyka w ślad za nią. Wyglądają razem jak strasznie brudna Królewna Śnieżka i siedmiu krasnoludków w srebrzystych kombinezonach.

Wewnątrz jestem pusty, czysty, równiutki jak murawa na boisku piłkarskim. I tylko dwa uczucia – spokojne zainteresowanie oraz chęć niesienia pomocy. Innych nie było nigdy. W życiu nikogo nie nienawidziłem.

Szczególnie nie miałem nic do takich stworów. Nie nienawidziłem ich do tego stopnia, że nawet nie mogą sobie tego wyobrazić.

Nawiasem mówiąc, rzeczywiście nie mogą, bo im emocje są niedostępne. W ich prymitywnych mózdkach, rozciągniętych cienką błonką na kostnych półkulach pod czaszką, siedliska dla nieświadomości nie przewidziano.

**Bezduczne stwory, nieszczęsne bioroboty. Właściwie co one są winne? Nasze pretensje należy kierować do ich właścicieli.**

**Billy chyba zaraz pęknie z miłości do tych ułomnych Alienów. Niepotrzebnie tak szarżuje.**

**Sara pije z mojej manierki. Za plecami dziewczynki stoi w półokręgu siedem osobników wzrostu od trzech do pięciu stóp. Długie ręce, krótkie nogi, wbite w ramiona hełmy kombinezonów, ciemne okulary-światłofiltery, takie jak na naszych maskach ochronnych.**

**Pozabijałbym.**

**Nad nami wisi lekkie napięcie, takie zabawowe, jak zwykle kiedy stykają się równi przeciwnicy i szacują – może by się zetrzeć?**

**Poza tym w powietrzu roją się krwiożercze owady. Ja i Billy odruchowo odganiamy się od nich rękami. A brudny pyszczek Sary oczywiście jest wysmarowany repelentem.**

**Buzia dość sympatyczna, ale za wiele w niej z papy Sayera. Mała nie będzie królową balu maturalnego. Domyśla się tego, ale jest jej to obojętne. Dawno już odseparowała siebie od gatunku ludzkiego i nie ma w tym jej winy, albowiem to gatunek zaczął pierwszy.**

**Chociaż kiedy za kilka lat rozhułają się w niej hormony, Sara – to nieuniknione – popłacze w poduszkę, że przystojni durnie woła ładne kretynki. A lifting twarzy przed dwudziestym pierwszym rokiem można zrobić tylko na podstawie zaświadczenia komisji lekarskiej. No i słusznie, tak nawiasem mówiąc.**

**O czym ja myślę, diabli nadali?! Chyba mam tu coś do zrobienia...**

**–Przecież wy nie jesteście ludźmi – mówi Sara.**

**Nie pyta, stwierdza.**

**–Niezły tekst, żeby cię pogięło! – zachwyca się Billy. – Słuchaj, twój czerwony marker jeszcze działa?**

**–Po co ci? – dziwi się dziewczynka. Mój kumpel zahaczył ją, zadziwił, tak trzymaj, partnerze!**

**–Chcę napisać na tym dynksie: „Tu był Billy”. Dziewczynka na koszulę ma nałożoną turystyczną kamizelkę całą pokrytą kieszeniami. Wyjmuje skądś zza pleców czerwony cylinderek i rzuca Billy’emu ze słowami:**

**–Trzymaj... Mosiek!**

**Srebrzyste gnomy stoją nieruchomo. Staram się ich nie zauważać, bardzo się staram, chociaż drażnią mnie niewiarygodnie. Psy mają dusze. One nie.**

**Przemilczywszy „Mośka”, mój partner odwraca się do srebrzystego talerza i w skupieniu na nim pisze.**

**–Jesteśmy oczywiście ludźmi, Saro – mówię. – Takimi jak ty. Tyle że nie do końca zwykłymi ludźmi. Twoje zdolności są wrodzone, a my swoje nabyliśmy w kosmosie. Byliśmy astronautami.**

**Usiłuję delikatnie przesondować tę małą, dostroić się do jej emocjonalnej fali, ale**

nic mi z tego nie wychodzi. Siódemka gnomów nakryła nas kołpakiem. Dobra, dzięki i za to, że widzimy się w całej naszej ponadludzkiej niezwykłości.

Dziewczynka nie steruje nimi. Ale oni zależą od niej. To mi podszeptuje Billy.

–Chciałbym ci zadać kilka pytań, Saro. Pierwsze i najważniejsze: czy zamierzasz jakoś pokazać się mamie?

–Ależ ja bym już dawno do niej poleciała! – niemal krzyczy nasza zguba. – Ale ciągle mi przeszkadzali! Ciągle ktoś tu się szwenda!

–Ludzie są zaniepokojeni – tłumaczę spokojnie. – Całe miasto jest podminowane z twojego powodu.

Sara zamierza wrzeszczeć... I milknie. Wie, że przecież nie kłamię.

–Mają mnie w nosie... – mówi niezbyt pewnie, kryjąc spojrzenie.

–Dobra, niech ci będzie, ale nie całe miasto. Trzydziestu ochotników jest gotowych wleźć do bagna nawet w tej chwili.

–A gdzie byli wcześniej? Tylko gliny tu latały i ratownicy. I... ojciec.

–No i sama sobie odpowiedziałaś. Po prostu nikt ich tu nie puszczał. A teraz Hurt i Roads mają dosyć, zebrali ludzi...

–A jak tam Mary-Ann?

Tak, Sara kocha córkę Roadsa. Brakowało jej tego okruszka i czuje się wobec niej winna.

–Nakłamałem Mary-Ann jak nie wiem co – mówi Billy, odrywając się od swoich artystycznych malunków na talerzu. – Powiedziałem, że pies zabłądził w lesie i spokojnie umarł ze starości pod wonną leliją. Tfu, przepraszam. Wonna lelija to jeszcze jeden głupi żart dorosłych.

Mała siada przede mną na trawie. Nogawka spodni nad wysokim butem podjeżdża do góry, widzę jej strasznie brudne nogi. I nagle uświadamiam sobie, jak ona jest zmęczona. Dziesięć dób na bezpośrednim energetycznym zasilaniu obcych istot. Zdrowa na pewno jest jak rydz, ale jej sferę emocjonalną wycisnęli jak cytrynę.

–Terry zaatakował malców. Oni go... utopili.

–Wyjaśnij mi to – proszę. – Terry to był terier irlandzki. Ta rasa wyróżnia się wybitnym uporem, ale mając tyle lat, nie mógł po prostu zejść tak daleko w bagno.

Sara zezuje na mnie z zainteresowaniem. Duży plus dla mnie za psa. Mam nadzieję, że nie będziemy gadali o ptaszkach. W ptaszkach jestem dupa wołowa.

–Oni spadli tam. – Dziewczynka wskazuje kierunek brudnym palcem z obgryzionym paznokciem. – Na sam brzeg. To ja przeciągnęłam statek do jeziora. Przypadkowo. Chciałam go ukryć i jakoś mi to samo wyszło. Nie uwierzycie mi, ale dopiero teraz nauczyłam się nim sterować, a wtedy hop! Po prostu bardzo chciałam.

–Wewnątrz statku jest takie coś – rysuję w powietrzu łuk – z występami na brzegach. Wsunęłaś tam głowę?...

–Nie, tam jest kopuła. Kołpak.

–Bałaś się? – pyta Billy.

–Nieeee. Było mi bardzo żal maluchów, oni umierali. Teraz będą żyć. Polecą ze mną. Właśnie prowadziłam ich, by pokazać im kwiaty. Tu, na skraju wyspy rosną

bardzo piękne. Chciałam, żeby malcy zobaczyli siebie. Oni są właśnie tacy.

„Kwiatuszki” w srebrzystych kombinezonach ciągle stoją półkolem. Z rzadka poruszają lekko długimi palcami na długich rękach.

–Dokąd zamierzasz polecieć? – rzucam ot tak, udając, że mnie to niezbyt interesuje.

–Do nich do domu. Najpierw oczywiście wpadnę pożegnać się z mamą. Tak mi głupio! Ale nie mogłam inaczej, rozumiecie? Znalazłam ich, a oni umierali. I potem tak jakoś wszystko samo wyszło. Malców nie można zostawić dłużej niż na parę godzin. Raz usiłowałam pobiec do domu, ale w ostatniej chwili zrozumiałam, że ich tracę, i wróciłam. Myślicie, że nie chciałam zobaczyć mamy? Jeszcze jak chciałam! Ale malcy potrzebują stałej troski, oni są tacy delikatni...

Baaardzo delikatni, zaiste – skóry skalpelem nie przetniesz. To nie to, co myślisz, dziecino, włączył się ich program autodestrukcji.

–Ich było więcej niż siedmiu, prawda?

–Tak, pochowałam w jeziorze sześciu. I pilota. W ogóle spadli, bo umarł pilot. I sześciu ja straciłam. To smutne. Ja po prostu na początku nie wiedziałam, jak należy się z nimi obchodzić. Dobrze, że mamy podobne powietrze. Bo by wszystkie maluchy umarły. Jedzenie też im się wkrótce skończy, trzeba lecieć, inaczej nie zdążymy. Oni... Jak pan ma na imię, przepraszam?

–Ivan.

–Nie tak ma pan na imię. Billy kilka razy ostrożnie stuka głową o burtę talerza.

–Co ci, Mosiek? – pyta Sara z pewnym obrzydzeniem.

–To nerwowe, Sarciu, aniołku mój. Nie zwracaj uwagi, żeby cię pogięło!

–Nie jestem twoim aniołem, Mosiek – mówi poważnie dziewczynka. – Jestem ich aniołem. Oni są moi, a ja za nich odpowiadam. Nie można ich porzucić. O! Rozumiecie?!

–A kto ci, skarbie, powiedział, że zamierzamy ci przeszkodzić? – dziwi się mój partner. – Gdybyśmy chcieli, to już dawno byśmy przeszkodzili. Masz, zabieraj swój tani marker, przyda się...

–Nazywam się Iwan – tym razem wymawiam swoje imię po rosyjsku.

Sara spopiela Billy ego wzrokiem, ale udaje mi się wklinować w ich dialog. Mój partner już zamierzał powiedzieć, gdzie Sara może sobie wsadzić marker. Utalentowanego mam kumpla, ale wiecznie przegina pałę. A spektakl „Dobry policjant i zły policjant” z takimi mądrutkami dziewczuszkami trzeba odgrywać subtelnie.

Zresztą łapię się na myśli, że od dawna już nie gram. I nawet „kwiatuszki” Sary nie wywołują we mnie takiego obrzydzenia.

Mała patrzy na mnie. Pochyla głowę na bok. W tym prostym ruchu jest tyle z jej matki, że czuję, jak omywa mnie ciepła fala.

–Ivan, dawno znasz moją mamę? Billy znowu stuka głową o talerz.

–Mili moi, ja się przejdę, co?

–Idź, Mosiek – pozwala Sara. – Daleko nie odchodź, bo znowu

**wpadniesz do wody.**

**Mój partner głucho ryczy, oddalając się ku ruinom, i po chwili już leży tam na belkach, założywszy ręce za głowę.**

**–Znam twoją mamę od dwóch dni, Saro. Czy to ważne?**

**–Tak, Ivanie, to... Bardzo interesujące.**

**–Posłuchaj mnie, dziecko. Chcę, żeby między nami była pełna jasność.**

**Zgodziliśmy się z Billym szukać cię dobrowolnie. Poprosił nas o to szeryf Gibson...**

**–Ten gnojek potrafi prosić?**

**–Jesteś dobra, Saro – mówię. – Dobrze wychowana i układna.**

**–Tak! – śmieje się. – Taka jestem. A Gibson to tłusty gnojek!**

**Ma cudowny śmiech. Odcień śmiechu Very. Czystego i beztroskiego – ja takiego jeszcze nie słyszałem, ale mam nadzieję usłyszeć.**

**–Wpadliśmy do miasta w interesach. I zgodziliśmy się pomóc w poszukiwaniach. Tak poznałem twoją mamę... Saro, nie przerywaj! Daj mi dopowiedzieć.**

**–Pan mi się podoba, Ivan. Wcale nie mam nic przeciwko temu, że zakochał się pan w mojej mamie. Ona jest dobra, tylko nieszczęśliwa. Jest samotna.**

**Muszę wykonać kilka głębokich wdechów i wydechów. Potem pytam:**

**–Mogę teraz ja stuknąć głową o twój latający talerz?**

**–Czy to nerwowe? – Sara znowu się śmieje. Jakże straszliwie tęskniła za kontaktem! A teraz na dodatek siedzi przed nią taki jak ona nienormalny esp. Prezent od losu, człowiek, który wszystko rozumie.**

**Chociaż Billy podoba jej się bardziej. Sara czuje, jaki to jajarz. Wykończy go teraz tym „Mośkiem”. Ale mój partner też ma w kieszeni kilka ripost. Trafił swój na swego. Nie na długo.**

**O czym ja myślę, niech mnie diabli?! Dusza mi się drze na kawałki. Nie dziwota, gram jednocześnie w kilka gier – okłamuję Sarę, ZSZ i siebie. Udaję, że ostateczna decyzja należy do dziewczynki.**

**A dlaczego by nie?**

**–Dobra, Saro. Posłuchaj mnie teraz. Zaczęliśmy szukać cię jako osoby prywatne, pomagające miejscowej policji. Ale twoje zniknięcie było tak tajemnicze, że zabrały się za nie służby specjalne. A Billy i ja jesteśmy oficerami Zjednoczonych Sił Zbrojnych. Słyszałaś o ZSZ? Dobrze, mądra dziewczynka. Ale pozwól, że ci wyjaśnię, co to oznacza dla ciebie i twoich podopiecznych. To gorzej, niż gdyby zainteresował się wami rząd Ameryki i najbardziej tajne jego agencje. Zanim w Białym Domu zdecydują, jak się z tobą obchodzić, zdążysz dziesięć razy dolecieć do Mgławicy Andromedy i z powrotem. Ale dla ZSZ kosmos to chleb powszedni. Dlatego ZSZ tak wczepiło się w ciebie. Saro, wpakowałaś się w sferę życiowych interesów nie jednego kraju, a całej Ziemi.**

**–Ziemia mnie nie wypuści?**

**–Zgadłaś. Dopiero co otrzymaliśmy rozkaz, by dostarczyć statek,**

załogę i ciebie do bazy Right-Patterson. Leci tu już transporter z ochroną.

Dziewczynka opiera ręce o ziemię, żeby się poderwać, po półokręgu jej świty przebiega krótka fala zaniepokojenia.

Billy leniwie unosi głowę, potem znowu się kładzie.

Jak to on powiedział wczoraj – „trafiliście na drapieźców”? Właśnie. Królowna Śnieżka i siedmiu krasnoludków mogą się z nami bić. Fizycznie. I tylko. Co prawda w talerzu powinna być armata świetlna, ale póki to bractwo siedzi na zewnątrz, guzik im wyjdzie.

–Dlaczego wy... nie wykonujecie tego rozkazu?

–Bo ty się nam podobasz! – krzyczy Billy.

–Podobasz – powtarzam. To jest argument nie do odparcia. Można przy jego pomocy

wprowadzić w stupor dorosłego, a co dopiero jedenastoletnią dziewczynkę, mimo że to mądrała i już prawie studentka.

–Masz do dyspozycji cztery i pół godziny, Saro. Nawet mniej, cztery.

Potem do miasta przyjadą nasi koledzy, słynący z tego, że wykonują każde polecenie i to zawsze. To też szczególnie ludzie. Nie dasz im rady. Teraz odpowiedz mi na proste pytania: jesteś pewna, że należy lecieć? Dokąd? Jak daleko? Po co? I jak cię przyjmą w końcowym punkcie trasy?

Sara znowu siada.

–Powinnaś coś zjeść – mówię. – I umyć się.

–Wtedy zachce mi się spać.

–Wyspać się też powinnaś.

–Wyśpię się za tydzień. Jak dolecę. Co tak na mnie patrzycie? Chcecie powiedzieć: szalona dziewczynka? No to powiedzcie. Wszyscy to mówią, nawet czasem mama. Przywykłam. Iwanie, muszę lecieć. Inaczej oni umrą. Jak mnie przywitają, nie mam pojęcia. Ale odwiozę maluchy do domu!

Mój partner ziewa znudzony. Już wie wszystko – co powiem ja, co odpowie mała i tak dalej, i temu podobne. Ma chłop szczęście, że to nie on prowadzi pertraktacje.

To, że nas wsadzą za niewykonanie rozkazu, i to na pewno, Billy'ego nie obchodzi. Po prostu nie wierzy, że ktoś może go wpakować do pudła. Rosyjskie przysłowie „nie zarzekaj się więzienia i z torbą proszenia” dla niego jest pustym zestawem dźwięków. Chociaż jeszcze wczoraj, jeśli myśleć historycznie, tutaj takich czarniutkich jak on wieszali. Tacy białutcy jak ja. Bez sądu i dochodzenia. Trzeba będzie mu o tym przypomnieć, bo kompletnie stracił swoją pamięć genetyczną. Wala się na ziemi, proszę was, ziewa! Coś mu tu za dobrze, negrowi!

–Dlaczego nagle się rozzłościłeś, Iwanie?

–Twoje maluchy, Saro, mają właścicieli. Porównałaś ich do kwiatów, to teraz pomyśl o ogrodnikach. Oni zamknęli dla nas daleki kosmos. Nigdy nie zastanawiałaś się, dlaczego na Księżycu tylko roboty coś majstrują, zbierając paliwo, chociaż ludzie są elastyczniejsi, bardziej pomysłowi i mogliby zdobyć kilka razy więcej paliwa? No i ludzie naprawdę chcą latać, a maszynom wszystko jedno?

Sara kręci głową.

–Takie oto latające talerzyki – kiwam głową w stronę statku – paliły elektronikę w naszych automatycznych sondach zwiadowczych. Potem zaczęły robić to samo ze statkami załogowymi. Zmusiły nas do zwinienia pilotowanej astronautyki do poziomu przedostatniego wieku. Że niby siedzicie sobie, dzieciaczki, na orbitalnych platformach i nigdzie dalej nosa nie wysuwajcie. Nie dotarliśmy nawet do Jowisza. Istnieją tysiące wariantów odpowiedzi na pytanie, dlaczego nas, Ziemiaków, trzyma się w obórcie. Mnie odpowiada jeden, najprawdopodobniejszy. Widzisz, ludzkie nieświadome...

–Znam to słowo, Iwan.

–Wierzę. Posłuchaj, otwórz się odrobinę. Znudziło mi się mleć ozorem. Pokażę ci problem. Tym sposobem głębiej go zrozumiesz.

Srebrzysty półokrąg cicho szeleści. I bariera odcinająca Sarę ode mnie staje się cieńsza. Odrobinę.

Patrz, Saro. Oto, co jest.

Wyrwawszy się poza granice Ziemi, człowiek zaczyna wpływać na przestrzeń. Nieświadomie. Coś zmienia dokoła siebie. To jest dramat pierwszych księżycowych ekspedycji. Diabli wiedzą, gdzie ich nosiło. Dlatego powstało tyle pytań, na które nie znaleziono odpowiedzi, i Ameryka uznała, że ktoś ją kiwa. Niektórzy z programu „Apollo” naprawdę byli na Księżycu. A inni – na jakimś innym księżycu.

Ale najważniejsze jest dalej. Dalej od Ziemi. Im głębiej wnikamy w kosmos, tym silniej wpływa on na nas. Zmieniamy się więc my sami. I pojawiają się tacy jak ja, jak Billy. Ci, co noszą na szyjach odłamki meteorytów, kryjąc pod nimi nabyte talenty.

Ci, co przeżyli. Pozostali wymarli. Większość. Ale tak czy inaczej współdziałamy z kosmosem i to nie pasuje właścicielom maluchów. Ziemiaki są zdolni przekształcić się w jeszcze jedną rasę zdobywców gwiazd, eksplorować przestrzeń na podobnych zasadach jak tamci. Tyle że

z lepszym skutkiem. Człowiek pomyśli i skoczy o kilka parseków... Niezbyt udane określenie – „zdobywca gwiazd”. Kosmos wcale nie jest pustką z gwiazdami. Kosmos jest żywy. I my nauczylibyśmy się żyć w nim, żyć z nim. Ale ktoś nam przeszkadza.

Tak to wygląda, Saro. Oto, w co się wpackowałaś. Teraz się zastanów. Pokazałem ci wszystko. I oczywiście władowałem w swoje widzenie problemu cały ból, gorycz i złość, jakie nagromadziły się we mnie przez niemal dwadzieścia lat, w ciągu których Iwan Kuzniecowa był związany z programem dalekiego zwiadu ZSZ.

Bardzo żałuję, Saro, ale mamy poważne powody, by nienawidzić właścicieli twoich maluchów, prawdziwych gospodarzy znanej części Wszechświata. My, Ziemiaki. I ty – jedna z nas.

–Billy! Dość tego ziewania! Znudziło mi się, słowo honoru!

–Jarzę, dowódcu, żeby cię pogięło! Dziewczynka patrzy tak, jakby chciała wyrzucić mi duszę na lewą stronę i obejrzeć jej szwy.

–Oni czasem są bardzo okrutni, Saro. – Chciałbym już milczeć, ale nie mogę. – Okrutni i przebiegli. Na naszym okręcie flagowym rozbili ochronę



przeciwmeteorytową. Tacy właśnie malusi na sympatycznym latającym spodeczku. Przelecieli obok i gotowe. Statek nie dał rady uchylić się na czas przed atakiem meteorytów. Zginęło dziesięciu ludzi. I spróbuj teraz udowodnić, że przyczyna ich śmierci nie była całkiem naturalna. Wesoło, co? Jesteśmy dla nich niczym. Jeśli uznają to za potrzebne, będą nas zabijali tysiącami. A ty wybierasz się prosto im w paszczę. Z siedmioma biorobotami, których właściciele już dawno o nich zapomnieli!

Mała patrzy na swój orszak. Srebrzyste krasnoludki stoją jak wryte.

One są teraz jej. Umrą bez niej. Myśl, Saro. Kumaj.

–Jakże wy ich musicie nienawidzić... – szepce dziewczynka. – Biedny Iwan. Wybacz. Ja... – jej głos krzepnie. – Ja wszystkiego się dowiem, wszystko zrozumie! Przysięgam! Sam widzisz, że potrafię dogadywać się z tym, co żywe. A ich właściciele, ogrodnicy, przecież nie są martwi. Uwierz, mnie się to uda. Wrócę i wszystko wam opowiem.

–Czyli lecisz, idiotko?

Mówię to delikatnie i ze smutkiem. Ani grama fałszu. Rzeczywiście tak to odczuwam.

Zginie. A nas wsadzą do pierdła.

Sara przysuwa się i czule głaszcze mnie po policzku brudną łapką. Cała jej osławiona zdolność dogadywania się, zassana od tych maluchów czerpiących energię z bezdennej astralnej studni, skierowana jest na to, by pocieszyć biednego Iwana. To bardzo wzruszające, ale kompletnie bez sensu.

Zawaliłem tę grę. Mała odleci. Wierzy, że oplakuję ją teraz, ale to nie wpływa na jej wybór. W końcu trafiła na zadanie, którego skala skołuje głowę każdemu dziecku.

Uparte dziewczuszyko niemożebnie! Wykapany ojciec.

Odsuwam się, wstaję, chowam ręce za plecy i do bólu zaciskam pięści. Cholernie mam ochotę walnąć Sarę w głowę, przerzucić przez ramię i wywołać „teczkę”. A ze srebrzystymi krasnalami niech się bije Billy.

To moje tchórzostwo nazywa się zdrowy rozsądek.

Mój partner jednym skokiem staje na równe nogi. Niektóre z maluchów zaniepokojone odwracają się ku niemu.

–Sara, szybko! – krzyczy Billy. – Zdejmij tę pieprzoną osłonę! Muszę wyrzeć!

Dziewczynka posłusznie wyciąga ręce do świty. I zwala się na mnie świat.

Dopiero teraz uprzytomniam sobie, w jakiej kompletnej głuchocie trwaliśmy pogrążeni tu, na wyspie, pod energetycznym kołpakiem wzniesionym przez podopiecznych Sary. Byłem skoncentrowany na małej, a świat przecież nie zniknął, tylko żył za barierą.

I wiele się w nim zmieniło.

–Dur-r-rnie! – ryczy Billy. – Czy tak się postępuje?!

„Wsiadam” na falę partnera, słyszę, co on tak naprawdę mówi, widzę, z jakiego powodu, i też nabieram ochoty powiedzieć kilka gorących słów.

Słowa są rosyjskie, dlatego wyrzucam je z siebie bez skrępowania. Na głos.

Dureń i karierowicz Masters, wiecznie gotowy nie tyle wykonać rozkaz, co wykonać z nadmiarem, pędzi swój transport rezerwowym korytarzem. Pędzi jak psychol. Jego latający kalosz tak natęży brzuszyśko, jakby zamierzał urodzić malutki samolocik ogonem do przodu. Myśliwce eskorty majtają się nieopodal wystraszone. Ich piloci widzą, że transport bije światowy rekord prędkości, ale przecież tam siedzi Masters, cały pułkownik ZSZ, rasowy kosmiczny wilk, sto pistoletów od dystrybutorów mu w ryj i admirałska kotwica w ucho!

Będzie tu za godzinę z hakiem.

I do tego z trzech stron pędzą w kierunku miasta spocone, zwarte grupy maszyn. Wszystkie w tym samym celu. Federały, specoddział Pentagonu i, niech ja skonam, CNN! Masters ich wyprzedzi, oczywiście.

O całą godzinę. Jeśli się nie rozwali.

Ścierwojady!

Jeden wyczuł zdobycz i zaraz za nim runęło całe stado. Jak miało nie runąć, skoro ciężka maszyna ZSZ pokazuje Ameryce, jak wyglądał przelot tunguskiego meteorytu?!

Nawet nie interesuje mnie, dlaczego Johnson pozwolił Mastersowi na taki barwny show. Po prostu jest mi przykro.

Dobra, ja wam, kute asy, urządzę wyścigi po cuchnące ścierwo!

–Johnson, gnoju! – krzyczę. – Widzisz to? Po co?! Dlaczego mu pozwoliłeś? Hej, pułkowniku! Możesz uważać moje słowa za podanie się do dymisji! I oświadczenie o samowolnym odejściu!

Mała mruga oczami, nic nie rozumiejąc. Widzi przecież, że nie mam comu. Billy bezdźwięcznie klaszcze.

–Hurt! Alarm! Wszyscy ludzie i sprzęt do punktu A. I czekać na polecenia!

Dziewczynka otwiera za zdumienia usta. To nic, żeby tylko Hurt nie zastanawiał się, a działał.

–Saro! Kto tu gadał, że potrafi sterować tą furmanką? Udowodnij to! Leć do mamy, szybko! Załoga, na pokład! Dawaj, dawaj, tyłki w troki, ruchy, ruchy, dupki skońnockie! Maluchy kupą rzucają się do talerza. Tylko dziewczynka stoi jak wkopana w ziemię. A winien jestem ja, cóż... „Potrafię się dogadywać”? Kiedy mnie ktoś podkręci jak należy!

–Saro Sayer! Za sześćdziesiąt minut wyruszasz. Albo do bazy Right-Patterson, albo do diabła w kosmos. Wybieraj. A teraz pełnym gazem do mamy! My za tobą.

Dziewczynka wolno kiwa głową, potem ogląda się w stronę domu. No tak, stamtąd nadlatuje jeszcze jedna piekielna maszyna.

„Teczka” na boosterze brzmi niezwykajnie, nie? Ni to z chrzęstem, ni to z trzaskiem skacze ku nam zza lasu purpurowa kropla. Latający talerz może oczywiście latać szybciej. Ale jego ewolucje wyglądają jakoś niepoważnie. Może są i straszne, ale nieprzekonujące. Co innego, jak na człowieka pikuje T5 Evo. Nawet jeśli nie chcesz, to się skitrasz. Pociągu pancernego nie zatrzymasz.

–Saro – mówię czule. – Mam cię kopniakami przegonić na pokład? Czy lecisz z

nami?

–Tak jest, sir! – skanduje dziewczuszka, biegnie do talerza i nurkuje w luku, który pojawił się w burcie niewiadomym sposobem.

–Szkoda – mamroce Billy. – Bardzo szkoda, żeby cię pogięło. Dlaczego nie walnąłeś dziewczuska w czachę? Przecież chciałeś! A ja bym tym skośnookim ręce z nogami posplatał. Oddalibyśmy całe to towarzyszo Mastersowi, podpisałby odbiór i po sprawie...

Rozkazuję „teczce”, by wykręciła i lądowała. Latający talerz leży w bagnie jak zdechły.

„Żeby cię połamało – myślę – żebyś pękł na dwie połowy, żeby ci na rufie zawisł bagienny potwór i nie wypuścił z objęć!”

–Jeśli Sara cię znienawidzi, Vera nie przestanie cię kochać – mędzi mój partner. – Ale jeśli Sara naprawdę odleci... Wyobrażasz sobie choćby przez chwilę, czym to się wtedy skończy? Och, do jakiego boga mam się modlić; żeby ten kosmiczny złom się rozpieprzył? Wanja, wymyśl coś, żeby cię pogięło! I wypuścić Sarę głupio, i oddać naszym nieładnie. Co powiesz, he?

„Teczka” otwiera drzwi.

A talerz z nienaturalną łatwością podrywa się z bagna. Jak podwieszony na niteczce mknie lotem koszącym w stronę domu Sayerów.

–Ciągnij diesla, Mosiek! – rzucam z przekonaniem.

Jak każdy normalny człowiek Billy nie znosi wybierania jednego niedobrego rozwiązania z dwu złych.

Środa, ostatnia godzina

Obok domu Sayerów działy się rzeczy potworne. Stały tu trzy patrolowce. I tutejsze pospolite ruszenie w pełnym składzie zważyło się z punktu zbornego A – nie ma to jak iść na wojnę z cywilami, co?! Zwyczajnych gapiów też przyłazło do cholery.

Na parkingu na dachu połyskiwał błyszczącą powierzchnią latający talerz. Dom, przykryty stustopowym dyskiem, wyglądał jak lokum Aliena.

A na werandzie stała na szeroko rozstawionych nogach Clarissa – w granatowym patrolowym mundurze. W czapce nasuniętej na oczy. Z pistoletem w kaburze. I ogromnym gumostrzałem do tłumienia masowych rozruchów na ramieniu.

Straciłem dar mowy na dobre trzydzieści sekund.

Billy to w ogóle, jak z „teczki” wysiadł i zobaczył swoją Barbie, tak zważył się z powrotem.

Podbiegł do nas szeryf.

–Płyń, Gibson – powiedziałem do niego. – Mój partner już z miasta nie wyjedzie. Na ślub przyjdiesz?

–A ciągnij sobie diesla, majorze! Nie mam ochoty na żarty. Wali do nas policja z okręgu, policja stanowa i miejscowy oddział FBI. Zaraz się zacznie!

–Wyluzuj, ja się nimi zajmę. Bez sprzeciwów! Ty masz na głowie porządek publiczny.

–Taaa... – wycedził glina. – Około trzystu gapiów, a moich ludzi dziesięciu. I tłum ciągle rośnie.

–Zabezpiecz strefę wokół domu. Na to ci ludzi wystarczy. Gwarantuję, że za godzinę nie będzie tu już nic ciekawego.

–Kompletnie nic? – prychnął szeryf.

–Zniknie źródło niepokojów. Ciesz się, Gibbson, od ciebie już nic nie zależy.

–Ale oberwę jak zwykle ja! – podsumował policjant i ruszył zajmować się porządkiem publicznym.

–Za co? – rzuciłem za nim. – Przecież to ty znalazłeś Sarę.

–Ja?!

–Oczywiście. Zorganizowałeś udane poszukiwania.

Szeryf nie odwrócił się, ale nawet jego plecy zaczęły wyglądać jakoś różnie.

Billy nie bez problemów wysiadł z „teczki”.

–Podobam się jej – powiedział, pożerając oczami Clarissę.

–Wszystkim się podobasz. Stój tu, nic nie rób, bądź gotów do blokowania Mastersa, jeśli nie uda się uwolnić Sary. I poza tym... Możemy trafić przed trybunał za niepodporządkowanie się poleceniom, rozumiesz? Myśl, jak kłamać śledczemu.

–Zahipnotyzowali nas skośnoocy, zzz.

–To już jakiś pomysł. Odszukałem w tłumie Hurta i Roads.

–My tego... – powiedział Hurt. – Pomyśleliśmy, że może lepiej tu, panie majorze, sir. Zuchy z was, żeście Sarę znaleźli!

–Następnym razem nie myślcie, a wykonujcie rozkazy, jasne? Mister Hurt, dla pana mam dwa zadania. Pierwsze: powinien pan być gotów na moją komendę całą grupą wnieść się na trzysta stóp nad domem i wisieć tam, póki nie skończy się paliwo. Osłonicie obiekt przed próbą przejścia od góry. Wiem, że wasze maszyny nie są przeznaczone do takiego celu, będzie je mocno telepało, ale trzymajcie się. Kumas? Teraz zadanie drugie. Proszę wytypować pewnego człowieka, który wykona co następuje: za godzinę ma tu być biotoaleta z zapasem chemii na miesiąc, wojskowe albo policyjne racje na tyleż i dwadzieścia galonów wody pitnej. Pieniądze zwrócę.

–Toaleta, można uważać, już jest, zdejmujemy z ciężarówki. Pozostałe rzeczy będą migiem, panie majorze, sir!

–Po prostu Ivan.

Rozejrzałem się. Bardzo nie chciałem wciągać miejscowych w wewnętrzny spór ZSZ, ale miałem silne przeczucie, że albo Sara się nie wyrobi, albo Masters doda jeszcze gazu. Na pokładzie jego kalosza leciało dziesięciu techników i tyle samo ochroniarzy. Ochrona była zresztą czysto nominalna, Masters i Pawlowski sami są bronią masowego rażenia. Ale właśnie bronią. Ogłuszyć, zastraszyć, zdeptać – to ich *emploi*. Nie potrafią, a może i nie chcą pracować z ludźmi tak subtelnie jak my. To wiedziałem na sto procent, nie byłem tylko pewien, czy są wystarczająco głupi, by strącić dziesięć cywilnych maszyn? Z wysokości stu

**metrów i to na dom mieszkalny, na policjantów, na tłum dokoła?**

**Bo zaczepić talerz Masters może, tylko wisząc nad nim.**

**Gliny już otoczyły dom żółtą taśmą na kołkach. Podszedłem do szeryfa.**

**–Jeśli nad domem zawisną cywilne maszyny, nie wtrącaj się. Stój, gdzie stoisz. Nikogo nie słuchaj. Wszystkich wysyłaj do diabła. To twoje miasto, twoi ludzie, twoja dziewczuszka. Wojskowi, nawet ZSZ, nic nie mogą ci zrobić. Niech najpierw zwrócą się do sądu. Aha, i ten ładny talerz latający, zupełnie nowiutki, z minimalnym przebiegiem, też jest twój.**

**Kumasz?**

**Nasz glina kiwał głową jak nakręcony. Nie miałem czasu i sił go przekonywać – po prostu napierałem i przygniatałem.**

**Na werandzie ciężko dyszała Clarissa. Idiota Billy chciał ją tak, że można było od niego zapalać bengalskie ognie. Wróciłem do „teczki”:**

**–Trochę mnie martwi mieszanka do oddychania wewnątrz talerza -powiedział mój partner. – Powietrze jest podobne do naszego, ale jednak... Jak chcesz, to wymontuję z maszyny zapasowy regeneratory i „dychawicę”. Dla mnie to pół godziny roboty.**

**–Myślałem, że co innego cię martwi, ty nasz ogierze seksualny.**

**–Jestem naturą wszechstronną, żeby cię pogięło.**

**–Dawaj, pomogę ci odkręcać śruby.**

**I zaczęliśmy wykręcać z czerwoniutkiej system awaryjnego zabezpieczenia życia. Na kwadrans z przyjemnością oderwałem się od tego szaleństwa dokoła nas.**

**Potem ktoś mnie delikatnie poklepał po tyłku.**

**–Mm? – zapytałem, wysuwając się z wnętrza maszyny. W zębach trzymałem kabel zasilania.**

**–Iwan, to wszystko serio? – zapytała Vera. – Z jej głową wszystko w porządku? A może to ty przegrzałeś się na bagnach?**

**Missis Sayer wyglądała ekstremalnie agresywnie, od razu przypomniałem sobie nasze pierwsze spotkanie.**

**–Masz na dachu zaparkowany talerz latający z siedmioma przybyszami z innej planety w środku – powiedziałem oschłym tonem. – A twoją córkę nasi zamierzają zamknąć w Hangarze 18\*. Jeśli bardzo poprosisz, zamkną cię razem z nią. To jest ślepa uliczka dla wszystkich, ale bardzo wygodna i względnie bezpieczna. Sara popłacze trochę, potem się pogodzi. Tobie będzie nudno, ale się przyzwyczaisz.**

**–Mów dalej – powiedziała Vera.**

**Zwariować można – ona chciała mi dać po pysku! Otrzymawszy z powrotem córkę, wyraźnie się zmieniła. Jej światek znowu przybrał pewną stabilność i jedyne, co należało z niego usunąć, to problem wyboru.**

**–Żaden normalny człowiek nie da sobie rady z pilotowaniem tego pojazdu. Zwariuje, zajmąwszy miejsce pilota. Ja bym spróbował, ale się boję, jeśli mam być szczery. A Sara to pojęła bez trudu, dla niej to fraszka. Jestem pewien, że ona po**

prostu skoczy tam i z powrotem.

–Tam, czyli dokąd?! – krzyknęła missis Sayer.

–Tam to tam! – oświadczył z wnętrza maszyny Billy.

–Vero, przez jedenaście lat robiłaś wszystko, żeby dziewczynka dorastała szczęśliwa. No to w czym teraz problem? Miejsce, do którego się wybiera, nie jest raczej bardziej niebezpieczne od bagna.

–Nie traciłeś nigdy dziecka – powiedziała z rezygnacją. – Nie zrozumiesz tego. Chociaż... Niech cię szlag, Iwan! Ty wszystko rozumiesz. Twoje spojrzenie dalej mam w sobie. Nie wiem jak, ale odczuwasz to samo, co i ja. I mimo wszystko popychasz Sarę do tego szaleństwa? Masz

nadzieję, że ona dokona tego, czego nie mogłeś ty?! Astronauta... Nie zwrócisz mi Sary po raz drugi. Tam, dokąd ją wysyłasz, dla ciebie nie ma drogi.

Vera chwyciła mnie mocno za klapy kombinezonu i potrząsnęła mną jak lalką. Nie wiedziała, czy ma mnie żałować, czy zniechęcić. Albo pocałować, albo zabić.

–To podłe, Wania – podsumowała. Odwróciła się i weszła do domu.

–Ciągniemy diesla? – zaproponował mój partner. Cisnąłem kabel i usiadłem na wydeptanej trawie. Zamknąłem oczy.

Pomyślałem o ludziach dokoła. Wsłuchałem się w nich. Nic dziwnego, wszyscy chcieli, żeby Sara odleciała. Przecież to takie wydarzenie... Takie... Takie!

Przecież to nie ich córka.

Też mi coś – wsiadła do talerza i ruszyła w kosmos. Skoczyła, wróciła. Przywiozła prezenty – temu barometr w kształcie latającego spodka, innemu ciupagę z napisem „Olympus Mons – pamiątka z Marsa”... Tylko troje ludzi patrzyło na sprawę trzeźwo: ja, Billy i Vera. Mój partner przejmował się losem dziewczynki, ale był też ciekaw, czym to się skończy. Własną matkę wsadziłby do talerza. Ja zresztą też. Byliśmy gotowi walczyć o drogę do gwiazd praktycznie na wszelkie sposoby. Wolność i otwarta perspektywa dla ludzkości – sami niemal staliśmy się ofiarami tych marzeń. I dlatego mieliśmy osobiste porachunki z gospodarzami Wszechświata.

Ale czy zaryzykowalibyśmy życie własnych dzieci? A skąd ja mogłem to wiedzieć?! Przecież choć byliśmy z Sarą jedną duszą, jednym umysłem, to jednak nie jest ona naszą córką.

Jak trafnie powiedział Johnson, żeby zdechł, „spłodzisz, skumasz”.

–Chcesz, to nacisnę na Verę? – zaproponował Billy. – Leciutko. Nawet nie nacisnę, tylko ustabilizuję jej psychikę.

–Nawet o tym nie myśl. Stracisz przyjaciela. Odkręcaj te śruby.

–Tylko zapytałem – nadąsał się partner.

–Niech wszystko się toczy swoim trybem. To los, kumasz?

–Ooo, zaczęły się rosyjskie duperele! – prychnął Billy. – Dusza, przeznaczenie, los... Los rockendolos! Chodź tu, Dostojewski, żeby cię pogięło, pociągnij ten przewód, mam zajęte ręce.

Szarpnąłem przewód. Wstałem, zrobiłem kilka kroków w kierunku werandy. Wróciłem. Tłum dokoła domu poruszył się. Ci wszyscy ludzie czuli przede mną jakiś dziwny lęk, choć sobie tego nie uświadamiali. Do domu Sayerów licho przyniosło

**dobre pięćset osób. Jednym spojrzeniem mogłem spowodować, że rzucą się do ucieczki.**

**Przez policyjną taśmę przelazł Hurt. Za nim ciągnęło kilku mężczyzn, niosąc pudła i butelki.**

**–Gotowe, Ivan. – Tam macie drabinę, wrzucie to wszystko na dach.**

**Clarisso, przepuść ich z łaski swojej!**

**W domu panowała cisza. Sara, wykąpana i wyczesana, zmiatała aż miło pożywny obiad. Vera patrzyła w milczeniu, jak dziewczynka je.**

**–Masters będzie tu za dwadzieścia minut – przypomniał mój partner.**

**–Wiem. Śledzę go.**

**–Nie zdążymy. Sara jeszcze przez godzinę będzie się szamotała z matką.**

**–W nosie mam. Lepiej sprawdź moje odczucia: czy to kiks, czy naprawdę Johnson tu leci? Kto to pędzi tu w naszym starym „Gryfie”, aż się skrzydła wyginają?**

**Billy wyszarpnął z wnętrza „teczki” pudło regeneratora i cisnął nim o ziemię. Otrząsnął zakurzone rękawy.**

**–Masz rację – przyznał. – Szybko wali, wkrótce tu będzie. Wanja, jeszcze majta mi się po głowie jedna duperela. Sara ma inny marker. Nie od razu zrozumiałem, o czym mówi.**

**–Ona ma marker cienki, żeby cię pogięło! A strzałki na pniaku zostały namalowane grubym. Kto?**

**–Japoński wywiad. Co się tak na mnie gapisz, czy ja znam na to odpowiedź?**

**Kumpel podrapał się po czubku głowy i powiedział:**

**–No to pomóż mi zanieść to pudło.**

**Na dachu przede wszystkim popatrzyłem do góry. Burtę talerza zdobił napis: „Bij Obcych, ratuj Galaktykę!”. Rzeczywiście mój partner wykonał go cienkim pisakiem.**

**Na dole wszystko było po staremu, tylko Clarissie znudziło się targanie „gumowca” i położyła broń na poręczy werandy. Lufą w kierunku tłumu.**

**–No? – zagadnęła do nas.**

**–Co pani robi dziś wieczorem, oficerze? – spytał Billy.**

**–Liczę trupy, kochany.**

**–Idę sobie stąd – zdecydował mój partner.**

**–A co pan robi dziś wieczorem, oficerze?**

**–Jeśli nie zabiorą mnie do aresztu koszarowego, to będę tam, gdzie mnie zawołasz.**

**–Zobaczymy, jak się będziesz prowadził! – Barbie chytrze zmrużyła oczy pod daszkiem czapki. – Jak zacznę strzelać, nie trzymaj tak ust otwartych, bo ci pocisk wleci.**

**–Gruchajcie sobie, gołąbeczki – uśmiechnąłem się i odszedłem od werandy.**

**–Żarty żartami, Clarisso, ale może się tak zdarzyć, że więcej się nie zobaczymy – powiedział Billy. – Chcę, żebyś wiedziała. Jesteś najlepsza.**

**–Jesteś kochany – powiedziała. – Uważaj na siebie.**

–Nie uwierzyła – poskarżył się partner, kiedy mnie dogonił. –

Dlaczego, kiedy jestem poważny, nikt mi nie wierzy, żeby cię pogięło?!

Otworzyłem bagażnik, wyjąłem z sejfu com, nałożyłem na przegub. Urządzenie od razu zaczęło podrygiwać, jakby tylko na to czekało.

–Podpułkownik Masters. Będę u was za dziesięć minut. Czy obiekt jest gotów do załadunku?

–Nie.

Obejrzałem się i przywołałem ruchem ręki szeryfa.

–Ale obiekt jest, przecież go widzę – zdziwił się Masters. – Dlaczego nie jest gotów? I po cholere ustawiliście go na dachu?!

–Sam tam wylądował.

–Kouznetsoff, ja ciebie nie rozumiem. Proszę złożyć meldunek o sytuacji.

Glina podbiegł i nastawił ucha.

–Posłuchaj, Masters, dokąd ty się tak spieszysz? – zapytałem. – Johnson dał mi sześć godzin. Zostało mi trzy i pół.

–Wybacz, ale mam inne rozkazy, Ivan. Mam załadować obiekt, gdy tylko będzie gotowy.

–Mówię ci, że nie jest gotowy! I bez nadgorliwości, tam w środku siedzi siedmiu skośnookich. Jak łupną w twój kalosz, to kto będzie odłamki zbierał, ja?

–Bez pilota nie łupną – powiedział podpułkownik. – Myślisz, że nie wiem, co jest grane? A właśnie, gdzie ta nienormalna dziewczucha?

–Dziewczynka jest kompletnie niegotowa. Wcale.

–Dobra, Ivan, nie bądź taki chciwy. Podzielmy się zdobyczą. Zabiorę z dachu obiekt i walę na Patterson. A ty za mną dostarczysz wariatkę. Nie próbuj zagarnąć całej sławy dla siebie. I tak jesteś bohaterem. A jeśli nie jesteś ślepym bohaterem, to powinieneś zobaczyć: mam na ogonie kilku konkurentów. Każdy z nich ściska w łapie oficjalny kwit, w którym stoi, że obiekt należy do niego.

Popatrzyłem na szeryfa. Ten pokazał środkowy palec.

–A miejscowe władze są przekonane, że obiekt jednak należy do nich – oświadczyłem. – I wzięły go pod ochronę.

–Cooo? – jęknął Masters. – Czy oni też sfiksowali jak to ich dziewczusko?

–Obiekt został znaleziony na terenie municypalnym! – wyrzeźbił prawniczym głosem glina. – Czyli należy do miasta! Jeśli macie coś przeciwko, proszę się zwrócić do sądu.

–I ciągnij diesla... – szeptem podpowiedział Billy.

–I ciągnij diesla!

–Co to za fiut? – spytał zdziwiony podpułkownik.

–To policja, sir. Szeryf Gibbson. Pytania? Skargi?

–Nie inaczej, tylko oczadzieliście od bagiennego gazu – uznał Masters. – Dobra, ja wam zaraz przewietrzę mózgi. Koniec, kretyni!

Nasz wspólnik policjant popatrzył na mnie zwycięsko. Pomyślałem



nawet – wczepi się teraz w latający talerz, niech ktoś spróbuje mu go odebrać. Zaciągnie na karny parking, guza ktoś mu odbierze. Zresztą można podłączyć do rozwiązania tego problemu niejakiego Grega Weilanda.

–Zapamiętaj wersję, której masz się trzymać – powiedziałem do szeryfa. – Jeśli nas pokonają, wszystko zwał na zielone ludziki. Że zahipnotyzowali cię, że niczego nie kapowałeś. Zresztą co cię będę uczył! Jesteś gliną, łąć umiesz.

–Bronię interesów miasta! – oświadczył Gibbson.

I poszedł dowodzić.

–Dlaczego Sara nazywa go gnojkiem? – zamyślił się mój partner. – Żebyśmy tak mieli więcej takich glin, może by i jakiś porządek nastał, żeby cię pogięło. Cudo nie oficer. No i przykładowy mąż, żony nie zdradził ani razu...

–Skocz do Hurta – poprosiłem. – Wytłumacz mu, jak mają urządzić barykadę nad domem. I ludzie do maszyn!

–Potłuką się, sieroty – powiedział smutno Billy. – Masters poruszy sterem i zdmuchnie ich.

–I nie będzie już podpułkownikiem.

Billy prychnął. Nie wierzył w rozsądek Mastersa. Nasz kolega słynął z samozaparcia. Gdy kiedyś miał do wyboru: katapultować się lub otrzymać kapitańskie gwiazdki, wykonał lądowanie na twardo, ale maszyny nie porzucił. Ten bezsensowny wyczyn spowodował, o ironio, że uznano go za niezrównoważonego i wstrzymano mu gwiazdki na rok. Mnie się zdawało, że Masters wyciągnął z tego jakieś wnioski. Mój partner był przeciwnego zdania.

Podszedłem do ganku i stanąłem w cieniu rzucanym przez srebrny dysk. Latający talerz zawisł nade mną lekki jak zabawka. Wydawało się, że jeśli spadnie, to będę w stanie utrzymać go w rękach i wrzucić z powrotem na dach.

Bardzo ciągnęło mnie do domu. Ale tam Vera z córką siedziały na kanapie w salonie, trzymając się za ręce, i milczały.

–Zaraz się zaczniesz? – zapytała Clarissa.

Wzięła do ręki swój koszmarny gumostrzał i zaczęła odkręcać ogranicznik z lufy. Fachowo. Zręcznie.

–Bez tej nasadki znacznie bardziej boli – wyjaśniła. – Tyle że kopie, zaraza... Lufę mam polerowaną i wszystkie otwory zaspawane.

–Diabli by wzięli – burknąłem. – A Billy zamierzał się z tobą ożenić... Och, przepraszam, palnąłem, nie pomyślałem.

–Zobaczymy, czy zasłuży – powiedziała Barbie.

Nagle poczułem, że nie jestem tu już dłużej potrzebny.

Wszystko, co ode mnie zależało, wykonałem. Przez kilka godzin

Gibbson i jego kompania utrzymują się sami. Ani Masters, ani fedzie, ani Pentagon nie przejmą talerza, póki nie okażą wystarczająco przekonującego dokumentu. Pobrząkiwanie bronią, zdarte gardła, przysięgi i zapewnienia, że wszystko się potem załatwi z wsteczną datą, nie pomogą. A potem przyleci CNN, a pod jego szklanym wzrokiem wszyscy zawsze starają się być mili i politycznie

**poprawni.**

**Trącić miejscowych w psychikę Masters na pewno się nie ośmieli. Aż takim durniem nie jest. Za dużo byłoby ofiar.**

**W sumie Sara będzie miała czas zrozumieć, dokąd się wybiera i czy w ogóle leci. Sterowanie talerzem opanowała całkiem, całkiem, proszę, jak wylądowała na dachu!**

**Polazłem za „teczkę”, przycupnąłem na stopniu. Poglaskałem maszynę po brudnym, ciepłym boku.**

**–Wkrótce wracamy do domu, radości moja. Zarządzimy ci diagnostykę, zmienimy co nieco w silnikowym, będziesz jak nowiutka...**

**Bzdury! Johnson rzuci kilka słów i transporter zabierze mnie z Billym do wojskowego więzienia. To się Masters ucieszy! A do czerwoniutkiej i niebieściutkiej „teczki” wsiądzie kto inny.**

**Stop! Chwyciłem com. Co to elektroniczne cudo ściągnęło automatycznie? Spalić je, natychmiast! Czy poczekać? Dobra, na razie popatrzmy. Pliki, pliki... Rozkaz, gdzie jest rozkaz?! O przeniesieniu majora Kouznetsoffa z rezerwy do operacyjnej. Gdzie ten rozkaz?! Nie ma? Będę zaprzeczał! Będę mówił tylko w obecności adwoy kata! Nie złożę zeznań, które mogłyby być wykorzystane przeciwko mnie! Udam, że jestem taki Głupi Iwanuszka jak z bajki. Popłaczą się, a w nic mnie nie wrobią...**

**„Teczkę” jednak zabiorą, gnoje.**

**–Co ci tak włosy dęba stanęły, żeby cię pogięło? – zapytał Billy.**

**–Czy tobie Johnson wysłał rozkaz o przeniesieniu do czynnej?**

**–Zaraz popatrzę.**

**–Dawaj tu! Wczepiłem się partnerowi w rękaw, szarpiąc com. Billy z łatwością strząsnął mnie z siebie.**

**–Spokojnie, Wanja. No, nie ma rozkazu. Nie widzę. I co? Myślisz, że nie wsadzą nas?**

**–Zabiję Johnsona! Zadręcę! Całą jego bródkę po jednym włosku mu wyskubię. Billy, wystawili nas. Nie wiem jak, ale wpakowali w gówno. Diabli by to...**

**–Oto on – powiedział mój partner, patrząc w niebo. – Indywiduum.**

**Ludzie Hurta zaczęli wzbijać się w powietrze. Cywilne maszyny są dość ciche, ale gdy jednocześnie startuje dziesiątka, ziemia drży.**

**A na skraj miasta opadał ogromny transporter. Myśliwce po jego bokach wyglądały jak muchy eskortujące słonia.**

**Zerwał się wiatr. Dwie ciężarówki i osiem osobowych maszyn zawisło nad domem, tworząc dość precyzyjną szachownicę. Masters widział, że majta nimi haniebnie. Ale tłum radośnie ich oklaskiwał.**

**Jeden z patrolowych wozów zrobił świecę i zawisł dwieście metrów nad zasłoną. Miał uruchomione koguty i wyjca.**

**–Ładnie – ocenił Billy, patrząc w niebo. – Ale niepotrzebnie. Zaraz oberwie od podpułkownika, wał mu w ryj.**

**Skinąłem głową. Po kilku sekundach Masters zrobił to, czego od niego**

oczekiwaliśmy. Przelecieć nad domem się nie ośmielił. Ale sterami poruszył. Lekko przechylił swój kalosz na bok, a patrolowiec został zwyczajnie zdmuchnięty. Cudem tylko nie runął w niekontrolowany korkociąg. Udało mu się wyrównać i wyhamować jakieś tysiąc stóp od domu. Tam opadł na podwozie, i to tak twardo, że z kół odleciały dekle.

Zasłoną zakołysało niebezpiecznie, jednak się utrzymała.

Panował potworny hałas, ale mimo to słyszałem, jak szeryf przeklina.

Masters wylądował kaloszem w polu. Nagle wszystko zrobiło się małe: dom, talerz na dachu, tłum, my sami. Pomyślałem, że zaraz ten kaszalot wysunie język i połknie od razu pół miasta.

Myśliwce ustawiły się szerokim półokręgiem i zaczęły napierać na psychikę. Próbowałem o nich zapomnieć.

Tymczasem z kalosza wyskoczyło kilka mikroskopijnych postaci. Jedna po chwili wahania oddzieliła się od pozostałych i pobiegła w naszym kierunku.

Z werandy zeszła Clarissa. Rozcięła sobą tłum, po czym ruszyła na spotkanie gościa. Gumostrzał wisiał jej na ramieniu lufą do przodu.

–Idziemy – powiedziałem. – To Pawlowski. Posłuchamy, co powie.

Billy niepewnie zerknął na zaporę. Niby trzymała się równo. Powisi

jeszcze chwilę – tubylcy mają mocne łapy, przez pół godziny utrzymają stery.

Oslony usunąć nie można, bo Masters od razu skoczy. A to, że od takiego manewru rozpadnie się dom, dojdzie do niego po fakcie.

„Jakby tak posadzić ze dwudziestu miejscowych chłopca na górze talerza? – zastanawiałem się. – Ale jest zbyt śliski, spadną”.

Vera z Sarą cały czas milczały. Tylko nie trzymały się już za ręce, a obejmowały się.

Poszliśmy w pole. Tłum odprowadzał nas współczującymi spojrzeniami. Ktoś krzyknął coś pokrzepiającego, ale słów nie dało się zrozumieć.

W uszach brzmiał równy, ciężki warkot czasem zakłócany gwałtownym wizgiem, kiedy obok przemykały myśliwce.

Tłum nam kibicował. Całe pięćset dusz, które chciały, „żebyśmy im pokazali”.

Potem gapie zarechotali jak na komendę.

W polu nieszczęsny Pawlowski stał przed Clarissą z podniesionymi rękami.

Pewnie coś nie tak palnął. Przyspieszyliśmy.

–Ivan! – jęknął Pawlowski już z daleka. – Zabierz ode mnie tę szurniętą... Przepraszam, tego oficera! Dopóki nie wypalę jej mózgu.

–Nawet nie próbuj – powiedziałem. – Blokujemy cię.

–Czyli wy naprawdę jesteście z nimi... – Pawlowski z wrażenia aż opuścił ręce, ale od razu załapał paskudnego szturchańca lufą pod żebra.

–Oficerze, możemy porozmawiać? – zapytał Billy.

Clarissa z widocznym niezadowoleniem odeszła na bok. Miotacz trzymała jednak w pogotowiu.

–To ci babka! – jęknął Pawlowski, pocierając brzuch. Szczupły i jasnowłosy nie wyglądał na niebezpiecznego. – Lalunia, że oszaleć!

Najciekawsze, że tylko zapytałem, co robi dziś wieczorem... Ciekawe, mężatka?

–Tak – warknął mój partner. – Ze mną. Czego pan tu szuka, kapitanie?

–Masters chce wiedzieć, czy postanowiliście przekazać obiekt fedziom? Czy Pentagonowi? Czy marzycie może o wszechświatowej sławie? Chłopaki, opamiętajcie się! Przecież z was wyprują flaki. To jest zdrada w najczystszej postaci.

–My potrzebujemy tylko odrobiny czasu – powiedziałem.

–Ivan, błagam, zapomnijmy o wszystkim. Załadujmy obiekt i wiejmy. Będziemy udawali, że nic się nie stało. Masters daje słowo.

I tu popełniłem błąd.

–Posłuchaj mnie. Nigdy nie chciałeś nawiązać kontaktu? – zapytałem. – Z właścicielami skośnookich, co? Po raz pierwszy możemy się czegoś dowiedzieć. Dajmy Sarze szansę...

Wtedy kapitan uderzył pierwszy. Mgnienie oka później dołączył do niego Masters. Świat przewrócił się i runął mi na głowę.

Padając, zrobiłem najważniejsze – zwarłem atak na sobie. Bezrozumna, okrutna moc tych dwóch chlusnęła we mnie, paląc i wywracając na nice wnętrzności.

Widziałem, że Billy przykucnął, rozrzuciwszy długie ręce, i świat przewrócił się jeszcze kilka razy. Potem zobaczyłem, jak Pawlowski robi fikoła i jak wywracają się postacie przy transportowcu. A sam kalosz wlatuje w górę.

–Opamiętajcie się! – jęknąłem.

Najpierw runął transporter.

Potem zwałił się na mnie myśliwiec.

Zdażyłem w myśli powiedzieć: „Żegnaj, Vero, wybac mi wszystko”.

A myśliwiec zrobił unik i grzmotnął na brzuch nieopodal. Z kabiny wypadł pilot, podniósł się na czworakach i zaczął rzygać, z wyrzutem patrząc w moją stronę. A tu tak naprawdę to wszyscy byli na czworakach, wszystkich mdliło i wszyscy byli nie wiadomo dlaczego wściekli na mnie.

I tylko czarny mag William Mbabete, wielki i potworny, wznosił się nad tym wszechświatowym burdelem.

–Ale dałeś czadu, Wanja, żeby cię pogięło – pokiwał głową z uznaniem.

Uznałem, że mogę poeksperymentować i spróbować wstać. Ale od razu poczułem do siebie taką odrazę, że mnie też zemdliło.

Obok przeszła Clarissa, wlokąc gumostrzał za pasek. Kilka razy trąciła nogą leżące bezwładnie ciało Pawlowskiego, potem zawołała do pilota: „Ty tam, w porządku?”. Pilot machnął ręką i się położył. Clarissa stanęła nade mną.

–Potwór z ciebie, Ivan – powiedziała. – Ja się ciebie nie boję, ale Very mi żal. Wstawaj, idziemy.

–Co ja takiego zrobiłem? – jęknąłem, gdy ona i Billy chwycili mnie pod ręce.

–Zwaliłeś wszystkie maszyny, popsuleś je w trzy dupy – zaczął wyliczać mój

**partner. – Wszystkich ustawieś kolankowo-łokciowo... I wszystkim daeś skumać.**

**Z wysiłkiem rozejrzałem się wokół. W niebie nie było ani jednej maszyny – wszystkie leżały na ziemi porozrzucane, najczęściej pokiereszowane. Publiczność siedziała na trawie zarzygana i smutna. Niektórzy płakali.**

**Z domu wybiegła ku nam Sara, śmiesznie podrzucając nogi. Pewnie, przecież przez całe dziesięć dób kicała po kępkach...**

**Dziewczynka rzuciła mi się na szyję, a tych dwoje mądrali akurat puściło mnie, więc padłem znowu.**

**–Do widzenia, Ivan – powiedziała Sara. – Jesteś wspaniały. Wszystko zrobię i wrócę. Na razie! Pilnuj mamy!**

**Cmoknąwszy w policzek, zlała ze mnie i uciekła.**

**–Billy! Bądź przyjacielem, pomóż jej się załadować i wytłumacz, jak ma stroić „dychawicę”.**

**–Wykonane, dowódco. Szkoda, że załatwiłeś jej bransoletkę.**

**Wypaliłeś wszystko na milę dokoła.**

**Jęknąłem. Było mi wstyd.**

**Clarissa przykucnęła obok mnie, skrzyżowała nogi i ułożyła gumostrzał na kolanach. Zdjęła czapkę, otarła czoło rękawem.**

**–Co ja zrobiłem? – zapytałem szeptem, patrząc w niebo.**

**–Ogólnie, Ivan, poprosiłeś, żeby się wszyscy grzecznie zachowywali. Bo jesteś dobry. A jeśli będziemy się zachowywali niewłaściwie, to się rozzłościś.**

**–To wszystko?!**

**–To wersja skrócona.**

**–A bardziej szczegółowo?**

**–No... Chcesz, to ci powiem, co zrobił z tobą kosmos. O tym, jak źle się czujesz z tego powodu, że Obcy nie dopuszczają Ziemi do gwiazd. I jak kochałeś swoją mamę. I dlaczego zakochałeś się w Verze. Co wiesz i co myślisz o nas. Ivan, my teraz też ciebie znamy! Nie zmusiłeś nas, żebyśmy się tobie podporządkowali. Ty nas przekonałeś. W ułamku sekundy. Bardzo się przejęliśmy i tobą, i całą ludzkością. Świnia z ciebie, Ivan...**

**Znowu podniosłem się na czworakach. Potem na kolana. Wyprostowałem się. I zacząłem kuśtykać w kierunku domu. Rozpierało mnie od wnętrza, chwilami czułem, że pękne.**

**–Mam nadzieję, że nie zabiłam tego waszego milutkiego blondyneczka**

**–powiedziała niezbyt wyraźnie Clarissa.**

**Szedłem, a ludzie odpełzali z mojej drogi. Nie wszyscy. Szeryf na przykład uśmiechnął się do mnie. A ktoś inny pomachał mi ręką. Niektórzy wstawali, otrząsali się, podchodzili i poklepywali po ramieniu, mamrotali niezrozumiale coś krzepiącego. Potem znalazłem się w środku tłumu – początkowo niewielkiego, potem coraz gęstszego i gęstszego... Przestałem w tym momencie powstrzymywać wewnętrzne ciśnienie, burknąłem „przepraszam” i pękłem.**

**I upadłem znowu.**

Ocknąłem się na werandzie, w plecionym fotelu, miałem w ręku kubek z gorącą słodką kawą, a obok mnie siedział uśmiechnięty Billy.

–Lepiej? – zapytał. – Pomogłem ci to zrzucić. Teraz chyba już jesteś w normie. Ściągnąłeś na siebie, przyjacielu mój, Wanja, żeby cię pogięło, całe uderzenie Mastersa i Pawlowskiego. A potem zassałeś całą ich rezerwę. Dziwne, że obaj nie zdechli. Tym bardziej że Clarissa wpakowała w Pawlowskiego niemal pół magazynka. Przypomina teraz chodzącego siniaka. Dokładniej: leżącego.

Zrozumiałem już, skąd się wzięła moja ekstremalna moc -przekierowałem atak. Puściłem go, że tak powiem, na szlachetny cel. Dobrze, że nie odleciałem w kosmos. Fajnie bym wyglądał bez skafandra gdzieś na środku Mlecznej Drogi. Zresztą w skafandrze też.

–Dziękuję za wsparcie, Billy. Kiedy ściągałem atak na siebie, myślałem, że ty zrobisz resztę.

–Wiesz co, dowódco, ja też tak myślałem! Ale zdążyłem tylko przydusić ochronę kalosza, żeby ze strachu nie zaczęła grzać do ludzi. A potem to już ty.

Przyjrzałem się partnerowi. Coś było nie tak z jego wyglądem.

–Zerwał ci się łańcuszek? – zrozumiałem wreszcie, czego mu brakowało.

–Oddałem kamień Sarze na pamiątkę. Według mnie wyszło to bardzo symbolicznie. Czarny mag William Mbabete podarował swój magiczny dynks malutkiej białej wiedźmie. Ładne, żeby cię pogięło!

Poderwałem się, wylewając kawę. Zbiegłem z werandy. Cienia nad głową nie było. Zniknęła srebrzysta burta. Mała odleciała.

–Wybacz, Wanja, ale ty się tu wałęsałeś dobre dwadzieścia minut. Sara nie mogła czekać. Zbliżyła się cały tłum polujących na jej duszę, oby się dieslem zachłysłeni. Wiem, że ty byś i im... dał pokumać. Ale tak działając, można sobie krzywdę zrobić.

Popatrzyłem na czerwoną „teczkę”. Dziwne, ale wcale mi nie było wstyd, że moja ukochana maszynka ma pewnie przepalone wszystkie ogniwa. Tylko jak mogłem uwolnić Sarę bez pożegnania?!

–Nie smuć się, dowódco. Ona przecież dała ci buzi na do widzenia. I jestem pewien, że dziewczucha wróci. A my będziemy czekali.

–Jak tu cicho – powiedziałem. – W końcu jest cicho.

–A co ma hałasować, dowódco, żeby cię pogięło? Rozniosłeś tu wszystko.

Jakby na złość, w niebie rozległ się potężny ryk. Nad polem przeleciała niebieska corvetta. Wykreśliła pętlę i wychodząc z niej – wylądowała. Cmok! I stoi na podwoziu jak przyssana.

Co prawda po sekundzie przechyliła się na bok, ponieważ wydech wygrzebał pod nią niezłą bruzdę.

–Odebrałbym kołesinowi prawo jazdy – ocenił Billy. – I przyłał na goły tyłek.

–Spróbuj – usłyszałem naraz głos szeryfa.

Jak się tu podkradł? Nie zauważyłem. Moje nadnaturalne zdolności odmawiały współpracy. Potrzebowałem tygodnia odpoczynku, a przedtem mocnego, długiego snu.

–Coś z nami nietęgo, żeby cię pogięło – powiedział mój partner. – To nie Greg.

Z corvetty wylazł stary Weiland.

–Coście zrobili z moją własnością, gamonie?! – wrzasnął.

Jak nie urok to sraczka. Ja na wszelki wypadek usiadłem z powrotem w fotelu. Bo jeszcze znowu bym upadł, a to by nie wyglądało ładnie. Bez szacunku dla miliardera, któremu coś niechcący rąbnęliśmy.

–Z całym szacunkiem, panie Weiland, sir... – zaczął glina.

–Wyluzuj, Gibbson. – Stary kowboj wszedł na werandę. – I zmień spodnie.

Czołem, chłopaki. Wszystko widziałem. Jesteście hero, niech was licho! Sara znaczy się odleciała... A gdzie pani Sayer?

Billy wskazał palcem za siebie. Weiland delikatnie zapukał we framugę i zniknął we wnętrzu.

–Jeszcze ktoś – powiedział szeryf, patrząc w dal spod dłoni ułożonej w daszek. Czapkę widocznie gdzieś zgubił. A co do spodni, to Weiland miał rację.

Tym razem nad głową nie było ryku i charczenia. Z głuchym, mocnym hałasem przed domem opadł perłowy „Podwójny Gryf”. Otworzyły się drzwi i na zbrukaną ziemię zstąpił królewską stopą człowiek w pozłacanej todze. Przenikliwie niebieskie oczy, siwa rozwiana grzywa i wspaniała asyryjska broda. Piękny mężczyzna.

Za nim wyturlał się jak kulka osobnik grubiotki i okrągłutki.

–Są problemy, oficerze? – zapytał, podejrzliwie oglądając naszego glinę od stóp do głów.

–Żadnych – powiedział szeryf.

Podeszła Clarissa i jakby niechcący wycelowała w grubaska lufę gumostrzału.

Tłuścioch delikatnie, jednym paluszkiem przesunął lufę.

Wyzłocony facet przyjrzał się leniwie Gibbsonowi, z zainteresowaniem Clarissie i znowu skierował wzrok na mnie oraz Billy'ego.

–Aha! – wykrzyknął Weiland, pojawiając się na werandzie. – No to witamy, witamy... Bardzom rad ze spotkania.

–Johnson Bar-Mattay – przedstawił się wyzłocony, wyciągając do niego dłoń gęsto ozdobioną pierścieniami i sygnetami. – Po prostu Johnson, bo może pan sobie język połamać. Wyrazy szacunku, panie Weiland. I proszę pozwolić, że przedstawię panu Liebermanna.

–Ach, to jest ten Liebermann?

–Ten. Cały na pańskie usługi. Niemal mnie zemdlilo z powodu tej wymiany grzeczności. Na

szczęście miliarder, wierny swojej postawie, od razu skierował rozmowę na odpowiednie tory.

–Rozmawiajmy otwarcie, pułkowniku – powiedział. – To, co tu urządzili pańscy podwładni, nie da się opisać żadnymi słowy. Miasto zostało moralnie i fizycznie sponiewierane, życie setek ludzi było zagrożone. Proszę popatrzeć choćby na szeryfa, w jakim on znajduje się stanie. Nie wstyd panu? Ale ja, jako przewodniczący rady nadzorczej, gotów jestem przymknąć oczy na ten tu burdel. Natomiast inną sprawą jest moja prywatna własność. Usilnie proszę ZSZ o zaniechanie wszelkich zakusów na nią.

Johnson wyraziście popatrzył na mnie ponad ramieniem Weilanda. W odpowiedzi pokazałem środkowy palec. Stary kowboj, odwróciwszy się, zobaczył mój gest i skinął zadowolony głową.

–Akurat do tych dwóch, pułkowniku, nie mamy pretensji. Wręcz przeciwnie, Ivana i Williama należałoby nagrodzić... Więc jak będzie z moim urządzeniem? Zostawcie je w spokoju?

–A od kiedy ono jest pańskie?

–Od czasu, jak zostało znalezione na mojej ziemi. Nasz szef popatrzył na Liebermanna. Ten zrobił wielkie oczy.

–Rok temu odkupiłem od miasta to bagno – oświadczył Weiland. Nie wytrzymał i dodał: – Mokra i śmierdząca. I tak nikomu nie było potrzebne. A dla mnie to pamiątka po ukochanym dziadku.

Nie wiem, wymyślił tego dziadka czy nie, ale na to, że kupił to bagno dobę albo i kilka godzin temu, mógłbym postawić moją „teczkę”.

–Dziadek pół życia spędził na kopaniu torfu. Starutki, słaby, obsypany wrzodami niańczył mnie i opowiadał o ciężkim losie proletariusza – szydził miliarder. – Te wieczorne rozmowy pod dziurawym dachem mojego ubogiego domu przy mętnym świetle naftowej lampy... Kurde, po co to ja tak kłamię? W sumie to właśnie dziadek przekonał mnie, że powinienem iść na studia. Wszystko mu zawdzięczam. Tak więc na znak uznania dla niego kupiłem bagno. Zamierzam urządzić tam skromne centrum pamięci.

–Panie Weiland – rzekł podobnym tonem Johnson. – Nie znajduję słów. I pokłonił się w pas.

–Dziękuję, jestem wzruszony. Czy mam to przełożyć na angielski? – zapytał stary kowboj. – Od miasta byście ten dynks wyszarpali. Ode mnie nie.

–A właśnie, gdzie jest aktualnie obiekt?

–Sara go wzięła, żeby sobie polatać. Zna pan Sarę?

–Na jakiej podstawie? – poderwał się Liebermann.

–Na podstawie upoważnienia, które wręczyłem jej matce jako opiekunce dziewczynki. Powiedziane tam jest, że czynię Sarę dozgonnym opiekunem tego dyn... obiektu. I ma prawo dysponować nim jak chce.

–Jest za młoda, żeby kierować środkami transportu!

–Liebermann – upomniał go Johnson. – Zamknij się. Idź tam, do tego kalosza, oszacuj szkody i znajdź winnego. Sugeruję: ten piździelec Masters już od



dawna sam się o to prosił.

Adwokat zachrumkał i posłusznie poszedł na pole.

–Szeryfie i pani, miss... Cieszę się, że mogłem państwa poznać.

Glina i Barbie wykonali zgrabne zwroty i oddalili się za dom. Clarissa pomachała do Billy'ego, ten posłał jej dłonią buziaka.

–Tu też już zdążył... – mruknął Johnson, Który-Wszystko-Wie. – Czyli tak, panie Weiland... Według mnie wszystko jest w porządku. Jeśli nie ma pan nic przeciwko, to zostanę tu jakiś czas. Za jakiś kwadrans na miasto runie kilka służb specjalnych, a pan, jak sądzę, nie chce się z nimi tarmosić, prawda? CNN już zawróciłem i tych też zawrócę. To niewielka, że tak powiem, przysługa z wdzięczności za wyrozumiałość i współpracę. Teraz co do Sary: ZSZ nie będzie rościło do niej żadnych pretensji, wręcz przeciwnie, jesteśmy gotowi jej bronić. W zamian za wspólne prace badawcze. Zapewniam, że ona sama będzie zadowolona.

Stary miliarder popatrzył w niebo.

–Sądzi pan, że wróci, pułkowniku?

–Mam nadzieję. Marzyłem o czymś takim przez całe życie. Co mi jeszcze zostało poza nadzieją? I proszę nie nazywać mnie pułkownikiem. Po prostu Johnson. A przy okazji, „Kurierska Służba Johnsona” zawsze jest do pańskich usług.

–Coś pan posmutniał, Johnson.

–Zmęczony jestem. Miałem kilka trudnych dni. Do widzenia, panie Weiland.

Przysięgam, że więcej problemów nie będzie.

–Proszę nagrodzić chłopaków – przypomniał mu o nas stary i potupał do swojej przechylonej corvetty.

–Obejdzie się bez nagród – powiedział Johnson, kiedy kowboj odszedł nieco dalej. – Pieniążki lubią, jak jeden je liczy.

Wszedł na werandę. Nie wstaliśmy mu na spotkanie.

–Teraz tak, ty i ty. Na razie odpoczywajcie, a w poniedziałek oczekujcie was obu w biurze. Praca czeka. I nie wpakujcie się w coś znowu. Nie wiadomo, co jeszcze wylezie z bagna Weilanda.

Dziwne, ale chęć wyskubania Johnsonowi brody, jeszcze chwilę temu nader mocna, nagle zanikła.

–Chyba załatwiłem służbowy wóz – przyznałem się.

–Wcale nie jesteś taki as, Wanja. Twojej „teczce” nic się nie stało. I dlaczego mnie to nie dziwi, co?... Całkowicie sprawna maszyna rozładowana niemal do zera i bez awaryjnej „dychawicy”, o ile dobrze myślę. Ale kalosza zabiłeś na śmierć. I myśliwce. Dobrze, że nie są na naszym stanie. Ciebie, Wanja, powinienem wysłać na produkcję. Zamiast robota spawalniczego byś pracował... Billy! Widzę, że straciłeś swój Wszystkowidzący Kamień? Niech tam, mam dziś dobry dzień. Przyjedziesz do biura, poszperasz w mojej kolekcji, może jakiś odłamek zainteresuje się tobą. Bo to by było nieładnie: mag i bez amuletu. Nie próbuj pokazywać tu dziewczuchom sztuczek bez artefaktów! A właśnie, co to za zarąbista ślicznotka tu była, hę? Ta w mundurze? Chłopaki, nie żeńcie mi się tu, nie róbcie mi tego!

–Pułkownik Bar-Mattay – rzekł naraz superoficjalnie Billy. – Kapitan Mbabete prosi o pozwolenie zadania pytania. Dlaczego pan wydał rozkaz ustnie, a potwierdzenia nie przysłał?

Ryknęło, zaburczało, huknęło. Niebieska corvetta, zdzierając sobie lakier, wydarła się z wykrotu, wykonała ostry wiraż – ogłuchliśmy na chwilę – i wyrwała do góry.

–Niezły dziadek jest – oszacował go Johnson. – Hm, o czym myśmy, Billy? Co to był za rozkaz? Muszę popatrzeć, nie pamiętam. Coś ci się pomyliło, kapitanie. Jaki to niby miał być rozkaz?...

–Czyli jesteście w rezerwie?

–Ależ wszyscy jesteście w rezerwie! Ty w rezerwie, ja w rezerwie...

„Kiedy rezerwa szła do cywila, niejedna panna płakała” – przydałoby się zanucić, ale byłem na to zbyt zmęczony.

–No to ciągnij diesla, Johnson!!! – krzyknął za to mój świeżutki partner. – Wał ci w zad! I galon piany w ryj dłubany! I jenot kanadyjski, przejechany przez czołg rosyjski, zgnięty i śmierdzący na twój frak od złota kapiący!

–Fu-uj... – Boss pomachał ręką przed twarzą. – Przyjdiesz do pracy w poniedziałek?

–Tak, żeby cię pogięło, tak!

–Po co, Johnson? – zapytałem. – Odpowiedz, po cholere ci były te szalone wyścigi? I po cholere urządziłeś nasze starcie z Masterem?

Szef wczepił się we mnie swoimi błękitnymi oczami, pomrukał długimi rzęsami i powiedział:

–Rzeczywiście jesteś aktualnie do niczego, Wanja. Musisz wypocząć. Chodzi o dziewczynki. Małe dziewczynki. Za bardzo się nimi przejmujesz. Pewnie niezrealizowane ojcostwo. To nic, sam splodzisz, skumasz. Nawiasem mówiąc, nie zapomnij o Mary-Ann Roads. Jak rozumiem, to właśnie ona nawarzyła nam takiej smacznej kaszki. Jak już dojdiesz ze sobą do ładu, zaprosz Roadsów w gościnę na jeden dzionek i pomóż tej małej uwolnić się od strachu. Tobie się uda. Zgoda? No to świetnie. Do zobaczenia w poniedziałek, panowie! Idę kiwać konkurentów. Odwrócił się do „Gryfa”. Billy wstał.

–Przejdę do miasta albo co – burknął, prostując kolana. – Pieszko. Zabiorę maszynę z parkingu, wezmę prysznic, do Clarissy zajrzę, zapytam, jak się sprawy mają... Wiesz, Wanja, co do „starcia” to nie miałeś racji. Johnson po prostu nas poganiał. Raczej nie przypuszczał, że Masters urządzi tu lokalny konflikt.

–Yhy, po prostu chciał wypchnąć Sarę z Ziemi bez zwłoki i bez względu na cenę. Nas z kolei mocno związać z dziewczynką. Przecież jesteście jej obrońcami. A to... – pokazałem ręką pobojuwisko – nic takiego, koszt własny, co nie? Wszystko miał wyliczone. Nawet zjawiał się wcześniej na bagnie i zostawił strzałki na pniu. Żeby tam złączyły się linie kilku losów, a jednego z nas przy tym pniu pokręciło! A myśmy uwierzyli, że to naprawdę unikatowa misja! Mądrutki Johnson! Jednak tego pobojuwiska mu nie wybaczę. Mogli tu zginąć ludzie. Dużo ludzi. I my też. I Clarissa

cudem nie załapała się na kulę od ochrony. Odpowiedz mi, Billy, czarny magu bez dynksa, czy to wszystko było tego warte?

–Wania! – rozległo się w drzwiach. – Jesteś zmęczony. Chodź spać. Posłałam ci już. Czy najpierw chcesz coś zjeść?

Mój partner podrapał się po głowie.

–Nasza misja naprawdę była wyjątkowa, żeby cię pogięło – powiedział. – I mam nadzieję, że cały ten ambaras był tego wart. A ty... odpoczywaj. I nie dręcz się już pytaniami, na które nie ma odpowiedzi.

Missis Sayer, do widzenia, do jutra.

–Bądź możliwie wcześniej – przykazała mu Vera. – Jeśli Wania będzie mógł prowadzić wóz, to wyjedziemy stąd przed obiadem. Nie mamy tu już nic do roboty. A Sara, gdy wróci, od razu wyczuje, gdzie jesteśmy. Mam rację, Wania?

Przycupnęła obok i przytuliła czoło do mojego policzka.

Billy zaczerpnął powietrza, ale go wyprzedziłem:

–Ciągnij diesla! – powiedziałem.

Jak wielu dorosłych mężczyzn Billy wstydzi się, że jest sentymentalny. Stąd jego prostackie kpiny i szyderstwa. Ale jako mój partner dobrze wie, jak tego nie znoszę.

Wiera Kamsza

urodzona we Lwowie, tam też dorastała. Po ukończeniu miejscowej politechniki w 1988 roku przeniosła się do Sankt Petersburga. W 1991 roku zaczęła zajmować się dziennikarstwem. Mając kilkuletnią akredytację w prawodawczych instancjach Sankt Petersburga, dobrze poznała drugą stronę życia politycznego współczesnej Rosji. Obecnie współpracuje z szeregiem dużych rosyjskich gazet oraz czasopism, specjalizując się w wywiadach z działaczami kultury i w analizie historycznej. Pierwsza książka Wierę Kamszy, *Tiomnaja zwiezda*, napisana w stylu klasycznej fantazy z elementami parodii, wyszła w 2001 roku i od razu zwróciła na autorkę uwagę czytelników. Powieść ta stała się początkiem cyklu *Chroniki Arcii* opartego na wydarzeniach z angielskiej Wojny Róż. W 2004 roku Wiera Kamsza opublikowała *Czerwień na czerwieni* (wyd. pol.: Wyd. Dolnośląskie, 2006), którą otworzyła nowy cykl: *Odblaski Eterny*. W Rosji wyszły już cztery książki cyklu, który można określić jako historyczną fantazy, a szczególną uwagę zwraca drobiazgowo wykorzystanie wszystkich realiów wymyślonego świata. Krytycy często nazywają autorkę kontynuatorką tradycji Dumasa i Sienkiewicza. Wiera Kamsza zresztą nie kryje, że Henryk Sienkiewicz jest od zawsze jednym z jej ulubionych autorów. Oprócz powieści autorka napisała szereg opowiadań, które ukazywały się i ukazują w zbiorach fantazy, także w I tomie naszego almanachu: *Mroczny Bies* (Fabryka Słów, 2006).

Prezentowana nowela *Płomień Eterny* jest wprowadzeniem do cyklu *Odblaski Eterny*.

Wiera Katusza

Płomień Eterny

Przekład

Ewa i Eugeniusz Dębscy

## Część I

### *Pułapka Losu*

*Unosząc ręce ucięte i wianki kwiatów na fali, posępne morze złorzeczeń huczało, nie wiem gdzie, w dali. A niebo było ciosami w porywisty poszum lasu. I ciągle krzyczały światła pośród wysokich tarasów.*

*Federico Garcia Lorca\**

#### 1. Mistrz

–Mój epiarcho\*, wyciągnij rękę z pędzlem i zauważ, jak się mają do siebie części twarzy, a potem odmierz taki sam stosunek na rysunku. – Diamni Koro, mocno zbudowany młody człowiek, z aprobatą uśmiechnął się do szczuplutkiego młodzieńca, niemal wyrostka jeszcze. – To nie jest trudne.

–Nietrudne, ale mnie się to nigdy nie uda. – Młodzieniec starannie odłożył pędzel. – W ogóle nic mi nie wychodzi. W niczym i z nikim. Nawet nie mogę zmusić ciebie, żebyś mi mówił po imieniu.

–Wybacz, Ernani. – Malarz westchnął ze skruczą i nagle wybuchnął śmiechem, a jego pospolite na pierwszy rzut oka oblicze od razu stało się niezwykle ujmujące. – Wybacz, ale jestem prostym człowiekiem, a ty epiarchą z Domu Rakanów. Przez coś takiego, wiesz, nie jest łatwo przeskoczyć.

–Rozumiem – skinął głową Ernani – w innej rodzinie, tam moja nieudolność nie biłaby tak po oczach. Dobrze, że jestem młodszy, byłbym obrzydliwym anaksem\*.

Diamni nie odpowiedział. Oczywiście, Ernani Rakan nigdy nie stałby się wojownikiem, z jego chorobą było to po prostu niemożliwe, ale dobry anaksa wcale nie musi własnoręcznie machać mieczem. Pod rządami dobrego anaksa nie ma wojen, powstań i ludzie cenią nie broń, a rzeźby i obrazy. Szczerze mówiąc, najjaśniejszy uczeń podobał się nauczycielowi znacznie bardziej niż jego bracia. Szkoda, że Ernani nigdy nie będzie malował lepiej niż znośnie, ponieważ dla biedaka malarstwo jest tylko

sposobem wypełnienia nudy wymuszonego wolnego czasu.

Anaks Anesti, który niedawno zginął podczas polowania, zlecił naukę malowania dlatego, że wielki Lentiro Sollega od dziecka zmagął się z tą samą chorobą, co epiarcha. Sollega pokonał niemoc, ale bycie kaleką to jeszcze za mało, by stać się wielkim mistrzem – trzeba, abyś cały świat skupił na koniuszku twojego pędzla. Tymczasem Ernaniemu brakuje skupienia, bo ciągnie go do wielkiego świata, który się od niego odwraca. Marzy o militarnych wyczynach, polowaniach, tańcach, pięknych dziewczynach. Oczywiście, młodzieńcowi nie grozi samotność, ale jest on wystarczająco mądry, by wiedzieć, że cenią go jako brata anaksa, a nie jako jego samego.

–Mój epiarcho... Ernani, wracaj z niebios na ziemię, wkrótce się ściemni, a przy świecach cienie kładą się zupełnie inaczej!

–A czy to jakaś różnica, jak się kładą!

W dużych szarych oczach błysnęła iskra szaleństwa, co spowodowało, że młodzian stał się podobny do swojego braciszka Rinaldiego, żeby nie wspomnieć imienia jego przed nocą! Niestety, Ernani wielbił epiarchę-następcę

tronu. Właśnie takim beztroskim, wesołym i wybuchowym powinien być – jego zdaniem – prawdziwy mężczyzna.

Na nieszczęście Rinaldi był dobrym bratem, dobrym w tym sensie, że odwiedzał kalekę częściej niż zajęty sprawami państwowymi Eridani. Inna sprawa, że po rozmowie o pojedynkach, polowaniach i miłosnych podbojach młodzieniec czuł się jeszcze bardziej nieszczęśliwy. Diamni kilka razy usiłował szczerze porozmawiać z Rinaldim, ale w ostatniej chwili tracił odwagę. Średni z braci Rakanów nie należał do tych, którzy będą służyć biednego pacykarza, a narażać się na grubiańskie uwagi artysta nie lubił i nie chciał.

–Ernani, jeśli chcesz nauczyć się malować...

–Wcale nie chcę – z zaskakującą złością przerwał uczeń. – Kazał mi Anesti, ale nic mi nie wychodzi! I nie wyjdzie, ponieważ nie chcę.

–Powiedz o tym braciom.

–Po co? – Uczeń zacisnął wargi. – Przyślą mi wtedy mnicha-pocieszyciela albo pisarczyka, albo geometrę. Albo jeszcze kogoś innego, byleby mnie czymś zająć, i będzie jeszcze gorzej. Z tobą mogę przynajmniej nie kłamać. Ale lepiej będzie, jeśli to ty będziesz malował, a ja tylko się przyglądał.

–Ernani, płacą mi nie za to, bym malował.

–Płacą ci za to, żebym nie łąził po ścianach. – Młody epiarcha odrzucił z czoła złocistokasztanowy lok. – I to ci dobrze wychodzi. Z tobą jest mi lżej niż bez ciebie i mam oczy. Jesteś urodzonym malarzem, ale nie lubisz życia na dworze.

–Tak sądzisz?

–Tak, gdyby było inaczej, to ludzie na twoich obrazkach byłiby lepsi, a tak... Kiedy patrzę na ich portrety, zaczynam się bać... nawet Eridaniego. Z Beatrice, która przecież nawet muchy nie skrzywdzi, zrobiłeś jakąś hienę, a z Rinaldiego leoparda.

–Twój brat naprawdę przypomina leoparda – uśmiechnął się malarz.

–Przypomina. – Ernani dotknął pojednawczo ręki Diamniego. – Co do Rinaldiego masz rację i co do starego Borrasci też, ale pozostali...

–Pozostałych poprawię. Sam nie wiem, dlaczego tak mi to wychodzi. Pewnie rzeczywiście kiepsko się czuję wśród szlachetnych.

–Po prostu jesteś bardzo dumny – pokiwał głową epiarcha – i wydaje ci się, że oni patrzą na ciebie nieżyczliwie. A przecież takiemu Rinaldiemu wszystko jedno, czyim jesteś krewniakiem. On albo kogoś lubi, albo nie lubi.

–Mnie nie lubi.

–Ty go jeszcze bardziej. A szkoda. Malarz tylko wzruszył ramionami. Rzeczywiście nie lubił Rinaldiego z

jego urodą, bezczelnością i pogardą dla wszystkiego, co dotyczy innych spraw niż jego własne. Eridani przynajmniej żyje dla Kertiany, a następca... Diamni w duchu poprosił Abweniuszy \*, by władca w końcu ożenił się i miał potomstwo, ponieważ zostawiać państwo Rinaldiemu jest rzeczą niebezpieczną, a los Anesty pokazuje, że fatum czyha na anaksov dokładnie tak samo jak i na zwykłych śmiertelników. O ile oczywiście to było fatum...

**-Kiedy Eridani się ożeni?**

–W przyszłym roku – zapewnił go epiarcha. – Jesienią. Rakanowie zawsze żenią się jesienią, ale kim jest wybranka, na razie nie wiadomo. Następnej jesieni... A następca pojawi się, w najlepszym przypadku, po kolejnym roku! Gdyby Diamniego Koro zapytano o zdanie, to poradziłby anaksowi zamknąć na ten okres piękniejsia Rinaldiego w jakiejś odległej twierdzy i kazać go pilnować setce strażników. Ale Eridani Rakan nie miał w zwyczaju radzić się malarzy.

## **2. Epiarcha**

Diamni pozbił swoje pędzle i zniknął. Szczęśliwy był ten malarz, po trzykroć szczęśliwy – ponieważ urodził się zdrowy, ponieważ do szaleństwa kochał swoje zajęcie i ponieważ nie należał do rodziny anaksów z jej tajemnicami oraz troskami. Ernani Rakan westchnął i postarał się skoncentrować na gipsowym odlewie. Doskonałe w swojej regularności oblicze z pustymi białymi oczyma niepokoiło, aż przechodziły ciarki. Dla Diamniego Astrap był tylko dobrą kopią starej rzeźby, dla Ernaniego Rakana – przypomnieniem tej starej potworności, która nadal spała w jego krwi.

Epiarcha przywołał na pomoc całą swoją wolę i zaczął rysować. Na czystej karcie stopniowo pojawiała się bezoka głowa otoczona przypominającymi żmije lokami i nagle Ernani odkrył błąd. Diamni tysiące razy tłumaczył mu, jak należy rozmieszczać rysunek, ale w wykonaniu młodego ucznia wizerunek zawsze przesunął się do górnego lewego rogu. Co powinien z tym począć – próbować poprawić, zostawić jak jest, czy zacząć od nowa? Zdecydował, że spróbuje mimo wszystko dokończyć pracę. Ślepe oczy drażniły, więc Ernani – ku własnemu zdziwieniu – najpierw narysował źrenice, a potem rzęsy. Twarz na papierze przestała być tak odpychająca i uczeń mistrza Diamniego, przygryzłszy wargi, zaczął przerabiać boga na człowieka.

–Z jakiej to radości zabrałeś się za moją osobę? – usłyszał nagle. Zaskoczony epiarcha drgnął, upuścił węgiel. Za jego ramieniem stał Rinaldi.

–Nie zauważyłem, jak wszedłeś.

–Nie dziwię się, jesteś taki pochłonięty sztuką. Nie myślałem, że to zaraźliwe, nie wyglądało, byś był gotów oddać duszę za udany obrazek.

Dziwne, na rysunku rzeczywiście widniał Rinaldi i nikt inny. Niewątpliwie rzeźbiarz tworzący Astrapa wziął za wzór któregoś z

Rakanów – kto jak nie oni ma przypominać ich nieśmiertelnych prarodziców, gdy przyjmowali ludzkie postacie.

–Hej, zamyśliłeś się. – Rinaldi pociągnął brata za ucho. – Powiedz przynajmniej, nad czym.

–Nad Nieobecnymi – przyznał się młodzieniec. – Wiesz... Rysowaliśmy gipsową głowę, potem nie wiem dlaczego przerobiłem ją na żywą i wyszło, że to ty.

–Chcesz powiedzieć, że jestem podobny do tego potwora? – Epiarcha-następca wskazał głową ustawioną na postumencie rzeźbę. – Gdyby tak było, żadna kobieta nie tylko spać ze mną, ale nawet rozmawiać by nie chciała. I w ogóle nie chce mi się wierzyć w nasze boskie pochodzenie.

–Dlaczego?

–Dlatego, że w takim przypadku nasi kochani przodkowie obeszliby się bez armii i dowódców. Nie przeczę, Rakanowie byli wielkimi zdobywcami, ale i ludźmi, a co do reszty: bajki, choć pożyteczne.

–Pierścienie Galtar, Cytadela, Labirynt – to nie bajki!

Rinaldi zamyślił się, przechyliwszy głowę na lewe ramię. Był zdrowym, silnym i oszałamiająco pięknym mężczyzną, ale groźnej wielkości i obojętności otaczającej Nieobecnego w nim nie było.

–Ci, co wszystko to zbudowali, naprawdę dysponowali mocą, o jakiej nam, dzisiaj, nawet się nie śniło – powiedział po chwili niezwykle poważnym tonem. – Anaksowie się puszą i udają następców Nieobecnych. Póki Kertiana jest silna, nie jest to trudne, ale niech tylko raz palną jakieś głupstwo i wszystko poleci w Koty Zmierzchu. Jeśli lud zrozumie, że przez dwa tysiące lat rządzi nim kłamcy, którzy mogą spalić dom, ale nie miasto, zmiecie nas jak okruchy ze stołu. I słusznie zrobi! Ty nie opuszczasz Cytadeli, a ja często bywam w mieście.

Brat zuchowato puścił oko do Ernaniego i ten poczuł, że się czerwieni.

Rinaldi zmieniał kobiety jak koszule i nie gardził wychodzeniem na poszukiwanie przygód w odzieniu prostego człowieka, w pelerynie z kapturem, który szczelnie zakrywał jego oblicze. Najstarszy z ich trójki, Eridani, usiłował utemperować następcę, ale ten tylko się śmiał i machał ręką. W końcu Rinaldi obiecał anaksowi, że nie będzie tykał żon i córek eoriuszy\*, ale ani Eridani, ani Ernani nie do końca wierzyli, że spełni tę obietnicę.

–Erno! – Rinaldi znowu się roześmiał. – Przestań myśleć o kobietach, one nie są tego warte! Ja, jak pewnie wiesz, często szlajam się po tawernach i placach. W ostatnim czasie Galtary są dosłownie zalewane przez esperatyńskich kaznodziejów.

–Esperatyści? – Młodzieniec podniósł głowę i wpatrzył się w brata. – Kim oni są?

–Zapytaj przy okazji swojego mistrza. On, jak myślę, może cię w tym oświecić.



–Rino, znowu się ze mną drażnisz. Skoro zacząłeś, kończ.

–Esperatyści to taki lud. Uważają, że nasz świat i jeszcze kupę innych ulepił ktoś, kogo nazywają Stwórcą, choć nie wyobrażam sobie, po co by mu to było. Stworzył i odszedł, ale wróci. Kiedyś. Może jutro, a może za tysiąc lat. Dobrych nagrodzi, złych ukarze. Dobrzy to, rozumie się, ci, co słuchają kaznodziejów.

–A co z Nieobecnymi?

–A to nie są bogowie, tylko demony, które przejęły władzę, gdy Stwórca się odwrócił, a potem posłyszały, że wraca, i uciekły.

–Jakaś głupota...

–Głupota – zgodził się Rinaldi – ale ludowi się podoba. Jeśli Eridani nie pokaże, kto tu rządzi, to za dziesięć lat esperatyści wezmą naszą boskość na ząb.

–Niech spróbują! Dowiedzą się, co to Moc Rakanów.

–Serio tak sądzisz? No to powiedz mi, po co ściągano starucha Borrascę z młodej żonki i wysyłano za góry i lasy na jakiegoś tam samozwańca, skoro można było wywołać Zwierza? Po co żywi się podsłuchiwczy i strażników, jeśli wystarczyłoby popatrzeć w zwierciadło albo spalić na tacy pęczek ziela?

–Rakanowie mogą używać Mocy tylko wtedy, gdy idzie o życie lub śmierć Kertiany!

–Odchodzący w Zmierzch! – Rinaldi chwycił brata na rękę, przeniósł przez cały pokój, posadził na szerokim parapecie i usiadł obok. – Myślisz, że anakswowie przejmowałiby się takim głupstwem? Gdyby naprawdę mieli tak potężną władzę, uruchamialiby Moc, czy trzeba czy nie, a mnisi i pisarze tłumaczyliby za każdym razem, że bez tego Kertiana zginęłaby, wymarła, rozsypała się w pył i spłonęła fioletowym ogniem.

–Rino – młodszy epiarcha patrzył na starszego z przerażeniem i zachwytem – przecież nie będziesz zaprzeczał istnieniu Pierwotnych Stworów, Pułapek Losu, anaksańskich insygniów, znaków Domów?

–Nie, oczywiście że nie, ale jeśli masz kota, nie należy robić z niego leoparda. Coś tam magia na pewno może, eoriusze rzeczywiście mają do niej większe zdolności niż prości ludzie. Lecz choć Rakanowie są najsilniejszymi z eoriuszy, wojny wygrywa się mieczami, a świat podbija złotem. Nie należy uważać siebie za silniejszego, niż się jest naprawdę.

–Powiedz to Eridanemu – roześmiał się Ernani.

–Po co? Na widok puszenia się naszego brata i tak mnie szczęki bolą. Jak będzie trzeba, rzuci nas na pożarcie Pierwotnym Stworom czy kto tam naprawdę siedzi w katakumbach, ale nie przyzna, że jego wspaniałe relikwie są tylko przedmiotami, niech nawet i magicznymi, ale żadnej boskości mu nie przydają.

Nasz anaks zbyt poważnie odnosi się do przekazanych mu przez przodków zabawek.

–Ciągłe jeszcze jesteś zły?

–Jestem – przytaknął Rinaldi. – Majtam się w Galtarach, podczas gdy inni walczą! Ja bym za to Borrascę i Eridaniego zabił. Bo oni, proszę ciebie, wyobrazili sobie, że następcę należy trzymać w kufrze. Można pomyśleć, że Eridani jest eunuchem, a ja ostatnim z rodu.

–No, póki Erio się nie ożeni, nie powinieneś ryzykować.

–Dzięki ci, bracie. Ty jesteś prawdziwym Rakanem. Kiedy pojawią się następcy, będę już mógł pozwolić się zabić, ale nie wcześniej. A jeśli mi coś na głowę spadnie albo czyjś oszalały mąż mnie otruje, to co?

–Przecież nie wierzysz w fatum.

–Nie wierzę. Bo co to za podły obyczaj wszystkich przedwcześnie grzebać? Dlaczego mielibyśmy wszyscy trzej nagle umrzeć? A jeśli nawet umrzemy, to co nam do tego, co będzie potem? A niech nawet koniec świata!

### **3. Mistrz**

Gdy Diamni Koro przestąpił próg mozaikowego domku w Mieście Wiatru, było jeszcze wcześniej. Wielki Lentiro Sollega, ciemnowłosa mężczyzna około pięćdziesiątki, w zamyśleniu przyglądał się szkicowi przedstawiającemu czterech wspaniałych mężów w lśniącym rynsztunku i rozwianych pelerynach.

–Co o tym myślisz? – podał szkic swemu dawnemu uczniowi.

–Niezła robota.

–Właśnie, niezła. Z Wagniki wyjdzie dobry rzemieślnik, ale mistrzem nigdy nie będzie. Nigdy. Czy coś cię martwi?

–Tak, mistrzu. Jestem złym nauczycielem, zawsze to wiedziałem. Chcę malować, a nie siedzieć w Cytadeli z epiarchą, którego kompletnie nie obchodzi malarstwo. Pomyliłeś się co do mnie...

–Raczej nie. – Lentiro Sollega uśmiechnął się szelmowsko. – Chłopiec nie chce malować, ma prawo. I kto powiedział, że posłałem cię do Ernaniego Rakana, byś go uczył malarstwa? Posłałem cię, Diamni, byś go uczył życia. Bo jego... – słynny malarz pomachał przed nosem Diamniego nieszczęsnym szkicem ucznia -...poślę co najwyżej na targowisko po placki.

–A co, zepsuł się piec? – W głosie Diamniego rozbrzmiał niepokój. – To ja zaraz skoczę...

–Uspokój się – Lentiro z wyrzutem pokręcił głową. – I nie kręć się jak kwoka. Z piecem wszystko dobrze.

–No to po co iść po placki?

–Właśnie, że nie trzeba. Ciągłe brak ci poczucia humoru. Nie można być przesadnie poważnym, o ile, rzecz jasna, nie jesteś anaksem czy mnichem-abweniatem\*. Czyli co, chcesz zrezygnować z lekcji?

–Tak, ale Ernani... Prosi, żebym został, ale nie chce malować.

–No to zostań i maluj sam. Lubisz Rakanów?

–Eridaniego widziałem z bliska tylko kilka razy. Wygląda na władczy, silnego i bardzo zmęczonego. Wydaje mi się, że anaksa jest człowiekiem sprawiedliwym, bardzo poważnie traktującym swoje obowiązki. Rinaldi jest brutalny, lubieżny, lekkomyślny i okrutny. Ernani zaś to bardzo miły młodzian, niestety zakochany w swoim narwanym braciszku.

–I ci ludzie są tarczą Kertiany na przełomie epok. – Słynny malarz potarł nasadę nosa. – Miłośnik prawa, trzpiot i kaleka. Może to być zarówno bardzo dobre, jak i bardzo złe. Musisz ich rysować, malować aż do ogłupienia. Modele są głupi i aroganccy, miałeś szczęście znaleźć się w centrum prawdziwych namiętności. W Cytadeli powinno mieszać się wszystko: zdrada, wierność, chuć, cnota, dobro, zło, piękno, brzydota... Tak, Diamni, miałeś szczęście! Chciałbym móc poobserwować anaksa, jego braci, wysokich eoriuszy, strażników, sługi, mnichów. Jeśli powierzą mi zdobienie nowej świątyni, będę potrzebował twoich szkiców. Nawet tych, które uznasz za nieudane.

–Mistrzu... Skąd wiesz, co mi się nie podoba? Prawdę ludzie gadają, że Lentiro Sollega jest jasnowidzem!

–Nie, tylko siedzącym w zamknięciu. Zasuń firany i odsłoń płótno. Chcę poznać twoją opinię.

–To... To jest to?!

–Możliwe... Jeszcze nie jestem pewien. Jesteś pierwszy, komu to pokazuję.

On jest pierwszy! Pierwszy! Diamni z bijącym sercem rozsunął szare płócienne zasłony. Ten obraz mistrz zaczął półtora roku temu i stał się on jego życiem. O czym by nie mówił Lentiro, co by nie robił, myślał o

swoim dziecku, i oto dziś zdecydował się pokazać je uczniowi, przekonać się, że powiedział dokładnie to, co chciał.

Młody malarz w myślach policzył do czterdziestu, podniósł wzrok i napotkał spojrzenie Nieobecnych Bogów, właściwie – Odchodzących. Ale jakże różnili się oni od po tysiąckroć powtarzanych grup zdobiących świątynie i bogate domy, jakże bezmyślną okazała się próba Wagniki przekazania wielkości i mocy poprzez napuszony pozy i bijące w oczy lśnienie. Lentiro postąpił inaczej, jak zresztą zawsze!

Czterech jeszcze niestarych mężczyzn stało na szczycie góry i spoglądało w dół. Żegnali się, odchodzili na zawsze, zostawiając to, co było im drogie. Tak musiało być, to był ich obowiązek i ich los, ale jakże cierpieli, odrywając się od tego, co tworzyło sens ich istnienia.

Lentiro nie zgrzeszył przeciwko kanonowi, obdarzając Nieobecnych wszystkimi tradycyjnymi atrybutami i powierzchownością kertiańskich eoriusz z odpowiednich Domów. Astrap był wysoki, szczupły, złotowłosy i brązowooki, u jego stóp leżał leopard, a za plecami mieniła się purpurowa peleryna ze złotymi błyskawicami. Na ramieniu Anema siedziała jaskółka, biel jej skrzydeł niemal oślepiła na tle czarnej grzywy pana Wiatrów. Obok znieruchomiał Władca Skąły – Lit. W jasnoszarych oczach Odchodzącego widniała męka i beznadzieja, silna dłoń bezmyślnie zacisnęła się na obroży ogromnego psa, ciemnobłond włosy plątał wiejący w twarz wiatr. Ostatni z braci, Władca Fali – Und, odsunął się od pozostałych i stał na samym skraju skały. Błada twarz obramowana kasztanowymi lokami, duże zielone oczy, zagadkowe i głębokie jak samo morze. Und wyglądał na kompletnie spokojnego i nawet na jego ustach gościł uśmiech, ale mistrzowi Lentiro udało się oddać ogromny ból

rozdzierający serce boga. Ból nie do wytrzymania nawet w porównaniu z tym, jaki odczuwali jego bracia.

–Przecież jednak zostawił ją – cicho powiedział Diamni. – Zostawił, mimo że pokochał z całej duszy. Mnisi nie wybaczą ci, mistrzu, tego obrazu.

–A niech ich! – machnął ręką Sollega. – Tylko dlaczego ty zaliczyłeś mnie do heretyków? Pokazałem wszystko, jak powinien to zrobić prawdziwy abweniat.

–Mistrz kręci. – Koro, dotąd sparaliżowany zachwytem, otrząsnął się nieco i uśmiechnął. – I znakomicie wie, co robi. Trzech żegna się z Kertianą, czwarty ze swą miłością, którą zabiera ze sobą w wieczność. Trzej mają nadzieję na powrót, czwarty wie, że jeśli odejdzie, to wracać nie będzie dokąd. Trzech spełnia swój dług, czwarty zdrazca. Zdradza, odchodząc, i zdradzi, jeśli zostanie. I mimo wszystko – odchodzi...

–Tak – skinął głową Sollega – wszystko właściwie zrozumiałeś. Odszedł, ona została i nikt nie wie, czy mogła umrzeć, czy miłość boga podarowała jej wieczny ból. Jej ślady zatarty się, a jej łzy wyschły. Wiadomo, że nie mogła urodzić Undowi dziecka, i musiał, ulegając naleganiom braci, musiał wziąć inną kobietę, od której właśnie począł się Dom Fali. Namalowałem Odchodzących, a jeśli jeszcze zdołam namalować Pozostawioną, to mój dług w tym świecie zostanie spełniony.

–Nie mów tak!

–Dlaczego? Każdy z nas przychodzi na ziemię po coś, po prostu wielu się

nad tym nie zastanawia i przez całe życie płyną z prądem. – W oczach artysty błysnęła chytrość. – Czyli podoba ci się?

–Mistrzu! Jeszcze pytasz?

–Oczywiście, że pytam. Jestem próżny jak wszyscy malarze, po prostu niektórzy uważają, że należy to ukrywać. Myślę, że zasłużyliśmy, aby wypić po dzbanku dobrego wina, tylko całe nieszczęście w tym, że z łaski tego wstrętnego lekarza nie trzymam w domu ani kropli. Uciekam od pokusy, wiesz, ale dziś mi wolno wszystko. Więcej: co tam wolno, trzeba! Krótko rzecz ujmując, uczniu: pójdiesz do najlepszej tawerny i zdobędziesz tam najlepsze wino, zapalimy świecie i urządzimy sobie święto.

Diamni rozpląnął się w beztroskim uśmiechu, radość nauczyciela zaraziła i jego. Ależ wspaniały to obraz! Nieobecni Bogowie, jaki obraz!

#### **4. Mistrz**

Najlepsze wino w Galtarach podawano w „Białej Jaskółce”. Znajdowała się dość daleko od domu mistrza, ale otwarta była okrągłą dobę, a jej właściciel, jak i wszyscy mieszkańcy miasta, szczęśliwy był, mogąc usłużyć mistrzowi Lentiro. Diamni omal nie opowiedział właścicielowi o obrazie, ale się powstrzymał. Po pierwsze, „Odchodzący” jeszcze nie byli ukończeni – brakowało nieba i nie fruwała na nim szara czajka Unda, a po drugie, młody malarz wcale nie był pewien, czy mnisi będą szczęśliwi, widząc Abweniuszy tak przedstawionych. Najlepiej, jeśli pierwsi zobaczą obraz bracia Rakanowie. Jeśli dzieło spodoba się anakswi, nikt nie będzie miał odwagi wyskoczyć z przeciwnym słowem.

Od rozmyślań o Lentiro oraz jego dziele oderwały malarza dźwięki fujarek i walenie w bębny. Diamni nie zauważył, jak doszedł do świątyni Wiatru, gdzie musiał się zatrzymać, przepuszczając procesję. Malarz

wiedział od Ernaniego, że Beatrice Borrasca, małżonka stratega Loria co wieczór modli się o zdrowie małżonka, który wyruszył na wojnę, i o zwycięstwo dla jego miecza. Beatrice z jakiegoś powodu upodobała sobie rozmowę z niebiosami w Mieście Wiatru, chociaż w Cytadeli była też wspólna świątynia Nieobecnych i kaplice Astrapa, Anema, Unda i Lita. Malarz chwycił wygodniej w garść oplecioną sznurami baryłkę i – nie mając nic lepszego do roboty – zaczął przyglądać się orszakowi, który miał trzykrotnie okrążyć świątynię.

Na czele szli Beatrice i towarzyszący jej Rinaldi Rakan. Twarzyczka eoriuszki płonęła zachwytem i nadzieją, epiarcha wyraźnie się nudził. Diamni słyszał, że Rinaldi nie znosi mnichów i swoich obowiązków następcy tronu, a tu biedak musiał z poważną miną spacerować dokoła świątyni. Malarz wycofał się w cień – wpaść w oko epiarsze, kiedy jest zły, nie było rzeczą najmądrzejszą – i tak wybuchowy i gwałtowny, zmieniał się w prawdziwego demona. Czy wiedział o

tym esperatyński kaznodzieja, który nagle wyskoczył tuż przed nosem Beatrice – pozostało tajemnicą.

Młoda kobieta odskoczyła i znieruchomiała, wytrzeszczając i tak już duże oczy. Esperatysta wyciągnął chudą, pokrytą wrzodami rękę, kierując ją gdzieś między epiarchę i eoriuszkę, po czym rozdarł się:

–Widzę cię na wylot, potomku Nieszczęścia! Nosisz w sobie Zło! Kajaj się! Stwórca wszystko o wszystkich wie! Nic się przed nim nie ukryje! Cokolwiek uczyni i wymyśli śmiertelnik, jeśli nie jest szczery przed Stwórcą i sługami Jego, nie doczeka się on łaski po śmierci. Całe zło świata pochodzi z kłamstw przed obliczem Jego!

Zapamiętałe wrzaski wprawiały w oszołomienie. Sensu w wykrzykiwanych oskarżeniach i pogróżkach było niewiele, ale ludzie

wolno odsuwali się od szalejącego kaznodziei i znieruchomiałych przy wejściu do świątyni mężczyzny i kobiety. Mnisi stchórzyli, a Beatrice chodziła bez ochrony i świty, jakby nie była żoną przywódcy Wysokiego Domu i pierwszego dowódcy Złotej Anaksji, zresztą, co by poradziła ochrona! W takich przypadkach ktoś musi wydać rozkaz lub zrobić coś samemu.

–Dla Niego twoje łgarstwa są łupinami! – darł się wniebogłosy kaznodzieja, wskazując palcem coś przed sobą. – Twoje serce jest czarniejsze od nocy. Jesteś złem i naczyniem Zła! Jesteś przekleństwem Kertiany, jesteś...

Rinaldi rzucił się do przodu, chwycił wąż, wijące się ciało, podniósł nad głową i z całej siły odrzucił z drogi. Opętany esperatysta, rozpaczliwie wrzeszcząc, przeleciał nad wywróconym wózkiem, wyrznął w róg budynku i zamilkł z roztrzaskanym czerepem. Diamni wyraźnie widział obrzydliwe tłuste bryzgi i ciemną krew. Jakiej trzeba użyć siły, żeby zrobić coś takiego! I czy tylko o siłę chodzi? Malarz pośpiesznie przeniósł wzrok na epiarchę. Ten stał całkowicie nieruchomo, lekko wystawiwszy przed siebie lewą nogę, ze skrzyżowanymi na piersi rękoma. Nadleciał wiaterek i poruszył jasne włosy Rinaldiego, przypominając o tym, że to człowiek z krwi i kości, a nie posąg i nie obraz. Wstrząśnięty plac milczał. Następca tronu bardzo wolno zmierzył spojrzeniem znieruchomiałych galtarczyków, uśmiechnął się niemiło i odwrócił do drżącej Beatrice.

Malarz nie mógł słyszeć, co ta para mówi do siebie, a i – szczerze mówiąc – nie chciał słyszeć. Kaznodzieja był obrzydliwy, Rinaldi Rakan -straszny. Szalony esperatysta miał rację co do jednego – epiarcha to zło. Aż strach było pomyśleć, co się stanie ze Złotymi Ziemiami, z całą Kertianą,

jeśli Eridani zejdzie, nie zostawiwszy potomstwa, a wieniec i Moc przypadną bratu.

## 5. Epiarcha

O zniknięciu Beatrice Borrasci Ernani dowiedział się od najstarszego brata. Eridani, w swojej czterokolorowej pelerynie przypominający ogromny okręt bojowy, wszedł do pokoju akurat wtedy, gdy obaj z Rinaldim śmiali się z wierszy Nomiritana, który opisał wojnę kotów z psami, jakby to byli ludzie.

Posępnie przywitawszy się, anaks zamknął za sobą drzwi i spojrzał na Rinaldiego:

–Powiedziano mi, że jesteś tu.

–I wyjątkowo nie zełgali. Posłuchaj tylko, co prawi kot:

*Gardzę waszym skomlącym, żebraczym plemieniem!*

*Jak można lizać rękę, co tłucze rzemieniem?*

*Gdy ktoś z was mówi „szczęście”, na myśli ma jeno kość.*

A pies mu odpowiada:

*Ach, wy godne pogardy, miauczące łajdaki,*

*Umiecie tylko łapać myszy albo ptaki!*

*Nie wiecie, czym jest służba ani... wrrr!... powinność.*

–Przestań. – Ciemne brwi Eridaniego zbiegły się nad nasadą nosa. – O Nomiritanie pogadamy później, chociaż nie sądzę, byś wyrządził Erno przysługę, serwując mu takie wierszydła.

–No przestań. – Ernani uśmiechnął się przepaszająco. – To takie zajmujące.

–Powiedziałem! O kotach i pismakach potem. Rinaldi, gdzie jest Beatrice Borrasca?

–Beatrice? – powtórzył Rino. – A skąd niby mam wiedzieć? Pewnie w swojej willi.

–Nie ma jej tam. Wraz z woźnicą i dwiema służkami wyjechała z niej wczoraj rano. Siostra Loria uważa, że do świątyni. Gdy jednak do wieczora nie wróciła, w willi uznano, że została w Cytadeli albo miejskim domu, ale nie pojawiła się ani tam, ani tam.

–Czyli staruszek dostał rogów – pokręcił głową Rinaldi. – Cóż, tego należało oczekiwać. Żeni się, mając pięćdziesiąt lat z hakiem, z siedemnastoletnią kobietą i na dodatek idzie na wojnę. To więcej niż głupota.

–Rino! – Eridani powstrzymywał się resztkami sił. – Jeśli coś wiesz, powiedz. Lorio był przekonany, że zostawia żonę pod niezawodną opieką, co mu powiemy? Beatrice nie jest z tych, co uciekają z kochankami, kto jak kto, ale ty powinieneś to wiedzieć!

–Owszem, nie jestem w jej guście – ziewnął Rinaldi – z wzajemnością.

–Rinaldi, raz i na zawsze przysięgłem, że nie będę zaprzętał sobie głowy

twoimi wyczynami...

–Za co ci ogromnie dziękuję! – Brat wykonał głęboki i zgrabny ukłon.

–Przestań pajacować. – Na kościach policzkowych anaksa poruszyły się mięśnie. – Wiem, że przedostałeś się do sypialni Beatrice, a ona cię przepędziła. Za jakimi kotami gonieś, żeś się tam znalazł? Coś tam robił?

–Nic. – Epiarcha wzruszył ramionami. – Pewnie powinienem dodać „na szczęście”, ale Beatrice w nocnej koszuli wygląda jeszcze gorzej niżli w sukni. Oglądać jej nagiej wcale mi się, powiedzmy sobie szczerze, nie chciało. Kobiety powinno być dużo i powinno być na niej miękko! To ty lubisz spać na tarkach.

–Rinaldi!

–Pytałeś, odpowiedziałem.

–Nie prosiłem cię o ocenę wierności eoriuszki Borrasci. Co robiłeś w jej sypialni?

–Zamierzałem ją ratować. Przekazano mi list z jej podpisem i jej pieczęcią. Że niby polują na nią esperatyści, że nie wie, co ma robić, podejrzewa, że to któryś z krewniaków Loria, że nie może wszystkiego napisać i prosi, żebym po północy przedostał się do jej sypialni. Obiecała zostawić okno otwarte. I tak, nawiasem mówiąc, było.

–List zachowałeś?

–Nie, podarłem go.

–Zawsze tak postępujesz?

–Niemał...

To była prawda. Rinaldi nie przechowywał listów, może dlatego, że zbyt często zmieniał kochanki. Nie kłamał też, kiedy mówił o swoich gustach, zawsze lubował się w czarnowłosych zadzierzystych ślicznotkach o obfitych biustach i pełnych biodrach. Krucha, chorowita Beatrice ze swoimi lnianymi włosami i promienistymi błękitnymi oczami nie mogłaby zwrócić jego uwagi. Widocznie Eridani pomyślał o tym samym, ponieważ na jego obliczu odmalowała się ulga.

–Co za szczęście, że Lorio nie ożenił się z krową, bo nikt by ci nie uwierzył. – Uśmiech anaksa zniknął tak samo szybko, jak się pojawił. –

Cóż, będziemy musieli teraz przeszukać wszystkie esperatyńskie spelunki i przepytać służbę. Jeśli listu nie napisała Beatrice, to musiał ktoś z jej otoczenia...

–Niech przy okazji poszukają i Ginda, ten obibok gdzieś zwiął. Pewnie uczepił się jakiejś suki.

–Twój pies stara się iść śladem pana, tylko tyle.



–Też prawda. – Następca tronu zmrużył oczy. – Esperatyści esperatystami, ale Borrasca drugi raz się nie ożeni. Nie można zapominać o możliwych następcach, Dom Wiatru – rzecz łąkoma.

–Rinaldi, skoro już zaczęłaś o żonach... Powinieneś się ożenić jednocześnie ze mną.

–Skoro powinienem to się ożenię, ale... – epiarcha podniósł ostrzegawczo palec -...po pierwsze, nie z tarką, jakkolwiek godną by nie była, a po drugie, moja przyszła szlachetna małżonka powinna od razu zrozumieć, że poza obowiązkami małżeńskimi nie powinna na nic szczególnego liczyć.

–Kocur nienasycony! – Anaks przyjaźnie trącił brata w ramię. – Kiedy ty się w końcu ustatkujesz?

–Kocury już takie są, i to na zawsze – z dumą oświadczył Rinaldi, wertując utwór Nomiritana. – O! *Uważasz, że li tylko na wiosnę kochamy? Czy koty to rolnicy z pługiem i widłami? Jesień, lato czy zima – my na siew gotowi...* Mmm... to, co idzie dalej, rzeczywiście nie nadaje się do czytania na głos przy anaksach i cnotliwych młodzieńcach.

## 6. Mistrz

Pierwszym odruchem Diamniego Koro było zabranie Ernaniego z przylegającego do Wietrznej Wieży placu, na którym malarz i jego uczeń szkicowali stare cyprysy. Prawdę rzekłszy – Diamni rysował, a Ernani siedział obok i o czymś rozmyślał.

Dziwne, ale pochłonięty pracą malarz pierwszy poczuł dziwne napięcie. Właśnie w tym momencie należało wstać i odejść z epiarchą, ale przegapił tę chwilę, a potem zrobiło się za późno – zza Wietrznej Wieży wyszła, żeby nie powiedzieć wypadła, naga kobieta, wyraźnie brzemienna, za którą podążało kilkadziesiąt osób. Mistrz poderwał się zaskoczony, upuszczając deseczkę do rozcierania farb, a kobieta dziwnie lekkim i szybkim jak na jej stan krokiem minęła znajdujących się na placu osłupiałych ludzi, stanęła na ciemnoszarej płycie, na której wyrzeźbiony był znak Anema, i wtedy malarz ją rozpoznał. Zaginiona na początku ubiegłej jesieni Beatrice Borrasca, ale – na dzieci Zmierzchu – co się z nią stało!

Eoriuszka była blada i chuda jak po długotrwałej chorobie. Jej i bez tego mała twarzyczka zrobiła się zupełnie malutka, kompletnie pozbawiona krwi, a otoczone czarnymi kręgami oczy płonęły jakimś namiętym szalonym ogniem.

Diamni był sierotą i nigdy nie miał do czynienia z brzemiennymi kobietami, ale nawet on widział, że Beatrice wkrótce urodzi. Malarz nie od razu zrozumiał, że dziecko eoriuszki może mieć dowolnego ojca poza Lorie Borrascą, który opuścił Galary ubiegłego lata. Mistrz Koro oszołomiony wpatrywał się w

znieruchomiął na szarym kamieniu postać z ogromnym brzuchem, obawiając się najgorszego. Mimo przeczucia nieszczęścia, pozostał malarzem – rad by był tego nie widzieć, ale oko

odruchowo odnotowywało sińce na policzkach, rękach i biodrach, jakieś znaki przypominające źle zagojone ukąszenia psów, ślady więzów na przedramionach i szyi. Lniane włosy Beatrice, wcześniej przedmiot zawiści mnóstwa szlachetnych niewiast, były rozczochrane i splątane, a nabrzmiałe sutki na śnieżnych piersiach przypominały krwawe rany.

Wietrzny Plac błyskawicznie zapełniał się służbą, wolnymi od obowiązku strażnikami, eoriuszami, którzy przypadkowo znaleźli się w pobliżu placu, i abweniuszami. Należało przypuszczać, że skoro żona Borrasci w takiej postaci przemaszrowała przez dolne miasto, walił za nią cały tłum, dobrze, że do Cytadeli mogą wchodzić tylko wysoko urodzeni, wojowie i słudzy. Mimo to ludzie zebrali się mnóstwo. Diamni z okrutną przyjemnością rozpędziłby ciekawskich batem dla bydła, ale był tylko malarzem bez rodu, którego zatrudniono do rozweselenia kaleki-epiarchy, i mógł tylko dziwić się ludzkiej bezduszości.

A Beatrice, jak się wydawało, miała za nic cudze spojrzenia. Patrząc na tę kobietę skamieniała na płycie ozdobionej symbolem Anema, Diamni był coraz bardziej pewien, że eoriuszka oszalała. Należało ją stąd odprowadzić. Nieważne, kim był ojciec jej dziecka, teraz to nie było ważne. Chyba powiedział to na głos, ponieważ Ernani ścisnął dłoń malarza i wyszeptał:

–Ona jest tu z mocy Prawa Wiatru.

–Zwyczaj? – Artysta pomyślał nagle, zupełnie nie na temat, że młodzian, pewnie po raz pierwszy widzi nagą kobietę.

–Jeśli należący do Domu Wiatru przychodzi na Wietrzny Plac i staje na płycie z symbolem Anema, oznacza to, że żąda ochrony abweniarchy i sądu anaksa.

Oczywiście! W Cytadeli są cztery wieże i cztery place, na środku każdej jest płyta z symbolem. Dlaczego nigdy wcześniej nie zastanawiał się, po co to wszystko. Starożytni nic nie robili ot tak sobie, ale co się stało z Beatrice? Jest brzemienna i to nie z mężem. Lorio wraca do domu z kolejnym zwycięstwem dopiero za kilka dni. Co za nowiny czekają na niego!

Dźwięki fujarki obwieściły nadejście abweniarchy, którego pałac znajdował się po drugiej stronie Wietrzego Placu. Bogopamiętny\* wolno i dostojnie przeciął plac i stanął oparty na pastorałe przed nieruchomo tkwiącą w miejscu kobietą.

–W imieniu Nieobecnych, córko Anema. Czy prosisz o łaskę czy o sprawiedliwość?

–O sprawiedliwość – wykrzyknęła Beatrice – i wraz ze mną oczekują jej mieszkańcy Galar stojący przy górnym Pierścieniu! Bogopamiętny, nie sądziłam, że pod niebem może istnieć takie zło, ale ono istnieje, ono przechadza się, śmieje się, depcze to, co najświętsze, co kryje się w naszych duszach...

–Uspokój się, córko Anema – abweniarcha mówił bardzo wolno i bardzo czule. To był mądry i doświadczony mężczyzna, a Beatrice nie była pierwszą szaloną, którą przyszło mu uspokajać.

–Nie zaznam spokoju, póki ten człowiek... Nie, bogopamiętny, to nie człowiek... Ludzie i nawet zwierzęta nie mogą być takimi. On musi zostać ukarany – głos kobiety zadrżał. – Zaklinam na imię Pozostawionej i jej łez, on nie może ująć karze!

–Anaks jest sprawiedliwy – łagodnie powiedział bogopamiętny – a słudzy Nieobecnych miłosierni. Kim jest krzywdziciel i co on uczynił?

–Mój krzywdziciel? – Ogromne oczy stały się jeszcze większe, jakby kobieta pierwszy raz słyszała to słowo. – Mój krzywdziciel? Ubiegłego lata udałam się do świątyni Anema. Codziennie błagałam Nieobecnych o łaskę dla mojego męża, ale nie dotarłam do świątyni ani do miasta. Porwał mnie Rinaldi Rakan i zamknął w miejscu, o którym wiedzieli tylko on i jego słudzy! Moich towarzyszy, poza woźnicą, współnikiem epiarchy, zabito, a epiarcha... Błagałam go, by mnie wypuścił, mówiłam mu o honorze eoriuszy, o tym, jak kocha go mój małżonek, ale Rinaldi myślał tylko o zemście. Odmówiłam mu swojej miłości, więc postanowił wziąć mnie siłą. I wziął... Przychodził codziennie, póki nie przekonał się, że poczęłam. Wtedy oddał mnie swoim sługom i swojemu psu, a sam się przyglądał... Wraz ze swoją nową kobietą. Patrzył i śmiał się. Potem to mu się znudziło, więc kazał mnie zabić, ale dwaj jego słudzy i... I Wasilika... Oni okazali się dobrymi ludźmi. Bali się Rinaldiego, ale nie mogli pogodzić się z mordem... Otruli psa i pomogli mi w ucieczce. Są gotowi potwierdzić, że nie kłamię, jeśli weźmie się ich w obronę przed... przed...

–Słyszałem twoje oskarżenia, córko Anema – głos bogopamiętnego ciągle był łagodny, ale tylko głos, nie oczy.

–Ja też słyszałem. – Diamni nie pojął, skąd pojawił się Eridani i gdzie stał. Opalona twarz anaksa wyglądała jak maska. Zrzucił pelerynę i podał jednemu z żołnierzy. – Będę z tobą rozmawiał, eoriuszko Borrasca, ale dopiero gdy się okryjesz.

Beatrice drgnęła, gdy na jej ramionach legła czterobarwna peleryna. Eridani był wysoki nawet jak na mężczyznę z rodu Rakanów, żona Loria nie sięgała mu nawet do ramienia. Peleryna nie tylko okryła kobietę od głowy do stóp, ale legła uroczytymi fałdami na kamieniach placu.

Okrywszy swoją nagość, Beatrice straciła całe zdecydowanie i zaciekłość. Poznaczone licznymi sińcami ręce wczepiły się w gruby materiał, nieprawdopodobnie ogromne oczy błagalnie patrzyły na Eridaniego.

–Tak więc – wolno i wyraźnie powiedział ten – oskarżasz mojego brata Rinaldiego o porwanie i gwałt?

Beatrice opuściła głowę, splecione lniane loki niemal całkowicie zakryły jej twarz.

–Tak czy nie? – głos brzmiał beznamiętnie, ale Diamni nie wątpił, że gdyby to było w mocy anaksa, kobieta nie dotarłaby do Cytadeli.

–Tak – wyszeptała. – To prawda.

–Przyprowadźcie następcę – zarządził Eridani i zamilkł. Milczeli wszyscy: słudzy, strażnicy, eoriusze. Diamni na zawsze zapamiętał tę scenę – posępna Wietrzna Wieża, część błyszczącej w słońcu ściany, wiekowe cyprysy zagadkowe i czujne jak koty i malutka rozczochrana kobieta w bardzo długiej pelerynie. Malarz widział, że Beatrice trzyma się ostatkiem sił, chudziutka twarzyczka była jak alabastrowa maska, usta zsiniały, a purpurowe plamy na bladym policzku wyglądały bezsensownie niczym plamy farby.

Oczekiwanie nie trwało długo – epiarcha należał do tych, których najtrudniej znaleźć w łóżku nocą, a najprościej późnym rankiem. Widocznie żołnierz, który ruszył po Rinaldiego, opowiedział mu, po co wzywa go anaks, ponieważ na pięknym obliczu nie malowało się *ani* zdumienie, ani współczucie, ani lęk. Tylko obrzydzenie.

–Mój anaks chciał mnie widzieć.

–Tak. Eoriuszka Borrasca oskarża Rinaldiego Rakana o gwałt. Co odpowie oskarżony?

–Kłamstwo. – Epiarcha uśmiechnął się i to zrobiło na Diamnim szczególnie ohydne wrażenie. – Ślicznotka spędziła zimę z pożytkiem i zadowoleniem, potem przypomniała sobie, że ma małżonka i wystraszyła się.

–Rinaldi! – Rozpaczliwy krzyk Beatrice spowodował, że malarz drgnął. – Czy w tobie nie zostało już nic z człowieka?!

–Kto wie, ale moja dusza nie ma nic wspólnego z twoim brzuchem, eoriuszko. – Następcę odwrócił się do Eridaniego. – Przysięgam, że ona jest szalona albo myli tropy, a jej tak zwani świadkowie są albo podkupieni, albo zastraszeni.

–W tym niejaka Wasilika?

–Wasilika? – Rinaldi uniósł brwi. – Ach, Wasilika... Pieprzyk w kształcie półksiężyca pod lewą piersią i czarne włosy do kolan... Tu mamy do czynienia nie ze strachem, a ze złotem. Jeśli moja kochanka postanowiła mnie

przehandlować, to pewnie dobrze na tym zarobiła.

–Eoriuszka twierdzi, że Rinaldi Rakan oddał ją najpierw swoim sługom, potem swojemu psu. – Anaks mówił o bracie tak, jakby go tu nie było. Musiało to coś oznaczać, ale Diamni nie wiedział co.

–I co powiedział pies?

–Pies nie żyje. Żeby eoriuszka mogła uciec, jeden ze współczujących *jej* sług podał mu truciznę.

–Czyli Gindo najpierw został ukradziony, a potem otruty, żeby wzmocnić prawdopodobieństwo. Biedak... O ile był to, rzecz jasna, Gindo.

–Rinaldi Rakan nie przyznaje się do winy?

–Nie!

–Beatrice Borrasca nie odstępuje od oskarżenia?

–Mój anaksie! To uczynił on... On...

–Proszę wypowiedzieć imię.

–Rinaldi Rakan, brat i następca mojego anaksa.

–Co powie abweniarcha? Bogopamiętny nie spieszył się z odpowiedzią, tylko z mądrą miną

patrzył w niebo. Nikt go nie poganiał – wszak to sprawiedliwy i miłosierny sędzia!

Diamni Koro nie kochał abweniatów przede wszystkim dlatego, że ci żądali malowania świątyń wedle raz i na zawsze zaprowadzonego zwyczaju. Mało tego, że potrzebni im byli groźni, otoczeni lśnieniem, pobrzękujący bronią tępacy, to jeszcze musieli być przedstawiani w ciągle takich samych głupich i napuszonych pozach. Tego uczeń wielkiego Lentira wybaczyć nie mógł.

Co zaś do samej istoty tej religii, to ona malarza nie interesowała. Bogowie odeszli, obiecali wrócić, ale nie wrócili. Ktoś tam na nich czeka, a ktoś inny, jak sam Diamni i jego nauczyciel, wspaniale się bez nich obchodzi, robiąc to, co kocha. Co prawda, gdyby ktoś zmusił mistrza Koro do wyboru między abweniuszami i esperatystami, to nie miałby wahań. Brudni, pokryci wrzodami fanatycy, żądający kajania się przy świadkach i pełzania na brzuchu przed kimś niewidzialnym, wzbudzali w malarzu wstręt. Już lepsi starzy i znani bogowie, zwłaszcza że odeszli.

Abweniarcha w końcu coś wymyślił. Diamni miał wrażenie, że jest bardzo z siebie zadowolony. Piękna, zadbana dłoń uniosła się w rytualnym geście.

–Niech Beatrice Borrasca wejdzie na Wzgórze Abweniuszy. Jeśli jej dziecko jest z rodu Rakanów, Nieobecni je uznają, jeśli nie, nie ma o czym mówić.

To ci bogopamiętny! Co za zuch! Słusznie! Żony anaksów, oczekując

dziecka, przechodzą próbę, przecież Rakan może przekazywać Moc, którą włada, tylko mężczyźnie swojej krwi. Jeśli Rinaldi jest niewinny, Abweniusze odepchną Beatrice i jej dziecię.

–Czy eoriuszka jest gotowa wejść na wzgórze? – Błękitne oczy Eridaniego nie obiecywały niczego dobrego.

–Tak.

–Cóż... – Eridani zimno popatrzył na owiniętą czterobarwną peleryną kobietę i jeszcze zimniej na brata -...niech tak będzie. Jutro rano eoriuszka Beatrice Borrasca wejdzie na Wzgórze Abweniuszy, by udowodnić słuszność swoich słów. Jeśli oskarżenie potwierdzi się, epiarcha-następca stanie przed sądem wysokich eoriuszy. Jeśli nie, sędzić będą oskarżycielkę, o ile nie udowodni ona, że została zmuszona do pomówienia brata anaksa i nie poda imion tych, co ją zmusili. Zanim ja daną mi władzą obudzę moce Nieobecnych, oskarżycielka może wycofać się ze swojego słowa, a oskarżony przyznać się do winy, przez co nabywają prawa do własnoręcznego zakończenia swojego żywota. A teraz straż odprowadzi eoriuszkę Borrascę do zamkniętej lektyki i towarzyszyć jej będzie do miejskiego domu jej małżonka, a epiarcha-następca uda się do swoich komnat, gdzie pozostanie do jutra. I niech oświecą Abweniusze to z nich, które łże.

Rinaldi wzruszył ramionami i lekkim, swobodnym krokiem poszedł w stronę pałacu. Tłum rozstępował się przed nim jak przed trędowatym, ale epiarcha, wydawało się, nie zauważał tego. Czterech żołnierzy posłusznych spojrzeniu anaksa podeszło do Beatrice. Między roslymi,

opalonymi mężczyznami, wydała się Diamniemu zupełnie malutka.

Nieujarzmiony, jakby spalający ją od wewnątrz płomień zgasł, pozostał strach i brak nadziei. Biedna dziewczynka, strach pomyśleć, co musiała znieść, jeśli zdecydowała się opowiedzieć o swojej hańbie publicznie i zażądać sądu.

–Żołnierze – głos anaksa pozostawał obojętny i zimny – odpowiadacie za bezpieczeństwo oskarżycielki głową. Jutro w towarzystwie eoriuszy Domu Wiatru powinna pojawić się na Wzgórz Abweniuszy, żeby potwierdzić lub odrzucić, co powiedziane.

To też obyczaj, czy Eridani obawia się o życie Beatrice? Mistrz Koro nie wnikał w sekrety Cytadeli i nie wiedział o wielu sprawach oczywistych dla eoriuszy oraz wyrosłych wśród nich sług czy żołnierzy. Zwykle Diamni pytał swojego ucznia, a ten chętnie objaśniał mu wszystko, jednak teraz na młodzieńca strach było patrzeć. Artysta nigdy nie kochał następcy tronu i nie ufał mu, a po przypadku pod bramą świątyni Anema nawet zaczął bać się Rinaldiego. Teraz życie potwierdziło słuszność jego obaw, ale malarz wiele by

dał, żeby się mylić.

–Diamni – uczeń usiłował się uśmiechnąć – jutro wszystko będzie już jasne.

–Na pewno, Ernani.

Wyjaśni się już tej nocy. Anaks jest dobrym bratem, zbyt dobrym jak na władcę ogromnego kraju i na pewno już wszystko rozumie, dlatego odłożył badanie do jutra. W nocy Rinaldi zniknie z Galtar i będzie można tylko modlić się do Abweniuszy, by niegodziwiec skręcił kark albo uciekł za Zalew Euryjski do tamtejszych dzikich jeźdźców. Pozbawić epiarchę tytułu następcy może tylko anaks z wyroku najwyższych eoriuszy, i to z

wyroku wydanego w obecności oskarżonego. Uciekły, Rinaldi pozostanie więc następcą brata. Jeśli Eridani uda się w Zmierch albo go tam wyślą, władza – zgodnie z prawem – przejdzie w ręce gwałciciela i łgarza.

Po ludzku postępek anaksa jest zrozumiały, ale jego obowiązkiem jest ukarać przestępcę właśnie dlatego, że ten ma prawo do tronu. Gdyby Rinaldi był uczciwym człowiekiem, to wykorzystałby dany mu czas, aby skończyć ze sobą. Tyle że to bzdura! Gdyby był godnym człowiekiem, to nie katowałby kobiety, której wina polegała na tym, że go odrzuciła.

–Diamni... ja... Ja muszę porozmawiać z Rinaldim. Jeśli on nie przyjdzie do mnie wieczorem, to ja sam do niego pójdę, kiedy wszyscy zasną.

–Oczywiście, Ernani. Twoje uczucia czynią ci honor.

Przyjdiesz i natkniesz się, chłopcze, na zamknięte drzwi i tam w końcu zrozumiesz, kogo uwielbiałeś przez tyle lat.

## **7. Epiarcha**

W komnatach Rinaldiego było ciemno i cicho i Ernani pomyślał, że jeśli brat jest winny, to już go nie ma ani w Cytadeli, ani w Galtarach. Młodszy epiarcha przemierzył jednak milczącą amfiladę. Rinaldi zawsze lubował się w zwierciadłach, ale w ciemnościach patrzące na siebie głębokie szkła sprawiały ponure wrażenie, Ernaniemu wydawało się, że stoi na skrzyżowaniu wiodących w nieskończoność korytarzy, po których donikąd biegną ciemne postacie ze świeczkami w ręku. To było przerażające, młodzieniec czuł na sobie czyjeś spojrzenia, za jego

ramieniem stał ktoś milczący, obcy i niedobry, i coraz trudniej było przekonać siebie, że wszystko to jest zwyczajnym lękiem człowieka przed nocą i pustką. Zbyt silne było wrażenie obcości w cichych, jakby wymarłych komnatach. Rinaldi uciekł, pozostała pustka i coś, co nie ma nazwy.

Młodzian najszybciej jak mógł ruszył z powrotem, gdzie było światło i żywi

ludzie, a nie pełne widm lustra. W swoich komnatach zrobiło mu się wstyd własnego strachu – nie dość, że jest kaleką, to na dodatek jest tchórzem! Przestraszyć się ciszy i powieszonych naprzeciwko siebie ołowianych szkieł, obok których przechodził dziesiątki razy?! W bezludnych pokojach epiarchy nie było nic zagadkowego, po prostu Eridani usunął strażę, dając Rinaldiemu szansę na ratowanie skóry. Złote Ziemie są wielkie, ale za Zalewem leżą już Ziemie Purpurowe. Tam ludzie rządzą się innymi prawami i płynie inne życie. Czarnoocy, smagli Moryskowie cenią w innych nie honor, a zręczność, siłę i odwagę, Rinaldi z nimi dogada się bez trudu. Ernani z całej duszy pragnął, by brat został uniewinniony, ale nie miał nadziei i Eridani też, w przeciwnym przypadku nie odkładałby próby do jutra. Przez noc można odjechać daleko, a niezauważalnie wymykać się z Cytadeli Rino potrafił zawsze.

Epiarcha podszedł do zawalonego zwojami i rysunkami stołu i napotkał spojrzenie Władcy Wiatrów – spojrzenie Rinaldiego. Brat nie uznał za potrzebne i możliwe wpaść się pożegnać, widocznie chciał uniknąć nieuchronnej przy tej okazji rozmowy o Beatrice. Ale też jak mógł tak postąpić z kobietą, z żoną człowieka, któremu wszyscy oni tak wiele zawdzięczają?! Jeśliby nie miecz Loria, Złota Anaksja już by się podzieliła albo Eridani byłby zmuszony wezwać Zwierza, o ile leży to w jego

władzy. Słowa Rinaldiego o Mocy Rakanów zbyt przypominały prawdę...

Ernani wziął do ręki szkic i podniósł do oczu – czyżby już mieli się nie zobaczyć? Wieczna rozłąka z żywym człowiekiem może być gorsza od pożegnania z martwym. Młodzieniec uważał postępek brata za ohydny, ale za bardzo był przywiązany do Rina, by czekać na triumf sprawiedliwości. Gdyby na miejscu następcy był dowolny inny eoriusz, Ernani bez wahania żądałby dla niego najstraszliwszej kary, ale Rinaldi! Młodszy z epiarchów Rakanów siedział w tej rozterce do rana, albo znowu wpatrując się w wesołe i zuchwałe oblicze, albo usiłując czytać o wojnie psów z kotami, ale przyniesiona przez brata książka paliła dłonie i już nie śmieszyła zupełnie. Czyżby Rinowi tak podobał się poemat Nomiritana, dlatego że władca kotów Leofor Żmijoogoni mówił to, o czym sam myślał? Kot sztychował z psiej wierności i honoru, myślał tylko o kotach i wojnie i urządzał podłe intrygi wycelowane w tych, którzy go zaczepiali. Leofor wciągnął w myśliwską pułapkę lisicę, która odmówiła mu miłości i skierował na jej samca myśliwych! Ernani poczuł wstyd, kiedy przypomniał sobie, jak z Rinaldim śmiali się z tej sceny, ale czy brat postąpił z Beatrice inaczej?

Młodzian odrzucił nagle obrzydłą mu książkę. Eridani ma rację, należy jej zakazać! Ale mimo wszystko dobrze, że Rinaldi się uratował, może w odległych ziemiach zmieni się na lepsze... Epiarcha popatrzył przez okno, potem na



klepsydrę. Czas się zbierać! Najważniejsze to nie dać po sobie poznać, że wie o zniknięciu brata. On wiecznie się spóźnia, trzeba przeciągać czas, namawiać, by zaczekano na niego. Im później będzie wysłany pościg, tym więcej szans ma Rinaldi na ucieczkę. Ernani

pospiesznie przebrał się – nie znosił, gdy dotykali go służący, i posłał umyślnego po mistrza Koro, którego pomoc nie była dlań poniżająca. Malarz pojawił się błyskawicznie, widocznie też nie spał. Diamni wyglądał na skrępowanego i epiarcha rozumiał dlaczego – nauczyciel nie przepadał za Rinaldim i nie ukrywał tego, ale kiedy jego uczucia i przeczucia zostały potwierdzone w tak potworny sposób, poczuł się jak zwiastun nieszczęścia.

–Tylko mi nie mów, że ci bardzo żal. – Epiarcha przywołał na twarz wymuszony uśmiech. – Po prostu pomóż mi dotrzeć na miejsce.

–Z chęcią, mój ep... – Malarz urwał w pół słowa. – Oczywiście, Ernani, pomogę ci. Dawno marzyłem o tym, by przyjrzeć się obeliskowi z bliska, a potem go naszkicować. To przecież strasznie stare miejsce.

–Tak, uważa się, że najpierw pojawili się oni, potem Cytadela i Pierścienie i już na końcu Wieże...

Szli, rozmawiając o starożytnych Galtarach i ich nieprzystępnych murach-pierścieniach zbudowanych nie z kamienia, a jakby wyrosłych z ziemi. Ernani opowiadał o Cytadeli, w której żyją eoriusze i o podziemnych labiryntach, a Diamni usiłował zrozumieć, dlaczego zasiedlone przez prosty lud dolne miasto podzielone jest na cztery części murami nie mniej grubymi i wysokimi niż zewnętrzny Pierścień. Przez to trafić z Miasta Wiatru do Miasta Błyskawicy można było tylko, przechodząc przez zewnętrzny lub wewnętrzny Pierścień, ale nie po linii prostej. Mistrz i epiarcha zastanawiali się, komu mogły być potrzebne wieże bez wejść i wyjść i co oznaczają symbole wybite na obeliskach wzniesionych w niepamiętnych czasach na szczycie wzgórza. Rozmawiali o wszystkim, ale nie o tym nieprzyjemnym i ciężkim, co nieuchronnie

jednak się zbliżało. Rinaldi zniknął, a jego hańba legnie na barkach braci. Dom Wiatru nie wybaczy anaksowi ucieczki gwałciciela.

Na czterech pasmach schodów łagodnie wiodących na szczyt wzgórza stali strażnicy w anaksjańskich barwach, a bliżej szczytu na okrągłym tarasie oczekiwali przywódcy Domów Błyskawicy i Skały. Ciemnowłose Enio Marikjare w purpurowej, haftowanej w złote błyskawice pelerynie wyglądał na zdumionego i wzburzonego, leciwy Władca Skały posępnie patrzył w ziemię.

–Dziwna sprawa. – Diamni, jak umiał, starał się oderwać ucznia od nieprzyjemnych myśli i Ernani był mu za to wdzięczny. – Dziwne, jak się wszystko pomieszało! Niegdyś dzieci Astrapa były jasnowłose i

brązowookie, a Władcy Skały mieli szare oczy i ciemne włosy, a co teraz? Marikjare jest ciemnooki i ciemnowłosy, stary Nadorea ciemnoblon, a ty bardziej przypominasz potomka Unda niż obecna głowa Domu.

O Władcy Wiatru nie zostało wypowiedziane ani jedno słowo. Diamni nie wątpił w winę Rinaldiego i nie chciał rozdrapywać ran, ale Ernani Rakan musiał walczyć do końca. Powinien mówić o Domu Wiatru i o bracie, który jak zwykle zaspał, ale lada moment się pojawi.

–Przecież wiesz... – Najważniejsze to nie milczeć, nie milczeć i nie patrzeć w stronę obelisku Anema, skąd powinna pojawić się Beatrice. – Rakanowie są podobni do wszystkich Nieobecnych razem wziętych i do nikogo w szczególności. Do siebie w rodzinie też nie jesteśmy podobni. Rinaldi ma twarz Astrapa i oczy Unda, Anesti z oblicza przypominał Unda, ale był przysadzisty jak Lit i błękitnooki, a Eridani jest wykapanym Anemem, jak go przedstawiają. Natomiast o Loriu Borrascie nie powiesz nawet, że jest eoriuszem, chociaż jego matka była siostrą naszego dziadka. Zresztą skąd możemy wiedzieć, do kogo byli podobni Nieobecni? Rinaldi mówił...

–Wiele rzeczy mówiłem. – Rinaldi Rakan w dworskich szatach stanął za plecami Ernaniego i uśmiechnął się. Jasne włosy następcy zdobił uroczysty diadem, ale w rękę epiarcha trzymał skórzany deszczowy kołpak pełen dojrzałych czereśni.

–Rino! – Ernani nie wiedział, co powiedzieć. – Ty... Ty tu?!

–A gdzie mam być? – Brat włożył do ust kilka czereśni i podał kołpak Diamniemu. – Częstuj się, mistrzu. W końcu to wszystko przeze mnie, nie wypada się spóźniać.

–Wpadłem do ciebie w nocy... Nie było cię. Nikogo nie było.

–Wyszedłem do miasta, miałem ochotę po wczorajszym trochę się rozerwać. A ty co, pewnie pomyślałaś, że zwiąłem?

–Coś ty... – Ernani zmieszał się. – Ja...

–Ty? – zapytał Rinaldi, patrząc z naciskiem na brata.

–Tak – ledwo słyszalnie przyznał młodszy epiarcha – tak myślałem. Eridani usunął strażników, przeniósł próbę na rano... i ci świadkowie, i pies...

–Ile razy mam powtarzać, że to nie Gindo! Podobny, bardzo podobny, ale nie on. A poza tym Gindo zaginał pół roku temu, mógł od dawna być w nie wiadomo czyich rękach... Jakkolwiek się sprawy potoczą, żal mi Loria, niezły prezencik tu na niego czeka!

„Niezły prezencik”... Borrasca nie przeżyje zdrady żony. Czyżby to wszystko kłamstwo i Rinaldi był niewinny? Na to wygląda, winni tak się nie zachowują.

–Wybacz, ja myślałem...

–To oznaka szlachetnego pochodzenia, braciszku – wzruszył ramionami Rinaldi. – Eoriusze skłonni są wierzyć w każdą ohydę wypowiedzianą o innym, ale strasznie się burzą, kiedy o świństwo oskarża się ich. O, mamy i oskarżycielkę! Dziś wygląda lepiej. Mimo wszystko niektóre kobiety nie powinny się rozbierać.

Beatrice Borrasca w towarzystwie krewnych Loria weszła na taras. Miała na sobie obszerną, szczelnie osłaniającą ciało suknię bez pasa w barwach Domu Wiatru – niebieskiej i białej, podkreślającej i tak nienaturalną bladość kobiety. Jej lniane warkocze zostały ułożone w srebrzystej siatce i to była jedyna ozdoba, na którą sobie pozwoliła. Otoczone ciemnymi kręgami oczy eoriuszki patrzyły gdzieś ponad głowami ludzi – czy to na obelisk Anema, czy zwyczajnie w niebo. Nie chciało się wierzyć, że ta udręczona dziewczyna mogła nago, z rozwianym włosiem przejść przez całe miasto i zażądać sądu nad gwałcicielem. A jeszcze mniej – że jest zdolna do kłamstwa. Czyżby naprawdę esperatyści? Postanowili zemścić się za swojego kaznodzieję i zhańbić człowieka, który go zabił? Ale teraz Beatrice nic nie grozi, dlaczego nie miałyby powiedzieć prawdy?

Anaks może obronić kobietę, która go o to prosi. A Lorio wolałby, żeby zhańbili jego żonę wrogowie, a nie epiarcha, którego on sam uczył władania mieczem. O ile oczywiście można w tym przypadku mówić, kto co woli...

Dźwięki fujarki i bębna obwieściły przybycie anaksa i abweniarchy, za którym szły trzy ciężarne kobiety – jedna eoriuszka i dwie z prostego ludu. Przy pasie Eridaniego widniał uroczysty miecz Rakanów; zazwyczaj brat nosił przy sobie inną broń wykutą przez najlepszych kowali Galtar, a ten,

szeroki i krótki, wisiał w sali tronowej. Tam też przechowywany był wieniec i berło z migocącym fioletowym kamieniem, które anaks ścisnął w dłoni. Relikwie panów Złotych Ziem spokojnie spały przez wieki, kryjąc w sobie Moc, ale dziś zobaczyły światło dzienne.

Władca obrzucił pochmurnym spojrzeniem głowy Wysokich Domów, oskarżycielkę i braci, na widok Rinaldiego ciężkie powieki wyraźnie drgnęły – Eridani był zadziwiony, ale zawsze potrafił ukrywać swoje uczucia. Pod uważnym, badawczym spojrzeniem brata anaks zaczął się jednak bać. A najmłodszy z Rakanów ponownie poczuł się tak, jakby znów stał na skrzyżowaniu korytarzy z ogarkiem świecy w ręku, a w cztery strony od niego ciągnęły się nieskończenie długie przejścia i tylko jedno prowadziło do światła.

–Eoriuszko Beatrice! – Młodszy epiarcha oczekiwał tych słów, jednakże i tak drgnął. – Czy potwierdzasz swoje oskarżenie? Jeśli siłą lub oszustwem zmuszono cię do wejścia do cudzego łóżka i oskarżenia niewinnego, to

wybaczamy ci ten grzech zamierzony i niezamierzony w zamian za imię prawdziwych winowajców.

–Mój anaksie – Beatrice zaczęła bardzo cicho, ale potem podniosła głos – potwierdzam swoje oskarżenie. Potwierdzam, że epiarcha Rinaldi z rodu Rakanów porwał mnie i przetrzymywał w swojej kryjówce. Potwierdzam, że siłą zawładnął mną i brał mnie ponownie i ponownie, póki nie nabrał pewności, że jestem brzemienna. Potwierdzam, że ojcem dziecka, które noszę, jest epiarcha Rinaldi... Ja... Ja rozumiem, jaki ból sprawię swojemu małżonkowi i tobie, mój anaksie. Wyrzekłabym się swoich słów, gdyby Rinaldi Rakan nie był następcą tronu, ale... Człowiek, który postąpił... uczynił to ze mną, jest zdolny do wszystkiego. On nie

może pozostawać na wolności. Nie może nosić tytułu następcy... I dlatego oskarżam go! Jestem gotowa przejść próbę, albowiem mówię prawdę, klnę się na Unda i Anema!

–Bracie nasz, Rinaldi! – Eridani mówił nieco wolniej niż zazwyczaj, Ernani uświadomił sobie, że każde słowo przychodzi mu z trudem. – Czy nadal nalegasz na próbę, czy może uznajesz słuszność oskarżenia?

–Ogromnie mi żal Loria Borraski – w głosie Rinaldiego brakowało zwykłej dla niego ironii – ale nie zamierzam składać honoru w ofierze, tylko by go uspokoić. Nie tknąłem tej kobiety ani z jej woli, ani przeciw niej.

–Usłyszałem. Cóż, bogowie odeszli, ale ich moc i ich krew jest z nami i w nas. Oni udzielą nam odpowiedzi, prawdziwej i jedynej. Bracia moi, idźcie za mną!

Anaks zaczął wolno wspinać się po płaskich schodach. Rinaldi mocno chwycił Ernaniego za łokieć i ruszył za bratem. Młodzieniec kuśtykał, opierając się na silnej ręce Rina, a obok nich szedł ten niewidzialny i nieobojętny, który pętał się w nocy po pokojach następcy. Ernani czuł jego obecność, ale nie odważył się przerwać rozpoczętego rytuału, a poza tym wszystko było raczej grą wybujałej fantazji, w przeciwnym przypadku bracia też by coś wyczuli.

Schody skończyły się i następcy Nieobecnych weszli na Wzgórze Abweniuszy. Płaski, jakby ścięty nożem szczyt był wyłożony czworobocznymi kamiennymi płytami zmieniającymi kolor w zależności od oświetlenia. W rogach placu wznosiły się cztery stele przypominające postawione na sztorc kamienne miecze, na ostrzach których wybite były symbole Nieobecnych Bogów. Abweniusze ciągle jeszcze nie mogli

zdecydować, czy są to wypisane w nieznanym języku imiona Nieobecnych, czy znaki wybranych przez nich żywiołów.

Uważano, że właśnie ze Szczytu Mieczy Nieobecni ostatni raz spoglądali na

pozostawiane przez nich Galtary, i w dół, gdzie u podnóża wzniesienia była słynna Droga w Jedną Stronę – wejście do niekończących się podziemnych labiryntów. Tylko za pozwoleniem anaksa i w jego obecności eoriusze mogli wchodzić na Szczyt Mieczy i tylko anaks mógł otworzyć drzwi do tajemniczych podziemi.

Eridani miarowym krokiem wyszedł na środek placu, gestem wskazując braciom miejsce za sobą. To było niepisane prawo – kiedy głowa Domu Rakanów wywołuje Moc, mężczyźni ich krwi znajdują się obok i tylko anaks wie po co. Eridani wzniosł oczy ku niebu i jakby skamieniał. Nie wykonywał żadnych gestów, jakie zwykle wykonują magowie – nie kreślił skomplikowanych figur, nie wymachiwał pastorałem, nie wykrzykiwał niezrozumiałych słów, nie rozchlapywał eliksirów, a po prostu stał i czekał na odpowiedź. I odpowiedź nadeszła. Znaki na ostrzach mieczy zaczęły świecić, najpierw słabo, potem coraz silniej. Wyglądały, jakby oddzieliły się od kamienia, jakby już nie były wykute, ale utkane z promieni.

Zmieniły się i same miecze – teraz były jak odlane ze złota, ale w miarę przybierania przez ostrza złotego lśnienia, dokładało się jeszcze purpurowe światło, przywodzące na myśl krew albo odbłaski Zmierzchu, w który odeszli obrońcy Kertiany. Eridani uniósł berło i mocno wbił je w płytę u swoich stóp. Metalowy trzpień wszedł w kamień jak w masło, zapłonął wprawiony w głowicę kryształu, pociągnęły do niego oderwane od mieczy purpurowe promienie. Ernani nawet nie zdążył mrugnąć okiem,

jak powstała z nich krwawa ścieżka prowadząca od nóg anaksa ku schodom.

–Kobiety! – Ernani widział tylko plecy brata, a jego głos był beznamiętny. – Wejdźcie i przejdźcie drogą Zmierzchu.

Pierwsza na ścieżkę wkroczyła rudowłosa piękność; Ernani znał ją -żona jednego z wasali Domu Błyskawicy. Promień spływający z klingi Astrapa i zielone lśnienie Unda, które pojawiło się chwilę potem, otoczyły przyszłą matkę czułą aureolą. Kobieta, mimo że brzemienna, poruszała się z gracją i miękko niczym kotka. Należała do Domu Fali i mimo swojego wesołego charakteru była wierna swojemu mężowi. Jej towarzyszki nie mogły przeniknąć przez niewidzialną barierę – były służkami i oczekiwały dzieci od mężów również z prostego ludu – wejście na wzgórze Abweniuszy było dla nich zakazane. Beatrice stanęła w kręgu stelli ostatnia, trzy jej poprzedniczki tylko udowodniły, że Nieobecni odpowiedzieli na wezwanie anaksa, prawdziwa próba zaczęła się dopiero teraz.

Ernani z bijącym sercem patrzył na błękitną postać, której ogromny brzuch wywoływał dziwnie niedorzeczną czułość. Eoriuszka Borrasca weszła na drżącą płomienną ścieżkę i nic się nie stało. To nie zdziwiło młodzieńca – Borrasca pojął za żonę dziewczynę, w której nie było krwi Abweniuszy, ale poczęła od

eoriusza i tylko dlatego mogła wejść na Szczyt Mieczy. Od eoriusza, ale którego?!

Kobieta zrobiła krok, drugi, trzeci. Kimże jest ojciec? Kim?!

Cztery świetlne klingi skłoniły się ku sobie i zetknęły ostrza nad głową oskarżającej, splecione teraz na podobieństwo jakiegoś ognistego wieńca. Niebieskie światło Anema przechodziło w srebro Lita, a czerwone złoto Astrapa – w szmaragd Unda.

Wszyscy Nieobecni przyznali się do dziecka eoriuszki i to wyjaśniało wszystko: Beatrice Borrasca nosiła pod sercem potomka Rakana.

Eridani błyskawicznym gestem wyszarpnął berło z kamienia i wszystko zgasło. Kobieta udowodniła swoją rację i swoją niewinność. Anaks, nie mówiąc ani słowa, pochwyił pod rękę Ernaniego, po czym poprowadził za sobą, nawet nie popatrzywszy na Rinaldiego, który kroczył tuż za nimi. Młodszy epiarcha był mu za to wdzięczny, opierać się na dłoni gwałciciela i krzywoprzysięzcy nie potrafiłby.

Odezwał się dopiero, gdy dotarli do dolnego tarasu.

–Rinaldi... – nigdy wcześniej starszy brat nie wydawał się być tak zmęczony -...miałeś całą noc, dlaczego nie... Teraz muszę oddać cię pod sąd eoriuszy.

Eridani westchnął i – wciąż jeszcze nie wypuszczając ramienia Ernaniego – zupełnie innym głosem, pewnym i władczym, rzekł:

–Straże, wziąć go. W kajdany!

## **8. Mistrz**

Rinaldi jak nigdy przypominał leoparda otoczonego przez myśliwych - śmiertelnie niebezpieczny i nieprawdopodobnie piękny. Diamni rozumiał, że pozwolił, by owładnęły nim natchnienie i zachwył, i że jest to co najmniej niewłaściwe, ale nie potrafił nad sobą zapanować. Jutro będzie mu żal Ernaniego, Beatrice, jej siwego męża, jutro przypomni sobie szczegóły tego, co usłyszał, i wzdrygnie się z powodu podłości i złości, do której może zejść istota ludzka, ale to potem, a teraz będzie malował, malował i malował.

Artysta nie spuszczał spojrzenia z podsądnego, chwytając każdy jego gest, każdy wyraz twarzy, każdy zwrot głowy. Do nowej świątyni Lentiro będzie potrzebował wodza słonecznych demonów, a lepszego modelu nie ma. Więcej, w głębi duszy Diamni już zdecydował się na własny obraz. Będzie na nim uwięziony demon stojący przed Czterema. Mistrz Koro, jak prawdziwy uczeń wielkiego Sollegi, odejdzie od zwyczajowej abweniańskiej kompozycji i nie będzie malował zwycięzców – ich obecność powinna być wyczuwalna, ale nic więcej.

Jedyną postacią namalowaną w najdrobniejszych szczegółach, aż do rzęsy, która wypadłszy, przykleiła się do policzka, będzie Wróg. Będzie zły, dumny, uparty, nienawidzący i zwyciężony. Właśnie zwyciężony! Ci, co popatrzą na obraz, będą musieli zrozumieć, że z taką istotą, która zhańbiła całą swoją doskonałość, skończyło się wszystko na zawsze i że zasługuje ona na swój los mimo urody i potęgi. Można jej współczuć, ale nie wolno jej wybaczać i nie wolno się nią zachwycać. Widz powinien poczuć się takim samym wojownikiem i takim samym sędzią jak każdy z braci Abweniuszy, co to najpierw zatrzymali najazd i uratowali Kertianę, a dopiero potem zgodzili się nią rządzić.

Malarz szkicował, a sąd trwał. Anaks o coś pytał kruchą kobietę w niebieskiej sukni, coś mówili jacyś ludzie, pewnie świadkowie, bardzo długo perorował wysoko postawiony abweniat, któremu Diamni był szczerze wdzięczny, ponieważ jego przemowa wywoływała u Rinaldiego śmiech. Jakże on się śmiał! Artysta żałował tylko, że nie jest w stanie zatrzymać chwili – śmiejący się Wróg byłoby prawdziwym arcydziełem! A może powinien namalować kilka obrazów opowiadających o sędzie

Abweniuszy nad pychą, okrucieństwem, podłością i zawiścią, pokazując, że są rzeczy, których nie wolno wybaczać i o których nie wolno zapominać. Demon może odrodzić się w każdym z nas i żeby do tego nie doszło, należy poznać podstawy zła.

Trzy dni przeleciały niezauważalnie, Diamni niemal nie spał, jadł tylko to, co podsunęto mu pod sam nos, ale energia wprost zeń tryskała. Każdego dnia po wyjściu z Komnat Sprawiedliwości malarz pędził do siebie, błogosławiąc los pozwalający mu mieszkać w Cytadeli i nie marnować czasu na drogę do Miasta Wiatru. Szybko zmieniawszy ubranie, Diamni rzucał się do swoich szkiców, odtwarzając z pamięci wszystko to, czego nie zdążył narysować na miejscu. Sberta prac rosła, ale malarzowi ciągle było mało. Gdy wypytywano go, co się dzieje za masywnymi drzwiami zdobionymi znakami czterech żywiołów, odpowiadał monosylabami, że poszlaki są nie do obalenia, ale Rinaldi Rakan zaprzecza swojej winie. Szczegółów mistrz Koro niemal nie pamiętał, to znaczy nie pamiętał, kto i co mówił, za to był w stanie złożyć wyczerpujące sprawozdanie z każdego gestu czy spojrzenia oskarżonego. Oczywiście, należałoby naszkicować również anaksa i Beatrice z mężem! Diamni próbował to zrobić, ale w tym czasie Rinaldi uśmiechał się krzywo albo odrzucał głowę do tyłu i malarz zapominał o zbezczeszczonej kobiecie oraz o jakby zgasłym strategu.

Mistrz Koro ocknął się dopiero trzeciego dnia pod wieczór, kiedy proces dobiegł końca. Sąd eoriuszy uznał Rinaldiego Rakana za winnego gwałtu na

małżonce przywódcy Domu Wiatru, kłamstwa przed obliczem Wysokich Domów, anaksa i Nieobecnych. W imieniu Skały, Fali, Wiatru i Błyskawicy gwałciciel został skazany na śmierć. Oznaczało to walkę

osądnego z eoriuszami tak długą, aż któryś z Nieobecnych nie położy kresu ziemskiego żywota przestępcy. Prawo do rozpoczęcia śmiertelnego pojedynku przypadło Loriowi Borrascie.

–To koniec – syknął siedzący obok Kora grubas abweniat – nie te lata, a i przeciwnik, że tylko się powiesić.

Mnich miał rację, wystarczyło popatrzeć na Rinaldiego płonącego wyzwaniem i żądzą walki, żeby zrozumieć – znieważony umrze wcześniej niż znieważający. Malarz przypominał sobie scenę pod świątynią, kiedy następcą wykończył esperatyńskiego kaznodzieję. Z taką siłą i dumą epiarcha położył dziesięciu niewinnych ludzi, zanim zmęczy się i popełni błąd. Głupie prawo skazujące na śmierć nie tylko winnego, ale i niewinnych. Jakby Borrasca i jego żona mieli mało zmartwień!

Komnatę Sprawiedliwości zalała cisza. Mistrz Koro na wieki zapamiętał słoneczne promienie uderzające w szkła witraży, nieprawdopodobnie wysoką salę wyłożoną ciemnym rzeźbionym dębem, poczucie nieodwracalności nieszczęścia. Beatrice wyglądała jak blade północne widmo wywołane przez bezlitosnego zaklinacza wśród białego dnia. Borrasca prezentował się niewiele lepiej, chociaż twarz miał przepełnioną zdecydowaniem. Jego przyszły zabójca był spokojny, tylko wściekle płonęły szmaragdowe oczy. Diamni odruchowo przypominał sobie „Odchodzących” mistrza Sollegi: na jego obrazie Władca Fali miał takie same oczy jak Rinaldi Rakan – ogromne, szeroko rozstawione, barwą przypominające najlepsze kenallijskie szmaragdy. Ale czy spojrzenie Nieobecnego Boga, przepełnione miłością i goryczą, można było nazwać spojrzeniem zaszczutego leoparda?! Nie! Nasze ciała, doskonałe czy zniekształcone, są tylko naczyniami dla naszych dusz.

Głucho odezwał się dzwon i znowu nastąpiła cisza. Wstał anaksa. Według prawa, ogłaszając wyrok śmierci, władca Rakan powinien był zdjąć wieniec. Ale Eridani nie uczynił tego.

Diamni bardzo pragnął naszkicować najstarszego z braci, ale to było niemożliwe – wyroku wysłuchują na stojąco wszyscy, i sędziowie, i osądniony, i ci, którym pozwolono być obecnym na święcie sprawiedliwości.

–Eoriusze! – Mocny i spokojny głos Eridaniego jakby odbijał się od wysokiego sklepienia i naprawdę brzmiał jak głos wyższej woli. – Wasza decyzja jest sprawiedliwa. Przytoczone dowody są nie do podważenia. Rinaldi z Domu Rakanów zasługuje na straszliwą karę, ale on nie jest



zwyczajnym eoriuszem. Jest następcą tronu i potomkiem w linii prostej wszystkich Nieobecnych Bogów. Odmawiając przyznania się do swojej winy przed obliczem śmiertelnych sędziów, oddał się sądowi wyższemu. Zatem niech zdecydują o jego losie Władcy Skąły i Wiatru, Fali i Błyskawicy. Jutro Rinaldi Rakan, skuty i nagi, zejdzie do Labiryntu. Ja, anaks Złotych Ziem, Eridani z rodu Rakanów, zamknę Pułapkę Losu i niech się stanie wola Nieobecnych.

Beatrice Borrasca zakrzyknęła i objęła za szyję swojego męża, po raz pierwszy w tych straszliwych dniach okazując swoje uczucia. Ernani poderwał się i od razu opadł z powrotem jak pchnięty przez kogoś niewidzialnego. Enio Marikjare wykonał znak odwracający zło, ktoś za Diamnim histerycznie zachichotał.

–Niech się stanie – rzekł abweniarcha, wznosząc ku niebiosom zadbane ręce. – Niech zostanie Rinaldi wrzucony do Labiryntu i niech się tam zdecyduje los jego, a my tylko modlimy się do Nieobecnych o powrót i miłość.

–Nie wymodlicie jej!

Malarz obejrzał się i zobaczył stojącego Rinaldiego. Lodowa posągowość zniknęła, teraz skazaniec przypominał ożywioną błyskawicę. Zazwyczaj nienawiść zniekształca, ale epiarcha-następca był piękny nawet w nienawiści.

–Ty! – W Komnacie Sprawiedliwości znajdowało się około dwustu ludzi, ale epiarcha widział tylko anaksa. – Mój bracie z krwi, bądźże przeklęty tą samą krwią i moją niewinnością do ostatniego swojego potomka! Niech twój ostatni potomek po czterokroć przejdzie to, co ja z twojej łaski przechodzę. Będzie mu trudniej niż mnie, bo na nim zawisną wszystkie nieszczęścia i podłości wszystkich jego przodków, poczynając od ciebie. On odpowie za wszystkich, słyszysz, przeklęty anaksie?! Niewinni będą płacić za winnych i nie uda im się rozliczyć. A ja powrócę i popatrzę, jak przeklinają tych, którym zawdzięczają swój los. Niechże spadną te przekleństwa na twą duszę, Eridani Rakanie, gdziekolwiek ona jest, na twoją duszę i dusze twoich współników!

Twarz anaksa drgnęła, ale nie zdążył odpowiedzieć bratu. Gwałtowny podmuch wiatru otworzył jedno z ozdobionych kolorowym witrażem okien, ukazując kawałek niebieskoczarnego przedburzowego nieba. Mimo ciężko i nisko wiszących chmur Cytadelę zalewało bezlitosne jaskrawe światło, widniejący w otworze okiennym kawałek muru i część Wieży Wiatru wydawały się oślepiająco białe. Po pierwszym podmuchu wiatru drugiego już nie było,

wręcz przeciwnie – na Cytadelę zwała się dławiąca, potworna cisza, a potem do Sali Sprawiedliwości wolno i dostojnie wpłynęła purpurowa ognista kula wielkości kota. Powisiawszy

chwilę nad sędziowskim stołem, pewnie ruszyła do Rinaldiego, stopniowo zmieniając barwę: z czerwieni zachodzącego słońca, przez pomarańczową, żółtą, by na końcu zzielenieć.

Kiedy zrównała się z twarzą osądzanego, świeciła już taką samą tajemniczą głęboką zielenią, co i spojrzenie następcy. Zgęstek szmaragdowego ognia jakiś czas wisiał w odległości dwóch dłoni od twarzy Rinaldiego, jakby patrząc mu w oczy, potem zamigotał, rozpadł się na tysiące iskier i zniknął. Epiarcha zarechotał, a w tej samej chwili na zewnątrz rozległ się ogłuszający odgłos gromu i lunęła gęsta ulewa.

To był przypadek! Służba źle zamknęła okno, a podmuch wiatru... Podmuch wiatru? Czy to nie ten aby wiatr, który pomógł Rinaldiemu odrzucić esperatyńskiego fanatyka na niemożliwą dla człowieka odległość i targał czuprynę epiarchy, gdy nawet lekkie dziewczęce wstążki na ogrodzeniu świątyni wisiały kompletnie bez życia. Diamni jakby na jawie zobaczył tę scenę – znieruchomiały plac, nieruchomy, przedwieczorny upał i falująca złocista grzywa. Rakanowie są obdarzeni mocą idącą od Nieobecnych. Powiadają, że podlega ona tylko anaksowi, ale czy tak jest naprawdę?

Skazańca wyprowadzono.

Szedł spokojnym, nieco zmęczonym krokiem niczym żołnierz, który spełnił swe zadanie. Kiedy on i jego strażnicy zniknęli z oczu, wszystko nagle zostało wprawione w ruch. Komnata Sprawiedliwości gwałtownie pustoszała. Ludzie rozbiegali się, usiłując nie patrzeć sobie w oczy i nie zauważając biczącego wszystkich deszczu. Diamni postępował jak inni. Powinien był odnaleźć Ernaniego, ale rzucił się biegiem do domu. Miał świadomość, że postępuje nikczemnie i tchórzliwie, ale za bardzo był

wystraszony i przybity, by stanowić podporę dla kogoś innego.

Labirynt! Podziemia zaczynające się pod miastem i prowadzące w głąb ziemi, dokąd – według podań – Nieobecni zapędzili Pierwotne Stwory - złośliwych, na poły rozumnych i nienasyconych pierwszych mieszkańców tego świata. Gdzieś w podziemnej pajęczynie ukryta jest świątynia Abweniuszy, gdzie do tej pory płonie płomień zasilający Moc Rakanów i podtrzymujący mury Cytadeli oraz Pierścieni Galtar. Będą one trwałe, póki płonie ogień, a póki trwają one, trwa i Kertiana.

W podziemnych przejściach i galeriach trwa epoka Abweniuszy, kabitelscy heretycy twierdzą, że do tej pory krąży tam ukochana Władcy Fali, oczekując

jego powrotu. Na górze minęły tysiąclecia, a dla niej on oszczędził wczoraj. W Galtarach opowiadają, że w Labiryncie dzieją się rzeczy dziwne i straszne.

Bardzo długo wejścia do podziemi były otwarte, jednak ludzie przy zdrowych zmysłach i dobrej pamięci nie wchodzili tam, ale im odleglejsze stawały się czasy Abwienuszy, tym odważniejsi i bezczelniejsi stawali się śmiertelni. Poszukiwacze skarbów, przestępcy, nieszczęśliwie zakochani zaczęli wchodzić do pieczar i nikt ich już potem więcej nie widział. Za to za każdym razem, kiedy w Labiryncie ginął człowiek, w Kertianie pojawiał się nowy potwór. Albo podziemie, zabierając jednych, oddawało górnemu światu innych, albo schodzący w dół zmieniali swoją istotę, stając się czymś na podobieństwo Pierwotnych Stworów.

Sześćset lat temu mag-anaks Tairani Rakan z ogromnym trudem wytropił i zniszczył wilkołaka-zabójcę, który wyrwał się z podziemia. Już po zwycięstwie Tairani stworzył Pułapki Losu, magiczne zamki podległe tylko temu, kto je zamknął, i zmieniające każdego, kto ich dotknął choćby

tylko przez pojęcie peleryny – w żywy posąg.

Anaks własnoręcznie pozamykał wszystkie wejścia do labiryntów. Od tego czasu do podziemi z własnej woli nie zapuszczał się nikt, ale dwukrotnie drogą w jedną stronę odchodzili członkowie rodu Rakanów oskarżeni o zdradę państwową i nieuznający swojej winy. Teraz nastał czas Rinaldiego. Straszliwy los, ale zasłużony. Zginie tylko przestępca, a stary Borrasca i inni eoriusze ocaleją. Eridani postąpił mądrze i sprawiedliwie, decydując w taki sposób o losie brata, ale jakże musiało go to boleć. Oczywiście, świadomość własnej racji i czystego sumienia podtrzymuje go na duchu, jednak mimo to Diamni za nic na świecie nie chciałby być na miejscu anaksa.

Jak zawsze, gdy na duszy było mu szczególnie ciężko, młody artysta postanowił odwiedzić mistrza Lentira. Musi pokazać mu szkice, zasięgnąć rady co do obrazu, popatrzeć, jak posuwają się „Odchodzący”... I tak w końcu nie jest dziś w stanie samotnie siedzieć w swoich pokojach, a tym bardziej nie ma siły na oglądanie Ernaniego. Tak, to tchórzostwo, ale malarz nie musi być przykładem odwagi i miłosierdzia, nie jest wojownikiem i nie jest abwieniańskim pocieszycielem. Diamni pospiesznie pozbierał zgromadzone w ciągu kilku ostatnich dni rysunki, narzucił pelerynę i opuścił Cytadelę.

Miasto sprawiało wrażenie zaniepokojonego i pobudzonego jak zdziczały kot. Nieliczni przechodnie pospiesznie przemierzali ulice w swoich sprawach, starając się trzymać blisko murów domostw. Galtarczyki już wiedzieli o wyroku i przekleństwie, opanował ich nietrudny do zrozumienia lęk – w Labiryncie czaiła się groza, ruszać ją było niebezpiecznie.

Mistrz też już wszystko wiedział. Widocznie nie zawiodła gorliwa służąca

opowiadająca wszystkie nowiny, niemal zanim się jeszcze zrodziły.

–Nie podobasz mi się. – Stary malarz uważnie spojrzał na swego dawnego ucznia. – Co prawda dziś nikt mi się nie podoba, nawet ja sam. Chyba będziemy musieli dziś znowu pić wino. Tym razem dla kurażu.

–Jestem gotów – zmusił się do uśmiechu Diamni i pośpiesznie dodał: - Przyniosłem szkice... Mam ich dużo, nie zdążyłem powybierać...

–Chciałeś jak najszybciej uciec z Cytadeli? – Sollega jak zwykle trafił w punkt, i też jak zwykle nie zauważył tego. – No to dawaj! Im więcej rysunków, tym lepiej. Rysujesz lepiej niż wybierasz.

Diamni podał mu w milczeniu szkice i cicho usiadł obok. Serce malarza tłukło się w piersi, tak działo się zawsze, kiedy Lentiro oglądał jego prace. Jaki będzie wyrok? Koro miał nadzieję na pochwały i bał się złej oceny. Wiedział, że jeśli Mistrz powie „źle”, obraz nie powstanie, choćby wszyscy pozostali artyści świata mówili „dobrze”. Sollega ma zawsze rację, w tę prawdę Diamni nie wątpiłby nawet przed sądem Nieobecnych.

Młody człowiek z niepokojem wpatrywał się w twarz mistrza, a ten uważnie i niespiesznie badał rysunek po rysunku. Patrzył, czasem wracał do poprzedniego, znowu patrzył, wyszukiwał z pliku szkiców jakiś jeden już obejrzany. Diamni poczuł ulgę: jeśli Sollega coś odrzucał, to czynił to od razu i nigdy jeszcze nie przyglądał się szkicom swojego ucznia tak długo. Czyli „Demon” powstanie! I wizerunki przy wejściu do nowej świątyni też.

Malarz, wstrzymując oddech, oczekiwał werdyktu mistrza, niemal nie wątpiąc, że za chwilę stanie się najszcześliwszym ze śmiertelników i czując jednocześnie obawę, że coś pójdzie nie tak. Lęki i współczucie zniknęły, pozostała sztuka i nienamalowany obraz. W końcu Lentiro odłożył szkice.

–Godne. – Jaką dziwną minę miał ten wielki artysta! – Bardzo godne.

–Dziękuję, mistrzu.

–To ja powinienem ci dziękować. Tyś nie tyle zwyczajnie się przyglądał, co czułeś sercem. Tak więc Rinaldi Rakan został osądzony?

–Tak.

–Diamni... – coś w głosie Lentiro spowodowało, że młody człowiek zrobił się czujny -...ręczysz za dokładność? Spędziłeś te dni w komnacie sądu, a nie w karczmie? Rysowałeś, co widziały twoje oczy, czy to, co słyszały twoje uszy?

–Klnę się na Wieczność! – Koro nie rozumiał, o co chodzi. –

Siedziałem bardzo blisko, światło padało na oskarżonego. On ma wspaniałe oblicze! Właśnie tak musi wyglądać Wróg: jest piękny i jednocześnie przerażający, kłamliwy i *okrutny*. Spieszyłem się, żeby zdążyć... Szczęście, że Rinaldi zachowywał ciągle tę samą postawę. Nigdy

nie miałem takiego modelu.

–Mój chłopcze – stary malarz nakrył dłoń ucznia swoją – nie wątpię ani w twoją uczciwość, ani w mistrzostwo, ale zanim powiem ci, co powiem, muszę się upewnić, że nikt na ciebie nie wpływał. Mam na myśli tych, co byli po stronie Rinaldiego.

–Ależ po jego stronie nie było nikogo i nie mogło być.

–Mylisz się, chłopcze. Ty byłeś po jego stronie.

Mistrz nie może się mylić, ale... Nieobecni w Zmierzchu, co takiego powiedział Lentiro? Jak on, Diamni Koro, może być po stronie gwałciciela?! Czy może mistrz uważa, że namalowane oblicze jest zbyt doskonałe, ale Rinaldi naprawdę jest nieludzko piękny!

–Mistrzu, ja... Ja wszystko odwzorowałem wiernie. On naprawdę ma absolutnie doskonałe rysy, nie pochlebiam mu w szkicach.

–Wierzę, ale mówię nie o zewnętrznym pięknie, choć i tym ten człowiek jest obdarzony w pełnej mierze. On jest niewinny, Diamni. Dla mnie jest to tak oczywiste, jak to, że jest piękny. Twój umysł przebywał w niewoli, ale twoje oko i twoja ręka nie zawiodły. Przyjrzyj się raz jeszcze jego twarzy, tej, którą narysowałeś. Przyjrzyj się uważnie! Wyrzuć z głowy wszystko poza tym, co widzisz. Daję ci pięć minut! – Mistrz odwrócił klepsydrę. – Potem pogadamy jeszcze.

Diamni skinął głową, wiedząc, co jego mentor miał na myśli. Sollega nauczył go patrzeć, odrzucił więc zbędne uprzedzenia, wpił się wzrokiem w porozkładane na stole rysunki.

Doskonała twarz obramowana jasnymi, lekko falującymi włosami... En face, profil, pół obrotu, trzy czwarte. Zuchwały uśmiech, prosty podbródek, nieco zapadnięte policzki, precyzyjna linia kości policzkowych, szeroko rozstawione oczy, oczy... zdziwionego dziecka! On nie wierzy w to, co się z nim dzieje, nawet nie „nie wierzy”, a nie rozumie, jak się tu znalazł i co się dzieje. Dlaczego nikt nie wierzy, dlaczego nie wierzą mu ci, którzy znają go od urodzenia...

–Czas minął, Diamni. – Stary malarz uważnie wpatrywał się w swojego ucznia. Jeśli mistrz Koro kiedykolwiek odważy się namalować alegorię Sumienia, to będzie nią zmęczony stary człowiek ze spojrzeniem nauczyciela. – Co teraz powiesz?

–Jest niewinny. On nic nie rozumie i boi się, choć nie daje tego po sobie poznać.

–Tak, biedak umrze z dumnie uniesioną głową, obrzuciwszy swoich sędziów wszelakimi inwektywami. I umrze niewinny. Szkoda. On ma złote serce, ten epiarcha. Diamni, nie wolno go porzucać, to by było bezbożne!

–Mistrzu, ale co my możemy?! Jutro zamkną go w katakumbach, skąd się nie wydostanie.

–Rinaldi jest zdrow i silny, więc jeśli będzie wiedział, dokąd ma iść, wyjdzie. Albo zginie, ale to i tak lepsze niż powolne umieranie, wiedząc, że się jest przeklętym i opuszczonym przez wszystkich. Musisz z nim porozmawiać sam na sam. Poproś Ernanię. Powiedz... Powiedz, że musisz dokończyć obraz.

## 9. Epiarcha

Każdy z dwustu dwudziestu sześciu stopni Wieży Wiatru sam z siebie już był torturą, ale Ernani pokonał je. Oczywiście mógł rozkazać przyprowadzić Rinaldiego do siebie, ale młodszy z epiarchów Rakanów nie był pewien, czy strażnicy usłuchają jego rozkazu. Raczej pobiegną pytać o pozwolenie Eridaniego, zaś ten... Ten za bardzo stał się anaksem, nie pozwoli na widzenie z więźniem sam na sam, a Ernani nigdy nie zaśnie spokojnie, wiedząc, że brat umarł w Labiryncie pod Galarami. Nieobecni, dlaczego Rinaldi zapieka się w swojej nienawiści?! Tego, co było, już się nie odwróci, ale skrucha i wybaczenie oświeła drogę odchodzącym w mrok.

Gdy ktoś się przyzna i okaże skruchę, pozwalają mu skończyć ze sobą, ale Rinaldi odrzucił tę łaskę. Ernani znał upór brata i wiedział, co powinien zrobić. Szpilka z trucizną! Jedno ukłucie i Rinaldi będzie wolny od sądu ziemskiego. Oczywiście, Eridani domyśli się, domyślą się również inni, ale więzy krwi zobowiązują i w końcu Ernani nie jest anaksem, a tylko młodszym bratem, kaleką... Jak można go ukarać?

Straże przy drzwiach, jeśli nawet zdziwiły się na widok epiarchy, to nie okazały tego. Wszystko się wyjaśniło, gdy wysoki jasnowłosy zbrojny, zamiast sięgnąć do kluczy, zastukał w obite miedzią drzwi. Dozorcy więźnia znajdowali się nie tylko na zewnątrz, ale również wewnątrz -posępny wojownik i mnich-pocieszyciel z obłudnym obliczem.

–Mój epiarcho! – niemal wykrzyknął ten na widok wchodzącego.

–Tak, to ja – powiedział, siląc się na władczy ton, Ernani. Dostrzegł, że Rinaldi spał odwrócony do drzwi plecami, a może wcale nie spał, tylko udawał. – Zostawcie nas!

–To niemożliwe. Przy osądzonym przez dzień i noc musi się znajdować co najmniej dwóch ludzi. Mogę odesłać strażnika, ale sam zostanę.

–Odejdiesz! – Najmłodszy z Rakanów mówił gwałtownie jak jego bracia, ale na mnicha-pocieszyciela to nie działało.

–Nie, mój epiarcho. Mój obowiązek wobec Nieobecnych bogów i mojego anaksa każe mi zostać.

–Chcę porozmawiać z bratem sam na sam i będę z nim rozmawiał w

samotności. To rozkaz anaksa. Jeśli chcesz, to wyślij do mojego najjaśniejszego brata strażnika, ja poczekam.

Ernani Rakan nigdy nie kłamał, to wiedzieli wszyscy. A i komu mogło przyjść do głowy, że pozwolenia nie otrzymał? Eridani mógł okazać uczucie bratu-przestępcy, ale że anaksowi nie wypada rozmawiać ze skazanym, to młodszy epiarcha... Poczieszyciel skłonił się:

–Będzie tak, jak życzy sobie mój anaks. Opuszczamy was.

–Czekajcie za drzwiami – rzucił młodzieniec. – Nasza rozmowa długo nie potrwa.

Straż nie powinna opuszczać wieży, istniała wszak niewielka możliwość, że oszustwo się wyda, zanim... Ręka Ernaniego odruchowo dotknęła kołnierza, który zdobiła szpilka w kształcie obsypanej purpurowymi drobinami srebrnej róży. Nie należy przyciągać uwagi.

Ciężkie drzwi zatrzęsły się. Bracia zostali sami. Rinaldi już nie leżał, a siedział, przytrzymując rękami okowy.

–Rinaldi...

–Tak? – Czujne, wyczekujące spojrzenie. Wcześniej tak nie patrzył.

–Ja... ja przyszedłem...

–Cieszę się, że cię widzę. Co więc kazał ci przekazać mój ukoronowany brat?

–Nic. Skłamałem, żeby oni sobie poszli.

–Skłamałeś?! – Oczy Rinaldiego zapłonęły, szarpnął się do przodu, ale łańcuchy trzymały mocno.

–Musiałem cię zobaczyć. – Ernani najszybciej jak potrafił przykuśtykał do więźnia i usiadł obok niego, niechcący dotknąwszy zimnego żelaza. – Jakie to ciężkie... Po co?

–Widać tak trzeba. – Starszy epiarcha uśmiechnął się samymi ustami. – Im cięższe oskarżenie, tym grubsze okowy. To nic, przed egzekucją nałożą inne, lżejsze.

–Rino... – Młodzieniec zamilkł, ale po chwili ciągnął dość pewnym głosem: – Wiesz, że jestem kaleką... Nie chciałem żyć w takim ciele...

–Głupoty! – Akwamarynowe oczy błysnęły gniewem. – Życie jest piękne, nawet jeśli jest nie do zniesienia!

–Ty nie możesz tego zrozumieć...

–No pewnie – potwierdził więzień.

–Kpisz sobie ze mnie.

–Kpię i będę kpił! Na złość wszystkim. Ale przerwałem ci... Dzieje się coś niedobrego?

–Ze mną? Rinaldi... Czy ty nie rozumiesz, co cię czeka?

–Czekają mnie katakumby – spokojnie odparł epiarcha. – Mrok, chłód, być może potwory i pewna śmierć. Wszystko świetnie rozumiem, ale to nie powód do szlochu.

–Dlaczego się nie przyznasz, dlaczego?!

–Przekleństwo! Bo nie dotknąłem tej szmaty! Co byłbym wart, gdybym wziął na siebie jej wyskoki!

–Beatrice nie jest szmatą! Była torturowana, dręczona...

–No to szlochaj sobie z tego powodu, a czego chcesz ode mnie? Czego on chce? Prawdy! Niech się przyzna do tego, co zrobił, od razu wszystkim ulży – Eridanemu, Borrascie, wszystkim eoriuszom.

–Rino, ja ciebie rozumiem. Ty... ty najpierw nie chciałeś zrobić nic złego, po prostu jesteś zły na starucha, że cię nie wziął ze sobą. Bo nie znosisz, kiedy ktoś się z tobą nie zgadza.

–Prawda. – Brat znowu się uśmiechał. – Nie znoszę.

–No i widzisz? Kiedy Beatrice ci odmówiła, ona... Ona pewnie powiedziała coś strasznego, obraźliwego i to cię rozjuszyło. Tak jak z tym kaznodzieją, pamiętasz, jak mi opowiadałeś?

–Pamiętam. – Spojrzenie więźnia przypominało lód. – Co było, to było. Słusznie uczyniłem, że wykończyłem tego świętoszka, ale żony Borraski nie tknąłem.

–Dlaczego kłamiesz? – zawołał młodzieniec. – Przyszedłem ci pomóc, a ty...

–Znamy się od siedemnastu lat, Ernani z rodu Rakanów. Jeśli jednak wierzysz w moją winę, to nie mamy o czym rozmawiać...

–Rinaldi, jak mam nie wierzyć? Jak?! Ani jedno twoje słowo się nie potwierdziło, oskarża cię nie tylko Beatrice, ale i jej słudzy, twoja przyjaciółka, nawet twoja krew!

–Jak masz nie wierzyć? – Brat jak nigdy dotąd przypominał leoparda. – Wygląda, że nijak. Chociaż ja nigdy bym nie uwierzył, gdyby ktoś oskarżył cię o to, że chcesz wykończyć mnie i Eridaniego i zawładnąć tronem! Nie uwierzyłbym, nawet gdyby rozwarły się niebiosa i wrócili Nieobecni.

–Jak możesz tak mówić!

–Tak jak i ty, Ernani! – Rinaldi machnął ręką, głucho i ironicznie zabrzączał łańcuch. – Wierzysz, że pół roku gwałciłem żonę starego Borraski, którego my wszyscy uważamy za rodzinę. Dlaczego nie miałbym uwierzyć, że zamierzasz otruć mnie i Eridaniego? Nie jestem na tyle dobrym człowiekiem, bracie, żeby dla twojego spokoju przyznać się do podłości, której nie wyrządziłem.

–Dla mojego spokoju?! – Młodzieniec pochylił się w kierunku brata. –



Spokoju?

–Oczywiście. Żebyś mógł z czystym sumieniem odprowadzić mnie do pieczar, albowiem jest to sprawiedliwe, a potem byś mógł zacząć mnie oplakiwać, albowiem jestem twoim bratem. Czy nie tak?

–Zwariowałaś!

–Wręcz przeciwnie, nigdy nie byłem zdrowszy na umyśle niż teraz. Eridaniego rozdyma poczucie własnej słuszności. A jakże, przecież osądził własną krew! Wielki anaks! Sprawiedliwy anaks! Nieprzekupny anaks! A ty bardzo chcesz stać się ogólnym pocieszycielem, ale ja ani od ciebie, ani od Eridaniego nie potrzebuję niczego! Słyszysz? Niczego! Ani nauk, ani wybaczenia. A wam też nie wybaczę.

–Rinaldi, dlaczego tak do mnie mówisz? Chcę ci pomóc...

–A jak mam z tobą rozmawiać?

–No to lepiej już sobie pójdę...

–Rzeczywiście, lepiej, żebyś sobie poszedł... – zgodził się więzień. – Mdl mi w twojej obecności, a kajać się nie zamierzam. Nie mam powodu, rozumiesz to?

Ernani poderwał się i zaczął walić pięściami w drzwi. Otwarto je w mgnieniu oka. Podśluchiwali? Raczej nie. Za grube dechy i za dużo ludzi.

–Mój epiarcho – pocieszyciel zwracał się do Ernaniego jak do następcy – czy mój epiarcha już odchodzi?

–Tak – zadarł do góry podbródek młodzian. – Powiedziałem, co miałem powiedzieć.

A co miał zrobić? Wyszarpać z Rina przyznanie? Komu to potrzebne? Brat ma rację, to potrzebne jest żyjącym, by żyć. Rinaldi jest winien, co do tego nie ma wątpliwości, dlaczego więc atakuje, zamiast się bronić? Brat umrze w korytarzach Labiryntu, umrze straszliwą śmiercią, ale sam jest sobie winien. Skąd w nim tyle złości, kłamstwa, pogardy do wszystkiego, co święte, no skąd?!

–Mój epiarcho, może pomogę ci zejść?

–Nie. Poradzę sobie. I zszedł sam, chociaż dwa razy potknął się, omal nie upadł, tak

niewygodne i wąskie były schody. Opowiedzieć Eridanemu o spotkaniu? Po co? Chociaż jeśli prawda tak czy inaczej wyjdzie na jaw, to nie będzie mataczyć, po prostu nie powie o szpilce z różą. W końcu może się przydać jeszcze władcy, a Rinaldi sam wybrał sobie swój los. Nie da się go uratować...

Eridani wszystko zrozumiał wcześniej, dlatego powiedział, że Rino jest stracony dla wszystkich. Biała jaskółka niczym błyskawica przecięła niebo. Biała

jaskółka... Symbol Wiatru, herb rodu Borrasca, znak tego, że wszystko jest w porządku, ale jakże – mimo to – jest strasznie!

Ernani zawsze kochał Rinaldiego bardziej niż najstarszego brata, ale on jest anaksem. Powinien myśleć o rzeczach wyższych, nieważne czy to boli.

Kiedy w Rinaldim zamieszkał ten demon? Wcześniej brat ani nie kłamał, ani nie był zły czy okrutny. Czyżby miał rację kaznodzieja, mówiąc, że całe zło świata rodzi się z pychy i niechęci do otwarcia swojego serca przed Stwórcą? Przed Stwórcą czy Nieobecnyimi Bogami? Czy to takie ważne przed kim? Najważniejsze jest to zło, które nosimy w sobie. Biedny Rinaldi, jaki straszny koniec...

## 10. Mistrz

Diamni czuł się jak niegodziwiec. Ernani w ostatnim czasie wyglądał jak własny *cień* i malarz wiedział, że jego prośba będzie dla młodziana nowym ciosem.

Sumienie wymagało, by powiedział prawdę, ale mistrz miał rację – jeśli Ernani zważy w niewinność Rinaldiego, a ten i tak zginie, to najmłodszy z braci Rakanów może tego nie przeżyć. Co innego wyrwać ze swego serca przywiązanie do przestępcy, co innego wiedzieć, że zginął niewinny człowiek, i nic nie przedsięwziąć, by mu pomóc. Rinaldiego mogła uratować tylko tajemnica, a galtarskie mury miały zbyt wiele uszu. Malarz odrzucił wszelkie wahania i zastukał do drzwi epiarchy.

Ernani siedział przy oknie, na kolanach trzymał otwartą księgę, ale wątpliwe, by myślał o tym, co tam było napisane. Słyszając skrzypienie drzwi, odwrócił się i szeroko otworzył oczy. Jakże był w tej chwili podobny do Rinaldiego! Ta sama wrodzona gracia i rezygnacja.

–Diamni... Myślałem, że dziś lekcji nie będzie.

–Bo i nie będzie. – Malarz, podporządkowując się niewypowiedzianej prośbie, usiadł naprzeciwko swojego ucznia. – Ale przyszedłem w związku z malarstwem.

–Tak? – O Dzieci Zmierzchu, jakież brak nadziei w tym głosie! Biedak byłby szczęśliwy, gdyby poznał prawdę, ale ten, który zastawił na Rinaldiego pułapkę, wiedział WSZYSTKO O tym, co dzieje się w pałacu. Nie wolno ryzykować. Dla dobra osądzonych i dobra jego nieszczęśliwych braci. Ten, kto słucha, o ile – rzecz jasna – słucha, nie powinien wątpić w to, że Diamni Koro myśli tylko o obrazie, na którym Rinaldiemu sążone jest przedstawiać demona.

Przekleństwo! Przecież tak to było, jeszcze wczoraj nie myślał o ludziach, o cudzym poranionym życiu, a tylko o tym, by pozbierać cudzy ból i utkać z niego wzór godny wieczności.

–Słucham, Diamni. – Jutro chłopiec stanie się następcą Eridaniego i będzie

nim, póki anaks nie spłodzi prawowitego potomstwa.

–Ernani, mam nadzieję, że mnie zrozumiesz. Może uznasz mnie za szaleńca, ale zrozumiesz. Dla mnie najważniejsza rzecz w moim życiu to moja sztuka. Świat, miłość, wojna – dla innych. Ja żyję tylko tym, co przenoszę na swoje płótna.

Tak było, ale tak już nie będzie. Całe jego minione życie widział teraz jako sen i tchórzostwo. Nie wolno żyć wymysłem, mirażem, nie zauważając obcego bólu, zamykając oczy na niesprawiedliwość i kłamstwo!

–Tak, wiem. W czym mogę ci pomóc?

–Nie zdążyłem skończyć szkicu. Sąd trwał za krótko...

Za krótko?! Nieobecni Bogowie, o czym on gada?! Jeśli Rinaldi zginie, to on, Diamni Koro, straci nie tylko obcego człowieka, ale i tego chłopca.

Ernani nie wybaczy mu obojętności.

–Ja... Nie rozumiem cię.

–„Pyszny” stałby się moim najlepszym płótnem, gdybym zdążył naszkicować twarz Rinaldiego w ujęciu trzy czwarte. Najpierw sądziłem, że najlepiej będzie pokazać go en face i umieścić w centrum kompozycji, ale wczoraj, wróciwszy do domu, zrozumiałem, jak się myliłem. To odkrycie przewróciło całe moje życie.

Bogowie, okazuje się, że można mówić prawdę i potwornie przy tym łągać! Wczorajszy wieczór rzeczywiście wszystko odmienił. Zwariowany malarz umarł i nawet Abweniusze nie wiedzą, kto się urodził.

Diamni obojętnie popatrzył w oczy ucznia i skończył:

–Ernani, muszę zobaczyć epiarchę Rinaldiego i naszkicować jego twarz w ujęciu trzy czwarte.

–Ty... Chcesz wejść do wieży i... szkicować mojego brata?

–O tak! – Diamni aż się pochylił do przodu. – Przecież jutro już będzie za późno.

–Jutro będzie za późno – wolno powtórzył Ernani. – Tak... Jutro będzie za późno. Nigdy nie nauczę się malować, ponieważ... Ponieważ nie potrafię zamienić życia na płótno. Jestem żywy, może i chory, może i słaby, ale żywy, a ty nie...

–Możliwe. – Niech Ernani go znienawidzi, ale Diamni wywalczy widzenie! – Ale żywi stają się martwymi, a sztuka jest wieczna.

Młodzieniec nie odpowiedział, w milczeniu przyglądając się malarzowi, jakby go widział po raz pierwszy w życiu. Za drzwiami rozległ się hałas, chyba ktoś uderzył kamieniem w drewno, skrzypnęły drzwi. Ktoś przyszedł, a sprawa nie została załatwiona. Teraz Ernani skorzysta z okazji, żeby przerwać tę trudną

rozmowę. Czyżby nadeszła chwila, kiedy konieczne będzie powiedzenie prawdy? Widocznie tak. Wróci za chwilę i powie wszystko...

–Muszę porozmawiać z tobą, bracie. – Eridani Rakan stał na progu, a stuknięcie... Strażnicy uderzyli drzewcami włóczni w podłogę, witając anaksa.

–Dobrze. – Chudziutki jasnooki chłopiec, który za chwilę stanie się następcą tronu, wstał z szacunkiem. – Jestem gotów. Diamni prosił o pozwolenie na odwiedzin... musi skończyć obraz.

–Jaki?

–„Pyszny”.

–Cóż, ma rację – usta Eridaniego zacisnęły się – będziesz musiał uczyć się braku litości, Erno. Dla anaksa, jeśli jest prawdziwym anaksem, jak i dla malarza, jeśli jest prawdziwym malarzem, istnieje tylko jedna najważniejsza rzecz. Dla anaksa to państwo, dla malarza obraz. Mistrzu, to, czego potrzebujesz, by malować, masz przy sobie?

–Tak, mój anaksie.

–Ile czasu będziesz potrzebował? Pięć minut, by powiedzieć prawdę, i półtorej godziny, by ją ukryć.

–Co najmniej trzy godziny, panie.

–Będziesz je miał. Możesz tam iść od razu. Kannio! Na progu pojawił się młody człowiek podobny do wilczarza.

–Odprowadź mistrza Diamniego do epiarchy Rinaldiego. Będzie go malował.

Diamni nigdy wcześniej nie widział więzienia, ale wyobraźnia malarza usłużnie podsuwała widok mrocznej piwnicy, stertę zgniłej słomy w kącie, niskie, wilgotne sklepienia, na których jedna po drugiej puchną i spadają w dół krople wody, przekreślone kratą okienko pod samym sufitem. Koro szykował się do zejścia w dół, a został poprowadzony do góry. Skazanego osadzono w Wietrznej Wieży – jeszcze jedno przypomnienie grzechu, wszak zbezczesciwszy Beatrice, Rinaldi obraził cały Dom Wiatru.

Schody nie miały końca, wąskie stopnie wirowały i kręciły się, nogi ledwie przestępowały z jednego na drugi. W końcu doszli. Jeszcze jedno rozczarowanie! Strażnik wcale nie dzwonił kluczami, otwierając zamki i odsuwając zasuwę, a tylko zaczął bębnić w okute miedzią ciężkie drzwi, które natychmiast otworzyły się, a na progu wyrósł posępny mnich z wysokim czołem, bardziej przypominający uczonego niż kata.

–Oto – oznajmił strażnik – malarz... Przysłali... Demona malować.

–Witam mistrza! – Mnich zachowywał się z szacunkiem i obojętnie. – Mam nadzieję, że ci wystarczy światła.

Taka wieża byłaby marzeniem każdego malarza. Ośmiokątna komnata z ośmioma oknami, przez które wlewało się jaskrawe letnie światło. Ani wilgoci, ani krat, ani żalostnego ogarka świecy. Okowy co prawda były. Widocznie strażnicy obawiali się, że więzień popełni samobójstwo, i podjęli wszelkie kroki, by tego uniknąć.

Rinaldi pótleżał na kopcu przykrytego owczymi skórami siana na środku pomieszczenia, ręce, nogi i gardło epiarchy obejmowały żelazne obręcze, do których umocowane były łańcuchy prowadzące do wkręconych w podłogę pierścieni. Więzień mógł leżeć, siedzieć, nawet klęknąć, ale nie mógłby rozbić sobie głowy o podłogę czy ścianę, ani wyskoczyć przez okno. Ale i tego było mało! Skazanego pozbawiono nawet samotności – w komnacie poza pocieszycielem z wysokim czołem znajdował się strażnik – potężne chłopisko, wyraźnie nudzące się przy południowym oknie.

–To jest mistrz Diamni – widocznie mnich uznał, za stosowne wyjaśnić Rinaldiemu pojawienie się nowej postaci – będzie malować. Na rozkaz anaksa.

Tak, będzie malował i namaluje, bo inaczej zaczną go podejrzewać o oszustwo. Ale nie tylko dlatego! Jeśli Rinaldiego nie uda się uratować, przynajmniej biedaka nie zapomną! Sędziowie sądzą, że malarz maluje demona, a on... Nieobecni w Zmierzchu, jak nazwać ten obraz? „Rozpacz”? „Niesprawiedliwość”? „Samotność”?

–Mistrzu Koro, wybierz sobie miejsce, gdzie chcesz usiąść. On – mnich wskazał głową więźnia – ci nie pomoże.

Gdyby Diamni naprawdę przyszedł tylko malować, to usiadłby przy północnym oknie i stworzył wstrząsający obraz, ale myślał o czymś innym. Jak usunąć strażników, jak powiedzieć skutemu młodzieńcowi, że jest jego przyjacielem, a nie bezlitosnym potworem, który zamiast serca ma paletę do rozcierania farb?

–Mój epiarcho, proszę cię o zezwolenie.

Rinaldi wolno – przeszkadzała mu obroża – odwrócił się do malarza.

–Maluj, jeśli ci to do czegoś potrzebne. Mam pozostać w tej pozycji czy odwrócić się?

–Trochę się odwrócić... O tak... Teraz światło pada idealnie, a ja muszę podkreślić linię kości policzkowych. Masz doskonałe rysy, mój epiarcho.

–Tak, kiedyś byłem z nich zadowolony. – W szeroko rozstawionych jasnych oczach nie widać było ani strachu, ani współczucia, ani nadziei. Rinaldi już przekroczył tę rubież, która oddziela żywych od martwych. Po wściekłości, tak zdumiewającej dla Diamniego, nie pozostał nawet ślad, ogień zgasł, został popiół

– lekki, srebrzysty popiół, który rozwieje wiatr...

Nie było już raczej o czym mówić. Diamni uklonił się lekko i usiadł na zaproponowanym przez pocieszyciela taborecie. Usiądzie i będzie szkicował, a potem jak się uda. Malarz rozłożył swoje skarby, wybrał odpowiedni grafit. Przez okno wleciała mucha, wykonała kilka okrążeń i poleciała w kierunku strażnika – widocznie tam poczuła poczęstunek. A Rinaldi jak? Dają mu jeść czy ma spędzić swój ostatni dzień, modląc się i poszcząc? Woda jest... Czy nie mogli dać mu wina? Czy nie mogli pozwolić umrzeć mu z mieczem w dłoni czy po prostu – zwyczajnie umrzeć? Trucizna też może być miłością.

Diamni rysował, epiarcha pótleżał, patrząc albo w niebo, albo w nic. Wychowanek mistrza Sollegi nigdy nie miał takiego modelu – doskonała uroda i kompletna nieruchomość. Rinaldi już umarł, umarł wczoraj, kiedy od niego odwrócili się bracia, eoriusze, kochanka. Artysta był świadkiem agonii – niepotrzebnie zakuto więźnia, jest nieszkodliwy, ponieważ niczego już nie chce – ani żyć, ani mścić się.

Węgiel fruwał nad białą kartką, dziesiątą czy dwunastą z kolei. Strumień światła przesunął się lekko, ale to wyszło na dobre. Co robić, jak spełnić swoją misję?

Jakiś ruch z tyłu. Mnich! Nie wolno pokazać, że się myśli o czymś więcej niż tylko o rysowaniu... Czyżby już się kończył jego czas?

–Mistrzu Diamni. Przy więźniu muszą być co najmniej dwie osoby. Ja muszę, ghm... Wyjść na kilka minut. Nie będę wołał strażnika, jeśli posiedzisz tu jeszcze pół godziny.

–Co? – Chyba przesadził, ale skąd niby pocieszyciel ma wiedzieć, jak zwykle zachowuje się mistrz Koro. – Coś mówiłeś?

–Czy będziesz tu jeszcze jakiś czas?

–Tak, tak, oczywiście... Mam jeszcze tyle... – mamrotał w roztargnieniu malarz, nie odrywając spojrzenia od rysunku. Strażnika można uderzyć, nawet nie zrozumie, co się stało. Ile więc mają czasu? Raczej nie więcej niż dwadzieścia minut, ale też i nie mniej niż dziesięć.

Skrzypnęły drzwi. Wspaniałe grube drzwi, okute miedzią, pozbawione okienka... Diamni upuścił węgielek i pochyliwszy się, zerknął na strażnika. Ten drzemał oparty o ścianę. Usta rozchylił, po ręce spaceruje gość -mucha.

–Strażnik... Czy strażnik raczy... – zaczął malarz. Jeśli nie odpowie, znaczy, że nie usłyszy również ich rozmowy, a jeśli odpowie... Cóż, skromny artysta ma w kieszeni zawinięty w wołok kamień, chociaż bardzo by nie chciał...

Nie raczył. Śpi. Chwała Nieobecny, śpi! Jeśli się obudzi, to... To Diamni poprawił skóry, na których leżał model.

–Mój epiarcho... – Ten nawet nie poruszył się. – Mój epiarcho, strażnik śpi...  
A ja... Ja wiem, że jesteś niewinny.

–Wiesz? Skąd?! – Rinaldi gwałtownie szarpnął głową. To był tak piękny ruch, że ręka malarza odruchowo poruszyła się, chcąc wykonać kilka kresek, ale Diamni pamiętał, po co tu przyszedł. Rzucił się do więźnia.

–Od ciebie samego. – Uklęknął i zaczął poprawiać skóry. – Rysowałem przez trzy dni w sądzie... Jak i wszyscy wierzyłem w twoją winę. Poszlaki były nie do podważenia, ale moje ręce zrobiły, co do nich należało. Dziś pokazałem swoje szkice mistrzowi, a ten powiedział, że jesteś niewinny. Pomyślałem, że źle usłyszałem, ale mistrz kazał mi patrzeć na twoje oblicze przez pięć minut. Kiedy odwrócił klepsydrę, zrozumiałem, że ma on rację. Mój epiarcho, nie jesteś gwałcicielem ani katem... Nie wiem, jak to się stało, że wszystko wskazuje na ciebie, ale to kłamstwo.

–Dokończ swój obraz. – Więzień odrzucił ręką złocisty lok, brzęknęły kajdany. – Może ktoś kiedyś, patrząc nań, zważy w moją winę.

Diamni zacisnął zęby. Nie był twardym żołnierzem, a Sollega nigdy nie sztorcował ucznia, kiedy w jego oczach pojawiały się łzy.

–Mamy mało czasu, zaraz wróci mnich... Mój epiarcho, możesz się uratować. Pienista Rzeka zaczyna się w katakumbach. Jesteś wyśmienitym pływakiem, wiem to... Wypłyniesz.

–Z tym? – Rinaldi nieco uniósł skute rękę.

–Nie przerywaj. Jutro, kiedy zamkną zamek... Odejdź, by nie widziano cię z zewnątrz i czekaj... W nocy przyjdę. Przyniosę kindżał i wytrychy. Odzieży nie będzie, bo jeśli dotknie krat... Zresztą po co pływakowi odzienie? Spotkam cię, epiarcho, przy wodospadzie i przyniosę wszystko, co należy. Będę czekał przez dziesięć dni...

Ledwo zdążył wrócić na swoje miejsce, pojawił się mnich z wysokim czołem, który wyraźnie nigdzie się nie spieszył. Diamni drgnął niby zaskoczony i znowu zaczął kreślić węglem. Poczestyciel zrugął gwardzistę za lenistwo, po czym zamilkł. Rinaldi ciągle patrzył w przestrzeń. O czym myślał? Diamni chciał wierzyć, że o wolności, Jeśli epiarcha pokona swoją *rozpacz*, to wypłynie.

## 11. Epiarcha

Puchar ze środkiem nasennym stał na stole, Ernani Rakan siedział obok wpatrzony w wykwintny przedmiot. Złoto, rubiny, brylanty... Komu to potrzebne? Epiarcha wstał i pokuśtykał do okna, za którym szalał pełny księżyc. Na ogród pewnie padają pasma srebrzystego światła, pachną kwitnące akacje i słychać śpiew słowików. Noc życia i cudzej miłości, kiedy szczególnie ciężko żyć ze świadomością swojego kalectwa i swojej bezsilności.

W księżycowe noce Ernani często ulegał atakom smutku, ale tak źle jeszcze się w życiu nie czuł. Nawet wtedy, kiedy mu powiedziano, że Laissa Makara będzie żoną Władcy Fali. W końcu małżeństwa między Wysokimi Domami nigdy nie były zawierane z miłości, obowiązek jest

obowiązkiem. Laissa nie kochała, była tylko posłuszna woli rodziców, ale i tak związek ten wydał się Ernaniemu strasznym nieszczęściem, chociaż wtedy jeszcze żył Anesti, a Rinaldi nie okrył się hańbą i nie zapiekł w złości. Wcale nie wiedział, że uratował młodszego brata...

Gdyby tej samej odległej jesiennej nocy Rinaldi nie wybierał się na kolejną schadzkę i nie przyszedł tu, do tej sypialni, Ernani użyłby z takim trudem zdobytej trucizny. Młodzieniec wziął do ręki obsypaną jej drobinami szpilkę. Wśród srebrnych płatków krył się malutki trzpień, wystarczyło nacisnąć, by z łodygi wyskoczył zatruty kolec. Lekka, łatwa, czysta śmierć... Tymczasem biedny Rino będzie umierał długo i okropnie, nawet jeśli gadanie o Pierwotnych Stworach nie jest niczym innym jak bajaniem.

–Nie śpisz? – Eridani w ciemnym płaszczu i miękkich butach bez obcasów stał na progu. – Ja też nie mogę zasnąć. Posłałem ci środek nasenny...

–Tu jest. – Ernani wskazał na stół. – Nie wypilem.

–Dlaczego?

–Nie wiem... Może dlatego, że to tchórzostwo.

–To nie jest tchórzostwo. To, że tobie jest źle, nie polepszy nikomu humoru. Ani Beatrice, ani – anaks zająknął się – Rinaldiemu, ani Borrascie, ani mnie. Trzeba tę noc przeżyć, tak samo jak jutrzejszy dzień, a potem iść do przodu i robić to, czego za nas nie zrobi nikt. Erno, stajesz się, a tak naprawdę stałeś się już następcą. Powinieneś być twardy nie tylko duchem, bo z tym wszystko u ciebie w porządku, ale i ciałem. Musisz się wyspać, niech nawet z pomocą ziela! Nie bój się, nie pozwolę ci się do niego przyzwyczaić, ale dziś to niezbędne. Siedź, podam ci.

Władca Kertiany, miękko stąpając, podszedł do stołu, wziął puchar i ostrożnie – jakby od tego, czy wyleje się lek, coś zależało – przyniósł bratu. Ernani posłusznie osuszył czarę. Napój miał w sobie lekką goryczkę, ale był bardzo przyjemny w smaku.

–Posiedzę z tobą, póki nie zaśniesz. – Starszy brat wziął młodszego za rękę. – Szkoda, że nie jestem żonaty. Nocna samotność jest czasem nie do zniesienia.

–Rozmawiałem z Rinaldim – nieoczekiwanie dla samego siebie przyznał się Ernani. – Musiałem to zrobić.

–Widzę, że ci się nie udało – westchnął Eridani. – Tak samo jak i mnie... Ale



jak to zrobiłeś?

–Powołałem się na twoje pozwolenie, a oni nie ośmielili się mnie sprawdzić.

–Zuch! – Anaks mocno ścisnął ramię następcy. – Jeśli trzeba, potrafisz i myśleć, i działać. Przynajmniej tyle radości w te podłe dni. A on nie przyznał się?

–Nie.

–Nie wierzysz mu?

–Jak mogę? – Oczy młodzieńca wypełniły łzy. – I poza tym... Tyle w nim złości.

–Tak, też to zauważyłem – westchnął władca. – Jestem winny. Trzeba było puścić go na tę wojnę. Rino mógłby zginąć, ale okryty chwałą...

–Eridani, a może rzucono na niego czar? Może opętał go demon?

–Nie. Niestety, nie. Rinaldi przeszedł próbę przy ołtarzu Nieobecnych. – Anaks zamilkł, patrząc w nocne niebo. Lśniący dysk księżycy przeciął czarny cień. Nietoperz.

–Rinaldi to nasz ból, bracie, ale to ludzki ból i ludzka strata. Ta złość w oczach Rino, skąd się wzięła? Przecież nigdy nie był okrutny...

Tak, nigdy nie był zły, zawistny, mściwy. Wybuchowy i nieokiełznany, gwałtowny – tak, ale dobry i zupełnie niepamiętliwy. Poprzedni Rinaldi nigdy nie dręczyłby przez pół roku kobiety, nie zacierałby śladów, nie przeklinałby swojego świata i swojej krwi.

–Ernani – głos brata brzmiał dziwnie niepewnie – nie masz poczucia, że to, co się dzieje, to coś nieodwracalnego? Nie boisz się? Nie czujesz nic? Nie wydaje ci się, że zbliża się do nas coś niewyjaśnionego, silnego, niezrozumiałego?

–Erio, przecież jesteś Rakanem, anaksem. Mocą Nieobecnych powinieneś posiadać dar jasnowidzenia. Czy... Czy może to nieprawda?

–Trudno powiedzieć – zamyślił się władca. – Wiesz, przyszłości nie znają nawet Nieobecni, bo ona się przez cały czas zmienia. Jest los, jest przypadek, jest wyższa wola, jest wola śmiertelników i one albo łączą się ze sobą, albo sobie przeczą. Czasem zwyciężają bogowie, czasem los, a czasem śmiertelnicy. Mogę widzieć i widzę, co może się stać, ale czy się

stanie? I co oznaczają posyłane mi widzenia? Pewnego razu śnił mi się Rinaldi, obok niego była czarnowłosa kobieta z niebieskimi oczyma, całowali się. Kobieta śmiała się, a ja wiedziałem, że to Śmierć, nasza śmierć, ale tam, we śnie, nic nie mogłem zrobić. Nie puściłem Rinaldiego z Borrascą, a on znalazł swoją śmierć tu, i to jak straszliwą! A ubiegłej nocy widziałem, jak z głębin wynurzają się starożytne potwory. Nie zapamiętałem dokładnie, jak wyglądały, pamiętam tylko dym, krzyki przerażenia, miotających się ludzi. Nie wiem, co to oznacza. Może należy odwołać kaźń Rinaldiego, ale skazały go Wysokie Domy i Nieobecni Bogowie. On już nie jest w mojej władzy. A może nieszczęście wydarzy się, jeśli złamię wolę i prawo i ulżę losowi brata? Nie wiem nic, Ernani. Przekleństwo! To najgorsze: nie wiedzieć, co należy zrobić... A ty, widzę, zasypiasz, to dobrze. Jutro czeka cię ciężki dzień. – Anaks z łatwością wziął brata na ręce i przeniósł na łóżko. – Zapomnij, co ci mówiłem. Musimy być silni i pewni siebie, przecież jesteśmy Rakanami, jesteśmy następcami Nieobecnych. I musimy utrzymać Kertianę. Za każdą cenę...

Za każdą cenę... Księżyc za oknem podzielił się na cztery części, głos brata przeszedł w niezrozumiałe, dobiegające z daleka buczenie, w powietrzu powiało dymną jesienną goryczą. Skąd? Czy to nasenne ziele ma taki mocny zapach? Nietoperz wpadł przez otwarte okno, przemknął tuż nad twarzą, przejechał lodowatym skrzydłem po policzku. Dlaczego policzek jest taki zimny? Skąd na początku lata śnieg, a przecież krąży i leci w dół, a przez zasłonę śniegu patrzą ogromne niebieskie oczy Śmierci.

Ernani usiłował się podnieść, jednak głowa była zbyt ciężka. Młodzieniec opadł na poduszkę, podstawił twarz pod niepojętą letnią zamieć. Niebieskie oczy zniknęły, ale kobieta w komnacie była – wysoka, piękna, ze wspaniałą grzywą rudych włosów. Biel gibkiej wysokiej szyi podkreślała złota obręcz zdobiona również złotymi, lśniąco-kamieniami. Takie same klejnoty płonęły na szerokich kutych bransoletach. Ernani zapamiętał tylko ich blask oraz coś purpurowego i lejącego się.

Kobieta pochyliła głowę nad leżącym, w zamyśleniu nią pokiwała. Jej złocistobrązowe obojętne oczy przypominały drogocenne kamienie. Była obca, wszystkowiedząca i nieprawdopodobnie piękna. Nieznajoma przechwyciła zdziwione spojrzenie, lekko dotknęła policzka młodzieńca i wszystko zniknęło. Była snem, takim samym snem jak pęknięty księżyc i niebieskie oczy śmierci, ale każdy sen ma swój koniec.

Ernaniego obudził sługa.

Przez otwarte okno wpadało *słoneczne* światło, młodzieniec radośnie

uśmiechnął się do nowego dnia i dopiero wtedy przypomniał sobie, że będzie to najstraszliwszy dzień w jego życiu.

–Mój epiarcho. – Służący był pełen szacunku, ale to nie przynosiło ulgi. – Anaks czeka. Egzekucja ma się odbyć w samo południe. Trzeba się spieszyć.

## 12. Mistrz

Rinaldi dumnie niósł złotowłosą głowę, patrząc prosto przed siebie. Wydawało się, że pomiędzy ponurymi strażnikami stąpa *ożywiony posąg*. Diamni oddałby wszystko na świecie, żeby wiedzieć, co dzieje się w duszy epiarchy. W jego własnej było obrzydliwie, ale malarz zmuszał swoje ręce do szkicowania i szkicował, co widział. Eridaniego, wspaniałego i groźnego w wieńcu Rakanów, z rodzinnym mieczem u pasa, siwego Borrascę przepełnionego słusznym gniewem, jego smutną i dumną żonę, patrzącego w ziemię Ernaniego, któremu za kilka minut przypadnie godność następcy tronu. Chłopiec, jeśli wierzyć lekarzom, nigdy nie stanie się mężczyzną w pełnym znaczeniu tego słowa, tak więc przedłużyć ród Rakanów może tylko Eridani. O ile zdąży.

Diamni usiłował uwolnić swój umysł od głupich myśli i nie potrafił. Najbardziej na świecie malarzowi chciało się cisnąć deskę z przyszpilonym do niej rysunkiem i uciekać od milczącego wspaniałego koszmaru, ale nie miał do tego prawa. Mistrz Koro – obojętny, stojący na

uboczu obserwator, przejmujący się tylko przyszłym obrazem, w nosie ma modeli!

Siedział więc i rysował, doskwierał upał, ale artysta czuł, że lewa ręka mu złodowaciała. To był wymysł, złudzenie, bo przecież gdyby tak było, to przy wejściu do katakumb nie rósłby bez, wcale nie gorszy niż rosnący gdzie indziej. Jeśli nie wymarza bez, to nic też się nie stanie malarzowi, natomiast co będzie czuł Rinaldi, gdy żywcem zagonią go do podziemnej pieczary?! Dlaczegoż nie można zostawić człowiekowi choćby ubrania, co za podłość!

Skazaniec był już blisko. Zdjęto z niego niepozwalające się poruszać kajdany, zostawiono tylko łańcuchy na rękach i nogach i Rinaldi jakimś cudem szedł wyprostowany. Ciepły wiatr rozwiewał złociste włosy, rzucał w wiry białe oraz fioletowe płatki bzu, obsypując nimi ludzi, którzy przyszli na plac wybrukowany czworokątnymi śnieżnobiałymi płytami. Kamienni bogowie, zapomniawszy o Kertianie, obojętnie spoglądali, jak w ich imieniu dokonuje się niesprawiedliwy osąd. Świeciło słońce, nisko przelatwały jaskółki, zapowiadając deszcz, na białych kamieniach płąsały koronkowe cienie. W taki dzień odejście na wieki w czarną, zimną dziurę było szczególnie ciężkie.

Więzień zrównał się z malarzem i Diamni zdołał przechwycić jego spojrzenie.

Mistrz był przekonany, że w akwamarynowej głębi mignęła i zgasła ciepła iskierka, a może to tylko podpowiedziała mu jego własna nadzieja. Spuścił głowę i wrócił do rysowania – jest pogrążony w pracy, nic mu do Rinaldiego Rakana, rysuje demona i już jest dumny ze swojego wielkiego obrazu, obrazu, który wzniesie Diamniego Koro nawet ponad samego Sollegę. Chyba za mocno nacisnął węgiel, ten pękł, malarz

odrzucił odłamek, chwycił inny... Akurat na czas!

–Mistrzu, będzie ci stąd źle widać. – Sługa Eridaniego uznał, że powinien opiekować się malarzem, którego swoją przyjaźnią zaszczycał sam anaks. Człowiek-pies miał rację – z miejsca, gdzie siedział Diamni, artysta nie zdoła dostrzec tego, co będzie się działo przy wejściu do katakumb. Przekleństwo, jakże się nie chce iść i patrzeć, ale trzeba!

Malarz pospiesznie poderwał się, mamrocąc słowa wdzięczności. Sługa zręcznie pochwycił trójnog, po czym zgarbiwszy się, by nie zasłaniać innym, obaj przebiegli na przeciwległy skraj placu. Stąd rzeczywiście rozpościerał się znakomity widok na czarny, zaokrąglony od góry otwór i rozwarte na obie strony skrzydła bramy – ramy z brązu wypełnionej brązowymi prętami, między którymi mógłby przeskoczyć co najwyżej utuczony kot. Przez te szczeliny przejdzie nie tylko miecz, ale też inne przedmioty. Na przykład sandały i manierka. Byle tylko w nocy nie wystawili tu straży, ale nie powinni – Pułapki Losu nie wypuszczą swej ofiary.

Strażnicy zmusili Rinaldiego, by odwrócił się twarzą do braci, Beatrice, przywódców Wysokich Domów. Władcy Skały i Błyskawicy opuścili głowy, Władca Fali patrzył prosto przed siebie, ale czy na skazanego, czy ponad jego głową – z miejsca, gdzie znajdował się Diamni, nie było widać. Natomiast malarz widział znakomicie skamieniałe oblicze Borraski, dziś tytuł Władcy Skały pasowałby do starego o wiele bardziej niż do Hektora Nadorei. Gdyby Rinaldi był winien, nie wytrzymałby spojrzenia wojownika, ale epiarcha oczu nie spuścił. Wytrzymał również Diamni, chociaż miał wielką ochotę zasłonić twarz rękami. Niestety! Jego obowiązek to gapić się na skazanego, więc gapił się, a liktor odczytywał

wyrok. Bezlitosne, bezsensowne w swej złożoności słowa rozbrzmiewały nad placem znieruchomiałym pod pogodnym letnim niebem. Nasilający się wiatr ciskał garściami białych płatków, darując oszalałym śmiertelnikom aromat kwitnących akacji i spóźnionego bzu. Kwiaty były przepełnione miłością i radością, ludzie – nienawiścią i złością.

Mistrz Sollega mógłby to namalować – wyczekująca cudzej śmierci ludzka horda, biało-fioletowe kwieciste morze i samotny skuty więzień. Sollega by

potrafił, Koro nie da rady, w ogóle nie miał pewności, czy kiedy wszystko to się skończy, znowu chwyci za pędzel.

–...W swej ostatniej godzinie – liktor w końcu przedarł się przez zarośla słów – zanim zostaniesz sam na sam ze swoimi czynami, pokajaj się przed skrzywdzonymi przez ciebie, padnij przed nimi na kolana i błagaj o wybaczenie.

Usta Rinaldiego poruszyły się w słabym uśmiešku.

–Nie mam powodu się kajać. Jestem niewinny, ale nie mogę tego udowodnić. Nie wierzycie mi, cóż, to wasze prawo. Żegnajcie! Jesteście wolni ode mnie, a ja od was.

Czwórka strażników zrobiła krok do przodu. Zgodnie ze starożytnym rytuałem powinni byli zerwać z osądzonego pelerynę, chwycić go pod rękę i nagiego cisnąć w otwór pieczary. Uczciwie zamierzali wypełnić swój obowiązek i zapewne wykonaliby, gdyby podeszli od tyłu. Na ich nieszczęście obyczaj wymagał czego innego. Rinaldi był skuty, ale spojrzenie też może być bronią. Wojownicy odruchowo cofnęli się przed akwamarynową błyskawicą, a epiarcha, jakimś niewyobrażalnym sposobem wykręciwszy ciało, sam zrzucił swoją pogrzebową pelerynę, odwrócił się i zanim strażnicy oraz widzowie doszli do siebie, wszedł w

czarny otwór.

–Zamknąć kratę! – Słowa Eridaniego były ciężkie jak kamienie.

Wykonawcy rozkazu odzyskali wolę, skoczyli do wierzei. Gdy te zetknęły się, w paszczy katakumb nie było już widać nikogo. Rinaldi odszedł w mrok, nie patrząc za siebie i nie czekając, kiedy za jego plecami zatrzaśnie się Pułapka Losu.

## **Część II**

### ***Strażnik Zmierzchu***

*Krzyknę... Krzyknę, ale któż pomoże, Żeby dusza moja ocalała? Wąż jedynie skórę zrzucić może, My zmieniamy dusze, a nie ciała.*

*Mikołaj Gumilow\**

#### **1. Mistrz**

Przeklętą kratę otaczała fioletowa poświata ledwie widoczna w zimnych promieniach księżyca. Diamni nasłuchiwał chwilę – nikt za nim nie szedł. Malarz uśmiechnął się niewesoło z powodu własnej ostrożności – straży na Wzgórzu Abweniuszy nigdy nie było, to miejsce broniło samo siebie, a pilnowanie kraty zamkniętej Pułapką Losu? To kompletna głupota! Nikt postronny na pewno z własnej woli nie pojawiłby się przy wejściu do Labiryntu, i to jeszcze w noc po wykonaniu wyroku. Nie, nie ma się czego obawiać, w każdym razie nie ze strony

śmiertelników.

Mistrz zerknął na niebo – północ dawno minęła, ale do świtu jeszcze kawał czasu – najbardziej senna godzina. Najlepszy czas na schadzki, tylko czy Rinaldi tu jest? Doczekał się czy zdecydował, że nowy pupil anaksa zapomniał o swojej obietnicy albo stchórzył?

Księżyc świecił malarzowi w plecy, przeciągał ciekawskie promienie w głąb tunelu. Noc nie była szczególnie ciemna, chociaż najciemniejszej nocy nie można porównać z ciemnością podziemi. Rinaldi, choć odważny do szaleństwa, nie lubił jaskiń, co malarz wiedział od Ernaniego. Nie lubił i z woli kosmicznej złośliwości trafił do najgorszej z nich! Diamni zbliżył się do otworu, tak że między nim a zakłętą kratą pozostała odległość dłoni. Odległość między życiem i losem po stokroć gorszym od śmierci.

–Epiarcho... Mój epiarcho, jesteś tam?

–Przyszedłeś? Błada, pocięta cieniami twarz, błyszczące w księżycowym świetle

oczy. Jakże on mimo wszystko przypomina schwytanego leoparda!

–Jakże mogłem nie przyjść?

–Tak samo jak pozostali – w głosie epiarchy rozbrzmiewała gorzka ironia. – Szukałem dla siebie druhów wśród wojowników i eoriuszy, miałem trzech braci, dziesiątki kochanek i setki przyjaciół aż do grobowej deski, a gdy doszło co do czego, nie znalazł się tu ani jeden z nich. Chociaż Anesti uwierzyłby mi, przysięgam, że uwierzyłby! Ale Anesti jest martwy, a Eridani oszalał z poczucia własnej sprawiedliwości...

–Nie trzeba o tym myśleć. – Malarz pospiesznie otworzył swoją skrzyneczkę. – Oto złodziejski kindżał. W jego rękojeści jest wytrych. Czy mój epiarcha potrafi otwierać zamki?

–Spróbuję.

–Poczekam. Rinaldi męczył się długo, bardzo długo. Diamni zdążył przekląć wszystko na tym świecie i pomodlić się do wszystkich bogów i świętych. Jeżeli epiarcha nie zdoła zdjąć kajdan, to nie poradzi sobie z prądem podziemnej rzeki. – Gotowe. – Skazaniec roześmiał się sztucznie. – Nie sądziłem, że tak trudno jest być złodziejem.

–Dla takich jak epiarcha...

Oczy Rinaldiego błysnęły dziwnym zielonkawofioletowym ogniem, którego malarz nigdy nie zauważał u ludzi. Tylko u kotów. Podobny blask czasem pojawiał się także na szyjach siwych gołębi, kiedy spacerowały po oświetlonym słońcem podwórku. Widocznie chodziło tu o promienie księżyca, które przemieszały się z przeklętym lśnieniem otaczającym kratę...

–Mistrzu Koro! Nie mam nikogo prócz ciebie i twojego nauczyciela. Bądź mi bratem. O ile, rzecz jasna, nie masz nic przeciwko temu, by być bratem gwałciciela.

–Jestem szczęśliwym człowiekiem – rzekł zamyślony artysta. – Nie znam swoich rodziców, ale Abweniusze najpierw zesłali mi wielkiego ojca, teraz najszlachetniejszego z braci. A mistrz Lentiro... powiedział, że masz złote serce i stalową wolę. Wrócisz, jeszcze się ze sobą spotkacie.

–Przekaż moje wyrazy wdzięczności wielkiemu Solledze. Jeśli potrafisz znaleźć słowa... Bo ja ich nie znajduję. Albo namaluj.

–Mistrz wszystko zrozumie... Ale pamiętaj, będziesz musiał pozować długo i dużo. Nie puścimy cię ot tak, po prostu.

–Cały malarz! – Rinaldi z gotowością podchwycił niezbyt wydumany żart i pociągnął go: – żeby mieć modela, gotów jest sprzeciwić się woli anaksa i wszystkich Abweniuszy...

–A jak myślałeś?! Sztuka ponad wszystko! Trzymaj! Najpierw miecz. Ostrożnie!

–Na pewno nie dotknę Pułapki Losu, jestem ostrożny jak kot w spiżarni. Nigdy nie chciałem zostać posągiem, teraz tym bardziej.

–Pochwa... Pęk łuczywa. Owinąłem go liną, może się przydać, nigdy nie wiadomo... Sandały... Jeszcze trochę łuczywa... W pierścieniu masz truciznę... Mam nadzieję, że się nie przyda... Strzały... Drugi kindżał... pas, ale ostrożnie, może zahaczyć o kratę...

–Dam sobie radę bez pasa. Już owinąłem się łańcuchem. Bardzo wygodny, a truciznę zabierz z powrotem. Nie będzie mi potrzebna.

–Masz rację... Manierka... Druga... Olej... Natrzyj się nim, to nie będzie tak zimno...

–Ha! Jestem bogaczem! Do pełnego szczęścia brak mi tylko odzienia, ale raczej po podziemiach nie łażą stada świątobliwych eoriuszy, a zimno jakoś przetrzymam.

–A to najważniejsze. Mistrz Lentiro przez dwa dni przypominał sobie, co wiadomo o katakumbach i podziemnych rzekach. Tu są znaki, które mogą ci wskazać drogę. Nauczyciel jest pewien, że gdy tylko znajdziesz strumień, to wszystko będzie dobrze.

–Czyli znajdę. Diamni, wydostanę się stąd... Póki czekałem na ciebie, rozmyślałem. Wygląda, że po raz pierwszy w życiu. Byłem durniem i obibokiem, ale tak naprawdę to nikomu nie wyrządziłem krzywdy, przysięgam... Nawet kobietom. Spałem z nimi, ale nie oszukiwałem ich. One wiedziały, czego mogą ode mnie oczekiwać, a o ożenku bez pozwolenia brata i eoriuszy następcy

nawet nie ma co myśleć. To nie było tajemnicą... Diamni, to, co ze mną zrobiono, to nie zemsta. Ostrze wymierzone jest nie we mnie, a w brata. Eridani jest najpierw anaksem, a dopiero potem sobą, ale on mnie kocha. Zrobił wszystko, żeby mnie wyciągnąć, a ja sam wszystko to zepsułem. Rozumiesz, brat sądził, że jestem winien, ale i tak chciał mnie uratować, a ja... ja przecież najlepiej wiem, że nie tknąłem tej dziewczki! Omal nie uznałem, że wciągnęła mnie do łóżka w czasie maskarady, ale to nie była ona! A ja, nawet gdybym był straszliwie pijany, nie związałem się z takim badyłem. Nie wiem, co wydarzyło się na Wzgórzu Abweniuszy, ale bez magii się nie obeszło. To jest spisek przeciwko Eridanemu, a nie przeciwko mnie. Diamni, jeśli nie wrócę... Postaraj się pomóc moim braciom, zwłaszcza Ernaniemu, bo teraz on jest następcą.

–Obiecuję – zapewnił go malarz – i wszystko opowiem mistrzowi. On rozwiąże tę zagadkę, ale ty się wydostaniesz. I nie waż się myśleć o czymś innym. Od jutrzejszego dnia czekam na ciebie przy wodospadzie.

–Daj mi dłoń!

–Zwariowałaś! Krata...

–Co tam krata... Masz szczupłe palce. I ja też. Nie był to uścisk dłoni w zwykłym znaczeniu tego słowa. Tylko

dotknięcie, ostatnie ciepło przed odejściem w mogilny chłód. Palce Rinaldiego były gorące i suche. Żeby tylko odnalazł podziemną rzekę...

O tym, że woda może wypełniać cały tunel, Diamni starał się nie myśleć, ale i tak inna droga na zewnątrz nie istniała.

–Idę. – Epiarcha puścił palce Diamniego i uśmiechnął się z przymusem.

–Rinaldi, bądź ostrożny, nie spiesz się. Dobrze przypatrz się zwojowi.

–Oczywiście, że się przyjrzę. Nieobecni w Zmierzchu! Za kogo wy mnie macie? Nie jestem szalony, ja chcę żyć!

–Jeśli na tym świecie żyje jeszcze sprawiedliwość, to wydostaniesz się na wolność.

–Jeśli nie żyje, to też wrócę. Na złość wszystkim!

Epiarcha machnął ręką, odwrócił się i szybko pomaszerował w głąb galerii. Z wysiłkiem nie spojrzał za siebie, skręcając za węgiel. Obejrzeć się – to zły omen.

## **2. Epiarcha**

Strach gnieździł się nie w pustych komnatach Rinaldiego i nie w odbijających się wzajemnie zwierciadłach, strach żył w duszy. Ernani Rakan miał tego pełną świadomość. Młodzieniec bał się w swojej własnej sypialni, która dotąd zawsze była pewnym schronieniem. Świeżo



upieczonego epiarchę-następcę tronu ochraniała liczna straż, Cytadelę wypełniały rzesze ludzi, mimo nocnej pory przez otwarte okna docierały tu to miarowe kroki dokonującej obchodu straży, to stukot otwieranych drzwi i szybki tupot kolejnego gońca – Eridani zawsze przesiadywał do późna w nocy, a teraz szczególnie trudno było mu zasnąć. Abweniacci twierdzą, że czyste sumienie pomaga pokonać każdy ból. Niechby teraz zamienili się z anaksem, który wydał wyrok na własnego brata!

Epiarcha-następca dokuśtykał do stołu i zapalił lampkę. Olej wesóło zapłonął w zdobionym złotymi figurkami naczyniu, drżący płomyk oświetlił porozrzucane księgi, niedokończone rysunki, jaspisowy kałamarz.

Mówią, że podziemia są połączone z czterema samotnymi wieżami strzegącymi Galtar, do których nie ma innego wejścia – żadnych drzwi ani wrót. Mówią, że głęboko w dole, w otoczonych niegasnącym zimnym płomieniem pieczarach śpią przypominającym śmierć snem Pierwotne Stwory i strzegąc ich spokoju, po niekończących się galeriach krąży niebieskooka siostra Śmierci. Mówią, że w samym sercu Labiryntu jest tajna świątynia Abweniuszy, z której można się do nich odezwać. Mówią, że odchodząc, bogowie zatrzymali czas w leżących pod miastem katakumbach i ten, kto wejdzie tam, staje się nieśmiertelny, ale też nigdy nie dotrze do wyjścia. Mówią, że do tej pory w podziemiach szłocha śmiertelna ukochana Unda, która dowiedziała się o jego odejściu, i spotkanie z nią oznacza szaleństwo. Ludzie wiele rzeczy mówią...

Za drzwiami coś dwa razy brzęknęło. Ach tak, zmieniają się strażę! Czyli jest czwarta rano. Ernani westchnął i przysunął do siebie stare rysunki. Ostatnie z nich miały nie więcej niż tydzień, ale były stare,

ponieważ leżało na nich piętno minionego życia, które zakończyło się suchym szczękiem Pułapki Losu.

Patrząc na swoje wytarte malunki i lekkie, energiczne szkice mistrza, epiarcha-następca któryś już kolejny raz pozazdrościł Diamniemu. Gdybyż i on tak potrafił – myśleć tylko o malarstwie! Chociaż teraz nie ma prawa nawet do tego – Eridanemu pozostał tylko jeden brat, czyli lekcje z mistrzem się skończyły, młodzieniec powinien wiedzieć, co się dzieje w Kertianie, a przecież od urodzenia był trzymany jak w domku dla lalek. Musi się wielu rzeczy nauczyć, czasu na malarstwo nie zostanie. Może to i lepiej – po tym, jak Diamni, krusząc z podniecenia węgiel, szkicował kaźń, Ernaniemu odechciało się widzieć go przy sobie. Inna sprawa, że mistrz przynajmniej nie udawał, a przecież wszyscy pozostali...

Następca westchnął i żeby czymś się zająć, narysował dwie postacie -ojca i matkę, a pod nimi jeszcze cztery, z których dwie starannie przekreślił, a potem

zmiął rysunek, by z całej siły cisnąć go w kąt.

Najbardziej chciałby cofnąć, zatrzymać czas, żeby ranek pod Wietrzną Wieżą nigdy nie nastąpił. Żeby nie było ciemnych kudłatych cyprysów, przemykającej pod arkadami białej ostroskrzydłej jaskółki, poczucia niezrozumiałego niepokoju, wybiegającej zza węgła Beatrice. Ernani nagle chwycił inną kartkę. Naszkicował kobiecą postać z cienkimi nogami i rękami, z brzydko wypchanym brzuchem, tak niepodobną do wspaniałych posągów, które niegdyś rysował. Tam nagość była piękna i wywoływała zachwyt, a Beatrice tylko litość i obrzydzenie... To było szkaradne, niesłuszne, obrzydliwe i niezapomniane!

Drugi szkic młodzian spalił – nie chciał, by ktokolwiek zobaczył to, co mu wyszło. Kiedy po nieszczęsnym rysunku został tylko popiół, Ernani przypomniał sobie, że tworzyć i niszczyć wizerunki kogokolwiek uważane jest za przestępstwo, ponieważ szkodzi rysowanej osobie. Epiarcha-następca, paląc wizerunek Beatrice, nie myślał o tym, to stało się samo. Ale dobrze przecież by było, gdyby Lorio Borrasca nie przywoził do Galtar malutkiej, cichej żony z lnianymi warkoczami...

Znowu brzęknięcie, skrzypienie drzwi, znajome ciężkie kroki.

–Zobaczyłem u ciebie światło.

–Nie mogę zasnąć. Jak dobrze, że zdążył spalić rysunek!

–Ja też. – Anaks zapalił jeszcze dwa kaganki i usiadł na brzegu stołu. –

Druga noc jest jeszcze gorsza od pierwszej... Ciężko mi... Jeszcze ciężiej niż wtedy...

Brat nie sprecyzował, co miał na myśli, ale Ernani zrozumiał – brat mówi o Anestim. Kiedy ten zginął, wszystkich ich ogarnął ból, ale śmierć Anestiego była po prostu śmiercią, choć głupią i nieoczekiwaną. Anaks sprawiedliwie cieszył się opinią wspaniałego jeźdźca, rywalizować z nim mógł co najwyżej Rinaldi, ale tym razem ich najstarszy brat nie opanował oszalałej nagle klaczy i razem z nią runął z urwiska na oczach licznej świty. W czasie zimowych deszczy woda w Jeziorze Byka stoi wysoko... Ernani nigdy nie opuszczał Cytadeli, ale z obcych opowieści wiedział, że Rinaldi w ubraniu skoczył po Anestiego. Sądzone, że zginęli obaj, jednak Rino zdołał wypłynąć i wyciągnąć ciało anaksa.

–Rinaldi zawsze rzucał się na pomoc. – Najwyraźniej i on, i Eridani przypomnieli sobie to samo. – Nie rozumiem, co się z nim stało. Pewnie między nim a Beatrice zaszło coś, o czym my nie mamy pojęcia.

–Też tak sędzę, ale myślę, że tego już się nie da naprawić. Erno, skąd u Rina tyle złości? Jakkolwiek to straszne, ale przyznaję, że byłbym spokojniejszy, gdybym wiedział, że nie żyje. – Eridani wstał gwałtownie, szybkim

krokiem przeciął komnatę, odwrócił się i stał oparty o ścianę. – Wierzysz w to, co się mówi o Labiryncie?

–O stworach?

–Nie, o zamkniętej tam śmierci, z którą można się dogadać.

–O czymś takim nie słyszałem, ale przecież... Rino nie jest pierwszy.

–Nie porównuj tych starożytnych epiarchów z Rinaldim! Przejrzałem kroniki z tamtego okresu: obaj osądzeni i skazani byli żalonymi ludzikami, niezdolnymi ani do prawdziwej nienawiści, ani do wytrwałej walki. Bardzo się boję, Erno, bardzo. Chciałem uratować starego Borrascę i jeszcze dobrą dziesiątkę innych, których Rino, gdyby dostał ode mnie miecz, wykończyłby bez namysłu.

Wydawało mi się, że wysyłając go do podziemi, wybieram mniejsze zło, a teraz nie mogę pozbyć się myśli, że straszliwie zbłądziłem.

Zbłądził, ale w czym? W tym, że nie dobił skazanego, czy w tym, że w ogóle go skazał? Ernani wiedział, że nigdy nie zapomni drapieżnego blasku Pułapki Losu, martwego ognia ogarniającego kratę, słów brata-anaksa: *My, Eridani Rakan, władca Kertiany, następca Abweniuszy i wykonawca ich woli mówimy: „Nasz brat i następca tronu, Rinaldi Rakan, opuścił nas, od tej chwili jego los nie w naszych znajduje się rękach. Od dziś naszym następcą staje się nasz brat Ernani...”*. A Ernani nie chce być następcą i nie może być anaksem, bo przecież Eridani będzie miał synów, mnóstwo synów!

–Mój anaksie! – Do sypialni wpadł wojownik z trwogą wymalowaną na obliczu. – Co za szczęście, że tu jesteś!

–Co się stało, Chaini?

Chaini! Chaini z Domu Skały, zawsze taki spokojny i opanowany...

Czyżby to naprawdę był on? Z trzęsącymi się wargami i kredową twarzą?

–Pierwotne Stwory! Wydostały się na zewnątrz przez świątynię Wiatru.

Płaczą i pożerają ludzi.

–Spokojnie, Chaini! Spokojnie! – Anaks rzucił szybkie spojrzenie na brata, a Ernani wyczytał w nim: „no i mamy!”. Jednakże teraz, kiedy już nieszczęście ich dosięgło, Eridani z miejsca stał się spokojny i pewny siebie. Już nie miał wątpliwości i nie targał nim żal i poczucie wyrządzonej być może krzywdy. – Odszukaj Loria Borrascę, gdziekolwiek się znajduje, zbierz drużynę eoriuszy. Wszystkie cztery znaki! Zaraz tam będę.

Wojownik skinął głową z miną budzącego się z koszmaru człowieka i pobiegł wykonać rozkaz.

–Ernani – ciężka ręka legła na ramieniu brata – to, czego się obawiałem, stało się, i to ja muszę to naprawić. Zresztą nikt inny nie da rady: to jest zadanie anaksa. Galtary pozostawiam pod twoją opieką.

Owszem, mało wiesz i wielu rzeczy nie rozumiesz, ale jesteś Rakanem. Powinieneś bez względu na wszystko zachować spokój i udawać, że trzymasz los pewną ręką w uździenicy. Resztę zrobią Lorio i bogopamiętny. Nigdy za nim nie przepadałem, ale to silny człowiek i oddany Kertianie mocniej niż Nieobecny.

–A ty?

–Ja zejdę do Labiryntu i zamknę przed potworami wyjście na zewnątrz. Wiem, jak to należy zrobić.

–Ale to... to jest niebezpieczne!

–Niemal wszystko jest niebezpieczne! Pierwotne Stwory są... – Eridani przerwał w pół słowa i gwałtownie objął brata. – Nie obawiaj się! Moc Abweniuszy już zaganiała ich w dół, zagoni znowu. Do widzenia, Erno, i pamiętaj: nie bój się niczego! Zachowuj spokój, słuchaj rad Borraski i abweniarchy, ale nie pytaj ich o zdanie przy postronnych. Dla wszystkich ty rządysz Galarami. Ty i nikt inny. A ja wkrótce wrócę.

### **3. Mistrz**

Pienista Rzeka z wyciem wypadała z podziemi, wypełniając bezdenną kamienną czaszę, i nieco uspokoiwszy się, pędziła dalej na spotkanie z odległym jeszcze Eurem. Okolica była piękna, choć trochę bezludna –źródła Pienistej znajdowały się w Skałach Astrapa, które w czasie burz przyciągały błyskawice. Straszliwe historie o zabitych niebiańskimi strzałami i trudna, kamienista droga niezawodnie chroniły okolicę przed ciekawskimi spojrzeniami. Nikt przy zdrowych zmysłach tu nie chodził, ale czyż wszyscy malarze nie są nieco szaleni? Diamni uśmiechnął się, wyobrażając sobie fizjonomię strażnika, który zaofiarował mu swoje usługi jako przewodnik, gdyby się dowiedział, co tak naprawdę wymyślił mistrz Koro.

Kiedyż wreszcie pojawi się Rinaldi? Od Cytadeli do Pienistej Rzeki po prostej nie jest wcale tak daleko. Ale kto wie, jak kręte są podziemne drogi...

Diamni ponuro zagapił się w strumień, nad którym wyzywająco lśniła tęcza! Ładna, może nawet przesadnie. Wodospad mógłby być niżej, a prąd wolniejszy i jeszcze te głazy! Ładnie by wyglądały na obrazie, ale jeśli

ktoś się o nie uderzy... Malarz obsztorcował siebie w myślach – po co samemu wymyślać sobie różne strachy, i zadumał się nad zagadką Beatrice.

W poprzednich dniach nie było czasu na rozmyślanie, w poprzednich dniach spieszył się, rysował, kłamał, udawał zwariowanego artystę... Teraz miał czas na przypomnienie sobie wszystkich szczegółów i próbę odpowiedzi na trzy pytania: „po co?”, „kto?” i „jak?”.

Rinaldi był przekonany, że cios wymierzono nie w niego osobiście, a we

wszystkich Rakanów. Cóż, to miało sens – szczególnie, jeśli człowiek przypomni sobie dziwną śmierć Anestiego – ale nie można odrzucić i innych wariantów. Czy Beatrice zna prawdę? Jakim cudem odważyła się wejść na Wzgórze Abweniuszy? Nie wątpiła, że Nieobecni uznają jej dziecko? Dlaczego?

Pędzel Diamniego robił swoje, przywołując do życia bliźniaczkę opasanej tęczą szalejącej rzeki, ale w głowie malarza wirowały, zmieniając się i mieszając, twarze żywych i umarłych, wypowiedziane słowa, przypadkowo uchwycone spojrzenia.

Anaks Anesti – średniego wzrostu, barczysty, umięśniony, z kasztanowymi włosami i błękitnymi oczami. Wspaniały wojownik, dowódca z ogromnymi perspektywami, ukochany brat. Właśnie on wymyślił, że Ernani powinien zająć się malarstwem. Kto wtedy mógł przewidzieć, że młodzieńki kaleka pewnego wstrętnego dnia zostanie epiarchą-następcą?

Zaczęli się zajmować malarstwem pod koniec jesieni i wtedy też Lorio Borrasca przywiózł z kolejnej wyprawy młodą żonę. Beatrice nie należała do żadnego z Wysokich Domów, ale Lorio był Władcą Wiatrów i

sprzeciwić się jego wyborowi mógł tylko anaks. Anesti jednak nie uczynił tego, choć eoriusze byli oburzeni, a najgłośniej pomstował epiarcha-następca. Trzy miesiące później władca zginął podczas zimowego polowania.

Anesti, który jeździł wierzchem jak bóg, nie zapanował nad koniem, gdy ten oszalał na skraju urwiska. I na dodatek zerwały się wodze! Przypadek? Wtedy nikt w to nie wątpił, przecież nie jest w ludzkiej mocy przygotować taki zbieg okoliczności. A jeszcze trudniej byłoby sprawić, żeby Nieobecni uznali za Rakana dziecko innej krwi. Tym niemniej komuś się to udało – Rinaldi jest niewinny, a wieniec Abweniuszy nad głową eoriuszki widzieli mimo to wszyscy.

Beatrice była przekonana, że spał z nią nie kto inny jak Rinaldi. Czyli sobowtór? Sobowtór z krwią Rakanów? Nieślubny brat? Niemożliwe! Głowa Domu wie o swojej krwi wszystko. Anesti, jak to jest we zwyczaju, przekazał Eridanemu Testament Anaksów i władca powinien był wyczuć, że poza nim i dwoma braćmi żyje jeszcze ktoś. Niemożliwe, po prostu niemożliwe, by Eridani to przegapił. Ale skoro w to nie można uwierzyć, to w co można?

Diamni, co nigdy wcześniej mu się nie zdarzyło, odłożył pędzel, tak jak po posiłku odkłada się niepotrzebną już łyżkę lub odstawia pusty kielich. Tęcza nad rzeką załśniła nieprawdopodobnymi barwami, ale malarz tego nie zauważał.

Eridani nie wątpił w winę swego brata. Nic dziwnego – anaks słucha rozumu, a nie serca. Logika anaksa jest prosta – Rakanów jest tylko trzech – on sam, kaleka Ernani i Rinaldi. Rinaldi, który z byle powodu chwyta za miecz, pije, żyje rozpustnie, ma w nosie wszystkie sprawy państwowe.

A jednak mądry anaks pomylił się dwukrotnie. Raz, gdy zapomniawszy o losie Anestiego, stał się jedynym strażnikiem tajemnicy Rakanów, i drugi raz, gdy uznał winę Rinaldiego. Kto jak kto, ale on powinien znać swojego brata!

Nieobecni w Zmierzchu, łatwo jest myśleć o czymś już po fakcie! Czy on, Diamni Koro, jest lepszy od innych? Gdyby nie mistrz, to tej chwili widziałby w skazanym epiarsze wcielenie pychy i złości. Tylko jeden człowiek w całych Galtarach wyczuł prawdę.

Przeklęty zamek został nazwany zadziwiająco dokładnie – Rinaldi wpadł w Pułapkę, a wraz z nim wpadli i jego bracia, i cała Kertiana. Teraz z rodu, na którym trzyma się wszystko, ocalał tylko bezdzietny Eridani i chory chłopiec. Kto podniesie miecz Abweniuszy, gdy upadnie dynastia anaksów? Coś o tym mówi się w Słowie Nieobecnych, coś nader mglistego...

Władza Rakanów wydawała się trwałą i wieczną, ale rzeka zanika, pozostał cienki strumyk. Ciekawe, Eridani przekazał Ernaniemu Testament czy nadal wyczekuje? Eridani... Zamyślony malarz przez chwilę miał wrażenie, jakby naprawdę stanął przed nim potężny czarnowłosy mężczyzna z przenikliwymi błękitnymi oczami. Jeśli Rinaldi przypominał złocistego leoparda, to jego brat zdawał się być bojowym rumakiem.

Artysta drgnął, przypomniawszy sobie, jak po egzekucji nad nim, starannie rysującym przesłoniętą kratą gardziel pieczary, zawisł ogromny cień.

*–Znasz się na swojej robocie, malarzu!*

*Diamni pospiesznie poderwał się, nerwowo mrugając. Po pierwsze, rzeczywiście zaskoczyły go słowa anaksa, a po drugie, nie zawadzi jeszcze raz pokazać, że się żyje w innym świecie.*

*–Niechcący obserwowałem cię dziś. – Spojrzenie władcy kłuło nie mniej boleśnie niż ostrze sztyletu, ale mistrzowi Koro udało się nie spuścić wzroku. Był ostatnią nadzieją Rinaldiego i nie mógł go zawieść. – I widzę, że służysz tylko swojej sztuce, to dobrze. Mój brat i następca zaniechał lekcji malowania i ma rację. Malarstwo wypija duszę malarza, zaś dusza anaksa należy do jego poddanych. Ale ja cię nie zwalniam. Będiesz moim malarzem.*

*–Dziękuję mojemu anaksowi. – Diamni ukląkł. – Ale jeszcze nie opanowałem wszystkich tajników zawodu i jestem uczniem wielkiego Sollegi.*

*–Mistrz przeniesie się do Cytadeli, będę rad, okazując mu gościnę. Zamierzam zlecić wam obu ozdobienie świątyni, której budowa zostanie rozpoczęta w Dniu Jesiennego Słońca.*

*Nowa świątynia... Marzenie każdego malarza – wiedzieć, że ich dzieło przeżyje wieki i stanie się własnością setek tysięcy ludzi, ale najpierw Rinaldi...*

–*Jestem szczęśliwy... To jest... – Artysta przygryzł wargę, gorączkowo wyszukując odpowiednich słów, ale te nie były potrzebne - anaks krótko skinął głową i odszedł, a na Diamniego runął „pies”.*

–*Od razu wiedziałem, że jesteś mistrzem, co się zowie! – Słuchając go, Koro miał wrażenie, że wojownik naprawdę zaraz zacznie majtać ogonem!*

Malarz uśmiechnął się. „Pies” był z jednej strony śmieszny, rozczulający, z drugiej straszny. Trzeba będzie potem naszkicować jego portret, a najlepiej od razu zrobić obu – pana i psa... Diamni przymknął powieki, usiłując wyobrazić sobie przyszły obraz, gdy nagle zrozumiał

wszystko, a zrozumiałwszy, chwycił czysty arkusz papieru i gorączkowo zaczął rysować. Nie myślał, całkowicie oddawszy się swojej pamięci i temu czemuś niewyraźnemu, co tworzy samo sedno, samą istotę malarza. Kiedy rysunki zostały skończone, uczeń Lentira Sollegi rozłożył je na trawie i wpatrzył się w twarz – męską i kobiecą. Jakie to wszystko proste! I jakie obrzydliwe...

Diamni Koro z westchnieniem popatrzył w stronę Galtar. Co za dziwne *opary nad* miastem, czy może to po spacerze do Labiryntu wszędzie widzi fioletowy poblask? W mieście coś się dzieje? Bunt? Pożar? Co z mistrzem? Z Ernanim?

Jeśli z tymi, których tam zostawił, coś się stanie, nigdy sobie tego nie wybaczy. Może to nieważne – odejście czy zostanie, i tak, i tak będzie zdrajcą. Odwieczny dylemat, wybór między obowiązkiem i obowiązkiem. Który porzucić? Kogo zdradzić? Und zdradził miłość, a Diamni zdradza mistrza i ucznia, bo nie może być inaczej. Dokoła Ernaniego są tłumy sług i wojowników, mistrza Sollegę uwielbiają całe Galtary, a Rinaldi, żywy czy martwy, nie ma nikogo poza skromnym malarzem, więc Koro nie odejście, choćby całe niebo zważyło się na ziemię, choćby zawrzały morza i popłynęły krwawe deszcze.

#### **4. Epiarcha**

Cytadelę łączyły z podwójnym Pierścieniem zewnętrznej twierdzy potężne mury dzielące miasto na cztery części – Błyskawicy, Fali, Wiatru i Skały. Pozwalało to bez przeszkód przenosić wojsko z umocnień zewnętrznych do wewnętrznych, cokolwiek by się nie działo w samych

Galtarach. Wcześniej Ernani sądził, że Abweniusze, budując stolicę, przesadzili – co poza zdradą mogło zagrażać wzniesionym przez mieszkańców niebios murom? Nieraz ludzie sarkali, że w Galtarach nie ma zwyczajnych bram i że są zmuszeni do korzystania z drewnianych pomostów.

Epiarcha-następca uważnie przyglądał się wykonanej w czasach jego pradziada Eridaniego VIII makiecie Galtar. Ówcześni mistrzowie starannie odtworzyli w każdym szczególe pajęczynę ulic i pszczele komórki domów, nie zapomniawszy nawet o malutkich, mniejszych od paznokcia powozach. Przez

minione sto lat z hakiem Cytadela i przylegające do niej kwartały niemal się nie zmieniły, ale w pobliżu Zewnętrznego Pierścienia przybyło sporo nowych budynków. Miasto rosło, jeszcze trochę i Galtarom zrobi się ciasno w wyznaczonych przez Abweniuszy granicach.

Ernani usiłował myśleć o wszystkim, tylko nie o tym, co się dzieje w Miastach Fali i Wiatru. Młodzieniec jak nigdy dotąd mocno odczuwał swoje kalectwo. Nie mógł zobaczyć wszystkiego swoimi oczami, a co może być gorszego niż oczekiwanie i zaspokajanie się meldunkami? Galtarami tak naprawdę dowodzili Lorio Borrasca i abweniarcha, Ernani po prostu im nie przeszkadzał. Z epiarchy-następcy było tyleż pożytku, co z Beatrice, która stanowczo odmówiła opuszczenia stolicy, jako jedyna sprzeciwiając się człowiekowi, bez którego miasto już by zginęło. Owinięta w ciemnoniebieskie szaty kobieta, mimo ciąży krucha i młoda, w milczeniu siedziała przy oknie, wpatrując się bezdennymi oczami w niebo albo niebieskie, albo czarne, albo krwawoczerwone. Gdyby nie pamięć o bracie, Ernaniego cieszyłoby jej towarzystwo – oboje jednakowo samotni, opuszczeni, bezradni, ale nie bezużyteczni. To, że epiarcha-następca i żona

Loria Borraski pozostają w Cytadeli, pomagało utrzymać porządek i wzbudzało nadzieję.

Młodszy z braci Rakanów nic nie wiedział i nie umiał, ale w czasie nieobecności Eridaniego on był głową państwa i to jego, wedle uświęconego wiekami obyczaju, powiadamiano o każdym drobiazgu jako powiernika tronu. Gońcy przybiegali jeden po drugim. Nowiny były złe, choć nie tak tragiczne jak rankiem trzeciego dnia, kiedy do sypialni epiarchy-następcy wdarł się Chaini z Domu Skały.

Nie wiadomo, dlaczego potwory pojawiły się tylko w dwu z czterech dzielnic, nie było ich również w Cytadeli – widocznie nie znalazły tu drogi. Stwory przerażały siłą i żarłocznością, ale nawet one po jakimś czasie stawały się nasycone. Wtedy można je było zabić, choć nie tak łatwo: za każdą zabita bestię Borrasca płacił dziesiątkami żywotów. Dowódca zdecydował, co najpierw wydało się Ernaniemu błędem, o wyprowadzeniu z miast ludzi, po czym zburzył pomosty i pozostawił ryczące potwory wśród wzniesionych przez Abweniuszy murów, mając nadzieję, że Cytadela oraz Miasta Błyskawicy i Skały pozostaną dla nich niedostępne.

Na szczęście Pierwotne Stwory bały się zbliżać do umocnień zbudowanych przez Nieobecnych bliżej niż na dwie długości kopii, choć światło słoneczne bestii niestety nie przerażało, co było dość dziwne jak na istoty z podziemi. Monstra, jak opowiadali świadkowie, miały ogromne liliowe oczy, z których



wyływały powoli łyzy. Człowiek, przypadkowo przechwyciwszy przepętlone tysiącletnią krzywdą spojrzenie, nieruchomiał, a wtedy potwór go pożerał, po czym ruszał dalej. Niektóre, nasyciwszy się, wszczynały zabawy i bójki. Wtedy zabawiające się bestie burzyły i rozwalają wszystko na swojej drodze. Ale najgorsze było i tak

wiszące nad Galtarami przerażenie.

Ernani miał słabe pojęcie o tym, co czyniono w jego imieniu, ale ufał Loriowi Borrascie całkowicie i bez cienia wątpliwości. Abweniarsze nie wierzył kompletnie, ale Borrasca twierdził, że bez pomocy bogopamiętnego nie udałoby się zapanować – nie, nie nad monstrami! – nad ludźmi, którzy oszalałszy ze strachu, stawali się gorsi od wszelakich potworów. Liliwookie bestie mogły zjeść dziesięciu, dwudziestu, trzydziestu ludzi i na jakiś czas się uspokajały, a szalone tłumy zadeptywały setki, *jeśli* nie tysiące sobie podobnych. Lorio rozkazał zabijać każdego, kto szukając dla siebie ratunku, szedł po ciałach kobiet, dzieci, starców. To pomogło. Wojownicy i abweniacy jakoś zmieniali oszalałe stada w przerażone i skonfundowane, ale jednak ludzkie gromady.

Oddziały Borraski i eoriuszowskie drużyny już trzecią dobę ścigały potwory na siebie, a mnisi i miejska straż wyprowadzały galtarczyków za mury stolicy. Abweniarcha przeforsował ten pomysł, ponieważ gdyby potwory przedarły się do przeludnionych kwartałów, panika zabiłaby tych, co uniknęli szponów i kłów. Teraz wychudzony, blady jak brzuch żaby bogopamiętny poszedł – żeby nie powiedzieć: wypełził odpocząć, bo za kilka godzin znowu miał zejść do piekła, w jakie zmieniły się Miasta Fali i Wiatru.

Epiarcha-następca też mógł odejść, tak samo jak i Beatrice, ale nie robili tego, siedzieli i czekali na wieści od Borraski i Eridaniego. Z miasta donoszono o trwających potyczkach, Labirynt milczał. Ernani przeganiał od siebie myśl o śmierci swojego ostatniego brata i o losie Diamniego Koro oraz jego nauczyciela – stary malarz mieszkał przecież tak blisko świątyni, przez piwnice której wyrwały się monstra...

–Mój epiarcho – głosik Beatrice drżał – dlaczego... Dlaczego tak długo?

–Co chce powiedzieć moja eoriuszka? Pewnie nic znaczącego, po prostu nie może już dłużej milczeć.

Beatrice jest kobietą, oczekuje dziecka, jej słabość jest wybaczalna, może się więc bać, płakać, wygadywać głupstwa, a on powinien być twardy i pewny siebie. Epiarcha-następca nie może wątpić w zwycięstwo!

–Ja... Ja mam na myśli swojego anaksa. Tak długo...

–W Labiryncie czas płynie inaczej. – Ernani nie tyle kłamał, co po prostu ze znanych sobie plotek wybrał tę najbardziej pocieszającą. – Tam minęło

dopiero... Tak, tam minęły dopiero dwie czy trzy godziny. Wkrótce Eridani zrobi to co należy i wróci, potwory też wrócą do siebie i już nigdy nie wypełzną, i...

–Mój epiarcha uważa mnie za malutkiego głuptasa? – W błękitnych oczach pojawiła się gorycz. – Może nie mam wiele lat, ale przeżyłam... Przeżyłam tyle i takich rzeczy, że mogę wytrzymać każdą prawdę.

–Nie łżę – szybko powiedział Ernani. – W kronikach napisane jest, że w Labiryncie czas płynie inaczej, a ja wierzę tym księgom. I wierzę w swojego brata. Eridani wiedział, co robił, kiedy schodził w dół, i na pewno wróci.

–Tak – pokornie skinęła głową Beatrice.

Płonący przez chwilę w jej oczach ogień zgasł, przed epiarchą znowu siedziała cicha, przestraszona dziewczynka. Eoriuszka Borrasca choć może i była starsza od Ernaniego o trzy lata, wydawała się jego rówieśnicą.

–Tak, mój epiarcha ma rację... Mój anaks wie, co robi. Wróci, a potwory znikną... Ale dlaczego tak długo, tak długo?

–Może eoriuszka wypije sennego wywaru?

–Nie! I tak wkrótce nadejdzie świt.

Nie to nie, nie będzie jej namawiał. Niech siedzi i czeka, skoro tak jest jej łatwiej. Eridani nie powiedział, kiedy wróci. Przy pożegnaniu młodzieniec myślał, że brat mówił o godzinach, ale „wkrótce” może oznaczać zarówno godzinę, jak dzień lub tydzień.

A może spotkał w podziemiach Rinaldiego? Może ten w końcu zrozumiał, co zrobił, i bracia wrócą razem. Można odkupić każdą winę. Jeśli opamiętał się, to należy mu wybaczyć. Przecież nie może on życzyć zguby całym Galtarom, nawet jeśli jakimś sposobem obudził potwory. Nie miał pojęcia, co może z tego wyniknąć, w ogóle nigdy nie zastanawiał się nad konsekwencjami swoich czynów.

Anesti wiecznie marudził, że Rino nigdy nie wydorósł, a ten wykpiwał się, mówiąc, że Eridani urodził się stary, dlatego on będzie musiał do śmierci być młodym.

Stukanie do drzwi i dzwonienie halabard obwieściły przybycie kolejnego gońca.

–Mój epiarcho... – Wojownik zataczał się jak pijany. – Mój epiarcho... One odchodzą, odchodzą...

–Co? Chcesz powiedzieć, że ludzie zostali wyprowadzeni?

–Nie. – Goniec był tak podniecony, że zapomniał nawet, że rozmawia z powiernikiem tronu. – Potwory! Uciekają z powrotem, do pieczary... To cud, mój epiarcho! Cud!

Naprawdę cud! A ma ten cud na imię Eridani.

–No i widzisz? – Ernani uśmiechnął się do Beatrice. – Lęk eoriuszki był bez przyczyny. Eridani nie mógł przegrać. Wkrótce wróci, a jeszcze wcześniej zobaczymy twojego małżonka. Może więc jednak eoriuszka uda się teraz na spoczynek?

–Nie. – Oczy kobiety przypominały kawałki przeszytego słońcem nieba, brakowało tylko białych jaskółek. – Poczekam...

## 5. Mistrz

Im dłużej malarz wpatrywał się w szalejący strumień, tym mniej pozostawało w nim nadziei. Rinaldi pływa jak wydra, ale w górnym biegu Pienistej nie ma nawet wydr, no i do rzeki trzeba jeszcze jakoś dotrzeć.

Kończyła się trzecia doba oczekiwania, były to najcięższe dni i noce w życiu mistrza Koro. Jedyne, co mógł zrobić dla przyjaciela, to czekać tyle, ile obiecał, i dodatkowo trzy dni. Więc czekał. Rinaldi został zdradzony potwornie, straszliwie i wstrętnie i właśnie dlatego Diamni nigdzie nie odejdzie. Artysta topił swoją rozpacz w pracy, ale malował nie rzekę i tęczę, a „Więźnia”. To była jego odpowiedź rzucona podłości, świętoszkowatości, obłudzie. Nie może ukarać winnych mieczem, ale może wywołać ich do odpowiedzi pędzlem! Malował jak szalony, odrywając się od pracy tylko w nocy, i wtedy widział dziwną liliową poświatę tam, gdzie znajdowały się Galtary.

Diamni czekał, kiedy konie przestały jeść trawę i pić wodę. Czekał, gdy skały przy źródle Pienistej zaczęły jęczeć i drżeć jak żywe istoty. Czekał, kiedy liliowe błyskawice przecięły obsypaną gwiazdami czarną kopułę nieba, choć nie było na nim ani jednej chmurki. Czekał nawet, gdy o świcie wzeszły cztery zakrwawione słońca, zza których wysunęły się olbrzymie świecące miecze, a zetknąwszy ostrza, zrodziły piąte źródło światła – czarne, otoczone purpurową koroną. Trwało to nie dłużej niż

mgnienie oka, po czym słońce stało się zwyczajnym słońcem, konie przypadły do lodowatej wody, skały przestały jęczeć i tylko niebo pozostało purpurowe, ale od zwyczajnej zorzy. Zapowiadał się wietrzny dzień, ale na razie było cicho.

Malarz, kierując się jakimś niezrozumiałym przeczuciem, najpierw poszedł, potem pobiegł w kierunku wodospadu i znieruchomiał przed szalejącą wodą zmienioną przez świt w krew. Diamni wpatrywał się w czerwono-czarne głębiny, usiłując zapanować nad waleniem serca. Ciekawe, czy już zwariował, czy dopiero wariuje? W szalejącej toni mignęło i znikło coś ciemnego. Oczywiście, że mu się tylko zdawało, ale mistrz Koro aż podskoczył z miejsca. Teraz pędził w kierunku podnóża wodospadu, w biegu zrywając kurtkę. To było złudzenie, złudzenie, Diamni zwariował! Ale na myślenie nie miał czasu, więc skoczył.

Lodowata woda aż parzyła, ale jakie to miało znacznie?! To by było za dobrze, za dobrze, aby było prawdą, przecież minęły trzy dni, całe trzy dni...

Podniósł nieruchome i ciężkie ciało Rinaldiego. Martwy czy tylko nieprzytomny? Jakkolwiek i cokolwiek się stało, obaj spełnili dane sobie obietnice – jeden wrócił, drugi się doczekał.

Diamni wyciągnął swoją zdobycz na brzeg i wpił zdziwione spojrzenie w miecz, na rękojeści którego zacisnęła się dłoń epiarchy. Miecz Rakanów! Skąd? Mistrz Koro usiłował rozewrzeć palce Rina, ale nie dał rady. Dobra, sprawa miecza wyjaśni się potem!

Malarz pobieżnie zbadał druha i odetchnął z ulgą. Zdążył na czas -Rinaldi nie zachłysnął się, biedak stuknął głową o kamienie najwyżej kilka sekund przed wyłowieniem go. Abwenusze są miłosierni – kości całe, a

sińce i szybko rosnący guz na czole to głupstwa. Trochę niżej i uderzyłby się w skroń, ale los chyba sam miał już dość swoich podłości. Byle Rinaldi nie zaczął gorączkować z przeziębienia! Woda lodowata, nikt nie wie, ile musiał w niej płynąć... Koro rzucił się po peleryny i wino. Kiedy wrócił, Rinaldi siedział na trawie, bezrozumnym wzrokiem patrząc na leżący przed nim miecz.

–Rino! – Diamni nie od razu zrozumiał, jak zawołał epiarchę. Chyba Rinaldi Rakan naprawdę stał mu się bratem.

–Oto... Doczekałeś się...

–Obiecałem przecież! Wypij i połóż się... Poczekaj, podłożę ci pelerynę.

–Poczekaj... Coś mi się stało w głowę... Zimno. Co się stało?

–Wodospad, oto, co się stało. Pij, słuchaj, co ci mówię!

–Która godzina?

–Rano. Ósma pewnie. – Malarz podniósł do sinych warg manierkę. – Łaziłeś po pieczarach trzy doby. Za długo.

–Wybacz.

–O, jeszcze żartuje!

–Tak wyszło.

–Najważniejsze, że się wydostałeś. Teraz kładź się i spróbuj zasnąć. Do wieczora mamy masę czasu.

–Nie będę spał – błysnął oczami Rinaldi. – Skąd ten miecz?

–Mnie się pytasz? Gdy cię wyciągnąłem, miałeś go w ręku. Trzeba było widzieć, jak się w niego wczepiłeś. Nie mam pojęcia, jak zdołałeś z nim wypłynąć.

–Ja też sobie nie wyobrażam. – Epiarcha sięgnął do rękojeści i skrzywił się z bólu. – I jeszcze bardziej nie wyobrażam sobie, skąd go wzięłem.

–Może się położyć? – Mistrz Koro zerknął na Rinaldiego z nadzieją, ale ten uparcie zacisnął usta.

–Nie. Obiecałeś przynieść ubranie.

–I przyniosłem, ale...

–Diamni, znudziła mi się rola starożytnego bohatera, co to dokonywał niezwykłych czynów, jak go matka urodziła. Twój obóz jest daleko stąd?

–Niezbyt.

–No to chodźmy. – Epiarcha, nie czekając na pomoc, usiłował wstać.

Dziwne, ale udało mu się to.

–Idziemy – pokornie zgodził się malarz, rozumiejąc, że sprzeczką z nowo nabytym bratem nie ma sensu. – Jesteś uparty jak osioł mistrza Sollegi!

–Osioł?! – Rinaldi przygryzł wargi, odwrócił się i przyjrzał sińcom na swoich bokach. – Oszczerstwo. Jestem wykapanym leopardem.

–Nie tylko – bezlitośnie zakończył artysta. – Sądząc po tym, co masz na czole, to jesteś też jednorożcem. Ale przede wszystkim osłem.

–Dziwne. Musisz to namalować.

–Koniecznie.

Żeby tylko nie przypomniał sobie Beatrice! Diamni nie był jeszcze gotowy do rozmowy o swoim odkryciu, a poza tym mógł się mylić. Musi najpierw poradzić się mistrza. Jeśli ma rację, to Lentiro znajdzie odpowiednie słowa, o ile w ogóle takowe istnieją...

–Ostrożnie!

W odpowiedzi Rinaldi tylko błysnął oczami. To, że ocalał, wcale nie było cudem – ten człowiek po prostu nie wiedział, co to znaczy się poddać. Dlatego przeżył tam, gdzie nie przeżyłby nikt inny.

Dotarli do obozu, choć Diamni widział, ile kosztuje uparciucha każdy krok. A będzie jeszcze gorzej, bo ból dopiero się rozpala.

–Co będziemy robić?

–Chciałeś się chyba ubrać?

–I wypić. Nie, no jest niepoprawny i chwała za to Abweniuszom!

–Możesz nawet się upić. Zasłużyłeś na to.

–Nie wiem. – W kocich oczach pojawiła się dziwna rozterka. –

Rozumiesz, pamiętam naszą rozmowę przy wejściu. Pamiętam, jak szedłem, jak głupio skręciłem na schody tak kusząco prowadzące do góry.

A tam naprawdę było wyjście... Żebyż koty rozdarły mojego przodka z jego zamkami! – Rinaldi zacisnął pięści i skrzywił się z bólu. – Jeśli coś należy zniszczyć, to te Pułapki!

–Wypij. Ja też się napiję. – Normalnie Diamni nie przepadał za winem,

ale mistrz Sollega powiedziałby, że teraz po prostu koniecznie należy się napić. – I zapomnij.

–I tak zapomniałem niemal wszystko. – Rinaldi szybko łyknął z manierki. – Ale wyjście pamiętam. Z sufitu sączyła się woda, a w niej było coś jak kreda... I te postacie przy kracie. Na wierzchu biała skorupa, a w środku... – Rinaldi jednym tchem dopił resztę. – Wewnątrz one! Nie wiem, co oni zrobili i ile żyli, ale lepiej dwadzieścia razy spłonąć żywcem, niż coś takiego... Cisnąłem łuczywo i uciekłem. Potem pojawiło się światło, nawet nie światło, tylko jakiś zmierzch. Poszedłem przez świecący korytarz i trafiłem na freski. Szkoda, że ich nie widziałeś.

–Freski? – Żeby tylko nie zaczął mówić o Beatrice i braciach! – To ci historia... I co na nich było?

–Kobieta. Ta sama kobieta powtarzająca się tysiące razy. Miałem wrażenie, że idzie obok mnie. Nie potrafię tego wytłumaczyć, ale to cud!

–Znalazłeś kobietę nawet w labiryncie – pokręcił głową malarz.

–Nie, zgubiłem. Miała niebieskie oczy, Diamni. Niebieskie oczy i czarne źrenice, i jej życie było jednym wielkim bólem.

–Dziwne. – Dobrze, że mówi o freskach! Niech mówi o czymkolwiek, byle nie o tym, z powodu czego wpadł w potrzask. – Znam ten motyw. Poszukującą niebieskooką kobietę wcześniej malowano w pogrzebowych świątyniach, potem abweniacci pomyśleli i zdecydowali, że to niesłuszne podejście. Teraz ten motyw zachował się tylko w Kabiteli. Widocznie w podziemiach kiedyś musiała być świątynia. Dziwne, że nie natknąłeś się na nią.

–Może się i natknąłem – teraz Rinaldi mówił wolno i cicho, wino i zmęczenie zrobiły swoje. – Wiesz... Nic więcej nie pamiętam, tylko woń dymu... Ohydnie słodki... Pewnie poszedłem tam, albo... Lubię zapach dymu, ale ten... Obrzydlistwo... A potem zrobiło mi się zimno, otworzyłem oczy i zobaczyłem niebo... A w ręku miałem miecz... Skąd? Diamni, skąd ja mam miecz Eridaniego?

Mistrz Koro uśmiechnął się, nakrył przyjaciela peleryną i zerknął na niebo. Zasnął, chwała Nieobecny! Nie było jeszcze południa, mają kupę czasu. To, co się wydarzyło, było cudem, przypominało dziecinną bajkę ze szczęśliwym zakończeniem, kiedy najpierw wszystko idzie źle, a potem dobrze. Rinaldi się odnalazł żywy i zdrowy, świeci słońce, swiergocą ptaki, fioletowa mgła nad Galarami też zniknęła. Malarz poszedł zobaczyć, co z końmi, wypłukał pustą manierkę, przymierzał się już, żeby coś

upichcić, ale pojął, że też powinien trochę odetchnąć. Zmęczenie gromadzące się od dnia próby w końcu dało o sobie znać. Diamni Koro legł na

trawie i po krótkiej chwili mocno spał.

## 6. Rinaldi

Rinaldi Rakan chyba po raz pierwszy w życiu rozkoszował się widokiem obłoków. Wcześniej nie przyszło mu do głowy, żeby leżeć w trawie i patrzeć w niebo. Wcześniej w ogóle był głupcem. Dziwne, że nie czuje się szczęśliwy, przecież żyje i jest wolny, tylko z pamięcią coś nie tak. Chyba jednak walnął w coś głową, kiedy pokonywał rzekę.

Epiarcha przewrócił się na brzuch, zabolalo, ale bywało i gorzej. Zarówno wtedy, gdy stary Borrasca uczył jego, Anestiego i Eridaniego walki na miecze, jak i po bitwie pod Wesperydami – wtedy wszyscy myśleli, że już po nim. Ale nie, wydobrał, teraz też wydobrzeje.

Ból to drobiazg, ale pamięć... Co mu się przydarzyło w pieczarach? Bo przecież coś się przydarzyło... Skąd ma miecz Eridaniego? Gdzie się podział jego własny? Trzymać w garści rodowy miecz Rakanów to oczywiście nie byle co, ale walczyć nim to to samo, co harcować na krowie.

Epiarcha zebrał siły i wstał – omal nie wrzasnął, ale powstrzymał się jakoś, nie chcąc budzić Diamniego. Potłuczone i poobijane ciało bolało niemiłosiernie, ale Rinaldi nie byłby Rinaldim, gdyby leżał plackiem, bojąc się każdego ruchu ręką czy nogą. Zawsze wychodził niebezpieczeństwu naprzeciw, a ból to tylko rodzaj niebezpieczeństwa.

Zdobywszy się na jeszcze jeden wysiłek, zgiął plecy i podniósł miecz.

Nieźle musiał wyglądać, kiedy Diamni wyciągał go z wody. Nagi, potłuczony, ale z mieczem. Rinaldi uważnie obejrzał szeroką głownię, zdobioną fioletowymi kamieniami rękojeść, przyjrzał się jakimś ni to wzorom, ni to runom. Czy naprawdę ma miecz Eridaniego, czy tylko jakaś kopię? Szkoda, że nie chciało mu się przyrzeć rodzinnym relikwiom, kiedy miał taką możliwość. Słynne w całej Kertianie miecz, berło i korona nie wzbudzały w trzecim synu Amiretaniego Rakana żadnej ciekawości. Dobra, zobaczymy! Skoro tak wczepił się w to żelastwo, musiała w tym tkwić jakaś mądra myśl. Zaiste, wędrówka po Labiryncie i uderzenie w głowę mogły ci, mój drogi, przynieść pożytek. Ale tam było jeszcze coś innego, coś niezwykle ważnego, coś najważniejszego w jego życiu.

Milczenie stało się nieznośne, epiarcha zawołał Diamniego, ale ten nie odpowiedział – spał. Rinaldi podszedł do jedyne go swojego przyjaciela i nie wypuszczając miecza z ręki, przykucnął. Mistrz Koro oddychał równo i uśmiechał się do swojego snu. Musiał być w tej chwili szczęśliwy, i epiarcha zawstydział się, że chciał go obudzić w takiej chwili dla jakiegoś głupstwa.

Popatrzył w zamyśleniu w stronę Galtar – w nocy udadzą się do domu mistrza Sollegi i wszystko obgadają. Trzeba uciekać, ale dokąd? Najrozsądniej

byłoby udać się do Purpurowych Ziemi. Szadowie nie wydadzą go nigdy i nikomu, ale Rinaldi aż do bólu nie chciał opuszczać Kertiany. Oczywiście, Diamni ma rację, że to w jego stylu siedzieć w domu jakiegoś kaleki-malarza i czekać na zbawienie.

Dobrze by było porozmawiać z Eridanim, ale to niemożliwe. Brat usiłował go uratować, ale tylko dlatego, że łączyły ich więzy krwi. Nie wątpił w winę Rinaldiego i za bardzo pogrążył się w tym, co uważał za

obowiązek anaksa. Może nawet wysłać brata z powrotem do katakumb. Do Eridaniego można pójść, dopiero jak się będzie miało niezbite dowody swojej niewinności. Ale gdzie one są?

Epiarcha znowu popatrzył na bawiącego w rajskich ogrodach malarza. To niedobrze, ale obudzi go, bo już nie ma siły samotnie walczyć z całym tym szaleństwem. Trącił lekko druha, ale ten nie zamierzał otworzyć oczu. Rinaldi mocniej zacisnął palce na ramieniu malarza – znowu nic.

–Diamni! – Teraz potrząsał mistrzem z całej siły. – Diamni, obudź się! Na Płomienie Zmierzchu, co się z tobą dzieje?!

–Zostaw go! – usłyszał kobiety głos piękny i obojętny – tak przemawiałaby róża. Rinaldi drgnął i podniósł głowę. Tak pięknej kobiety jeszcze nie spotkał – wysoka, o stromej piersi i krągłych biodrach, ze szczupłą talią i wspaniałą rudą grzywą. Cała była owinięta w mieniący się purpurowy jedwab. Złota obręcz na szyi, masywne bransolety na śnieżnobiałych pulchnych rękach, kuty złoty pas... Zadziwiające stworzenie i... takie nie na miejscu! Kilka lat temu Rinaldi gościł u starego Nadorei. Jego córka uwielbiała wspaniałe zamorskie ptaki, ale pewnego dnia ktoś utworzył klatkę i różnokolorowi jeńcy odlecieli. Dziwacznie wyglądali na porośniętym mchem dachu. Rudy gość wyglądał tak samo dziwnie.

–Kim jesteś, pani? – Mimo nieprawdopodobnej urody, a może właśnie przez nią, nieznajoma wywoływała nie tyle zachwyt, co niepokój. – Wiesz, co się dzieje z moim druhem?

–Śpi. – Bursztynowe oczy kobiety obojętnie przemknęły po malarzu. – I widzi najpiękniejszy sen w swoim życiu. Nie trzeba go budzić, Rinaldi Rakanie, on nie obudzi się, póki nie odejdę albo nie odejdziemy. Nie bój

się, nic złego mu się nie stanie. Przeciwnie! Dla malarza nie ma większego szczęścia niż oglądanie, niech nawet we śnie, Eterny. Ale chyba pytałeś, kim jestem?

–Pytałem. – Epiarcha nie chciał wiedzieć, kim jest, po co przyszła, skąd zna jego imię, ale nie mógł się już wycofać.



–Jestem Ada – powiedziała piękność, jakby to coś wyjaśniało. – Przyszłam po ciebie.

–Nie przypominasz śmierci. – Rinaldi zmusił się do uśmiechu.

–Śmierć ma tysiące twarzy. – Kobieta uśmiechnęła się, jej wargi, duże i namiętne, miały jasnopurpurowy kolor. – Ale ja nie jestem śmiercią. Zabijam tylko wtedy, kiedy mi się przeszkadza. Tobie śmierć z mojej ręki nie grozi, a jeśli odejdziesz ze mną, śmierć dogoni cię nieprędko.

–Czyli ja ci nie przeszkadzam? – Dziwna rozmowa, dziwne imiona... Ada... Co to jest? Imię?

–Ada to imię?

–Och, nie... Nie mam imienia i jeśli pójdiesz ze mną, to też nie będziesz go miał.

–Po co mam iść z tobą? I dokąd?

–Do Eterny. – Piękność uśmiechnęła się, kamienie jej ozdób błysnęły południowym słońcem. – W każdym razie na początku. A po co... Są co najmniej trzy powody, i podam ci je. – Uśmiechnęła się znowu. – Stopniowo...

Na okolicę opadł wieczór, wysokie niebo mieniło się purpurą i złotem, dokładnie jak suknia nieznanym, odurzająco pachniały dzikie róże i jaśmin. Kobieta zerwała kwiatek i roześmiała się, ale Rinaldi uznał za stosowne nie zauważać, jak cienka tkanina spleta ze śnieżnobiałego

ramienia. Ada była obca i – epiarcha z jakiegoś powodu nie wątpił w to - niebezpieczna. Na wszelki wypadek wstał, wtedy ból przeszył ciało. Musiało się to odbić na jego twarzy, bo kobieta też wstała, zmrużyła oczy i zrobiła niedbały gest ręką. Rinaldiemu wydało się, że patrzy na świat przez jęczyczki fioletowego płomienia, potem lśnienie zgasło, a z nim zniknął również ból. Cały. Całkowicie. Jakby go nigdy nie było.

Epiarcha odruchowo zerknął na przedramię, które bolało go najbardziej, i ze zdziwieniem zobaczył, że ubranie, które z takim trudem naciągnął nań Diamni, zniknęło, jakby nie istniało. Znowu był jak go matka urodziła, tym razem z łaski rudowłosego niepojętego stwora.

–Do twarzy ci, kiedy się złościś. – Ada badała go z wyraźną aprobatą, żeby nie powiedzieć więcej. – Jesteś urodzony do wieczności, czas nie powinien szpeciść tak doskonałego piękna.

–Co zrobiłaś z moim odzieniem?

–A nie chcesz zapytać, co zrobiłam z twoim bólem? Spaliłam i jedno, i drugie.

Podeszła bliżej, teraz purpurowe usta i złote oczy znajdowały się przy samej twarzy Rinaldiego. W jej urodzie nie było ani jednej skazy, ale nie stawała się przez to obiektem pożądania... Albo niemal się nie stawała.

–Żyłeś obcym życiem i w obcym świecie. – Włosy nieznajomej lekko świeciły, a może to świeciły wtopione w złoto kamienie. – Ale szczerze za szczerze. Chyba nie mam się czego wstydzić.

Złoty blask przybrał na sile, a potem zniknął. Białe ręce objęły szyję Rinaldiego gorącym, płonącym pierścieniem. W pierwszej chwili nie zauważył, że purpurowe szaty Ady zniknęły. Ciało epiarchy okazało się rozsądniejsze od jego rozumu i odpowiedziało na czułość natychmiast i wściekle.

Rudy stwór wytrząsnął z niego więcej niż wszystkie inne kobiety wcześniej razem wzięte. To, co robił z tą wiedźmą, to, co ona robiła z nim, było szaleństwem. Mężczyzna i kobieta odrywali się od siebie tylko po to, by w mgnieniu oka znowu stać się jedną, pijaną i przepelnioną siłą i uczuciami istotą. Obok ryczał strumień, potem chyba zaczął śpiewać słowik. Rinaldi stracił świadomość, ile razy i kto był na górze, kto na kogo rzucał się pierwszy po kilku chwilach odpoczynku, co i kto mówił. Tylko raz, kiedy leżał na plecach, trzymając w górze dłonie, których dotykały ciężkie piersi, wydawało mu się, że widzi niebieskie bezdenne spojrzenie, ale potem znowu pochwyciła go i poniosła fala pachnącego jaśminami i różami złotego szaleństwa.

Oderwali się od siebie dopiero wtedy, gdy niebo na wschodzie rozkwitło bżowymi rozbłyskami. Ada leżała na plecach, mrużąc ogromne złote oczy, piękna, szczerza i bezwstydna jak wiosenna kotka – gładka biała skóra, błakający się po wargach uśmiech, rozrzucone włosy splecione z dojrzewającą jedwabistą trawą.

–Oto był i pierwszy powód. – Wzięła jego dłoń i położyła sobie na piersi. Rinaldiemu zawsze podobały się takie kobiety o pełnych piersiach i krągłych biodrach, wybaczał im nawet rozmyte talie i przypominające poduszki brzuchy, ale rudy stwór zbudowany był z samych zalet.

–Pierwszy powód?

–Pierwszy powód to ja i moje siostry, i Eterna. A raczej Eterna, ja i moje siostry. To bardzo długie życie i wieczna młodość, Rinaldi Rakanie. Wszystko, co ci się kiedyś podobało, ale silniejsze, barwniejsze, bardziej niepowtarzalne. Miałeś wiele kochanek, epiarcho. Powiedz, czy choćby z jedną z nich przeżyłeś to, co ze mną?

–Nie. – Rinaldi zawsze był szczery z kobietami. – Nie przeżyłem i... nie jestem pewien, czy chciałbym to powtórzyć.

–Cóż... – Ada usiadła, objawszy kolana. – To pogadajmy o czymś innym.

Przecząc samej sobie, piękność zamilkła, zapatrzywszy się na fioletowiejące niebo. Rinaldi odruchowo prześledził wzrokiem spojrzenie swojej dziwnej

kochanki, a kiedy znowu popatrzył na nią, ta miała już na sobie haftowane srebrem lazururowe jedwabie. Rinaldiemu nie było tak łatwo – musiał wstać i wyjąć z sakwy pelerynę, czując na sobie złociste spojrzenie, jednocześnie ironiczne i czułe. Ada wcale nie miała nic przeciwko temu, by postąpić z wieczorną szatą tak jak z poranną, i on sam... Nie, nie teraz. Może po rozmowie, a może nigdy, ale nie teraz! Nie chciał być niewolnikiem własnego ciała i tym bardziej przyznać się do tego rudemu stworowi.

–Tak więc... – kobieta nie kryła uśmiechu -...jesteś gotów wysłuchać drugiego powodu?

–*Mów,*

–Proszę bardzo. Urodziłeś się w jednym ze światów Wielkiego Łańcucha i uważasz go za jedyny, ale są ich tysiące. Twoja Kertiana jest tylko jednym z wielu. Wy, dzieci jednego jedynego świata, przypominacie człowieka, który urodził się, wyrósł i całe swoje życie przeżył w zamkniętej komnacie, nie wiedząc, co się dzieje za jej murami. Ale jeśli się wie, gdzie są drzwi i ma się do nich klucze, można chodzić z komnaty do komnaty, jak to robimy my...

Ada zamilkła, oczekując ni to pytań, ni to okrzyków niedowierzania, ale Rinaldi od razu zrozumiał, że nie kłamie. Była obca i przyszła z daleka, ale nie należała do Kertiany z jej błękitnym niebem i zieloną trawą, choć wydawała się kobietą. Wydawała się, ale czy była?

–Chodźcie po tym domu, jak rozumiem, ale czy wychodzicie na ulicę?

–Szybko wszystko łapiesz. – Rudowłosa w zamyśleniu dotknęła jednej ze swych bransoletek. – Nienadaremnie zatrzymałam się w tym świecie. Jesteś potrzebny Eternie...

–Nie odpowiedziałas mi.

–Podoba mi się twoja niecierpliwość... I ty też mi się podobasz.

Spojrzenie kobiety było bardziej niż szczere, chciała tego, co i on sam, ale Rinaldi postanowił, że dowie się wszystkiego. Ada oblizała usta, po czym obdarzyła epiarchę wspaniałym uśmiechem.

–Wyobraź sobie zamek, w którym każda komnata jest światem.

Gdzieniegdzie mieszkają istoty rozumne, jedno z duszą, inne nie, ale rozumne. Inne komnaty są puste albo zasiedlone przez bezmózgie stwory. Za murami zamku dziedziniec otoczony fosą, a za fosą wrogowie. Nie powiem, że są złem. Tam, skąd pochodzą, uważane są zapewne za dobro, ale naszemu zamkowi z wszystkimi jego mieszkańcami niosą zgubę. Nie śmierć, a zgubę, bez życia po śmierci i nadziei na odrodzenie. I dlatego na tym murze, który nazywamy Rubieżą, toczy się nieustająca walka.

Prowadzą ją wojownicy Eterny. Są oni wiecznie młodzi i niemal nieśmiertelni. Niemal, ponieważ można ich zabić i czasem to się zdarza. Zabitych należy zamienić, a żywi muszą co jakiś czas odpocząć, i my, Ady, wędrujemy po zamieszkanym świecie w poszukiwaniu tych, którzy mogą stać się obrońcami Rubieży. Zobaczyłam ciebie i zrozumiałam, że jesteś stworzony do wiecznej walki przerywanej ucztami i miłością. Jesteś zrodzony w świecie śmiertelnych, ale twoja krew należy do Eterny i to jest mój drugi powód. Będziesz miał wrogów i towarzyszy, o których marzy każdy wojownik. Twój miecz będzie decydował: ma żyć czy nie ten Łańcuch Światów, wśród których znajduje się również twoja Kertiana ze wszystkim i wszystkimi, którzy są ci drodzy, a potem ich potomkami. Wojowie Rubieży, odparwszy atak, wypoczywają w pałacach Eterny. Żeby pojąć, jak ona jest piękna, popatrz na twarz swojego druha. Pozwoliłam jego duszy zerknąć do pałacu Archonta i pospacerować po Polanach Młodości. Obrońców Eterny czekają uczyty, miłość moich przyjaciółek i... -Ada roześmiała się -...moja miłość. Tam nie będziemy już obcymi dla siebie, staniesz się tak samo silny i wolny jak ja. Odejdiesz więc ze mną?

Gdybyż ona przyszła wcześniej, niechby w dniu, kiedy Beatrice oskarżyła go o gwałt! Nie zastanawiając się, odszedłby z istotą o białej piersi, z ognistą pięknnością, stałby na Rubieży, ucztował z towarzyszami, kochał nieśmiertelne, a potem wracał do boju i nie życzyłby sobie innego losu. Ale po co mówić o tym, co spłonęło! Jest związany z Kertianą swoją hańbą, jest także związany przyjaźnią z Diamnim oraz nieznanym jeszcze Sollegą. Nie może porzucić tego i zniknąć, nie odzyskawszy dobrego imienia i nie rozwiązawszy zagadki swojego nieszczęścia.

A może pułapka, w którą wpadł, to tylko początek podobnych sobie i może w każdej będzie się tłukła żywa istota, niewinna, ale osądzona przez najbliższych. Nie, musi zostać dla Eridaniego, przeciw któremu ktoś knuje tu intrygi, dla małego Ernaniego...

-Masz rację, rzeczywiście jestem stworzony do życia, jakie mi opisałaś, ale zostanę.

-Dla niego? - Kobieta wskazała ruchem brody ciągle jeszcze uśmiechającego się Diamniego. - Czy dla braci?

-Dla wszystkich i siebie. Wybacz, ale są rzeczy, które można zrozumieć, tylko wypróbawszy je na własnej skórze. Jeśli odejdę, to będę sobą gardził. Eternie raczej nie jest potrzebny taki obrońca.

-Czyli zostajesz?

-Tak. Może potem, kiedy...

–Nie będzie „potem”, Rinaldi Rakanie. – Ada już się nie uśmiechała. – Odejdę i nigdy już nie wrócę. Eterna wyciąga dłoń do śmiertelnego tylko raz, ale zanim ostatni raz powiesz „nie”, musisz dowiedzieć się jeszcze czegoś. Jesteś niewinny, nie popełniłeś tej zbrodni, o którą cię oskarżono, ale masz na swoich rękach krew *swojego* brata Eridaniego. Oczywiście miałeś swoje racje, zabijając go...

–Żartujesz?

–Wcale nie... Skąd byś wziął miecz Rakanów? Chcesz znać prawdę?

–Mów!

–Eridani Rakan był kochankiem Beatrice Borraski. Kiedy poczęła, postanowili zachować dziecko i cześć eoriuszki, i miecz Loria. Teraz rozumiesz, co się stało?

Nie zrozumiał tego wcześniej tylko dlatego, że Eridani jest jego bratem. Kochał go, kochał i nie był w stanie myśleć o nim źle. Ale to prawda, prawda, niech będzie przeklęty ten rudy potwór na wieki wieków!

–Próba!

–Tak. Chcąc mieć czyste sumienie, Eridani zaproponował ci ucieczkę. Nie skorzystałeś i od tej chwili wszystko było już zdecydowane. Abweniusze uznali dziecko-Rakana, dziecko anaksa, twojego bratanka...

Następnie odbył się sąd i wyrok. Eridani nie mógł pozwolić ci zabić połowy swoich stronników i przede wszystkim Loria. Przecież nie ma innego dowódcy. Cisnął więc ciebie do pieczary, ale jakoś po swojemu kochał cię i wszedł za tobą. Nie powinien był mówić ci prawdy...

–Powiedział? Powiedział?

–Tak! I zabiłeś go, i zabrałeś jego miecz.

–To nie tak! To być nie może!

–Może i było. Chciałeś prawdy? Oto ją masz. Zabiłeś Eridaniego i jego krew, krew Rakana, zbudziła Pierwotne Stwory, które wyrwały się na wolność przez świątynię w Mieście Wiatru. Zapędziłam je z powrotem, ale już było za późno. Zginęło kilka tysięcy ludzi, w tym Lentiro Sollega. Ludzie związali twoją egzekucję z pojawieniem się potworów i zniknięciem anaksa. I słusznie związali. Teraz dla mieszkańców Kertiany jesteś nie tylko gwałcicielem, jesteś zabójcą nienawidzącym wszystkiego, co żyje, i z tej nienawiści wypuściłeś na bezbronne miasto potwory, które twój brat, złożywszy siebie w ofierze, zapędził z powrotem. To nie do końca jest prawdą, ale też i nie do końca kłamstwem.

–Nie pamiętam... – Nie pamięta, ale miecz jest tu! Nie pamięta, bo uderzył się w głowę czy dlatego, że chciał zapomnieć? Wcześniej też zdarzało mu się zapomnieć o czymś nieprzyjemnym.

–Nie pamiętasz, ponieważ się boisz. – Albo Ada potrafiła czytać w myślach, albo miał to wypisane na twarzy. – Teraz anaksem jest twój najmłodszy brat, ale krajem rządzi Lorio Borrasca. Ciągłe jeszcze chcesz wrócić do zrujnowanego w połowie miasta? Chcesz, aby Diamni dowiedział się, że stałeś się powodem śmierci jego Mistrza i mnóstwa innych ludzi? Chcesz udowodnić swoją niewinność? Możesz tylko

udowodnić winę Beatrice Borraski i tym samym zabić ostatniego człowieka zdolnego do uratowania Złotej Anaksji. Czy może chcesz objąć tron? Jeśli wykorzystasz Moc, uda ci się to. Chcesz, to ci powiem, jak to należy zrobić.

–Nie! – Rinaldi wstał. – Rzeczywiście nie ma dla mnie miejsca w Kertianie. Wybrałbym śmierć, ale to zbyt słaba kara za to, co uczyniłem. Omal nie doprowadziłem do zguby swojego świata tu, będę go więc bronił na twojej Rubieży.

–Rubież będzie też twoja. – Ada podeszła do śpiącego malarza i położyła mu rękę na czole. – Diamni Koro zapomni wszystko, co związane jest z tobą, i wróci do Galtar. Widział Eternę. Jeśli jest prawdziwym malarzem, namaluje ją i to będzie największym jego szczęściem i najwyższą nagrodą. Jesteś gotów?

Czy on jest gotów? Rinaldi z rodu Rakanów rozejrzał się po polanie na brzegu lodowatego zielonkawego jeziora, rzucił okiem na pienistą grzywę strumienia, obsypane kwieciami krzewy, pomietłą trawę. Trudniej było pożegnać się z Diamnim. Epiarcha oddałby wszystko, gdyby cokolwiek miał, żeby móc jeszcze raz porozmawiać z malarzem, żeby wyjaśnić -wszystko wyszło przypadkiem, a on nie wiedział, do czego może doprowadzić jego postępek, wszystkiemu jest winien porywczy charakter i przeżyty koszmar... Ale jakież on miał prawo włożyć swoje nieszczęście i swoją winę na barki przyjaciela? Diamni nie powinien wiedzieć, że szlachetny uczynek stał się powodem śmierci jego przybranego ojca i nauczyciela.

Epiarcha zmusił się, by wstać. Miał w tym świecie tylko jeszcze jedną rzecz do zrobienia. Ostatnią. Chwycił miecz Eridaniego, podszedł do

pieczary, z której chlustała woda i włożył ostrze w szczelinę między dwa głązy. Niech myślą, że wyniosła go tu woda. Miecz Rakanów należy do Kertiany. Kiedy Diamni się obudzi, zobaczy go i zwróci Ernaniemu, ostatniemu z braci, żyjącemu, ponieważ on, Rinaldi, też umarł, dowiedziawszy się prawdy o sobie. Odwrócił się do niekryjącej radości Ady.

–Jestem gotów. Nie będziemy zwlekali.

## **7. Epiarcha**

Lorio kazał podać śniadanie do sali Litid, z której nie wychodzili przez te wszystkie szalone dni. Epiarcha-następca coś jadł i coś pił tylko po to, by

Borrasca kolejny raz nie przypominał mu, co i komu jest winien. Po śniadaniu kolejny raz usiłovali obaj namówić Beatrice, by udała się na spoczynek, ale ta tylko pokiwała głową, więc zostawili ją w spokoju. Następnie zabrali się do zajęć. Codzienne sprawy, którymi anaks zajmuje się znacznie częściej niż wypowiedaniem wojen i wykrywaniem spisków. Pieniądze, drogi, pomoc dla rodzin zabitych, odtworzenie zniszczonych domostw, rozdawanie chleba i wina... Słońce sięgnęło zenitu, cienie czarne i krótkie przywierały do rzucających je przedmiotów, jak wystraszone szczeniaki przywierają do nóg pana. Słońce, ptaki, kwitnące drzewa, obłoki na wysokim niebie jakże są okrutne w swojej obojętnej radości! To było życie, pozornie tak nieosiągalnie piękne, kiedy Miasto Wiatru i Miasto Fali były niszczone przez Pierwotne Stwory i oszalałych ludzi.

Straszliwe dni odeszły. Galtary nie tak szybko zaleczą otrzymane rany, ale Cytadela już wyglądała normalnie i ta zwyczajność wydawała się

niemal policzkiem. Epiarcha-następca rozumiał, że należy dziękować Abweniuszom, że wszystko skończyło się tak, a nie inaczej, ale powszednia krzątania każdym drobiazgiem przypominała mu braci i to, że jeśli Eridani nie wróci, Ernani Rakan będzie musiał stać się tym, kim stać się nie może.

Znowu zmuszano go do jedzenia i młodzieniec znowu nie byłoby w stanie powiedzieć, co zostało podane na obiad. Po południowym posiłku Borrasca pojechał do miasta i nastąpiła cisza zakłócana tylko gruchaniem puchatonogich liwkadzkich gołębi, rozkoszujących się wypoczynkiem na oświetlonym słońcem karniszu. Ernani siedział w fotelu należącym do Eridaniego, a Beatrice zajęła miejsce Rinaldiego. Kobieta raczej nie była tego świadoma, chociaż – co to znaczy miejsce... Przez okno wleciał motyl – wielki, żółto-czarny, z dziwnymi ostrymi odrostami na dolnej parze skrzydeł. Albo paż królowej, albo żeglarz, bardzo są do siebie podobne. Diamni by wiedział, Diamni dobrze się zna na kwiatach, ziołach, ptakach. Żeby tylko przeżył... Miasto Wiatru zostało najmocniej pokrzywdzone, a kiedy straż zastukała do domu Lentira Sollegi, odpowiedziała im ciemność i martwa cisza...

–Która godzina? – ledwo słyszalnie zapytała Beatrice.

–Druga po południu. Twój mążonek wkrótce wróci, ale czy nie lepiej, byś...

–Nie. – Błękitne oczy błysnęły, przypomniawszy o tym, że epiarcha rozmawia z nieokiełznaną eoriuszką, która w słusznym gniewie przeszła przez skamieniałe ze zdziwienia Galtary, by zażądać sądu nad gwałcicielem. – Zostanę.

Ernani nie sprzeczał się – nie miał ani sił, ani ochoty. Oboje pragnęli poznać prawdę, jakakolwiek by była, właściwie już ją znali, ale nie chcieli się z nią pogodzić.

Wrócił Lorio, opowiedział, co się dzieje w Galtarach. Miasto Wiatru i Miasto

Fali leczą rany, abweniacy i strażnicy chodzą po domach – pierwsi pocieszają i leczą, drudzy odcinają ręce i głowy maruderom i zabójcom. Chleba, mięsa i owoców wystarcza.

Młodzieniec nie pytał o braci – przecież gdyby Borrasca cokolwiek wiedział, powiedziałby, ale Beatrice była kobietą i nie wytrzymała:

–Twoi ludzie są przy wszystkich wyjściach? – Głos eoriuszki zdradzał troskę i nadzieję.

–Oczywiście – wymamrotał Lorio i od razu zaczął mówić o czymś innym: – Pierwsza dobra wiadomość po złych, mój epiarcho. Malarz Lentiro jest żywy i zdrowy. Możesz sobie wyobrazić? Mistrz przepędził sługi, jak często to robił, zamknął się w izbie na poddaszu i pracował. Wielki Sollega nawet nie wiedział, co się działo w mieście! Mistrza Kora nie było w Galtarach. Nauczyciel wysłał go, by namalował wodę i skały, tak więc na pewno żyje.

Czyli, choć jedna osoba z tych, które są Ernaniemu drogie, ocalała. Diamni malował braci wiele razy, niech namaluje portret, na którym wszyscy są szczęśliwi i weseli. Teraz sprzeczka z nauczycielem wydała się epiarsze nic nieznaczącą i po dziecinnemu głupią. W ostatnim czasie wszyscy oni nie przypominali samych siebie, wszyscy umykali przed prawdą, kto gdzie dał radę. Nic więc dziwnego, że malarz usiłował zasłonić się swoją sztuką.

Diamni opowiadał o obrazie, który jego nauczyciel niemal zakończył i miał go pokazać najpierw Eridanemu i Rinaldiemu. Teraz

„Odchodzących” zobaczy tylko Ernani. Oczywiście Lorio nie odmówi i będzie towarzyszył następcy, ale stratega nigdy nie interesowała „bazgranina”.

–Mój epiarcho... – Borrasca z niepokojem obserwował następcę, który bardzo bał się zostać anaksem i niemal nie wątpił już, że nim został. – Musisz odpocząć.

–Nie będę pił sennego ziela, a bez niego nie zasnę. Pójdę spać, gdy już nie zostanie żaden cień nadziei.

Lorio skinął głową i odszedł. Poszeptał o czymś z Beatrice, najpewniej na ten sam temat, ponieważ eoriuszka pokręciła głową i odchyliła na rzeźbione oparcie. Znowu przychodzili jacyś ludzie – pytali, prosili, meldowali. Przybyli witali epiarchę-następcę, a on odpowiadał i odsyłał ich do Borraski. Albo do abweniarchy.

Zalewała się łzami kobieta z Domu Fali, niemająca żadnych wiadomości o synach. Zatroskany skarbnik wyjaśniał, ile będzie kosztował remont pomostów. Zarządca kuchni uzgadniał, kiedy zaczną się uczyty pogrzebowe.

–Mój epiarcho... – Wysoki, jasnowłosy żołnierz przypominający jakoś Rinaldiego pochylił głowę i przyłożył rękę do serca. – Przybył mistrz Koro.



Przyniósł miecz anaksa.

–Niech wejdzie! – Miecz Eridaniego? Skąd? Jak Diamni wszedł w jego posiadanie?

–Na miłość Anema, co z anaksem?! – Beatrice poderwała się, ale napotkawszy zatroskane spojrzenie męża, znowu opadła w rzeźbiony fotel. Na jego oparciu wyrzeźbione były leopardy idące w rzędzie jeden za drugim. Naprawdę leopardy tak nie chodzą, są samotnikami...

–Mój epiarcho... – Diamni ukląkł. Policzki malarza pokrywała krótka szczecina, oczy miał zapadnięte. – Spędziłem ostatnie dni przy źródle Pienistej Rzeki, rysując szkice potrzebne do zdobienia świątyni. Tego ranka zobaczyłem przy wylocie z pieczary miecz. Widocznie wyniosła go woda...

Artysta rozwinął płaszcz, nieposkromionym światłem błysnął wprawiony w rękojeść kamień, fioletowy i zły jak oko Pierwotnego Stwora. Pienista Rzeka bierze swój początek w pieczarach, na pewno łączą się one jakoś z Labiryntem. Nikt o tym nie myślał, ponieważ tą drogą wyjść się nie da, a tym bardziej wejść, ale Abweniusze widać uznali, że nie potrzebują miecza, zabrali tylko życia. Najpierw jedno, potem mnóstwo.

–Co z Eri... Co z anaksem? – Beatrice nie była nawet blada... Ernani nie zaryzykowałby doboru słowa, które zdołałoby opisać oblicze eoriuszki. Nie lęk, nie ból, nie cierpienie, nie rozpacz – wszystko to było zbyt płaskie i małe.

–To ja... – Wątpła kobieta poderwała się, by biec dokądś, ale Lorio schwytał ją w objęcia. – To ja jestem wszystkiemu winna... To ja powinnam była umrzeć, wtedy anaksa byłby żywy... Wszyscy by żyli!

–Uspokój się, kochanie. – Siwy strateg czule, ale mocno przytulił wyrrywającą się żonę do piersi. – To kazał ci honor... Niczego już się nie zmieni!... Pomyśl o dziecku.

–O dziecku?!!! – Tego krzyku Ernani nigdy nie zapomni. – O dziecku?!

–Dziecko nic nie jest winne – z mocą powiedział Lorio Borrasca. – Nie będę odbierał mu imienia. Abweniusze są litościwi, nasz syn nie będzie przypominał ojca, a jego brata.

–Mój syn będzie przypominał anaksa – Beatrice szeptała niczym we śnie. – Eridaniego Rakana... Tak... Spróbuję... Spróbuję żyć! Nie opuszczaj mnie, nas... Proszę. Tylko nie opuszczaj... Jestem tak winna...

–Nie masz na sumieniu żadnej winy. – Lorio czule pocałował żonę w czoło jak małą dziewczynkę. – Mój epia... Mój anaksie! Pozwól, że odprowadzę eoriuszkę. A ja zaraz wrócę.

–Eoriuszu Borrasco... Mój Lorio, jesteś wolny do rana. Eoriuszka Borrasca

potrzebuje cię bardziej niż ktokolwiek inny. Zostań z nią tyle, ile tylko będzie potrzebne. A ja... – Ernani zerknął na miecz, który ciągle trzymał malarz. – Muszę porozmawiać z mistrzem Koro.

–Dziękuję mojemu anaksowi. – Dowódca objął drżącą Beatrice i wyprowadził, niemal wyniósł z komnaty. Stuknęły drzewce halabard strażników, skrzypnęły drzwi. Zostali we dwóch – malarz i jego uczeń, anaks i człowiek z ludu, który przyniósł miecz zaginionego władcy.

–Diamni... – Ernani popatrzył artyście w oczy -...powiedziałaś mi wszystko, co wiesz?

## **8. Mistrz**

–Diamni, powiedziałaś mi wszystko, co wiesz? – Szare oczy epiarchy patrzyły surowo i dorośle.

Jakże zmienił się młodzieniec w ciągu kilku dni! Zresztą czy tylko on jeden? Wszyscy stali się starsi nie o lata, a o wieki.

–Mój anaksie...

–Diamni. Teraz zdecyduj się raz i na zawsze. Albo mistrz Koro opowie wszystko, co wie o mieczu Rakanów anaksowi Kertiany i wróci do swoich obrazów. Albo Diamni zostanie z przyjacielem i pomoże mu nieść to, czego on sam nie da rady.

Malarz milczał, wpatrując się w oblicze, z którego jakby wyszło młodość. Gładkie policzki jeszcze nietknięte przez brzytwę, lekkie kasztanowe włosy, pulchne dziecięce wargi i przepełnione stuletnią goryczą oczy. Anaks czekał na odpowiedź i malarz po prostu powiedział:

–Ernani, zostaję.

–Dziękuję. – Chory chłopiec, który został władcą ogromnej rozdzieranej buntami Kertiany, uśmiechnął się. – Pomóż mi w takim razie przejść do okna i usiądź obok. A miecz... Połóż go tak, bym go nie widział. Odczuwam strach, patrząc nań.

Strach? Dlaczego? Co takiego jest w tym dość niedbale wykutym przedmiocie? A może wyczuć to potrafi tylko Rakan? Diamni znowu zawinął broń w pelerynę, położył na fotel z idącymi rzędem leopardami, przeprowadził młodego anaksa przez komnatę, pomógł mu usiąść i sam przycupnął obok. Powiedzieć czy nie? Martwi już nie wrócą, a prawda może przynieść cierpienie. Czy TA prawda jest potrzebna Ernaniemu, Loriowi, jeszcze nienarodzonemu dziecku, tysiącom mieszkańców Galtar?

–Zostałem zupełnie sam. – Młody władca nie skarżył się, po prostu powiedział, jak się sprawy mają. – Jestem anaksem, ale nie dam rady. Eridani nic mi nie opowiedział, za bardzo się spieszył. Moc Rakanów została utracona,

a bez niej nie sposób utrzymać Kertiany. Póki żyje Lorio, póki nikt nie wie, że na tronie jest puste miejsce i to kalekie, będą się nas bali, ale potem, za dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści lat?

–Przestać jęczeć! – Malarz sam nie od razu uświadomił sobie, że krzyczy na anaksa tak samo, jak na niego krzyczał Lentiro Sollega. – Jeśli masz sprawny umysł, nie musisz używać pięści. Skoro poza tobą nie może nikt, to znaczy, że ty możesz. Ponieważ powinieneś!

–Wybacz! – Ernani z pełnym winy uśmiechem szarpnął artystę za rękaw. To był jego stary żart, chwala Abweniuszom, że przypomniał sobie o nim. – Wszystko rozumiem. Co wieczór będziemy się zamykali przed wszystkimi, ja będę marudził, a ty mnie sztorcowałeś.

–Jeśli to komuś się na coś przyda, jestem gotów. – Diamni wpatrzył się w twarz młodego władcy i zdecydował się. Chłopiec ma prawo do prawdy i wystarczy mu siła, by ją znieść. – Ernani – głos malarza drgnął, mimo że bardzo się starał zachować spokój – muszę ci coś powiedzieć. Najpierw cię zabolę, potem jednak nadejdzie ulga. Jeden z twoich braci naprawdę był nikczemnikiem, ale nie Rinaldi, a Eridani.

–Wiem – cicho odparł anaks.

–Wiesz?! Od kiedy?

–Wszystko pojąłem, gdy przyniosłeś mi miecz. Eridani jest ojcem dziecka Beatrice. To chciałeś mi powiedzieć?

–Tak. Ale to nie wszystko. Mistrz Lentiro...

–Żyje i ma się dobrze.

–Wiem. Szedłem tu przez Miasto Wiatru. Ernani, okłamałem cię.

Walczyłem o spotkanie z Rinaldim nie po to, by go namalować, chociaż malowałem też. Byłem przekonany o jego niewinności i usiłowałem go uratować.

–Ale co mogłeś zrobić?!

–Mało, ale powiedziałem mu, że my z nauczycielem mu wierzymy, i przekazałem twojemu bratu broń, sandały i wytrychy.

–Przekazałeś?! – Wychylił się do przodu Ernani. – Podeszedłeś do kraty?

–Tak. Rinaldi uwolnił się od okowów... Nie wiem, co było z nim

potem, czekałem na niego nad Pienistą Rzeką. Mistrz Lentiro mówił, że jej źródła są gdzieś w Labiryncie. Mieliśmy nadzieję, że Rinaldi wypłynie, ale znalazłem tylko miecz Eridaniego. Teraz wiesz wszystko. Chociaż nie... Kiedy Rinaldi odchodził w Labirynt, prosił mnie, bym został jego bratem. Nie mogę w żaden sposób potwierdzić tych słów, ale byłem szczęśliwy i dumny. I nie dlatego, że jestem znajdą, a Rinaldi należy do Domu Rakanów. On... Trudno mi o tym

mówić i jeszcze trudniej słuchać, jak przeklina się jego imię. Nie wiem, co się stało w Labiryncie, ale nie wątpię, że miasto uratował Rinaldi!

–W tobie Rino znalazł lepszego brata niż mu byłem ja. – Ernani odwrócił się do okna. Diamni cicho usiadł na ławie pod ścianą. Są takie chwile, których nie wolno spłoszyć. W powietrzu mignęło coś złocistego. Motyl... Paź królowej... – Diamni – głos młodego anaksa był napięty jak struna, która za chwilę może pęknąć – wiem, co zrobię. Przywołaj dyżurnego eoriusza!

Malarz wykonał polecenie, nie rozumiejąc, co zamyślił anaks. Ozdobione wykutymi w brązie śmiejącymi się twarzami drzwi otworzyły się z trudem, ale stojący na straży halabardnicy nawet nie obrócili głów -oni mają patrzeć przed siebie, na tych, co wchodzi. Z kolei dyżurny eoriusz w pelerynie ze znakiem Unda pojawił się na progu natychmiast, za jego plecami widniały postacie dwóch uzbrojonych w miecze żołnierzy.

–Wejdz – drewnianym głosem rzucił Ernani. Strażnicy rozsunęli halabardy, wchodzący pochylił głowę i przyłożył rękę do serca.

–Mój anaksie.

Wiadomość o znalezionym mieczu zapewne już rozniosła się po pałacu i dla jego mieszkańców stała się świadectwem śmierci Eridaniego. Dobrze by było, gdyby to była prawda!

–Eoriuszu – Eridani nie zapomniał o tytule – potrzebny mi abweniarcha.

–Słucham anaksa.

Młody człowiek w lazuruwej pelerynie wyszedł i w tym momencie

Diamni przypomniał go sobie. To on spuścił oczy w czasie egzekucji, czyli żyje w nim i sumienie i współczucie. Trzeba to powiedzieć Ernaniemu, niech ten eoriusz wejdzie do grona jego zaufanych ludzi. Malarz zamknął drzwi i odwrócił się do byłego ucznia.

–Co zamyśliłeś?

–Galtary muszą znać prawdę. Czyli Rinaldi będzie usprawiedliwiony.

Pośmiertnie...

–Dlaczego milczysz? – zapytał anaks.

–Nie wiem. Jeśli STAMTĄD można zobaczyć, co się dzieje tu, więc jeśli TAM jest to ważne, Rinaldi będzie rad. Nie z powodu okrzyków na ulicach, a dlatego że jednego prawdziwego brata jednak ma.

–Wierzysz w życie wieczne?

–Chcę wierzyć, a czy wierzę, nie wiem sam.

Milczeli chwilę, potem Ernani zapytał, jak się nazywa fruważący po

komnacie motyl. Diamni odpowiedział, znowu zapadła cisza. Obaj dobrze znali swoje myśli, nie musieli rozmawiać. Abweniarcha pojawił się niespodziewanie, choć anaks i malarz czekali przecieź na niego. Już wiedział wszystko, to znaczy nie wszystko, a to, co wiedzieli wszyscy.

–Mój anaksie, abweniacci oplakują twoją stratę i radują się z twojego panowania!

Słowa, zwyczajne rytualne słowa, ale jak znacząco wypowiedziane!

–Słowa bogopamiętnego niosą nadzieję.

Jeszcze jedna rytualna wypowiedź.

–Wiem, że mój brat Rinaldi jest niewinny, i chcę, by wiedzieli o tym wszyscy – Ernani nie zwlekał i nie kołował.

–Te słowa czynią honor bratu. – Abweniarcha westchnął. – Ale nie anakowski.

–Co?! – Oczy Ernaniego błysnęły nie gorzej niż oczy Rinaldiego.

–Mój anaksie – bogopamiętny porzucił znaczący i błogosławiony ton, widocznie rozumiejąc, że tu i teraz jest nie na miejscu – będziesz zdziwiony, ale niewinność Rinaldiego była dla mnie oczywista już w dniu Próby. Tak samo jak wina Eridaniego.

–I ty pozwoliłeś... dopuściłeś...

–Tak. Wtedy uważałem to za słuszne. Kertiana przeżywa nie najlepsze czasy, Ernani z Domu Rakanów. A ci, co się znaleźli na szczycie władzy, powinni myśleć przede wszystkim o swoich obowiązkach, a dopiero potem o swoim sumieniu. Eridani zapowiadał się na dobrego anaksa i stałby się nim, gdyby więcej myślał o Abweniuszach. Nie patrz tak na mnie, mistrzu Koro. Ja, jak i moi pomocnicy, powinniśmy wygłaszać ładne słowa i wygłaszamy je, ale teraz mówię o prawach, przekraczanie których jest niebezpieczne. Mój anaksie, wiesz, że Eridani zabił młodszego brata, ale raczej nie domyśliłeś się, że śmierć Anestiego również obarcza jego sumienie. Pożądał władzy i był przekonany, że będzie najlepszym anaksem z całej rodziny. Ciebie w ogóle nie brał pod uwagę, ale Anesti był najstarszy, a Rinaldi zbyt silny i nieprzewidywalny.

–Czyli... – Diamni zapomniał, że jest człowiekiem z ludu –...rzec nie leży w Beatrice?

–Nie, rozpustnica była tylko orężem. Ona naprawdę kochała anaksa ponad obowiązek i honor, a on wykorzystał to w swojej grze, chociaż ciało Beatrice wzbudzało jego pożądanie.

–Dlaczego milczałeś wcześniej? Dlaczego mówisz to teraz?

–Dlatego, że stałeś się anaksem i teraz musisz wybrać między spokojnym sumieniem a spokojem kraju. Jeśli rozkażesz, abweniacci we wszystkich świątyniach ogłoszą, że Rinaldi Rakan zginął niewinny, a

zaginiony Eridani jest bratobójcą, krzywoprzysięzcą i chciwcem, którego czyny ściągnęły na Galtary gniew Abweniuszy, a Beatrice Borrasca jest jego kochanką i współpracowniczką. Chcesz tego?

–Nie! – wykrzyknął Ernani. – Chciałem jedynie oczyścić imię brata.

–Ale musiałbyś opowiedzieć prawdę o Eridanim i Beatrice. Wiesz, do czego to doprowadzi?

Ernani nie powiedział „tak” ani „nie”, tylko patrzył na bogopamiętnego.

–To doprowadzi do tego, że Beatrice rozszarpią na strzępy matki i żony ofiar ostatnich dni. Jeśli nie uratuje jej mąż, który najpierw musi sam znieść te wieści. Zniesie?

Młody władca wolno pokręcił głową.

–Czyli stracisz wodza, na którego mieczu trzyma się Złota Anaksja. Nawet jeśli Lorio nie umrze, to załamie się. Nie potrafisz przywołać Mocy, nie możesz prowadzić armii, nie zechcesz rzucać wojów na zbuntowaną czerń, a czerń się zbuntuje, gdy esperatyści doleją oliwy do ognia. Oto do czego doprowadzi sprawiedliwość wobec martwego człowieka.

–Dlaczego więc nie uratowałeś go, kiedy jeszcze był czas?

–Pomyliłem się – bardzo spokojnie odpowiedział abweniarcha. –

Uważałem Rinaldiego za zbyt nieprzewidywalnego i niebezpiecznego. Był jedynym z braci, który bawił się Mocą Rakanów, nic o niej nie wiedząc i nawet nie domyślając się, co robi. Ale anaks wiedział, do czego jest zdolny jego brat. Każdy sądzi po sobie, więc skoro Eridani uknuł śmierć Anestiego, to oczekiwał tego samego ze strony Rinaldiego. Uwierzyć, że ktoś nie pożąda władzy, anaks nie potrafił.

–Ale ciągle nie mówisz, dlaczego nie uratowałeś go.

–Dlatego, że Rinaldi był wspaniałym człowiekiem, ale żadnym następcą! Uważałem, że Eridani może uratować mocarstwo, niechby nawet przy pomocy podłości, a szczerść Rinaldiego zgubi je na pewno. Już przyznałem, że byłem w błędzie. Ale teraz należy myśleć o tym, co będzie, a nie szukać winnych.

–Nie szukam winnych, chcę obronić niewinnego.

–Niewinnego? Co wiesz o Mocy Rakanów? – Pytanie zabrzmiało władczo i nieoczekiwanie.

–Mało – pokręcił głową Ernani. – Eridani nie zdążył mi nic powiedzieć.

–Nie „nie zdążył”, a nie zechciał. Uważał, że póki następca nie posiadał wiedzy, nie jest niebezpieczny. To też było błędem. Pierwotne Stwory obudziło przekleństwo Rinaldiego. Gdyby biedak był winny, nic by się nie stało, ale był niewinny w obliczu Abweniuszy, i ci odpowiedzieli. Zgubę Galtar mogła

powstrzymać tylko krew prawdziwego winnego. Tak zatem się stało. Labirynt zwrócił miecz Rakanom, czyli grzech został odkupiony. Trzeba żyć dalej. Gdyby Rinaldi Rakan przeżył, pierwszy nalegałbym na rozgłoszenie prawdy, ale on zginął. Zostałeś ty i Lorio. Chcesz też jego zguby?

Abweniarcha miał rację, ale jakże obrzydliwa była jego racja! Ernani podniósł udręczone spojrzenie.

–Diamni, Rino nazwał cię swoim bratem. Co powiesz?

Co on może powiedzieć?! Niech będzie przeklęta władza, wybór, konieczność decydowania... Ratując życie Rinaldiego, gotów był sam złożyć głowę na pniu. Mógł niechcący dotknąć zaczarowanej kraty i stać się żywym posągami, ale nie było w nim wahania, a teraz nie wie, co ma powiedzieć. Sprawiedliwość dla jednego, tego, którego kochasz, a jednocześnie krzywda tysięcy innych... Oto oni, „Odchodzący” mistrza Sollega... Oto, o czym krzyczy spojrzenie Unda zdradzającego swoją miłość, żeby nie zdradzić swojego obowiązku wobec żyjących i tych, którzy dopiero się urodzą.

–Gdyby Rinaldi żył, oddałby swój honor za życie Galtar i Złotą Anaksję. Powinniśmy ukryć prawdę, choćby nawet na jakiś czas...

–Na jakiś czas. – Ernani wychylił się do przodu, oblicze jego pojaśniało. – Właśnie! Na czas, kiedy wszystko się poukłada...

–Raczej takie czasy nie nadejdą. – Abweniarcha nie znał litości. – Ale teraz rzeczywiście mamy czas grzebania swoich martwych. Ernani Rakanie, przez całe życie służyłem nie Abweniuszom, którzy odeszli i nikt nie wie, czy powrócą. Służyłem i służę Złotej Anaksji. To, co ci powiem, chciałem powiedzieć Eridanemu i miałem nadzieję, że on to zrozumie. Ale to, co dla anaksa władającego Mocą było jedną z możliwych ścieżek, dla ciebie stało się jedyną możliwą. Musisz zrezygnować z Mocy Rakanów i wiary w Abweniuszy, musisz zostawić Galtary z ich widmami i zbudować nowe państwo, które opiera się nie na pozostawionej w testamencie magii, a na rozumie, mieczu i złocie.

–Jakże mogę porzucić coś, czego nie mam? – Młody anaks był wstrząśnięty. – I jak ty, właśnie ty, możesz mówić o zmianie wiary?

–Nie masz nawet siedemnastu lat. Kiedy będziesz miał sześćdziesiąt sześć, przestasz się dziwić. Odrzucisz Moc Rakanów właśnie dlatego, że nią nie wadasz. Wszyscy, słyszysz?, WSZYSCY powinni wiedzieć, że Ernani Rakan może wywołać Zwierza, może władać żywiołami i widzieć przyszłość, ale nie chce. Ale zapędzony w kąt, zada cios, i to taki, po którym nikt się nie otrząśnie. Przeżyty przez Galtary koszmar odrodził wiarę w Pierwotne Stwory i Moc Rakanów. Rinaldi obudził potwory, Eridani zapędził je z powrotem w mrok.

–Jestem kiepskim kłamcą. Czym objaśnię niechęć do życia wedle starych

obyczajów? Przecież są święta, obyczajaje, kiedy anaks...

–Właśnie dlatego przestaniesz być anaksem, a nazwiesz się inaczej. Cesarzem, imperatorem, bazyleusem... Ładnych słów jest wiele. A nowa wiara zabrania ci korzystania z Mocy. Będziesz musiał stać się esperatystą. Ci wariaci nazywają Abweniuszy demonami, nic więc dziwnego, że po przejściu na nową wiarę nie będziesz chciał czerpać ze źródła Zła.

–Esperatyści? – Przed oczy Diamniego wypłynął pokryty krostami szaleniec, który rzucił się na Rinaldiego, chociaż... chociaż jego wrzaski o złu mogły dotyczyć Beatrice. Czyżby esperatysta to wyczuł?

–Mistrz Koro nie poważa esperatystów? – Uniósł brew abweniarcha. – Uwierzcie mi, ja też ich nie kocham, w każdym razie obecnych. Ale wyślę do nich siedmiu bardzo mądrych młodych ludzi, wyposażywszy ich w pewne sekrety, oczywiście każdy pozna tylko jakiś fragment. Po kilku latach nie poznacie esperatystów, a o tobie, anaksie, rozpuszczę słuchy, że tak jesteś wstrząśnięty siłą odsłoniętej przed tobą Mocy, że przysięgłeś nie budzić jej bez naprawdę koniecznej ku temu potrzeby. Potem słuchy staną

się konkretniejsze, ludzie zaczną gadać, że jesteś tajnym zwolennikiem esperatyzmu...

–Czyń, jak uważasz... – głos Ernaniego brzmiał martwo. – Masz rację. Nie wiem, co bym zrobił, gdybym dysponował Mocą. Może naprawdę bym z niej zrezygnował...

–Musisz odpocząć – bez wahania oświadczył bogopamiętny. – Anaks musi troszczyć się o swoje ciało.

–Odpocznę – tak samo beznamiętnie obiecał młody władca. Abweniarcha wstał i wyszedł. Stuknięcie drzwi, głosy strażników, szelest liści za oknem...

–Rinaldiego ponownie zamordowano. – Ernani dokuśtykał do okna i zatrzaskał je. – Zdradzono i zamordowano. Tym razem ja i ty. Jego bracia!

–Mój anaksie... Ernani... Nie mów teraz nic. Jutro Lentiro Sollega pokaże ci „Odchodzących”... Nie powiem, że robi ci się lżej na sercu, ale zrozumiesz, że inaczej się nie da...

## **9. Rinaldi**

–*Ciągle trwasz w swojej decyzji?*

–Tak.

–*Jesteś gotów odrzucić swoje imię, swoją pamięć, swoje jestestwo?*

–Tak.

–*Przysięgasz wierność Eternie? Czy jesteś gotów do walki? Czy uznajesz władzę Archonta?*



–Tak.

–Wejdz.

Czarne i purpurowe... Pokryty posiwiałą trawą step, kłębiące się obłoki, niespokojnie krzyczące ptaki, prowadząca do rozżarzonej przepaści droga. Odchodzi w Zmierzch, ponieważ nie ma więcej dokąd pójść. Wszystko skończone, był, teraz go nie ma.

–*Masz prawo do swojej ostatniej prawdy. Chcesz poznać przeszłość, zanim przestanie być twoją?*

–Tak.

–*Otrzymasz odpowiedź. Pytaj.*

–*Jak umarł mój brat i mistrz Sollega?*

–*Twoi bracia. Anestiego Rakana zabił Eridani Rakan. Eridaniego Rakana zabiłeś ty. Mistrz Sollega żyje.*

–*Czyli Ada łągała?*

–*Tak.*

–*Dlaczego?*

–*Wybrała ciebie. Dla Eterny i dla siebie. Gdybyś poznał prawdę, nie poszedłbyś z nią.*

–*Co jeszcze było kłamstwem?*

–*Wiele.*

–*Chcę znać prawdę.*

–*Pytaj. O co? O Ernaniego? O freski w pieczarach? O to, co zapomniał?*

–*Co się stało z Galtarami?*

–*Twój brat, wykorzystawszy przekazaną mu Moc, wypędził na zewnątrz podziemne potwory.*

–*Po co?*

–*Żeby potem je przegonić. Władza Rakanów słabła, Eridani postanowił odrodzić blask Złotej Anaksji. Do tego potrzebny mu był lęk. Potrzebny był mu Zwierz Rakanów, żeby najpierw zniszczyć potwory, a potem złączyć w jedność Złote Ziemie i położyć kres powstaniom i wojnom. Ale z woli Nieobecnych tworzący Zwierza płaci za to swoim życiem. Eridani wymyślił, jak obejść zakaz, zapłaciwszy za to życiem brata. Nie wiedział, że pozbyłeś się okowów. Zabiłeś Eridaniego i potwory wróciły do pieczar. Co jeszcze chcesz wiedzieć?*

–*Co się stało z Ernanim i Diamnim?*

–*Ernani jest anaksem. Diamni Koro jest przy nim. Nie myśl o nich. Jesteś dla nich martwy.*

–*Fresk w pieczarze... Kim ona jest?*

–Już i tak wiesz zbyt wiele.

–Kim ona jest?!

–Wystarczy. Nie do niej należysz, a do Eterny!

–Muszę... Muszę wrócić!

–Za późno! Los Kertiańcy nie powinien ci więcej zaprzętać głowy. Eterna bierze twoją pamięć i daje ci swoją. Eterna bierze twoje życie i daje ci wieczność. Eterna bierze twój ból i daje ci radość. Należysz do Eterny, tylko do Eterny! Nie masz imienia. Nie masz przeszłości. Nie masz niczego poza Eterną! Jesteś Strażnikiem Zmierzchu] Wybrałeś swoją drogę.

–Nie! Niech będzie przeklęte wszystko, ale nie!

Szarpnął się z szaleńczą siłą uwięzionego w pułapce zwierzęcia, ale Eterna trzymała mocno. Ryk płomienia i dźwięk tysiąca pękających strun były ostatnimi dźwiękami, jakie usłyszał Rinaldi Rakan, trzeci syn kertiańskiego anaksa, dobrowolnie podążający za Adą, która go wybrała.

Ogniste skrzydła zamknęły się, odcinając epiarchę od minionego życia, od nieudanej śmierci, od niego samego. To był koniec. I był to początek.

...Nie miał ani imienia, ani przeszłości. Jego nogi pieściły pachnące gorzko kwiaty, a nad głową szybko płynęły przypominające okręty obłoki.

–Czekałam na ciebie, Strażniku Zmierzchu. – Rudowłosa piękność uśmiechnęła się na powitanie. Wiedział, że to Ada, teraz wiele rzeczy wiedział. Znał imiona wygasłych gwiazd, stare proroctwa, minione potyczki, prawa Eterny, pieśni Rubieży – wszystko to stało się obecnie jego częścią. Mógł otwierać drzwi między światami, bawić się błyskawicami i falami, zabijać spojrzeniem, słyszeć obcych, poznawać swoich. Nie był nieśmiertelny, ale zabicie go wymagało niewyobrażalnego trudu. Czas opływał Strażnika Zmierzchu, nie wyrządzając mu szkody, czekały nań bitwy i święta, niekończące się bitwy i święta...

–O czym myślisz? – zapytała Ada i roześmiała się.

Nadleciał wiatr i rozwiały rude kędziory, woń kwiatów stała się jeszcze mocniejsza i bardziej gorzka. W Eternie panowała wiosna, ale fioletowe dzwoneczki pachniały jesienią.

O czym myślisz? Rzeczywiście – o czym? Wszystko już zostało zdecydowane raz i na zawsze. Wybrał swój los i nie powinien tego żałować, oglądać się, tym bardziej że nie ma na co się oglądać. Rano pójdzie na Rubież, ale ta noc należy do niego. Ada go chce i jest piękna, bardzo piękna... Strażnik Zmierzchu sam zdziwił się złości, z jaką szarpnął purpurowy jedwab.

## *Epilog*

*A życie i śmierć*

*Jeszcze nie rozliczyły się ze sobą...*

*Bułat Okudżawa\**

Mistrz Diamni Koro umierał. Żeby konającemu nie przeszkadzał stukot podkutych ćwiekami butów, pod oknami komnat, które zajmował malarz, rozrzucono słomę. Za drzwiami sypialni tłoczyli się uczniowie, jedni ze szczerym, inni z udawanym niepokojem wpatrujący się w poważne i milczące oblicza lekarzy.

Co dwie godziny przybiegali gońcy od imperatora, a pod wieczór władca Kertiany przybył we własnej osobie. Wraz z Esperadorem Tankredem, jeszcze niestarym, ale już kompletnie siwym mężczyzną z

jasnobłękitnymi przenikliwymi oczami.

Imperator i jego towarzysz weszli do domu, a liczna świta została pod drzwiami. Dworacy najpierw z odpowiednim do sytuacji wyrazem twarzy stali nieruchomo, potem zaczęli przestępować z nogi na nogę, wreszcie szeptać, a najodważniejsi zaryzykowali oparcie się o ścianę. Czas płynął, a władcy Złotego Imperium nie było i nie było. Kiedy rude wieczorne słońce utonęło w wodach Danaru i nad Kabitelą zgęstniał zmierzch, pojawił się Esperador i pospiesznie ruszył na wieczorną modlitwę. Władca został z umierającym. To był niesłychany wręcz honor!

Odważny, czasem okrutny imperator Anesti żelazną ręką przekuwał w życie to, co rozpoczął jego ojciec Ernani. To, że docenił mistrza Koro, wiedzieli wszyscy, ale nikt nie mógł przypościć, że władca, mało przypominający swego chorowitego, choć silnego duchem ojca, tak wyróżni umierającego starca. Przed północą Anesti wyszedł, rzuciwszy do zrywających się na równe nogi sług i lekarzy, że chory zasnął i nie należy go niepokoić. Nikt nigdy nie widział, by oczy monarchy kiedykolwiek tak mocno błyszczały – to właśnie świta przekazywała sobie szeptem.

Około pierwszej w nocy chory ocknął się i zażądał, by zaniecono go na górne piętro, do jego pracowni, i pozostawiono samego. Słudzy i lekarze nie odważyli się spierać z pupilem imperatora. Na żądanie mistrza zapalono mnóstwo świec, po czym rozsunięto szczelną zasłonę zakrywającą ogromne płótno, nad którym Koro pracował od chwili, gdy wszedł do swych komnat w nowym imperatorskim pałacu. Dzieło oglądali tylko nieliczni wybrani, oko pozostałych widziało tylko szarą, wysmarowaną farbami zasłonę, której dotykanie było surowo zakazane. Słudzy chcieli zobaczyć tajemniczy obraz, ale posłuszni woli starca

pospiesznie pożegnali się i odeszli. Stary malarz został sam na sam ze swoim dzieckiem.

Siedząc w wysokim rzeźbionym fotelu, którego oparcie zdobił łańcuch idących jeden za drugim leopardów, Diamni Koro wpatrywał się w to, co przez ponad czterdzieści lat było sensem jego życia. Uczeń wielkiego Sollegi nie wiedział, skąd i jak przyszedł mu do głowy ten właśnie temat, ale pomysł nie dawał artyście spokoju ani w dzień, ani w nocy. I oto na specjalnie utkanym płótnie powstały nigdy niewidziane w Kertianie komnaty. Ogromne okna wychodziły na zachód. Przy długich, bogato zastawionych stołach ucztowali mężczyźni i kobiety i wszyscy oni

byli nieprawdopodobnie, nieludzko piękni. Na odzianych w czerń i purpurę mężczyznach widniał dziwny rysunek, którego nikt nigdy nie używał, najwidoczniej musiała więc wykuć go wyobraźnia malarza. Kobiety odziane były w cieniutkie jedwabie w najbardziej wyszukanych i delikatnych barwach, a na łabędzich szyjach i pięknych rękach błyszcząły dziwne złocistopurpurowe i fioletowe kamienie. Namalowane tu postacie wydawały się tak żywe, silne, obdarzone czymś, co śmiertelnym nie było dane. Cieszyła je każda chwila ich uczt, ich święta, jakby w głowach wciąż mieli jakąś wojnę, na którą przyjdzie im wrócić.

Obraz wydawał się skończony, ale mistrza nie zadowalał. Lewy kąt wciąż był – jego zdaniem – nieudany. Tam przy stole siedział jasnowłosy wojownik, jedyny, który nie pił i nie śmiał się. Wszechobecna wesołość ciążyła mu, choć raczej sam nie wiedział dlaczego. A tym bardziej Diamni Koro nie byłby w stanie wyjaśnić, z jakiej przyczyny namalował Rinaldiego Rakana w taki właśnie sposób. Kiedy mistrz zaczynał swoją „Uczę”, chciał, aby zabity epiarcha był szczęśliwy przynajmniej na obrazie, jednak przybrany brat znowu objawił swoją krnąbrność. Nie chciał ani się śmiać, ani pić, ani obejmować wspaniałych piękności.

Na ramieniu Rinaldiego spoczywała ręka rudowłosej kobiety w ognistych jedwabiach ledwie osłaniających cudowną pierś, ale szmaragdowe spojrzenie nieżyjącego epiarchy utkwione było gdzieś w przestrzeni. O czym myślał? Czego pragnął? I czego chce on, Diamni Koro?

Malarz westchnął i niemal krzyknął, gdy pierś i plecy przeszła mu strzała bólu. To głupstwo, ważne, że musi odgadnąć, czego tu brakuje! Każdy, kto widział „Uczę Wiecznych”, twierdził, że nic doskonalszego spod ręki mistrza nie wyszło. Nawet Esperador, choć jego zdaniem obrazu nie powinno oglądać pospólstwo, nazwał go największym przejawem ludzkiego geniuszu. I tylko Diamni był niezadowolony, dlatego kazał zanieść „Uczę” do pracowni. Życie dobiegało końca, a mistrz Koro nie mógł odejść, nie dokończywszy swojego najważniejszego dzieła.

Za oknem błękitniało nocne niebo, przypominające porzucone Galtary i jednocześnie zupełnie do nich niepodobne, spadały gwiazdy, śpiewały cykady, dojrzewały jabłka, nad polanami lewkonii krążyły nocne motyle. Ten świat był piękny, Koro nie chciał go zostawiać, ale i tak przeżył bardzo, bardzo długie życie. Wszystko, wśród czego dorastał, w co wierzył, zniknęło. Umierał w innym kraju, w innym mieście, w innej wierze, przeżywszy wszystkich, których znał w młodości. Pozostała mu tylko pamięć i obraz. Cóż więc powinno tam być? Na zapomnianych dziś Abweniuszy, co?!

Płomień? Wlatujący przez okno ptak? Posąg? Jeszcze jedno okno, przez które widać wodospad? Nie, nie to! Mistrz próbował i ognia, i

kwiatów, i postaci, ale wszystko to tylko przeszkadzało! Zostawić tak jak jest?...

Diamni w napięciu wpatrywał się w obraz i nie widział, jak słup księżycowego światła zadrżał i wygiął się, stopniowo przyjmując zarys wysokiej, ale kruchej ludzkiej postaci. Lekka i nieuchwytna stopniowo obrastała ciałem. Po chwili miała już kruczoczarne warkocze, delikatne duże usta, ogromne niebieskie oczy pod ciemnymi łukami brwi, szczupłe dłonie z długimi palcami, ale mimo to kobieta wydawała się być

niedostępna i odległa jak odbicie w starym mętnym zwierciadle albo w nocnym oknie.

Mistrz nie widział dziwnego gościa, ale jej sobowtór wolno i nieodwracalnie wstępował na obraz – lekki cień, odbicie na srebrzystym, lustrzanym kamieniu. To było to, czego tak długo szukał! Kobieta-fresk, kobieta-widmo, kobieta-pamięć, której nie ma i nie może być w tej przepełnionej radością sali, a która tym niemniej istnieje. Istnieje w sercu Rinaldiego Rakana, przyjaciela i brata Diamniego Kora, Rina, który zginął w galtarskich podziemiach ponad pół wieku temu!

Przez mgnienie oka stary malarz żałował wymyślonej przez siebie rudowłosej kobiety, takiej pięknej i takiej niepotrzebnej. Ona Ignie do Rinaldiego, ale on należy do innej, nieuchwytniej i nietrwalej, z niebieskimi niespokojnymi oczami. On należy do swojego świata i siebie samego i wcześniej czy później odnajdzie drogę do domu, nawet jeśli będzie musiał przejść przez piekło i wrócić na cmentarz. Właśnie dlatego Rino żyje, jedyny ze wszystkich zebranych w tej zalanej światłem zmierzchu komnacie. Żyje, ponieważ nie zaznał spokoju, nie zapomniał o tym, co to ból, nie zapomniał tęsknoty za niespełnionym.

Malarzowi wydało się, że śpi i widzi sen, w którym znalazł to, czego tak długo z takim wysiłkiem szukał. Najbardziej na świecie Diamni bał się, że umrze, śpiąc, albo zapomni o swoim widzeniu. Teraz nie odrywał wzroku od obrazu, a kobieta-odbicie znajdowała się już obok niego. Przez jakiś czas niebieskooka nieznajoma w milczeniu stała za fotelem artysty, potem świecąca, na poły przezroczysta ręka czule dotknęła włosów malarza. Kobieta pochyliła się i pocałowała go w czoło, po czym zniknęła.

Pozostał jej wizerunek na obrazie, przed którym siedział martwy mistrz. Praca dokończona – Diamni Koro był wolny.

**Jelena Pierwuszyna**

urodzona w 1972 roku w Leningradzie. Ukończyła Państwową Akademię Medyczną (specjalność endokrynologia), po czym przez kilka lat pracowała jako lekarz. Fantastykę pisze od 1989 roku. Debiutowała w 1999 opowiadaniem *Pozwól mi odejść!* Od 2000 roku zawodowo zajmuje się fantastyką. Równolegle pod pseudonimem publikuje książki popularnonaukowe o cukrzycy i – już pod swoim nazwiskiem – o wczesnym rozwoju dzieci. Napisała trzy zbiory prozy. Jest również autorką przewodnika po petersburskich pałacach, ma na koncie szereg przekładów fantastyki niemieckojęzycznej (Herbert Franke, Andreas Eschbach). Zdobyła nagrodę „Drzwi do lata” przyznawaną na podsumowanie sezonu twórczego w Studium Akademii Fantastyki przy Związku Literatów Sankt Petersburga. Prywatnie żona Antona Pierwuszyna znanego już polskiemu czytelnikowi m.in. z I tomu almanachu rosyjskiej fantastyki *Mroczny Bies* (Fabryka Słów, 2006).

Prezentowana *Czarna msza Arkanaru* pochodzi ze zbioru opowiadań różnych autorów nawiązujących do wątków powieści Arkadija i Borysa Strugackich, znanych od lat również polskim czytelnikom.

**Jelena Pierwuszyna**

**Czarna msza Arkanaru**

**Przekład**

**Ewa i Eugeniusz Dębscy**

**Trzy drzwiach Zwierzaki stały. Jak się ja głaskało, To uciekały...**  
**(Wierszyk dorastającego chłopczyka)**

# 1.

Podczas gdy don Rumata Estoryjski usiłował wywołać awanturę (po raz siódmy i zapewne nie ostatni w tej podróży), Kuin, wnuk alchemika z ulicy Blaszaney, uznał, że najwyższy czas wziąć nogi za pas. Uwolnił stopę z zimnego strzemienia i myknął w krzaki: wynurzył się z obłoku woni mokrej skóry, końskiego potu, nieznanych maści (ciekawe, po co one szlachetnemu donowi – niby żadne brudne plotki o nim nie krążą, a może u południowców takie wynaturzenia są naturalne?) i zanurzył się w świecie zbutwiałych liści, drżących na wietrze nagich drzew, strachliwych nocnych ptaków. Tak poprzednie życie zatrzasnęło za jego plecami swoje podwoje jak niedopisana, porzucona w pośpiechu księga. Przytulił twarz do ciemnego pnia drzewa i przez kilka chwil płakał. Nawet nie tyle z poniżenia (łzy czegoś takiego nie zmywają), powodem było po prostu bezgraniczne zmęczenie. Potem otworzył torbę i wyciągnął ukradzioną dziś z pracowni Świętą Księgę. Zamówiła ją donna Sandra, miała już wczoraj dostać opasył tom do swych rąk, ale nie sądzono jej było. Błysnęły złotem i krwawym cynobrem miniatury, Kuin szarpnął do siebie

okładkę, z trudem oderwał pół tuzina kart, cisnął je na ziemię – w mech i mokre listowie – przydusił obcasem, po czym wyszeptał:

–Wyrzekam się Ciebie, Stwórco mój i Władco wszystkiego, i miłości Twjej, i wszystkich świętych tajemnic, i świętych Twych, i Kościoła, i Władz, i Tronów, i życia wiecznego, pozagrobowego...

Język plątał słowa, te grzęzły w krtani, jakby bały się pojawiać w bożym świecie, ale Kuin darł z całej mocy oporny pergamin, pochlipywał i wyrzucał z siebie już na cały głos:

–I obiecuję Ci, że będę dokonywał tyle zła, ile tylko zdołam, i że doprowadzę wszystkich do dokonywania zła.

Wściekły grzmot rozbrzmiał ponad lasem. Jęknąwszy, pochyliły się drzewa. Milczący gigant maszerował po ich wierzchołkach. Blisko, coraz bliżej. Kuin wyraźnie słyszał jego oddech, ale już nie zostało mu sił, żeby się wystraszyć. Kopista zdart krzyż, który nosił od zawsze – od dnia chrztu, splunął nań, rzucił na ziemię i znieruchomiał gotowy napotkać ogniste spojrzenie swego zazdrosnego Boga.

Ale czas płynął odmierzany mgnieniami, a wielkolud, ciągle wzdychając z urazą, krążył gdzieś dokoła, potem cicho, niemal zawstydzony, powiercił się i umilkł, zaś Kuin zrozumiał, że Pan nie uznał jego odstępstwa za jakąś wielką stratę.

Kopista znowu otworzył torbę, przemknął opuszkami palców po stronach innych ksiąg – jego wspaniałych córek, jego jedynych spadkobierczyń. Wychowywał je, rozpieszczał i otaczał opieką przez całe lata, marzył, że zobaczą cały świat, że staną się ukochanymi przyjaciółkami godnych ludzi, że nigdy nie zaznają smutku. I oto teraz zmuszony był je opuścić. Stały się zbyt niebezpiecznymi

towarzyszkami podróży, a odwieczny przeciwnik Pana jest nie mniej niż On sam zazdrosny i kocha, gdy mu się oddaje coś najdroższego. Kuin pożegnał księgi, szepcząc:

–Jak wy nie wróćcie do mnie, tak niech i moja dusza nigdy nie powróci na niebiosa.

**Potem powiesił torbę na sęku i nie oglądając się, pomaszerował w głąb lasu.**



## 2.

Zawsze chadzał po krawędzi. Nie da się inaczej, kiedy człowiek ma do czynienia z książkami. Nawet jeśli się tylko je przepisuje, nawet jeśli są to tylko te dozwolone przez Świętą Macierz. Każdy księgarz zawsze jest trochę czarnoksięgarzem, nawet jeśli ani jedna buntownicza myśl nie wpada mu do głowy. W każdej „mówiącej stronicy” zawsze jest trochę magii.

Nie założył nawet rodziny, żeby w razie czego bez obciążenia móc w każdej chwili uciec. I miał rację. A wszystko zaczęło się od sąsiada, który uznał, że jego ogród jest za mały. Chciał wybudować altanę na brzegu rzeki, posadzić wokół wonne kwiecie i wieczorami przesiadywać sobie w tej altanie z przyjaciółmi przy szklaneczce wina, patrzeć, jak słońce osiada za wierzchołkami odległych gór. Ale na rzekę wychodził jak na złość dom Kuina. Sąsiad zatem podjął działania.

A może altanka to tylko był pretekst, zaś dostępu do rzeki potrzebował w innym celu? I kopista stał się ofiarą nie tyle sąsiedzkiej miłości do piękna, co jakichś bandyckich zamysłów? Kto to teraz wie?

Pewnie nie wie nawet służąca pazernego sąsiada, która romansowała z czeladnikiem Kuina. To od niej dowiedzieli się o nadchodzącym szybko zagrożeniu. I skromny przepis wacz ksiąg, kompletnie niespodziewanie dla samego siebie nawet, rozjuszył się. Pakując w bałaganie manele, mamrotał pod nosem jak szalony: „Nie jestem krową, żeby dać się prowadzić na rzeź. Nie jestem krową, żeby dać się prowadzić na rzeź. Po licho mi takie życie, żebym się cały czas czegoś bał?”.

O jakie dokładnie przestępstwo oskarżył go sąsiad, Kuin nie miał pojęcia. Żeby się dowiedzieć, musiałby zostać w mieście, czekać na Szarych Braci – oni by mu wszystko objaśnili dokładnie. Ale chociaż był mocny w słowach, to życie było mu droższe. Tylko – na Boga! – NIE TAKIE.

Wtedy, gdy pakował się w pośpiechu, wypłynęły z zakamarków pamięci wszystkie te ostrożne szepciki, wszystkie słodkie obietnice pijaniutkiego kapłana z karczmy. Zaś kiedy już za miejskimi murami zobaczył czarny słup dymu nad swoją pracownią, podjął decyzję.

### 3.

Pusta, porzucona świątynia tonęła w mgle. Kuin ostrożnie otworzył przekrzywione drzwi i poczuł na twarzy żar ogniska. To nie było jeszcze piekło – po prostu ogień rozpalony na środku kaplicy, dokoła którego krzątała się szóstka ludzi. Starutki siwobrody kapłan, dwaj czeladnicy z miasta, wędrowny student z kompletnie przepiętą fizys, młodziutki mnich w szarej sutannie oraz szlachetna donna w purpurowym pluszowym płaszczu, który chwilami rozchyłał się, obnażając malutką, smukłą nóżkę.

I kopista już wiedział, że pod płaszczem nie ma nic.

–No to jesteśmy wszyscy, dzieciaczki moje – zagruchał kapłan, widząc przybyłego. – Wspaniale. Nocka dzisiaj dobra, trza by ją na chwałę naszego Gospodarza poświęcić. A może z wdzięczności ogrzeje nas, gołąbeczki bezdomne.

Kuin skrzywił się odruchowo. Nie potrzebował ani gruchania, ani pocieszenia, chciał zobaczyć krew Szarych Braci. Tych, co mu wczoraj spalili jego warsztat.

Na znak kapłana wszyscy poza kobietą zdjęli odzienie i stanęli dokoła ogniska. Wtedy staruch też zrzucił sutannę, wskoczył nagi na ołtarz i kreśląc lewą nogą znaki krzyża, zaczął mamrotać pod nosem modlitwy od tyłu do przodu.

Mężczyźni, klepiąc się po udach, wtórowali mu: „Nema! Nema!”. Studencina wyciągnął piszczałkę i zaczął wykonywać jakąś knajpianą piosnkę.

Duchowny, uniósłszy ręce ku niebu, wykrzyknął:

–Przyjdźże ku mnie, narzeczono ma nierzeczona, kobyłko krągłozada, szparko nienasycona, gołąbko bezgrzeszna! Pokaż nam dziurkę swą, przez którą zbawienie rodzi się dusz naszych!

Dama, zrzuciwszy płaszcz, weszła na ołtarz. I w tym momencie kopista rozpoznał ją. Donna Okana! Szlachcianka, którą widział wcześniej na ulicach stolicy w lektyce dona Reby albo w jej osobistym *porte-chaise* woniejącym imbirem i piżmem. Widziała mu się wtedy czymś na podobieństwo jeszcze jednej książkowej miniatury: „Grzesznica dosiadająca Grzechu”. Grzechem był, rzecz jasna, don Reba.

Ale teraz błyski ognia przyłgnęły do jej obnażonego pięknego ciała, wyciągnęły z mroku dziecięco kruche szyję i ramiona, płynne krzywizny pleców, wspaniałe pośladki i Kuin – jakkolwiek zabrzmiałoby to śmiesznie – zrozumiał, że oto jest człowiek.

Kapłan czule, niemal po ojcowsku delikatnie przejechał palcami po jej policzku aż do piersi, ułożył kobietę na ołtarzu, opadł na kolana i wszedł w nią. Donna Okana zwarła na nim swe biodra, rozrzuciła ręce jak wzlatujący ptak, oparła się dłońmi o nierówne kamienie ołtarza.

Studencik rzucił w ogień wiązkę chrustu, języki płomieni wzbily się w górę, drżące purpurowe światło zaczęło skakać po ścianach świątyni, wreszcie osiadło na obnażonych ciałach i kopista poczuł, że dzieje się z nim coś dziwnego.

Nie to, żeby widok go nie podniecał, nie. Ale poza normalnym napięciem w podbrzuszu poczuł nagle niezrozumiały zachwyt, czułość dla tej kobiety, miłość do jej hojnej i bezbronnej urody. Wydawało mu się, że ciało donny Okany bezgłośnie mówi: „Owszem, jestem tylko workiem z mięsa i kości obciążniętych skórą. Brudzę

siebie potem, tłuszczeniem i odchodami, zbliżam się do śmierci co mgnienie oka. Ale też śmiem być piękną, śmiem rozkoszować się i darować rozkosz, i nie myśleć o robakach, które niecierpliwie mnie oczekują”. I Kuin kochał ją z takim samym drżeniem i rozpaczą, jak kochał swoje porzucone z zemsty księgi. Pomyślał wtedy: „Bóg kocha ludzi, dlatego że sam ich stworzył. Szatan -po prostu dlatego, że oni istnieją”.

Dwaj czeladnicy z przeciągłym wyciem złamali jeszcze jedno z przykazań Pana. Studencik, rechocąc i czkając, udzielał rad im i złączonej parce. Mnich albo z przyzwyczajenia mamrotał modlitwy, albo łamiącym się głosem wykrzykiwał straszliwe bluźnierstwa.

W końcu donna Okana głucho jęknęła i wygięła się jak cienki żywy most nad otchłanią śmierci. Duchowny na krótko przylgnął znowu do jej piersi i brzucha, potem, zeskoczywszy na podłogę, narzucił na siebie sutannę.

Kobieta wyjęła spod ołtarza miedzianą tacę z małymi czarnymi piramidkami i zaczęła roznosić ten poczęstunek między zebranymi, którzy nagle przycichli. Mężczyźni, kłaniając się bezgłośnie, przyjmowali diabelską komunie i na znak wdzięczności całowali donnę w tyłek. Dla tych czarnych opłatków przyszli tu, przełamując strach przed Szarym Bractwem, dla nich przetrzymali torturę pożądania. Jeśli taki opłatek człowiek zanurzy w krwi czarnego koguta, a później podczas pełni zakopie na rozstajach, spełni się każde jego życzenie. Każdy obdarowany, podziękowawszy Gospodarzowi oraz jego sługom, w milczeniu podnosił z podłogi swe odzienie i zniknął.

Na końcu donna Okana podeszła do Kuina. Ten już chciał powiedzieć, że czarny opłatek to dla niego za mało, że jest gotów zapłacić za bardziej niebezpieczny, ale szybko działający czar, lecz nagle zobaczył, co mu podaje.

To był zmatowiały ołowiany krążek wielkości dłoni. Na jego powierzchni można jeszcze było zobaczyć stary wzór: dziwnie wygiętą literę A. Kopista widział takie w inkunabułach i... chyba jeszcze gdzieś. „W dotyku krążek będzie ciepły” – Kuin wiedział to, zanim jeszcze wyciągnął rękę. Ostrożnie wziął go z tacy. Drugą stronę tarczy pokrywały drobne włoski, które natychmiast zadrżały i zaczęły czepiać się palców jak stęsknione szczenięta. Nie wiadomo dlaczego kopista zadrżał.

–A to tu – powiedziała czule donna Okana i przyłożyła krążek do prawego łokcia Kuina.

Jego oczy wywróciły się, ciało wygięło w łuk. Chwilę potem mężczyzna upadł na podłogę i zadygotał w konwulsjach.

Podskoczył kapłan, natychmiast ułożył głowę kopisty sobie na kolanach, sztyletem rozwarł mu zęby i paskiem sutanny docisnął język. Donna Okana podłożyła pod ramiona Kuina swój płaszcz i zniknęła w konfesjonale.

Wkrótce atak skończył się, struga moczu trysnęła na podłogę, zaś kopista nagle zmiękł niczym pusty worek. Otworzył oczy, usiadł, potrząsnął głową.

–Gdzie to mnie zaniósło? – zapytał, zlizując krew z pokąsanych warg.

–Królestwo Arkanaru, Czkaający Las – odpowiedział kapłan.

–Do diabła ze szczegółami – przerwał mu Kuin. – Zaklinam was na zbawienie

**waszej duszy, powiedzcie: czy to nie Ziemia?**

**–Co za młodzież teraz mamy! – mruknął staruch w sutannie. – Ani kroku nie zrobi bez dowcipu z taaaką brodą.**

#### 4.

O świcie były kopista i piękna dama szli ku drodze, co i rusz przeklinając i potykając się w mokrej trawie.

Kuin ledwo powłóczył nogami pogrążony w niewesołych rozmyślaniach, jak należałoby się wycwanić i wykonać zadanie fałszywego kapłana: zgromadzić możliwie dużo próbek dla genetycznego banku globu. Piękna dama ma dobrze, może zbierać spermę bez trudu i nie bez przyjemności, a jak ma sobie poradzić facet?

Zając się sutenerstwem

czy jak? Czy zgodzić się do cechu cyrulików na czeladnika? Ale nie wezmą! Chyba żeby córkę mistrza posiąść... A ma on córkę tak w ogóle?

–Czym się tak zatroskałeś, przyjacielu mój? – łagodnie zapytała donna. – Arkana przestała być ci miła?

–Nie, dlaczego? – zaprotestował jej towarzysz. – Miasto jak miasto, przyzwyczałem się do niego, szkoda by było je opuścić. A najgorsze jest to, że mógłbym już ciebie nie zobaczyć.

–Czy to może flirt?

–To szczerzy, bezczelny i niczym niemaskowany zachwyty.

I w tym momencie ich kurtuazyjną rozmowę przerwał ryk obudzonego za lasem olbrzyma. Wzbiły się w powietrze i zawirowały nad ziemią martwe liście, a w plecy idących uderzył zimny wiatr.

Były kopista pociągnął kobietę z pustego pola pod korony drzew, zasłonił przed rozszalałym z nagła żywiołem. Ryk zbliżał się, wkrótce usłyszeli też metaliczny łoskot, jakby olbrzym wyciągał i wkładał z powrotem do pochwy zardzewiały miecz.

Ale tym razem Kuin dzięki swojej nowej pamięci rozpoznał dźwięki i spokojnie odprowadził wzrokiem przelatującego nad lasem stalowego potwora.

–Ziemianie? – zapytała donna Okana drżącym głosem.

–Nie bój się, nie widzieli nas – odpowiedział były kopista. Przypomniawszy sobie, jak poprzedniej nocy uznał śmigłowca za Pana

Boga, przypomniał sobie swoje przerażenie i rozpacz... Teraz cicho roześmiał się i pogłaskał kobietę po wilgotnych włosach, dotknął palcem dołeczka na karku.

–Czemu ci tak wesoło? – zapytała.

–Ot tak, bez powodu. Po prostu zrozumiałem, co powinienem teraz robić.

–Tak? – Donna Okana stanęła na palcach i leciutko ukąsiła go w płatek ucha. – W takim razie jesteś cholernie domyślnym facetem!

## 5.

–Wkrótce umrę – powiedział medyk Budach. Jego wygląd przeczył jednak słowom: oblicze zaróżowiło się z powodu ciepła i wypitego wina, oczy błyszcząły. I tylko obrzmiałe dolne powieki zdradzały śmiertelnie chorego człowieka.

Przechwycił spojrzenie Kuina i skinął głową.

–W dzień opuchlizna się zmniejsza, ale rano mam takie świńskie ryło, że aż się patrzeć nie chce. Jakbym pił od jesieni na umór. A piguły już mi nie pomagają. Na jeden dzień, na dwa woda spływa, a potem wszystko od nowa. Twój dziadek, alchemik, nie zostawił przypadkiem jakiegoś przepisu na tę dolegliwość?

–Niestety nie.

„Znam przepis – myślał były kopista. – Przy niewydolności nerek czy to dwa wieki temu, czy teraz, czy nawet za dwa wieki będzie jeden sposób leczenia: dializa. Ale jeśli pan Budach zostanie wysłany na dializę na Ziemię, to cała komisja do spraw kontaktów zacznie podskakiwać jak diabli na gorącej patelni. A ja bez trudu wyobrażę sobie, kto będzie pod tą patelnią rozpałał ogień”.

–Wstrętne zajęcie: umieranie – rzekł chory medyk w zamyśleniu. – Niby już nie mam czego żałować i ucieknę w końcu od ciągłego szpiegowania, a jednak smutno. Przepraszam, że tak jęczę jak nienasmarowane koło. Sam się tym brzydzę.

–Nie szkodzi. Z tego powodu tu przyszedłem. A dziadek? Dziadek pewnie powiedziałby: „Całe nasze życie przypomina tę karczmę. Wpadamy tu na krótko, żeby jakoś spędzić wieczór. Siedzimy, sączymy wino i piwo, rozglądamy się. Jakiś pijak usiłował sprowokować nas do bójki, potem się odczepił. Milutka służka strzela ku nam oczkami. Można dać pijakowi w pysk, można przespać się ze służką, ale to wszystko drobiazgi, piana w kuflu. Przed wyjściem trzeba będzie zapłacić, bo przecież jesteśmy przyzwoitymi ludźmi. A jeśli to zajęcie jeszcze nam nie zbrzydło, można się przenieść do innej karczmy”.

–Dobrze by było, gdyby tak było, Kuinie. Jak mawiał pewien mój znajomek: „Dlatego tak mocno wczepiamy się w życie, ponieważ nie wiemy, dokąd trafimy po śmierci”.

–W mieście jest dużo karczem – powiedział z niezachwianą pewnością w głosie były kopista.

„No i kontakt nawiązany – pomyślał. – Wąty, ale wystarczający. Można ssać krew”.

Karczma „Złota Kurka” miała się znakomicie. Dlatego karczmarz nie oszczędzał na drwach i palił jak na zimę przystało, ostro. A za oknem szalała kapryśna i uparta wiosna metropolii. Niebo przemierzały cienkie szare obłoczki, pomrugiwało blade słońeczko, mlaskała pod kopytami i butami młoda ziemia. Na progu stała Lison – tutejsza służka, która właśnie wróciła z jajkami i przyprawami dla jakiegoś upierdliwego smakosza, co to sobie zażyczył kurę w soańskim sosie. W jasnych włosach dziewczyny skrzyły się krople wody – widocznie gdzieś wpadła pod

topniejące sopele.

Kuin, zerknąwszy na Lison, uśmiechnął się. Nie dalej jak wczorajszej nocy przygotował dla niej ziele kochania na krwi i ślinie, za które dziewczoja hojnie zapłaciła mu „drobiażdżkiem, jaki podarowała jej matuś”. Teraz kropelka krwi ze szczupłego paluszka słuźki wędrowała po żyłach Kuina. Czujki detonatora już zabrały się za rozszyfrowywanie kodu genetycznego i molekuł pamięci i były kopista, a teraz czarny mag, znał wszystkie myśli dziewczyny. Myśli mu się podobały.

Lison zauważyła, że Kuin patrzy na nią, podeszła więc do stołu, przy którym siedział razem z Budachem.

–Rano, panie, zostawiono tu coś dla ciebie – powiedziała, dygając.

Były kopista wziął z jej rąk koszyk, pogłaskał dziewczynę po policzku i odwrócił się do kompana.

–Rodzina nie zostawia mnie bez wsparcia – wyjaśnił. – Ale nie dosłuchałem pana, przepraszam.

–Bo ja nawet nie wiem, z jakiej strony mam podejść ze swoją prośbą. –

Medyk zamilkł, nabrawszy pełną pierś powietrza. – Nienawidzę ich –

zaczął. – Całą swą skórą nienawidzę, wszystkimi trzewiami, żyłami... I

boję się. Po nocach śni mi się, że znowu jestem tam, w tej piwnicy. I kiedy

się budzę, najpierw nie potrafię zrozumieć: skończyło się to wszystko czy

jeszcze nie. On mówi: „Piszcie! Wasza wiedza potrzebna jest tym

ludziom!”. A ja wiem, że ma rację, ale i tak nie mogę. Nie zostało mi w

głowie nic poza nienawiścią. I przez cały czas żyję w lęku, że pewnego

razu znowu ocknę się w piwnicy.

Tymczasem Kuin zajrzał do koszyka. Naprawdę była w nim żywność: krajanka sera, małe pęto krwawych kiszek i drewniane puzderko z proszkiem z kory brązowego drzewa. Były kopista wrzucił szczyptę

proszku do swojego wina, zaproponował również Budachowi, ale ten odmówił.

–Dobrze – powiedział Kuin. – Oni pomrą. Szybko i łatwo, ale przed

wami. I nie będą już nikogo torturować.

–Jak to zrobicie? – zapytał opuchnięty mężczyzna.

Były kopista wzruszył ramionami.

–Jak zwykle. Woskowe figurki. Ale będę potrzebował waszej krwi, włosów i paznokci.

–Moich? Czyż...

–Przecież przed chwilą było powiedziane, że nienawidzicie ich całą skórą, wszystkimi żyłami. To mi wystarczy. A gdzie miałbym zdobyć krew stołecznych katów? Proszę mi powiedzieć.

–Dobrze – rzekł Budach. – Przyniosę wszystko. Jutro?

–Tak. Tutaj o tej samej porze.

–Dobrze.

Chory wstał, wziął z ławy płaszcz i ruszył do drzwi. Kuinowi

wystarczyło, że zobaczył, jak tamten się podnosi: nie prostując pleców,

szczędząc nerki, wystarczyło, że usłyszał jego szuranie stóp, a już potrafił określić,

**ile pożyje jeszcze medyk. Pół roku, góra rok. I co najbardziej niesprawiedliwe, Budach nawet się nie dowie, że posiadał nieśmiertelność w genetycznym banku Wędrowców.**

**Czujki tymczasem rozszyfrowały molekuly pamięci domieszane do brązowego proszku. I czarny mag przeczytał posłanie z Arkanaru: „Donna Okana zabita z rozkazu dona Reby. Powód – miłosne spotkanie donny Okany z donem Rumatą Estorsyjkim”.**

**Teraz przyszła kolej Kuina, by zgrzytał zębami z bezsilnej złości.**

**Głupia śmierć. niesprawiedliwa. Bez-sen-sow-na. Ona żyła w takim lęku przed Ziemią, że wdała się w konszachty z nimi na złość sobie i wszystkim dookoła. Chciała zdobyć ich spermę, ich kod genetyczny. Głupia, odważna dziewczyna. Uparta. Don Rumata i don Reba jak dwa niezgrabne słonie rozdeptali ją. A pamięć tych wszystkich żywotów, które zdołała zebrać na tej planecie, zginęła wraz z nią i nie ma gdzie szukać winnych. Wszyscy jakoś mają rację, wszyscy ślepi, wszyscy durnie!**

**Kuin nagle zrozumiał, że spełni obietnicę złożoną Budachowi. Jeszcze nie wie jak, ale spełni. To nie ziele kochania Lison, zwłaszcza że dziewczyna nie potrzebuje żadnego miłosnego naparu – przekonał się o tym zeszłej nocy. O nie, kaci z Szarego Bractwa rzeczywiście umrą! Nie bardzo wiedział dlaczego, ale wiedział, że wymagają tego moralne zasady. A on, stając się z zahukanego kopisty synem potężnej międzygwiazdnej cywilizacji, szybko przywykł do przyklaskiwania swoim zasadom moralnym.**



## 6.

Capnęli go tegoż wieczora w zaułku Kapeluszników. Kuin wyszedł na spacer rozpędzić ponure myśli, ale wracając do domu, natknął się na trzech złodziei: dwóch chłopaków odzianych jak pątnicy i rude dziewczę w sukience z Murii z odsłoniętymi plecami. Chłopcy przycisnęli go do muru, po czym zaczęli obcinać trzos, bezskutecznie walcząc z cienkim łańcuszkiem i pasem zdobionym blaszkami z brązu. Dziewoja tymczasem łaskotała mu gardło nożem, namiętnie szepcząc do ucha:

–Trzosik albo życie. Trzosik albo życie, piękniśiu.

–Życie, życie wybieram, oczywiście – odpowiedział Kuin. – Poczekaj, niech odepnę sprzączkę. Pas też zabieraj, spodnie mogę trzymać w garści. A ty, śliczna pani, weź sobie mój płaszcz, bo możesz sobie pierś przeiębić.

I widząc mlaskające buty całej trójki, dodał:

–Butów niestety oddać nie mogę, nie będą pasowały na was. Ale jeśli pójdziecie ze mną do karczmy, to może gospodyni coś dla was wybierze z używanych. I możemy przy okazji uczcić nowe szaty.

–Przecież to wariat! – zdziwił się jeden z bandytów.

–On, suczy chwost, naigrawa się! – wycedził przez zęby drugi i przysunął do twarzy Kuina owłosiony, pokryty nagniotkami kułak. Były kopista błyskawicznie nałożył na pięść swój kapelusz.

–On jest opętany! – pisnęła dziewczoja i wskazała palcem coś w głębi uliczki. – Patrzcie! Oto i aniołowie po jego duszę! Uciekajmy!

Porzuciwszy łup, bandycka trójka dała nogę.

„Mimo wszystko w przepowiedniach Pańskich jest jakiś sens -pomyślał Kuin, spoglądając za nimi. – Daj bliźniemu wszystko, o co poprosi i czego zażąda, a bliźni omdleje z zaskoczenia i stanie się całkiem bezsilny. O jakich aniołach mówiła dziewczoja?”

W tejże chwili usłyszał kroki i oddech za plecami. Odwrócił się, ale popatrzeć na niespodziewanych gości nie zdążył, bo ci zwalili się nań, wykręcili mu ręce – aniołowie, żeby ich!... – a potem uderzenie w głowę na długo pozbawiło byłego kopistę możliwości patrzenia, słyszenia i rozumienia.

## 7.

–Imię, ród, tytuł?

„Znam cię!” – pomyślał Kuin, kołysząc swoją obolałą głową. Głowa jak na razie nie odpadała od szyi, ale odwracać się nie chciała za nic.

–Twoje imię, kmieciu!

„Ajajaj! po co taki wysoki styl? Czy to tak trudno dojść własnym rozumem, z kim się rozmawia? Mądry człowiek raz-dwa będzie wiedział. Oto ten na przykład – niby dworzanin, a kamizeli nosić nie umie, łokcie ponaciągane, rękawy podwiązane aby-aby. Chodzi równo jak na paradzie, ziemi pod stopami nie czuje. Kiedy chwyta za miecz albo zaczyna przeklinać, na jego twarzy maluje się bezradność. Kim jest? Wiadomo -Ziemianin. Kto z Ziemian jest gruby, wąsaty i chodzi

w kasztanowej peruce? Don Gut, pościelowy księcia Irukańskiego. Bardzo nam miło”.

–Twoje imię, ścierwo!

–Kuin z ulicy Blaszaney, szlachetny donie.

–Z Arkanaru?

–Szlachetny don wie wszystko.

–To nie twoja sprawa. Odpowiadaj na pytania.

–Z Arkanaru.

–Rodzaj zajęcia? „Powinienem coś skłamać, ale nic mi nie przychodzi do głowy.

Bo i co

może przyjść do tak rozwalonego czerepa?”

–Czarna magia – odpowiedział Kuin. Don Gut klepnął się w uda i roześmiał serdecznie.

–Ty ścierwo śmiało! Nie boisz się, że oddam cię w ręce władz?

–A czego może się bać ścierwo? – odparł były kopista.

–Odpowiadaj na pytania, bo się zapoznasz z dybami! Czego chciałeś od przestępcy państwowego Budacha?

„Głęboka histeria – zrozumiał Kuin. – Zastarzała histeria. Gdyby nie to, nie zaczęłyby o dybach. Co to – naprawdę zamierza mnie torturować? Skąd by miał kwalifikacje? Dobra, jak będziemy kłamać? Och, znowu nic do głowy nie przychodzi poza prawdą”.

–Budach przyszedł do mnie po pocieszenie.

–Po pocieszenie?

–Tak, szlachetny donie. Prosił, żebym porachował się z jego katami.

–A ty?

–Obiecałem mu, że to uczynię za bardzo umiarkowaną opłatą.

–Jakim sposobem?

–Przy pomocy swojej magii. Jeśli ty, szlachetny donie, chcesz ją wypróbować...

–Milcz!

„Uwierz, że jestem nikim – poprosił go w myślach więzień. – Głupi, nikczemny, srebroluby mieszczaninie. Spluń na mnie i wyrzuć za drzwi”.

–Kto cię przysłał do metropolii?

„Nie wierzy”.

–Nikt, panie. Ale przez granicę pomógł mi przejść szlachetny don Rumata z Estorii. „Łyknął?”

–Nie słyszałeś pytania? Kto cię wysłał?

–Nikt, panie. Uciekałem przed Szarymi Braćmi.

„Może przynajmniej z tego powodu będziesz mi współczuł? Humanizm, kultura, co?”

–Jakiego rodzaju magią zamierzałeś się posłużyć? „Nie, nie odczepi się. Za bardzo się trzęsą nad swoimi»uratowanymi«,,.

–Taką.

**Kuin zdjął z szyi swój chrzcielny krzyż i cisnął go na stół. Teraz mętnie błysnął na ciemnym blacie. Don Gut dotknął go ostrożnie.**

**–Jantaryn? – zapytał po rosyjsku. Kuin wszystko zrozumiał z samej intonacji.**

**Skinął głową.**

**–Pan... – zaczął Gut, ale były kopista mu przerwał:**

**–Teraz nie jestem w stanie odpowiadać na pytania. Proszę mi dać jedną z waszych „cud-pastylek”, a wtedy zaspokoję pańską ciekawość, szlachetny donie.**

## 8.

–Żył sobie człowiek zwany Kuin Introligator. W pracy pilny, czasem bezczelny, ciekawski, chutliwy i tchórzem podszyty. Kochał drogie inkunabuły, tanie kobiety, mądre rozmowy i szalone pijaństwa. Żył i nie wiedział, że żywot jego jest niczym innym, jak tylko pożywką dla Przyszłego Jasnego Wieku. Zresztą jakby nawet wiedział, to nie bardzo by go to zmartwiło. Już dawno przywykł stroić miny za plecami całego Wielkiego i Jasnego. A już na pewno nie wiedział, że w jego ciało wszczepione zostały łańcuszki pamięci kompletnie innej istoty. Jednej z tych, które nazywacie Wędrowcami.

–Łańcuszki pamięci?

–Proszę mi wybaczyć, że trochę beładnie opowiadam. Po prostu to się bardzo trudno przekłada na arkanarski. To znaczy wiem, jak to będzie brzmiało po arkanarsku wieki później, ale to nie ułatwia sprawy. Pan jeszcze nie zna tego języka.

–Zna pan przyszłość?

–Czasem tak.

–I może wpływać na nią?

–Tak samo jak i pan.

–Ale hm... Przyczyny i skutki nie cierpią z tego powodu?

–Cierpią. Czasem potwornie. Ale dlaczegożby nie? Całe nasze życie to cierpienie.

–Przepraszam, nie rozumiem.

–To ja proszę o wybaczenie. Zawsze żartuję w nieodpowiednim czasie. Pan sam zakłóca ciąg przyczyn i skutków, ale nie raczy tego zauważać.

–Co proszę?!

–Wasze statki. Mówicie: dolna przestrzeń, zerotransport. Ale to tylko słowa. W rzeczywistości latacie z prędkością większą od prędkości światła. Zmieniacie i przyszłość, i przeszłość, ale nie zawsze możecie to zauważyć. I nie zawsze chcecie.

–Tak? Zresztą ja nie jestem specem. Ale co pan robi na tym globie? Ulepsza przyszłość?

–W żadnym wypadku.

–Czy to przeczy waszej etyce?

–To przeczy logice. Jeśli odetnę panu nogę i wstawię protezę, niechby nawet boskiej jakości protezę, to podziękuje mi pan za to?

–Ale jeśli lud jest chory?

–Wie pan, co to jest choroba dorastania? To, co obecnie mamy w Arkanarze, nazywa się reformacją. W setkach i tysiącach światów było dokładnie tak samo. Kościelna republika nie przetrzyma dłużej niż dwa –

trzy lata. A rzemieślnicy nie zapomną o swoim nieudanym buncie i wkrótce będziemy tu mieli prawdziwą republikę. Władzę ludu. Co prawda niedokładnie taką, jakiej oczekiwaliście. To obrzydliwy sposób, nie przeczę. Ale innego natura jeszcze nie wymyśliła.

–Natura... Zgoda. Ale ludzie? Po co ludzie mają powtarzać te same błędy?

–Usiłuje pan oświecić tutejszą populację siłą albo namową. Tylko że kiedy

zaczynają oświecać się sami, chwyta się pan za głowę i przyzywa posiłki. Ale osobiście pan nigdy i niczego się nie nauczył na własnych błędach. Słuchał pan tylko z zachwytem swoich mentorów. Dlatego pan się boi.

–Może pan obojętnie patrzeć na cierpienia ludzi?

–Czy to prowokacja? Czy może oczekuje pan, że odpowiem na pytanie, które panu samemu od dawna nie daje spokoju? Ja, jak pan widzi, pospiesznie uciekłem możliwie daleko od przyszłej Republiki Arkanarskiej. A pan? Pan nikogo nie morduje swoimi rękami, jednak z całej siły stara się, by pańskich wrogów przejechało koło historii. Ale jeśli powóz potrąci przechodnia, kto będzie winien: konie czy woźnica? Przez pana zginęła... Zresztą nieważne...

–Ale my nie wtrącamy się do biegu historii!

–Oczywiście. Tego prawa również was pozbawiono. Możecie współczuć naszym ludziom, ale nie możecie oddać za nich życia. Nawet swoje miłosierdzie okazujecie tylko tym, którzy na niebiosach będą uznani za tego godnych. Nie możecie uratować kobiety, dziecka, starca tylko dlatego, że są wam drodzy. Przeciwnie, musicie złożyć ich w ofierze dla „niosących kulturę”. Przez takie życie łatwo można sfiksować.

–A pan?

–Ja jestem człowiekiem tej ziemi. Urodziłem się tu, żyję, pewnie tu też umrę. To moje życie i kocham je. Czasem nienawidzę. Mogę pomagać swojej drugiej ojczyźnie, mogę nie pomagać. Jeśli zechcę kogoś uratować, uratuję. Zechcę zabić, zabiję.

–Ale ktoś może zechcieć zabić pana.

–Już zechcieli. I to wielu. A pan? Czy pan się czuje bezpiecznie z powodu waszych bezkrwawych praw?

–A Wędrowiec w pana duszy nie wtrąca się, nie kontroluje pańskich decyzji?

–Ten Wędrowiec to także ja. Umarłem wiele lat temu tam, w niebiosach. A teraz przeżywam tu drugie życie: życie kopisty i czarnego maga z Arkanaru. Uczę się go, uczę się tego świata. I każdy żywot jest dla mnie cenny i niepowtarzalny. Po co je niszczyć? Tak, możemy długo dyskutować o etyce, ale już widziałem, co to jest takie ulepszone jutro. Kiedyś my też chcieliśmy pomóc pewnemu narodowi. Niestety, zadziałały jakieś niezrozumiałe łącza wewnętrzne. Obecnie tylko kupka wyrodków pełza tam pomiędzy poniszczonymi maszynami. Znajdziecie jeszcze kiedyś ten glob, znajdziecie nasze ślady na nim. Zobaczycie naszą zbrodnię, naszą hańbę. Zrozumieliśmy wtedy, że istoty myślące we Wszechświecie są powiązane ze sobą jak rośliny, zwierzęta i ptaki na jednej planecie. Nie wolno zmieniać jednego narodu w drugi. Nie wolno uczyć lwów, by pasły się obok owiec. Nie wolno dopasowywać życia do szablonu nawet z powodu miłosierdzia i humanizmu. To życie i tak będzie się broniło, póki nie zdechnie. Och, dobrze, wygląda, że mnie poniosło! Starzeję się chyba. O czym myśmy rozmawiali wcześniej?

–O łańcuszkach pamięci. Ale już sam się domyśliłem. Mówi pan o dziedziczności?

–Dokładnie! I nas, i Ziemi, i Wędrowców, i wielu innych łączy jedno: białko jako materiał budowlany i łańcuchy kwasów jako pamięć dziedziczna. A potem już jest łatwo. Kiedy dziecko rośnie w łonie matki, jego dziedziczność jest tłumaczona z języka kwasów na język białka. Potem wszystko, co widzi, słyszy, czuje, zapamiętuje się i tłumaczy z powrotem na język kwasów. Odkryliście te łańcuszki pamięci, ale uważaliście je za drobne pasożyty. Ale Wędrowcy władają mechanizmami zdolnymi do rozszyfrowania obcych cząsteczek pamięci. Nazwiecie je potem „detonatorami”. A skoro bezcenne jest każde życie, każde doświadczenie współdziałania istoty i świata, to nie ma żadnego powodu, by skazywać inne populacje na całkowite wyginięcie i zapomnienie. Tak więc Wędrowcy trudzą się w różnych światach jako te pszczołki na łąkach Pana. I już ponad miliard lat istnieje Biblioteka Pamięci.

–Ale w takim razie wasza cywilizacja musi być potwornie stara.

–Straszliwie stara albo bardzo młoda. Wie pan, co to jest krzyżowanie bliskie?

–Oczywiście.

–Na Ziemi możecie skrzyżować konia i osła, ale potomstwo ich będzie bezpłodne.

Większość istot może rozmnażać się wyłącznie w granicach swojego gatunku. Stopniowo, w ciągu kilku milionów lat następuje deformacja jak u rasowych psów czy koni. Najpierw mieszają się narody, potem rasy. A potem następuje eksplozja dziedziczności, epidemia. Takie coś zdarzyło się pewnego razu na jednym ze światów. Dokładniej rzecz ujmując, dopiero się zdarzy, według waszej miary. My też kiedyś „nie

potrafiliśmy obojętnie patrzeć na cudze cierpienia”. Zabraliśmy ludzi tego świata do siebie, do swojej przeszłości, i zmieszaliśmy ich dziedziczność z naszą.

–A jak to się ma do waszej zasady nieingerencji w działania natury?

–To było ogromnie ryzykowne, nie przeczę. Wyliczone, wyskalowane, ale i tak ryzyko. Jednakże udało się. Z niewiadomego powodu świat jest urządzony tak, że dobrowolne ofiary najczęściej nie idą na marne. Pozbawiliśmy obcą populację „szaleństwa dziedziczności”, ustrzegliśmy się podobnej epidemii u siebie.

Jednocześnie osiągnęliśmy dodatkowo dwie ważne rzeczy: pokonaliśmy bariery wewnątrzgatunkowego krzyżowania i stworzyliśmy detonatory. Potem, w przyszłości, kiedy wybuch dziedziczności będzie zagrażał temu światu, zaproponujemy jego mieszkańcom wstąpienie do naszego związku.

–Dobrze, ale dlaczego w takim razie kryjecie się przed nami?

Dlaczego nie chcecie kontaktu?

–Proszę się tylko nie śmiać zbyt głośno. Ponieważ się was boimy.

–Nas?

–Jesteście Zabójcami Dzieci.

–Kim?!

–Za kilka lat spróbujemy wysłać naszych zbieraczy pamięci na wasz glob. Wy ich rozpoznacie, zdecydujecie, że okażecie miłosierdzie, pozwolicie im żyć w waszym świecie. Bez mała trzydzieści lat będziecie się męczyli, nie mając pewności co do ich intencji. A potem zabijecie ich, zanim oni uświadomią sobie do końca, kim są i co mają do wypełnienia. Wtedy przestraszymy się my. I zniszczymy wszystkie nasze

stacje obserwacyjne w przeszłości, a potem będziemy się przed wami ukrywali po całym Wszechświecie. Cóż, wiemy, jak można walczyć z chorobami dziedziczności, ale nie wiemy, jak walczyć z pandemią strachu.

–Ale tę przyszłość można przecież zmienić?

–Pewnie tak. Ale my nie możemy zniekształcać losu waszej populacji.

–I dlatego wszystko to mi pan opowiedział?

–Mój Boże, proszę nie myśleć, że ktoś mi zlecił takie zadanie czy nawet dał prawo opowiedzieć! Po prostu ratuję swoje życie. A przy okazji, od chwili kiedy dostałem jantaryn, pańska obręcz nie działa. Pana dowództwo sądzi, że znowu włożył ją pan do szuflady. Moje dowództwo też niczego nie wie i wiedzieć nie będzie. Umówmy się, że chciałem zostawić ślad w pańskiej pamięci. Nie ja-Wędrowiec, a ja-Kuin, czarny mag z Arkanaru. Chciałem przegonić z pańskiego oblicza tę pełną obrzydzenia litość. Może spróbujcie nie tylko ulitować się, ale nawet pokochać tę naszą ziemię, nasze wino, nasze kobiety, skoro już ugrzęźliście tu na długo. Bo, wie pan, małżeństwa z litości nie zawsze są nieudane. A poza tym mam nadzieję, że z wdzięczności za szczerłość wypuści mnie pan...

Złamane drzewo za oknem w zmierzchu przypominało tęskniącemu progresorowi Glidera. W porywach wiosennego wiatru gałęzie pojękiwały i wydawało się, że to Glider płacze, prosi, by wypuścić go znowu w niebo.

Paszka stał na ganku skulony z zimna, ukradkiem paląc własnoręcznie zrobionego papierosa, ale zmieszanie i smutek nie zniknęły. Wszystko to było logiczne i słuszne. O trudnościach adaptacji progresorów do obcego

dla nich socjumu pisano rozprawy naukowe, a Paszka te rozprawy sumiennie czytał. W drugim – trzecim roku samotnych Ziemi ogarniały „niespokojne i depresyjne nastroje w połączeniu z metafizyczną intoksykacją”, czyli smutne rozmyślenia o istocie dobra i zła i uczestnictwie człowieka w ich odwiecznej walce. Tak więc gdyby złożył teraz meldunek o rozmowie z czarnym magiem-Wędrowcem, przyjęte byłoby to w wiadomy sposób. A jeśli do tego pamięta się o niedawnej wpadce Toszki – to nie tylko w sposób wiadomy, ale również jednoznaczny. I baza na południowym biegunie człowiek się nie wykręci! Do domu, do domu, w objęcia matki Ziemi. I co wtedy zostanie? Gra z Toszką przez BWI w „Arkana Revolution”? Zawsze podejrzewał, że Wędrowcy po zetknięciu z ludzkością dadzą jej mata, nie myślał tylko, że to będzie taki dziecinnie łatwy mat.

Zszedł do sadu, przystanął obok stojącej przy spadzie dachu drewnianej beczki. Zaczerpnął z niej zimnej wody z posmakiem stopionego lodu i ochlapał sobie twarz. Potem włożył do ust kawałek śledziona odyńca Y, przeżuł i przez kilka sekund stał, chwytając ustami powietrze, strząsając łzy. Budżet instytutu chudł z każdym dniem, zapasy sporaminy topniały w oczach, trzeba było się przestawić na miejscowe środki. Może i barbarzyńskie, ale skuteczne.

Teraz też na Paszkę spłynęła tak pożądana jasność i spokój. Nagle przypomniał sobie, że identyczna beczka stała na dacy u babci. Beczkę wykonał dziadek – z zawodu historyk – wszystko jak należy, z drewna i żelaznych obręczy, a babcia-hydrobiolog pokazywała pięcioletniemu Paszce wszelkie drobne żyjątka miotające się w kropli wody. Dokoła tej beczki też zbierają się latem wszystkie dzieciaki gospodarzy. Aż dziwne są

takie myśli... Wydawać by się mogło: co mają wspólnego babcia i dziadek – profesorowie Uniwersytetu Orskiego, inteligenci w siódmym pokoleniu i tutejsi niedoludzie, „prefabrykaty”, „odlewy”, jak nazywał ich Toszka. A tu proszę – znalazła się łączność i Paszka, inteligent w dziewiątym pokoleniu, omal nie wpadł ponownie w metafizyczną intoksykację na temat: „A może czarnoksiężnik ma rację?”.

Nagle przypomniał coś sobie. Śledziona odyńca Y wstrząsnęła jego umysłem i wygrzebała mu z pamięci człowieka ze śmiesznymi uszami, twardo ociosaną twarzą i mądrymi zielonymi oczami, który kiedyś zagadał do niego na korytarzu instytutu. Paszka zrozumiał: ten mu uwierzy. Jedyne na Ziemi, który uwierzy bez żadnych dokumentów i dowodów. Na pewno.

Publicystyka

Paweł Amnuel

urodził się w Baku (Azerbejdżan) w 1944 roku. Pierwsze opowiadanie



fantastyczne opublikował w 1959, a jego debiut książkowy *Siewodnia, zawtra, wsiegda* miał miejsce w 1984. Jest autorem wielu powieści, m.in. *Ludi Koda* (1997), *Triwsielennaja* (2004), zbiorów opowiadań i nowel *Wsie rozumnyje* (2002), *Szło budiet, to i budiet* (2002), *Strannyje prikluczenija Iony Szeketa* (2005), *Czas uragana* (2005). Ponad 150 utworów poświęcił przygodom podróżnika gwiazdowego Iony Szeketa – izraelskiego kolegi po fachu słynnego Ijona Tichego z kart książek Stanisława Lema. Jego ulubiony genre to bard SF, koniecznie z interesującą, oryginalną fabułą. Od 1990 roku mieszka w Izraelu (stąd obecnie używane imię Pesah). Wraz z radzieckim pisarzem fantastą Gienrichomem Altowem opracował skalę oceny pomysłów fantastycznonaukowych. Wiele lat poświęcił na opracowanie metod rozwoju twórczej fantazji, napisał o tym podręcznik dla inżynierów i wynalazców. W Polsce znany głównie z opowiadań opublikowanych na łamach „Fantastyki”.

Paweł Amnuel

Czas połamanych rowerów

Przekład Eugeniusz Dębski

Prorocy i astrologowie lubią cytować samych siebie: „Przepowiedziałem trzęsienie ziemi na Wyspach Bardzo Zielonego Przylądka? I miałem rację!”. Kiedy (w większości wypadków) przepowiednia się nie sprawdza, prorocy i astrologowie zachowują milczenie, jakby to nie oni parę miesięcy wcześniej coś tam twierdzili.

Na szczęście nie jestem astrologiem i – na nieszczęście – nie jestem prorokiem. Dlatego też przyznaję, że nie miałem racji, kiedy w październiku zeszłego, 1999 roku, pisałem w swoim artykule „I zatonała łódka...” co następuje: *Wiosnę 2000 roku w Pitrze na „Interpresskonie” zetrą się ze sobą profesjonalne prądy i jeśli „Granica” nie dostanie nagrody, to z radością przyznam, że nic nie pojąłem z procesów literackich zachodzących w świecie rosyjskiej fantastyki.*

Miłośnicy fantastyki, pisarze-fantaści i wydawcy rzeczywiście zebrali się niedaleko Sankt Petersburga w maju 2000 roku, ale powieść „Granica” napisana przez Marinę i Siergieja Diaczenków, Andrieja Walentinowa oraz Henrygo Liona Oldiego żadnej nagrody – ani „Interpresskonu”, ani „Brazowego ślimaka” – nie dostała. Laureatem „Interpresskonu” została powieść Siergieja Łukianienki „Falszywe zwierciadła”, a „Brazowego ślimaka” Borys Natanowicz Strugacki przyznał powieści Wiktora Pielewina „Generation P”. W kategorii „średnia forma” zwyciężyło opowiadanie Siergieja Siniakina „Mnich na skraju Ziemi”.

Moim zdaniem, na listach nominacyjnych były utwory bardziej zasługujące na nagrodę, ale jeżeli zacznę przekonywać, że „Hiperboliczna dżuma” Michaiła Uspienskiego i Andrieja Łazarczuka to utwór bijący na głowę „Falszywe zwierciadła”, zacznie się polemika: „To pańska osobista opinia, panie Amnuel, w Pitrze miało miejsce demokratyczne głosowanie, a wynik jest, jaki jest”.

W rzeczy samej. Oto czemu przyznaję, że niczego nie zrozumiałem z procesów literackich zachodzących w świecie rosyjskiej fantastyki. Ale przyznaję to z goryczą, a nie z radością, dlatego że jeśli proces ten polega na przyznawaniu pierwszeństwa,

w mojej opinii, gorszemu przed lepszym, to degradacja postępuje w jeszcze szybszym tempie, niż mi się zdawało zeszłej jesieni.

I jeszcze jedną swoją pomyłkę gotów jestem z goryczą uznać. Pomyłka polega na moim naiwnym założeniu, że właśnie nagrody literackie wyznaczają kierunek rozwoju gatunku, i dlatego, badając dynamikę przyznawania „Interpresskonu” i „Brażowego ślimaka”, można wyciągnąć wnioski co do kierunku, w którym podąża rosyjska fantastyka.

Od obu iluzji uwolniły mnie liczne głosy krytyczne na temat moich poprzednich artykułów, a także autorzy nielicznych, niestety, przeglądów analitycznych współczesnej rosyjskiej fantastyki. Jeden z autorów napisał w swojej notatce: *W ciągu dziesięciu lat utraciliśmy czytelnika, i nie mam podstaw, żeby to zdanie podawać w wątpliwość – nie tylko dlatego, że już od ponad dziesięciu lat nie mieszkam w Rosji (jeśli chodzi o ścisłość, to nigdy w Rosji nie mieszkałem, ponieważ Azerbejdżan, jak mówią: choć do Rosji podobny, ale to jednak nie Rosja), ale i dlatego, że sądy tego człowieka zawsze były kompetentne i uzasadnione.*

Problem jednak w tym, że utrata czytelników nieuchronnie pociąga za sobą utratę autorów, ponieważ między tymi procesami istnieje konkretne wzajemne powiązanie. Na początku lat dziewięćdziesiątych na rosyjski rynek księgarski napłynęła i nadal napływa ogromna ilość zachodniej fantastyki niskiej jakości, w przytłaczającej większości – fantasy. Gust

czytelnika został zepsuty, czytelnik zapragnął mieć coś podobnego i od autorów rosyjskich. *Rynek wymaga!, Rynek zawsze ma rację!* i tak dalej. Rosyjskiej fantasy jest teraz na rynku nie mniej niż zachodniej, a poziom (oczywiście średnio biorąc, bo od każdej reguły są na szczęście wyjątki) jest niższy – kopia zawsze będzie gorsza od oryginału. Czytelnicy przyswoili i tę twórczość, jeszcze bardziej psując sobie smak, po czym... Zresztą, wystarczy – tendencja, jak sądzę, jest łatwa do uchwycenia.

Co sądzić o literackim rozwoju i rzeczywistym stanie rosyjskiej prozy fantastycznej?

Jedna możliwość – zgodzić się. Jeżeli i czytelnicy, i pisarze, i kompetentne jury krytyków, i sam Strugacki jednomyślnie nazywają jakiś utwór lepszym, to czy człowiek usiłujący pojąć kierunek procesów literackich może ten fakt pominąć? Uznanie tak różnorodnych gremiów chyba nie może być dziełem przypadku.

I tak bez wątplenia nagrody „Interpresskon-2000” (podobno przyznawany w myśl aktualnych prądów), „Brażowy ślimak” (przyznawany osobiście przez B.N. Strugackiego) i nagroda imienia Arkadija i Borysa Strugackich (przyznawana przez jury pisarzy i krytyków) obsypały w tym roku opowiadanie wołgogradzkiego pisarza Siergieja Siniakina „Mnich na skraju Ziemi”. Trzykrotne hura! wykrzyknięte pod adresem tego utworu najwyraźniej sugeruje, że niezależne jury i Borys Strugacki we własnej osobie znaleźli w „Mnachu...” coś o zasadniczym znaczeniu dla współczesnej fantastyki rosyjskiej.

Z zainteresowaniem przeczytałem to zadziwiające opowiadanie i zgadzam się całkowicie – „Mnich na skraju Ziemi” rzeczywiście stał się

kamieniem milowym rozwoju fantastyki w Rosji w ciągu ostatnich, dziesięciu lat. Do czego szło, do tego i doszło. Co było do przewidzenia.

W moich słowach nie ma cienia ironii. Będąc na miejscu członków jury i pojmując cele i metody fantastyki w taki sposób, jak jest to ostatnimi czasy przyjęte, z pewnością też oddałbym najbardziej prestiżową nagrodę opowiadaniu Siniakina.

Temat jest znany – i to jego jedyna wada. Nie, moi Państwo, temat, fabuła, kompozycja to ostatnie rzeczy, z powodu których rzuciłbym w autora kamieniem. Jedyna, powtarzam, pretensja: brak nowości, ale czy w wątkach fantastycznych koniecznie potrzebujemy nowości?

Również nienowy i często spotykany w literaturze jest bohater: romantyk w pojedynkę walczący ze skostniałym systemem. To także nie jest wada, albowiem taka walka rodzi takich właśnie bohaterów i charakterowi Szterna nie można odmówić formalnego prawdopodobieństwa.

Odkrycie, w imię którego bohater oddał życie, także nie jest nowe, ale przecież uważa się (zresztą, mnie akurat takie podejście do fantastyki zawsze wydawało się absurdalne), że w literaturze fantastycznej nowe idee nie są konieczne.

Przy takim podejściu nieuchronnie musiało się pojawić dzieło w swoim rodzaju epokowe, dowodzące samym swoim istnieniem, że gatunek fantastyki naukowej w jej rosyjskim wariacie umarł i został pogrzebany.

Oto na czym polega wybitne odkrycie, którego dokonał bohater opowiadania Siniakina, astronauta Sztern: Ziemia, jak się okazuje, jest płaska i spoczywa na trzech wielorybach, a niebo jest sklepieniem położonym na wysokości kilkudziesięciu kilometrów.

Chciałoby się zapytać autora: pan tak poważnie? Nie, ja oczywiście rozumiem – w rzeczywistości Siniakin nie zakłada, że Ziemia jest płaskim kręgiem. To trafna – jego zdaniem, zdaniem szanownego jury i B.N. Strugackiego – metafora. Trzeba było wziąć jakąś ideę, która mogłaby zostać przedstawiona jako odkrycie o znaczeniu światowym. Można było wziąć inną – globalny lodowiec na przykład. Albo teorię flogistonu. Albo jeszcze cokolwiek innego, równie wybitnego.

Już słyszę chór moich oponentów: przecież opowiadanie wcale nie jest o tym! Opowiadanie jest o bohaterze – męczenniku, o jego mężnym oporze wobec bezdusznej maszyny ucisku...

Tak, tak, oczywiście. Ale ja, proszę wybaczyć, nie wierzę temu bohaterowi i temu autorowi, i temu tematowi z jednej prostej przyczyny: nie mogę uwierzyć, że to na poważnie. A jak na ironię to, co zostało napisane, jest poważne w dwójnasób i dlatego po prostu głupie.

Jakie wspaniałe przykłady można znaleźć w fantastyce, gdzie bohaterowie-samotnicy buntują się przeciwko zacofaniu, idą naprzód i zwyciężają (lub giną, ale i tak zwyciężają, bo w każdym wypadku nowe, niezbadane odnosi zwycięstwo nad tym, co zacofane, przestarzałe): „Mistrzowie” Ursuli Le Guin, na przykład, albo „Ściana ciemności” Arthura C. Clarke’a, czy też „Mur wokół świata” Theodorea R. Cogswella! O ileż bardziej abstrakcyjny, zdawałoby się, jest młodzieniec ze „Ściany ciemności”, o ile dalszy od rzeczywistości niż życiowo opisany Sztern! Ale Shervane

zapadł mi w pamięć na całe życie, i jego czyn zapamiętałam, i ideę, dla której poszedł przeciw swoim współplemieńcom, też pamiętam w całym jej pięknie i niezwykłości.

Czyżby naprawdę nikt nie zauważył, czego opowiadanie Siniakina w

końcu dowiodło: że we współczesnej fantastyce rosyjskiej nowe idee nie są nikomu potrzebne – ani czytelnikom głosującym za pomocą rubla, ani pisarzom fantantom? Więcej: nowe idee są nie tylko niepotrzebne, ale wręcz szkodliwe!

I rzeczywiście, po co fantastyce nowe, naukowo-fantastyczne idee, jeżeli: a) fantastyka, jak i literatura głównego nurtu, opowiada o ludziach, a wszelkie tam gwiazdoloty i planety stanowią jedynie tło, *entourage*, scenę, na której rozgrywa się dramat życia; b) fantastyka w zasadzie nie może przepowiadać czy prognozować przyszłości, ona jedynie konstruuje światy – bliskie współczesności lub też nie bardzo – w jednym jedynym celu: by opowiedzieć o niezmiennych z dawien dawna ludzkich charakterach i stosunkach; c) stąd wniossek, że idee w fantastyce należy tworzyć tak, jakbyśmy układali mozaikę z dobrze znanych elementów.

Zdarzało mi się już czytać – także i w artykułach wielce szanownych mistrzów, że fantastyka naukowa umarła i pokój jej prochom, i chwała Bogu, że już jej nie ma. Zdarzało mi się czytać, że fantastyka nie powinna zajmować się prognozami, ponieważ jest to w każdym wypadku błędzenie palcem po niebie – z tym samym zerowym efektem, bo przepowiednie fantastów nie sprawdzają się nigdy, no i nie ma potrzeby, żeby się sprawdzały. Fantastyka to literatura i dlatego... patrz wyżej.

Oto jeszcze jedno stwierdzenie, które ostatnimi czasy wielokrotnie zdarzało mi się i czytać, i słyszeć: *Czytelników nie obchodzą filozoficzne przemyślenia i problemy autora, oni płacą nie za to, lecz za interesującą historię. jeżeli będzie tam jeszcze i filozofia oprócz pasjonującej historii, to w niczym nie zaszkodzi, ale pieniądze płacą nie za filozoficzne wynurzenia.*

Dlaczego – chciałbym wiedzieć – szanowni autorzy i krytycy przyznają prawo do życia tylko temu z licznych podgatunków fantastyki, który pasuje do ich sposobu myślenia? I dlaczego szanowni autorzy i krytycy zakładają, że świetnie wiedzą, za co płacą swoje pieniądze czytelnicy? Mnie osobiście jako czytelnika interesują akurat *filozoficzne przemyślenia i problemy autora*, a jeśli będzie tam jeszcze i ciekawa historia, to w niczym nie zaszkodzi. Mam prawo do takiego postrzegania fantastyki? Zakładam, że tak. I nie wiem, czemu zdaje mi się, iż tak myślę nie tylko ja – jestem przekonany, że wśród czytelników znajdzie się niejeden człowiek, który zgodzi się z tym, a nie z przeciwnym punktem widzenia.

Wygląda na to, że wyginęli nie tylko myślący czytelnicy, ale – co za tym idzie – i autorzy. Przyczyna tkwi nie tylko w tym, że czytelnik zagłosuje rublem przeciw naukowo-technicznej i filozoficznej fantastyce (zagłosuje „za”, jeśli znajdzie w takiej fantastyce nowe, nieoczekiwane idee, a nie przeróbkę lub wręcz powtórkę starych). Autorzy wyginęli także i dlatego, że na przestrzeni dziesięcioleci słyszeli od mistrzów: nowe idee są fantastyce niepotrzebne, fantastyka nie powinna prognozować, fantastyka nie powinna tego, a powinna tamto...

Z tej koncepcji narzuconej autorom powstało opowiadanie Siniakina. Hasło „Idea – niczym, fabuła – wszystkim” definitywnie zwyciężyło.

**Czy można sobie wyobrazić koncepcję płaskiej Ziemi jako punkt wyjścia fabuły w jakimkolwiek opowiadaniu Clarke'a? Albo Le Guin? Lub powszechnie szanowanych braci Strugackich? Proszę, nie mówmy o skali talentów czy o tym, że opowiadanie Siniakina należy do innego podgatunku! Ja przecież też nie o skali talentów mówię (powtórzę przy okazji, że jedyna moja pretensja w stosunku do dzieła zupełnie nie jest**

**związana z jego tematem, charakterem bohatera, językiem, stylem itp.). A podgatunek wszystkich tych utworów jest ten sam – fantastyka naukowa. Również opowiadania Siniakina.**

**Według mnie wszystko to jest smutne. Według mnie (chciałbym się mylić) w fantastyce rosyjskiej niemożliwe są już dzieła typu „Drogi miecza” H.L. Oldiego, „Wielorękiego boga Dalajna” Swiatosława Łoginowa, nie mówiąc już o tym, kto teraz poważny się i zdoła pisać tak, jak pisali w swoim czasie ci sami bracia Strugaccy, Georgij Altow, Walentina Żurawłowa, Iwan Jefremow... Zresztą i tradycja Juliusza Verne'a zapomniana została dawno i dokumentnie.**

**Odpowiedź znam z góry: wszystko to jest już przestarzałe, teraz autorzy tworzą własne światy, własnych bohaterów. Naprawdę uważacie, że we współczesnej fantastyce rosyjskiej można znaleźć własne światy? Dla stworzenia własnego świata potrzebne są własne idee. Dla stworzenia własnych idei konieczne jest chociażby zrozumienie tego, że takie idee są potrzebne.**

**Kiedy mówię o nowych ideach w SF, to mam na myśli nie tylko te naukowo-techniczne. Idea może pochodzić z dziedziny socjologii, psychologii, nawet prawoznawstwa – skądkolwiek. Gdzie one są? Nie ma ich, ponieważ postulowano, że fantastyce nie są one potrzebne i w ogóle tylko szkodzą.**

**Zresztą z brakiem nowych idei jakoś już udało mi się z upływem lat pogodzić – przecież hasło, że fantastyka i bez idei doskonale sobie poradzi, nie pojawiło się wczoraj. Nie ma nowych idei – i cóż zrobić?... Ale z utworu Siniakina wynika coś ważniejszego dla fantastyki: idea może być nie tylko stara, ale po prostu niedorzeczna. Niedorzeczność ta jest**

**oczywista dla autora, krytyków, czytelnika. Autor zmusza swego bohatera do poświęceń w imię idei nie tylko starej, ale jawnie i bezsprzecznie głupiej!**

**Gdyby biedaczyna Sztern poświęcił życie, aby udowodnić, że dwa razy dwa równa się cztery, byłbym go zrozumiał nawet mimo tego, że w fantastyce podobna idea, jak by to delikatnie ująć... odrobinę trąci myszką. Koniec końców, bohater nie może być mądrzejszy od autora – myślę, że to jasne.**

**Ale żeby pod koniec XX wieku na stronach opowiadania fantastycznonaukowego zmuszać bohatera, by cierpiał w imię idei płaskiej Ziemi... Jak bardzo trzeba nie szanować fantastyki naukowej jako takiej, jak lekceważąco trzeba traktować ją jako gatunek, żeby coś takiego napisać na poważnie!**

**A może ja znów czegoś nie zrozumiałem i utwór Siniakina jest jednak farsą?...**

**Niekiedy wyjątki potwierdzają regułę. Z wielkim szacunkiem traktuję twórczość Wiaczesława Rybakowa i jego ostatnia powieść „Na cudzej uczcie”, moim zdaniem, jest takim właśnie wyjątkiem. W istocie cała powieść napisana została dlatego, że**

autor chciał się wypowiedzieć – nie opowiedzieć historię, lecz dotrzeć z nurtującymi go przemyśleniami do świadomości czytelników. Myśli to kontrowersyjne, ale nowe i własne.

Wątpię, czy uda mi się kogokolwiek przekonać. Fantastyka naukowa w Rosji umarła – cóż, postawmy jej pomnik. Kogo obchodzi, że na zgniłym Zachodzie, unicestwionym z takim talentem przez Rybakowa w jego nowej powieści, zaczęła się odradzać po okresie zastoju – to są ich zachodnie sprawy, my idziemy własną drogą. Jak zawsze.

Zakończę, jak i poprzedni artykuł, cytatem, z którym jestem zmuszony się zgodzić. To z artykułu Aleksieja Karawajewa „Rękopis na skrzydłach motyla”:  
*Przykro mi o tym mówić, ale fantastyka rosyjska w swojej większości jest nieskażona wiedzą. Nie zastanawiało was, dlaczego dziewięciu na dziesięciu bohaterów to wojownicy, superagenci, komandosi i zabijaki? Dlaczego nagle ze stron książek zniknęli zwykli ludzie: robotnicy, uczeni, muzykanci i mistrzowie artystycznego gwizdania ze swymi nieskomplikowanymi Wielkimi Problemami?... Odpowiedź, niestety, jest prosta. Oni nie wiedzą! Nie są w stanie opisać tego, co czuje prosty człowiek dławiony bezlitosną niesprawiedliwością zwykłego świata. I nie chcą tego wiedzieć, nie chcą czytać, nie chcą się uczyć, ciężko obrażają się na krytykę. To inżynierowie dusz ludzkich produkujący niedziałające rowery.*

Rowery, nawiasem mówiąc, wynaleziono już dawno.

Jewgienij Łukin

urodzony w 1950 roku. Autor książek fantastycznych, m.in.: *Kagda otstupajut angiely, Piatiero w łodkie, nie szczytaja Sied'myrb, Szersze la babuszku, Sokruszytel*, a także poeta i bard. Tłumaczy również z języka angielskiego, a za szczególnie istotne uważa przekłady takich autorów, jak Barbara Hambly, Pierce Anthony i Ann Parry. Jego utwory doczekały się wydań w wielu językach, m.in. angielskim, niemieckim, francuskim, hiszpańskim, bułgarskim, znajdują się także w stutomowym wydaniu „Biblioteka rodzimej klasycznej literatury beletrystycznej” przeznaczonym dla szkół Federacji Rosyjskiej. Jest członkiem Związku Pisarzy Rosji (od 1992 roku). Laureat nagród literackich głównego nurtu: „ABS – Priemija”, nagroda im. I. Jefremowa, nagroda państwowa PMR, nagroda im. T. Herda; a także licznych nagród przyznawanych pisarzom fantastom. Mieszka w Wołgogradzie. U nas znany głównie z publikacji w czasopismach fantastycznych. Polski czytelnik miał również okazję poznać trzy opowiadania z cyklu *Opowieści z Baklużyna* opublikowane w I tomie almanachu rosyjskiej fantastyki *Mroczny Bies* (Fabryka Słów, 2006).

Polemika z Pawłem (Pesahem) Amnuelem dotyczy noweli Andrieja Siniakina *Mnich na skraju Ziemi* znanej polskiemu czytelnikowi z antologii *Zombie Lenina* (Solaris, 2003).

Jewgienij Łukin

Pozdrowienia z lat osiemdziesiątych

Przekład Eugeniusz Dębski

*Czego to nie wymyślą! Świat okrąży!*

**Dla mnie może być nawet kwadratowy, byle we łbach nie mać!...**

**A. Strugacki, H. Strugacki „Trudno być bogiem”\***

Przykro... Przeczytałem w Internecie artykuł Pawła Amnuela „Czas połamanych rowerów”, gdzie autor oznajmił wszem i wobec z dalekiego Izraela, że *fantastyka naukowa w Rosji umarła* i że ostatni gwóźdź do jej trumny wbił obywatel Wołgogradu, Siergiej Siniakin. Co za niesprawiedliwość! Przez całe życie walczyłem o ten przywilej: gwoździków naskładałem, przygotowałem młotek – no i macie! W ostatniej chwili odpychają od trumny. A co gorsza – kto? Przyjaciel i ziomek...

No dobrze, nie udało się przybić wieka – dajcie choć wbić osinowy kołek...

Dla mnie *fantastyka* to nie są tylko wprawki z literatury. Przy jej pomocy usiłuję się zorientować w *fantasmagorii*, którą siłą przyzwyczajenia zwiemy rzeczywistością. A z tak zwaną *fantastyką naukową* moje stosunki były zawsze nieco napięte. Widzicie, dwadzieścia lat temu słowo *naukowa* w odniesieniu do *fantastyki* oznaczało – poza wszystkim innym – *postępowa*, *dobra* i nawet *radziecka*. Brak *naukowości* świadczył o antykomunistycznym nastawieniu utworu. Wiem, co mówię -w 1984 roku, wyobraźcie sobie, mało mnie z żoną z tego powodu nie wyrzucili z miasta.

Pamiętam, jaki byłem wściekły, kiedy odkryłem, że Amerykanin Carl Wagner pisze horror w stylu gogolowskim, podczas gdy od fantastów radzieckich żądano pouczających przygód w duchu *monsieur Verne'a*.

Była i inna przyczyna odrzucenia – czysto filozoficzna. Rzecz w tym, że sam termin *fantastyka naukowa* stanowi oczywistą niedorzeczność, ponieważ nauka i sztuka różnią się zasadniczo w sposobie przedstawiania rzeczywistości. Naukowo-fantastyczna literatura piękna (z naukowego punktu widzenia) nie jest bardziej realna niż pięciokątny trójkąt.

Sprzeczano się ze mną: mało to w naszym języku bezsensownych grup wyrazowych?! Na przykład *biały fiołek*. I nic – przywykliśmy, używamy.

Zgoda. Ale nikt nie żąda od białych fiołków, żeby były jednocześnie i białe, i fiołkowe. A *fantastykę naukową* w jej najlepszych latach, jak pamiętam, obwoływano niemalże ukoronowaniem twórczości – stopem sztuki i nauki.

Ale stopu z definicji być nie może – możliwa jest tylko mieszanina. Co to w ogóle jest SF, jak nie zbeletryzowana publicystyka popularnonaukowa? Bierzymy szczyptę sztuki, szczyptę nauki, wrzucamy do kotła, stawiamy na słabym ogniu i od czasu do czasu mieszamy, aż się uwarzy.

No dobrze, a jeśli wrzucić do kotła nie jedną, a dwie szczypty nauki? W takim wypadku, zgodzicie się, mikstura wyjdzie dwa razy bardziej naukowa... A jeśli jedną szczyptę nauki i pół szczypty sztuki? Tak samo! Mikstura wyjdzie dwa razy bardziej naukowa.

Czyli im mniej talentu, tym bardziej naukowo...

Jednak, chwała Bogu, wyginęli u nas w końcu (jeśli wierzyć Amnelowi) staruszkowie-dinozaury pchający się do literatury tylko z

tego powodu, że brak wykształcenia pozbawił ich możliwości przedstawienia swojego kolejnego odkrycia w postaci twierdzeń i formuł...

W pełni zgadzam się z wnioskami Amnuela. Tak, SF ma przed sobą długie życie.

Tak, „Mnich na skraju Ziemi” to faktycznie kamień milowy. Z wnioskami się zgadzam, ale z argumentacją... Sami osądźcie: „*W ciągu dziesięciu lat utraciliśmy czytelnika*”, *i nie mam podstaw, żeby to zdanie podawać w wątpliwość... [...] Gust czytelnika został zepsuty, czytelnik zapragnął mieć coś podobnego i od autorów rosyjskich.*

Zaczniemy od tego, że jednolitego czytelnika u nas nie ma i nie było. Tak zwany *masowy czytelnik* radzieckich czasów jest niczym więcej, jak fantomem, który zrodził się z ubóstwa książkowego asortymentu i rozpadł jeszcze w latach *pieriestrojki*. Pseudomiłośnicy ochłodli dla fantastyki: jedni odplynęli do polityki, inni do ultrasensoryki, jeszcze inni do matecznika elfów... Ci czytelnicy, którzy pozostali, i ci nowo narodzeni rozbili się na oddzielne grupy, z których każdą należy rozpatrywać osobno. Wielbiciele technicznej SF, według tezy Amnuela, w ogóle rozplynęli się w niebycie.

Tak więc nadużywanie słowa *czytelnik* w dzisiejszych czasach jest, jak by to rzec – nietaktowne. To tak samo jak manipulowanie słowem *naród*.

Ale wróćmy do tekstu: „*Rynek wymaga!*”, „*Rynek zawsze ma rację!*” i tak dalej. *Rosyjskiej fantazy jest teraz na rynku nie mniej niż zachodniej, a poziom (oczywiście średnio biorąc, bo od każdej reguły są na szczęście wyjątki) jest niższy – kopia zawsze będzie gorsza od oryginału. Czytelnicy przyswoili i tę twórczość, jeszcze bardziej psując sobie smak, po czym...*

No cóż, czas najwyższy przejść od ogólników do szczegółów i udowodnić na przykładzie Siergieja Siniakina, jak zdegenerował się gust

rosyjskiego czytelnika i jak nisko spadł w Rosji poziom literatury fantastycznej. Prześcignąć naszą współczesną fantazy w tandecie – sami przyznacie, że to faktycznie trzeba umieć...

I tu zupełnie nieoczekiwanie następuje zwrot: *Nie, moi Państwo -wyznaje nagle Amnuel – temat, fabuła, kompozycja to ostatnie rzeczy, z powodu których rzuciłbym w autora kamieniem.*

Ładny gips! A to wszystko, o czym rozprawiał wyżej?

Jednak kamieniem rzucić trzeba. Inaczej wstyd. Inaczej wyda się, że oprócz skandalicznej wizji płaskiej Ziemi krytyk nie ma się do czego przyczepić. Kamienia, co prawda, nie sposób znaleźć, więc w ruch idą maleńkie kamyczki: *charakterowi Sztern nie można odmówić formalnego prawdopodobieństwa.*

Niby trafił... A właśnie że nie! Dlatego że za chwilę czytamy: *życiowo opisany Sztern.*

No, wygląda na to, że do bohatera nie da się przyczepić. A może jednak się da? Również nienowoty i często spotykany w literaturze jest bohater: *romantyk w pojedynkę walczący ze skostniałym systemem.*

Nawet nie będę zgadywał, co przywiodło Amnuela do takiego wniosku. W ten sposób można nazwać romantykiem nawet i tonącego. Ale ponieważ cały artykuł jest skonstruowany z podobnych nieścisłości, drobiazgów czepiał się nie będę.

Jedziemy dalej: *Odkrycie, w imię którego bohater oddał życie, także nie jest nowe. [...] Jedyna, powtarzam, pretensja: brak nowości, ale czy w wątkach fantastycznych koniecznie potrzebujemy nowości?*



Od siebie dodam, że również nienowe są znaki zapytania i przecinki, które napotykamy w opowieści raz po raz...

Jakoś nawet niezręcznie wyjaśniać profesjonalnemu pisarzowi P. Amnelowi, na czym konkretnie powinna polegać nowość utworu literackiego.

Najlepiej ujął to Vitezslav Nezval: *Logicznie rzecz biorąc, szklanka przynależy do stołu, gwiazda do nieba, drzwi do schodów. Dlatego tych przedmiotów nie zauważamy. Trzeba było gwiazdę położyć na stole, szklankę postawić przy pijanych aniołach, a drzwi ulokować w sąsiedztwie oceanu. Chodziło o to, żeby zedrzyć maski z rzeczywistości, nadać jej promieniste kształty jak w pierwszy dzień stworzenia.*

I tak chodzi nie o nowość poszczególnych elementów, ale o ich zupełnie nowe zestawienie. To właśnie zrobił Siergiej Siniakin w swoim opowiadaniu, połączywszy coś, czego pozornie połączyć się nie da: prozę w duchu Warłama Szalamowa i absurdalne fantastyczne założenie. W imię czego? Oto pytanie, którego nie zadał autor artykułu. Bo i po co mu ono? I tak wszystko jasne: Ziemia jest okrągła!

Tym niemniej w imię czego? Amnel pisze: *Już słyszę chór moich oponentów: przecież opowiadanie wcale nie jest o tym! Opowiadanie jest o bohaterze - męczenniku, o jego mężnym oporze wobec bezdusznej maszyny ucisku.*

No cóż, temat określony został mniej lub bardziej trafnie. Jednak w tym wypadku nie o temat chodzi, ale prędzej już o ideę opowieści. Używając sformułowania Michaiła Zoszczenki: *Co chciał powiedzieć autor w swoim dziele?*

W swoim opowiadaniu „Mnich na skraju Ziemi” Siergiej Siniakin chciał powiedzieć i powiedział: *Twierdzenie naukowe może być prawdziwe, może być fałszywe, ale gdy zostaje użyte jako broń ideologii,*

*staje się nieuchronnie powodem do niszczenia ludzi.*

Dla Amnuela, widzącego zbawienie ludzkości właśnie w nauce i technice, podobna myśl – to nóż w serce. Tak więc nie dowiódłszy literackiej ułomności „Mnicha...”, ucieka się do ostatniego, rozpaczliwego argumentu: *Ale ja, proszę wybaczyć, nie wierzę temu bohaterowi i temu autorowi, i temu tematowi z jednej prostej przyczyny: nie mogę uwierzyć, że to na poważnie.*

Nie wierzy, dlatego że nie może uwierzyć... Nie, krytyk nie udaje – jest szczerze oburzony. A teraz postawcie sobie pytanie: jeżeli w dzisiejszych czasach obywatel cywilizowanego państwa Izrael, Paweł Amnel, z tak żarliwym oburzeniem rzuca się na heretycką myśl o płaskiej Ziemi, to co powinni byli zrobić z astronautą Szternem za podobną herezję w ZSRR czasów stalinowskich?

Jak widać, idea utworu jest słuszna. I Amnel, niespodzianie upodobniwszy się do prześladowców Szterna, błyskotliwie to udowodnił.

Już uprzedzałem, że drobiazgów czepiać się nie mam zamiaru. Dlatego gotów jestem uznać za zabawne nieporozumienie oczywisty błąd, gdy krytyk w charakterze pozytywnego przykładu przytacza powieść światosława Łoginowa „Wieloręki bóg Dalajna”, gdzie świat, jeśli pamiętacie, jest nie tylko płaski, ale jeszcze kwadratowy.

Gotów jestem nawet przypuścić, że pomyłka, która stała się powodem do napisania tego artykułu, także została popełniona przez krytyka nieumyślnie. Nawiasem mówiąc, oto ona: *A podgatunek wszystkich tych utworów jest ten sam –*

**fantastyka naukowa. Również opowiadania Siniakina.**

**Kto mu to powiedział? Znaleźć by go, w oczy mu spojrzeć...**

**I to wszystko o Siniakinie. Ale na pewno jeszcze nie wszystko o autorach, którzy zdegenerowali się w pogoni za czytelnikiem głosującym rublem.**

**Autorzy wyginęli także i dlatego – pisze Amnuel – że na przestrzeni dziesięcioleci słyszeli od mistrzów: nowe idee są fantastyce niepotrzebne, fantastyka nie powinna prognozować, fantastyka nie powinna tego, a powinna tamto...**

**Ciekawe, o jakich to on mistrzach? Bo już na pewno nie o tych niesfornych staruszkach-dinozaurach, którzy kiedyś wszczęli bunt w literaturoznawstwie, ogłosiwszy SF gatunkiem literackim, rozbiwszy ją na podgatunki i definitywnie odgradzając się od reszty literatury pięknej częstokółem własnoręcznie stworzonej terminologii. Tej samej terminologii, którą wykorzystuje w swoim artykule Amnuel. Słowa *idea*, dla przykładu, używa on w jednym jedynym sensie: fabułowórcza hipoteza fantastyczno-naukowa...**

**No więc co to za mistrzowie, którzy popsuli smak czytelnikowi i w rezultacie zdemoralizowali autorów? Nazwisk, niestety, krytyk nie wymienia, tylko obszernie cytuje pouczenia tych szkodników. Sens pouczeń można wyrazić jednym zdaniem: *Fantastyka – to przede wszystkim literatura.***

**I dalej – bez żadnych przejść: *Oto jeszcze jedno stwierdzenie, które ostatnimi czasy wielokrotnie zdarzało mi się i czytać, i słyszeć: „Czytelników nie obchodzą filozoficzne przemyślenia i problemy autora, oni płacą nie za to, lecz za interesującą historię”.***

**Czyje to stwierdzenie? Także mistrzów? Wychodzi na to, że także...**

**Pozostaje tylko mieć nadzieję, że i ta szacherka została przez Amnuela dokonana nie umyślnie, lecz z prostoty serca...**

**W ciągu dziesięciu ostatnich, tradycyjnie przeklinanych, lat ci, którzy próbowali w warunkach rosyjskich myśleć samodzielnie, zmuszeni byli gwałtownie wydorosnąć. Nie darmo powiedział Dostojewski: *Od prawdziwej, szczerzej biedy nawet głupcy niekiedy mądrzeli... taka to już właściwość biedy.* Pozbyliśmy się wielu iluzji – w tym także przekonania, że nauka pracuje na dobro człowieka. Niestety, nauka pracuje wyłącznie na dobro nauki i ze szczęściem ludzkim żadnego związku nie ma.**

**Mimo woli powstaje wrażenie: w jakich czasach człowiek opuścił Rosję, w takich pozostaje do końca swoich dni. Artykuł Amnuela „Czas połamanych rowerów” jest jakby wyjęty z lat osiemdziesiątych. Właśnie z pozycji krytyki z tamtych lat gromi on antynaukowe, a zatem reakcyjne dzieło. Więcej powiem: jeśli zamienić uogólniające słowo *czytelnik* na bardziej wymijające wyrażenie *niektórzy nasi czytelnicy* (to samo z autorami), wtedy artykuł ten można byłoby śmiało opublikować jeszcze za czasów władzy radzieckiej.**

**Nie wierzycie? No to wam zaraz przytoczę dwa cytaty, usunąwszy z nich dwa – trzy słowa, żeby zadanie nie wyglądało na zbyt łatwe: *Jakie wspaniałe przykłady można znaleźć w fantastyce, gdzie bohaterowie [...] buntują się przeciwko zacofaniu, idą naprzód i zwyciężają (lub giną, ale i tak zwyciężają, bo w każdym wypadku nowe, niezbadane odnosi zwycięstwo nad tym, co zacofane, przestarzałe)* i**

***Fantastyka – to przede wszystkim marzenie, przeniknięcie w możliwe wydarzenia, to ukazanie ludzi [...] pokonujących trudności, walczących i zwyciężających. To literatura wzbudzająca miłość do wiedzy, [...] wzywająca ku świetlanej przyszłości, a nie ciągnąca w błoto niewykorzenionych wad i w ciemny kąć beznadziejności.***

**A na koniec pytanie: który z cytatów należy do Aranuela (2000), a który do Aleksandra Kazancewa (bodajże 1983)? Jakby nie było tych siedemnastu lat, prawda?**

**Widać słodko im się tam żyje, w *blógiej rajskiej idylli*, jeśli nie mają nic innego do roboty, jak tylko siedzieć i majstrować nakręcane mechaniczne zabawki SF.**

**PS.**

**A co, Ziemia naprawdę jest okrągła?**

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-10-28

*LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/*